

Ted Bell

Szpieg

Spy

Przekład
Dariusz Ćwiklak



Page Lee z wyrazami miłości

Granica to tylko prawo narysowane na piasku.

szeryf Franklin W. Dixon

z Prairie w stanie Teksas

Prolog

Dorzecze Amazonki

Ludzki cel wpijał się palcami w muł brzegu rzeki Xingu; desperacko czepiał się i ześlizgiwał. W końcu wygramolił się na brzeg i padł twarzą na ziemię. Po kilku minutach leżenia w kałuży słonawej wody zdołał odwrócić się na plecy. Czerwone równikowe słońce grzało prosto z góry, jaskrawe aż do bólu. Kiedy zacisnął powieki, zabołało podwójnie. Czerwona gorąca kula paliła każdą powiekę z osobna.

Bębny odezwały się znowu.

Zabić. Zabić.

Taktowane na dwa dudnienie stawało się coraz głośniejsze. Tak mu się przynajmniej wydawało. Rozgorączkowany umysł nie był już niczego pewien. Głośniejszy znaczyło bliżej. Prześladowcy go doganiali, zbliżali się coraz bardziej. Teraz chyba dzieliła ich tylko rzeka. Podciągnął nagie, pokrwawione kolana do piersi i objął je chudymi rękoma. Mięśnie ostro zakłuły.

Zakrył twarz dłońmi z dziecinną nadzieją, że w ten sposób po prostu zniknie.

Zabić. Zabić...

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki bębny ucichły. Indianie zatrzymali się nad rzeką! Z jakiegoś tajemniczego powodu zawrócili. Wycofali się w zarośla dżungli. A może po prostu zasnąłem i bębny ucichły, kiedy leżałem nieprzytomny, pomyślał. Nie był już niczego pewien. Zacierały mu się granice między trybami egzystencji. Rzeczywistość stawała się nierealna. Biegł? A może śniło mu się, że biegnie? Czuwa? Śpi? Śni na jawie? Wszystko zlewało się w jeden ciąg.

Ponure wycie wystraszyło chmurę cytrynowych ptaków ściągających w gałęziach nad jego głowę. Błyskawicznie zerwały się do lotu. Dziwne. Ten drżący okrzyk najwyraźniej wyrwał się z jego własnych ust.

Uświadomił sobie, że osiągnął apogeum upokorzenia. Człowiek, który go więził, zdołał zmienić go w wyjąca małpę. Z cichym jękiem zaczął grzebać obiema rękami w błocie. Nabrał w garści szlamu i rozsmarował sobie po ramionach, spalonych policzkach, powiekach i czole cienką warstwę chłodnego błota. Trochę mu ulżyło.

Po kilku miesiącach niewoli skóra zrobiła mu się nienaturalnie biała. Trupią błądź spowodowała też chroniczna dezynteria i związana z tym utrata krwi. Normalnie był brunetem o jasnej karnacji. Teraz długie włosy mierzwiły się w dzikich splotach, niemal przezroczysta skóra wyglądała jak delikatny alabaster, a błyszczące dawniej niebieskie oczy przygasły.

Ten koszmar zaczął się wiele miesięcy temu. Sześć, a może więcej. W pewnej chwili stracił rachubę. Rzucił cumy i odpłynął. Nie miał już poczucia czasu. Zresztą jakie to miało znaczenie, skoro każdy dzień upływał monotonnie pod znakiem głodu i bólu? Czasami aż tęsknił za jakimś nowym piekłem, które wydobyłoby go z obecnego. Indiańskie bębny stanowiły spełnienie tego idiotycznego pragnienia.

Od tego fatalnego poranka, kiedy jego „naukowa” ekspedycja padła ofiarą katastrofy na rzece, wysoki, szczupły biały mężczyzna żył w świecie niemal niekończącej się ciemności. Wrzucono go do jakiegoś podziemnego lochu, gdzie nie docierała ani odrobina światła. Kraty jego więzienia były wykonane nie z żelaza, lecz z drewna.

Niewolnicze obozy terrorystów leżały w sercu tropikalnych lasów. Spędzał całe dnie i noce pod drzewami, jakich w życiu nie widział. Na samym szczycie, jakieś sześćdziesiąt metrów nad jego głową, tworzyły niemal nieprzerwany dach zieleni. Nawet w samo południe do tego potężnego zielonego więzienia przenikały tylko strużki słonecznego światła. Panował tu ponury nastrój.

Siedząc samotnie w swojej norze, wracał myślami do cennej książki z dawno minionego dzieciństwa, opowieści o niewinnym człowieku tak samo uwięzionym w świecie ciemności za zbrodnie, których nie popełnił.

„Jestem zgubiony”, mówił bohater książki, pokrewna dusza żyjąca sam na sam ze swoimi cieniami. Przypomnił mu się tytuł. Tak doskonale oddawał jego położenie, że mężczyzna miał ochotę parsknąć śmiechem.

Ciemność w południe.

Szorstka, pełna wszy broda sięgała mu daleko poniżej mostka. Czarne zmierzwione włosy, długie do pasa, związał skrawkiem płótna w kucyk. Były na nim tylko skóra i kości. Wiedział, że gdyby jakimś cudem spotkał znajomego, ten w życiu by go nie rozpoznał. Ba, gdyby trafił na kawałek lustra, sam by się nie rozpoznał.

Upływ czasu odmierzał mu tylko księżyc, który połyskiwał przez korony drzew. Wydawało mu się, że widział go w pełni sześć razy. Jeśli ten księżycowy kalendarz go nie zwiódł, to już ponad pół roku tkwił w miejscu, gdzie życie często miało niewielką wartość, ale jeszcze częściej było kompletnie bezwartościowe. Cały obóz, w którym spał i wykonywał

niewolniczą pracę, był zupełnie niewidoczny z góry pod płataniną zieleni.

Nie lubił codziennych pobudek, ale jeszcze bardziej nie znosił wieczornych spadków temperatury. Ciemne choć oko wykol noce spędzał w zimnym piekle, które nie miało nic wspólnego ze spaniem, odpoczynkiem czy snem. Zanim zdołał uciec, mieszkał w płytkiej jamie. Dzielił ją z innymi towarzyszami niedoli, których imion nawet nie znał. Na dnie jamy stała kałuża brudnej wody i panował w niej przesywający chłód.

Nocami prowizoryczny daszek z palmowych liści powstrzymywał część nietoperzy wampirów, ale nie wszystkie.

Udawało mu się zmrużyć oczy na trzy, może cztery godziny. Komary kąsały, a nie kłuły, a szybkie jak błyskawica nietoperze najwyraźniej upodobały sobie miejsce tuż pod jego prawym uchem. Po prostu nie dawało się zasnąć.

Każdy dzień niewiele różnił się od poprzedzającej go nocy. Jego i jego ponurych towarzyszy budzono wiadrami zimnej wody wlewanej do jamy, a potem za pomocą krótkich konopnych sznurów wyciągano na górę, gdzie stali zaspani i drżący z zimna. Ustawiano ich w kwadratowe oddziały na apel, po czym pod lufami karabinów pędzono do miejsc pracy.

Takich jam jak jego było wiele. W pobliżu znajdowało się też pewnie więcej podobnych obozów. Tak oto tworzyła się potężna armia żołnierzy i niewolników. Nie był w stanie określić, jak wielka, bo mógł się tylko domyślać, co się działo poza jego miejscem pobytu. Chciał się dowiedzieć, co napędza tę potężną maszynę, ale jakiegokolwiek pytania oznaczałyby szybką i brutalną śmierć.

Raz przez swoją ciekawość omal nie zginął.

W ciągu dnia, pracując maczetą czy łopatą, słyszał ciągły terkot broni automatycznej. Dżunglę rozrywały wybuchy, które wyrzucały w górę słupy ziemi i poszatowanej zieleni. Ogień z broni towarzyszył mu stale. Nocą, kiedy więźniom pozwalano na cotygodniową kąpiel w rzece, widział, jak niebo przecinają smugi z pocisków zapalających i słyszał głuchy huk moździerzy. Nie wiedział, kto strzela ani do kogo. Zresztą po jakimś czasie przestało go to obchodzić.

Strzały przebijały się przez owadzi szum natury. Dżungla odgrywała dyskretną partyturę jakiegoś natchnionego kompozytora, w której od czasu do czasu brzmiało staccato z karabinu.

Wszędzie widać było partyzantów, którzy całymi dniami szkolili się w walce w dżungli. Do samego świtu ćwiczyli strzelanie, przyświecając sobie pochodniami zamontowanymi na długich bambusowych kijach. Raz dostrzegł małą wioskę złożoną z pustych budynków i frontowych ścian imitujących zabudowania. Widział, jak bojownicy

strzelają z pustych okien i przeskakują przez ściany. Najwyraźniej ćwiczyli się też w partyzantce miejskiej.

Jego drużyna pracowała przy budowie drogi. Kładli przez dżunglę prostą groblę wysypaną wapiennym tłuczniem. Drogę donikąd. Nie miała ani początku, ani końca. Po prostu znikła gdzieś w dżungli. Nikt nie wiedział, dokąd prowadzi. I poza nim chyba nikogo to nie obchodziło.

Ta droga miała jakieś znaczenie. Była częścią planu. A on chciał go poznać.

Był urodzonym szpiegiem, a jako człowiek z natury ciekawy dniami i nocami miał oczy i uszy szeroko otwarte. Nie mógł zapisywać tego, czego się dowiadywał. Dałby wszystko za ogryzek ołówka albo skrawek papieru. Ale nie miał dostępu ani do ołówka, ani do papieru. Obserwował więc i słuchał, i próbował zapamiętywać na wypadek, gdyby jakimś cudem udało mu się przeżyć.

Kiedyś usłyszał, jak ktoś mówi szeptem, że tłuczniowa droga wiedzie na północ, mijając wielki wodospad w Diablo Blanco. Lokalni indiańscy robotnicy, z którymi czasami pracował, nazywali Biały Diabelski Wodospad grzmiącym dymem. Kiedy cichł ogień z karabinów, można było usłyszeć ten grzmot.

Jeden gadatliwy więzień, młody mężczyzna z Belize imieniem Machado, zdradził mu, że planuje ucieczkę w górę rzeki do osady zwanej Barcelos. Machado, którego piękna twarz o niesamowitych zielonych oczach odzwierciedlała mieszanekę etniczną w jego ojczyźnie, powiedział, że jest Garifunas, czyli ma w sobie krew afrykańskich niewolników i pierwotnych mieszkańców Wysp Karaibskich. W jego drzewie genealogicznym byli też Hiszpanie, Brytyjczycy i Azjaci.

Machado twierdził, że ta nadrzeczna osada jest najniebezpieczniejszym miejscem na ziemi, ale jeśli komuś uda się tam dotrzeć, może ruszyć dalej z biegiem rzeki do Manaus. Naturalnie zaintrygowało go Barcelos i chciał o nie dokładniej wypytać. Pewnego dnia rozbijał kamienie obok młodego Belizyjczyka.

- Dlaczego jest tam tak niebezpiecznie? - szepnął do chłopaka łamanym hiszpańskim, odczekawszy, aż strażnicy zdrzemną się w południowym upale.

Machado, który z dumą nosił porwaną koszulkę z napisem „Pakuj się do Belize!”, odszepnął:

- To rozstaje dróg piekielnych, señor. Czarna Dżungla.

- Ktoś stoi na tych rozstajach?

- Diabeł.

- Jaki diabeł?

- Diabeł we własnej osobie albo jego przedstawiciel.
 - Ten diabeł ma jakieś imię?
 - Diabeł. I tyle.
 - Gdzie mogę znaleźć tego tajemniczego kolesia?
 - Spieszno panu na tamten świat?
 - Coś w tym stylu.
 - Znajdzie pan diabła na rozstajach dróg, gdzie duchy przenikają do naszego świata.
- Więcej z chłopaka nie dało się wydusić.

Z bolesnego doświadczenia wiedział, że lepiej nie dać się przyłapać na gadaniu, a nie chciał zwracać na siebie uwagi. Pochylił więc głowę i milczał. Przez cały dzień wycinał maczetą dżunglę i budował tę cholerną drogę, w duchu planując własną ucieczkę. Wiedział, że nie on jeden snuje takie plany.

Był jednym z setek, a może i tysięcy ludzi więzionych tu przez jakąś niewidzialną i nieznaną siłę. Ale wiedział, że w tym zielonym piekle wre niezmordowana praca, a wszystko to co najmniej tysiąc kilometrów w głąb lądu od ujścia Amazonki. Ukryte przed wścibskimi oczami cywilizacji.

Budowano drogi, kładziono pasy startowe, szkolono armie, które bez ustanku hałasowały bronią maszynową. Wszyscy mieszkali, pracowali i umierali pod dachem amazońskiej dżungli.

Z tego, co zdołał zobaczyć, wynikało, że na pewno nie są to siły dobra.

Widział rzeczy straszne. Powolne konanie z głodu. Okrutne kary. Ludzi rozstrzeliwanych zupełnie bez powodu. Dłonie i stopy odrąbywane w przypiływie krwiożerczej fantazji. Widział też nietykalgno z krwawymi pęcherzami na całym ciele. Pędził z krzykiem przez dżunglę i nie przestając krzyczeć, zniknął wśród zielonych wzgórz. Nikt się nawet do niego nie zbliżał. Wirus, odezwał się ktoś. Pracują tu nad jakimś nowym wirusem.

Nietykalgni mieszkali w białym budynku po drugiej stronie rzeki. W kompleksie medycznym. Nie miał okazji go zobaczyć, ale słyszał o nim. Pacjenci, którzy tam trafiali, już nie wracali. Podobno działały się tam straszne rzeczy. Nocą, kiedy było spokojniej, można było usłyszeć różne odgłosy. Takie, których lepiej nie słyszeć.

Sądził, że wszystko to wiąże się jakoś z człowiekiem na rozstajach dróg. Z diabłem, o którym mówił Machado. To on wciągnął ekspedycję w pułapkę, zabił jego towarzyszy i uwięził go. Nazywał się Muhammad Top i sprawił, że mężczyzna wiele razy żałował, iż nie miał tyle szczęścia co jego towarzysze i nie zginął w pułapce.

Pewnej nocy w jamach szeptano, że zastrzelono jakiegoś chłopaka, który próbował uciec. Zapytał o jego imię, choć wiedział, kto to. Jedyne przyjaciół, jakiego tu zyskał. Machado.

Wiele razy czuł się tak samotny, że padał na kolana i modlił się do Boga, by pozwolił mu umrzeć.

1

Nie spodziewał się, że przeżyje zatonięcie swojej łodzi. Tego poranka rzeka, gładka niczym lustro, płynęła spokojnie przez bezkresną dżunglę. Tuż przed wybuchem zielone ściany listowia na obu brzegach nagle ucichły. Potem jakiś ptak zaskrzeczał ostrzegawczo i nagle cisza pękła. Mina wodna rozerwała dziób jego pięknej joli o czarnym kadłubie. Potężna eksplozja wstrząsnęła dżunglą, a niebo w jednej chwili pociemniało od ptaków, które zerwały się do lotu.

Nim zdążył wziąć kolejny oddech, wiedział, że jego śliczna „Pura Vida” dokonała żywota.

Jol zaryła w miejscu, natychmiast zaczęła nabierać wody i poszła na dno w kilka minut. Z lasu zaczęto strzelać. Rzeka zaroїła się od śmiercionośnych pocisków. Niewidoczni przeciwnicy pokrywali wodę ogniem z obu brzegów. Ludzie unoszący się na powierzchni zaczęli krzyczeć. Serie z karabinów maszynowych zabijały każdego, kto chwycił się przewróconej szalupy albo próbował wspiąć na błotnisty brzeg.

On w chwili ataku łowił ryby na rufie, siedząc z nogami za burtą. Kiedy usłyszał wybuch na dziobie i poczuł, jak Jol gwałtownie hamuje i chwieje się, rzucił się po półautomatyczną strzelbę, którą trzymał naładowaną w kokpicie. Wystrzelił w stronę lasu trzydzieści dwie kule. Gdy opróżnił magazynek, załadował kolejny i tym razem strzelał z bakburty.

Rzucił do wody koła ratunkowe, poduszki, wszystko, co miał pod ręką. Na próżno. Widział kolegów w wodzie. Wielu już umarło, inni ginęli właśnie w deszczu ołowiu. Jacht ogarnęły płomienie i zaczął gwałtownie przechylać się na bakburtę. Kolejna sekunda na pokładzie oznaczała samobójstwo.

Rzucił się z przechylonej rufy i płynął pod wodą w dół rzeki, aż poczuł, że pał go płuca. Wynurzył się i zdał sobie sprawę, że strzały ucichły. Podziurawione ciała płynęły z prądem w jego stronę. Wtedy po raz pierwszy usłyszał bębny.

Pomalowane twarze i brązowe nogi pędzące przez splątany gąszcz na obu brzegach. Zanurzył się znowu i chwycił kobietę, która kilka minut temu machała do niego ręką. Przyciągnął ją do siebie. Już nie żyła. Trzymał się zwłok przez długą chwilę, ale gdy zbliżył się do spienionej wody, nie miał wyjścia. Musiał puścić ciało przyjaciółki, jeśli chciał

bezpiecznie dopłynąć do brzegu.

Była piękną kobietą i nazywała się Dana Gibbon.

Chwycił zwisającą nad wodą gałąź i patrzył, jak ciało Dany płynie z nurtem rzeki. Głowę miała pod wodą, ale ręką wciąż obejmowała jakiś fragment „Pura Vidy”. Dana, błyskotliwa młoda oceanolożka z uniwersytetu w Miami, pisała pracę magisterską na temat Rio Negro. Wieczorami na pokładzie sączyli mojito i grali w remika. Ani razu nie udało mu się wygrać. I pocałował ją tylko raz.

Ciało Dany wpłynęło w białą pianę i zniknęło.

Parę minut później natknął się na rzecznoego dusiciela, prawie dziesięciometrową anakondę. Po tym spotkaniu została mu bolesna rana na prawym biodrze. W nieopatrzoną ranę wdała się infekcja. Nie mógł biec. Nie miał się gdzie ukryć. I w końcu go złapali.

Indianie, którzy dopadli go pierwsi, nie zabili go na miejscu. Nie licząc rany, był zdrowym okazem. Miał ponad metr osiemdziesiąt i był w dobrej kondycji. Założyli mu opaskę na oczy i ciągnęli przez dżungłę, żeby sprzedać temu, kto da najwięcej.

Kupił go Wajari, wielki wódz Indian Xucuru, którzy strzegli jednego z obozów pracy Muhammada Topa. Top już pierwszej nocy go przesłuchał. Wtedy omal nie wyzionął ducha. Na szczęście jakoś udało mu się przekonać Papę Topa, że jest brytyjskim naukowcem, nie szpiegiem. Wkrótce potem został odesłany z powrotem do obozu, by pracował jako niewolnik dla partyzanckich armii. Uznano, że i tak w końcu tam umrze.

W obozie przydzielono mu rolę, która nie wróżyła długiego życia. Harował jak wół przy budowie drogi, a potem został wcielony do brygady, która dniami i nocami służyła partyzantom jako ludzkie cele.

Gdy obraził strażnika, nie reagując dość szybko na jakieś niezrozumiałe polecenie, ten uderzył go w skroń kolbą karabinu, powalił na kolana i splunął mu w twarz. Choć oszołomiony ciosem, wstał, chwycił strażnika za kark, rozbroił go i pobił niemal na śmierć gołymi pięściami. Nikt nawet na nich nie spojrzał. Wszystko trwało minutę, może dwie.

Stał i patrzył gniewnie na strażników z bronią uniesioną do strzału. Czekał, aż któryś go zabije. Dwóch chwyciło go z tyłu i związało ręce konopnym sznurem. A potem go zabrali.

Tylko Machado zdążył się z nim pożegnać. „Idź z Bogiem” - powiedział chłopak.

„Pakuj się do Belize!” - odpowiedział, kiedy strażnicy ciągnęli go do namiotu komendanta.

Kara była szybka i typowa. Po dwóch nocach w piekielnym urządzeniu zwanym beczką wcielono go do drużyny, którą strażnicy nazywali żartobliwie Zielonymi Beretami. Żart wziął się stąd, że nowym zanurzano głowy w kubły z zielonym barwnikiem. Zielone

Berety byli skazańcami zesłanymi do dżungli w charakterze żywych tarcz.

Szefowie szkolenia bojowego partyzantów wymyślili ten system, by zapewnić młodemu rekrutom bardziej realistyczny trening. Świeże mięso w tym oddziale wciąż było potrzebne. Większość ginęła od strzałów z broni maszynowej. Inni padali ofiarą min albo snajperów. Kilku popełniło samobójstwo, by skrócić cierpienia. Niewielkiemu ułamkowi udawało się uciec.

*

Jemu się udało. Wmieszał się w grupę innych żywych celów uciekających przed ogniem z broni, znalazł odpowiednie miejsce, zatrzymał się, ścisnął za brzuch i krzyknął, jakby dostał śmiertelny postrzał, a potem padł w płytką wodę mulistego strumienia. Odczekał pięć minut, ale nikt nie podszedł. Zaczął się czołgać, a później płynąć, kiedy woda zrobiła się głębsza. Gdy dotarł do miejsca, gdzie strumień wpadał do szerokiej zielonej rzeki, przekręcił się na plecy i dał się ponieść nurtowi. Zza chmury wychynęło słońce. Uśmiechnął się szeroko: płyn z prądem.

Uciekał przez pięć dni i nocy, żywiąc się chrząszczami i larwami. Był wycieńczony, odwodniony i na skraju wygłodzenia.

Szóstego dnia nie mógł ustać na nogach. A bębny stawały się coraz głośniejsze. Nie chcąc ulec panice, położył się na chwilę na plecach, ukryty w gęstej trzcinnie. Jego wychudzone piersi unosiły się w ciężkim oddechu. Nagle odwrócił głowę w bok. Usłyszał coś ledwie słyszalnego, ale i tak niepokojącego. Jako żywy cel nauczył się wyłapywać najdrobniejsze nawet zmiany odgłosów dżungli.

Delikatnie położył dłoń na skrawku suchej ziemi. Niedawno nauczył się w ten sposób wyczuwać groźne drgania.

Drżenie, pękająca gałązka czy nagły krzyk papugi mogły zwiastować, że zbliża się wróg.

Indiańscy łowcy głów, elitarni centurioni morderczego plemienia kanibali zwanych Xucuru, ścigali go od chwili, kiedy cudem udało mu się uciec. Miał świadomość, że jest już słaby, bliski całkowitego wyczerpania. Spał, ale jak zając pod miedzą i zawsze z uchem przy ziemi.

Teraz jednak nie słyszał niczego niepokojącego. To, co wcześniej wziął za warkot silnika, musiało być tylko dźwiękiem jego własnej krwi pulsującej w skroniach. Nie, nie słyhać żadnego silnika. Nie ma żadnej płynącej w górę rzeki łodzi pełnej wybawców, którzy ocaliliby go i pozbawili Xucuru wieczornego posiłku. Myśl o spotkaniu wycieczki była naprawdę zabawna. Żadna łódź turystyczna nie zapuściła się nigdy tak daleko w górę rzeki.

Czekała go śmierć w samotności, chociaż o samotności trudno mówić w dżungli. Tyle tu wszystkiego. Miliony ruchliwych istot, za dużo życia i za dużo śmierci. Czuł to wszystko, dżungla przenikała każdą komórkę jego ciała.

Wiele najgroźniejszych form życia czaiło się w rzece.

Dryfował z różnymi prądami. Oliwkowozielona rzeka przez dwa długie dni była jego schronieniem. Do głowy, rąk i tułowia przywiązał sobie liściaste gałęzie, żeby nie odróżnić się od płynących po wodzie na wół zanurzonych pniaków i kawałków roślinności. Srebrzyste piranie na szczęście go nie ruszały. Ani candiru, ryba podobna do węgorza, która jest w stanie wśliznąć się w dowolny otwór ludzkiego ciała. To ona najbardziej go przerażała.

Jeden z członków jego ekspedycji stanął kiedyś w rzece w wodzie zaledwie po kolana, żeby się wysikać. Candiru zdołała przepłynąć w górę strumienia moczu i zagnieździła się w jego penisie. Tam, żywiąc się krwią chłopaka, urosła do ogromnych rozmiarów. Wywiązała się infekcja i chłopak musiał się poddać amputacji penisa, a potem zmarł w męczarniach.

Rozsunął trzciny, by spojrzeć na rzekę.

Wojownicy Xucuru na pewno nie zaprzestali pościgu. Oczyma wyobraźni widział, jak pędzą przez dżunglę. Nagie ciała mają pomalowane na czarno i czerwono, niosą dwumetrowe łuki, półtorametrowe strzały, pałki, rury do wydmuchiwania strzałek, dzidy. Wszyscy złożyli przysięgę przypieczętowaną krwią że nie wrócą bez jego głowy.

Wśród więźniów krążyły opowieści, że z obozów nikomu nie udało się jeszcze uciec. Xucuru wynajęci przez partyzantów bez wytchnienia ścigali zbiegów. Woleli pozabijać się nawzajem, niż wrócić z pustymi rękoma.

Ruszaj się, rozgorączkowany umysł popędzał umęczone ciało. Czekaaj, odpowiedziało ciało. Czekaaj!

Pięć minut. Tylko tyle.

Nic nie rób. Po prostu leż na brzegu Xingu i wygrzewaj się w słońcu. Odpręż się, daj wyschnąć skórze i kościom.

Rozluźnił mięśnie i zaczął grzebać w miękkim błocie, w którym leżał. Poczuł, że zaczyna odpływać, i zastanawiał się, czy te nagłe dreszcze to nie oznaka malarii. Jak może być mu tak zimno i tak gorąco zarazem?

Słońce było kolejnym wrogiem. Kiedy odzyska trochę siły, będzie musiał zawlec się z powrotem między drzewa, inaczej parzące promienie spalą mu skórę. Był już prawie nagi tak jak ci, którzy go ścigali. Miał na sobie tylko łachmany, w których uciekł.

Zasnął.

Obudziły go roje meszek. Mikroskopijne potwory atakowały go bezlitośnie. W

miejskach ukąszenia zostawiały krople krwi, która mogła zwabić piranie, kiedy będzie musiał wrócić do rzeki.

W pełni rozbudzony, zastanawiał się przez chwilę, jak dobrze byłoby po prostu umrzeć. Skończyłyby się głód i ból. Wreszcie miałby spokój. Tak łatwo było się poddać. Nie miał już siły. Codzienna walka o przetrwanie wyniszczyła mu ciało i umysł. Teraz był zmęczony i koszmarnie głodny.

Jęknął głośno i zaczął walczyć z kolejną pokusą snu. Przecież już spał. Jak długo? Minutę? Godzinę? Więcej? Nie miał pojęcia.

Zwierzęta hałaśliwie przygotowywały się do snu, a nocne stworzenia właśnie zaczęły się budzić i gotować na żer. Ochłodziło się. Na tych szerokościach słońce zachodzi błyskawicznie i zostawia kobaltowoczerwone niebo, na którego tle malują się sylwetki palm rosnących wzdłuż brzegów.

Wysoko nad koronami drzew pojawiła się mała chmura oświetlona od środka niczym wenecka latarnia. Wyglądało to naprawdę pięknie. Godziny zmierzchu były jak wspomnienia miłości albo gasnące sny o szczęśliwych chwilach z dzieciństwa.

Zamknął oczy i próbował zatrzymać te kojące obrazy, ale nagle uleciały, zostawiając próżnię, w którą łatwo było się osunąć w tym stanie.

Wbił spojrzenie w tarczę księżycy i zastanawiał się, czy ma dość sił, by przetrwać.

Nie po raz pierwszy śmierć wydawała mu się kuszącą perspektywą.

Marząc o spokoju, Alexander Hawke wpadł w chłodne objęcia czekającego nań Morfeusza.

2

Niespokojne sny Hawke'a nie były przepełnione pięknem, ale obrazami zbliżającej się śmierci i lękiem. Podczas długich miesięcy niewoli stał się nowym człowiekiem. Innym i - kiedy się nad tym zastanawiał w chwilach racjonalnego myślenia - niekoniecznie lepszym. Co dzień przyglądał się prawdziwemu złu. Przez większą część życia nie chciał podać ręki diabłu. Dziś miał wrażenie, jakby wypili ze sobą bruderszaft.

Ogrom potworności, jakich był świadkiem w obozach szkoleniowych dla terrorystów, przerastał wszystko, czego doświadczył dotychczas. Pod koniec pierwszej wojny w Zatoce młody porucznik Sił Powietrznych Królewskiej Marynarki Wojennej Alexander Hawke leciał

z misją wsparcia lotniczego nad Bagdadem. Samolot został strącony przez iracką obronę przeciwlotniczą i w ciągu godziny on i jego strzelec trafili do niewoli. Niemało tam wycierpiał, ale brutalni Irakijczycy wydawali się łagodni jak baranki w porównaniu ze strażnikami, których spotkał w obozach w dżungli.

Zawsze podejrzewał, że ludzie obdarzeni władzą absolutną są zdolni absolutnie do wszystkiego. Doświadczenia ostatnich kilku miesięcy upewniły go, że miał rację. Nie potwierdziły natomiast innej zasady, którą wyznawał: że co człowieka nie zabije, to go wzmocni. Wcale nie czuł się mocniejszy po tym, co widział w dżungli.

Czuł tylko większy chłód.

Chłód i ciężar.

Gwiazdy i drugoplanowe postacie kolejnych odcinków obozowego serialu prześladowały go w snach. A teraz, w malarycznej gorączce widział je także na jawie. Patrzył przed siebie i na polanie dostrzegł jakąś wołającą go postać. Wystarczyło mrugnąć i zniknęła. Cienka linia między koszmarem a rzeczywistością zaczęła się niebezpiecznie zacierać.

Kim naprawdę jestem? Do czego naprawdę jestem zdolny? Sam już nie wiedział.

Bębny ucichły. Może Xucuru poszli dalej. Ominęli go. Uświadomił sobie, że czuje coś nowego i dziwnego. Nadzieję.

Leżąc w trzcinach nad rzeką i brnąc w stronę przytomności, był pewien tylko jednego. Nie podda się. Nie teraz. Jeszcze nie. Musiał chyba przespać całą noc, bo poczuł ślad dawnego wigoru.

Nie, jeszcze nie teraz, powtarzał mu w tle narrator ze snów.

Postanowił się podnieść i wejść w zieloną rzeczywistość dżungli i upału. Słońce stało już wysoko, jego promienie odbijały się od powierzchni rzeki i kolorowej ściany lasu. Potarł szyję tuż pod uchem i poczuł coś lepkiego na rękę. W nocy ugryzł go nietoperz wampir.

Krew, pomyślał. Uśmiechnął się, patrząc na jasnoczerwoną plamę. Pewnie wdały się już wszelkie zakażenia i umiera na sepsę, ale przecież wciąż żyje. Ma jeszcze szansę. Ostatnią szansę ucieczki.

„Pakuj się do Belize”.

Istnieje możliwość, pomyślał, siadając w swojej kryjówce w trzcinach, że ta przekłeta ekspedycja, której przewodził, jeszcze zostanie uznana za sukces. Może się okazać, że on, jedyny ocalały członek wyprawy, która miała szukać Zaginionego Miasta Amazonek, odniesie sukces, o jakim mu się nawet nie śniło.

To, co odkrył, będzie o wiele cenniejsze niż jakieś legendarne miasto ze złota. O ile uda mu się przeżyć, by opowiedzieć, co widział.

Wstał i przeciągnął się. Był wolny. Czekало go zadanie. Tak. Musi przeżyć i ostrzec innych przed tym, co widział. Zło pleniło się pod szczelnym dachem dżungli. Organizacja terrorystów rosła jak rak, jej macki sięgały głęboko w dorzecze Amazonki, niewidzialne, poza wszelką kontrolą. Musiał jakoś przetrwać i opowiedzieć o tym wszystkim.

Nad jego głową wrzasnął wyjec. Od razu wrócił do czegoś, co teraz stanowiło rzeczywistość. Zamarł. Gdzieś w pobliżu krążył samotny jaguar i węszył. Jeśli szybko nie zrobi czegoś choć trochę racjonalnego, zginie. W takich chwilach trzeba odpowiednio ustawić priorytety. W armii uczono go sztuki przetrwania we wrogim środowisku.

Hawke był dobrym uczniem.

Po pierwsze, oddychaj. Po drugie, znajdź sobie jakąś broń. Po trzecie, dotrzyj do osady nad rzeką. Sprowadź pomoc.

Telefon. Tego potrzebował. Ale żeby z niego skorzystać, musiał się dostać do pierwszej w miarę dużej wioski nad rzeką. Ubiegłej nocy patrzył w gwiazdy i próbował określić swoje położenie. Wydawało mu się, że najbliższą osadą będzie Cuiaba, o kilka dni rzeką na wschód. Trudno ją nazwać siedliskiem cywilizacji, lecz na razie powinna wystarczyć.

Potrzebna mu była zastrzona bambusowa dzida. I łódź. Poznał prostą konstrukcję kanoe, obserwując, jak Indianie budowali je w obozach. Najpierw znajdzie i zabije tapira. Te małe stworzenia na krótkich nóżkach, podobne do świń, nie były trudną zdobyczą. Tak, wytropi i zabije tapira dzidą a potem rozciągnie jego skórę na bambusowej ramie i zbuduje małą łódkę.

Powiódł wzrokiem wzdłuż rzeki. Nigdzie ani śladu Xucuru. Tylko spokojny nurt. Blask bijący od rozświetlonej słońcem wody był paralizujący; oczy poczerwieniały mu i zaszyły łzami. Musi zejść ze słońca, wytropić tapira i zbudować łódkę. Poczul zawrót głowy i znów chciał się położyć, ale nie miał na to czasu. Trzeba było się spieszyć.

Myślami wyprzedzał swoje ciało, szykując się do dalszej drogi.

Powtarzał, że będzie bezpieczny, kiedy w swojej łodzi dotrze do Cuiaba. Dadzą mu jakiś lek na gorączkę, obandażują sączącą się ranę, nakarmią czym innym niż robaki i korzonki. Na kolację zje jagnięcinę i wyśpi się w puchowej pościeli. Znów zobaczy przyjazne twarze. Musi zejść z tego palącego słońca albo znów zemdleje i wtedy spieczę się na amen.

Zrobił kilka kroków w głębokim mule i znów stał pod zielonym parasolem. Zebrawszy resztki sił, ruszył przez wysoki gąszcz. Widział, jak rzeka zakręca w oddali. Wypatrywał samotnej dębunki, w której mógł się czaić zwiadowca Xucuru, forpoczta większej grupy pościgowej.

Zaczął planować, jak zwiększyć swoje szanse na ocalenie. Wytropi i zabije tapira, pożywi się jego mięsem, a ze skóry zbuduje łódź. Kiedy zajdzie słońce, wróci do rzeki i ruszy na spotkanie cywilizacji.

Taki przynajmniej miał plan.

*

Do południa był cały zlany potem, co chwila wstrząsały nim dreszcze, ale zdołał zrealizować większość celów. Pożywił się surowym mięsem tapira i zbudował całkiem porządną łódkę, lekką i łatwą do niesienia. Chciał ruszyć w drogę, póki było jeszcze trochę światła, ale czuł się tak wyczerpany, że nie miał siły. Znow ogarnęła go gorączka.

Zielony świat zawirował i Hawke przestraszył się, że upadnie lub straci przytomność. Szybko znalazł miejsce, z którego niezauważony mógł obserwować rzekę. Ułożył się najwygodniej jak mógł w cieniu swojej łodzi. Potrzebował odpoczynku.

Zasypiając, wyobrażał sobie, a może słyszał, narastające dudnienie bębnow w dżungli. Docierała do niego niczym powtarzający się dwusylabowy rytm: wysoko-nisko, wysoko-nisko. Zapadając w niespokojną drzemkę był przekonany, że brzmiało to jak „zabić... zabić... zabić..

*

Obudziły go niepokojące odgłosy od strony rzeki. Otworzył oczy i zobaczył, że słońce wciąż jest wysoko. Nie spał długo. A teraz ktoś się zbliżał. Usiadł prosto, wyczuwając niebezpieczeństwo, i sięgnął po dzidę, ale nie mógł jej znaleźć. Czyżby zostawił ją opartą o pień drzewa, pod którym na chwilę upadł? Pewnie tak. Musi...

To nie był samotny zwiadowca w dłubance.

Rzeką płynęła nowiutka czarna motorówka z zamontowanym na stanowisku rufowym karabinem maszynowym kaliber 50. Podwójne śruby pienily i posuwały łódź do przodu w leniwym spacerowym tempie. Poza sternikiem i strzelcem na rufie na dziobie łodzi stało dwóch innych mężczyzn w drelichach z leśnym kamuflażem. Jeden przesuwał lufę karabinu, drugi stał z tubą i wzywał go po nazwisku:

- Hawke! Hawke! Hawke!

Więc jakimś cudem dowiedzieli się, jak ma na nazwisko.

Nie miał czasu się nad tym zastanawiać, bo z dżungli dochodził jeszcze bardziej przerażający dźwięk: głośnie wycie, jakie słyszał w obozie, ilekroć ktoś próbował uciec. Tak wyły psy bojowe, które strażnicy hodowali do ochrony i uciechy.

Puścili jego tropem te cholerne psy i ludzi w ciemnych kapturach, którzy pojawiali się w środku nocy i stali jak duchy nad jamą, w której mieszkał.

- *Las Medianoches* - szepnął Hawke, a potem zerwał się na równe nogi i rzucił do ucieczki. *Medianoches*. To słowo znaczyło „środek nocy”. Właśnie wtedy pojawiały się te prawdziwe potwory.

Biegł jak szalony. Przekroczył już wszelkie granice wyczerpania, zapuścił się głęboko w nieopisane obszary bólu. Wiedział, że nie da rady uciekać długo. Ujadające psy deptały mu po piętach, a on pędził na oślep przez dżungłę, potykając się, upadając, świadomy, że to wszystko nie ma sensu. Mimo to przedzierał się przez gęstwinę krzewów i splątane pnącza.

Owady czepiały się jego bosych pokrwawionych stóp, cierniste gałęzie raniły mu twarz, barki i ręce. Z szeroko otwartych ust wydobywał się tylko chrapliwy oddech i przekleństwa, ilekroć się potknął.

Wiedział, że nie ma żadnych szans. Uciekał już tylko po to, żeby odwlec to, co nieuniknione. Biegł na oślep i bez nadziei, żeby zyskać kilka chwil cennego życia, nim ostatecznie potknie się i upadnie, nim dopadną go psy i rozszarpią mu ciało do kości.

Nagle wpadł w plamę słońca. Wbiegł na polankę przeciętą niewielkim strumieniem, który wił się w stronę rzeki. Ślizgał się na omszałych kamieniach, gorączkowo próbując zmienić kierunek. W końcu rzucił się znów naprzód, w ciemność pod dachem liści wysoko nad głową.

Wojownicy Xucuru skandowali za jego plecami, coraz bliżej. Ale jeszcze bliżej słyhać było groźne warczenie i ujadanie dzikich psów, które prowadziły ich do ściganego. Błyskawicznie zmniejszali dystans. I nic dziwnego. Oni byli dobrze odżywieni, wypoczęci i silni i znali dżungłę na wylot. Hawke był wyczerpany, głodny i przerażony.

Xucuru łaknęli krwi, jego krwi, trawionej gorączką, z coraz większym trudem krążącej w żyłach. Chcieli mu jej upuścić, a on równie mocno chciał ją zachować.

Wypadł na kolejną plamę słońca. To słońce miało skrzydła, przezroczyste skrzydełka muskające go po twarzy niczym pajęczyna. Kolejna iluzja? Światło ze skrzydłami? Pomyślał, że gorączka odebrała mu rozum i wpadł w spiralę szaleństwa. Sekundę później wrócił do rzeczywistości. Zdał sobie sprawę, że mała polanka roi się od motyli.

Podniósł ręce, złapał w dłonie kilka błyszczących *mariposas* i zbliżył je do oczu. Chciał przyjrzeć się tym delikatnym stworzeniom, bo każde z nich stanowiło cud natury. Spojrzał w górę. Wirujący słup żółtych istotek wznosił się do samego nieba. Wszedł w gęstą chmurę, czując się jak we śnie. W końcu trafił na bagnistą dziurę w ziemi, która wessała mu stopę.

Klnąc, uwolnił nogę z gęstego błota i znów ruszył naprzód przez chmurę delikatnych żółtych owadów. Szukał wyjścia z polany.

Mógł mieć tylko nadzieję, że ten żółty miraż i zdradliwe błotniste podłoże spowolnią psy. I ta nadzieja pchała go naprzód. Przez kilka minut biegł ile sił w nogach. A potem trafił na nieruchomą ścianę i wszelka nadzieja prysła.

To był koniec.

Ściana zielonych bambusów wznosząca się na kilkanaście metrów. Gęstwina była tak wielka, że wydawało się, że to nie kłębowisko pędów, lecz lita skała. Przebiegł wzdłuż niej w obu kierunkach, szukając wzrokiem i rękoma jakiejś szczeliny czy przejścia. Nic z tego. Nie wymodlił żadnej szczeliny, o wspinaczce też nie było mowy. W przypiływie frustracji rzucił się o ścianę bambusów, ale grube pędy nie chciały ustąpić ani o milimetr.

Nie ma ucieczki.

To już koniec, panie Hawke.

Nie żyjesz.

3

Stał przy bambusowych pędach, czekając na to, co nieuchronne. Opuścił ręce i zwiesił głowę w poczuciu klęski. Płuca mu płonęły, nie mógł zapanować nad drżeniem nóg. Nie miał pojęcia, jak długo tak stał, ale wiedział, że lada chwila poczuje między łopatkami uderzenie strzały albo dzidy.

Łup.

Stalowy czubek dzidy zagłębił się w bambusy kilka centymetrów nad jego głową.

To cholerstwo prawie zrobiło mi przedziałek we włosach, pomyślał z mieszaniną przerażenia i podziwu dla umiejętności miotacza. A więc tak się to skończy.

Podniósł głowę, odwrócił i zobaczył lecącą w jego stronę kolejną dzidę, a potem jeszcze jedną. Nie chciał umierać z dzidą w plecach, więc odwrócił się, by patrzeć na rój świszczących kijów. Zaczął oceniać kąty, kalkulować, gdzie która dzida uderzy i jak się przed nimi uchylać.

Ale żadna nie doleciała do niego. Wszystkie wbiły się w ziemię, tworząc wokół niego półokrąg. Nawet w tym stanie zaszczucia i desperacji nie mógł nie docenić precyzji, z jaką ustawiono tę klatkę. Musieli to zrobić z rozmysłem. Ale dlaczego woleli go złapać w pułapkę, niż zabić?

Pojawiły się psy. Widział, jak z pysków cieknie im ślina, kiedy wypadły z gąszczu.

Kolejna dzida. I następne. Po chwili w jego stronę leciała ich chmura. Utworzyły pełny krąg wokół niego. Psy, dotarłszy do tej dziwnej, dopiero co powstałej granicy, zwolniły, a w końcu się zatrzymały. Wyły zawiedzione i oglądały się na swoich panów, którzy wciąż stali w ukryciu.

Hawke widział, że mogły bez trudu prześliznąć się między dzidami i zagryźć go. Ale nie zrobiły tego. Stały nieruchomo jak wykute w kamieniu, z błyszczącymi ślepiami i wywalonymi ozorami. Czekały.

Hawke miał już dość. Rozluźnił uchwyt na pędach bambusa i usunął się na ziemię.

Usłyszał, jak ktoś chrząknął, więc podniósł głowę.

Na polanę wszedł wysoki Indianin, znany mu z obozu. Wajari, okrutny wódz Xucuru, nadzorował budowę, na której pracował Hawke. Miał na sobie *itip*, ceremonialną przepaskę biodrową w pionowe czarne, żółte i czerwone pasy.

W obozie zwykle nosił karabin, ale teraz był uzbrojony tylko w maczetę, którą wetknął za przepaskę. Podeszedł do Hawke'a i wyjął ostrze. Koniec był już blisko. Jeden szybki ruch maczety i skończą się cierpienia. Lecz w oczach Indianina nie było groźnego blasku. Jego miejsce zajęło coś nowego i ogromnie zaskakującego.

Obawa.

Patrząc w te czarne oczy, Hawke zrozumiał, że oto w jego życiu zdarzył się kolejny cud. Najprawdopodobniej jeszcze przez kilka dni zachowa głowę.

- Hawke - odezwał się Wajari, a potem delikatnie chwycił go za rękę i pomógł wstać.

- Wajari - odparł Hawke i ruszył za wodzem w stronę drzew. Poczuł, jak przez ciało przetacza mu się fala ulgi.

- Lord Hawke - powiedział Wajari, najwyraźniej ciesząc się brzmieniem tych słów.

- Jak miło, że wpadliście - mruknął Hawke. - Nie co dzień dostaje się zaproszenie na ścięcie.

Opadł na ziemię u stóp grupy wojowników o twarzach pomalowanych na żółto i czerwono. Wszyscy trzymali uniesione maczety.

Ku jego zdziwieniu maczety nie opadły.

Groźni kanibale nie tylko go nie zabili, ale potraktowali wręcz delikatnie, z dziwną mieszaniną ostrożności i szacunku. Dali mu miskę piwa z manioku, a gdy wypił je łąpczywie, Wajari polecił, by owinięto go kocem i położono na trawiastym wzgórku.

Został tam pod opieką jednego wojownika z dzidą, a pozostali Indianie podeszli do bambusowej ściany. Hawke pomyślał, że z jakiegoś powodu jest teraz więcej wart żywy niż martwy.

Leżał w cieniu i patrzył, jak Indianie tną bambusy maczetami. Przez ponad godzinę wycinali kawałki grubych zielonych pędów, niektóre długości trzech metrów, a niektóre o połowę krótsze. Indianka z grupy pościgowej przyniosła mu tykwę z wodą i miskę chleba z manioku.

Zjadł chleb do ostatniego okruszka, popił i wrócił do obserwowania pracujących Indian. Teraz już wiedział, co robią.

Z bambusowych prętów budowali klatkę. Miała trzy metry długości, metr dwadzieścia szerokości i jakieś półtora metra wysokości. Dno wyłożyli palmowymi liśćmi.

To miał być jego dom na następne dni. Bambusowa klatka niesiona przez czterech wojowników. Xucuru, których teraz uważał za wybawców, bardzo się spieszyli. Ilekroć tragarze zwalniali tempo albo za długo odpoczywali, Wajari popędzał ich dzidą, zagrzewając do szybkiego marszu.

Po trzech dniach dotarli do pełnej wirów rzeki. Hawke podejrzewał, że to Tapajos, której koryto przekopali w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat poszukiwacze złota.

Wajari pozwolił zmęczonym ludziom odpocząć. Kilka godzin później znów podnieśli klatkę i zanieśli nad rzekę. Ustawili ją na katamaranie zrobionym z dwóch długich dłubanek, których dzioby zdobyły czaszki jaguarów. Hawke dostrzegł wiele innych łodzi ukrytych w niewielkiej zatoczce na brzegu. Tajna flotylla była przykryta palmowymi liśćmi.

Wajari dał hasło do odpłynięcia i po chwili długie dzioby dłubanek ślizgały się po wodzie w górę rzeki. Wódz sterował katamaranem, za którym płynęła reszta łodzi.

Dni mijały w niesłabnącym upale. Dla zabicia czasu w tej monotonii Hawke, wykorzystując ostry kawałek bambusa i ciemny sok korzenia chi-chi, wytatuował sobie na kostkach palców obu rąk napis: „Dam radę”. Zawsze powtarzał sobie te słowa w ciężkich chwilach.

Którejś niekończącej się nocy z głębokiego snu wytrącił Hawke’a potężny grzmot. Zygzaki błyskawicy przecięły niebo i pierwsze krople zaszumiały na powierzchni wody. Sekundę później na rzekę i wszystko, co po niej płynęło, spadł ulewny deszcz. Wajari, który sterował flagowym katamaranem, zaczął odbijać w stronę brzegu.

Hawke usiadł i przetarł oczy, nie do końca wierząc w to, co widzi. Poprzez ścianę deszczu dostrzegł długie smugi sztucznych świateł. Takie światło mogło oznaczać tylko jedno: cywilizację! Rzeczywiście, kiedy podpłynęli bliżej, jego oczom ukazała się maleńka wioska. Osadę oświetlały syczące łukowe lampy zamontowane na drewnianych wieżach.

Sztuczne światło było czymś niespotykanym w tej dziczy, więc Hawke zachodził w głowę, jak to możliwe. Dopiero gdy przybili do brzegu, usłyszał mruczenie generatorów.

Rozejrzał się i zobaczył coś, co przypominało wybudowany naprędce port handlowy. W światłach lamp widział wyraźnie rząd budynków pokrytych strzechą i pomost, mniej więcej sześćdziesięciometrowej długości. Na nim stały sterty drewnianych palet, w niektórych miejscach sięgające po dachy nadrzecznych magazynów. Jacyś mężczyźni przewozili palety do magazynów na ręcznych wózkach. Spieszyli się, żeby zabezpieczyć towar przed nadciągającą burzą.

Nikt nie zwrócił uwagi na nowych przybyszów. Uzbrojeni po zęby strażnicy pilnujący załadunku palet nawet na nich nie spojrzeli. Wajari stanął na dziobie, a kiedy jego katamaran uderzył o nabrzeże, pozdrowił gestem dłoni wysokiego mężczyznę w pomiętym mundurze. Ten wypowiedział jakieś niezrozumiałe powitanie i jeden z robotników na nabrzeżu rzucił wodzowi Xucuru linę cumowniczą.

Indianie wyładowali klatkę z Hawkiem, ustawili na skraju nabrzeża, z dala od palet, i natychmiast wrócili do swoich dłubanek. Deszcz nieco zelżał, więc Hawke bez trudu zobaczył, że Wajari wchodzi do budynku pokrytego falistą blachą.

Zrozumiał, że wódz miał go tu dostarczyć, i obawiał się, że jeśli jeniec nie przeżyje, do transakcji nie dojdzie.

Ale Hawke poczuł przyływ optymizmu. Tak dobrze nie czuł się od miesięcy. Podczas podróży rzeką wyspał się głębokim snem człowieka, który nie musi uciekać. Miał pod dostatkiem wody i chleba. Zaczął też program intensywnych ćwiczeń. Podciągał się na prętach klatki i naciskał na jej boki nogami. Zdaje się, że panie z Londynu nazywają to pilates.

Nawet napady gorączki zdarzały mu się rzadziej. Prawdopodobnie malaria ustępowała. Wajari podawał mu codziennie jakąś obrzydliwą mieszankę ziół. Teraz wiedział, że to nie z czystej dobroci. Po prostu próbował utrzymać go w zdrowiu, póki nie dostanie nagrody za jego głowę. W tym małym budynku z falistej blachy właśnie odbierał swoje trzydzieści srebrników.

Hawke wykorzystał rzadką chwilę przytomności i podjął decyzję. Nie wróci do obozu. Kiedy Wajari przyjdzie i otworzy klatkę, zabierze mu maczetę i zabije go jego własną bronią. Zabije każdego, kto wejdzie mu w drogę.

Potem przeszuka mały budynek. Na pewno znajdzie tam jakieś papiery, które potwierdzą jego opowieść o obozach. A jeśli będzie miał naprawdę dużo szczęścia, to za magazynami znajdzie jakiś pojazd. Słyszał dobiegający stamtąd odgłos silnika.

Czekał cierpliwie w bambusowej klatce. Czuł, że ma za mało sił, by uciec daleko, ale jeśli uda mu się ukraść łódź, choćby dłubanę, może zdoła powiosłować i wrócić w górę

rzeki. Może zdoła dotrzeć do jakiejś radiostacji, a nawet do telefonu.

Z kim powinien się skontaktować? Znał pewnego człowieka, który z pewnością był teraz w Miami i z którym przyjaźnił się od lat. Jego przyjaciel współpracował czasami z firmą Grom i Błyskawica z Martyniki, zatrudniająca najlepszych na świecie specjalistów od ratowania zakładników. Miał też dobre kontakty z amerykańską marynarką wojenną, więc może uda mu się załatwić samolot do poszukiwań.

Tak, będzie musiał skontaktować się ze Stokelym Jonesem, najtwardszym człowiekiem, jakiego spotkał. Stoke potrafił przetrwać, a nawet całkiem nieźle sobie radzić w dżunglach Wietnamu i Nowego Jorku. Był też prawdziwym przyjacielem, na którego Hawke zawsze mógł liczyć. Pomagał mu wychodzić cało z nie takich tarapatów. Do diabła, uratowanie go to będzie pestka dla Stokely Jonesa Juniora.

Hawke poczuł, że gdzieś w głębi mózgu zaczynają mu błyskać iskierki nadziei. Po raz pierwszy od miesiący zaczął wierzyć, że może mu się udać przeżyć tę cholerną przygodę. Jeśli wytrzyma jeszcze trochę, Stoke na pewno wymyśli, jak go stąd wydobyć. Musiał tylko dostać się do jakiegoś cholernego telefonu.

„Czy rozmawiam z panią Crusoe? Proszę zaczekać, już proszę panicza Robinsona do telefonu”.

4

Miami

- Więc ile chce pan za to auto? - spytał Stokely'ego sprzedawca z komisji samochodowego, zerkając na srebrnego lincolna town car. Praktycznie nie odrywał chusteczki od różowitkiewej łysiejącej głowy, z której co chwila ocierał lejący się ciurkiem pot. Ubranie przylepiło mu się do skóry, jakby właśnie wyszedł spod prysznic. Według wiadomości radiowych na dworze było trzydzieści jeden stopni Celsjusza. Zdecydowanie za gorąco jak na początek grudnia.

Stokely Jones Junior, który dopiero niedawno przeniósł się na południe Florydy, nic sobie nie robił z upału. Zresztą między innymi ze względu na pogodę przeprowadził się tu z Nowego Jorku. Upał, wilgoć, mnóstwo słońca. Wielki niebieski ocean, w którym można się pluskać. Palmy kołysane podmuchami bryzy, spódniczki dziewczyn kończące się przed

kolanami. Raj całą gębą, bez wątpienia. Uwielbiał to miejsce.

Stał w pełnym słońcu z Johnem Greevym z komisu Auto Toy, by go zmiękczyć. Niech się gość poci. Gdzieś na tym przepastnym parkingu pełnym złomu stał samochód, za który Stoke dałby się pokroić. Nie jedna z tych fikuśnych włoskich bryczek na „f” czy lamborghini, które próbował mu wcisnąć John. To zdecydowanie nie była jego półka. Miał na oku coś znacznie lepszego. I prędzej szcześnie, niż da się wykolegować temu oślizłemu draniowi.

Komisy w południowej Florydzie miały złą sławę. Sztuka polegała na tym, by odpowiednio poprowadzić negocjacje. Stoke nie był pewien, czy wszystkie podsłuchy na poddaszu Greevy’ego zostały właściwie zamontowane. Sprzedawca miał brzydki nawyk traktowania klientów z góry. A teraz w rozliczeniu za nowy wóz chciał wziąć samochód Stoke’a z wypożyczalni.

- Powtórzę jeszcze raz. - Stoke uśmiechnął się do Greevy’ego. John starał się wyglądać jak miejscowy: kremowe spodnie, bez skarpetek, ozdobne mokasyny. Ale zdradzał go akcent. Czysty Brooklyn. Może Park Slope, ale na pewno Brooklyn. - Możemy to zrobić, mój mały kolego?

- Oczywiście, panie Jones, jestem do pańskiej dyspozycji - odparł Greevy.

- Ten lincoln, który tu stoi, nie jest mój, rozumiemy się? Próbuję ci wytłumaczyć, że to wóz z wypożyczalni. Należy do pana Hertza. Nie możesz przyjąć go w rozliczeniu za inny samochód.

- Są sposoby - rzekł sprzedawca i pochylił się, żeby sprawdzić bieżnik na przedniej lewej oponie town cara. - Proszę mi wierzyć, panie Jones, są sposoby i sposobiki, i rozmaite sposoby na sposoby.

- Wierzę ci. Ale powtarzam jeszcze raz, że go nie oddam. Rozumiemy się? Człowieku, nawet jeszcze nie widziałem tego pontiaca. O czym my w ogóle mówimy, Johnny? Gdzie, do cholery, jest ten pontiac?

Sprzedawca przesunął się tak, by znów stanąć w cieniu Stoke’a. Stoke miał blisko dwa metry wzrostu i budowę szafy gdańskiej. Gdziekolwiek się pojawił, rzucał mnóstwo cienia.

Johnny otarł czoło.

- Jezus Maria, Józefie święty. Zobacz pan tego pontiaca, spokojnie. Kiedy tylko mój chłopak skończy ostatnie drobiazgi. Wejdźmy do mojego biura i pogadajmy. Tam jest czym oddychać. Usiądzie pan i wszystko panu opowiem. Ma pan dzieci? Ja mam syna. Johnny’ego juniora. Kawał urwisa. Pokażę panu jego zdjęcie.

Wyciągnął portfel i mignął jakimś zdjęciami w plastikowej harmonijce, przez którą

niewiele było widać. Stoke spojrzął na dzieciaka i powiedział:

- Ładny chłopak.

- Tak. Tyle że nie może się skupić na nauce, bo...

- Johnny, daj spokój. Co tam stoi?

- Gdzie? To czarne ferrari 340 spider? Boski wózek.

- Nie ten.

- Ten turkusowy kabriolet? To nie dla pana. Nie sprzeda pan go potem. Taki kolor spodobałby się tylko Rayowi Charlesowi.

- Skąd wiesz, że go nie chcę?

- To replika.

- Wygląda na prawdziwy.

- Właśnie dlatego nazywa się repliką.

- A niech mnie jasna cholera.

- Co?

- Czy to jest ten wóz? O tam?

Z szopy za plecami sprzedawcy wytoczył się błyszczący ciemny samochód. Johnny obrócił głowę, by popatrzeć, i zagwizdał, jakby pierwszy raz go zobaczył.

Stoke żałował, że nie nosi aparatu na zębach, bo wtedy szczeka nie opadłaby mu aż na mostek. To zła taktyka negocjacyjna; nie można na widok samochodu tak rozdziawiać paszczy.

Johnny wydał z siebie kolejny przeciągły gwizd.

- Tak, to on, mój przyjacielu, w rzeczy samej. Pontiac GTO kabriolet, model z 1965. Nieźle cacko. Ma pan przed sobą kawał mocnej bryki. Wirywa asfalt spod kół, słowo daję.

Stoke zdołał zapanować nad mięśniami twarzy, nim sprzedawca znów odwrócił się w jego stronę. Udało mu się nawet zmarszczyć brwi na widok absolutnie boskiego koloru auta.

- Czarny? - powiedział, osłaniając oczy od słońca. - To jest czerń? W ogłoszeniu była mowa o czarnym.

- Czarny? Do diabła, to nie czarny. To czarna jeżyna, człowieku. Metalik. Absolutnie niepowtarzalny lakier, robią to moi ludzie z Lauderdale. Podoba ci się, *Amigo*?

- Tak. Podoba się. Ile?

Stoke, próbując bez powodzenia zachować spokój - „nonszalancję”, jak powiedziałby jego przyjaciel i pracodawca Alex Hawke - podszedł do samochodu. Johnny dreptał tuż za nim, trzymając się jego cienia.

- Pyta pan, ile? - odezwał się Johnny. - No cóż, musimy o tym pogadać. Bo jak

wycenić takie arcydzieło sztuki motoryzacyjnej?

- Chodziło mi o to, ile ma koni. - Stoke przejechał dłonią po lakierze na masywnej masce.

- Był pan w marines? Wygląda pan jak marine.

- Marynarka. Komando Foki. Trzy akcje z Delta.

Johnny krzątał się przy aucie. Otworzył drzwi od strony kierowcy, odblokował maskę.

- Super. Zawsze wierni, co? Mam dla was, chłopaki, mnóstwo szacunku. No więc co my tu mamy pod maską? Proszę, proszę. Co za cacko. Niech pan spojrzy, nieźle, co? Chromowane wyloty. Wszystko, co tu siedzi w środku, jest w stu procentach legalne. Podwozie Alstona, amortyzatory, sprężyny i tylna belka od Strange'a...

- Odstrecza?

- Spokojnie, proszę pana. Strange to znany producent amortyzatorów. Rozumie pan? Co my tu jeszcze mamy? Skrzynia biegów Powerglide 1.96 z hamulcami i konwerterem TCI4500. Pod maską silnik Indian Adventures 8,2 litra, rozrusznik Moldex, cylindry Rossa, tłoki Olivera, głowice Edebrocka z mimośrodami T&D, specjalnie zaprojektowany metalowy wdech z dwoma wtryskami metanolu, zapłon MSD...

- Wtryski metanolu? - zapytał Stoke, wsuwając się za kierownicę i patrząc przez ramię na tylną kanapę z czerwonej skóry.

- To zabawki rodem z wyścigów, panie Jones. Spokojnie, nikt tu niczego nie wtrysnął.

- Zrobi pół kilometra w osiem sekund?

- Zrobi. Ma certyfikat stowarzyszenia rajdowego NHRA.

- I wszystko jest koszerne?

- Koszerne, kurwa, jak cholera.

- Litości, człowieku.

- Chce pan ten samochód, panie Jones? Czuję, że tak.

- Chcę. Podaj pan cenę.

- W przybliżeniu?

- Tak.

- Chodźmy do mojego biura.

Godzinę później Stokely Jones sunął na południe autostradą I-95. Przejechał przez most łączący centrum Miami z okolicą, w której mieszkał - Brickell Key. Siedział za kierownicą swojego nowiutkiego GTO z 1965 roku, a na twarzy miał uśmiech tak szeroki, że gdyby nie uszy, śmiałyby się dookoła głowy. Po prostu nie mógł uwierzyć, jak bardzo działał na dziewczyny ten kabriolet w kolorze czarnej jeżyny. Wracając do Coconut Grove, nie mógł się opędzić od pełnych podziwu spojrzeń, a lewa ręka i mięśnie twarzy aż go bolały od machania i uśmiechów.

Przy Dixie Creme działała licealna myjnia samochodowa. Kiedy stanął na światłach, wokół samochodu pojawił się wianuszek cheerleaderek. „Dziewczyny, spokojnie”, powiedział do nich, po czym dodał gazu i patrzył, jak odskakują na dźwięk gardłowego warkotu. „Zaraz, zaraz, panienki, tylko ten stary GTO tak was podnieca?” I na tym wcale się nie skończyło.

Teraz, kiedy przejechał przez most na wyspę Brickell, zobaczył, jak spod hotelu Mandarin wyjeżdżają dwie blond laseczki w czerwonym mustangu cabrio. Ślicznotka z mustanga i jej apetyczna przyjaciółka też powiodły wzrokiem za jego pontakiem jak zahipnotyzowane.

Zerknął w lusterko wsteczne niemal zdziwiony, że nie zawróciły i nie pojechały za nim.

Wjechał na podziemny parking przy One Tequesta Point, wieżowcu, w którym mieścił się jego nowy apartament. Mijając Szybkiego Eddiego Falco, starego ochroniarza, jeszcze raz przygazował.

Szybki Eddie siedział w swoim przerobionym wózku golfowym z wygasłym niedopałkiem cygara w zaciśniętych zębach i czytał „Miami Herald”. Czytanie wypełniało większą część pracy. Stoke wiedział, że kiedy koło południa stary dojdzie do działu sportowego na ostatniej stronie, wyciągnie jakąś złachaną książkę i odda się programowi popołudniowej lektury.

Ponieważ obaj lubili powieści sensacyjne, założyli niedawno dwuosobowy klub. Nazwali go „Męskim Towarzystwem Czytelniczym Powieści Johna D. MacDonalda”. Teraz czytali *Ubierz ją na niebiesko*, jedną z ulubionych książek Stoke'a. W przyszłą niedzielę Eddie miał wolne i obaj wybierali się do Bahia Mar w Lauderdale, żeby sprawdzić, czy uda im się odnaleźć keję 14-A, gdzie bohater powieści MacDonalda, Travis McGee, cumował łódź „Busted Flush”, w której mieszkał.

Stoke uświadomił sobie, że mogą tam pojechać GTO.

- Osiem sekund, Eddie - powiedział do ochroniarza, parkując tuż obok miejsca, gdzie

parkował Eddie. Przekręcił kluczyk i wyłączył silnik.

Szybki Eddie wciąż siedział z nosem w gazecie.

- Ed, słyszałeś, co mówiłem? Osiem sekund! Dasz wiarę?

- Nie spiesz się - odpowiedział Eddie, nie podnosząc wzroku i przewracając stronę. - Mam cały dzień.

Nie sposób było się nie roześmiać.

Stoke postawił dach, zamknął auto i rzuciwszy mu ostatnie przeciągłe spojrzenie, ruszył do windy. Wcisnął guzik trzydziestego piątego piętra i oparł się o wykładaną drewnem ścianę, próbując wyobrazić sobie minę Fanchy, kiedy zobaczy jego nowe cacko przed swoim domem przy Key Biscayne.

Była sobota i miał ją zabrać na kolację do nowej knajpy, którą Sly Stallone otworzył przy głównym deptaku South Beach. Na promenadzie Ocean jest dziś parada rolników, więc wszystkie te mięśniaki jeżdżące przed knajpą aż się będą ślinić na widok jego mocnej bryki. Wsunie portierowi dwudziestaka, żeby GTO mógł parkować przed wejściem, gdzie będzie miał na niego oko.

Cudo.

Przez całą drogę do domu gwizdał jakąś starą melodię, od której nie mógł się uwolnić. Chyba śpiewali to Ronnie i Daytonas. Jak leciał ten tekst?

„A wa-waaaa, wa-wa-wa-wa-waaaa...”

Na trzydziestym piątym piętrze wyszedł z windy do zalanego słońcem holu. Przeszedł kawałek korytarzem, wstukał kod na klawiaturze i wszedł do mieszkania. Nie mógł się nie zatrzymać i nie zachwycić po raz kolejny skapaną w promieniach słońca zatoką Biscayne widoczną z okien salonu. Apartament był piękny i należał do niego.

„A wa-waaaa, wa-wa-wa-wa-waaaa..”

Kurczę. Życie jest piękne.

Dwie sypialnie, dwie łazienki, a dookoła taras z widokiem na raj poniżej. Aby kupić ten apartament, sprzedał mały domek i dużą kamienicę w Bayside w Queens, które zostawiła mu świętej pamięci matka. Zostało jeszcze trochę pieniędzy na urządzenie nowego mieszkania. A teraz w garażu na dole stało jeszcze nowiutkie arcydzieło sztuki motoryzacyjnej.

Podszedł do wysokich okien, by popatrzeć na swój wszechświat. Holowniki wyciągały w morze duży frachtowiec. Do portu wpłynął nowy, szerokokadłubowy statek wycieczkowy, pewnie poddany kwarantannie z powodu jakichś dziwnych bakterii. Nieco dalej na wschód zobaczył „Blackhawke’a”.

Ten studziesięciometrowy jacht o czarnym kadłubie należał do jego serdecznego przyjaciela Aleksa Hawke'a. Stał w Miami przez ostatnie dwa miesiące i dopiero co wypłynął ze stoczni remontowej. Montowano na nim jakieś nowe uzbrojenie i wzmacniano silnik, podczas gdy Hawke popłynął do Brazylii czy Argentyny na swoją pseudonaukową ekspedycję. W rzeczywistości wypełniał jakieś bliżej nieokreślone zadania dla rządu. Tym razem dla rządu brytyjskiego. Zwykle zadanie było tajne, podobnie jak rząd, który je zlecał. Tak właśnie działał Hawke.

Na wielkim jachcie pracowano bez wytchnienia. Dzień i noc. Po bardzo niebezpiecznym zejściu w zatoce na Santo Domingo Tom Quick, szef ochrony Hawke'a, zamówił kuloodporne okna na wszystkich trzech pokładach. Ulepszano też uzbrojenie i napęd. Jacht był pływającym centrum dowodzenia, które Hawke wykorzystywał na całym świecie.

Stoke wziął z lodówki puszkę coli light i wrócił do salonu. Na sekretarce błyskało światelko, usiadł więc w głębokim zamszowym fotelu i wcisnął klawisz odtwarzania. To pewnie Sharkey, pomyślał.

- Cześć, to ja - odezwał się znajomy głos.

Wiadomość zostawił Luis Gonzales-Gonzales, Kubańczyk, którego niedawno wciągnął na listę płac w Tactics International. „Jesteś pierwszym pracownikiem nowej firmy, więc się postaraj” - powiedział mu. Pseudonim Luisa, Sharkey (czyli Rekin), wziął się od pewnego niefortunnego wydarzenia. Luis łowił kiedyś ryby z ojcem w okolicach wysp Key i jego lewa ręka dostała się w szczęki potężnego rekina. Został z niej tylko kikut. Wyglądał jak... właśnie jak Rekin, uznał Stoke. Sharkey Luis był nieco zbyt nerwowy jak na gust Stoke'a, ale od dwudziestu lat pływał w okolicach Key West i doskonale się tu poruszał.

Wkrótce po angażu powiedział Stoke'owi, że bardziej niż łowienie ryb interesują go szpiegowskie zabawy. Stoke płacił mu pięćset dolarów miesięcznie plus koszty. Sharkey był przekonany, że już umarł i trafił do nieba. Kupił sobie blezer w kolorze skóry rekina i ciemne okulary à la tajny agent i w tym stroju odbierał telefony w wynajętym biurze w Coconut Grove.

Gonzales-Gonzales był jedynym pracownikiem Tactics International, firmy, która istniała dopiero od miesiąca. Ale już znalazła pierwszego klienta, i to dobrego. Klient ów bowiem pracował w wielkim pięciokątnym budynku w Waszyngtonie, zwanym Pentagonem.

Hawke dał Stoke'owi pieniądze na rozruch firmy i skierował do niego faceta, z którym wcześniej pracował, szpiega z CIA nazwiskiem Harry Brock. Brock, będący teraz wojskowym doradcą Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, spotkał się ze Stokiem i

wynajął Tactics International. Chciał, żeby rozejrzeli się po Karaibach. Pięć tysięcy tygodniowo plus zwrot kosztów na dobry początek. Wystarczało na opłacenie czynszu, pensji, a nawet rachunków za prąd.

Z tego, czego Stoke zdołał się dowiedzieć, wynikało że Harry Brock przygotowuje jakąś prezentację na seminarium dotyczące terroryzmu w Ameryce Łacińskiej. Potrzebował informacji o jednym konkretnym rejonie - w okolicach Kuby i cieśnin wokół Florydy.

Szef Brocka w Waszyngtonie, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów generał Charley Moore, bardzo się niepokoił narastającą falą nastrojów antyamerykańskich w Ameryce Łacińskiej, a szczególnie nowym porozumieniem między Kubą i Wenezuelą. Harry Brock obdzwaniał więc wszystkie swoje źródła, prosząc o jak najwięcej informacji na temat romansu Chaveza z Castro. Wszystko z powodu konferencji, którą Departament Stanu organizował na Key West.

Departament Stanu podejrzewał, że Fidel kupuje broń od Rosjan za wenezuelskie pieniądze Chaveza, a potem wysyła ją do swoich nowych latynoamerykańskich przyjaciół. Tak wyglądała teoria. Ale trzeba było ją potwierdzić i właśnie do tego zadania wynajęto między innymi Stoke'a.

- Jak leci, señor? - odezwał się Sharkey z taśmy. - *Que pasa, hombre?* Posłuchaj, mam coś dla ciebie. To jeszcze poufna informacja, ale trzeba działać szybko, bo za chwilę wszystko się wyda. Musimy tam lecieć z samego rana. Dasz radę? Musisz, jeśli chcesz to zobaczyć, nim zważąją to federalni. Daj znać, bo...

Stoke wcisnął klawisz pamięci i wybrał numer komórki Sharkeya.

- Gdzie musimy lecieć? - zapytał, kiedy Kubańczyk odebrał.

- Dry Tortugas. Kawalek na południe od Key West.

- Powiedz mi po co, Luis.

- Bo los nam sprzyja, szefie.

- Dobra odpowiedź.

- No pewnie. Posłuchaj, zarezerwowałem dla nas samolot z Dinner Key. Nazywa się „Błękitna Gęś”. O siódmej rano. *Mañana*. Nie spóźnij się.

- Kto pilotuje?

- Mick Hocking. Bez obaw, jak mawia Mick. Nie piśnie nikomu ani słowa. Sprawdziłem go przez kumpla z policji w Miami-Dade. Jest w porządku. Pochodzi z Australii czy innej Nowej Zelandii. Dam ci jego numer, będziesz mógł do niego przekreślić na kmóre.

- Co to jest kmóra?

- Mick mówi tak na telefon komórkowy.

- Aha, komórka. Czekaj. Wiesz, co powiedział rekin do klauna?
- Nie.
- Śmiesznie smakujesz.
- Nie wierzę własnym uszom. Opowiadasz inwalidzie taki dowcip?
- Jestem niepoprawny politycznie. A co my tam właściwie będziemy oglądać? Lepiej niech to będzie coś ekstra, *compadre*, bo mam tu na miejscu od cholery papierkowej roboty.
- To naprawdę coś ekstra.
- No dobra. Podjadę po ciebie o wpół do siódmej.
- Masz już samochód?
- Sam zobaczysz.

6

Dorzecze Amazonki

Zabiłbyś za papierosa? Popęłniłbyś morderstwo za jednego macha tłącego się zielska? Czy słodki zapach tytoniu jest w stanie doprowadzić człowieka do szaleństwa? Takie pytania zadawała sobie dzika istota siedząca w bambusowej klatce. Strażnik, który palił w bardzo cywilizowany sposób, roztaczał wokół siebie aurę znudzenia. Opierał się od niechcenia o drewniany kolek i patrzył na rzekę.

W małym portowym kantorku trwała gorąca dyskusja. Głęboki bas Wajariego to wznosił się, to opadał.

Hawke miał taką ochotę na papierosa, że postanowił zagadać do strażnika.

Mundur wysokiego śniadego cerbera był złachmaniony i nieco podobny do brytyjskiego, a biały turban na jego głowie pokryty brązowymi plamami, niewątpliwie zaschniętej krwi. Na pewno Arab, ale chyba z mieszanego małżeństwa. Miał w sobie coś władczego, a jego ciemne oczy zdradzały inteligencję wykraczającą daleko poza tę dziurę.

- Mówisz po angielsku? - zapytał Hawke prawie bez nadziei na reakcję.

- Co takiego? - mruknął mężczyzna.

Mówił po angielsku, urywając głoski, a jego głos zdradzał, że nie przywykł, by odzywały się do niego zwierzęta z klatek.

- Pytałem tylko, czy mówisz trochę po angielsku.

- Więcej niż trochę.

To chyba Afgańczyk, pomyślał Hawke.

- Co jest w tych skrzyniach? - zapytał.

- A kto pyta? - odburknął strażnik takim tonem, jakby więzień był ochłapem zgniłego mięsa, którego nie chcą tknąć nawet tygrysy.

- Wielki szatan, rzecz jasna - odparł Hawke.

Mężczyzna pochylił się i przez chwilę przypatrywał mu się przez pręty klatki.

- Że szatan, to się zgodzę. Ale czy wielki? Nie sądzę. - Postukał lufą w klatkę. - Mów, coś za jeden.

- Piąty najbogatszy człowiek w Anglii, do twoich usług. A teraz, na litość boską, daj mi zapalić.

- Chyba nie jesteś Hawke?

- Nie.

- Lord Alexander Hawke? To musisz być ty.

- W życiu o nim nie słyszałem.

- To ty, na pewno. Spodziewałem się Anglika, a nie dzikusa z Borneo. Jasna cholera, człowieku. Właściwie liczyłem na to, że się tu pojawisz. Powinieneś być wypłynąć już tydzień temu.

- Przepraszam za spóźnienie. Zatrzymano mnie. Dasz papierosa?

- Czemu nie? I tak muszę poczekać, aż skończą papierkową robotę.

- Chodzi o moje papiery?

Strażnik nie odpowiedział. Oparł karabin o słup i usiadł na pomoście, zwieszając nogi nad wodę.

- Uważaj na piranie - ostrzegł go z uśmiechem Hawke.

Strażnik wyjął z kieszeni munduru zmiętą paczkę szmuglowanych papierosów i wysunął jednego.

- Dzięki. - Hawke pochylił się, żeby wziąć papierosa. - Jestem ci dożgonnie wdzięczny. Jak się nazywasz?

- Wellington Hassan.

- Wellington Hassan. Nieźle nazwisko.

- Wystarczy Saladin. To moje drugie imię.

- Niech będzie Saladin. Sal-a'ha-Din. Niewolnik Boga. Jesteś talibem, Saladinie? Z Talibanu?

Hassan się roześmiał.

- Ja? Talibem? W życiu. Aczkolwiek jestem Afgańczykiem. Przelewałem krew po pańskiej stronie, panie Hawke.

- Gdzie się nauczyłeś angielskiego? - spytał Alex i zatrzymał dym w płucach, aż poczuł palenie.

- Od matki. Angielska róża z Devon. Pochodzi z rodziny Wellingtonów. Poznała ojca, kiedy pracowała jako pielęgniarka w Kabulu. W domu zawsze mówiło się po angielsku. Kiedy w Afganistanie zaczęła się wojna, zatrudniono mnie jako tłumacza w brytyjskim regimencie doradzającym Sojuszowi Północnemu. Skończyłem wojskową uczelnię techniczną i miałem trochę doświadczenia z artylerią i materiałami wybuchowymi.

- A co to za regiment, jeśli mogę zapytać?

- Królewska Lekka Piechota z Gloucestershire, Berkshire i Wiltshire.

Hawke skinął głową i pytał dalej:

- Gdzie działaliście?

- Na północy. W pobliżu Mazar-e-Sharif. Pomagaliśmy afgańskiemu rządowi rozwijać demokratyczne instytucje i rozbrajać bojówkarzy.

- Dobra robota.

- Owszem, dopóki nie przydarzył się pewien nieszczęśliwy wypadek.

- Co się stało, Saladinie?

- Dostaliśmy się pod ostrzał w drodze między bazami. Powiedziałem dowódcy, że na drodze nie ma min-pułapek. Sprawdzalem trzy razy. Byłem pewien, że nic tam nie ma. A jednak było. Straciliśmy trzech ludzi.

Hawke zaciągnął się głęboko i poczuł się prawie jak człowiek. Uświadomił sobie, że to jego pierwsza normalna rozmowa od ponad sześciu miesięcy.

- Kiepska sprawa - rzekł. - Przykro mi.

- Co pan tu robi, Hawke?

- Prowadziłem ekspedycję naukową, nim twoi przyjaciele wzięli mnie do niewoli. To twoi pracodawcy? *Las Medianoches*?

- Tak, ale tylko chwilowo. Jestem niezależnym przedsiębiorcą. Od kiedy odszedłem z wojska, nie pracuję dla nikogo. Ostatnio robiłem to i owo dla El Salvador del Mundo.

- Dla zbawcy świata? Ciężkie zadanie takie zbawianie świata. Twój obecny pracodawca chce się tego podjąć?

- Mój pracodawca wierzy, że zbawienie świata zaczyna się w tej dżungli. Tak czy siak, mój życiorys nie ma żadnego znaczenia. Za to pan uchodzi za osobistość. Trafi pan do tego, kto zapłaci najwięcej.

- Naprawdę? A kto licytuje?

- Pewien człowiek nazwiskiem Muhammad Top i Amerykanin, który przedstawia się jako Harry Brock.

- Harry Brock? - Hawke dobrze znał Harry'ego, który był niezłym moczymordą, ale także twardym agentem wywiadu z doświadczeniem w terenie i z osobliwym poczuciem humoru.

- Tak. Przyjechał tu, żeby pana szukać. Top znalazł go i skazał na śmierć za szpiegostwo. Brock mówił, że ma dla pana informacje.

- Więc Harry nie żyje.

- Żyje. To bardzo sprytny człowiek. Przekazał Topowi mnóstwo informacji, prawdopodobnie w większości fałszywych i zesłali go do obozu. Ale jakoś się stamtąd wyrwał. Top wynajął mnie, żebym znalazł Brocka i pozbył się go.

- Więc jesteś zabójcą. Zabijesz Brocka?

- Dostałem lepszą ofertę.

- Jaka?

- Harry płaci mi, żebym miał oko na Muhammada Topa. I szukał pana. A skoro pana znalazłem, to powiem panu, że kawałek dalej w górę rzeki jest zacumowany mały wodnopłot. Możemy go ukraść i polecieć do Madre de Dios. Stamtąd jakoś pana przetransportuję do Manaus, a z Manaus jest mnóstwo lotów do Rio.

- No to lećmy.

- Polecimy, milordzie, ale najpierw załatwię sprawę w tym kantorku.

Saladin wstał, podniósł karabin i wszedł do małego budynku.

Po chwili rozległo się głośnie staccato z automatycznej broni. Światła zgasły, a szyby wyleciały na zewnątrz. Szklane odłamki zasypały nawet bambusową klatkę Hawke'a. Z wnętrza budynku dobiegły głośnie krzyki i przekleństwa. Kolejna seria uciszyła je.

Saladin Hassan stanął w drzwiach z dymiącym karabinem w ręku. Z pochwy przy pasie wyciągnął nóż i zaczął rozcinać klatkę.

- Co to było? - zapytał Hawke.

- Musiałem wyręczyć niszczarkę.

Prairie, Teksas

- Wejdz, jest otwarte.

Daisy nie słyszała, jak radiowóz podjeżdża pod dom. Dopiero teraz zza kuchennego stołu dostrzegła przystojnego chłopaka. Stał na werandzie.

- To Homer, kochanie - powiedziała do męża.

- Widzę - odparł Franklin.

Homer Prudhomme nie kwapił się z wejściem do środka. Daisy domyśliła się, że nie spieszy się, bo ma jakieś złe wieści.

- Wchodź, Homer - odezwał się jej mąż, przełykając makaron i odsuwając krzesło od stołu. - W niczym specjalnym nam nie przeszkodziłeś. Co wieczór jemy kolację.

Homer otworzył siatkowe drzwi i wszedł do kuchni. Zdjął kapelusz i miętosił w palcach zakurzone rondo. Wielkie ciemne oczy miał lekko opuchnięte, ciemne włosy układały mu się w fale, a jeden niesforny loczek nic sobie nie robił z brylantyny.

- Szeryfie - skinął głową w stronę Franklina. - Dobry wieczór, pani Dixon.

- Cześć, Homer - powitała go Daisy. - Coś ci wpadło do oka, skarbie? - Naprawdę chciała być dla tego chłopca matką. Przecież nic w tym złego.

Homer otarł twarz wierzchem dłoni.

- Nie, psze pani. Jechałem z opuszczonymi szybami i jakiś giez wpadł do oka.

Czekali, aż chłopiec powie coś jeszcze, ale milczał. Płakał, to było jasne jak słońce.

- Co cię tu sprowadza o tak późnej porze, synu? - zagaił Franklin.

- Złe wieści, szeryfie.

Homer był wysoki i przystojny. Wszystkie dziewczyny z salonu piękności Bon Jour podkochiwały się w nim. Ba, wszystkie kobiety w Prairie miały do niego słabość. Zgodnie powtarzały, że wygląda jak Elvis tuż przed tym, nim stał się sławny, kiedy wciąż mieszkał z Gladys i Vemonem.

Był trochę starszy niż Elvis wówczas, ale miał takie same piękne oczy i długie jedwabiste rzęsy. Dziewczyny nazywały go *La Hilacha* - Chudzielec. Dorastał w dzielnicy latynoskiej, w mieszanej rodzinie.

- Mów, chłopcze - ponaglił go szeryf.

Widać było, że Homer zastanawia się, jak oznajmić tę okropną wieść, z którą przyszedł.

- Wyduś to z siebie - zachęcała go Daisy.

Oczy chłopaka wyglądały tak, jakby za chwilę znów miały napełnić się łzami. Ale

wziął głęboki oddech i się opanował.

- Oni... przykro mi, szeryfie, ale chyba porwali kolejną.

- Kolejną dziewczynkę.

Homer otarł oczy rękawem.

- Tak. Chyba niezbyt dobrze mi idzie przekazywanie złych wiadomości. Właśnie wracam od państwa Beers. Powiedziałem im, co się stało z ich córką. Są w szoku.

Daisy miała ochotę wstać i przytulić tego chłopca. Powstrzymała się jednak, świadoma, jak bardzo zakłopotany poczułby się takim gestem w obecności Franklina.

To był dla niego ciężki rok. Ubiegłej zimy w wybuchu w fabryce nawozów zginął jego ojciec, Amerykanin. Rodzina, pozbawiona znacznej części dochodów, musiała wyprowadzić się z domu. Zamieszkali w jakimś wynajętym mieszkaniu nad sklepem żelaznym. Matka Homera, Rosalinda, która przyjechała do Teksasu z Juarez, nigdy dobrze się nie prowadziła. Brała narkotyki i nie stroniła od alkoholu. Jakies pół roku temu wyjechała z Prairie z jakimś żonatym facetem z Wichita, sprzedawcą maszyn rolniczych John Deere. Ludzie mówili, że uciekła z kochankiem do Juarez. Zostawiła syna i jego młodszą siostrę. Homer opiekował się siostrą, uczył się w liceum i pracował na niepełny etat w magistracie. W czerwcu, gdy ukończył szkołę, zgłosił się do Franklina, szukając posady w policji.

Szeryf zgodził się go zatrudnić. Zawsze udzielał pomocy, kiedy ktoś w mieście jej potrzebował.

Daisy zobaczyła, że wokół oczu męża znów pojawiły się te cholerne zmarszczki od zmartwień. Ostatnio nigdy nie znikwały na długo. Kłopotów nie brakowało: nielegalni imigranci, narkotyki, strzelaniny na granicy. A teraz porwania czterech dziewczynek.

Tkwili po kolana w szambie i zapadali się coraz bardziej.

Homer spojrział w okno, może czegoś wypatrując, a może próbując się opanować.

- Jest jeszcze dzieckiem, wie pan, szeryfie? Nie ma nawet czternastu lat.

- Wiem, Homer. - Franklin westchnął, wstał od stołu i sięgnął po buty.

Daisy czuła, co się święci, gdy tylko zobaczyła Homera w drzwiach. Wszyscy w promieniu wielu kilometrów od dawna żyli w strachu. W końcu wysłali konną grupę pościgową w poszukiwaniu zaginionych dziewczynek. Teraz zniknęła kolejna. Porywano je z domów w środku nocy. Zabierano z pobocza w biały dzień, kiedy czekały na szkolny autobus albo wychodziły ze sklepu. Odurzano je, wiązano i przerzucano przez granicę Bóg wie gdzie i po co.

Daisy i jej przyjaciółka June Weaver podejrzewały, że po to, by stały się białymi niewolnicami. Porywano te małe aniołki i wywożono do pracy w burdelach na południe od

granicy.

- Kto tym razem? - zapytał Franklin zmęczonym głosem. Wstał i otrzepał z dżinsów okruchy chleba.

- Najmłodsza córka Joego Beersa - odpowiedział Homer. - Ma na imię Charlotte. Nie wróciła do domu z kina.

- Dziś wieczorem?

- Tak, szefie.

- Która jest teraz?

- Parę minut po dziewiątej. Charlotte poszła na seans o szóstej ze swoimi kuzynkami. Miała się z nimi potem spotkać w sklepie kosmetycznym Rexall. Nie siedziały razem. Poszła na balkon ze swoim chłopakiem.

- Hollisem.

- Tak, właśnie z nim.

- Kiedy dostałeś wezwanie?

- Jakąś godzinę temu. Wyjechałem aż za Yancey, żeby rozejrzeć się za naszą grupą pościgową. June zawiadomiła mnie przez radio. Chłopak już został zatrzymany. Powiedział, że Charlotte poszła do łazienki w trakcie seansu i już nie wróciła.

- A torebka?

- Co?

- Zabrała ze sobą torebkę?

- Nie wiem, szeryfie.

- Homer?

- Tak?

- Mówisz o grupie pościgowej, jakby to byli jacyś amatorzy linczu. Wcale nie. Sami się zgłosili. I każdego z tych chłopaków zaprzysiągłem na swojego zastępcę.

- Tak jest, szeryfie.

- Wiem, że chciałeś z nimi jechać. Ruszajmy więc. Pojadę z tobą radiowozem. - Zwrócił się do żony. - Posłuchaj mnie uważnie, Daisy. Zamknij wszystkie drzwi. Od frontu i od tyłu. Strzelbę połóż na stole. Jest naładowana. Wrócę za kilka godzin.

Siatkowe drzwi trzasnęły za nim. Daisy patrzyła, jak Franklin idzie przez podwórze. Podobało jej się to, jak chodził.

Autostrada 59 była pusta. Wzgórza, skały i roślinność wyglądały w świetle księżycy jak zrobione ze srebra. Franklin Dixon nie był w nastroju do rozmowy, więc Homer zostawił go własnym myślom. Dobrze widział, co się kroi. W ciągu ostatniego roku wzdłuż granicy

Teksasu z Meksykiem porwano prawie trzydzieści osób. A z samego Prairie cztery dziewczynki. Zniknęły, rozpląły się w powietrzu. Teraz, z Charlotte, będzie ich zapewne pięć.

- Piękny księżyc - odezwał się Franklin po kilku kilometrach.

- Zgadza się, szeryfie.

- Ani śladu po naszych z grupy pościgowej?

- Ani widu, ani słyhu. Sam nie wiem, co się z nimi mogło stać. Powinni wrócić już wczoraj wieczorem.

- Wiem, Homer.

- Przepraszam.

- Widzę jakieś światła, tam z przodu.

- To chyba ciężarówka, szeryfie.

- Jak szybko jedzie?

- Ze sto dwadzieścia, może sto trzydzieści.

- Pedał gazu masz po prawej, synu. Wciśnij go.

- Ile fabryka dała?

- W końcu po coś te konie mamy pod maską.

- Tak jest.

Prudhomme włączył syrenę i koguta i docisnął pedał gazu. Stary ford nie wyglądał imponująco, ale to, co miał pod maską, Homer szybko spiął do galopu.

- Zwolnij, synu, bo mu zrobisz garaż z tyłka.

- Szybko hamuje, pewnie ma wspomagane hamulce. Mam go zatrzymać?

- Zdaje się, że złamał prawo.

Homer włączył szperacze, a wielka ciężarówka zwolniła, zjeżdżając z sykiem hamulców na pobocze.

- Szeryfie, co u was? - zaskrzeczało radio.

- Witaj, June. Jesteśmy na pięćdziesiątce i jedziemy na posterunek. Funkcjonariusz Prudhomme powiedział mi o Charlotte. Wiesz... zaczekaj sekundę, June... Homer, co, do diaska, wyprawia ten koleś?

- Nie mam bladego pojęcia, szeryfie. Pewnie chce się zabawić.

Kierowca wielkiej ciężarówki najwyraźniej zmienił zdanie. Ruszył poboczem, nagle wjechał z rykiem silnika z powrotem na asfalt i zaczął przyspieszać. Prudhomme przez chwilę siedział mu na ogonie, ale potem odległość między nimi zaczęła się zwiększać. Nie do wiary, co ten kolos miał pod maską.

- Szeryfie, on pruje ponad sto sześćdziesiąt. A mnie się wydawało, że ciężarówki mają fabryczne ograniczenie prędkości.

- Podjedź do niego z boku i zepchnij go delikatnie na właściwy pas.

- Tak jest - odparł Homer i wcisnął pedał gazu. Ale kiedy już miał się zrównać z ciężarówką, silnik kolosa wydał z siebie wysoki jęk i ciężarówka wyrwała do przodu. W kilka sekund jej wielkie czerwone światła pozycyjne zmniejszyły się do wielkości łebków szpilki.

- A niech mnie... - mruknął Franklin, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Słyszałeś ten jęk? Turbosprężarki.

- Musiał pruć jakieś dwieście dwadzieścia na godzinę, szeryfie.

- Ciężarówki nie jeżdżą tak szybko.

- No, sam nie wiem. Ta jechała. Zgubiliśmy ją.

- Jeszcze nikogo nie zgubiłem i nie zamierzam. Nie odpuszczaj mu, chłopcze. Postaraj się.

- Tak jest.

- June, jesteś na linii?

- Cały czas, szeryfie.

- Posłuchaj, mamy tu jakiegoś rajdowca w podrasowanej ciężarówce, który pędzi na południe pięćdziesiątkądziewiątką. Jasnoczerwono-białoniebieski ciągnik Peterbilta z wielkim kijem baseballowym wymalowanym na drzwiach. Z jakiejś firmy o nazwie Yankee Slugger. W życiu o nich nie słyszałem. Jedzie szybko w stronę granicy. Niech Wyatt wyśle kilka samochodów na skrzyżowanie, dobrze? Zablokujcie drogę i... zaraz, co on znowu robi?

- Zatrzymał się tam na górze - odparł Prudhomme.

- June, odezwę się później. Musimy się przyjrzeć tej ciężarówce.

- Nigdzie się nie wybieram. Mam powiedzieć Wyattowi, żeby wysłał tam radiowozy?

- Nie, June, dziękuję. Damy sobie radę.

Jak się później okazało, nie dali rady. Nikt nie dał.

8

Dry Tortugas

- Gdzie ta susza na Dry Tortugas? - rzucił w przestrzeń Luis „Sharkey” Gonzales-

Gonzales.

Sharkey wyglądał jak prawdziwy obywatel Republiki Morskiej - był opalony na mahoń, a na szyi miał złoty łańcuch z dwudziestoczerokaratowego złota, na którym dyndał groźnie wyglądający ząb rekina. Włożył spłowiałą rybacką koszulkę ze skaczącymi marlinami, stare spodenki khaki, a na gołe stopy niepowtarzalne mokasyny z białego zamszu.

Siedział przy oknie z policzkiem przyciśniętym do szyby i spoglądał w dół na niebieskozielone morze rozciągające się jakieś trzysta metrów poniżej. Pilot skręcił w lewo i przygotowywał się do lądowania w pobliżu potężnych umocnień zwanych Fortem Jefferson.

Stokely nie odpowiedział na pytanie o suszę na Tortugas. Za bardzo był zajęty wypatrywaniem wraku „Isaaca Allertona”. Wraki to jest to. Widział kości na białym piasku pod turkusową wodą, sterczące tak, że nie sposób było ich przegapić. „Allerton” musiał gdzieś tam leżeć. W 1856 roku dostał boczny podmuch idący od Saddlebunch Keys. Zerwały się cumy, w pobliżu Mielizny Praczki statek stracił ster i zatonął na niespełna dziesięciu metrach w Kanale Jastrzębia.

Mick Hocking, młody australijski pilot, powiedział, że szczątki „Allertona” morze wyrzuca na brzeg. Lecieli dokładnie nad miejscem, gdzie Mel Fisher odkrył hiszpański galeon „Atocha” ze złotem wartym około miliarda dolarów. Na płyciźnie stały zacumowane łodzie badaczy, mniej więcej piętnastometrowe, jak je oceniał z góry. Łodzie łowców skarbów można było rozpoznać po zwijarkach lin zamontowanych na rufie.

Jeśli ktoś mógł poświęcić kilka lat na poszukiwania, to między Markizami a Dry Tortugas znajdował zwykle jakieś pamiątki historyczne i szmaragdy. Szmaragdy trafiały się najczęściej. Stoke zawsze miał chrapkę na ukryte skarby, podobnie jak jego szef Alex Hawke. Złapał tego bakcyła, kiedy pracowali razem pierwszy raz. Pływali po Morzu Karaibskim, szukając zaginionego skarbu pirata Blackhawke’a.

Hawke powiedział wtedy Stoke’owi, że dopiero niedawno zawodowi poszukiwacze wraków przekonali się, iż wielkich hiszpańskich galeonów wyładowanych po burty złotem i srebrem nie ma co szukać na głębinie. Najczęściej leżą na płyciźnie, tak jak tutaj.

Galeony wracające do Hiszpanii zwykle przepływały przez południowy Atlantyk w sezonie huraganów, wyjaśnił Hawke, czyli między czerwcem a październikiem. A jeśli spojrzeć na jakąkolwiek mapę szlaków handlowych i na trasy tych huraganów, jasne się staje, że galeony musiało spychać na rafę koralową otaczającą Florydę. Oczywiście część zatonąła na pełnym morzu. Ale wiele z nich wiatr zwiewał na płyciznę i dopiero tu tonęły, roztrzaskując się o rafy. W rezultacie cały ładunek lądował na dnie morza.

Stoke usłyszał lekki trzask w słuchawkach.

- Ponce de Leon nazwał te wyspy Las Tortugas, bo wyglądały na horyzoncie jak żółwie skorupy - wyjaśnił Mick. - Przydomek „dry” pojawił się później, kiedy de Leon przekonał się na własnej skórze, że nie ma tu pitnej wody. I nadal nie ma, lepiej więc zabrać ze sobą butelkę czegoś mokrego.

- Ponce de Leon? Jesteś pewien? - zapytał Stokely.

- Tak.

- No popatrz. Jestem tu już tyle czasu i nie miałem o tym pojęcia.

Od razu polubił młodego pilota. Mick pilotował awionetki w australijskim Queensland, ale przez większość życia latał na Alasce, obwoząc poszukiwaczy ropy. Na wieść, że zaginiony samolot, do którego lecieli, może mieć związek z bezpieczeństwem narodowym, odparł (co Stoke zapamiętał słowo w słowo): „Trzeba być nieźle pokręconym albo nic nie mieć pod czachą, żeby latać tu nocą poniżej radaru”.

I zadał dokładnie tyle pytań, ile trzeba, kiedy Stoke pierwszy raz zadzwonił do niego na „kmóre”.

- Dużo latasz w okolicach Keys, Mick? - spytał go teraz Stokely.

- Kiedyś sporo. Jakiś czas temu latałem z bazy marynarki na Key West. Pewnie kilka lat po twoim roczniku. I trochę latałem w operacjach specjalnych z chłopakami z Fok. Było kurewsko gorąco, nawet jak na takiego pustynnego wygę jak ja. Te Foki to nieźli twardziele, panie Jones. Byłem pod wrażeniem.

Mick miał zmarszczki mimiczne od częstego śmiechu i tak jak koleś z filmów o Krokodylu Dundee zawsze mówił wesołym tonem. Pogodny człowiek.

- Zerknij w dół, Stoke. - Usłyszał w słuchawkach jego głos. - To chyba łajba twojego kumpla.

Kilka chwil później Stoke zobaczył starą łódź rybacką zacumowaną przy rozpadającym się magazynie węgla na wyspie. Piętnastometrowa łódka pomalowana na niebiesko na początku ubiegłego wieku unosiła się na falach przywiązana do pachołka na starym nabrzeżu. Na dziobie stał chudy siwowłosy mężczyzna, który wymachiwał do nadlatującego samolotu wymiętym słomkowym kapeluszem.

Przerdzewiały czarny pomost stał w turkusowej wodzie po zachodniej stronie fortu. To tu właśnie wszystkie parowce uzupełniały zapasy węgla i stąd płynęły już przez cieśniny na Kubę i dalej na południe. Tutaj miał ostatni przystanek okręt wojenny „Maine”, nim zatonął w niewyjaśnionych okolicznościach w wodach zatoki Hawany.

Jedni sądzili, że „Maine” zatopiła hiszpańska torpeda, inni zaś - że kubańscy terroryści. Tak czy inaczej, z powodu tego ataku Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę

Hiszpanii i przepędziły ją z Kuby na dobre. Można by sądzić, że Fidel ma dług wdzięczności wobec Wuja Sama. Błąd. Tak się złożyło, że Stoke znał Fidela osobiście. Nigdy o tym nie wspominał, ale kiedyś otrzymał kubański Medal Honoru z rąk samego Castro. Tak, wciąż miał ten medal gdzieś w szufladzie. Ale to już zupełnie inna historia.

Stara niebieska łódź musiała należeć do faceta, z którym Sharkey się tu umówił. Fort Jefferson leżał na uboczu. Nie przyjeżdżał tu nikt poza wielbicielami starych fortec na wyspach opuszczonych po wojnie secesyjnej.

Stoke zapomniał już, jak potężna jest to budowla. Jak grube ma mury i jak ciężkie działa wyzierały zza tych murów. Dziś służyły tylko za piękne tło na pocztówkach dla turystów, którzy wypuścili się tu z Key West, wypiwszy za dużo cuba libre w alkoholowym imperium Sloppy Joe. Może nadejdzie taki dzień, kiedy Stany będą potrzebowały fortecy w tym rejonie, zastanawiał się Stoke, który tak jak Harry Brock uważał, że w tej części Karaibów sytuacja szybko dojrzeje do konfliktu zbrojnego. Właśnie dlatego tu węszyć, myślał. Latynosi dmuchają nam w kaszę.

Miał nadzieję, że Sharkey wyniucał coś naprawdę ważnego. Nie zamierzał tracić czasu na wałęsanie się tu bez celu.

Odwrócił się na siedzeniu i uśmiechnął do swojego jedyne go pracownika. W głębi duszy czuł, że Luis rzeczywiście mógł coś znaleźć. Zresztą ostatnio coraz lepiej mu się z nim pracowało. Owszem, Sharkey był trochę za nerwowy, ale z tego Kubańczyka będą jeszcze ludzie.

- Jak to jest - spytał - że ten facet, z którym się spotykamy w forcie, nazywa się tak samo jak ty?

- Nie nazywa się Sharkey.

- Chodzi mi o Luisa. O twoje prawdziwe imię.

- *Si*, Luis! To mój ojciec. Luis Gonzales-Gonzales senior.

- Czemu mi od razu nie powiedziałeś? Teraz nie będę się martwił, że losy świata powierzam w ręce tego staruszka. Twój tata wciąż łowi?

- Tak jak wielu starych na Keys. Przyjechali tu z Miami, gdy w osiemdziesiątym pierwszym wygoniono stamtąd większość nielegalnych imigrantów. Wtedy były tu tanie domy i mnóstwo ryb.

- Stary człowiek i morze, co? To jego łódź?

- Nazywa się „El Bandito”. Staruszek będzie na niej pływał aż do śmierci. Ale niezły z niego szpieg, ma oczy szeroko otwarte. Kiedy powiedziałeś mi, że oficjalnie biorę udział w akcji, poprosiłem go, żeby się rozglądał. Na Markizach ma taką małą szepkę, z której wszystko

dokładnie widzi. Całymi dniami, a często i nocami pływa. Inni rybacy też chętnie pomagają. Wszyscy trzymają się razem i nienawidzą Fidela tak samo jak ja.

- Pasy zapięte? Wykapiemy się - powiedział Mick. Krążył chwilę nad miejscem do lądowania, sprawdzając, czy na wodzie nie ma jakichś śmieci, a potem opuścił nos „Błękitnej Gęsi”. W końcowej fazie zredukował prędkość do około dziesięciu węzłów, zadarł nos i wypuścił klapy. Samolotem zaczęło rzucać.

- Zawsze tak rzuca? - zapytał Sharkey.

- Spokojnie, to tylko turbulencje - odparł Stoke.

- Człowieku, a jak się rozbijemy? Zobacz, ile tu rekinów.

Stoke spojrzał w dół i powiedział:

- A wydawało mi się, że jesteś rybakiem. Teraz mamy odpływ, rekiny nie żerują o tej porze. Żerują tylko podczas przyływu. Nawet dziecko o tym wie.

- Tak? Powiedz to temu, który odgryzł mi rękę.

9

Londyn

- Proszę założyć, że żyje się tylko raz, panie Hawke - powiedział Alex do Ambrose'a Congreve'a. Oparł się wygodnie w fotelu i uśmiechnął do starego druha. Spodobało mu się to zdanie i nie mógł się doczekać, kiedy podzieli się nim ze swoim przyjacielem, cenionym detektywem. Congreve uwielbiał cytować Conan Doyle'a i przez chwilę Hawke sądził, że popisie się jakimś błyskotliwym bon motem. Spytał jednak tylko:

- Muhammad Top naprawdę tak do ciebie powiedział?

Hawke dokończył swój rum.

- Byłem w stresie. Mogłem to trochę ubarwić.

Congreve włożył fajkę w kącik ust cherubinka i popatrzył sceptycznie na przyjaciela.

- Mówię prawdę - rzekł Hawke.

- Przypuszczam, że tortury mogą być stresujące - przyznał Congreve.

- Ale boli tylko wtedy, kiedy się krzyczy - odparł Hawke z ironicznym uśmiechem.

- Au! - Congreve wykrzywił twarz w grymasie, który nie do końca był kpiący.

Hawke złożył ręce za głową pokrytą czarnymi kędziorami i rozparł się wygodniej w

skórzanym klubowym fotelu.

Congreve pomyślał, że Alex jest w świetnej formie, jak na to, co przeszedł w ostatnich miesiącach. Jak większość ludzi, uznał go już za zmarłego. Do Londynu docierały wieści, które okryły żałobą część City. Mówiło się, że amazońska ekspedycja lorda Hawke'a zakończyła się katastrofą. Jego jol „Pura Vida” została zaatakowana przez Indian i zatona.

Dwa miesiące temu samolot transportowy Królewskiej Marynarki Wojennej przywiózł cudem ocalałego Hawke'a do ojczyzny. Gdy maszyna lądowała w bazie Lakenheath, lało jak z cebra, więc wszyscy oczekujący zebrali się przy otwartych drzwiach hangaru. Patrzyli, jak wojskowi sanitariusze wyprowadzają z samolotu wózek z noszami, na których leżał Hawke, i pchają go przez mokry beton. W hangarze czekała karetka.

Śmiertelnie blady Hawke próbował trzymać fason, salutując na powitanie kumplom z marynarki. Ale ten gest nie mógł ukryć koszmarnego stanu, w jakim się znajdował. Można było odnieść wrażenie, że C, czyli sir David Trulove, nowy szef wywiadu SIS, oraz kilku innych ludzi z SIS i z rządu, przyszła tu oddać ostatni pokłon zwłokom.

Congreve był przerażony stopniem wyniszczenia Hawke'a. Po krótkiej chwili na osobności z C, który pochylał się nad noszami, by zamienić kilka słów z Hawkiem, Alex został odwieziony do szpitala Lister w Chelsea. Stwierdzono u niego ostre niedożywienie, malarię, infekcję po ukąszeniu węża i Bóg wie co jeszcze. Spędził w szpitalu dwa miesiące, a że zdrowiał w imponującym tempie, wypisano go trzy dni temu.

*

Alex Hawke i były nadinspektor Scotland Yardu Ambrose Congreve umówili się w klubie Black, który mieścił się w lepszej części St. James Street i stanowił bastion dla majątnych dżentelmenów. Przyjaciele spotkali się o pierwszej w barze, by wychylić szklaneczkę lub dwie. Najpierw uczcili wyjście Hawke'a ze szpitala, a potem prawie zaręczyny Congreve'a z piękną i bardzo bogatą lady Dianą Mars.

Wiadomość o zamiarach Ambrose'a kompletnie zaskoczyła Hawke'a. Congreve żonkosiem? Tak jak wszyscy inni wróżył mu wieczne kawalerstwo.

- Jesteś „prawie zaręczony”? - powtórzył, nie bardzo wiedząc, co to znaczy.

- Hm. Tak naprawdę nie oświadczyłem się. Ale istnieje między nami nie porozumienia.

- Więc za nie porozumienia! - rzekł Hawke, unosząc szklaneczkę dżinu z tonikiem.

Każdy, kto widział, jak Congreve zachowuje się w obecności Diany, od razu mógł rozpoznać, co się kroi. Porażenie? To za mało powiedziane.

Miłość? Zbytne uproszczenie. Congreve miał obsesję na punkcie Diany Mars.

Widziano ich razem w Londynie i w okolicy tyle razy i w takiej bliskości, że wiele osób sądziło, iż są już małżeństwem albo przynajmniej parą od dziesięcioleci.

Ambrose zabrał niedawno Dianę na wyspę Skye na tygodniową wycieczkę. Udało im się także zwiedzić starą destylarnię whisky, gdzie uznany kryminolog Congreve zbierał materiały do książki, którą właśnie pisał.

Były nadinspektor Scotland Yardu nie zamierzał ujawniać w niej tajników policyjnej kuchni i najciekawszych spraw, nad jakimi pracował. Miała to być cienka broszurka pod tytułem *Wytrawna książka kucharska inspektora Congreve'a*. Congreve wierzył, że jego tomik stanie się niezbędnikiem dla każdego dżentelmena i na półce będzie się doskonale prezentował obok pierwszych wydań H. R. Haggarda czy sir Arthura Conan Doyle'a.

W końcu opuścili bar i udali się do przepastnej klubowej palarni. Opadłszy w obite skórą fotele, przyjaciele zaczęli rozmawiać o poważnych sprawach, takich jak miłość. Przez zachlapane deszczem szyby wpadało do wnętrza szare światło. Typowe londyńskie popołudnie pod koniec listopada.

Congreve promieniał, jak to zakochany mężczyzna. Jego towarzysz cieszył się po prostu, że żyje.

- Gratulacje, Ambrose. Naprawdę się cieszę z waszego szczęścia. - Hawke podniósł szklaneczkę z rumem.

- Na zdrowie - odparł Congreve i stuknął swoją szklaneczką o jego.

- O jednym nie wolno ci nigdy zapomnieć. Może ci już o tym mówiłem, ale nie zawadzi przypomnieć. Fantastyczne małżeństwa rodzą się w niebie. Podobnie jak gromy i błyskawice.

- I za to wypiję - rzekł Ambrose z uśmiechem. - Powiedz mi, proszę, chyba nie jestem zanadto natrętny? W końcu znamy się z Dianą dopiero niecałe dwa lata.

- Ależ skąd. Najwyższy czas, żebyś się ustatkował. A Diana będzie dla ciebie doskonałą żoną. Będziecie bardzo szczęśliwi. Zastanawiam się, przyjacielu, jak ty to widzisz?

- Cóż, szaleję za nią...

- Nie, chodzi mi o małżeństwo. Jak je sobie wyobrażasz?

- Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym tak dokładnie. To będzie dobre małżeństwo. Silne.

- Trafne określenie: „silne”.

- Tak. Wyobrażam sobie, że nasz związek będzie małą silną barką, na której przepłyniemy przez życie. No wiesz, te wszystkie fale, które nami rzucają, i tak dalej.

- Jak na policjanta, ująłeś to bardzo poetycko. Ustaliliście już datę ślubu?

- Na Boga, nie! Przecież mówiłem ci, że nawet się jeszcze nie oświadczyłem. Chociaż wydaje mi się, że pewnego dnia się na to zdobędę.

- No cóż...

Nagle przy ich stoliku pojawił się śmiertelnie poważny lokaj w surducie i spodniach w pasy, przerywając Hawke'owi myśl. Pochylił się do Aleksa w sposób, który Ambrose określiłby jako konspiracyjny.

- Przepraszam, że przeszkadzam waszej lordowskiej mości - szepnął - ale pewien dżentelmen chciałby zamienić z panem słowo.

- Czeka na dole?

- Nie, sir. Chciałby, żeby pan do niego oddzwonił.

- Kto to taki?

- Prosił, żebym przekazał panu to.

Hawke wziął ze srebrnej tacy małą kopertę i wyjął z niej sztywny kremowy kartonik. Zerknął na niego, a potem skinął głową w stronę Congreve'a i wstał. Wyraz twarzy zmienił mu się w jednej chwili, jakby ktoś go zaczarował. Oczywiście, jeszcze przed sekundą promieniejące ciepłem i humorem, nagle stały się lodowato błękitne.

- Przepraszam, ale muszę cię opuścić. I może to trochę potrwać. Zadzwoń do ciebie jutro rano. Coś mi wypadło i...

- Nie przejmuj się, stary. Poradzę sobie. Miłego popołudnia.

Hawke zwrócił się do lokaja.

- Chciałbym skorzystać z prywatnej kabiny - powiedział i ruszył w głąb zadymionego pomieszczenia.

Congreve dostrzegł coś kątem oka, a kiedy odwrócił się, stwierdził, że Hawke upuścił na perski dywan kartkę, którą przyniósł lokaj.

Patrzył przez chwilę na zalane deszczem okno, śledząc wzrokiem drogę jednej kropli. Potem wstał, dokończył swoją whisky i spojrzał na leżącą na dywanie kartkę. Znali się z Alekssem od wieków i prawie nie mieli przed sobą tajemnic. Pochylił się i podniósł kartonik. Zawahał się chwilę, dając czas sumieniu, żeby jakoś uzasadniło ten gest, a w końcu spojrzał na wiadomość.

Na karteczce zapisano zielonym atramentem tylko jedną literę - C.

Kryptonim C nadawano od 1909 roku każdemu szefowi brytyjskiej służby wywiadu SIS, czasami zwanego MI-6. Ambrose wiedział, że kryptonim ów pochodził od inicjału założyciela tej służby, sir Mansfielda Cumminga, który zwykł wypisywać na zielono wielkie C na każdym parafowanym przez siebie dokumencie. Wiedział też, jakie konsekwencje ma

wezwanie od C.

Westchnął głośno i usiadł w najbliższym fotelu. Zdaje się, że nadszedł czas, by znów przywdziać płaszcz i dobyć szpady. Marzenia o małżeństwie i spokojnym życiu rodzinnym musi odłożyć na później.

A może na zawsze, bo Hawke bez wątpienia wkrótce wybierze się w kolejną podróż do jądra ciemności.

- Zaczyna się - powiedział do siebie były inspektor Scotland Yardu i na tę myśl po twarzy przemknął mu cień uśmiechu.

10

Zachodni Teksas

Wielka czerwono-biało-niebieska ciężarówka stała na poboczu na szczycie wzniesienia. Po prostu stała. Na drzwiach po obu stronach i z tyłu namalowano wielki czerwony kij baseballowy, a wokół niego napis z niebieskich liter: „Yankee Slugger”. Homer Prudhomme zwolnił, zbliżając się do osiemnastokołowego kolosa. Franklin zerknął na chłopaka. Wciąż miał mleko pod nosem, ale jak na nowicjusza radził sobie coraz lepiej.

- No, mamy go - powiedział szeryf. - Stań tu za nim, synu, i nie wyłączaj świateł. Drugi raz chyba ci nie ucieknie. To pewnie jakiś świr z poczuciem humoru. Ale mimo wszystko pilnuj się. Ci kowboje szos potrafią czasami przeszarżować.

- Tak jest, szeryfie.

- No dobra, ruszaj.

- Szeryfie? - odezwała się June przez radio. Homer otworzył drzwi, ale jedną ręką wciąż ścisnął kierownicę.

- Zaczekaj chwilę, June... Homer, idź zamienić słowo z tym dżentelmenem. Wyjaśnij mu, że w hrabstwie Mesa nie przekraczamy prędkości. Jeśli tylko ktoś jedzie ponad sto sześćdziesiąt, zyskuje darmowy nocleg i śniadanie. Spisz gościa i zabieramy go.

Prudhomme wysiadł z radiowozu i zniknął w tumanie kurzu, jaki wciąż unosił się wokół ciężarówki. Szedł z ręką na prawym biodrze. Franklin nie mógł się nie uśmiechnąć. Może nie jest jeszcze policjantem z prawdziwego zdarzenia, ale chodzi jak rasowy gliniarz.

- Mów, June. Przepraszam, że tyle czekałaś.

- Być może mamy coś nowego w sprawie Charlotte, szeryfie. Jej chłopak mówi, że kogoś sobie przypomniał. Przy bufecie w kinie stał jakiś facet. Hollisowi wydawało się, że dziwnie patrzył na Charlotte. Jeszcze przed seansem.

- Hollis dobrze mu się przyjrzał?

- Temu niezidentyfikowanemu?

Franklin zerknął za okno na białą-niebieską równinę porośniętą krzewami mesquite.

- Tak, June, temu niezidentyfikowanemu. Chyba tak się teraz mówi w tych wszystkich kryminalnych gniotach w telewizji. Hollis dobrze się przyjrzał temu niezidentyfikowanemu osobnikowi?

- Twierdzi, że tak.

- Biały?

- Tylko bez uprzedzeń.

- June!

- Nie, szeryfie, Latynos.

- No dobrze, kochana June, zaraz tam będę. Najprawdopodobniej przywieziemy gościa na noc, więc rozłóż mu łóżko i zapal światło w naszym pensjonacie.

Franklin usiadł wygodnie i rozprostował długie nogi. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio jeździłem konno, pomyślał, przecierając oczy. Znalazł się na dziwnym etapie życia. Cały czas czuł się zmęczony. Miał kiepski nastrój, kiedy budził się rano. Dawniej tak nie było; zawsze wstawał z uśmiechem na ustach. I co ma z tym począć? „Może te twoje policyjne geny nie znoszą aż takiego łamania prawa” - powiedziała mu Daisy, kiedy pewnego wieczora nie mógł zasnąć.

Wszystko przez granicę. Dziadek opowiedział mu przed laty o właścicielu rancza, którego zastrzelono za to, że przeniósł płot o dwa metry. „Prawa to takie płoty”, powiedział dziadek.

„Granica to tylko prawo zapisane na piasku”.

Homer wrócił po minucie. Był sam i kręcił głową z niedowierzaniem. Pochylił się do okna od strony kierowcy.

- Nie uwierzy pan, szeryfie - rzekł. - W kabinie nikogo nie ma.

- Co powiedziałeś?

- W tej cholerniej kabinie nie ma żywej duszy.

- Homer...

- Szeryfie, przysięgam, że nie kłamię. Nikogutko.

- Uciekł?

- Najwyraźniej. Drzwi zamknięte, światła włączone, skrzynia biegów na luzie. Pusto.
- Popatrzmy razem.

Dixon otworzył drzwi butem i wysiadł. Przeciągnął się, utkwivszy spojrzenie w odległych wzgórzach na południu. Z komina małej wiejskiej chaty unosił się dym. To dom Bena Nevisa.

Stąd dwa dni temu wyprawił grupę pościgową. Tuzin zdesperowanych młodziaków z miasta, którzy chcieli odnaleźć swoje siostry i dziewczyny. Mieli pojechać do Nuevo Laredo i spróbować się czegoś dowiedzieć o zaginionych dziewczynkach. Zamierzali wrócić wczoraj wieczorem, ale na razie słuch po nich zaginął. To było co najmniej niepokojące.

Osiemnastokołowy kolos syczał i dymił. Dixon wspiął się na podest od strony pasażera i próbował zajrzeć przez przednią szybę. Była przyciemniona i nieprzejrzysta, jakby od środka miała zamontowane lustro. Wyciągnął latarkę i przytknął ją bezpośrednio do szyby, ale niczego nie zobaczył. Wetknął głowę do środka przez okno od strony kierowcy i dostrzegł po drugiej stronie zachmurzoną twarz Homera.

- A niech mnie szlag - mruknął Dixon.
- Mówiłem przecież, szeryfie.
- Zaglądałeś do części sypialnej? Może ogląda jakiegoś pornosa i nie chce, żeby mu przeszkadzać.

- Tak, szeryfie, sprawdzałem.
- I nie wyszedł przez żadne z drzwi.
- Nie widzieliśmy go przecież.

Dixon zdjął kapelusz i przeczesał palcami ciemne włosy.

- Kiedy podjechaliśmy, wokół był tuman kurzu.
- Mógł wtedy uciec.

Franklin polecił Homerowi zajrzeć do schowka oraz spisać numery rejestracyjne i numery nadwozia z tabliczki przykręconej na drzwiach.

- No cóż. Musiał uciec - powiedział i zeskoczył na ziemię. - Rozejrzę się trochę.

Obszedł ciężarówkę, pochylając się kilka razy, żeby zajrzeć pod podwozie i między osie. Wreszcie pokręcił głową i poszedł kilkaset metrów w stronę pustyni, gdzie wznosiła się kilkumetrowa górką, z której lepiej widać było równinę. Zerwał się wiatr. Miotał po asfalcie wyschłe gałązki i niósł różne dźwięki, ale nie słychać było tupotu nóg szalonego kierowcy uciekającego przez pustynię.

Za to słychać było konie.

Franklin spojrział w dal, mrużąc oczy, i daleko na równinie zobaczył wznoszącą się

chmurę pyłu.

Czyżby grupa pościgowa?

Szybko wspiał się na szczyt pagórka.

Niecały kilometr dalej jeźdźcy pędzili jeden przy drugim przez równinę. Do rancza Bena mieli już tylko kawałek. No cóż. Chłopcy spóźnili się o jeden dzień, ale wygląda na to, że wrócili bezpiecznie. Kiedy ich wysłał, nie był tego wcale taki pewien. Na południu było naprawdę niebezpiecznie. Wiedział jednak, że musi coś zrobić dla tych dziewczynek.

Pojechałby z nimi, gdyby nie bał się o miasto.

Wzdłuż tej części granicy rozgorzała już regularna wojna. Nielegalni imigranci i narkotyki. W Nuevo Laredo rozpętało się prawdziwe piekło. Mnóstwo ludzi z obu stron zginęło w strzelaninach. W ciągu ostatniego półrocza zastrzelono dwóch pograniczników, zginęła też dwójka turystów, którzy zagubili się, przekroczywszy graniczny most w Laredo. Fatalna sprawa. Słyszał, że przysłano nawet kogoś z Waszyngtonu, żeby przyjrzał się tej sprawie. Najwyższy czas.

Podobno policja z Laredo znalazła pod mostem zestaw min-pułapek, takich jak te, od których w Iraku giną marines. Al-Kaida na granicy? Słyszał już bardziej niesamowite opowieści.

Granica z Meksykiem była dziurawa. I nikt nie miał pojęcia, jak ją załatać. Ranczerzy i członkowie patroli obywatelskich chcieli wzniesć wzdłuż granicy mur długi na ponad trzy tysiące kilometrów. Pieniądze płynęły szerokim strumieniem, ludzie chcieli stawiać mury na swoich działkach. Cóż, granica to granica. Wie to każdy głupek. A ci z Waszyngtonu udają, że nic nie widzą. Nie chcą nikogo denerwować. Najlepiej oddać Teksas Meksykanom bez jednego strzału. Chyba właśnie to czekało jego stan.

Ale nie jego miasto. Przynajmniej dopóki on będzie miał coś do powiedzenia.

Nie wiedział, czy za tymi porwaniami stoją meksykańskie gangi narkotykowe, czy tamtejsi Federales. Nie wiedział nawet, czy dziewczyny trafiły do burdeli w Nuevo Laredo. Ale nie zawadziło tam zacząć poszukiwania. To było miasto największego bezprawia po obu stronach tej granicy.

Coś wystraszyło konie. A może któryś z jeźdźców zobaczył go na górcie. Tak czy inaczej, zmienili kierunek i teraz pędzili prosto na niego.

Nie mógł pojąć, czemu jadą tak ściśnięci. Wyteżał wzrok, żeby coś zobaczyć, ale w srebrnej poświacie księżyca wyglądali jak zbity czarna masa wzniesająca za sobą jeden wielki tuman kurzu.

- Szeryfie? Słyszę konie.

Tak bardzo skupił się na tym dziwnym spektaklu, że nie zauważył, jak Homer podszedł do niego.

- Nie uwierzysz, synu - powiedział i odwrócił się z powrotem w stronę koni. Homer spojrzał w tamtą stronę i na twarz wypłynął mu szeroki uśmiech.

- Grupa pościgowa!

- Nie wydaje ci się, że wyglądają dziwnie?

- Co pan ma na myśli, szeryfie?

- Sam nie wiem. Jadą tak jakoś w kupie.

- Widzę. Ale coś jeszcze jest nie tak.

- Coś tu nie pasuje, prawda?

- A, już wiem. Nie mają kapeluszy, szeryfie.

- Tak, to chyba to. Nie mają kapeluszy. Wiedziałem, że coś tu nie gra.

Grupa pościgowa zbliżyła się do nich na mniej niż kilometr.

- Szeryfie, wie pan... coś jeszcze mi tu nie pasuje. Jakoś nienaturalnie siedzą na tych koniach....

Homer zbiegł z górki, a jego słowa uleciały z wiatrem, podobnie jak kapelusz. Pędził co sił w nogach pod takim kątem, żeby jak najszybciej zbliżyć się do nadjeżdżającej grupy. Dwanaście koni przegalopowało tuż przed jego nosem. Odwrócił głowę i z rozdziawionymi ustami patrzył, jak bieżą dalej.

Mózg Franklina rozszyfrował wszystko szybciej niż oczy. Już wiedział, dlaczego grupa pościgowa wyglądała tak dziwnie. Patrzył za nimi długo, nie mogąc sobie darować, że wysłał tych chłopaków na południe.

Wszyscy jeźdźcy byli martwi.

W jaki sposób utrzymywali się w siodłach? Musiano przywiązać im ręce, a buty związać ciasno pod końskim brzuchem.

Homer miał rację: żaden z nich nie miał kapelusza.

Bo żaden z nich nie miał głowy.

Homer powoli wracał na górkę z wzrokiem wbitym w ziemię. Kiedy dotarł na szczyt, przystanął i spojrzał na Franklina. Nie mógł powstrzymać łez. Spływały mu po policzkach. Trudno go było winić. Chodził do liceum w Prairie z połową tych dzieciaków. Z większością grał w piłkę. Do diaska, znał tych chłopaków i...

- Słodki Jezu, szeryfie.

- Weź się w garść, synu. Chodź ze mną. Zrobimy dla nich, co możemy. Nie chcę, żeby ktokolwiek oglądał ich w tym stanie.

- To straszne, szeryfie.

- Owszem.

Nie mogli się ruszyć. Stali i patrzyli, jak jeźdźcy bez głów znikają. Dwanaście koni przebiegło, stukając podkowami, przez asfalt, i bezgłowi chłopcy znaleźli się w żółtej smudze świateł ciężarówki.

Szeryf i Homer rzucili się biegiem do radiowozu.

Wielka ciężarówka znów ryknęła i szarpnęła naczepę, a po chwili jak gdyby nigdy nie ruszyła autostradą. Franklin ocenił, że kiedy zniką za wzgórzem, musiała mieć na liczniku ponad dwieście.

Gdy ich miją, szeryf nie widział nikogo za kierownicą. Kabina była pusta.

11

Dry Tortugas

Wodnopłat wyhamował i plusnął o powierzchnię przejrzystego błękitu. Srebrzyste pływaki po obu stronach wyrzucały spienioną wodę. Grumman G-21 był pomalowany na niezwykle odcień błękitu, ani turkusowy, ani żaden inny, jaki Stoke kiedykolwiek widział.

Mick Hocking ochrzcił swoją maszynę „Błękitna Gęś”.

Kiedy podchodzili do lądowania, Stoke miał okazję przyjrzeć się Fortowi Jefferson. Niewiele się tu zmieniło w ciągu czterdziestu lat. Potężna ośmiokątna forteca z cegieł zajmowała większość małej wysepki położonej pośrodku pustkowia.

Fort wzniesiono, by strzegł południowego wejścia do Zatoki Meksykańskiej. Ale tuż po zakończeniu budowy okazało się, że do niczego się nie przyda, bo ktoś wynalazł pocisk artyleryjski, który był w stanie przebić dwumetrowy mur. Armia porzuciła fort, a potem zamieniła go w więzienie. Stoke wiedział, że ciężką odsiadkę przeżył tu doktor Mudd¹, ten, który leczył Johna Wilkesa Booth². Żołnierze Unii znaleźli jego dom, zadając wszystkim w mieście to samo pytanie:

- Nazywacie się Mudd?

Około dwudziestu minut zajęło im przycumowanie samolotu przy nabrzeżu fortu,

¹ Doktor Samuel Mudd - lekarz, który brał udział w spisku na życie prezydenta Lincolna

² John Wilkes Booth - aktor, zabójca prezydenta Lincolna (przyp. tłum.).

przerzucenie sprzętu na łódź starego rybaka i wyruszenie w morze. Stoke stał na mostku z Sharkeyem i Luisem seniorem, który dzierzył koło sterowe. Mostek nie przypominał nowoczesnych kabin współczesnych kutrów tuńczykowych, gdzie wszystko grało i migąło. Spora drewniana sterówka mieściła koło sterowe i drabinkę schodzącą do kokpitu.

Luis senior stał na szeroko rozstawionych nogach. Jego żylaste stopy i cienkie brązowe łydki wyglądały jak korzenie wrośnięte w pokład. Senior był starszą i chudszą wersją syna. Rzadko się odzywał, a jeśli już, to po hiszpańsku. W tylnej kieszeni spodni miał buteleczkę wódki. Pociągał z niej od czasu do czasu, bardziej dla orzeźwienia niż odurzenia. Ot, prosty rybak, który ma swoje nawyki. Stoke'owi od razu się spodobał.

- Niezbyt rozmowny, co? - zagadnął Stoke Luisa juniora.

- Mówi tylko wtedy, kiedy ma coś do powiedzenia.

Luis junior zerknął na mapę, rzucił parę słów do ojca i po chwili łódź ostro skręciła na bakburtę, biorąc kurs na zachód z prędkością około dziesięciu węzłów.

Stoke znał hiszpański na tyle, by zrozumieć, że dwie noce wcześniej gdzieś w pobliżu zatonął samolot. Najwyraźniej przeleciał Luisowi seniorowi tuż nad głową, bo kiedy stary opowiadał o tym, zrobił przerażoną minę i udawał, że pochyla się ze strachu. Samolot nie był oświetlony, leciał zupełnie po ciemku.

Stoke'owi pachniało to przemytem narkotyków, ale nie powiedział tego staremu.

Tak czy inaczej, wyglądało na to, że stary widział, jak samolot uderza w wodę. Zatonął, nim zdołał do niego dopłynąć. Nikt nie przeżył. Stoke zapytał, co to za samolot.

- DC-3 - odparł Luis senior bez wahania. Najwyraźniej znał ten typ samolotów, co nie dziwiło, skoro tu mieszkał. Ani chybi linie lotnicze Air Apteka, kursujące z kilogramami kokainy i belami marihuany, pomyślał Stoke, ale nie odzywał się. Nie chciał urazić starego.

Zobaczył pod pokładem sprzęt do nurkowania. Sharkey powiedział mu, że samolot leży zbyt głęboko, by można było zanurkować bez butli. Stoke nie miał nic przeciwko nurkowaniu z butlą. Dzień był pogodny - na niebie ani jednej chmurki, a biały piasek na dnie pięknie odbijał światło.

Wielu pilotów narkotykowych kończyło na dnie oceanu. Więcej, niż można by sądzić. Stare samoloty, zwykle skręcane na sznurek DC-3, pilotowane przez ujaranych asów opylania rolniczego. Stoke'owi niespecjalnie uśmiechało się nurkowanie po to, by zobaczyć samolot pełen rozmokniętej kokainy i dwóch pływających w środku Kolumbijczyków. Skinął na Sharka i poszli na rufę.

- To był DC-3 - powiedział. - Pewnie jakiś tragarz narkotyków. Nie jesteśmy z DEA, to nie nasza działka, stary. Mam nadzieję, że nie ściągnąłeś mnie tu z powodu jakichś

gównianych prochów, bo...

Sharkey wyglądał na urażonego.

- Nie zrobiłbym tego - zapewnił.

- Daj spokój, stary. To DC-3! Wiesz, o co mi chodzi. Możesz mi wyjaśnić, po cholere tu przyjechałem.

- Ojciec powiedział mi, że widział, jak samolot idzie na dno tuż obok jednej małej wysepki. Akurat byłem tu z wizytą. Nie widziałem, jak samolot tonie, ale zanurkowałem do niego.

- No i co z tego?

- Przecież zadzwoniłem do ciebie, prawda?

- Nie interesują mnie przemytnicy narkotyków.

- Tu nie chodzi o narkotyki. Nie wiem, co to jest, ale na pewno nie narkotyki.

- Jesteś pewien?

- Musisz mi zaufać, Stoke. Przecież gramy w jednej drużynie. Bierzmy się do butli.

Pokażę ci, gdzie zatonął.

- Koło tych mangrowców?

- Tak. - Sharkey skinął głową.

Luis senior zredukował gaz i stara łódź zwolniła, by w końcu zatrzymać się w wodzie głębokiej na jakieś osiemnaście metrów.

- *Muchas gracias, señor.* - Stoke uśmiechnął się do kapitana. Stary spojrzał na niego od steru i odwzajemnił uśmiech. Był naprawdę sympatyczny. Ludzie, którzy całe życie spędzają na oceanie, mają w sobie coś, czego nie sposób znaleźć na lądzie. Może spokój.

Dopłynęli w pobliżu małej wysepki, na której rosły tylko gęste mangrowce i morskie winorośla. Kawalek ziemi wystający z morza, nie dłuższy niż dwieście metrów i nie szerszy niż piętnaście. Szmaragdowozielone fale uderzały o biały piasek. W korzeniach mangrowców w zatoczce uwięzły różne śmieci. Wyglądały na świeże. Stoke'owi wydało się, że kątem oka dostrzegł jakiś ruch w mangrowcach, ale gdy się odwrócił, niczego nie zobaczył.

Pewnie czapla albo rybołów wybrał się na polowanie. A może jakieś stadko ptaków buszuje w zaroślach. Kiedy obejrzy samolot, przyjrzy się tym śmieciom. Trzeba sprawdzić, co wypłynęło.

- Czas siodłać konie, *amigo* - powiedział do Sharkeya.

Kubańczyk podał mu butlę, a potem podniósł drugą.

- A ty dokąd? - zapytał Stoke swojego jednorękiego pracownika.

- Pod wodę - odparł Sharkey. - Chyba nie myślisz, że cię puszcze tam samego. Samolot leży w bardzo niebezpiecznym miejscu, na skraju szelfu. Jeśli wejdiesz do środka i przesuniesz go choćby o pół metra, możesz pożegnać się z emeryturą.

- Jak chcesz. A o moją emeryturę się nie martw. Sam na nią odłożyłem, sam będę wydawał.

*

Stoke poczuł chłód wody przez dwie warstwy pianki. Zaczął schodzić w dół. Prawie sześć kilo ołowiu na pasie i zbiornik z powietrzem pomagały mu sunąć coraz głębiej w wianuszku bąbelków. Świat dookoła stał się mroczny. Widoczność nie była jednak najgorsza; wystarczająca, by zobaczyć to, co chciał zobaczyć. Poniżej linii termicznej, na około dwunastu metrach, zrobiło się chłodniej i znacznie ciemniej.

Ale tym razem mieli szczęście.

Samolot z jednym odciętym skrzydłem zawisł na wąskiej półce wapienia, na głębokości mniej więcej dziewięciu metrów. Cała półka była zaledwie o kilka metrów szersza od kadłuba. Sto metrów dalej na wschód, a maszyna wpadłaby do głębokiego rowu.

Stoke dał Sharkeyowi sygnał OK, sprawdził zegarek z manometrem i schodził dalej do samolotu. Od czasu do czasu oglądał się na partnera. Jak na człowieka bez ręki radził sobie świetnie.

DC-3 miał wyrwane drzwi po prawej stronie, a cały nos i kokpit mocno zgniecione, co oznaczało, że spadał pod bardzo ostrym kątem. Była to bardzo stara maszyna, bez żadnych oznaczeń. Wyróżniał się tylko osmalony fragment kadłuba w miejscu, gdzie musiał zapalić się silnik.

Stoke oglądał samolot przez kilka sekund, mierząc go wzrokiem od nosa do ogona. Rzeczywiście wyglądał na maszynę przemytników narkotykowych.

Dał znak Sharkeyowi, żeby płynął za nim, i skierował się wprost do nosa. Mała ławica wypłynęła przez okno prawych drzwi kabiny pilotów. Sharkey wskazał na to właśnie okno i skinął głową. Stoke podpłynął bliżej, żeby zajrzeć do środka.

Tuż przed maską zobaczył kołyszącą się głowę pilota i instynktownie szarpnął się do tyłu. Szara twarz była nieźle zmasakrowana, pozbawiona oczu i nosa. Zapewne rybki urządziły tu sobie niezły piknik. Stoke odepchnął głowę pilota i włożył do środka własną, żeby dokładniej się rozejrzeć.

Coś wielkiego odgryzło pilotowi kawał prawego uda i całą prawą rękę. Rekin, może barakuda.

Ale nie to było interesujące.

Najciekawsze było to, że pilot DC-3 miał na sobie wojskowy mundur. Co robił umundurowany oficer w tym nieoznakowanym złomie? Wygląda na to, że Sharkey miał nosa, pomyślał Stoke.

Nie wyglądało to na typowy kurs narkotykowy. Chyba że jakiś zdemoralizowany wojak dorabiał sobie w ten sposób na boku albo... Nie, zdecydowanie nie wyglądało to na przemyt prochów.

Odwrócił się i zobaczył, że Sharkey stoi w wodzie jakieś dwa metry za nim. Pokazał mu podniesiony kciuk, na co Kubańczyk kiwnął głową. Przez maskę widać było, jak śmieją mu się oczy.

Stoke obejrzał pokiereszowanego przez rekiny pilota, ale nie dostrzegł żadnych insygniów poza kawałkiem pagonu na lewym ramieniu. Gdyby mógł go obrócić, może zdołałby się dowiedzieć, skąd pochodził ten truposz. Sięgnął ostrożnie, uważając na rozbite szkło i ostre kawałki metalu, i chwycił zwłoki za prawy bark. Pociągnął je, lecz ani drgnęły. Wciąż były przypięte do fotela.

Będzie musiał wpłynąć do środka i sprawdzić kokpit z drugiej strony.

Odwrócił się, żeby poszukać wejścia, i zobaczył, że pomarańczowe płetwy Sharkeya znikają w pęknięciu kadłuba za miejscem, gdzie kiedyś były prawe drzwi. Powyżej otworu w kadłubie krążył wielki rekin. Może to ten, który wcześniej spożył przystawkę w kokpicie i właśnie wpadł na deser?

Sharkey pewnie zauważył tego sukinsyna i dlatego tak szybko zanurkował do środka. Trudno go za to winić. Jedną rękę już stracił.

Ale Stoke'a poza rekinem niepokoiło coś jeszcze.

W DC-3 zwykle latały dwuosobowe załogi.

Więc gdzie, do cholery, jest drugi pilot?

12

Londyn

Na spotkanie z C w budynku przy Vauxhall Cross 85 Alex Hawke przyjechał o pół godziny za wcześnie. Zostawił swoje coupe Continental R na podziemnym parkingu. Stara Lokomotywa - jak ją nazywał - właśnie skończyła pięćdziesiątkę. Poobijana, ale nie do

zdarcia, myślał, zamykając drzwi i spoglądając czule na cudowną linię pojazdu. Nie oszczędzał go i czuł wręcz erotyczną przyjemność z ostrej jazdy. Uwielbiał nawet ten koszmarny lakier, który określał jako szarość słoniowego oddechu.

Wziął parasol i wybrał się na krótki spacer nad Tamizą. Było diabelnie zimno i wciąż padało, ale musiał jakoś dojść do siebie po tej ilości alkoholu, którą w siebie wlał. Cholerny rum. Lepiej się od niego trzymać z daleka.

Zmierzch był ulubioną porą Hawke'a. Ciągające rzeką statki i lampy wzdłuż mostów nabierały mistycznej poświaty. Ten widok kojarzył mu się z obrazami mistrza akwareli, którego najbardziej podziwiał - J. M. W. Turnera. Chodził po nabrzeżu, zastanawiając się, po co, u licha, C go wezwał. Jakaś piękna ciemnowłosa dziewczyna zapytała go o godzinę. Odpowiedział i uświadomił sobie, że musi wracać.

Upewniwszy się, że Londyn wciąż jest najpiękniejszym miastem, jakie znał, Alex wszedł na szerokie schody i stanął przed głównym wyjściem budynku przy Vauxhall Cross 85. Idąc przez hol do rzędu wind, nie mógł nie podziwiać architektury. Obecna siedziba MI-6 mieściła się w pięciopiętrowym supernowoczesnym gmachu, który w kręgach służb nazywano Babilonem nad Tamizą albo Legolandem. C i kilka tysięcy jego podwładnych urzędowali tu od 1995 roku.

Hawke nie przepadał za współczesną architekturą, ale ten budynek mu się podobał. Szczególnie ciekaw był prywatnego apartamentu C, o którym krążyły legendy.

- Lordzie Hawke! - zawołała piękna młoda kobieta, idąc w jego kierunku przez wypolerowaną granitową posadzkę. Wydawało mu się, że zna tę długonogą piękność o kasztanowych włosach i w doskonale skrojonym zakiecie, ale nie mógł sobie przypomnieć, skąd ani jak się nazywa. Była kobietą z klasą, angielską różą o wyrazistych oczach i nienagannych manierach.

- Witam. Wysłał panią po mnie? - zapytał, wyciągając rękę i ściskając jej dłoń. Była zadziwiająco ciepła i uruchomiła ciąg skojarzeń, który doprowadził go do imienia dziewczyny. Uśmiechnął się do niej i odwrócił na chwilę, by zdjąć przemoczony płaszcz.

- Guinevere, prawda? Ostatnio chyba widziałem panią przy Downing Street 10.

- Gwendolyn. Miło, że pan nie zapomniał. Tak, jestem tą samą panną Guinness. Przyjaciele nazywają mnie Pippa. Byłam jedną z asystentek premiera pod dziesiątką, ale w końcu nadarzyła się okazja pracy tutaj. Pracuję u sir Davida już ponad rok, wasza lordowska mość.

- Mów mi Alex, dobrze, Pippo? Nigdy nie używałem tu tytułu.

Mierzyła go wzrokiem, krótko, nie dłużej niż trzy sekundy.

Podejrzewał, że wpadł jej w oko; w końcu podobał się kobietom.

Alex Hawke był przystojny i do tego niezwykle opanowany. Wprawdzie jego krytycy twierdzili, że to rezultat obojętności, ale przyjaciele woleli mówić o połączeniu dyskretnej elegancji i dobrych manier. Miał około metra dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu, a na głowie burzę niesfornych ciemnych loków. Był proporcjonalnie zbudowany i w dość dobrej formie jak na człowieka, który praktycznie nie ćwiczył, jeśli nie liczyć porannych pompek i przysiadów.

W dżungli bardzo schudł, ale powoli wracał do normalnej wagi. Miał ostro zarysowaną szczękę, jak to u Hawke'ów, mały dołek w brodzie, wąski, arystokratyczny nos i jasnoniebieskie oczy, które ciskały gromy, kiedy się wściekał. Ogólnie sprawiał wrażenie człowieka stanowczego, ale niepozbawionego poczucia humoru.

Skończywszy wstępną ocenę, panna Guinness się uśmiechnęła.

- Niech będzie, Alex. Jak pewnie wiesz, musimy wjechać na czwarte piętro.

- Prawdę mówiąc, nie wiedziałem - odparł, wchodząc za nią do windy. - Pierwszy raz zaprosił mnie do swojego sanktuarium.

- Jeśli będziesz miał czas, później ci je pokażę. W jego biurze trwa teraz jakaś ważna narada, więc wymknął się na chwilę, żeby spotkać się z tobą w Salon Privee.

- Salon Privee? To coś nowego.

- Przepraszam, to taki nasz żart. Czasami, żeby rozładować napięcie, posługujemy się językiem dyplomacji. Tak właśnie nazywa swój prywatny gabinet.

- Wybornie. - Alex pożałował tego słowa, ledwie je wypowiedział. Pippa była młoda, inteligentna i piękna, a on zaczął przemawiać jak jakiś nadęty stary piernik. Zaciekawiała go atrakcyjna panna Guinness. Awans z asystentki premiera na osobistego doradcę C w kwaterze głównej MI-6 robił wrażenie.

Hawke nie znosił rytualnych pogaduszek, ale spytał:

- Pewnie nie narzekasz na brak pracy?

- O nie. Pracujemy tu na okrągło.

- Jesteś jego osobistą asystentką?

Spojrzała na Aleksa i odparła:

- Pomyślałaś tak, bo odbieram gości z dołu? Nie, panują tu egalitarne stosunki. Przyprowadziłam cię, bo akurat ja miałam wolną chwilę.

- Aha.

- Słyszałam, że torturowali cię Indianie nad Amazonką. Przykra sprawa.

- *Les hommes sauvages, n'est-ce pas?*³ - odparł Hawke, uśmiechając się.

Wyszła z windy, stukając obcasami na granitowej posadzce, a Alex ruszył za nią.

- W takim razie, Pippo, co konkretnie robisz? - zapytał, próbując dotrzymać jej kroku.

- Jestem starszym analitykiem w departamencie Ameryki Łacińskiej. To była moja specjalizacja w Cambridge.

- Fascynujące.

*

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Pippa, skręcając w korytarz pokryty grubą wykładziną dywanową. Na wyłożonych ciemnymi panelami ścianach wisiały prześliczne dziewiętnastowieczne obrazy marynistyczne. Hawke zauważył kilka starszych dzieł Thomasa Butterfielda oraz prace Samuela Waltera i Geoffa Hunta. Zastanawiał się, czy nie wygłosić komentarza, jak nędzna w porównaniu z tą kolekcją jest jego własna, ale ugryzł się w język.

Pippa otworzyła podwójne drzwi i uśmiechnęła się zachęcająco.

- Proszę wejść, panie Hawke, szef zaraz się panem zajmie. Rozmawia z żoną.

Posłała mu jeszcze jeden wyćwiczony do perfekcji szeroki uśmiech i zostawiła go, zamykając za sobą drzwi. Dopiero teraz przypomniał sobie, gdzie po raz pierwszy zobaczył Gwendolyn. Razem z Congreve'em szli za nią po kręconych schodach w siedzibie premiera, napawając się widokiem jej wspaniałych nóg. Przypomniał sobie pończochy ze szwami... Tak, niesamowita dziewczyna.

Sir David Trulove, z twarzą ukrytą częściowo w cieniu, siedział za małym półksiężycowym biurkiem. Mosiężna lampa z zielonym kloszem rzucała krąg światła na pokryty czerwoną skórą blat. Trulove, który rozmawiał przez telefon, wskazał gościowi fotel przy kominku. Hawke usiadł i rozejrzał się po prywatnym sanktuarium szefa brytyjskiego wywiadu. W niczym nie przypominało starej nory w Century House, kawałek drogi piechotą od stacji metra Lambeth North, ale i tak nie było to wnętrze porywające.

Mały gabinet C wykończono błyszczącymi panelami z bermudzkiej cedrów. Wszystkie lampy, obrazy i sprzęty utrzymane były w stylu marynistycznym. Nad kominkiem widział nie najlepszy portret admirała lorda Nelsona, z Orderem Nilu nadanym mu przez tureckiego sultana. Nelson, bohater Aleksa od dzieciństwa, najwyraźniej był też ulubioną postacią C. Hawke wiedział, że na tym słynnym obrazie admirał nosi order niewłaściwie - jego służący przyszył odznaczenie do góry nogami - uznał jednak, że nie powinien wspominać szefowi o tej nieścisłości.

³ *Les hommes sauvages, n'est-ce pas* (franc.) - Dzicy ludzie, prawda? (przyp. tłum.).

Na kominku stał oprawiony w szkło model ostatniego okrętu, jakim dowodził sir David HMS - „Yarmouth”. Hawke, jak wszyscy w marynarce wojennej, znał historię tego okrętu: ledwo uciekł z Wysp Falklandzkich podczas wojny u wybrzeży Argentyny.

Dwa dni po tym, jak brytyjski atomowy okręt podwodny „Conqueror” zatopił argentyński krążownik „Generał Belgrano”, „Yarmouth” Sir Davida wraz z innym niszczycielem - „Sheffield” - weszły do walk na Falklandach. Oba niszczyciele miały płynąć przodem jako szpica, z dala od krążowników. Brytyjską flotę zaatakowała eskadra argentyńskich myśliwców Dassault Super Etenard. „Sheffield”, śmiertelnie zraniony pociskiem Exocet, zatonął holowany przez „Yarmouth” admirała Trulove’a.

Do niszczyciela Trulove’a też strzelano, ale „Yarmouth” wystrzelił cel pozorny i pocisk nie trafił. Wszyscy wiedzieli, że sir David do dziś nie może zapomnieć o utracie „Sheffieldsa”, którego w końcu uznano za oficjalną wojenną mogiłę. Uważał, że decyzja argentyńskiej junty o wojnie o Falklandy była po prostu kaprysem i aktem politycznego oportunisty. Prawie tysiąc brytyjskich chłopców odniosło rany lub zginęło, bo tracący popularność reżim uznał, że opłaca mu się wszczęcie konfliktu zbrojnego.

- Lordzie Alexandrze Hawke. - Sir David odłożył słuchawkę i podniósł się zza biurka.
- Cieszę się, że pan przyszedł.

Hawke wstał, by uścisnąć dłoń C.

- Miło mi znów pana widzieć. - Już zapomniał, jak potężnie wygląda Trulove, kiedy się wyprostuje. Był o dobre trzy centymetry wyższy od Aleksa i bardzo szczupły. Miał siwe włosy, krzaczaste brwi nad bystrymi szaroniebieskimi oczyma i jastrzębi nos. Większość szefów MI-6 otrzymywała tytuł szlachecki dopiero po zakończeniu służby, ale Trulove, który po odejściu z marynarki odniósł ogromny sukces w biznesie, został nim uhonorowany na długo, zanim wciągnęły go gry szpiegowskie.

- Wyglądasz raczej mizernie, Alex - powiedział, obrzucając Hawke’a badawczym spojrzeniem. - Kiepska obsługa w dżungli?

- I śmiesznie małe porcje.

- Siadaj, siadaj, proszę. Napijesz się czegoś, przyjacielu? Whisky? Rum?

- Nie, dziękuję, sir. Kiedy pan zadzwonił, właśnie wyczerpywałem mój limit alkoholu na dziś.

- Rozumiem. No cóż. Nasz stary przyjaciel nadinspektor Congreve zastanawia się nad małżeństwem. Najwyższy czas, żeby się ustatkował. Jak się ma droga Diana?

- Pan o tym wie? Ja dowiedziałem się zaledwie cztery godziny temu.

- Dobre wieści szybko się rozchodzą - odparł C, a w jego oczach zaigrały wesołe

ogniki. Rozmawiając z nim, wciąż miało się wrażenie, że telepatycznie sprawdza człowiekowi puls, niczym jakiś czarownik. - Przekaż Ambrose'owi moje najserdeczniejsze gratulacje.

- Oczywiście, sir - rzekł Alex. Zastanawiał się, kto, u licha, podsłuchał jego rozmowę z Ambrose'em przy obiedzie. Przecież w klubie Black nie mogło być żadnych mikrofonów.

- Szalenie mi przykro, że musiałem wam przerwać tę bez wątpienia przyjemną konwersację - powiedział Trulove, już bez śladu wesołości na twarzy.

- W czym mogę pomóc, sir?

C wyjął z kieszeni kamizelki złoty zegarek z dewizką i zerknął na niego.

- Przejdę od razu do rzeczy. Wczoraj po południu znaleźliśmy na parkingu przy Heathrow wynajętą ciężarówkę. Stała przy Terminalu 4, porzucona od co najmniej tygodnia. Pod plandeką leżało pół tony mocnego ładunku wybuchowego z bardzo wyrafinowanym zapalnikiem czasowym. Znaleźliśmy to cacko niecały kwadrans przed zamierzoną detonacją.

- Wielki Boże.

- Na razie nie podaliśmy tego do wiadomości publicznej. I cały czas robimy postępy. W ciężarówce siedziało trzech mężczyzn. Dość dobrze przyjrzelśmy się im przez kamery na terenie lotniska. Złapiemy ich. Mam nadzieję, że wkrótce.

- Al-Kaida? Czy kolejna robota miejscowych?

- Ani jedno, ani drugie. Zdecydowanie nie al-Kaida, choć mogli maczać w tym palce. Zobaczymy. A teraz do rzeczy. O wszystkim dowiedzieliśmy się dzięki niesamowitemu splotowi wydarzeń, w których brał udział facet nazwiskiem Zimmermann. Coś ci mówi to nazwisko?

- Nie, sir.

- Niemiecki dyplomata. Jest byłym ambasadorem Niemiec w Brazylii. A raczej był, bo może już nie żyć.

- Jak to?

- Telefonistka ze Scotland Yardu odebrała wczoraj rano pilny telefon. Przekazała go do mojego biura i tak dotarliśmy do tych sztucznych ogni na Heathrow. Anonimowy donos. Rozmowa trwała na tyle długo, że można było uruchomić namierzanie numeru. Dzwoniono ze szpitala w Tunbridge Wells. Można powiedzieć, że to spowiedź na łożu śmierci.

- Ten człowiek ocalił wielu ludzi.

- Jest śmiertelnie chory. Lekarze uważają, że został otruty. Być może ci, którzy to zrobili, wiedzieli, że Zimmermann zmienił zdanie i zamierza powiedzieć o zamachu na Heathrow. Wciąż leży w szpitalu, przynajmniej tak było jeszcze dwie godziny temu.

Prywatne hospicjum Tunbridge Wells w hrabstwie Kent. Znasz je?

- Owszem. Ale skoro wie pan, gdzie on jest...

- Jestem pewien, że kto jak kto, ale ty zrozumiesz. Nie mogę angażować się w tę sprawę. Amerykanie, którzy właśnie w tej chwili siedzą w moim gabinecie, korzystali z usług tego człowieka w jakiejś operacji w Meksyku. Szykuje się tam nowy kryzys, a ten Niemiec był w to jakoś zaangażowany. Tylko tyle ci mogę powiedzieć. Nie mogę tego tknąć, ale nie oddam sprawy Amerykanom, dopóki ty nie utniesz sobie pogawędki z Zimmermannem. Nadażasz?

- Chyba tak. Tylko...

- Byłbym wdzięczny, gdybyś spotkał się z nim z samego rana.

- Oczywiście.

- Ale jest pewien problem. On nie chce mówić.

- To nieco utrudnia rozmowę.

- Zgadza się. Dlatego właśnie namawiam cię gorąco, żebyś zabrał ze sobą na to spotkanie nadinspektora Ambrose'a Congreve'a. O ile dobrze pamiętam, w Cambridge uczył się języków?

- Zgadza się.

- Tak myślałem. I chyba zna ich mnóstwo.

- Chyba wszystkie. - Hawke się uśmiechnął.

- Świetnie. Więc porozmawia z Zimmermannem po niemiecku. Poza tym możemy zaprząć do pracy mózg nadinspektora.

- Dopilnuję, żeby zabrał go ze sobą.

- Pamiętajcie tylko, żeby przedstawić mu się fikcyjnymi nazwiskami. Nie może być żadnego związku z MI-6. Rozumiemy się?

- Oczywiście, sir.

- Dobrze. W takim razie wracam do moich Amerykanów. Dziękuję, że wpadłeś, Alex.

Jak zwykle jestem ci niezmiernie wdzięczny za pomoc.

- Sir Davidzie?

- Tak?

- Jeszcze jedna sprawa.

Hawke odkasznął i powiedział:

- Czy przeczytał już pan mój ostatni raport? Jest oznaczony jako „Bardzo pilne”.

- Twój raport? Tak, przeczytałem go - odparł C i spojrzał na Aleksa, jakby dziwiąc się, że wciąż siedzi w fotelu, choć powinien już odejść. Wrócił do przeglądania dokumentów, które trzymał na kolanach, najwidoczniej szukając czegoś konkretnego.

Hawke wstał. Trulove podniósł głowę znad papierów i popatrzył mu w oczy.

- Chciałbyś, żebym coś powiedział - odezwał się. - Zostawiałem to na inną okazję, ale skoro pytasz, proszę bardzo. Twierdzisz, że istnieje związek między islamskimi terrorystami a kryminalistami w całej Ameryce Łacińskiej. Obawiam się, że to naciągana teoria.

- Wysnuwam tylko wnioski na podstawie własnych obserwacji.

- Rozumiem. Ale musimy wiedzieć więcej, znacznie więcej, nim będziemy mogli podjąć jakieś działania. Zwłaszcza jeśli chodzi o potencjalne związki islamskich radykałów z kolumbijskim FARC, Świetlistym Szlakiem w Peru czy argentyńskimi Montafleros. Poza tym, Alex, wydaje mi się, że trochę przesadzasz z tymi powiązaniem. To po prostu nieprawdopodobne.

- Widziałem te obozy na własne oczy. Człowiek, o którym wspominam w raporcie, Muhammad Top, to...

- Czy jest spokrewniony z Noordinem Topem? Tym, który prowadzi działalność terrorystyczną w Timorze Wschodnim?

- To jego przyrodni brat. Tak czy inaczej, Top buduje bazę partyzancką o skali, jakiej jeszcze nie widzieliśmy. Z całym szacunkiem, sir, ci cholerni dżihadyści to potężna siła w tamtym regionie. On nawet...

- Dżihadyści?

- Tak. To moje określenie.

- Całkiem niezłe. To się chyba nazywa neologizm. Alex, proszę, nie zrozum mnie źle. Wysłałem cię do dżungli przede wszystkim po to, żeby potwierdzić moje podejrzenia dotyczące obecnej sytuacji politycznej w Brazylii. Wielka Brytania mnóstwo tam zainwestowała i zamierza zainwestować jeszcze więcej w tę nową tamę na wodospadzie Diabło Blanco. Nie zapominaj, że to ja wymyśliłem twoją „naukową ekspedycję” wzdłuż Amazonki. Niezmiernie mi przykro, że...

- Proszę, sir. To niepotrzebne.

- Jest mi niezmiernie przykro, że zakończyła się tak tragicznie. Obawiam się, że nie doceniłem ryzyka, jakie wiązało się z wysłaniem cię w górę tej przeklętej rzeki.

- To mój zawód, sir. Przecież pytał mnie pan, czy chcę się podjąć tego zadania.

- I podjąłeś się, Alex, a ja jestem ci za to ogromnie wdzięczny. Nie zrozum mnie źle. Naprawdę bardzo niepokoi mnie to, co przeczytałem w twoim raporcie. Jestem tym wręcz wstrząśnięty.

- Bo to jest wstrząsające. Być może to jedno z największych niebezpieczeństw, jakie grożą dziś wolnemu światu.

- Alex?

- Tak, sir?

- Czy możesz poświęcić mi jeszcze chwilę? Właśnie przyszło mi coś do głowy.

- Oczywiście, sir - odparł Hawke i usiadł w fotelu.

- Opowiedz mi o swoich relacjach z amerykańską sekretarzem stanu Consuelą de los Reyes.

- Przepraszam, sir, ale sądziłem, że to prywatna sprawa.

- Nie pytam o wasz osobisty związek, Alex. Wiem już, że się nie udał. Chodzi mi o wasze kontakty zawodowe.

- Określiłbym je jako serdeczne.

- *Une entente cordiale.*

- Słucham?

- Tajne porozumienie na rzecz unikania wrogości. Zresztą nieważne. Alex, posłuchaj, kiedy już utniesz sobie pogawędkę z tym niemieckim ambasadorem, chciałbym, żebyś zadzwonił do swojej starej przyjaciółki.

- Do Consueli?

- Tak. Organizuje na Key West na Florydzie tajną konferencję na bardzo wysokim szczeblu. Oczywiście wiesz o tym?

- Tak. Mój kolega z Miami jest w to zaangażowany. Zbiera informacje dla Pentagonu. Zdaje się, że się poznaliście. To Stokely Jones.

- Ten drągal?

Hawke się uśmiechnął.

- Tam, gdzie padnie Stokely Jones, można by wznieść spory kompleks sportowy.

C skinął głową, ale nie odwzajemnił uśmiechu.

- Na konferencji pojawią się wszyscy amerykańscy ambasadorowie z regionu i urzędnicy z departamentu Ameryki Łacińskiej w Departamencie Stanu. Wysłuchają wykładu przedstawiciela CIA, twojego znajomego dyrektora Kelly. - Chodziło o Patricka Brickhouse'a Kelly'ego, z którym Hawke zaprzyjaźnił się podczas pierwszej wojny w Zatoce. - Będą tam również ludzie z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa oraz przedstawiciele policji i straży

granicznej. Amerykanie są w tej sprawie o krok przed nami, Alex. Podobnie jak ty, część z nich nagle uwierzyła, że Ameryka Łacińska to kolejna mekka terrorystów.

- Bo to prawda.

- Tak czy siak, bardzo chciałbym, żeby zaproszono cię na ten spęd organizowany przez panią sekretarz. Sądzę, że twoja obecność tam jest wręcz niezbędna.

Hawke zmusił się do uśmiechu.

Przerażała go sama myśl o skontaktowaniu się z Conch. To będzie poniżające. Przez kilka miesięcy nie odbierała telefonów, a wszystkie listy wracały do niego nieotwarte.

- Z całym szacunkiem, sir, ta konferencja to jakaś amerykańska...

David Trulove wstał i poprawił ciemną tweedową marynarkę. Wyglądał jak człowiek zdecydowany jeszcze raz iść prosto pod kule. Uśmiechnął się zdawkowo do Aleksa i powiedział:

- Daj spokój, wychodziłeś cało z większych opresji. Chodzi tylko o jeden telefon. Jestem pewien, że Conch - bo chyba tak ją nazywasz - będzie zachwycona, kiedy odezwiesz się po tak długim czasie. Zresztą odrobina tropikalnego słońca ci nie zaszkodzi. Szczerze mówiąc, wyglądasz bardzo blado.

Hawke, oniemiały, patrzył, jak C przechodzi przez pokój i otwiera ciężkie drewniane drzwi.

- Z całym szacunkiem, sir - wykrztusił wreszcie - ale jak mam wytłumaczyć amerykańskiej sekretarz stanu, że tak po prostu dzwonię do niej po tylu miesiącach i próbuję się wprosić...

- Coś wymyślisz - odparł pogodnie Trulove. - Wyślij jej jakieś kwiaty. Najlepiej róże, kobiety bardzo je lubią. Ja wysłałem jej poranną pocztą kopię twojego raportu. Kiedy go przeczyta, będzie tylko czekać, żebyś osobiście opowiedział o wszystkim na jej konferencji. Naprawdę nie masz się czym martwić, zapewniam cię.

Hawke osunął się w fotelu i przez chwilę patrzył w ogień na kominku. Był pewien, że C nigdy nikomu nie wysłał róż. Kiedy uspokoił się na tyle, że mógł opuścić pokój, nie rozbijając żadnych mebli, wstał.

Nie masz się czym martwić, powtarzał sobie w duchu. Coś wymyślisz.

Fakt, groził mu tylko wybuch gniewu odrzuconej kobiety.

Wysłać jej róże? Po raz drugi tego wieczoru C kompletnie nie miał pojęcia, o czym mówi.

Nuevo Laredo, Meksyk

- Wszystkie latarnie pogasły. Zauważył pan, szeryfie?
 - Tak.
 - Pewnie siadł transformator.
 - Nie sądzę.
 - Na ulicach nikogo nie ma.
 - Ano nie ma.
 - Trochę za wcześnie jak na piątkowy wieczór.
 - Ludzie wolą siedzieć w domach, niż prosić się o kulkę.
 - Pewnie tak. Mogę zadać pytanie?
 - Strzelaj.
 - Proszę tak nie mówić!
 - Homer.
 - Przepraszam. Wiem, że nie mówi pan o tej... zatoce Cam Ranh.
 - Zgadza się, nie mówię.
 - Ale wie pan co, szeryfie, męczą mnie to. Kiedy wy, to znaczy pański oddział, kiedy wchodziliście do wioski nocą i wiedzieliście, że oni czekają... czekają, aż wyjdziecie z za rogu czy skądś. Czy... czy kiedykolwiek baliście się, że.. no...
 - Boisz się, Homer? Masz cykora?
 - Tak, szeryfie.
 - Nie przejmuj się, synu. Każdy się boi.
 - Nie wierzę w to. Pan się na pewno nie boi.
 - Teraz może nie. Ale kiedyś się bałem.
- Homer i Dixon zgodnie uznali, że lepiej pojechać do Meksyku nocą. Wzięli pikapa Dixona, przede wszystkim dlatego, że wyprawa amerykańskim radiowozem na południe byłaby teraz samobójstwem. Zmienili nawet tablice i na tylnej klapie powiesili stare pogięte numery z Meksyku. Prowadził Homer. Dixon był zmęczony.
- Ostatnio nic innego nie robili, tylko chodzili na pogrzeby.
- Tak jak całe miasto.
- Droga z Prairie na południe trwała dwie godziny. Homerowi nie zamykały się usta.

Wciąż gadał, głównie o dwunastu chłopakach, których zabito w Meksyku. Franklin słuchał w milczeniu. Wiedział, że Homer bardzo się przejmował tymi dzieciakami i ich rodzinami. To byli jego przyjaciele od podstawówki.

Śmierć najlepszych chłopców w mieście, i to tak potworna, to rana, która będzie długo się goić. W jedną noc stracili prawie całe pokolenie. Straciliśmy przyszłość, powiedziała Daisy.

Franklin nie pamiętał, żeby w mieście panowała kiedyś większa żałoba. Nie było sklepu, knajpy ani stacji benzynowej, gdzie nie widziałoby się kogoś zalanego łzami. Kobiety rozmawiały w małych grupkach na rogach ulic. Mężczyźni zbierali się w Pod Kołem Woźnicy albo w innych barach i pili. Musi upłynąć sporo czasu, nim taki ból minie.

Wielu mężczyzn nie zamierzało na to czekać. Chcieli jechać do Meksyku i zabić każdego, kto im się nawinie. Pragnęli zemsty. Trudno było ich za to winić. Ale prawo jest prawem.

Kiedy Franklin próbował im przypomnieć, że lincz to przestępstwo, niejaki J. T. Rawls powiedział:

- I co z tego?

- To, że jestem przedstawicielem prawa - odparł szeryf - i jeśli podniesiesz na mnie rękę, to nie chciałbym być w twojej skórze.

Uciszył Rawlsa, ale zapewne nie na długo. Takich jak on w Houston nazywali wariatami za kółkiem. Rawls miał też słabość do tytoniu i produktów z gorzelnii Jamesa Beama z Clermont w stanie Kentucky.

Prowadził salon Chevroleta na południe od miasta. Wzbogacił się na sprzedaży hodowcom bydła wielkich czarnych furgonetek suburban i sportowych terenówek. I był wredny jak grzechotnik. Po trzydziestu latach zostawił żonę dla jakiejś młódki, którą poznał w samolocie do Houston. Kiedy zebrał tyle pieniędzy, że wystarczyło mu na całe życie, zaczął walczyć o posadę szeryfa. Dwa razy startował w wyborach i dwa razy przegrał. Kiepsko zniósł porażkę. Doszedł już do takiego etapu, że wypijał butelkę Jima Beama dziennie.

Ludzie w mieście od dawna zastanawiali się, jak J. T. mógł kosić taką kasę, skoro przez większość czasu był pijany. Krążyły plotki, że prowadził nie do końca legalne interesy. Że pod płaszczykiem swojego salonu Chevroleta handlował kradzionymi samochodami po obu stronach granicy.

Nielegalni imigranci z Meksyku nigdy nie przechodzili przez jego ranczo. Nie śmieci tam, nie zjadali mu psów ani bydła, tak jak u innych. Franklin obiecywał sobie, że musi się

kiedys temu przyjrzeć. Bogaty Jankes, którego Meksykanie zostawiają w spokoju? Naprawdę dziwne.

Ale to wszystko było, zanim J. T. stracił w Meksyku syna.

Teraz Franklin wiedział, że wcześniej czy później Rawls zrobi coś głupiego i zginie jeszcze więcej ludzi. Wtedy wpadł na pomysł, by pojechać na południe samemu i pogadać z Meksykanami.

Niewielka lampka wpięta w gniazdo zapalniczki oświetlała mapę na lewym kolanie szeryfa. Plan Nuevo Laredo, miasta bezprawia tuż za granicznym mostem łączącym je z Laredo w Teksasie. Kiedyś było tu bardzo miło, pomyślał Franklin, patrząc na pozabijane deskami wystawy i ciemne okna budynków przy głównej ulicy. Turystki przyjeżdżały tu na cały dzień - jadły lunch, robiły zakupy i wracały do domu na kolację. Ale to było kiedyś.

Teraz Nuevo Laredo stało się światową stolicą zbrodni.

Wiele okien i drzwi wypadło od wybuchów, a tynk na wielu ścianach nosił ślady po strzelaninach. Wojny narkotykowe sterroryzowały miasto. Nie było tu prawa. Nie było porządku. Tylko w zeszłym roku zginęło tu ponad tysiąc osób. Jeden ze strażników granicznych powiedział Franklinowi, że widział masowe groby na południe od miasta. Musieli coś zrobić ze zwłokami.

Szeryf dostrzegł jakiś ruch i odwrócił wzrok w tę stronę. To tylko jakiś pies wybiegł zza rogu. W tym mieście było mnóstwo psów. Mieszkańce z kojotami albo szakalami, brzydkie i bardzo agresywne.

Od czasu do czasu widział jakichś ludzi patrzących na nich z dachu to po jednej, to po drugiej stronie, z okna albo z drzwi. Homer też ich widział, ale na razie nie mówił więcej o swoich obawach. Zdawał sobie sprawę, w co się pakuje, kiedy zadeklarował, że przyjedzie tu z szeryfem. Chłopak był zdecydowany, więc Franklin w końcu się zgodził.

Przyjechali do Nuevo Laredo pogadać z gangsterem o nazwisku Felix „Tygrys” Tejada. Franklin przesłał mu wiadomość przez porucznika Rodrigueza, miejscowego glinę, który czasami korzystał z usług jednego z kumpli Tejady. Ku zdziwieniu szeryfa Tygrys przyjął propozycję spotkania. Postawił oczywiście mnóstwo warunków, a Franklin bez wahania zgodził się na wszystkie. Co innego mógł zrobić? Stracić całe miasto?

Tygrys był nietypowym bandytą. Zbyt głupi, żeby robić, to co robił, więc prawdopodobnie ktoś pociągał za jego sznurki. Ale i nie na tyle głupi, by samemu sikać pod wiatr - wynajmował ludzi, którzy dla niego zabijali, kradli i robili Bóg wie co jeszcze. Ludzie z Federalnej Agencji Antynarkotykowej z Austin poinformowali Franklina, że Tejada jest młodym wilkiem w świecie latynoskich gangów.

Przerzucał przez granicę górę towaru, a dla rozrywki prowadził największą sieć burdela na południe od Laredo. Ale jego prawdziwym hobby było przerzucanie przez granicę nielegalnych imigrantów, po pięć tysięcy dolarów od łebka. Z tego miał największe pieniądze. Straż graniczna nazywała facetów takich jak Tygrys „kojotami” i to określenie pasowało do nich doskonale.

- Następna w prawo - powiedział Franklin do Homera.
- Gdzie ma być to spotkanie?
- Zaraz ci pokażę. Dobra, teraz w lewo, a potem się zatrzymaj.
- To tu?
- Tak. Plaza del Toros.
- Arena do korridy?
- Chodźmy.

15

Podjechali tak blisko wejścia, jak się dało. Pod betonowym zadaszeniem parkowało kilkadziesiąt motocykli, wszystkie polakierowane na jaskrawe metaliczne kolory i z rysunkiem białej czaszki na bakach. Pod czaszką widniał symbol PS 13. Para Salvados. PS 13 nieźle się wozili. Franklin zauważył, że stoją tu prawie same drogie maszyny: harleye, ducati i wielkie indiany.

Strzelbę Mossburga wepchnęli pod siedzenie, ale wbrew zakazowi Tejady Franklin nie szedł na spotkanie całkiem nieuzbrojony. Homer miał pistolet. Szeryf kazał mu zdjąć rękę z biodra, kiedy ruszyli w stronę ciemnego tunelu prowadzącego na arenę. Nie chciał, żeby jakiś narwany ćpun zastrzelił ich po drodze. W starym budynku czuć było smród zawilgoconego betonu, moczu i upływu czasu.

Wyszli na arenę i stanęli tyłem do siebie pośrodku koła ubitego piasku o średnicy około pięćdziesięciu metrów. Wokół wznosiły się betonowe trybuny, częściowo zadaszone. Na arenie fetor był jeszcze intensywniejszy, ale inny. Franklin zastanawiał się, czy to nie odór krwi, która przez dwa wieki wsiąkała w piasek pod jego butami. Pewnie mieszanina krwi matadorów i byków. Bycza krew i bycze łajno, poprawił się w myślach.

Szlachetna korrida. Jako dzieciak pojechał kiedyś z ojcem do Meksyku i wybrali się do Plaza del Toros Monumantal, największej wówczas areny na świecie. Ojciec chciał, żeby

zobaczył słynnego meksykańskiego matadora Carlosa Arruzę.

No i zobaczył.

Byki nie miały żadnych szans, tak uważał i wtedy, i teraz, patrząc na ciemne sylwetki przemykające po górnych rzędach trybun. Było ich wielu, może nawet pięćdziesięciu, i prawdopodobnie wszyscy mieli broń automatyczną. Poczuł, że Homer się trzęsie, kiedy przypadkiem otarli się plecami.

- Spokojnie - powiedział do niego. - Przyszliśmy tu tylko z nim pogadać. Nic więcej. Porozmawiamy i wrócimy do domu. Bez nerwów.

- Witamy na korridzie, *señores* - odezwał się głos z blaszanego głośnika zamontowanego gdzieś nad areną. To był Tygrys. Franklin słyszał kiedyś jego głos z taśmy w komendzie policji w Laredo. Federalni podsłuchiwali wtedy domowy telefon i komórkę Tejady. Teraz, gdy stał się bogaty, mógł sobie pozwolić na telefon satelitarny.

- Siemanko - rzekł Franklin, nawet nie podnosząc głosu. Wszyscy słyszeli go doskonale. Minutę później Tygrys wysłał część swojego oddziału na arenę. Około trzydziestu bandziorów stanęło za *barrera* - drewnianym płotem - nie dalej niż dwadzieścia metrów od policjantów. Półtorametrowa *barrera* otaczała całą arenę, chroniąc widzów przed bykami. Teraz zaczął się na niej unosić słodkawy zapach marihuany. Słysząc było pogaduszki i śmiechy. Bandziory miały niezłą zabawę.

- Nie słyszałeś, co mówiłem na temat broni? - odezwał się głos ze szczekaczki.

- Nie będę rozmawiał z głośnikiem. Zejdź na dół i pogadajmy jak człowiek z człowiekiem. Odłożymy broń.

Zapadła cisza. Tygrys rozważał ofertę ze swoimi *compadres* w budce komentatora. Nagle zapalił się biały reflektor, skierowany prosto w ich oczy. Tego się Franklin nie spodziewał.

Usłyszał głośne warknięcie, a potem terkot silnika jednego z chopperów przed budynkiem. Po nim nastąpiła dość przerażająca kakofonia około trzydziestu kolejnych odpalanych motorów.

- Odjeżdżają? - zapytał Homer.

- Nie sędzę. Raczej wjeżdżają.

W tunelu prowadzącym na arenę widać było kołyszący się snop światła jednego z motocykli. Pierwsza maszyna wjechała w okrąg i skręciła w lewo tuż za *barrera*. Motocyklista wolno objechał arenę. Następny skręcił w prawo, kolejny w lewo i tak na zmianę, dopóki na arenę nie wjechało ponad trzydzieści motorów, które krążyły powoli wokół niej.

Homer odezwał się przez głęboki warkot silników:

- Chyba naoglądali się filmów o Aniołach Piekieł.

Franklin przez ramię szepnął do niego:

- Wyjmij pistolet z kabury i połóż go na ziemi.

- Jest pan pewien, szeryfie?

- Tak. Zrób to.

Homer wykonał polecenie, ale widać było, że nie jest z tego powodu szczęśliwy.

Franklin kopnął broń czubkiem buta.

- Zejdiesz w końcu? - zapytał, mrużąc oczy od oślepiającego światła z góry. - Wyłącz te cholerne lampy, jeśli chcesz ze mną pogadać.

Kilka sekund później reflektor zgasł.

Tygrys Tejada wyszedł zza *barrera*, poczekał na przerwę między motocyklami i ruszył przez arenę. Do diabła, przecież to jeszcze dzieciak, pomyślał Franklin. Tejada miał na sobie błyszczącą kurtkę, wyszywaną niebieskimi cekinami. Jego długie czarne włosy zebrane do tyłu i związane w kucyk odsłaniały wysokie czoło z wytatuowanymi literami PS. Całości dopełniały czarne dzinsy i buty z wężowej skóry. Wyglądał jak gangsterski gwiazdor rocka.

Tygrys był wysoko postawionym Meksykaninem w gangu o nazwie Para Salvados, który powstał podczas wojny domowej w Salwadorze w latach osiemdziesiątych. Tysiące Salwadorczyków, którzy wskutek wojny stracili majątki i domy, przedostało się do Stanów Zjednoczonych i osiedliło w latynoskich dzielnicach Los Angeles i wielu innych miast. Nękani przez czarne gangi, takie jak Crips czy Bloods, wkrótce stworzyli własną organizację obronną.

Z czasem Para Salvados, którzy nie stronili od przemocy i mieli smykałkę do interesów, stali się jednymi z najważniejszych przemytników narkotyków i broni. Ogniwa gangu istniały od Nowego Jorku po Florydę, od Illinois i Michigan, aż po Teksas, a nawet na Alasce.

- *Ola, Tres Ojos* - powitał Franklin Tygrysa pseudonimem, który usłyszał na taśmach FBI.

Tejada odsłonił w uśmiechu śnieżnobiałe zęby, wyraźnie zadowolony, że szeryf gringo zna jego tajną ksywkę.

- *Ola, señor* - odparł uprzejmym tonem. - Dziękuję, że zaszczycił pan nas odwiedzinami.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Franklin. - Powiedz mi, skąd to przezwisko?

Meksykanin jeszcze bardziej się rozpromienił.

- *Tres Ojos*. Troje oczu. Trzecie oko to mój ptaszek - wyjaśnił ochoczo. - Zawsze wypatruje cipeczek.

Franklin zmusił się do uśmiechu.

- No tak.

- Dobrze, że mamy okazję pogadać, señor. Przyjechał pan mnie aresztować?

- Nie, proponuję ci sposób, żeby się z tego wykaraskać.

- Oferuje mi pan drogę wyjścia?

- Zgadza się.

Tygrys odwrócił się i spojrzał na swoich chłopaków czających się za *barrera*. Wszyscy oparli o płot lufy karabinów skierowane na środek areny. Kilku z nich przeładowało broń.

Tygrys dał znak motocyklistom, żeby się zatrzymali. Kiedy stanęli, rozłożył ręce w szeroki łuk i obrócił się na pięcie.

- *Muchachos!* Ten człowiek twierdzi, że ma dla nas sposób, jak stąd wyjść!

Kiedy wybrzmiała ironia tego zdania, rozległ się chór rechotliwego śmiechu. Ktoś zza *barrera* strzelił w powietrze z dziewięciomilimetrowego automatu, co jeszcze bardziej rozbawiło bandziorów. Tejada odwrócił się z powrotem do Franklina. Oczy miał szkliste od mescalalu.

- Chyba nie przypadła im do gustu pańska oferta, szeryfie.

- Posłuchaj. Jeśli chcesz pogadać poważnie, jak dorośli, to pogadajmy. Jeśli nie, zabieram swojego zastępcę i wracamy. Decyzja należy do ciebie, synu.

- Przyznaję, że jestem ciekaw, czego może pan ode mnie chcieć.

- Tego, co mogę dostać.

- Co może pan dostać?

- Tak. Nie mogę odzyskać chłopaków, więc zabiorę dziewczęta.

- *Las putas!* Dziwki? Naprawdę nie wiem, o czym, do kurwy nędzy, pan mówi. Tracę tylko czas.

- Posłuchaj, Tygrysie. Widzisz to wielkie czarne coś tam u góry? Wygląda jak niebo? Wcale nie. To wielki jankeski młot, który zaraz spadnie na twój łeb. Daję ci sposób, jak się przed nim uchronić.

- Jaki, kurwa, młot?

- Karząca ręka sprawiedliwości. Wkrótce cię dopadnie.

- Grozisz mi?

- Tak.

- Czego chcesz? Powiedz wreszcie. Mam jeszcze parę innych spotkań.

- Chcę, żebyś dla mnie pracował.

- Naprawdę szajba ci odbiła, wiesz, facet?

- Może i tak.

- Powiedz mi, o co ci chodzi, człowieku?

- Przejdźmy się.

- Si. Możemy się przejść.

- To się nazywa podwójna agentura - powiedział Dixon, kiedy nikt nie mógł już ich usłyszeć. - Zaczynamy od dołu, czyli od ciebie. Przekabacamy na naszą stronę ludzi w twojej organizacji, szukamy kogoś, kto jest nad nimi, i pracujemy nad nim. Stopniowo przeciągamy wszystkich na naszą stronę, aż docieramy do samego szczytu Para Salvados. Do głównego bandziora, który wpędza cię w tyle kłopotów.

- Człowieku, ale masz jazdę z tymi podwójnymi agentami.

- Dotrzemy do tego, kto kieruje gangiem, kimkolwiek by był. Unieszkodlimy go, a ty pójdziesz na wcześniejszą emeryturę tam, gdzie nikt nie będzie cię mógł tknąć. Masz na to gwarancję. Rozumiesz?

- Rozumiem. Wydaje ci się, że mam tak samo narąbane jak ty.

- Fakt, tak mi się wydawało, ale zmieniłem zdanie. Myślę, że jesteś na tyle inteligentny, żeby zaufać instynktowi przeżycia.

- Czyżby?

- Tak. Tkwisz w szambie i dobrze o tym wiesz. Przyjmij moją ofertę.

- A jeśli nie? Jeśli poleję tę świętą ziemię waszą jankeską krwią?

- Wtedy zjawi się tu odpowiednio wielu znacznie mniej uprzejmych facetów, którzy będą mieli dość broni, żebyś i ty, i wszyscy w tym mieście poszli do piachu. Mogę ci obiecać, że tak będzie.

- Mówisz serio?

- Gdyby nie ja, już by tu byli.

Dzieciak spojrzał na Franklina.

- To nie ja - powiedział. - No wiesz, ten nieszczęśliwy wypadek z twoją grupą pościgową. Słyszałem o tym, ale to nie moi ludzie.

- To się jeszcze okaże.

- Muszę się zastanowić.

- Zastanawiaj się szybko. A w geście dobrej woli wypuść tych pięć kobiet, które

porwałś z mojego miasta. Dziś mamy sobotę. Daję ci czterdzieści osiem godzin.

- Odbiło ci, facet. Cholerny *loco gonzo*. Pieprznęty wariat! Skąd wiesz, że je mam?

- Jeśli nawet ich nie masz, to na pewno wiesz, jak je znaleźć. Jeśli cała piątka nie wróci do zachodu słońca w poniedziałek, uznam to za twoją odmowę.

- Cholera. Sam nie wiem.

- Zastanów się, kim naprawdę jestem.

- Dobrze wiem, kim jesteś.

- Masz czas do zachodu słońca w poniedziałek.

- Niczego nie obiecuję.

- Miło się z tobą robi interesy, synu - powiedział Franklin i odwrócił się od Meksykanina. - W porządku, Homer, bierz swoją broń.

- *Adios, Tres Ojos* - rzekł Homer, uśmiechając się do bandziora.

- Może ja i moi *compadres* złożymy wam rewizytę? - zaproponował Tejada. - Co wy na to? Możemy kiedyś wpaść? Chcecie?

Homer i Dixon szli przed siebie.

Kiedy wsiadali do pikapa, Homer spytał:

- Szeryfie, pan żartował z tym młotem sprawiedliwości?

- Może.

- Ameryka na razie nie ma wolnego młota. W tym cały problem.

- Wiem. Wymyśliłem to, kiedy szliśmy na arenę.

16

Dry Tortugas

Głodny mako wciąż krążył w pobliżu. Snuł się w tle, robił dziwne pętle mniej więcej sześć metrów nad kadłubem. Zachowywał się, jakby nic go nie obchodziło, ale Stoke przysiągłby, że wielka ryba obserwuje go, uśmiechając się pod nosem pyskiem najeżonym ostrymi zębami.

Już w czasach służby w Fokach na wyspach Keys uważał, że ten rekin to najwredniejsze zwierzę, jakie nosi ziemia. W gębie miał zestaw zakrzywionych nożyków wart majątek. Spiczasty nos i ciemne oczy przydawały mu inteligencji, choć tak naprawdę był

tylko cholerną maszyną do żarcia. Był nastawiony zdecydowanie agresywnie. Patrzył ci głęboko w oczy i mówił: „Czołem! Jestem rybą, która zaraz odgryzie ci pół dupska”.

Był też szybki. Każdy rybak z okolic Keys wie, że mako może osiągać prędkość prawie czterdziestu kilometrów na godzinę i skakać w powietrze nawet na sześć metrów. Zdarzało się, że mako atakowały niewielkie łodzie rybackie. Wyskakiwały w górę, lądowały na pokładzie i gryzły wszystko, co się rusza. To jak zderzenie na morzu. Prawdziwy pech.

Stoke, zerkając raz po raz na mako, próbował powstrzymać krwawienie - zranił się o jakiś wystający kawałek szkła z kokpitu. Gdy sięgnął do środka, żeby jeszcze raz obrócić martwego pilota, wielka barakuda wpłynęła do kokpitu od drugiej strony, przesunęła głowę pilota i spojrzała Stoke'owi prosto w oczy.

Jasna cholera! Cofając rękę, rozerwał kombinezon i rozciął sobie przedramię. Teraz skaleczenie zaczęło mocno krwawić. Nie ma to jak upuścić trochę krwi w pobliżu rekina ludojada. To dodaje sytuacji dramatyzmu.

Jednym szybkim machnięciem płetw dotarł do wejścia do samolotu i wsadził głowę do środka. Wewnątrz zatopionej maszyny widoczność była o wiele gorsza, ale dostrzegł Luisa myszkującego po samolocie. Sharkey zauważył Stoke'a i machnął do niego, pokazując coś pod płetwami. Stoke sprawdził najpierw, czy z tyłu kadłuba nie czają się jakieś zębate potwory.

Było czysto, więc wpłynął do środka i zawisł od strony kokpitu.

Sharkey, dostrzegłszy ślad krwi ciągnący się od ręki Stoke'a, wskazał palcem do góry. Uważał, że rana jest poważna i powinni czym prędzej się wynurzyć i ją opatrzyć. Ale Stoke nie chciał wypływać. Włączył halogenową latarkę, żeby zobaczyć, co tak zaaferowało Luisa.

Sharkey zdążył oderwać kawałek aluminiowej podłogi samolotu. Na dole coś leżało i Stoke miał przeczucie, że to nie kokaina. Podpłynął do niewielkiego otworu i zajrzał do środka. Było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć, wsunął więc rękę do środka i zaczął macać. Wyczuł coś płaskiego pod szorstkim przykryciem.

Przystawił do otworu latarkę i omiatał wnętrze snopem światła. Musiał odczekać chwilę, aż wszystko się ustoi.

Zerknął na Sharkeya i ruchem ust powiedział „dobra robota”. Luis skinął głową, ale chwycił go za łokieć i znów wskazał do góry.

Stoke pokazał mu dwa palce. Dwie minuty.

Wyciągnął nóż przypięty do pasa i podważył nim kawałek podłogi. Może teraz zdoła wsunąć do środka latarkę i zobaczyć, co tam leży. Jakies trzydzieści centymetrów pod podłogą dostrzegł dwie prostokątne skrzynie okryte grubym płótnem.

Poczuł, że serce bije mu szybciej.

Sharkey pomógł mu oderwać resztę tego kawałka podłogi. Zajęło im to jakieś pięć minut. W ładowni leżały dwie skrzynie, każda szeroka na niecałe dwa metry. Długości nie dało się oszacować, bo skrzynie były częściowo zasłonięte przez dalszą część podłogi.

Rozciął nożem płótno, tworząc szczelinę długą na ponad metr, a potem rozdarł materiał.

W środku znajdował się wielki metalowy pojemnik. Na górze widział napis wymalowany na czerwono drukowanymi literami. Po rosyjsku. Stoke nie znał rosyjskiego, ale rozpoznał jedno ze słów. Poczuł nową falę ekscytacji przepływającą przez całe ciało, mieszaninę obaw i satysfakcji. Widział to słowo w dokumentach, które dał mu Harry Brock na pierwszym spotkaniu w Waszyngtonie.

Wracając samolotem linii Jet Blue, otworzył teczkę i oddał się lekturze. Przeczytał mnóstwo rządowego pitolenia o tym, co mu wolno, a czego nie jako niezależnemu kontrahentowi. Zerknął na dane CIA o poszczególnych krajach Ameryki Łacińskiej. W końcu przejrzał długą listę zagrożeń, jakich powinien się spodziewać na Karaibach. Całą sekcję poświęcono czarnemu rynkowi zagranicznych pocisków typu Cruise. Brock kazał Stoke'owi przeczytać ten fragment bardzo uważnie. Nie musiał mu wyjaśniać dlaczego.

Połowa strategicznych dostaw ropy przepływała przez Zatokę Meksykańską do Nowego Orleanu. Ktoś - Fidel czy Hugo - mógł zacząć strzelać do tankowców albo morskich platform wiertniczych i już miało się wojnę na własnym podwórku.

Rosyjskie słowo, które rozpoznał, to „Jachont”. Stoke zrobił głęboki wdech, próbując się uspokoić.

Sharkey i jego ojciec trafili w dziesiątkę.

Jachont - po rosyjsku rubin, a przez amerykańskich wojskowych zwany firefoksem - to nowa rosyjska rakietka do zwalczania okrętów. Wszyscy w Waszyngtonie na myśl o niej trzęśli portkami. Była na samym szczycie listy, którą Stoke dostał od Brocka.

Miała wszelkie cechy najnowocześniejszego pocisku do zwalczania celów morskich. Latała z prędkością ponaddźwiękową, była niewidoczna dla radarów i głucha na zakłócenia. Wystarczyło wystrzelić rubina i pozamiatane, koniec gry. Rakietka miała zasięg do trzystu kilometrów i latała na wysokości około piętnastu metrów. Na kilka sekund przed uderzeniem obniżala się do około pięciu metrów.

Jedno takie cholerstwo było w stanie zatopić supertankowiec albo wielki lotniskowiec. I żadna marynarka na świecie nie miała skutecznych środków obrony przed tą rakietką. Żadna.

Pocisk opracowano jako uzbrojenie rosyjskich myśliwców Su-27 i Su-35, najnowszej

wersji Suchoja. Kto w tym rejonie mógł mieć takie samoloty? Castro na pewno nie. Kubańczykom ledwie starczało na śniadanie na ich utopijnej wyspie.

Ale serdeczny przyjaciel Fidela, nowy miliarder Ameryki Łacińskiej Hugo Chavez z Wenezueli, mógł sobie pozwolić na takie zabawki.

Dwie minuty minęły. Stoke podpłynął do Sharkeya, który pukał palcem w zegarek i patrzył na niego jak na wariata, co akurat nie było niczym nowym. Stoke wiedział, że stracił mnóstwo krwi, ale chciał załatwić wszystko za jednym zejściem.

Otworzył torebkę, z którą zanurkował, i wyjął mały aparat cyfrowy przystosowany do pracy pod wodą. Podał go Luisowi i wskazał na dwie rakiety. Sharkey podpłynął, żeby sfotografować ładunek.

Stoke wrócił do kokpitu. Wielka barakuda na szczęście już sobie poszła. Nadgryzła kapitana jeszcze bardziej, ale on nie interesował już Stoke'a, tylko jego mundur.

Miał nadzieję, że znajdzie jakieś insygnia jednostki, do której należał pilot. Niestety, przeliczył się. Wszystko, co mogłoby pomóc określić szarżę lub przynależność do jakiegoś kraju, zniknęło. I to nie za sprawą ryb. Ktoś wyciął wszystko nożem, który wciąż leżał przy nogach pilota.

Interesujące. Nieboszczyk pozbawiony jakichkolwiek znaków identyfikacyjnych. Ktoś musiał przeżyć katastrofę. Ktoś, kto zachował przytomność, nim się stąd wydostał.

Stoke sprawdził, ile zostało mu powietrza. Czas ruszać na górę. Spojrzał ostatni raz na pilota i wypłynął z kokpitu.

- *Hasta luego, amigo* - powiedział bezgłośnie.

Lot poniżej radaru. Śmierć poniżej radaru.

Hampstead Heath

Congreve wstał od stołu, przejechał palcami po wybrzuszeniu żółtej marynarki i z westchnieniem zadowolenia popatrzył na rozświetlony słońcem sielski obrazek za oknem. Tego ranka słynny detektyw wyglądał na człowieka, który w końcu chwycił życie za twarz i wyciska z niego, co się da.

Rok temu otarł się o śmierć. Kula niedoszłego zabójcy utkwiała w jego ciele tuż obok

kregosłupa. Życie Congreve'a wisiało na włosku. Choć nie zwierzył się z tego nikomu, były takie chwile, kiedy leżąc w ciemności w szpitalnym łóżku, słyszał głosy aniołów. Słodką, uwodzicielską muzykę z niebios. Ale nie dał się jej skusić i w końcu ustała.

Tak, pomyślał Ambrose. Pociąg życia pędzi jak szalony. Jest za szybki, żeby go zatrzymać, i zbyt wygodny, by z niego wysiadać.

Jego gospodyni May Purvis, która właśnie układała świeżo zerwane peonie w srebrnym wazonie, nagle wyprostowała się jak struna. Skrzyżowała ręce na piersiach i omal nie wykręciła pirueta.

- Proszę tylko zobaczyć, kto nas odwiedził z samego rana - zawołała rozpromieniona.

Ambrose obejrzał się przez ramię i zobaczył w drzwiach Aleksa Hawke'a.

- Witaj, Alex - powiedział.

Hawke przyszedł pół godziny wcześniej. Zapowiadał się poprzedniego wieczoru, wspominając coś o odwiedzinach w szpitalu u jakiegoś dyplomaty. Był bardzo tajemniczy i nic więcej nie chciał zdradzić.

Hawke zwykle dbał o dobre wejście. Nie zawiódł i tym razem. Nim Ambrose zdążył się zorientować, już całował gospodynię w drżącą dłoń.

- Pani jest młodszą córką pani Purvis, nieprawdaż? - rzekł, kłaniając się nisko. - W końcu się spotkaliśmy!

- Ależ z ciebie żartowniś! - roześmiała się. - Przecież to tylko ja, stara Purvis, urwisie!

Hawke usiadł.

- Herbaty? - zapytała May i nie czekając na odpowiedź, zaczęła napełniać filiżankę.

Krzętała się wokół jego lordowskiej mości jak pszczoła wokół kwiatu.

- Proszę i mnie dolać odrobinę, pani Purvis - rzekł Congreve. W jego głosie słychać było nutę irytacji.

- Wyobraź sobie, że przypadkiem spotkałem C. Wspominałem ci? - powiedział Hawke, odstawiając filiżankę i wycierając usta serwetką. - Po naszym wczorajszym obiedzie w Black.

- Doprawdy? - Congreve zdobył się na niewinny uśmiech, a w jego błękitnych oczach nie widać było niczego poza zwykłą ciekawością. Postanowił na razie nie zdradzać, że widział karteczkę z C zapisanym zielonym atramentem.

- Tak. Wpadłem na niego w Harrodsie. Przy stoisku z krawatami.

- W Harrodsie?

- Tak, w Harrodsie. To taki spory dom towarowy w Knightsbridge. Na pewno o nim słyszałeś.

- Alex, proszę cię. Oszczędź mi dziś swojego niezwykłego poczucia humoru.
- Tak czy siak, widziałem się z nim.
- Rozmawialiście o czymś konkretnym?
- Właściwie o niczym szczególnym.
- Czyżby? A mnie się wydaje, że znów zaczynasz bawić się w szpiega. Mam rację,

Alex?

- No cóż...
- Co takiego powiedział ci nasz oberszpieg?
- To i owo. - Hawke zerknął na zegarek. - Spóźnimy się na spotkanie z tym Niemcem.

Chodźmy już.

- Z Niemcem? Ktoś mówił o jakimś Niemcu?
- Ja mówiłem. Pojedziemy twoim morganem, dobrze?

*

- Nazywa się Zimmermann? - zapytał Ambrose, przekrzykując warkot silnika.
- Tak.
- Skądś znam to nazwisko.
- Też się nad tym zastanawiałem. Czy nie chodzi o coś związanego z pierwszą wojną światową? - myślał głośno Hawke.

- Spokojnie, przypomnę sobie. A, tak. Telegram Zimmermanna. Kryptolodzy z Whitehall przechwycili ten telegram i odszyfrowali. Nadał go w 1917 szef niemieckiego MSZ. Instruował w nim swojego ambasadora w Meksyku, by zwrócił się do Meksykanów z propozycją stworzenia sojuszu antyamerykańskiego.

- Chodziło o utrzymanie Jankesów z dala od Europy, żeby Niemiaszki mogły nas wykończyć?

- Tak. Kaiser sądził, że Amerykanie zaangażują się w wojnę na swojej południowej granicy i zostawią nas samych sobie. Meksykanie aż się rwali, żeby odzyskać Teksas, Arizonę i Kalifornię. Ten plan mógłby się udać, gdyby nie to, że przecięliśmy Niemcom podmorskie kable i przekierowaliśmy ich połączenia do...

- Ten człowiek, z którym masz się spotkać - przerwał mu Hawke - był zaangażowany w podłożenie bomby na lotnisku Heathrow. Jest też byłym ambasadorem Niemiec w Brazylii. C to bystry facet. Przeczytał mój raport i wysłał do kogoś, kto może dysponować ważnymi informacjami związanymi z tym regionem.

- Potrzebuję więcej informacji, żeby go przesłuchać.
- Obawiam się, że tych informacji mamy jak na lekarstwo.

Congreve się uśmiechnął.

- Więc postarajmy się zdobyć ich więcej.

Hawke zaparkował morgana przed szpitalem. Dwadzieścia minut później znaleźli się pod salą umierającego dyplomaty.

Przy drzwiach siedział i gawędził z urodziwą pielęgniarką zwałisty facet z bronią kiepsko ukrytą pod marynarką.

Na ich widok wstał, otworzył drzwi i machnął, żeby weszli do środka. W słabo oświetlonej salce było potwornie duszno. Ktoś pozamykał okna i podkręcił termostat do ponad trzydziestu stopni. Wokół łóżka, które stało pod ścianą na wprost drzwi, poustawiano mnóstwo nowoczesnych urządzeń.

Pacjent był trupio blady. Oddychał szybko i płytko. Ze wszystkich części ciała odchodziły mu jakieś rurki i elektrody podłączone do maszynierii podtrzymującej go przy życiu.

Hawke spojrzał na dyplomatę. Niemiec drżał na całym ciele, a jego twarz była złana potem. Widać było, że ma wysoka gorączkę. Alex podniósł kołdrę i zobaczył coś jeszcze.

Mężczyzna miał na ciele początki krwawych pęcherzy. Takich samych jak te, które Hawke widział u zbiega w dżungli. U jednego z nietykalnych, uciekiniera z kompleksu medycznego.

- Wygląda jak śmierć - szepnął, zadowolony, że kazano włożyć im rękawice i maski.

Zimmermann zamrugnął i zaszwargotał coś niezrozumiałego. Mówił po niemiecku, ale w jakimś dziwnym dialekcie.

- To *Hochdeutsch*⁴ - powiedział Ambrose, jakby to wyjaśniało sprawę. Pochylił się nad chorym i rzekł cicho:

- *Gruess Gott, Herr Zimmermann. Ich bin Dr. Franz Tobel. Wie geht es Ihnen?*⁵

Niemiec odwrócił się twarzą do ściany.

Po mniej więcej minucie wsunął rękę pod poduszkę i wyjął kopertę przyczepioną do małej pacuszki w papierze w wyblakłe róże. Kiedy ją podawał Congreve'owi, wychrypiął coś niezrozumiałym szeptem.

- Co mówi? - dopytywał się Hawke. - Co ci dał?

- Mówi, że to prezenty dla żony w Manaus. Może książka i jakiś pożegnalny wiersz.

⁴ Hochdeutsch - odmiana języka niemieckiego, którą mówi się głównie na południu Niemiec (przyp. tłum.).

⁵ *Gruess Gott, Herr Zimmermann. Ich bin Dr. Franz Tobel. Wie geht es Ihnen?*⁵ (niem.) - Szczęść Boże, panie Zimmermann. Nazywam się doktor Franz Tobel. Jak się pan czuje?

Chce mieć stuprocentową pewność, że żona je dostanie.

- Życzenia osób na łożu śmierci są święte - powiedział Hawke.

- Hm - mruknął Congreve.

- Chyba najlepiej będzie, jak powiem wam obu *auf wiedersehen* - stwierdził w końcu Hawke i wziął od Ambrose'a pakunek i list. Rozejrzał się jeszcze dookoła, jakby szukając wyjścia awaryjnego.

- Nie musisz dotrzymywać mi towarzystwa - odparł Ambrose. - Ten człowiek ma gorączkę i chyba nie do końca równo pod sufitem. Ja go przesłucham, a ty idź do recepcji i poczytaj jakieś czasopismo. Albo ten pożegnalny list, jeśli chcesz być naprawdę wścibski.

- Nie chcę być wścibski. Po prostu taki mam fach.

Hawke odwrócił się i wyszedł. Poczł niewyobrażalną ulgę, że uciekł z dusznego pokoju.

Ambrose przysunął sobie krzesło do łóżka i usiadł. Ujął wychudzoną rękę dyplomaty i podniósłszy ją do światła lampki, obejrzał skórę i paznokcie. Potem położył rękę na kołdrze i pochylił się nad chorym, by dokładniej przyrzeć się twarzy.

Niemiec miał szeroko rozchylone usta. Congreve wyjął z kieszeni marynarki lnianą chusteczkę, owinał nią dłoń i chwyciwszy język Zimmermanna kciukiem i palcem wskazującym, wysunął go.

- Wielki Boże - mruknął.

Język był cały pokryty białymi plamami. Chyba od malarii, a może od czegoś gorszego. Możliwe, że to gorączka krwotoczna, choć ta choroba występuje stosunkowo rzadko i głównie w Afryce Zachodniej.

- Proszę mnie posłuchać, panie Zimmermann - odezwał się Ambrose po niemiecku. - Zdaje się, że złapał pan jakąś infekcję. Wirusową albo bakteryjną.

- Trucizna - wycharczał Zimmermann.

- Nie sądzę. Proszę mi powiedzieć, był pan ostatnio w dorzeczu Amazonki, ambasadorze Zimmermann?

- Igapo - odpowiedział mężczyzna. - Czarna Rzeka. Pró... próbowali mnie zabić... wiele razy. Wyrzucili mnie za burtę. Ale mimo to jestem tu i...

- Kto pana próbował zabić, ambasadorze?

Niemiec zamknął oczy i szepnął:

- *Las Medianoches*.

Ambrose słyszał już tę nazwę od Aleksa.

- Moja żona... grozi jej niebezpieczeństwo...

- Panie ambasadorze, proszę mi wszystko opowiedzieć. Obawiam się, że nie mamy dużo czasu.

Dyplomata oparł głowę o poduszkę i zaczął mówić, cicho, ale dość płynnie. Ambrose pochylił się, żeby lepiej słyszeć. Co jakiś czas kiwał głową a Zimmermann snuł swoją opowieść.

Mówił o związkach między radykalnymi muzułmanami, partyzantami i narkoterrorystami. O infrastrukturze i potężnym wpływie na latynoską politykę oraz o możliwych powiązaniach z Castro i wenezuelskim watażką Hugo Chavezem.

Z jego opowieści wynikało, że cała półkula południowa może lada chwila wybuchnąć Amerykanom prosto w twarz. A epicentrum tego wybuchu znajdzie się na granicy między Teksasem i Meksykiem. Było w tym coś przerażająco znajomego: obcy spisek, by wykorzystać Meksyk przeciwko Stanom Zjednoczonym. Zupełnie jak w 1917 roku, tyle że tym razem to nie Niemcy spiskowali, lecz bliskowschodni terroryści.

Szponiasty chwyt Zimmermanna był zaskakująco silny. Congreve podniósł wzrok i zobaczył, że dyplomata unosi głowę z poduszki i wybałusza wilgotne oczy.

- W dżungli mieszka pewien człowiek - powiedział. - Wie, że raz go zdradziłem. Musicie go powstrzymać, nim znowu uderzy. Słyszysz mnie?

- Jak się nazywa?

- Muhammad. Muhammad Top.

- Papa Top?

- *Ja.*

- Gdzie chce uderzyć?

- Wszystko jest zapisane.

- Nie mam czasu na zagadki. Proszę mi powiedzieć, jak go znaleźć.

- Wszystko jest zapisane, mówię przecież! Jest zapisane w... w...

Zimmermann dokonał żywota.

się nuty popłynęły w stronę łukowatego sklepienia nad jego głową. Westchnął krótko, pozwalając sobie na mały luksus odpoczynku. Tak. Allahu Akbar. Potężny Allah znów wypełnił nocą jego duszę, a teraz modlitwa wypędziła sen ze wszelkich zakamarków jego budzącego się umysłu. Drżał, klęcząc na twardej drewnianej podłodze, na której rozpostarł jedynie cienki dywanik modlitewny.

Ale drżał nie od ostrego chłodu dżungli, który nocą przenikał ciało aż do kości.

Nie, to był dreszcz podniecenia. Papa Top, jak nazywały go legiony wielbicieli, czuł nadchodzący nowy dzień. Ostre mrowienie przebiegało mu w górę i w dół kręgosłupa i rozchodziło się do najdalszych zakończeń nerwów. Teraz każdy dzień mógł być dniem wielkim, a nawet historycznym. Dniem wyrównania krzywd. Obmycia grzechów. *Inshallah*. Jak Bóg da.

Godzina Oczyszczenia.

Dzień Prawdy.

Witaj! Czy to ty?

To uczucie było tak nieprawdopodobnie przyjemne, że kiedy spojrział w dół, niemal spodziewał się wzrodu. Ale nie, śpiący wąż jeszcze się nie obudził, nie poruszył się w głuchej ciszy tuż przed świtem. Ostatnią noc Top spędził samotnie. Nie czuł potrzeby ani chęci, by posłać po kobietę. Nie. Dziś miał za dużo pracy.

Lepiej nie budzić śpiących węży.

Dzień budził się pośród nieruchomej zieleni za otwartymi drzwiami i oknami. Dopiero za godzinę przez gęsty baldachim tropikalnego lasu zaczęły się przebijać pierwsze promienie słońca. Choć mały pokój Topa był zawieszony tuż pod koronami drzew, docierały do niego zaledwie delikatne promyki światła, nawet kiedy słońce stało już wysoko nad dżunglą.

Podniósłszy się z modlitewnego dywanika, Papa Top zapalił jedną z metalowych lamp, które wisiały na ścianach okrągłej sypialni. Światło pojedynczej lampki naftowej było kojące i nie zamieniłby go na żadne inne. W końcu stał się dzieckiem ciemności.

Jednak w tej dziwnej wiosce elektryczność była już powszechnie dostępna, tak jak bieżąca woda. Od samego początku Muhammad Top postanowił wznieść swoje imperium wysoko pośród drzew. Na ziemi nie można było budować z powodu potężnych powodzi, które przetaczały się przez ten odległy region w czasie pory deszczowej. Ponadto, jak wielu dowódców wojskowych, chciał być jak najwyżej w czasie walki. Nie to, żeby zamierzał kiedykolwiek tu walczyć.

Jego życiową misją było wydanie wrogowi wojny na jego własnym terytorium.

Nowo zainstalowane generatory elektryczne oznaczały, że w dżungli można mieć

dowolne cudeńka. Powstał także podziemny bunkier łącznościowy, centrum dowodzenia, z którego wkrótce będzie toczył swój wielki dżihad z niewiernymi na północy. Elektryczne wózki i tramwaje dla żołnierzy pędziły po wiszących mostach linowych, które tworzyły sieć szlaków komunikacyjnych w tej jednostce militarnej. Napędzane akumulatorami bezzałogowe samoloty obserwacyjne patrolowały niebo w poszukiwaniu intruzów. A plujące ołowiem trolle przetaczały się po dżungli, polując na najeźdźców.

Ale w swojej sypialni Muhammad Top postanowił nie instalować elektryczności. Wolał świece i lampy.

Ze wszystkich żywiołów Papa Top najbardziej kochał ogień.

Gdy był jeszcze dzieckiem, odwiedził starą rodową wioskę ojca na wysuszonych brzegach Eufratu w Syrii. Pewnego dnia do jego domu przyszła stara wiedźma Hama. Była w czarnej bawełnianej szacie zwanej ezar, na której miała wyhaftowane symbole powietrza, ziemi i ognia. Powiewający na wietrze ezar zakrywał większość jej kruchego ciała i głowy. Mały Muhammad widział tylko ogniste czarne oczy wiedźmy i czuł jej kwaśny oddech, kiedy pochyliła się do niego i wyszeptwała:

- Gdyby palił się twój dom, a Bóg w swej mądrości pozwoliłby ci wejść tam i ocalić tylko jedną rzecz, to co byś ratował?

- Znam odpowiedź - rzekł chłopiec, a jego czoło przecięły głębokie zmarszczki skupienia. - Zaczekaj, zaraz sobie przypomnę.

- Jestem cierpliwsza niż skała - odparła wiedźma.

- Gdybym mógł ocalić tylko jedną rzecz, to uratowałbym ogień - powiedział Muhammad Top.

- Tak - szepnęła, kładąc rękę na jego głowie. - Strzeż ognia. Ognia trzeba strzec.

Słowa starej wiedźmy stały się jego życiowym mottem.

Muhammad wstał, wyprostował się na pełną wysokość blisko dwóch metrów. Ziewnął i wyszedł przez otwarte drzwi sypialni na okrągłą werandę. Na kołku przy drzwiach wisiała tykwa. Zanurzył ją w drewnianym cebrze z wodą i napił się. Położył ręce na drewnianej barierce, wciąż jeszcze mokrej od rosy, i spojrzał na sielankę poniżej.

Ujęty widokiem swojej śpiącej wioski wśród drzew niemal dał się zaskoczyć czarnemu skorpionowi, który zmierzał po barierce w stronę jego lewej ręki. Mała bestia zachowywała się agresywnie. Wymachiwała w powietrzu szczypcami, a nad głową trzymała wyprężony ogon z ostrzem wypełnionym jadem, gotowy do uderzenia. Poprzedniego dnia Top znalazł jednego z tych wojowniczych i śmiertelnie niebezpiecznych potworów w bucie.

Podniósł rękę na kilka centymetrów, pozwolił skorpionowi wejść pod nią po czym

uderzył dłonią w poręcz, rozgniatając go.

Życie miał krótkie, ale dobre, pomyślał, strzepując resztki pajęczaka z ręki.

Spojrzał na unoszące się z ziemi spirale mgły. Tworzyły cudowne aureole wokół migoczących pochodni przesuwających się w dole. To kolejna zmiana warty. Jego ludzie biegali z pochodniami po linowych ścieżkach łączących okrągłe dachy domów.

Z kominów unosiły się smużki dymu, mieszając się z mgłą. W dwóch większych domach, zbudowanych zaledwie piętnaście metrów nad ziemią rozpalano właśnie ogień. Wentylatory odprowadzały dym, by nawet jedna smużka nie wydostała się ponad dach dżungli nad ich głowami.

Wokół niebieskiej kopuły centralnego meczetu (tylko tu Top zezwolił na dachówki) widać było okręgi dużych wspólnych domów i magazynów, które zbudowano w ciągu ostatnich kilku lat. Mieściły się tam koszary strażników, spiżarnie, stołówka, awaryjne generatory i oczywiście potężne zapasy broni i amunicji.

Nad nimi wzniesiono mniejsze domki, gdzie swoje prywatne kwatery mieli oficerowie. W pobliżu rzeki powstał lazaret, do którego przylegał niewielki pokój przesłuchań.

Oglądana z góry wioska zawsze przypominała mu skupisko stworzonych przez człowieka grzybów, które rosły pośród potężnych pni amazońskich drzew. Trujących grzybów, powtarzał często. O tak, piekielnie trujących.

Jego kryjówka w mrocznej tropikalnej dżungli była jeszcze tylko wizją gdy wybrał dla niej prostą hiszpańską nazwę. La Selva Negra.

Czarna Dżungla.

Zachodni Teksas

- Myślisz, że telefon zadzwoni od tego, że się na niego gapisz?

- Nie, Daisy. To był głupi pomysł jechać tam i gadać z tym Meksykaninem. Mogli nas obu powyrzelać jak kaczki. Nie wiem, co sobie myślałem. Chyba rozum mi odjęło.

- Więc przestań się tak gapić na ten telefon. Może wyjdź na spacer albo pojeźdź konno. Nie jeździłeś na Rakiecie już chyba z miesiąc. Przydałaby mu się mała przejażdżka,

tobie zresztą też.

- Nawet nie chce mi się patrzeć na tego cholernego konia.

- Czy coś się stało, kochanie? Od tygodnia dziwnie się zachowujesz.

- Nie. Nic się nie stało.

- Posłuchaj. Ci chłopcy zgłosili się na ochotnika. Wszyscy, co do jednego. Chcieli tam jechać i ich rodziny chciały, żeby pojechali! Mieli szukać swoich siostr, dziewczyn czy kogo tam jeszcze. Ty ich tylko zaprzysiągłeś. Byłeś przekonany, że postępujesz słusznie i spełniłeś swój obowiązek. Nikt nie może się domagać niczego więcej.

- Tak.

- Myślisz pewnie, że powinienes być z nimi pojechać. Ale nie mogłeś. Masz bronić tego miasta. A Bóg jeden wie, że ono potrzebuje ochrony. Pojechałeś tam i próbowałeś coś zrobić dla tych dziewczynek, ale się nie udało. Wymyślisz coś innego.

- Tak.

- Nie chcesz rozmawiać. W porządku. Ale zrób coś. Włącz telewizor. Poczytaj książkę. Zatańcz. Zwariujesz, jeśli przez całe popołudnie będziesz tu siedział, wpatrując się w telefon. Albo ja zwariuję.

- Przepraszam, że cię denerwuję - powiedział Franklin i wstał z fotela.

- Chyba pojedę do biura. Mam trochę roboty.

Zdjął z wieszaka kapelusz i ruszył do wyjścia.

- Franklin, jest niedziela. Powinienes posiedzieć z rodziną.

- Próbowałem.

- Jeszcze nigdy nie widziałam cię w takim stanie, skarbie. Nie pozdrowiłeś nikogo w kościele. Nie uśmiechnąłeś się, witając się z pastorem. To twoi przyjaciele, Franklin. Ludzie, którzy cię kochają i podziwiają.

- Do zobaczenia później, Daisy. Wezmę pikapa na wypadek, gdybyś chciała wybrać się do siostry lepszym wozem.

- Wrócisz na kolację?

- Nie mogę ci teraz powiedzieć.

- A co możesz powiedzieć?

- Nic.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham, maleńka.

*

Franklin wjechał do miasta. W niedzielę ulice były prawie puste. Kilku mężczyzn szło

do baru Pod Kołem Woźnicy, żeby zdążyć na drugą połowę meczu cowbojów. On nie miał głowy do meczu. Weźmie się do jakiejś papierkowej roboty, byle tylko czymś się zająć i nie wpatrywać się w zegar.

Może wreszcie upora się ze skróconą wersją tego raportu, o którą prosili go jakiś miesiąc temu. Ciągłe odkładał to na później. Zupełnie jak z wypracowaniami w liceum - też czekał z nimi do ostatniego dnia.

Raport, którego skróconą wersję miał przygotować, dotyczył nielegalnej imigracji. Franklin napisał go na polecenie stowarzyszenia szeryfów stanu Teksas i wysłał do Austin. Ku swemu zdziwieniu wkrótce potem otrzymał telefon z biura gubernatora w sprawie tego raportu.

Kobieta, która do niego zadzwoniła, mówiła coś o przygotowaniach do wielkiej rządowej konferencji na Key West na Florydzie. Mieli w niej wziąć udział ludzie z Departamentu Stanu, CIA, Straży Granicznej i Bóg wie skąd jeszcze. Tematyka konferencji obejmowała zagadnienia związane z terroryzmem, w tym problemy na granicy z Meksykiem.

Organizatorzy uznali, że raport Franklina trafnie przedstawia tę sytuację. Mówi o wzroście przemocy na granicy i o nastrojach antyamerykańskich. O oficerach Straży Granicznej, do których strzelano, nie wspominając już o obrzucaniu kamieniami przez dzieciaki. O broni przemycanej tunelami. O szmuglowanych hurtowo narkotykach. I o ewidentnym bezprawiu, które szerzy się na południe od granicy i zmierza w stronę Stanów Zjednoczonych.

Franklin miał nie tylko przygotować skróconą wersję swojego raportu, ale i pojawić się na konferencji, by zaprezentować ją osobiście.

Nie mówił o tym nikomu, nawet Homerowi ani June, lecz trudno było nie czuć trochę... nie, nie dumy, raczej wdzięczności, że ktoś na samej górze naprawdę zainteresował się tym, co miał do powiedzenia zwykły szeryf.

Ratusz hrabstwa Prairie stał pośrodku głównego placu. Był to czterokondygnacyjny budynek, który wzniesiono w 1914 roku i w którym nie zmieniono do tej pory nawet klamki. Miał cztery pary drzwi, po dwie z każdej strony. Od południa znajdował się parking, a główne wejście było od północy. Poprzedni szeryf, staruszek nazwiskiem Wyatt, pracował teraz przez trzy dni w tygodniu jako wiceszeryf wolontariusz i miał smykałkę do ogrodnictwa. Kiedyś posadził tu kilka orzechowców, które się rozrosły i dawały miły cień w upalne dni.

Gabinet Dixona, tak jak pokój Wyatta, mieścił się na piętrze od strony głównej ulicy. Nie było w nim prawie nic poza spluwaczką, wieszakiem i szachownicą. June i Homer popołudniami grywali długo w warcaby. Gdy Franklin wszedł do biura, był zaskoczony, że

jest w nim tak pusto, ale po chwili przypomniał sobie, że przecież jest niedziela.

June Weaver siedziała z nogami na biurku, tuż przy drzwiach do gabinetu Dixona, a z pokoju Wyatta dochodziło donośne chrapanie. Przychodził tu co niedziela, żeby uciec od meczów Cowboys, które oglądała jego żona. Przejął obowiązki szeryfa po śmierci ojca Franklina, postrzelonego przez rabusiów, którzy napadli na bank.

June, przystojna brunetka, była już po czterdziestce, ale wyglądała młodziej. Bardzo dbała o linię, choć tak naprawdę nie musiała się wysilać pod tym względem. Siedziała z nosem w jakimś czasopiśmie filmowym.

- Witaj, June - powiedział Franklin.
- Czołem, szeryfie. Co pan tu robi?
- Pomyślałem, że skończę ten nieszczęsny raport.
- No tak, czas goni.
- Coś ważnego się działo?
- Telefon milczy.
- To już wiem.
- Racja, szeryfie. Przepraszam.
- Chcesz kawy? Zrobię ci.
- Będę wdzięczna.

Zaparzył kawę, a potem zabrał się do pracy nad raportem. Nim się obejrzał, minęła godzina albo i więcej. Przerwała mu June. Stała w drzwiach jego gabinetu i powiedziała, że zgłosił się Homer i chce z nim rozmawiać.

- Wyjaśnił, o co mu chodzi?
- Tak. Mówił, że Pod Kołem Woźnicy goście zaczęli się awanturować. Mają już mocno w czubie i zaczynają demolować lokal. Na podwórku ktoś nawet strzelił.
- Cowboys musieli nieźle dostać w kość.
- Homer mówił, że ci awanturnicy domagają się pana głowy.
- Nie moja wina, że Cowboys przegrywają. No dobrze. Powiedz mu, że już tam jadę. Jeśli zadzwoni telefon i dowiesz się czegoś o dziewczynkach, natychmiast daj mi znać.
- Wszyscy z centrali telefonicznej są już poinstruowani.
- Bądź grzeczna. Widzimy się jutro rano.
- Niech pan na siebie uważa, szeryfie.

Bar Pod Kołem Woźnicy mieścił się osiem kilometrów na południe od Prairie. Wyglądał tak, jak się nazywał - przydrożna knajpa z szafą grającą. Franklin skręcił na parking i zobaczył pełno zakurzonych pikapów. Znacznie więcej niż zwykle.

Zaparkował obok radiowozu Homera. Zauważył, że od strony kierowcy drzwi są otwarte, a silnik wciąż pracuje. Wyglądało na to, że kierowca wypadł z niego w pośpiechu i uznał, że koniecznie musi zabrać ze sobą strzelbę. Szeryf przedarł się przez stadko wielkich harleyów stojących w pobliżu wejścia; dostrzegł po drodze kilka motocykli, których wcześniej tu nie widział. Nowe numery z Meksyku.

Gdy przechodził przez drzwi, pod butami zazgrzytało mu potłuczone szkło. W środku plecami do baru stał Homer z zakrwawioną twarzą. Dwaj mężczyźni trzymali lufę jego strzelby, a trzeci okładał go po brzuchu grubszym końcem kija bilardowego, krzycząc ile sił w płucach. Kij bilardowy trzymał J. T. Rawls. W lustrze za barem, które jakimś cudem ocalało, widać było jego poczerwieniałą twarz i płonące oczy.

- Dlaczego mnie nie zastrzelełeś, kiedy miałeś okazję, ty cholerny gnojku? - pytał J. T.
- Co? Odpowiadaj! Chcesz jeszcze? Dobra, ty...

- Dość tego - zawołał Franklin, przekrzykując odgłosy meczu z telewizji i wrzaski w barze. Wszyscy odwrócili głowy w jego stronę i szeryf uświadomił sobie, co widzą. Miał na sobie strój, który nosił codziennie, także w niedziele: eleganckie spodnie, wykrochmaloną białą koszulę i krawat, symbol dawnej chwały. Z jednej strony paska miał przypiętą odznakę, z drugiej - broń.

- Dość czego? - spytał Rawls, odwracając się chwiejnie na pięcie.

W barze zapadła cisza.

- Odlóż ten kij, J. T. - rozkazał Franklin. - A wy dwaj puśćcie Homera.

- Bo co? - stawiał się Rawls.

- Właśnie! - krzyknął ktoś. - Bo co?

Po alkoholu zawsze znajdowało się wielu chojraków krzyczących „bo co?” Wszyscy patrzyli na niego i powtarzali tę śpiewkę. Homer osunął się na podłogę. Jego strzelba leżała na blacie w kałuży piwa. Nastąpiło poruszenie i mężczyźni zgrupowali się po obu stronach J. T. Kilku, których nie znał, stanęło między nim a Rawlsem. To byli właściciele motocykli, potężni faceci w skórzanych spodniach i kamizelkach i z więziennymi tatuażami na bicepsach.

- Muszę zobaczyć, co z moim funkcjonariuszem. - Franklin ruszył w ich stronę, tak że musieli się rozstąpić.

Przedarł się przez tłum. Podchodząc w stronę baru, powstrzymywał się, żeby nie położyć ręki na broni. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

- Puść mnie, Davis - odezwał się do mężczyzny, w którego oczach dostrzegł wściekłość. I lży. Tyler, syn Davisa Pike'a, należał do grupy pościgowej. Mierzyli się

wzrokiem przez kilka sekund, aż w końcu Pike puścił Dixona. Wyglądał na załamane i zagubionego.

- Przykro mi z powodu twojego syna - powiedział Franklin i szedł dalej.

Policzył, że jest ich w barze około pięćdziesięciu. Większość, jeśli nie wszyscy, byli pijani w sztok i zupełnie nad sobą nie panowali. Wielu miało też broń. Za paskami spodni widział kilka rewolwerów i kilka strzelb opartych tu i ówdzie.

Zatrzymał się jakieś pół metra od J. T., który oddychał płytko, a jego oczy nienaturalnie błyszczały. Nagle Rawls chwycił strzelbę Homera.

- Oddaj mi broń, J. T. - powiedział Franklin łagodnie.

- Oddam ci obie lufy, morderco - odparł Rawls, zbyt pijany, by zauważyć, że mossburg ma jedną lufę.

- Nie jestem mordercą. Nigdy nie zabiłem nikogo, kto na to nie zasługiwał.

- Nie? A mój syn? A ci wszyscy biedni chłopcy, których wysłałeś na śmierć? Ich nie zabiłeś? Pozwoliłeś ich oskalpować! A córki tych, których tutaj widzisz? Co z nimi? Zniknęły, prawda? Równie dobrze mogą już nie żyć! Wiesz, co myślę? Myślę, że urządzimy ci tu proces, i to z ławą przysięgłych. Panowie, znajdzie się tu chyba dwunastu gniewnych ludzi?

- Dobrze mu powiedziałaś, J. T! - odezwał się ktoś.

- Kto chce zasiadać w ławie przysięgłych? Zgłaszać się.

Rozległ się chórek kolejnych, „ja”. Mężczyźni zacieśnili krąg wokół Rawlsa, szeryfa i leżącego na ziemi Homera.

- Natychmiast odłóż broń - rozkazał Franklin i zrobił krok do przodu.

Rawls cofnął się, unióś strzelbę do ramienia i wymierzył w serce szeryfa. Franklin zrobił jeszcze krok, aż lufa dotknęła mu mostka.

- Winny - powiedział Rawls, próbując odepchnąć szeryfa. Nagle runął na podłogę, jakby ktoś zabrał mu ziemię spod nóg. To Homer zdołał jakimś cudem kopnąć J. T. i przewrócić.

Franklin odsunął strzelbę i klęknął przy Homerze. Chłopak zatrzepotał powiekami, spojrzał w górę i się uśmiechnął.

- Dziękuję, synu - powiedział szeryf. - Nieźle jeszcze wierzgasz.

- Witam, szeryfie. Dzięki, że pan przyjechał.

- Nie ma za co. Chodź, zawiozę cię na ostry dyżur do Southwest Medical.

- Pojedziesz co najwyżej do piekła - warknął Rawls z podłogi i strzelił. Kula przeleciała jakieś piętnaście centymetrów nad głową szeryfa i zrobiła w ścianie baru dziurę

wielkości talerzyka.

Franklin chwycił za lufę, nim J. T. zdołał ponownie nacisnąć spust, i próbował skierować ją w stronę podłogi, by ewentualny strzał nikogo nie zranił. Nagle zobaczył błysk u wylotu lufy i poczuł ostry ból w przedramieniu. Wyrwał strzelbę z rąk Rawlsa i odwinął mu się kolbą. J. T. dostał w skroń i upadł na plecy. Próbował usiąść, ale nie dał rady. Sądząc po tym, jak wyglądał - padł na dobre.

Szeryf rzucił strzelbę za bar i odwrócił się w kierunku tłumu, który na niego naciskał, czując krew.

- Koniec na dziś, chłopcy - powiedział spokojnie. - Czas rozejść się do domów.

- Żaden koniec, do kurwy nędzy - warknął jeden z wielkich harleyowców. - Zaraz cię kopnę w...

- Szeryfie, szybko! - rozległ się od drzwi czyjś głos. W tym głosie było coś, co kazało wszystkim zebranym stanąć w pół ruchu i spojrzeć na nowo przybyłego. Był to Joe Beers. Wszedł do środka, spojrzał na bałagan, Homera leżącego na podłodze i natychmiast zrozumiał, co się dzieje.

Ruszył w stronę baru, roztrącając mężczyzn na boki. Ujął dłoń szeryfa i potrząsał nią energicznie, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

- Po drodze do miasta zobaczyłem pański wóz. Boże, jak się cieszę, że pana tu znalazłem. Zamierzałem jechać do ratusza. Wszyscy tam teraz są całe miasto. Chcą panu podziękować, że nasze córeczki wróciły bezpiecznie do domu.

- Chcesz powiedzieć, że są z powrotem w mieście? - zapytał mężczyzna stojący najbliżej drzwi, którego alkohol jeszcze nie rozłożył całkowicie.

W barze zapadła głucha cisza.

- On kłamie - mruknął Rawls. - Nie wierz w ani jedno jego słowo.

- Wszystkie. Co do jednej. Żona właśnie dzwoniła do mnie na komórkę i powiedziała mi o wszystkim. Nie dalej jak dziesięć minut temu pod ratusz podjechała stara furgonetka i wysadziła je. Z tego, co słyszałem, całą piątkę. To chyba cud. Moja Sherry już tam pojechała po Charlotte.

- Nic im nie jest? - zapytał Franklin.

- Nie. Sherry twierdzi, że są całe i zdrowe. Zadzwoiła na pogotowie, karetka już jedzie. Chcą przebadać dziewczynki, żeby upewnić się, że wszystko jest w porządku.

- Tak po prostu je przywieźli? - nie mógł się nadziwić David Pike.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć, Joe.

- Z tego, co wiem, nasz szeryf pojechał do Meksyku, do Nuevo Laredo i pogadał z

Meksykańcami. Byli tam tylko we dwóch, szeryf Dixon i Homer. Trzeba mieć jaja, żeby coś takiego zrobić. Możecie teraz podziękować szeryfowi i Homerowi. Nauczcie się wreszcie dobrych manier.

Davis Pike ukląkł obok Homera i otarł mu krew z nosa i ust.

- Możesz chodzić? - spytał chłopaka Franklin.

- Chyba tak, szeryfie.

Franklin i Davis zdołali postawić Homera na nogi. Każdy zarzucił sobie jedno jego ramię na szyję i ruszyli w stronę drzwi. Mężczyźni wpadali na siebie, ustępując z drogi policjantom. Wyglądali na zdumionych i unikali wzroku szeryfa.

- Zabiłeś mi chłopaka, ty sukinsynu! - krzyknął Rawls. - Jeszcze cię dopadnę, słyszysz?

- Czasami się zastanawiam, po której ty jesteś stronie, J. T. - odparł Franklin, zatrzymawszy się przy drzwiach, żeby na niego spojrzeć. - Teksasu czy Meksyku?

- Co, do cholery, chcesz przez to powiedzieć?

- Dobrze wiesz.

Po tych słowach zapadła grobowa cisza.

20

Quarterdeck

Bieg historii, jak celnie zauważył Winston Churchill, zawsze ulega zmianie z tego czy innego powodu - jeśli nie z powodu podkowy, to z powodu przechwyconego telegramu. Churchill miał, rzecz jasna, na myśli telegram Zimmermanna, przechwycony i odszyfrowany przez naszych chłopców z pokoju numer 40 w 1917.

- Tak - powiedział C. - Każdy chłopak w Anglii zna tę szpiegowską sagę. Prawda, Alex?

- Chyba kiedyś coś o tym słyszałem - odparł Hawke, odrywając wzrok od zimowej scenerii za oknem i patrząc z uśmiechem na swoich towarzyszy. Od jego powrotu do Anglii minęło już kilka miesięcy, ale nadal czuł się osłabiony. Odpoczywał o wiele więcej, niż powinien, wciąż jednak nie odzyskał pełni sił.

Ambrose przerwał przemowę, pociągnął łyk whisky i uśmiechnął się do Aleksa.

Hawke był dziś jakby nieobecny duchem i wyraźnie nie w sosie. Siedział przy oknie i wpatrywał się w gęstwinę lasu. Coś go gryzło, a Congreve nie miał pojęcia co.

C zajął swój ulubiony fotel koło kominka, na którym płonął ogień. Był przeziębiony, więc szyję miał owiniętą czarnym kaszmirowym szalem, a na nogach wełniane papucie. Choć męczył go kaszel, właśnie zapalał jedno ze swoich czarnych cygar.

Deszcz dzwonił o wysokie okna w bibliotece, w której trzech mężczyzn schronili się przed nadciągającą burzą.

Pół godziny wcześniej, pod rozświetlonym niebem, Hawke zjechał bentleyem z autostrady A30. Krętymi bocznymi drózkami pośród sosnowych lasów dotarł do Windsoru, a stamtąd do Bagshot, by w końcu zatrzymać się przed niepozorną bramą w kamiennym murze otaczającym posiadłość zwaną Quarterdeck.

Samotny strażnik - prawdopodobnie policjant w cywilu pełniący tu służbę - skinął ręką żeby wjechali do środka. Oczywiście posiadłość szefa wywiadu miała znacznie liczniejszą ochronę, ale ten nierzucający się w oczy uzbrojony mężczyzna był jedyną osobą jaką mogli dostrzec postronni obserwatorzy. Sąsiedzi, oddaleni w każdym sensie tego słowa, nie mieli pojęcia, kto mieszka na końcu tej drogi.

Posiadłość nie była duża, ale urocza. Wzniesiony na początku XIX wieku dom znajdował się w spokojnej okolicy na skraju parku Windsor. Samotny kawaler mógł się tu rozkoszować wygodami i prywatnością. Kiedy zjechali z doskonale utrzymanego żwirowego podjazdu na parking, Hawke uświadomił sobie, dlaczego zawsze tak podziwiał ten dom. Z powodu prostoty. Quarterdeck powstał na planie prostokąta. Wzniesiono go z wapienia z Bath, który z czasem nabrał przyjemnego odcienia zielonkawej szarości. Nad płytkim portykiem pięła się wiekowa wisteria. Na piętrze oplatała balkon, na który wychodziły okna pokoju Trulove'a.

Zaproszenie do domu szefa wywiadu było czymś naprawdę niezwykłym. C zaprosił Hawke'a i Congreve'a na obiad, ale uprzedził, że będzie to posiłek roboczy, nieformalna pogawędka na rozmaite tematy. Alex domyślał się, że Trulove był ciekaw rezultatów ich wizyty w szpitalu Tunbridge Wells. Chciał usłyszeć, czego Ambrose dowiedział się od zmarłego ambasadora Zimmermanna.

Congreve przechadzał się po bibliotece z założonymi do tyłu rękami. Miał na sobie ulubiony tweedowy garnitur i - tak jak jego nieodżałowany idol, świętej pamięci diuk Andrew Devonshire - jaskrawożółte ręcznie dziergane skarpetki. Zdążył już przekazać C większość informacji, jakie uzyskał od umierającego Niemca.

Nagle zatrzymał się w pół kroku. Stał pośrodku wyblakłego perskiego dywanu, z

głową otoczoną idealnym kółkiem niebieskiego dymu i czekał na jakąś reakcję Hawke'a.

Ale się nie doczekał.

Alex wpatrywał się zamyślony w okryty mgłą las. Grube pnie i nagie gałęzie odcinały się na tle burzowego szarego nieba. Od dziecka odnajdował w lesie jakąś magię. Uświadomił sobie, że nadal ją dostrzega. Wreszcie oderwał spojrzenie od drzew za oknem i uśmiechnął się do Congreve'a.

- Przepraszam. Mówiłeś coś o pokoju numer 40 - powiedział. - Przypomnij mi historię tych chłopaków. Zdaje się, że nie było o nich specjalnie głośno.

- Właśnie - poparł go C i zaciągnął się cygarem. - Mógłbyś nam obu odświeżyć pamięć. Mamy jeszcze kilka minut do obiadu.

- To było najpilniej strzeżone pomieszczenie w całym Whitehall - podjął Congreve, znów rozpoczynając maszerowanie przed kominkiem. - Za drzwiami z niewinną tabliczką „Pokój 40” umieszczono dwóch cywilów, którzy zajmowali się kryptografią. Pewnego ranka, w bardzo krytycznej fazie wojny, przechwycili niemiecki telegram zakodowany w sposób, jakiego dotąd nikt nie widział. Ale ci dwaj - Montgomery i De Gray - byli zdeterminowani. W końcu złamali szyfr i znaleźli klucz do całości.

- Jakiej znowu całości? - spytał Hawke. Opowieść Ambrose'a zaciekała go. - Uczyłem się o tym w szkole, ale od tego czasu sporo wody upłynęło w Tamizie.

- Do wojennego pata, rzecz jasna - wyjaśnił C. - Fatalnej blokady, z powodu której armie obu stron tkwiły w okopach wzdłuż całego zachodniego frontu.

- I cóż to był za klucz?

- Kluczem do wyjścia z tej patowej sytuacji - ciągnął C - było przekonanie prezydenta Woodrowa Wilsona, że Szwaby zamierzają dobrać się do skóry Jankesom. Chodziło o to, żeby Jankesi włączyli się do tej cholernej wojny. Telegram Zimmermanna wysłany do ambasady w Meksyku ujawnił dwulicowość Niemców. I fakt, że Meksyk chciał przystąpić do wojny po stronie Niemiec.

- I udało się - dodał Congreve. - Kiedy treść telegramu opublikowano w amerykańskich gazetach, tamtejsza opinia publiczna natychmiast zwróciła się przeciwko Niemcom. Wilson nie miał już wymówek.

- Amerykanie uświadomili sobie prawdziwe zamiary Niemców i Meksykanów. Przeczytali o nich w gazecie przy śniadaniu.

- I ruszyli do Europy. W ten sposób telegram Zimmermanna uratował angielski bekon - dopowiedział Hawke, wodząc wzrokiem za rozproszonym kluczem gęsi muskającym czubki drzew.

- W rzeczy samej - przyznał C, wydmuchując obłok szarego dymu. - Nikt z nas nie lubi się do tego przyznawać, lecz tak właśnie było.

- Ale co ta stara historia ma wspólnego z naszą obecną sytuacją?

- Z obecną sytuacją? - powtórzył sir David, patrząc uważnie na Aleksa. - To proste. Meksykańscy zdrajcy znów podnoszą swój ohydny łeb. Amerykanie ignorują ten problem od blisko stu lat. Ale dłużej nie mogą przymykać na to oka.

- Na południowym froncie nie do końca bez zmian - rzekł Alex, parafrazując tytuł znanej powieści.

- Tak - rzekł C, delektując się trafną parafrazą. To był dobry skrót dla tego, o czym właśnie myślał. - Meksykanie byli kluczem do pierwszej wojny światowej. I mogą stać się kluczem do następnej.

- I w obu przypadkach mamy do czynienia z ambasadorem o nazwisku Zimmermann - dodał Congreve.

- Zbieg okoliczności? - zastanawiał się Hawke.

- Być może - odparł C. - Historia lubi się powtarzać.

Wstał i zatarł dłonie.

- Panowie, nie wiem, jak wy, ale ja zgłodniałem. Jestem pewien, że w jadalni czeka na nas zastawiony stół. Dokończymy rozmowę przy posiłku, dobrze? Pójdę zamówić dobrego klareta do tej wybornej gęsi, którą dostaniemy na obiad.

Wyszedł przez podwójne drzwi na korytarz prowadzący do jadalni.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Hawke'a Congreve.

- Chyba tak.

21

Congreve, który widział Aleksa w różnych nastrojach, także nie najlepszym, uważał, że jego obecny brak skupienia nie jest efektem zmęczenia czy łagodnej infekcji, lecz ciągłej ciekawości nienasyconego umysłu. Temu właśnie Hawke zawdzięczał błyskawiczny sukces zarówno w wojsku, jak i na rynkach finansowych, a także niedawne triumfy w groźnym świecie międzynarodowego szpiegostwa. Umysł Aleksa wciąż pracował nad szerokim spektrum tematów, przystając tylko na chwilę, by znów popędzić dalej. Congreve sądził, że liczyło się tylko to, co przyswajał w trakcie owych krótkich przystanków. Fachowo nazywało

się to retencją.

Hawke potrafił zaskoczyć ludzi, którzy traktowali go jako kolejnego bogatego arystokratę uprawiającego rodzinne winnice lub zbyt pochopnie oceniali jego siłę i odwagę. Zabrakłoby palców u rąk, by zliczyć drani, którzy popełnili śmiertelny błąd, nie doceniając Hawke'a.

- Idziemy? - spytał Congreve, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela.

- C na nas czeka.

- Oczywiście. Przepraszam za to roztargnienie. Chyba znowu dopadła mnie gorączka. Rzuca mi się na mózg. Obiecałem C, że zadzwonię do Consueli w sprawie zaproszenia na tę cholerną konferencję na Key West. Nie zrobiłem tego, a C na pewno o to spyta.

- Dlaczego do niej nie zadzwoniłeś?

- Bo ta kobieta mnie nienawidzi. Czuje się zdradzona, i nie bez przyczyny. Zachowałem się jak gnojek. Nie mam pojęcia, jak wypełnić polecenie C. Wiem, że powinienem pojechać na Florydę. Ta konferencja będzie chyba ważna.

- Sprawy osobiste nie powinny przesłaniać zawodowych. Wymyśl coś. Przy obiedzie pociągnij jeszcze temat historii. Zadzwonisz do niej, jak tylko wrócisz do domu.

- I co jej powiem?

- Na początek powiedz, że nie możesz bez niej żyć.

- Nie będę jej okłamywał.

- Jesteś pewien, że to będzie kłamstwo?

- Sam nie wiem.

Hawke zerknął na Congreve'a i wyszedł, nic już nie mówiąc. Na razie Conch miała pozostać zagadką jak zawsze.

C siedział przy owalnym stole, nalewając do kieliszków chateau batailley rocznik 1989. Hawke już dawno nauczył się nie poruszać tematu niezachwianej lojalności C wobec francuskich winiarzy, jeśli wręcz nie wobec ich koszmarnego rządu. Wszelkie tego rodzaju dyskusje okazywały się tyleż bezowocne, co nieprzyjemne.

- Ambrose, opowiedz nam dokładnie, jak to się stało, że ten przechwycony telegram wszystko zmienił - zagaił, kiedy usiedli.

- Z przyjemnością o ile sir David nie zna tej historii na wylot.

Trulove uniósł wzrok znad talerza z przystawką.

- Nie powiem, żebym się nie orientował w tym temacie. Ale mój apetyt na wojenne opowieści jest znacznie większy niż chęć na tę cholerną galaretkę. Proszę, Ambrose, opowiedz o tym.

- Widzisz, Alex, na początku 1917 Niemcy przyparli nas do muru. Na zachodnim froncie zaczynało nam brakować świeżych żołnierzy i świeżych pomysłów. Jednego dnia posuwaliśmy się o metr przez błoto, by następnego stracić ten metr w krwawej rzezi. Tylko pod Verdun zginęło pół miliona ludzi. Nasi francuscy sojusznicy byli wykrwawieni, a Rosjanie ledwo dyszeli.

- Ale to cholerne U-Booty zapędziły nas w kozi róg - wtrącił sir David.

- Właśnie. U-Booty odcięły naszą małą wysepkę od dostaw żywności i innych zapasów. Brakowało nam wypoczętych żołnierzy, ludzi, którzy wciąż mieli wolę walki.

- Czyli Jankesów.

- Zgadza się. Prezydent Wilson za wszelką cenę chciał trzymać Jankesów z dala od wojny. Ale nasz rząd wiedział, że tylko wejście Stanów Zjednoczonych do gry może przepędzić niemieckie hordy spod brytyjskich drzwi. W okopach panował pat, a U-Booty krążyły dookoła, gotowe dopaść każdego. I wtedy nam się poszczęściło, bo przechwyciliśmy telegram Zimmermanna.

- Meksykański rząd skusiła perspektywa odzyskania utraconych terytoriów na południowym zachodzie, tak? - zapytał Hawke.

- Dokładnie tak - potwierdził Congreve. - Od naszego ambasadora, który wczoraj pożegnał się z tym światem, dowiedziałem się podobnych rzeczy. Ci latyno-arabscy terroryści opracowują nader pomysłowe strategie ataków z terytorium Meksyku. Granica z Meksykiem to wciąż pięta achillesowa Stanów. Ich największa słabość.

- Czyli współczesny Zimmermann podążał tropem swego słynnego imiennika. Podgrzewał nastroje w Meksyku.

- Na razie nie wiemy, dlaczego nagle zmienił zdanie i skontaktował się z nami - wtrącił C. - Rozumiem, Alex, że przywiozłeś ze sobą ten list z łoża śmierci, o którym słyszałem?

- Tak, sir - odparł Hawke, sięgając do wewnętrznej kieszeni. - Ale jest napisany szyfrem. Wygląda to na przypadkowy ciąg liczb, ale oczywiście muszą one coś znaczyć.

Podał Trulove'owi złożony na pół list Zimmermanna.

- Przekażę to natychmiast naszej sekcji kryptologicznej - powiedział C.

Musiał wcisnąć stopą jakiś guzik w podłozie, bo po chwili w drzwiach pojawiło się dwoje ludzi - mężczyzna i bardzo piękna młoda kobieta.

- Słucham, sir? - odezwał się mężczyzna.

C podał mu kopertę.

- Przekaż to do działu kryptologii, Geoff. Z notatką ode mnie. Napisz, że Alex Hawke

dostał ten list od umierającego niemieckiego ambasadora.

- Tak jest, sir - odparł mężczyzna.

- O, Pippa - zwrócił się C do kobiety. - Pewnie pamiętasz Aleksa Hawke'a? To on leci w przyszłym tygodniu na konferencję na Key West. Polecisz jako jego asystentka. Dopilnuj, żeby miał wszystko, czego będzie potrzebował.

- Oczywiście, sir - odparła Gwendolyn Guinness. Nim wyszła z pokoju, zerknęła przelotnie na Aleksa Hawke'a.

C uśmiechnął się pod nosem i rzucił:

- Bystra dziewczyna. Jestem pewien, że się dogadacie.

Hawke poruszył się niespokojnie na krześle. Wiedział, że Trulove celowo stawia go w niezręcznej sytuacji.

- Bardzo przepraszam, sir, ale jeszcze nie rozmawiałem z panią sekretarz o moim udziale w konferencji. Ogromnie mi przykro. Zamierzam zadzwonić do niej wieczorem.

- Nie trzeba, Alex. Ja z nią rozmawiałem. Nie dalej jak dziś rano. Oczekuje cię piętnastego grudnia. - C wstał i podszedł do kredensu. - Komuś jeszcze dołożyć gęsi?

Hawke wykorzystał okazję, by szepnąć do Congreve'a:

- Sam czuję się jak głupia gęś. Na dodatek C posłużył się panną Guinness, żeby wyrwać mi ostatnie piórko z...

- Nie złość się na niego - odszepnął Ambrose. - Pamiętaj, że nie najlepiej się czuje.

- No tak, rzeczywiście - mruknął Hawke. - Szpieg, który się skichał.

22

Dry Tortugas

Stoke wynurzył się w cieniu kadłuba „El Bandito”. Rozglądając się w poszukiwaniu płetwy grzbietowej rozcinającej wodę, spostrzegł, że w górze majaczy jakiś ciemny kształt. W oślepiającym słońcu nie mógł rozpoznać twarzy, ale to był na pewno Sharkey. Więc Luis zdążył już dostać się na pokład. Stoke musiał iść po linie dłużej, niż mu się wydawało. Postukał palcami w szkło maski. Dlatego wszystko jest takie zamazane? Chyba do środka musiało nalecieć wody.

Albo to, albo ten cały cholerny świat się wykoleił.

Luis wychylił się przez burtę i podał Stoke'owi rękę, by pomóc mu wejść na drabinę. Stokely odetchnął z ulgą. Jeszcze minutę wcześniej, kiedy wspinał się po linie kotwicznej, był tak osłabiony, że zastanawiał się, jak wdrapie się na pokład. O ile w ogóle zdoła dotrzeć do powierzchni.

- Dawaj, człowieku! Wylaż z tej wody! - zachęcał go Luis.

Stoke spojrział w górę i się uśmiechnął.

- Gdzie ten cholerny rekin?

- Przecież mówię, ale mnie nie słuchasz. Jak myślisz, czemu tak szybko wylażłem z wody? Ten mako węszy po powierzchni. Właśnie popłynął na drugą stronę łodzi. Rzuciłem mu trochę flaków. Dawaj, bosmanie, złap mnie za rękę.

- Flaki? Rzuciłeś mu flaki?

- Łap mnie za rękę, człowieku. Nie ma czasu!

- Ruszam się najszybciej, jak mogę - odparł Stokely.

Luis nie wyglądał na faceta, który byłby w stanie wyciągnąć z wody średniej wielkości samochód. Dzięki Bogu miał więcej siły, niż mogłoby się wydawać. Stoke ostatkiem sił wspinał się po szczeblach drabinki, dał krok przez burtę i zataczając się, ruszył w stronę sterówki. Musiał zejść ze słońca i położyć się na chwilę. Prawie udało mu się dotrzeć do drzwi. Wypłwiały zielony pokład wyszedł mu z nienacka na spotkanie. Nim zdążył uderzyć o deski, Luis chwycił go za butlę i przytrzymał.

- Spokojnie, szefie. Odpocznij chwilę.

- Flaki? - przypomniał sobie Stoke, padając na kolana. - Ranny nurek wychodzi na powierzchnię, a ty rzucasz flaki do wody? Jezu, Luis!

- Mówiłem, że rzucałem na drugą stronę. Żeby go czymś zainteresować.

- No tak, ale mimo wszystko...

- Cholera, Stokely, musimy cię zabrać do szpitala. Krwawisz. Jest coraz gorzej.

- Nic mi nie będzie. Zdejmij ze mnie tę cholerną butlę. Odetnij kawałek tej gumowej rurki i zaciśnij mi ją powyżej łokcia. Mocno. ABC pierwszej pomocy.

- Tak? - upewnił się Luis, ciągnąc rurkę zębami.

- Dobrze, załapałeś. Jest nieźle, ale ściśnij jeszcze mocniej.

Stoke usiłował wstać, ale nie zdołał. Groziła mu utrata przytomności. Położył się na pokładzie i przewrócił na plecy. Nad głową miał błękitne niebo. Próbował skupić wzrok na białej chmurce, która wisiała tuż za rufą. Rozmazywała mu się przed oczami, lecz może właśnie taka była. Na mostku dostrzegł Luisa seniora. Stary siedział oparty plecami o koło i patrzył na pokład z zaniepokojoną miną. Kapitanowie nie znoszą ludzkiej krwi na pokładzie.

O co wszyscy tak się obawiali? To przecież tylko draśnięcie. Problem w tym, że opaska uciskowa nie działała za dobrze. Kiedy ma się ramiona wielkości nóg fortepianu, przybory normalnych rozmiarów kiepsko się sprawdzają.

Sharkey odciął kolejny fragment wężyka, zawiązał na ramieniu Stoke'a i zacisnął mocno powyżej pierwszej opaski. Krew przestała płynąć.

- No proszę, teraz znacznie lepiej - orzekł Luis.

- Zrobiłeś zdjęcia? - zapytał go Stoke.

- Z każdej strony. Cyknałem nawet kokpit i pilota. Przecież mówiłem, że jest tam coś ważnego. Widziałeś te cholerne rakiety?

- Tak. Kiedy wrócimy, przypomnij mi, żebym dał tobie i ojcu premię. A teraz posłuchaj mnie uważnie, Sharkey. Musisz uruchomić radiostację i zawiadomić Straż Wybrzeża. Ale najpierw ustal nasze położenie na GPS-ie, żeby im podać. Powiedz, żeby wysłali tu natychmiast śmigłowiec albo kuter i... W czym problem?

- Człowieku, zaglądałeś do tej sterówki? Mój stary nie ma najnowszych gadżetów na pokładzie. Chciałem mu dać na urodziny ręcznego GPS-a, ale mało mnie nie zabił. Twierdził, że jeszcze nigdy w życiu się nie zgubił.

- Ale radio chyba ma?

- Tak, radio ma.

- To dobrze. Przynieś jakąś mapę. Musimy ustalić, gdzie jesteśmy. Potem wywołaj przez radio Straż Wybrzeża i powiedz im, co się dzieje. Sprawa dotyczy bezpieczeństwa narodowego, rozumiesz?

- Przyniosę mapę i nadam meldunek - odparł Luis, wstając. - A ty poleż tu. Nie wyglądasz najlepiej. Chcesz trochę rumu? W ładowni jest flaszeczka.

- Nie piję. Ale dziś zrobię wyjątek. Daj mi lufkę. Możesz też polać trochę rumu na ranę.

Sharkey sięgnął do ładowni po butelkę bacardi. Właśnie podawał ją Stoke'owi, gdy rozległ się odgłos strzału.

Stoke podniósł głowę i zobaczył, jak Luis obraca się, a z jego prawego ramienia tryska krew. Co jest, do cholery? Sharkey nie przestawał się obracać, próbując ustalić, skąd nadleciała ta przeklęta kula.

- Na pokład, zanim obaj dostaniecie w łeb! - krzyknął Stokely.

O burtę uderzyły dwie kolejne kule.

- Ja piernicę, człowieku, dostałem! W zdrową rękę! - jęknął Sharkey, padając na pokład. - Cholera! Gdzie on jest? Skąd ten strzał? Nikogo nie widziałem.

Chciał unieść głowę nad burzę, ale Stoke chwycił go za pasek i pociągnął w dół. Spojrzał na ramię Luisa. Zaledwie draśnięcie, mała czerwona kreska na skórze.

- Nie wychylaj się, do cholery! I powiedz ojcu, żeby też leżał!

- Na tym mostku siedzi wystawiony jak kaczka! Jeśli zejdziesz po drabince, to po nim.

- No to niech uważa na siebie i się nie wychyla. Może ten, kto strzelał, go nie widzi.

Powiedz mu, żeby siedział cicho i nie podnosił głowy.

Luis powtórzył to wszystko po hiszpańsku. Stary skinął głową i się uśmiechnął.

- Odwagi, synu - powiedział po angielsku. - Bóg pomaga tym, którzy w Niego wierzą. Jeśli zechce, to nas ocali. Ale jeśli uważa, że czas nas wezwać do siebie, to nie bój się. Pójdziemy razem.

Stoke zerknął z podziwem na chudego staruszka.

- Skąd strzelano, szefie? - zapytał Luis. Obaj wyglądali ponad burzę.

- Chyba z tej wysepki po lewej - odparł Stoke. - Widzisz? Tam, gdzie morze wyrzuca te wszystkie śmiecie. Zanim wylądowaliśmy, widziałem jak coś tam się rusza. Cholera! Masz jakąś broń na łodzi?

- Tak. Na dziobie jest pukawka. Pod koją taty.

- Pistolet czy strzelba? Powiedz, że strzelba.

- Półautomatyczna. Specjalny model z takim uchwytem, że można strzelać jedną ręką. Magazynek na trzydzieści pocisków.

- Doskonale. Chcę, żebyś tam poszedł i ją przyniósł. Ale trzymaj głowę nisko, na poziomie burty. Nie rznij tu bohatera. Po prostu idź na dziób i przynieś broń.

Sharkey zaczął się czołgać w stronę otwartych drzwi. Stoke'owi nie podobała się jego mina. Dzieciak wyraźnie miał pełno w spodniach.

Snajper wystrzelił jeszcze dwie kule, które rozbiły szyby w sterówce od lewej burty. Obu mężczyzn zasypał grad szklanych okruchów. Snajper miał albo kiepskie oko, albo mnóstwo amunicji. Tak czy inaczej, trzeba się było nim szybko zająć. Stoke nie chciał zemdleć i zostawić z tym problemem obu Luisów.

Dwie minuty później Sharkey wrócił ze strzelbą i zawilgoconym kartonowym pudełkiem pełnym naboju. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że gdy podawał Stoke'owi amunicję, pudełko rozpadło się, a naboje rozsypały się po całym pokładzie. No cóż, Luis właśnie przechodził twarde szkolenie w praktyce. Można by powiedzieć, że hartował się w prawdziwym ogniu. Stoke sprawdził komorę i magazynek. Strzelba była naładowana.

- Już wiem! - zawołał Luis. - Dziwne, że wcześniej na to nie wpadłem.

- Na co nie wpadłeś?

- Rozdzielimy się!
- Rozdzielimy?
- No, odjedziemy! Tata jest za sterem! Odpali silnik i płyniemy. Zostawimy tu drania, niech gnije na słońcu. Do czorta z nim.
- A co z żelastwem?
- Znaczy z kotwicą?
- Tak. Kto pójdzie na dziób i stanie, żeby ją wyciągnąć? Tata czy ty?
- No tak, kotwica. Cholera, zapomniałem o niej.
- W takich sytuacjach, Luis, każdą decyzję musisz dokładnie przemyśleć. Tak się robi w tej branży.
- Więc co robimy?
- Właśnie się zastanawiam.
- Ja chcę tylko stąd zwać - zaznaczył Sharkey.

23

La Selva Negra

Między okrągłymi chatami rozpostarto mocne konopne mosty. Tylko ten, który przechodził nad rzeką zbudowano ze stali.

Rzeka Igapo, dopływ wielkiej Rio Negro, stanowiła naturalną granicę między dwiema sekcjami wioski terrorystów. Poza pasami startowymi ukrytymi głęboko w dżungli była jedyną drogą wejścia do tego świata. Wschodni kraniec chroniła seria groźnych wirów. Dodatkowo - zarówno ze wschodu, jak i z zachodu - rozmieszczono miny wodne.

Top wybrał miejsce bardzo starannie. Jego wioska musiała powstać tam, gdzie nie odważyłby się zapuścić żaden człowiek, nawet gdyby mógł. Pod wielkim dachem dżungli za dnia była niewidoczna z powietrza. Nocą obowiązywały ścisłe reguły zaciemnienia, w razie gdyby jakimś cudem nad bezkresną powierzchnię lasu zapuścił się jakiś samolot.

Żadne bezzałogowe samoloty szpiegowskie ani satelity nie byłyby w stanie odróżnić tego kawałka zieleni od milionów hektarów, które go otaczały. Drzewa były tu tak wysokie, że nawet za pomocą czujników promieniowania termicznego nie dało się wykryć żywych istot, które pod nimi mieszkaly. Tymczasem pod dachem dżungli znajdował się zupełnie inny

świat. Świat wymyślony przez Topa.

Główna wioska, Centro, była centrum tego świata. Wokół niej na przestrzeni wielu kilometrów niczym krążące po orbitach księżycy znajdowały się różne obozy. W obozach wojskowych mieszkali i pracowali żołnierze. Istniały też tajne obozy szkoleniowe i obozy pracy przymusowej, które utrzymywały armię Topa i chroniły centrum.

No i rzeka. Mimo ciemnej barwy wody Rio Negro i jej dopływów były czyste. Ale nie dlatego Top wybrał to miejsce. Jego potrzeby były znacznie bardziej wyrafinowane. Wiedział, że tu rzeka jest głęboka i zimna, więc woda zawiera mało substancji odżywczych i ma wysoką kwasowość. Dlatego było tu zdecydowanie mniej kęsających meszek i komarów.

Papa Top zaś był człowiekiem z pasją ale i niezwykle praktycznym, a tak się składało, że nie znosił owadów.

Nad Igapo przerzucono most na tyle wytrzymały, że mogły po nim jeździć małe bezzałogowe czołgi, które stale patrolowały teren. Stanowił on połączenie obu połówek jego świata. Jedna poświęcona była podtrzymywaniu życia i nabożeństwu, druga - śmierci i destrukcji. Most, który łączył dwie strony tego równania, Top nazwał La Qantara, na cześć mitycznego mostu łączącego jego ukochaną syryjską ojczyznę z sąsiednim Libanem, Jordanią i Palestyną. Qantara była symbolicznym mostem jedności. Pewnego dnia, jeśli Allah pozwoli, on zbuduje podobny most między tymi narodami.

Misja zbudowania świętego mostu stała się jego celem. Ale Papa Top przysiągł, że wzniesie go dopiero pod koniec życia. Dopiero wtedy, gdy jego armie zaczną siać śmierć i zniszczenie wrogom na północy i rzucą ich na kolana, by błagali Boga o litość.

Szeroka rzeka płynęła spokojnie pod niemal niewidoczną siatką imitującą listowie, rozciągniętą na wiele kilometrów w obu kierunkach. W Centro rzeczy prymitywne funkcjonowały obok najnowszych technologii. Wojenne łodzie dłubanki cumowały po wschodniej stronie doków. W ciągu dnia indiańskie szczepy wojenne, które służyły Papie Topowi, wsiadały do tych łodzi i patrolowały rozległą sieć dopływów Igapo. Intruzów odstraszano albo zabijano, jeśli zbliżyli się za bardzo.

Za dłubankami cumowały szersze łodzie, o większym zanurzeniu, wyładowane produktami żywnościowymi. Przypłynęły nocą i wciąż czekały na rozładunek.

*

Wioska powoli budziła się do życia. Zasłonięte okna jarzyły się lekko od ognia w środku. Dumni strażnicy w zielonych mundurach wylewali się na szerokie mosty i zjeżdżali windami na ziemię. Tam oczekujący na nich generałowie i niżsi rangą oficerowie wydawali rozkazy i ustawiali w szyku do ćwiczeń.

Na pobliskiej polanie widać było światła formującego się konwoju uzbrojonych pojazdów terenowych. Ta zmotoryzowana grupa szykowała się do drogi na pas startowy, skąd miała przywieźć ważnego gościa.

Papa Top był bardzo zadowolony z wizyty swego potężnego zwierzchnika mułły Khana. Khan, błyskotliwy irański lekarz i naukowiec, kończył właśnie długą podróż z Teheranu. Przekraczał granice, legitymując się fałszywymi paszportami, które sam sobie wystawiał. Najpierw doleci do Buenos Aires, a stamtąd na małe lotnisko na przedmieściach. Z lotniska zabierze go samolot i lecąc tuż nad drzewami, dowiezie go na ukryty pas startowy, z którego korzystali mieszkańcy La Selva Negra.

- Góra przyjeżdża do Mahometa - roześmiał się Top sam do siebie. Jeszcze raz zlustrował działające jak w zegarku trybiki swojego imperium i wrócił do chaty, żeby się ubrać. Zanim przyjmie swego gościa w Wielkiej Sali Niebieskiego Meczetu, musi się jeszcze przygotować.

Dzisiaj zaczyna się najważniejszy okres w moim życiu, myślał, obserwując w wysokim lustrze swoje mocne ciało. To będzie jak coś w rodzaju ponownych narodzin. Na taką chwilę triumfu trzeba się odpowiednio ubrać.

Top miał głęboko osadzone, ciemne przenikliwe oczy pełne spokoju. Były z nich siła i intelekt, a kiedy jego spojrzenie spoczywało na czymś lub na kimś, można było odnieść wrażenie, że zawłaszcza to, pożera wzrokiem. Miał oliwkową skórę, błyszczącą i naprężoną i ani jednego włosa na głowie. Nawet brwi i rzęs. Pod długim nosem widać było wydatne wargi pokryte plamkami.

Otwierał usta, tylko kiedy mówił, a wtedy rozchyłał je szeroko, odsłaniając śnieżnobiałe mocne zęby i różowe dziąsła. Gdy mówił w gniewie, oczy wychodziły mu na wierzch; wyglądały wtedy bardziej jak u zwierzęcia niż u człowieka i płonęły jakimś ogniem zupełnie nie z tego świata.

Wielka głowa Topa spoczywała na szerokiej szyi pokrytej żyłami, osadzonej na szerokich ramionach nieziemskich wręcz rozmiarów. To były bary giganta. Nie obchodziło go, ile waży, bo przecież dbał o siebie. Co noc przed snem wypijał czarkę byczej krwi. Tego zwyczaju nabrał podczas lat spędzonych w dżungli. Zresztą wkrótce i tak miał ruszyć do boju.

Wybrał czarną burkę przetykaną złotymi nićmi. Zobaczył podobną na rysunku w starej książce o życiu Czyngis-chana i kazał swoim tkaczom wykonać jej replikę. Widział, jak idealnie układa się na jego potężnych ramionach. Tak. Doskonale. Musi jeszcze wybrać jakieś nakrycie głowy. Złoty turban? Nie. Nie dzisiaj. Lepsze będzie coś mniej rzucającego się w oczy. Obawiał się, że nie ma nic takiego w garderobie. A jednak coś znalazł.

Pod jednym z okien stał wielki drewniany krzyż. U jego podstawy namalowano białą czaszkę, na ramiona naciągnięto rękawy złachanego surduta, którego poły leżały na podłodze z prostych desek, a na szczycie krzyża wisiał zniszczony melonik. Drewno wychodziło przez dziurę w górnej części kapelusza. Wokół podstawy krzyża całą noc płonął krąg białych i czarnych świec.

Ten totem, rzadko znajdujący w domach synów islamu, był tajną bronią Papy Topa. Towarzyszył mu całe życie, a odziedziczył go po swojej matce, potężnej haitańskiej kapłance wudu zwanej Mamą Top. Totem przedstawiał Boga Cmentarzy, Wodza Legionu Zmarłych, który na ziemi przybrał ludzką postać Papy Topa. W tej części Amazonii Top był największym znawcą wszystkiego, co dotyczyło grobu. Był mrocznym bogiem wudu, który podbił pierwotnych mieszkańców dżungli i wciąż miał ich pod kontrolą.

Muhammad Top szczerze wierzył we wszechmocnego Allaha i polegał na Jego woli we wszystkim, ale jako człowiek przezorny i praktyczny zawsze uważał, że warto mieć religię zapasową. Strach przed wudu dobrze służył jego celom. W końcu mieszkał w otoczeniu szlachetnych dzikusów, którzy kłaniali się tylko Papie Topowi.

Włożył zniszczony melonik Papy Topa i spojrzął w lustro. Niezadowolony z efektu, przekrzywił go bardziej fantazyjnie i uznał, że teraz jest dobrze. Wyszczерzył zęby i błysnął oczami.

Przyjdź królestwo twoje i bądź przeklęte, pomyślał.

Niedługo, wspólnie z potężnymi braćmi z zagranicy, którzy wkrótce się pojawią, Papa Top uruchomi zegar odmierzający czas do nieuchronnego dnia zagłady.

Ustawi ten zegar na dwudziestego stycznia w południe.

W samo południe, roześmiał się w duchu, przekonany, że kowboj z Białego Domu powinien docenić ten żart.

Dzień Prawdy.

Harry Brock obudził się w obcym łóżku obok dziewczyny, której imienia nie pamiętał, a która wsadziła mu do ust lufę pistoletu. Była naga i siedziała okrakiem na jego

brzuchu, a jej pełne piersi lśniły od potu w świetle poranka. Dziewczyna, zresztą bardzo ładna, zdołała przykuć go kajdankami do wezglowia łóżka, którym teraz walił o gipsową ścianę w płonnej nadziei, że się uwolni.

Jak przez mgłę przypomniał sobie, że przedstawiła się jako pielęgniarka z Manaus. To wiele wyjaśniało. Harry miał bzika na punkcie pielęgniarek.

Po chwili przestał rzucać głową na boki i walić nadgarstkami o wezglowie, bo: (A) to bolało, (B) ni cholery mu nie pomagało, (C) kiedy przestał, poczuł się o wiele lepiej. Szczęśliwy, że na chwilę udało mu się ograniczyć ból, spróbował się uśmiechnąć, ale przekonał się, że to nie takie łatwe, kiedy naoliwiona lufa drapie człowieka po podniebieniu.

Uspokój się, powtarzał sobie. Zachowuj się jak profesjonalista, na litość boską. To jeszcze nie koniec świata. To tylko kolejna z niekończących się życiowych lekcji. Dzisiejszy temat brzmi: Trzymaj się z dala od podejrzanych barów w miastach, gdzie życie ma niewielką wartość, a cena za twoją głowę jest wysoka. Zachowaj trzeźwość i unikaj obcych kobiet, choćby nie wiem jak pięknych.

Wziął kilka głębokich wdechów, tak jak go uczono, i przy każdym odliczał do sześciu, próbując ustabilizować bicie serca.

Wkrótce nieco ochłonął i postanowił ocenić swoje położenie. Pomyślał, nie bez autoironii, że położony jest poziomo, a na piersiach siedzi mu kobieta. Chryste, co za kobieta. Dałby wszystko, żeby poznać jej imię, ale w tej sytuacji przedstawianie się wyglądałoby raczej dziwnie. Nawet jeśli wyjmie lufę z jego ust, to co miałby powiedzieć?

Skup się, Harry. Gdzieś przecież musiał się podziać w tym pipidówku o nazwie Madre de Dios. Zapuścił się w to brazylijskie zadupie wczoraj po południu, bo głodny czterdziestolatek mający problemy z kręgosłupem może mieć dość głodu i spania w deszczu co noc pod innym drzewem. Minał już tydzień, od kiedy spał pod jakimś blaszanym dachem, a z prawdziwego łóżka ostatnio wyskoczył jakieś dwie minuty przed tym, nim *Las Medianoches* załomotali do drzwi i wywalili je razem z futryną.

W końcu trafił do Madre de Dios, bo całe urocze Barcelos nad Rio Negro oblepiono kiepskimi kserokopiami jego twarzy. Pod jego facjatą podano dość dużą sumkę - zarówno w peso, jak i w dolarach. Był rozczarowany, jak mało warte jest jego życie, dopóki nie przypomniał sobie, że w tej części Brazylii mercedesa E55 AMG wartego w salonie osiemdziesiąt jeden tysięcy dolarów można kupić za niecałe dziesięć tysięcy. Dom Perignon chodził po trzy dolary za butelkę, a nowiutkie air jordan Nike'a można było kupić za dolara (sam za tyle kupił).

Cholera, to znaczy, że jego życie było warte około tysiąca par butów Michaela

Jordana. Trochę mało.

Mieścina na mapie była zaledwie punktem, ale stanowiła centrum regionu Mato Grosso, gdzie co roku handlowano kokainą wartą dwanaście miliardów dolarów. Harry pytał tu i tam, rzucając nazwiskami i niewygórowanymi sumami pieniędzy. Zdołał przebić się do jakiegoś ważniaka nazwiskiem Osvaldo Sanchez.

Osvaldo, który szefował jednemu z pięćdziesięciu pięciu międzynarodowych banków (czytaj: pralni pieniędzy) w tym mieście, lubił od czasu do czasu wyprowadzić na lewo około stu milionów i kupić okazynie rakiety ziemia-powietrze na rzecz panamerykańskiej *revolucion*, o której marzyli Hugo i Fidel. Ponieważ Harry miał dość duże doświadczenie w branży handlu nielegalnym uzbrojeniem i obaj znali wiele ważnych nazwisk na tym rynku, polubili się z Osvaldo i nawiązali dobre stosunki biznesowe.

Na tyle dobre, że umówili się na prywatne spotkanie, by pogadać sobie od serca. Harry chciał się dowiedzieć, kto gra główne role w ogromnym dramacie, jaki właśnie rozgrywał się tu, na południe od granicy. Od plotek aż się roilo. Potężne armie terrorystów szły na północ, by najechać na Amerykę Środkową. Takie tam opowieści.

Ale w ostatniej chwili Harry odwołał spotkanie, bo miał ważniejsze sprawy na głowie (przeżyć) i zamiast gadać od serca z don Osvaldo, musiał uciekać ile sił w nogach i wskoczyć na pakę ciężarówki z drobiem, która przejeżdżała przez jakiś most donikąd. Kiedy bezpiecznie przekroczył Paraną, zapuścił się do dżungli i przez tydzień spał pod gołym niebem, licząc, że sprawa przyschnie. W końcu postanowił zaspokoić podstawowe potrzeby i podjechał autobusem pełnym plantatorów maku do swojego obecnego miejsca pobytu, bynajmniej nie idyllicznej wioski o nazwie Madre de Dios.

Tak naprawdę potrzebował dwóch zimnych *cervezas*⁶ i ciepłego łóżka. Czy to zbyt wiele? Nim Saladin Hassan ruszył na poszukiwanie szczepu Xucuru, którzy przetrzymywali dla okupu Aleksa Hawke'a, podał Harry'emu adres miejsca (opuszczonego meczetu), gdzie mógł się zaszyć, ale - jak podkreślał Saladin - jedynie w nagłym przypadku. Hassan dał też mu klucz do pokoju na piętrze, lecz radził z niego nie korzystać. Tak się złożyło, że Harry skorzystał, choć z perspektywy czasu uważał to za zły pomysł.

Zapuścił się do brudnego miasteczka. Wtopiwszy się w tłum kramarzy i przemysłowców sunących leniwie po Puente de la Amistad (moście przyjaźni), pomyślał, że jest coś dziwnego w widoku złotych kopuł i strzelistych minaretów wznoszących się nad gęstą dżunglą. Wiedział, że po wybuchu wojny domowej w Libanie islamska społeczność w

⁶ *Cerveza* (hiszp..) - piwo.

tym regionie zwiększyła się błyskawicznie i dziś w samym tylko Madrze de Dios liczyła około sześćdziesięciu tysięcy osób.

Po co tu byli, wydawało się oczywiste. Dla pieniędzy. Stany Zjednoczone przykręcały terrorystom kurek z pieniędzmi, więc musieli znajdować alternatywne źródła dochodu. A na czym można lepiej zarobić niż na narkotykach? Na przemyśle ludzi i broni? Też niezły biznes.

Harry upewniał się, że w tej części Ameryki Łacińskiej istnieje cała infrastruktura, zwana tu Mafia-Araby, która przejęła kontrolę nad kanałami sprzedaży oraz dystrybucji broni i narkotyków. To dlatego, że przy arabskich szejkach zbrodni lokalne rzezimieszki wyglądały jak banda *gauchos* tuż po wyjściu z drogerii.

A Mafia-Araby z tych nielegalnych zysków finansowała swoją latynoską działalność terrorystyczną. Tylko w tym regionie liczba obozów szkoleniowych dla partyzantów musiała rosnąć wykładniczo. Nowoczesna broń płynęła hurtowo; często były to eksperymentalne technologie wykradzione ze Stanów Zjednoczonych czy z Wielkiej Brytanii.

Harry nie mógł się nadziwić, jak to się stało, że ludzie z Pentagonu, Langley i NSA przegapili ten interesujący rozwój wypadków w Ameryce Łacińskiej. Wystarczyło pochodzić i popatrzeć na twarze, by przekonać się, że nie pałano tu miłością do *norteamericanos*, niezależnie od rasy, koloru czy wiary przechodniów. Gdyby ktoś zapytał Harry'ego, odpowiedziałby, że czego jak czego, ale problemów tu nie brakuje.

I problemy wcale nie nabrzmiewały niczym odcisk na stopie, one już nabrzmiały jak wielki pęcherz. I naprawdę niedługo ktoś mógł przekłuć go na dobre.

Najśmieszniejsze było to, że całe to węszenie dookoła nie należało nawet do obowiązków Harry'ego. Wysłano go tu wraz z kilkoma innymi agentami CIA z konkretnym zadaniem: odnaleźć Aleksa Hawke'a i jeśli jeszcze żyje - wydostać go jak najszybciej. Kiedy Harry usłyszał o tym zadaniu, poszedł do Charleya Moore'a z Kolegium Szefów Połączonych Sztabów i zgłosił się na ochotnika. Miał u Hawke'a wielki dług wdzięczności i zamierzał go spłacić, gdy tylko będzie miał okazję. No i się pojawiła.

Ruch w mieście był przeogromny. Naprawdę jak w metropolii. Oprócz grupy młodych szycików, których widział przed meczetem (bez wątplenia zbierali pieniądze na zbliżający się dżihad), po wąskich uliczkach krążyli niezliczeni porządni obywatele, wypatrując najróżniejszych towarów: od markowych dżinsów i skórzanych kurtek po telewizory plazmowe, komputery i narzędzia laserowe. Było też mnóstwo innego „towaru”, w tym tony wyborowej kolumbijskiej marihuany, haszyszu i kokainy. Wszystko dla facetów, którzy zarabiali na życie, przerzucając ten „towar” do brazylijskiego Puerto Parangua nad

Atlantykiem.

Harry nie zaopatrzył się w fałszywe papiery, bo słyszał, że na ulicy można kupić sfalszowany brazylijski paszport za marne pięć tysięcy dolarów. A ten paszport - zgodnie z obecnym programem zwolnień wizowych wymyślonym przez jakiegoś naiwnego geniusza z Waszyngtonu - otwierał bramę do bajkowego Magicznego Królestwa rozciągającego się na północ od meksykańskiej granicy. Brazylijski paszport wystarczył, by swobodnie wjechać do Stanów Zjednoczonych.

Harry był więcej niż pewien, że ci zamachowcy-samobójcy kręcący się wokół meczetu na pewno dawno już na to wpadli. Jeśli ktoś mógł sobie pozwolić na paszport za pięć kawałków, nie musiał się trudzić i przemykać przez meksykańską granicę, żeby wysadzić coś w Houston czy Chicago. Wystarczyło wsiąść w samolot do Miami. O tym właśnie rozmyślał Harry, kiedy ta dziewczyna przysiadła się do niego przy barze.

Wszedł do pierwszego baru, który wyglądał na klimatyzowany. Nie było w nim okien, więc w środku panował mrok. Poczul się bezpiecznie i wygodnie, sącząc przy barku *cerveza fria* z whisky. W pewnej chwili na stołku obok usiadła dziewczyna. Powiedziała, że jest pielęgniarką i akurat ma wolne. Jak miała na imię? *Caparina*. Tak, jej imię brzmiało podobnie do nazwy tego brazylijskiego drinka, który mu smakował. Robiło się go z limonek i *cachacy*, wódki z trzciny cukrowej. Zabójczy.

Caiparina. Powiedziała, że to oznacza jakiegoś motyla.

Co tam, postawił jej kilka piw, niewiele, zaledwie sto czy coś koło tego. Zapytała, czy ma ochotę na małe co nieco, a on na to odparł, że czemu nie.

Czemu nie? Teraz wiedział, czemu nie. W wolnej ręce trzymała zdarty skądś plakat z serii „żywy lub martwy” z jego podobizną i Harry natychmiast pojął, że siedzi po uszy w szambie. Słońce stało już wyżej, a dziewczyna porównywała jego twarz z tą na plakacie. Tuż nad głową Harry’ego na małym gwoźdźniku wisiał obrazek Matki Boskiej. *Caparina* uśmiechnęła się, po czym podniosła rękę i zakryła obrazek plakatem. Gwoźdźnik wyszedł dokładnie przez środek czoła Harry’ego.

Kiedy wracała do poprzedniej pozycji, poczuł, jak muska go jej pierś. Dziewczyna usadowiła się na jego krocze.

- Mmhphm! - powiedział Harry. Wpatrywała się w niego chwilę i w końcu wyciągnęła lufę z jego ust. Oleisty posmak był nie do zniesienia, ale przynajmniej mógł ruszać szczęką. Pomyślał, że to w sumie dobra dziewczyna, lecz wtedy zobaczył, że sięga po telefon komórkowy na nocnym stoliku.

- Nie rób tego! - krzyknął.

- *Porque no?*⁷ - spytała, patrząc na plakat z jego podobizną.

Harry starał się, jak mógł, ale nie był w stanie wymyślić wiarygodnej odpowiedzi na to pytanie. Dlaczego miałyby nie zadzwonić pod numer podany na plakacie i nie odebrać nagrody? Dlaczego, do diabła? Istniało za to mnóstwo powodów, dla których powinna to zrobić. Cholera, gdyby znalazł się na jej miejscu, zrobiłby to samo...

- Jesteś piękna - powiedział w końcu, pokazując w uśmiechu śnieżnobiałe zęby. Harry był przystojny. Mówiono mu, że wygląda jak Bruce Willis, tyle że z włosami. Nie dostrzegając tego podobieństwa, ale co za różnica. Czasami to działało, czasami nie. Tym razem na szczęście zadziałało. Dziewczyna odłożyła telefon i spojrzała na niego z zalotnym uśmiechem. Widziała, że pan Wacek już się przeżył, gotów do pracy. Szukał sobie jakiejś cieplej norki.

Zajęła się nim. Tak na odchodne. W końcu nic nie miała do stracenia, a Harry tym bardziej. Myślał jedynie o tym, żeby się poddać, zgarnąć nagrodę, a potem znów uciec. Trzeba jednak przyznać, że w tym planie było mnóstwo dziur.

Nie okłamywał jej. Caparina naprawdę była piękna. Nawet na trzeźwo była fantastyczną laską. To znaczy, kiedy on był trzeźwy, nie ona. Przyjrzał się jej, gdy zaczęła się na nim kołysać w przód i w tył i kręcić biodrami, aż pan Wacek stał się twardy jak skała. Harry, człek bywały w świecie, określił twarz dziewczyny jako piękniejszą wersję twarzy ze wszystkich plakatów ONZ. Po części Chinka, po części Hinduska, po części Metyska, po części Murzynka. Miała długie czarne włosy mieniające się fioletowo, pełne usta i niesamowite piersi, które teraz bujały się niebezpiecznie blisko jego ust.

- No daj - powiedział.

- Co?

- Dobrze wiesz co.

- Poproś - odparła.

- Co?

- Poproś.

- Nigdy nie proszę.

- Owszem, poprosisz, panie Harry Brock.

- No dobrze, poproszę.

- Nie słyszę.

- Proszę.

⁷ *Porque no* (hiszp..) - dlaczego nie.

- Głośniej.
- Nie mogę. Ktoś nas usłyszy.
- Jesteśmy w opuszczonym meczecie. Nikt nas tu nie usłyszy.
- Zaraz. Jesteśmy u mnie?
- Oczywiście. Nie pamiętasz?
- Nie, to znaczy tak. Tak mi się wydawało. Chyba zapomniałem. Dla takiego faceta jak ja wszystkie meczety wyglądają jednakowo.
- Chcesz pocałować moje cycuszki, Harry? Ten? A może ten?
- Oba.
- Poproś, panie Brock.
- Proszę. Błagam. Nie żartuję. Naprawdę szczerze błagam. Dłużej nie wytrzymam. To łabędzi śpiew Harry'ego Brocka.
- No masz. Szczęśliwy?
- O Boże, tak. A teraz drugi.
- Delikatnie, Harry. O tak, dobry chłopiec.

*

Kiedy Harry obudził się po raz drugi tego ranka, zdał sobie sprawę, że ma w ustach papierosa, i odruchowo się zaciągnął. Dawno już nic mu tak nie smakowało. Dziewczyna wyjęła mu papierosa z ust, żeby mógł wydmuchnąć dym. Cholera. Wciąż był przykuty do tego przekłętego łóżka. Musiał się na chwilę zdrzemnąć. Dziewczyna zaciągnęła się i powiedziała:

- Przypomniał mi się dowcip.
- Tak? Jaki?
- Facet leży z kobietą w łóżku. Kochają się, a potem facet pyta: „Lubisz palić po seksie?” Kobieta uśmiecha się do niego i odpowiada: „Nie wiem, nie mam pieca w domu”.

Harry parsknął śmiechem.

- Niezłe - ocenił.
- Dziękuję.
- Zdrzemnąłem się, co?
- Na jakieś dwadzieścia minut.
- Dzwoniłaś?
- Uhm.
- Dzwoniłaś? Cholera jasna. O Chryste, Caparina.
- Uspokój się, Harry.

- Uspokój się?
- Nie dzwoniłam tam, gdzie ci się wydaje.
- Pod ten numer z plakatu. Po nagrodę.
- Nie.
- Aha. No dobrze, w takim razie do kogo dzwoniłaś?
- Do mojego byłego męża. Już tu jedzie.
- Twój były tu jedzie? Teraz?
- Co porabiasz w Brazylii, Harry? Widać, że jesteś Amerykaninem. Nie masz żadnych dokumentów. Żadnego paszportu. Nic. Tylko ten pistolet i kilka tysięcy peso. Nie mówisz po portugalsku. Ani nawet po hiszpańsku.
- Jestem turystą.
- Przejechałeś taki kawał drogi, żeby kupić te gówniane nike'i? W tym podłym miasteczku co roku umiera sześciuset turystów. I to tylko według oficjalnych statystyk.
- Właśnie po to mam pistolet.
- To ja mam pistolet, Harry. Wczoraj w nocy, kiedy byłeś pijany, mówiłeś coś o *Las Medianoches*.
- Naprawdę? A co o nich mówiłem?
- Że ci dżihadyści porwali twojego przyjaciela. Przyjechałeś tu szukać przyjaciela, Harry? Kim jest ten przyjaciel?
- Dlaczego to dla ciebie takie ważne?
- Podejrzewam, że Hassan może ci pomóc.
- Hassan? Kim, u diabła, jest Hassan? Tutaj co drugi facet na ulicy nazywa się Hassan.
- To mój były mąż. Jest dobrym człowiekiem. Mówi doskonale po angielsku. Jest bardzo twardy. Nie wszyscy w tym kraju boją się Mafia-Araby.
- Jak może mi pomóc?
- Ty możesz mu pomóc.
- Dlaczego, do kurwy nędzy, miałbym to robić?
- Wróg mojego wroga to mój przyjaciel.
- Niekoniecznie. A w ogóle, kto jest twoim wrogiem?
- Wrogiem mojego narodu. Dżihadyści z dżungli, którzy nazywają siebie *Las Medianoches*. Ten drań Papa Top.
- Kim ty jesteś, Caparina? Jakimś szpiegiem?
- Mam oczy szeroko otwarte.
- To mamy coś wspólnego. A teraz mnie puść. Dobrze?

Na schodach za drzwiami rozległ się jakiś hałas. Caparina zeskoczyła z łóżka i włożyła przez głowę swoją bawełnianą sukienkę w kwiaty. Była jedną z tych kobiet, które równie dobrze wyglądają ubrane i nago. Szybko wciągnęła figi, kręcąc przy tym zgrabną pupą, i uśmiechnęła się do Harry'ego.

Podniósł głowę i wpatrywał się w drzwi.

- Cholera. Idą na górę. Rozkuj mnie szybko.

- Nie mogę. Nie mam kluczyków.

- Nie masz kluczyków? Chyba żartujesz.

- Bawiliśmy się w grę w więźniów. Przegrałeś, kiedy połknąłeś kluczyk. Nie pamiętasz?

- Ożesz kurwa! Caparina, oni są przy drzwiach. Nie możesz chociaż nakryć mnie prześcieradłem czy coś?

- Powiedz „proszę”.

- Nie.

- Harry?

- Proszę.

- Dobry chłopiec.

Ledwie pochyliła się, żeby podnieść z podłogi prześcieradło, drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Patrzył na scenę przy łóżku z zakłopotanym uśmiechem.

- Harry? - odezwał się.

- Saladin?

- Wy się znacie? - zdziwiła się Caparina.

- Oczywiście, że się znamy - odparł Harry. - Jezu.

W drzwiach stał Wellington Saladin Hassan. Kilka miesięcy temu zapłacił mu małą fortunę, by odnalazł Aleksa Hawke'a i odstawił go bezpiecznie do Anglii.

- Kto ma kluczyk? - zapytał Saladin z szerokim uśmiechem.

W niedzielny poranek Franklin czyścił końskie stanowiska w zimnej stajni. Już prawie kończył, kiedy usłyszał, że długą polną drogą biegnącą od autostrady jedzie jakiś samochód. Oparł widły o ścianę i podszedł do okna wychodzącego na drogę. To Homer w nowym radiowozie pędził po głębokich koleinach ponad osiemdziesiąt na godzinę. Ciągnął za sobą wielki tuman kurzu.

Franklin spojrział na bezchmurne niebo. Perspektywa spokojnego niedzielnego popołudnia właśnie oddalała się bezpowrotnie. Wyszedł ze stajni dokładnie w chwili, kiedy Homer ostro zahamował między stajnią a domem.

- Spokojnie, Homer, nie pali się.

Franklin podszedł do radiowozu, zastanawiając się, co ważnego mogło się wydarzyć w niedzielę. Od incydentu w barze Pod Kołem Woźnicy minęło dziewięć dni. Homerowi nieźle się wtedy oberwało. Mimo to od trzech dni był już w pracy, a sytuacja w mieście trochę się uspokoiła. Dixon miał nawet czas skończyć raport na temat teksańskiej granicy, który miał przedstawić za tydzień na Florydzie.

Spokojnie było głównie dlatego, że Rawlsa i kilku motocyklistów zamknął w miejskim areszcie. Motocyklistów wypuścił po paru dniach, ale Rawlsa miał ochotę potrzymać w pace trochę dłużej z powodu informacji, jaką dostał mniej więcej pół roku temu.

Płatny informator powiedział policji w Laredo, że Rawls może mieć coś wspólnego ze szmuglem przez granicę. Narkotyki, broń, a nawet samochody, które przemycano podziemnymi tunelami. Według informatora Rawls współpracował ze skorumpowanymi Federales i *narcotrafficantes*, i to już od dawna.

Niestety nie było na to dowodów, więc Franklin nie miał podstaw, by go trzymać w areszcie. Wypuścił Rawlsa warunkowo, jak określiła to June.

Homer wysiadł z samochodu, włożył kapelusz i osłonił oczy przed słońcem.

- Przepraszam za najście, szeryfie. Dzwoniłem do pana, ale nikt nie odbierał.

- Jak te komórki będą działać jak trzeba, może sobie coś takiego sprawię. W czym mogę ci pomóc, synu? Pracuję w stajni od rana. Daisy poszła do kościoła, a potem na spotkanie swojej grupy modlitewnej. Miałem właśnie iść do domu na kanapkę i mrożoną herbatę. Zjesz ze mną?

Franklin ruszył w stronę domu, a Homer poszedł za nim.

- Podobno kroi się dziś jakiś lincz - powiedział.

- Lincz? A na kim?

- Nie znam tych ludzi. Z tego, co słyszałem, to jacyś trzej młodzi Meksykanie.

- Chodź na werandę i usiądź w cieniu, Homer.

Franklin był zmęczony. Usiadł w swoim bujanym fotelu w cieniu drzewa, które posadził z Daisy, kiedy kupili tę farmę. Wyjął chusteczkę i otarł pot z twarzy. Na stole stał dzbanek lemoniady z roztopionym lodem. Napełnił dwie szklanki, po czym rozparł się wygodnie w fotelu i zaczął się bujać, szurając obcasami po zakurzonych deskach.

- Opowiedz mi wszystko od początku - poprosił.

Homer zdjął kapelusz, sięgnął po lemoniadę i opróżnił szklankę.

- Tak jak mówiłem, chodzi o te meksykańskie dzieciaki.

- Dzieciaki?

- Nastolatki. Włamali się wczoraj wieczorem do Sadie Brotherwood, pewnie w poszukiwaniu alkoholu. Wróciła do domu i przyłapała ich na gorącym uczynku.

- Sadie mieszka nad rzeką prawda? Jak nazywa się to miejsce?

- Lazy B. Mieszka tam od wiosny, od kiedy zmarło się Woody'emu. Nikomu nie powiedziała o włamaniu. Zaskoczyła chłopaków, mierząc do nich ze strzelby. Zamknęła ich na noc w szopie z narzędziami. Dziś rano, jakąś godzinę temu, zadzwoniła do swojego szwagra, starego Eda Parksa, bo w szopie było cicho jak makiem zasiadł. Ed przyjechał ze swoimi chłopakami i powiedział Sadie, żeby nie dzwoniła do pana, że sami się tym zajmą.

- Ci Meksykanie są stąd?

- Nie, szeryfie, nielegalni imigranci. Roy Steerman pojechał z Edem do Brotherwoodów, ale nie chciał mieć z tym nic wspólnego i szybko wrócił. Chłopcy wyglądają jakby spędzili na pustyni kawał czasu. Spaleni prawie na czarno - tak mówi Roy. Wszyscy są odwodnieni i chyba mąci im się w głowach, bo musieli pić własny mocz. Roy mówi, że kiedy tam pojechał, jeden z chłopców szorował po piachu, jakby płynął w strumieniu.

Dixon popatrzył w dal. Ile razy jeszcze będzie musiał słuchać podobnych historii? Prawo jest prawem, ale zamykanie w szopie dzieciaków umierających z odwodnienia to zbyt okrutny sposób jego przestrzegania.

- Może oni wcale nie szukali alkoholu. Może szukali po prostu wody.

- To samo powiedziałem Royowi nie dalej jak pół godziny temu. Odpowiedział: „Ale tam u Sadie nikogo to nie obchodzi. Te cholerne dzieciaki są tu nielegalnie, włamały się do domu tej kobiety, żeby coś ukraść. Za chwilę ich powieszają”. To cytat.

Franklin wstał bez słowa i wszedł do domu. Minutę później otworzył siatkowe drzwi i wyszedł w kapeluszu na głowie.

- Jedziemy, Homer - powiedział.

*

Dwadzieścia minut później zjechali na drogę stanową która prowadziła na rancho

Brotherwoodów. Była bez pobocza, po obu stronach otoczona tylko płotem z drutu kolczastego. W końcu dotarli do Lazy B. Wejścia strzegła ciężka metalowa brama, którą ktoś zamknął i zablokował kawałkiem łańcucha. Homer zatrzymał się, wysiadł z wozu i rozejrzawszy się, przeszedł przez rozgrzany asfalt, by otworzyć bramę.

Franklin, widząc, że jego zastępca ma kłopoty z kłódką zaczął gramolić się z samochodu. Wtedy z gęstych krzewów orzesznika tuż za bramą wyszli dwaj rośli mężczyźni.

- Czołem - odezwał się jeden z nich.

Franklin rozpoznał w nim faceta, którego zamknął po awanturze Pod Kołem Woźnicy. Miał na sobie ten sam skórzany bezrękawnik, a na obu przedramionach więzienne tatuaże. O ile dobrze pamiętał, stali przed nim William Bonner, ksywka Hambone, i Bemie Katz, ksywka Zorro. Hambone i Zorro sprawiali o wiele więcej kłopotów, niż byli warci.

- Sie masz, Hambone - odpowiedział szeryf. Dostrzegł, że bramy strzeże potężna kłódka typu Master.

- W czym możemy pomóc? - zapytał Bonner.

- Możecie otworzyć bramę.

- Nie możemy, szeryfie. To prywatny teren.

- Homer - zwrócił się Franklin do zastępcy. - Weź broń i odstrzel tę kłódkę.

- Tak jest.

Homer wyjął pistolet i strzelił dwa razy do ciężkiej kłódki. Rozleciała się, co zdziwiło Franklina, bo w jednej z reklam firmy Master widział, jak kula w zwolnionym tempie przechodzi przez kłódkę, nie czyniąc jej krzywdy. Sięgnął do łańcucha, zdjął go i rzucił na ziemię, a potem pchnął bramę do środka. Hambone zagroził mu drogę, stając przed Franklinem z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Mówiłem przecież, że to teren prywatny - burknął.

- Nie wygłupiaj się, Bonner. Przecież obaj dopiero co wyszliście z mojego aresztu. Jeśli któremuś z tych Meksykanów stanie się krzywda, natychmiast tam wróćcie. A jeśli choć jeden z nich zginie, traficie do paki na dwadzieścia lat za współudział w morderstwie.

- Zabicie nielegalnego imigranta to nie morderstwo - odparł osiłek.

- Morderstwo to morderstwo, Bonner.

Hambone się nie ruszył. Obejrzał się tylko przez ramię i splunął na ziemię.

- Daj spokój, Billy - odezwał się Katz. - Oduść. Ten dupek już i tak nieźle nam nabruździł.

- Gdzie wasze maszyny? - spytał Franklin.

- Tam, w orzechowcach - odparł Katz, wskazując kępkę drzewek. Między ciemnymi

pniami można było dostrzec błyszczące kawałki chromu.

- Proponuję, żebyście wskoczyli na rumaki i zniknęli stąd. Nie chcę was więcej widzieć w moim hrabstwie. Jeśli zobaczę was, wracając, zarekwiruję wam motocykle i znów zamknę was w pace. Jasne?

Dwóch osiłków odwróciło się posłusznie i ruszyło do drzewek orzechowca.

Franklin otworzył szeroko bramę, a Homer wrócił po samochód. Chwilę później usłyszał głęboki warkot dwóch harleyów odpalanych wśród drzewek. Gdy Homer podjechał do niego, szeryf wsiadł do radiowozu i ruszyli w głąb rancza.

Homer jechał najszybciej jak mógł po nierównym terenie. Mówił do Franklina, nie patrząc na niego.

- Pamięta pan, szeryfie, te pożary w parku Yellowstone, które pokazywali w telewizji? Ogień wymknął się spod kontroli. Zagroził małym miasteczkom.

- Tak, pamiętam.

- Czasami mam wrażenie, że cała granica jest jedną wielką beczką prochu, a Prairie to tylko maleńka oaza pośrodku wysuszonego sosnowego lasu. Co dzień z nieba leje się żar, ludzie brodzą po kolana w sosnowym igliwiu suchym jak pieprz, a wszyscy chodzą po głównej ulicy i zapalają zapalki.

- Niektórzy twierdzą że takie duże pożary to naturalne oczyszczenie. Natura w ten sposób dba sama o siebie.

- Trudno mi w to uwierzyć, szeryfie.

- Mnie też synu. A teraz zatrzymaj się. Jesteśmy już na miejscu.

Przed domem stało kilka pikapów. Wysiedli z radiowozu i zapukali do drzwi. Czekali minutę, ale nikt się nie zjawił, więc poszli na tyły domu, w stronę wyschniętego koryta rzeki, które znajdowało się jakieś pięćset metrów dalej.

Na drugim brzegu niegdysiejszej rzeki rósł wielki dąb. Od dawna był martwy, ale wciąż miał sporo grubych konarów. Na najniższym z nich wisiały trzy pętle.

- Zdaje się, że przyjechaliśmy w samą porę - powiedział Franklin.

Dostrzegł trzech małych chłopców, którzy siedzieli pod dębem tyłem do siebie, pewnie związani za ręce. Wokół nich stało kilku mężczyzn i jedna kobieta.

- Niepotrzebnie się pan fatygował, szeryfie - odezwał się Ed Parks. Wyszedł im na spotkanie, kiedy zobaczył że stróże prawa przeszli przez suche koryto rzeki.

- Witaj, Ed - powitał go Franklin. Dzień dobry, panowie i pani Brotherwood. Słyszałem, że te dzieciaki włamały się do pani wczoraj wieczorem.

- Zgadza się - potwierdziła Sadie. - Przyłapałam ich na gorącym uczynku, jak

próbowali mi ukraść whisky.

- Dlaczego nie zadzwoniła pani na policję? - zapytał Dixon. Minał dwóch mężczyzn i przykucnął koło chłopców. Ich poczerwiała od słońca skóra była miejscami zakrwawiona, a w ustach mieli kryształki soli. W czarnych oczach widać było przerażenie i wyczerpanie.

- Nie było potrzeby kogokolwiek wzywać - wtrącił się Parks. - Szkoda pieniędzy podatników. Gdybyśmy wzywali policję za każdym razem, gdy przyłapiemy takich Meksykańców, to nie miałbyś czasu wypisywać mandatów za złe parkowanie. Wolimy załatwiać takie sprawy po swojemu. Powiedziałem tym chłopakom, że nie trzeba nam pomocy przy stryżeniu trawy. To zwykle śmiecie, którym marzy się koszenie trawników w Houston.

- Te Meksykańce to przecież nie ludzie - wpadła mu w słowo pani Brotherwood. - Nie rozumiem, o co tyle hałasu.

Franklin szukał w oczach wdowy jakiegoś śladu współczucia, ale znalazł tylko zapiekłą nienawiść. Odkręcił manierkę, którą ze sobą przyniósł, i przyłożył ją do ust pierwszego chłopca. Kiedy ten napił się wody, dał manierkę następnemu. Ostatni chłopak, najmniejszy, był zbyt osłabiony, żeby podnieść głowę i się napić.

- Ed, on jest bardzo spragniony - powiedział Franklin. - Nie dajcie mu wody?

- Po co marnować wodę?

- *Que pasa, hombre?*⁸ - zwrócił się szeryf do najstarszego z trójki, kiedy chłopak przełknął kolejny haust wody. - Skąd jesteście?

- Nuevo Laredo - odparł dzieciak świszczącym głosem.

- Ilu was przeszło przez granicę?

- Czternastu. Szliśmy, dopóki trzymaliśmy się na nogach. Moi bracia i ja wytrzymaliśmy najdłużej.

- Jak się nazywasz?

- Reymundo.

- A twoi bracia?

- Jorge i Manuelito.

Franklin wstał i popatrzył na Parksa i Sadie Brotherwood.

- No dobrze. Załatwimy to tak. Pani Brotherwood, niech pani przeprosi Parksa, że fatygował się taki kawał drogi na darmo.

- Nie na darmo - odparła kobieta. - Tych trzech obwiesiów trzeba było powywieszać.

⁸ *Que pasa, hombre?* (hiszp.) - co się stało, chłopcze?

- Ed, zabieraj chłopaków i wracajcie do domu. Homer i ja zawieziemy te dzieciaki do szpitala, a potem przekazemy straży granicznej.

- Coś ci powiem, szeryfie. Ludzie tacy jak ty zrujniają ten wspaniały kraj. W zachodnim Teksasie takich jak oni jest już więcej niż nas. W niektórych miastach nie uświadczysz białego. Ani jednego! Chcesz im oddać cały stan? Tak według ciebie wygląda dobro i zło? Do cholery, nie rozumiem cię. Wydawało mi się, że jesteś jednym z nas, głosowałem nawet na ciebie w ostatnich wyborach. A teraz już ni cholery nie wiem, kim jesteś, Franklin.

- Jestem przedstawicielem prawa, Ed. A teraz jedź do domu.

- Prawo. Wydaje ci się, że tych trzech przejmuję się twoim prawem? Każdy z nich zapłacił kojotom pięć tysięcy dolców za przywilej złamania twojego cholernego prawa. W tym sęk, prawda? To cholerne prawo zniszczy wszystko, jeśli nie zacnie się go naprawdę egzekwować. Chodźcie, chłopaki, idziemy stąd, bo zaraz się komuś wyrzygam na odznakę.

- Szeryfie? - odezwał się Homer. Siedział na ziemi obok najmniejszego chłopca, Manuelito, który wyglądał, jakby zasnął na kolanach funkcjonariusza.

- Co jest?

- Ten mały właśnie umarł.

26

Dry Tortugas

- Mam! - zawołał Luis.

- Co masz? - zapytał Stoke.

- Już wiem, co zrobić z kotwicą.

- Tak? To powiedz - odparł Stoke, który myślami był zupełnie gdzie indziej. Zastanawiał się, ile jeszcze pociągnie, jeśli szybko nie opatrzy rozciętej ręki.

- Tak, to się musi udać.

- Ale co, Luis?

Sharkey zamyślił się jeszcze na chwilę i w końcu się rozpromienił.

- Pomyślałem sobie właśnie, że może zostawić tu kotwicę. Rozumiesz? Przeczołgam się przez kabinę na dziób i odwiążę linę kotwiczną. Potem wycofamy się, a lina spokojnie

pójdzie na dno.

Stoke patrzył na niego bez słowa.

- Rozumiesz? Pieprzyć kotwicę, człowieku. Później po nią przyplniemy.

- To niezbyt dobry plan, Luis. Byłby dobry, gdybyśmy mieli od razu wracać, ale nie wrócimy. Nie płynęliśmy tu taki kawał drogi, żeby teraz zostawić tego snajpera żywego na wyspie. Nie wiem, kto to, skąd się wziął i dokąd leciał. Pod wodą trafiliśmy na coś wielkiego i musimy się dowiedzieć, kto handluje tą bronią. Muszę przyjrzeć się temu strzelcowi z krzaków, żywemu lub martwemu. Rozumiesz? A jeśli tak się złoży, że przeżyje, będę musiał go zapytać, skąd wziął te rosyjskie rakiety.

- Z Kuby.

- Z Kuby. A skąd o tym wiesz? Znalazłeś coś, o czym mi nie powiedziałeś? Zdaje się, że mówiłeś, że samolot jest czysty.

- Nie wiem. Ale można pozgadywać. No to co robimy?

- Daj mi pomyśleć.

Stoke wciąż miał zawroty głowy. Opaska uciskowa trochę pomogła. Ale czy aby na pewno będzie w stanie stanąć na kolanach z mini-14, namierzyć faceta i strzelić do niego, nim zemdleje z upływu krwi? Być może, lecz prawdopodobieństwo, że trafi, było niewielkie. W normalnej sytuacji wyskoczyłby za burtę, okrążyłby wyspę pod wodą i zaszedł faceta od tyłu. Jednak w obecnym stanie...

Spojrzał na Luisa, potem na strzelbę i znów na Luisa.

- Nie patrz na mnie, człowieku.

- Kto na ciebie patrzy?

- Ty.

Cholera. Luis miał rację. Nie da rady zdjąć tego faceta na wyspie. Nie ma mowy, żeby jednoręki sobie z tym poradził. Zwłaszcza że właśnie został ranny w zdrową rękę.

Stoke orientował się, gdzie siedzi strzelec. Oceniał to po błysku z lufy i kącie padania strzałów. Snajper przyczał się z mangrowcach po lewej stronie małej zatoczki, w pobliżu kępki palm. Stoke był przekonany, że to drugi pilot. Nie było innej logicznej możliwości. Na dole w samolocie widział ślady krwi na szybie z prawej strony. Tak jakby ktoś mocno w nią uderzył. Musiało być tak: drugi pilot walnął głową o szybę, ale przeżył. Oczyszczył kokpit i swojego martwego kumpla, po czym dopłynął do brzegu. Tak, nie było innej możliwości.

Rozbitek musi być nieźle zdesperowany. Siedział na tym skrawku lądu od ponad trzydziestu godzin. Było gorąco, a towarzystwa dotrzymywały mu roje moskitów. Pewnie jest ranny i nie ma jedzenia ani wody. Jest więc głodny, spragniony i zły, że ta piękna niebieska

łódź, która wyglądała, jakby przyplłynęła mu na pomoc, jednak mu nie pomogła. Każdy by się wkurzył na jego miejscu.

Cóż, Sharkey nie jest w stanie strzelić do tego faceta. Siedział na rufie, gapił się na Stoke'a i zastanawiał, co robić dalej. Ale było wyjście. Stoke właśnie wpadł na pomysł.

- Weź strzelbę - polecił Luisowi.

- Ja? Ja mam to zrobić? Mówiłem ci! Nie potrafię.

- Owszem, potrafisz. I uspokój się, dobrze? Nie proszę cię, żebyś wstał i do kogokolwiek strzelał, Sharkey. Mam lepszy pomysł. Przysuń się i weź tę cholerną strzelbę. Już.

- Cholera jasna, człowieku. Chyba oszalałeś.

- Dawaj.

Luis spełnił polecenie.

- A teraz - rzekł Stoke - zanieś tę strzelbę do drabinki prowadzącej na mostek.

- Mam wejść na drabinkę?!

- Nie, nie wchodź. Tylko zanieś tam strzelbę. Potem weź ją za lufę i podnieś, żeby twój stary mógł ją złapać za kolbę i wciągnąć.

Luis uśmiechnął się od ucha do ucha. Kiedy brał strzelbę, na jego twarzy widać było ulgę.

- Tata go kropnie?

- Zgadza się. Siedzi najwyżej i pod najlepszym kątem. Ale nie może spudłować, powiedz mu to. Będzie miał tylko jedną szansę, bo później facet zacznie do niego napażać. Ma dobre oko? Powiedz, że tak.

- Dobre? Sam widziałem, jak trafił mako ze stu metrów. Rekin wyskoczył właśnie z wody tuż za naszą rufą. Trach, i ojciec go zestrzelił.

- W takim razie to będzie kaszka z mleczkiem.

- Sprawdziłeś, czy jest naładowana?

- Przecież sam widziałeś, jak sprawdzałem. Tak, jest naładowana. A teraz słuchaj, bo to ważne. Niech ojciec trzyma głowę nisko. Żadnej bohaterstwa, dopóki nie dam sygnału. Na razie ma tylko wziąć strzelbę i nic więcej. Niech się nie wychyla, dopóki ty nie wskoczysz do wody.

- Mam wskoczyć do wody?

- A tak. Zejdiesz przez rufę, jak tylko dasz ojcu strzelbę. Zeskoczysz do wody i zaczniesz płynąć jak jednoręki bandyta, jak najdalej od łodzi.

- A mako?

- Pieprzyć mako.

- Robisz sobie ze mnie jaja?

- A znasz jakiś inny sposób, żeby wywabić tego faceta i żeby twój ojciec mógł go kropnąć?

- Już raz dziś dostałem.

- Niestety, na tym polega cały plan, Sharkey. Tylko tak wyciągniemy go z krzaków. Twój stary będzie mógł do niego strzelić i nie zarobić kulki w łeb.

- Wiesz, jakoś nie bardzo mi się to podoba. Nie możesz wymyślić czegoś innego?

- Nie mamy czasu na dyskusje, Luis. Może zauważyłeś, że wykrwawiam się na śmierć. Chciałeś, żeby coś się działo, no to się dzieje. Witaj w moim świecie. Zapraszamy na Big Brothera z chałupy Stokely Jonesa. Cała prawda całą dobę, jak na dłoni. To nie wielkiego. Takie historie zdarzają się co chwila. Dosłownie co chwila.

- No nie wiem, Stoke.

- Luis! Skup się. Jesteś w stanie to zrobić. A teraz zabieraj swoje jednorękie cielsko do tej drabinki i podaj staruszkowi strzelbę. Dobrze?

- A w dupę. Zrobię to.

- Najpierw oddaj mi swoją czapkę.

- Moją czapkę Jankesów? A po co?

- Mam jeszcze jeden pomysł. Zatknę ją na czubek tej wędki i pomacham nią kiedy będziesz się czołgał. W ten sposób odwrócę jego uwagę.

- Do dupy to wszystko - mruknął Luis, podając mu czapkę.

- Spieszysz się na medal, Sharkey. Masz wszystko, co trzeba. Uwierz mi. Widziałem już różnych ludzi w akcji.

- Zdaje się, że w tym twoim Big Brotherze często wymieniają bohaterów, co?

Luis mamrotał przez całą drogę po pokładzie. Czołgał się, odpychając się strzelbą niesioną w zdrowej ręce i lewym kikutem. Wyglądało to trochę dziwnie, ale było skuteczne.

Stoke spojrział na mostek. Luis senior czaił się tam i patrzył na niego. Odkręcał właśnie butelkę triole X, uśmiechnięty od ucha do ucha. Nie był pijany. Po prostu doskonale wiedział, co się dzieje.

Stoke nie upadał na duchu.

Miał do pomocy starego człowieka i morze.

Stary chwycił kolbę strzelby, kiedy tylko syn zdołał unieść ją dostatecznie wysoko. Sharkey opadł na pokład i natychmiast zaczął czołgać się na rufę. Był przerażony, ale Stoke wiedział, że zrobi, co trzeba, wskoczy do wody i odpłynie od łodzi.

Przesunął się w stronę rufy i skulił w kącie kokpitu po lewej burcie. Na koniec wędki zatknął wypłowiałą czapkę Jankesów i wciąż patrząc na Luisa seniora, podniósł granatową baseballówkę nad burtą i pokiwał nią kilka razy w górę i w dół.

Natychmiast rozległy się strzały, a jeden z nich wyrwał okrągłą dziurę w czapce Sharkeya. Baseballówka okręciła się na czubku wędki, ale nie spadła. Facet miał oko. Stoke przesunął się o metr do przodu, wciąż machając czapką. Strzały nie cichły. Luis siedział skulony na rufie, czekając na sygnał.

- Skacz, Sharkey! - poleciał mu Stoke.

Luis nic nie powiedział, tylko odepchnął się od pokładu i przeskoczył przez rufę, lądując w morzu z głośnym pluskiem. Nogami i zdrową ręką młócił wodę jak szalony, by odpłynąć jak najdalej od łodzi. Stoke wciąż machał czapką żeby ściągnąć uwagę Strzelca, dopóki ten nie zorientuje się, co się dzieje. Wiedział, że nie potrwa to długo.

Spojrzał na mostek. Luis senior był gotów. Teraz albo nigdy. Większość kul leciała w stronę czapki Jankesów, ale kilka śmignęło przez rufę w stronę Sharkeya, który znów musiał walczyć w wodzie o życie.

- Widzisz Strzelca? - krzyknął Stoke do starego. - Widzisz, gdzie siedzi?

- *Si, señor, yo se!*⁹ - odparł Luis senior z uśmiechem. - Mam tę rybkę na celowniku. Siedzi w krzakach pod palmą kokosową.

- Kąt dobry? Gotowy?

- *Si. Es muy perfecto.*¹⁰

- Strzelaj.

Luis senior podniósł broń do strzału. Obrócił lufę w lewo i zaczął walić zawzięcie na półautomatycznym ogniu w krzewy mangrowca. Kule pędziły w stronę podstawy pnia jedynej na wyspie palmy kokosowej. Posypały się z niej drzazgi.

- Aaaa!

Z wyspy dobiegł krzyk. Długi krzyk umierającego człowieka. Stary nie przestawał strzelać; opróżnił cały magazynek, aż w końcu krzyk ustał na dobre.

- *Bueno, amigo!*¹¹ - pochwalił go Stoke i podniósł się, żeby samemu zobaczyć, co się dzieje. Z ostrzelanych mangrowców unosił się dym.

- Myślisz, że się udało? - zapytał stary. - *Es muerto?*¹²

⁹ *Si, señor, yo se!* (hiszp.) - Tak, widzę go!

¹⁰ *Si. Es muy perfecto.* (hiszp.) - Tak. Doskonale.

¹¹ *Bueno, amigo!* (hiszp.) - Dobrze, przyjacielu!

¹² *Es muerto?* (hiszp.) - Nie żyje?

- Tak - odparł Stoke ze śmiechem. - Zdaje się, że jest *muerto* na dobre. Zaraz się przekonamy.

- Luis! - krzyknął stary, machając do syna, który płynął w wodzie jakieś dwadzieścia metrów od rufy. - W porządku! Wszystko w porządku! Wracaj!

Przesunął dźwignię gazu i podpłynął powoli do niego.

- Twój syn dzielnie się spisał - powiedział Stoke. - Pomóż mi go wciągnąć na pokład.

- Co teraz, señor? - zapytał stary, schodząc z mostka ze strzelbą w rękę.

- Musimy tu przytargać twoją zdobycz. Trzeba zobaczyć, co to za gatunek. A potem położymy go w ładowni na łodzi i zabierzemy do portu.

- Czyli to nie wędkarstwo sportowe? - rzekł stary z uśmiechem.

Stoke czuł, że zaraz zwymiotuje albo zemdleje. Zdjął ze stojaka na burcie bosak, żeby pomóc staremu wyłowić Luisa z wody. Stał przez minutę, patrząc, jak Sharkey zbliża się do łodzi. W głowie kręciło mu się trochę mniej i pomyślał, że może przeżyje, byle tylko się nie przemęczać za bardzo.

- Udało się - powiedział Luis, wchodząc na łódź z uśmiechem ledwo mieszczącym się na pokładzie. - Tata, strzelałeś jak w jakimś filmie!

- *De nada*¹³ - odparł stary skromnie.

- OK, Luis. A teraz leć na dziób i podnoś kotwicę. Zobaczmy, co złowiliśmy.

Stary podszedł do dolnego steru i powoli wprowadził łódź do małej zatoczki. Kiedy tylko dziób zaszorował po piasku, wyłączył silniki. Stoke ocenił, że woda ma tu jakiś metr głębokości. Sharkey stał na dziobie i machał kotwicą. Rzucił ją w mangrowce, gdzie zahaczyła o jakiś grubszy korzeń. Stoke skoczył do wody i ruszył do brzegu, kierując się w stronę palmy.

Dziesięć minut później pochylał się nad drugim pilotem. W jasnoniebieskim mundurze miał kilka dziur po kulach, ale wciąż żył. Ledwo. Stoke obejrzał naszywki na jego ramionach.

Nosiły napis *FAY*.

Fuerza Aerea Venezolana.

Wenezuelskie Siły Powietrzne. A więc to oni kupowali rakiety.

Po cholere Wenezuela miałaby to robić?

Skoro ranny jeszcze żył, Stoke musiał zadać mu to pytanie.

Nagle pilot zadrżał. Poruszał ustami, ale nic nie było słychać. Stoke pochylał się, lecz

¹³ *De nada* (hiszp.) - Nie ma o czym mówić.

słyszał tylko jakiś bełkot.

- Luis - zwrócił się do Sharkeya - przyłóż tu ucho i powiedz mi, co on mamrocze.

Luis pochylił się i słuchał przez kilka sekund ze zdumioną miną.

- Mówi, że ci dziękuje.

- Co?

- „Dziękuję ci bardzo”; właśnie to mówi.

- Dobrze i to na początek - powiedział Stoke.

27

La Selva Negra

Zabicie Amerykanów en masse będzie dziecinnie łatwe - powiedział do Muhammada Topa doktor Abu Musab al Khan. - Z twoich raportów i zapewnień wnoszę, że wszystkie nasze obiekty wojskowe są już we właściwych miejscach, a oddziały, które wkrótce ruszą w meksykańskie góry, są w stanie osiągnąć ten cel.

- Tak.

- Konwój też już gotowy? - pytał Khan, gładząc brodę. - Nasz przyjaciel w Caracas bardzo się denerwuje.

Top czekał na to pytanie od przyjazdu Khana poprzedniego dnia.

- Tak. Wszystkie obiekty są rozmieszczone na północ od granicy. Meksykańskie oddziały, wierne naszej sprawie, czekają na pańskie rozkazy. Jak zaraz sam się pan przekona, jesteśmy w pełni gotowi, żeby uderzyć na wszystkich frontach - odparł i wbił wzrok w Khana.

- Z bożą pomocą.

- *Inshallah*. Co to za zegar nad monitorem? Jakies odliczanie, jak rozumiem?

- Tak, doktorze. Zaczęło się dziś rano.

Khan był drugim człowiekiem w hierarchii islamskiego ruchu terrorystycznego. Top znał go od lat. Wiedział, że czarne przenikliwe oczy doktora nie tylko patrzą - one penetrują wnętrza duszy.

- Przynoszę pozdrowienia i modlitwy za sukces z samej góry - rzekł Khan.

- Proszę zapewnić szejka, że jestem gotowy, by wypełnić mój święty obowiązek. Po Dniu Prawdy agresorzy nie będą już nas niepokoić.

Top próbował ukryć zaskoczenie tym, że Khan wspominał o Osامية. Nikt w światku terrorystów nie miał pewności, czy szejek żyje. Niedawno Al-Dżazira odtworzyła jego wypowiedź, ale pojawiły się wątpliwości co do autentyczności nagrania. Najwyższy przywódca islamistów, niemal legendarny książę Osama, nie pojawiał się ani publicznie, ani prywatnie od grudnia 2004 roku, kiedy to po raz ostatni zarejestrował swoją mowę na wideo. Wzywał w niej dżihadystowskich wojowników, by uderzyli w dostawy ropy z Zatoki Perskiej, i ostrzegł niewiernych Saudów, że ryzykują powszechne powstanie. Potem zniknął. Krążyły pogłoski, że Khan przygotowuje się do objęcia sukcesji po milczącym od dawna Osامية.

Zachodnie media, o dziwo, też milczały. Po prostu nie wiedziały, co się stało z architektem ogólnoświatowego islamskiego dżihadu. Nie wiedziały, czy Osama zaszył się gdzieś, uciekając przed amerykańskimi żołnierzami, czy też po prostu zmarł. Było prawdopodobne, że czeka przyczajony, aż uśpi czujność Zachodu, i przygotowuje Armagedon.

Nawet tak ważna osoba w światowym ruchu terrorystycznym jak Muhammad Top nie znał rozwiązania tej zagadki. Ale wiedział, że to Abu Musab al Khan jest uważany od pewnego czasu przez media za mózg organizacji. Jeżeli Khan jeszcze nie miał pełni władzy, to na pewno był w trakcie jej przejmowania. Top zdawał sobie sprawę, że jego sukces umocni pozycję Khana w świecie arabskim.

Wiedział o tym także sam Khan.

Tak czy inaczej, Khan z pewnością był w stanie kierować globalnymi operacjami terrorystycznymi. Poza tym wiadomo było powszechnie, że osobiście patroszył ludzi, którzy nie przeszli jego specyficznego testu wzrokowego. Mówiło się, że ukrywał w fałdach swoich szat zakrzywiony sztylet służący właśnie do tego celu.

Mimo starannych przygotowań Topa gość przybył dwie godziny później, niż planowano. Powodem opóźnienia był front burzowy, który przechodził nad Buenos Aires. Po rozlicznych kombinacjach związanych z transportem Khan wreszcie pojawił się w obozie w dżungli.

Top osobiście odprowadził go do tymczasowej kwatery dla gości. Dwupoziomowy budynek usytuowany w koronach drzew sześćdziesiąt metrów nad ziemią do którego wjechali w pełniącym funkcję windy koszu z powiązanych lian, bardzo się Khanowi spodobał. Odświeżywszy się po podróży, gość zjechał na dół i rozpoczął wycieczkę z przewodnikiem po tętniącym życiem obozie.

Top pokazał mu najpierw podziemne centrum dowodzenia i łączności, ukryte w

samym sercu obozu. Nawet doktor Khan musiał być pod wrażeniem technologii, jaką tam zobaczył. Top wyczuł, że gość rozkoszuje się rozmachem i precyzją z jaką działa ta pulsująca enklawa terrorystów.

Obaj stali przed rzędem monitorów. Każdy z płaskich ekranów pokazywał przesyłany cyfrowo przez satelitę obraz z kamer zamontowanych na pokładach bezzałogowych samolotów szpiegowskich, których flotyła krążyła nad Nowym Jorkiem i Waszyngtonem.

Piloci siedzący w centrum sterowali tymi maszynami za pomocą dżojstików i sensorowych przekaźników. Komputery w centrum dowodzenia odbierały cyfrowe sygnały z satelity nadawane w paśmie 14 GHz, tak by samoloty mogły krążyć poza zasięgiem wzroku.

Khan uśmiechnął się z aprobatą. Zaprojektował te bezzałogowe samoloty i teraz po raz pierwszy widział je w akcji nad terytorium wroga.

Na wielkim centralnym monitorze wyświetlano obraz znad Dolnego Manhattanu. Prom ze Staten Island dopływał właśnie do nabrzeża, a w biurówcach w pobliżu Battery Park zaczęły się zapalać światła. Mniejsze monitory po obu stronach pokazywały zdjęcia lotnicze Waszyngtonu, nabrzeży Chicago, portu w Miami i centrum Los Angeles, a na ekranach w najniższym rzędzie widniały obrazy z miast na granicy Teksasu i Meksyku.

- Jak idą przygotowania do akcji w Teksasie? - zapytał Khan, wpatrując się w most łączący Laredo z jego bliźniaczym miastem po drugiej stronie granicy.

- Konwój jest gotowy, doktorze. Znajduje się już na północ od granicy.

Pod względem powierzchowności Khan stanowił przeciwieństwo Topa. Wyglądał raczej niepozornie i tylko bystre spojrzenie czarnych oczu zdradzało, że jego drobne ciało kryje nieprzeciętny umysł. Był niski, miał wydatny haczykowaty nos i nosił okulary w drucianych oprawkach. Zaskakujące było tylko to, że na wycieczkę po obozie przebrał się w partyzancki drelich.

- Posłuchaj uważnie - powiedział, cofnął się o krok i popatrzył na swojego potężnie zbudowanego gospodarza. W czarnych oczach odbiły się obrazy z ekranów w najwyższym rzędzie. - Przynoszę ci wiadomość z samej góry. Zabijanie Amerykanów to cel drugorzędny. Tylko wisienka na torcie. Rozumiesz?

- Doktorze, pozwolę sobie...

- Nie odzywaj się! Po prostu słuchaj! Mówię o ataku na podstawy tego zepsutego państwa. Z bożą pomocą wypalę tę idylliczną amerykańską glebę aż do skały, na której powstała! Jeśli masz coś przeciwko, to powiedz mi teraz.

Top milczał. Wiedział, że musi okazać cierpliwość. Khan miał problemy z zorganizowaniem „koalicji woli” w latynoamerykańskich stolicach.

Wyglądało na to, że legiony Topa ruszą na północ samotnie. Muhammad był gotów iść sam, ale gdyby Khan zdołał zmontować tę koalicję, przypieczętowałby los Stanów Zjednoczonych.

Khan zdjął okulary i podrapał się po nosie. Nie dawał po sobie poznać, że walczy z koszmarnym bólem głowy. Musiał spotkać się ze swoim dowódcą wojskowym, bo od niego wszystko zależało. Im bliżej było wyznaczonego terminu, tym bardziej Castro się wahał. Podobnie Chavez w Wenezueli. Obaj przed przystąpieniem do koalicji chcieli się przekonać, że śmiały atak Muhammada Topa się powiedzie.

Khanowi zależało przede wszystkim na udziale Wenezueli, ale Chavez, mimo wszelkich jego zapewnień, postanowił poczekać i zobaczyć, co się wydarzy. Jeśli Top osiągnie sukces i zniszczy centrum dowodzenia Stanów Zjednoczonych, Wenezuela uderzy w powstałym chaosie. Chavez potajemnie stworzył potężne siły powietrzne. Zgromadził całe eskadry rosyjskich myśliwców Su-27, wyposażonych w rakiety powietrze-woda, które mogły zniszczyć niezbędne Stanom Zjednoczonym dostawy ropy w Zatoce Meksykańskiej.

To nie byłby jeszcze koniec Ameryki, ale mógłby to być początek końca.

Top i jego dowódcy mieli ogromną szansę, by rzucić Amerykę na kolana. Raporty wysłanników Khana docierające do jego kryjówki w górach były pozytywne. Ze wszystkich wynikało, że Muhammad Top zbudował dżihadystowską maszynę wojenną która upokorzy świat.

Khan dostawał także comiesięczne raporty wywiadowcze od szefów swoich komórek w Ameryce Południowej. Zawierały one bardziej wyważony obraz tego, co działo się na południowej półkuli. Przez kilka lat Khan czytał raporty od braci z Hawany, Caracas i Limy. Teraz przyjechał, by zobaczyć na własne oczy, co udało się osiągnąć w La Selva Negra.

I jakiego człowieka uczynił z Topa.

Muhammad doszedł do władzy i zyskał na znaczeniu po zamachu na izraelską ambasadę w Buenos Aires w 1991 roku. Top i Khan wspólnie zaplanowali ten atak, ale to błyskotliwa realizacja planu przez Topa sprawiła, że ówczesne kierownictwo al-Kaidy zwróciło na niego uwagę.

Po sukcesie argentyńskiej misji Muhammad i jego zwolennicy przenieśli się na północ w rejon Mato Grosso wokół Wielkiego Wodospadu przy Madre de Dios. Przeczesawszy dżunglę i wybrawszy idealne miejsce, Top - jak zwykle pod przewodnictwem Khana - zaczął długi i niezwykle trudny proces budowy wielkiej terrorystycznej armii. Jednocześnie w całkowitej tajemnicy rozpoczęto prace nad zaawansowaną technologią wojennych robotów i bezzałogowych samolotów zaprojektowanych przez Khana.

Khan był mądrym i cierpliwym mentorem. To on wykradł zachodnią technologię i przekazał ją Korei Północnej, Pakistanowi oraz tajnym komórkom terrorystycznym w tropikalnych lasach deszczowych. Top zaś był zdolnym i chętnym protegowanym, który bez wytchnienia budował potężne oddziały Świętych Wojowników. Khan kradł tylko od najlepszych. Przyglądał się osiągnięciom Japończyków w robotyce i przystosował je do celów wojskowych. Niekończące się zapasy gotówki umożliwiły wypływ tajemnic także z najważniejszych firm współpracujących z amerykańskim Departamentem Obrony.

Doktor od początku nakazał Topowi, by - kiedy tylko jego armia osiągnie odpowiednią siłę - wyprowadził ją z dżungli i przeniósł do zaludnionych centrów miast Ameryki Łacińskiej. Przekazał mu tę wiadomość kurierem jeszcze w 1995 roku. Wraz z rozkazami z górskiej kwatery Khana posłaniec wręczył Muhammadowi podarunek: książkę Carlosa Marighelli.

Marighella, nim wpadł w pułapkę i został zabity przez brazylijską policję, był jednym z największych bohaterów południowoamerykańskiej rewolucji. Tuż przed śmiercią napisał poradnik dotyczący tworzenia oddziałów partyzanckich. Ta cienka książeczka mocno wyprzedziła swój czas i stała się osobistą biblią Topa. Znał ją prawie na pamięć i często cytował fragmenty swoim oficerom.

Sfera wpływów Papy Topa obejmowała komórki terrorystyczne i jednostki partyzanckie w całej Ameryce Południowej. Każda z nich była przedziwną mieszaniną handlarzy narkotyków, broni i pospolitych rzezimieszków i każda przeszła rygorystyczne szkolenie paramilitarne. Ta potężna armia stanowiła wybuchową mieszaninę radykalnych lewaków, radykalnych muzułmanów i pospolitych kryminalistów, którzy byli wierni tylko swojemu przywódcy.

- Nasz następny przystanek jest za rzeką - powiedział Top. - Centrum Badania nad Robotami Bojowymi. Możemy iść?

- Tak - odparł Abu Khan. - Chodźmy obejrzyć naszych cudownych mechanicznych wojowników.

Remik gin! - krzyknął Congreve, rozkładając zwycięskie karty na zielonym aksamicie: trzy damy, trzy walety i królewski strit. Ambrose, odziany jak na tropiki przystało w trzyczęściowy garnitur z bawełny, rozparł się w fotelu i upił łyk ostro przyprawionego krwawego byka.

- Remik? - Hawke patrzył przez chwilę na karty przeciwnika i w końcu powiedział: - Niemożliwe.

- Być może niewiarygodne, ale na pewno nie niemożliwe. Patrz i płac, drogi chłopcze, bo więcej czegoś takiego nie zobaczysz.

- Jak możesz już mieć remika? Przecież dopiero co zaczęliśmy rozdanie. Dobrałeś zaledwie trzy karty.

- W rzeczy samej, dobrałem trzy karty: trzecią damę, asa karo i waleta pik, który dopełnił mi pięknego strita. To remik, mój przyjacielu. A teraz ty pokaż, co tam masz. O ile się nie mylę, przyłapałem cię z nadmiarem kosztownych figur.

Hawke westchnął i wyłożył swoje karty. Congreve, widząc je, uśmiechnął się szeroko. Dwa króle, dwa walety, para dziewiątek, para siódemek i jakieś inne blotki. Całość warta osiemdziesiąt parę punktów. Nieźle, uznał.

- No cóż - powiedział i podsumował rozgrywkę. - Jakkolwiek by liczyć, wyprzedziłem cię. Mamy czas na jeszcze jedno rozdanie. Bo to, co rysuje się tam w dole, wygląda podejrzanie podobnie do Florydy.

Hawke wyjrzał przez okno i przeszył go przyjemny dreszcz oczekiwania. Atlantyk zmieniał kolor z ciemnogrnatowego na piękną akwamarynę w pobliżu brzegu. Mały odrzutowiec zaczynał stopniowo schodzić do lądowania na wschodnim brzegu potężnego półwyspu. Alex uśmiechnął się po raz pierwszy, od kiedy się obudził.

Po ostatnich kilku tygodniach zimna i wilgoci z radością zostawił za sobą ponurą Anglię. Tęsknił za ciepłym tropikalnym słońcem. Według załogi odrzutowca wylądowali tak, by zdążyć na śniadanie na pokładzie „Blackhawke’a”. Od ponad roku Hawke nie stał na pokładzie swojego ukochanego jachtu.

- Jeden z nas powinien obudzić pannę Guinness - powiedział do Ambrose’a.

- Muszę przyznać, że C wybrał ci przeuroczą asystentkę - odparł Congreve.

- Nie jest asystentką.

- W takim razie kim jest?

- Szpiegiem.

Congreve pokiwał głową z uznaniem.

- Nieźle - powiedział. - Myślisz, że szpieguje dla C? No tak, to by miało sens. Wysłał

ją żeby miała na ciebie oko. Wygląda na dość bystrą.

- Niepotrzebny mi kolejny mózg. Mam ciebie.

- Ale przyjemnie na nią spojrzeć. Ponętne kształty.

- Ponętne, dopóki nie staną mi na drodze. Mam zamiar podziwiać ją z daleka.

- Z mojej drogi nie musi się usuwać. Bardzo mi się podoba ten urlop w tropikach. Jest coś ożywczego w prawie nagich kobietach pluskających się w morzu, prawda? Człowiek czuje, że musi stanąć na wysokości zadania, że to określe.

Prawie nagich? Stanąć na wysokości zadania? Hawke szukał śladu ironii w błękitnych oczach Congreve'a, ale się nie doszukał.

- Powinieneś się wstydzić, inspektorze. Jesteś już prawie mężem. Obiecałem Dianie, że będę miał cię na oku, i zamierzam dotrzymać słowa.

- Pamiętasz, co mówił o małżeństwie Sherlock Holmes, drogi przyjacielu?

- Nie, nie pamiętam. I szczerze ci...

- Remik - przerwał mu Ambrose.

- Znowu? - Hawke zniechęcony rzucił karty na stół.

Wyczuł jakiś ruch za plecami i opadł na fotel.

- Dzień dobry, panie Congreve - powiedziała Pippa Guinness, zerkając na Ambrose'a zza oparcia swojego fotela. Ziewnęła i wierzchem dłoni przetarła oczy.

Hawke, który siedział tyłem do niej, wolał nie reagować na to powitanie, więc udawał, że śpi.

Poprzedniego wieczoru w barze Connaught dokonał niepokojącego odkrycia. Po kilku drinkach pewien stary znajomy, który od niedawna pracował w Legolandzie, powiedział mu, że to urocza panna Guinness analizowała jego raporty z Amazonii i przekazywała C własne oceny poziomu zagrożenia w tym rejonie. Najwyraźniej przekonana, iż jest znacznie niższy, niż wynikało to z szacunków Hawke'a, bo wmawiała C, że Alex przesadza.

Hawke może nie miałby nic przeciwko temu, gdyby nie wiedział, że Pippa nigdy nie była w dorzeczu Amazonki. Swoje wnioski wyciągała na podstawie doniesień rozmaitych niskich rangą pracowników ambasad, którzy pisali raporty, siedząc wygodnie w dobrze wyposażonych placówkach w Buenos Aires, Caracas, Santiago i Montevideo. Rzadko przychodziło im do głowy ruszyć w teren.

Hawke nie miał złudzeń, po co C przydzielił mu Pippę Guinness jako „doradcę” w tej podróży - żeby miała na niego oko i donosiła szefowi o wszystkim, co zobaczy i usłyszy na Key West. Rząd Jej Królewskiej Mości zainwestował ogromne sumy w Brazylii. Szef MSZ na pewno suszył głowę, by pilnował swojego byłego agenta terenowego, kiedy ten będzie

buszował po terenie Amerykanów.

Panna Guinness siedziała tuż za ścianką kabiny po lewej stronie. Zamontowany na niej płaski monitor pokazywał mapę satelitarną południowo-wschodniego krańca Stanów Zjednoczonych oraz wyświetlał ich obecną prędkość, szacowany czas przylotu, a także lokalny czas i temperaturę w porcie docelowym. Hawke zauważył, że w Miami jest dwadzieścia stopni. Gdy wylatywali, temperatura w Londynie spadła poniżej zera.

Po kolacji steward zaproponował, by obejrzeli film, i poprosił Pippę Guinness o wybranie któregoś z pokładowej biblioteczki DVD. Zdecydowała się na *Bad Boys*, komedię z Willem Smithem kręcącą w Miami. Tak się składało, że była to jedna z ulubionych komedii Aleksa, więc obejrzał spory kawałek, nim w końcu zabrał się do lektury materiałów na temat Ameryki Łacińskiej oznaczonych jako „Tajne specjalnego znaczenia”. To był pomysł C na rozrywkę w czasie lotu.

Dokumenty były ciekawsze, niż się spodziewał - ten, kto je przygotowywał, znał się na rzeczy - ale przekopawszy się przez trzy czwarte zawartości teczki, i tak zasnął. Po kilku godzinach dokończył lekturę, po czym wpadł w rozsnutą przez Congreve'a gęstą sieć asów, waletów, królów i dam.

- Dzień dobry, panno Guinness - powiedział Ambrose i zapytał: - Jak się spało?

- Bardzo wygodnie, dziękuję - odparła. - Zdecydowanie lepiej niż w klasie ekonomicznej w Virgin Atlantic.

- W rzeczy samej - przyznał Ambrose. - Linie Hawke Air nie szcędzą nam luksusów. Napije się pani herbaty? A może kawy? Śniadanie przewidziano już na ziemi, ale jestem pewien że w kambuzie znajdzie się to i owo, jeśli ma pani ochotę. Może jajecznicę i tosta?

- Wystarczy herbata, dziękuję. Skoczę tylko do łazienki i odświeżę się, jeśli mamy jeszcze czas.

- Mamy. Lądujemy za około pół godziny.

- Doskonale. - Zgrabnie wstała z fotela, zważywszy długość spódniczki. - Jak tam wasz remik? Wygrał pan, nadinspektorze?

- Z łatwością moja droga, i to wysoko.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi toalety, Hawke, który udawał, że śpi, podniósł oparcie fotela i spojrzął na Congreve'a.

- Z łatwością? - powtórzył. - Tak jej powiedziałaś?

- Mhm.

- Akurat. Rozdawaj karty.

Port w Miami

Pół godziny później Hawke stanął na betonowej nawierzchni lotniska Opa-locka, które obsługiwało ruch lokalny i leżało dziesięć kilometrów od portu lotniczego Miami International. Zobaczył, że tuż przed terminalem stoi granatowy chevrolet suburban z przyciemnionymi szybami. Wysiadł z niego sierżant Tom Quick i szybkim krokiem ruszył w ich stronę.

- Witamy w Miami, kapitanie - powiedział, wyciągając rękę. Ten młody Amerykanin o jasnych włosach, były wojskowy snajper, był szefem ochrony Hawke'a i przez ostatnich kilka miesięcy doglądał prac modernizacyjnych na „Blackhawke'u”.

- Miło pana widzieć, sir - dodał i wzięwszy od Aleksa płócienną torbę podróżną, powiesił ją sobie na ramieniu.

- Miło znów tu przyjechać - odparł Hawke. - Znów udało się oszukać kostuchę, Tommy. - Obejrzał się na błyszczący kadłub samolotu.

Quick pochylił się i szepnął:

- Pilna wiadomość, kapitanie. Właśnie dzwonił do mnie Stokely Jones. Jedzie właśnie do portu i pytał, czy już pan wylądował. Mówił, że ma kogoś, z kim na pewno chciałby się pan spotkać. Jakiegoś Wenezuelczyka, którego poznał na wyspach Keys. Wczoraj wieczorem wrócił z Key West, gdzie on i jego nowy znajomy leżeli w szpitalu.

- Stoke był ranny? Czy poważnie?

- To chyba nic groźnego, ale potrzymali go na obserwacji. Skaleczył się, nurkując przedwczoraj w jakimś wraku, i stracił sporo krwi. Ale jak zwykle jest pełen optymizmu. Twierdzi, że jego nowy znajomy bardzo pana zainteresuje.

- Masz nowy numer komórki Stoke'a?

- Tak, sir.

- Zadzwoń do niego z samochodu.

Z samolotu wyszedł Congreve. Jako dżentelmen w każdym calu na ostatnich kilku schodkach zaoferował pomocną dłoń pannie Guinness.

- Panie Congreve, miło znów pana widzieć - powiedział Tommy, podchodząc, by uścisnąć dłoń Ambrose'a i pozbawić go podręcznego bagażu.

- Ja również cieszę się, że cię widzę, Tom - odparł Congreve i oddał Quickowi swoją

torbę. Rozejrzał się po lotnisku okolonym palmami, uniósł ręce i wspiał się na palce. Nie znosił latać i zawsze cieszył się, stając na twardym gruncie.

- Sierzancie - rzekł, zwracając się do Quicka - to panna Pippa Guinness. Panno Guinness, ten przystojny młodzieniec to Thomas Quick, były żołnierz armii amerykańskiej, teraz człowiek odpowiedzialny za pani bezpieczeństwo na pokładzie „Blackhawke’a”.

- Bardzo mi miło, panno Guinness - rzekł sierżant i uściśnął jej dłoń.

- Witamy w tropiku. Nasz samochód stoi niedaleko. Jeśli wszyscy są gotowi, to chodźmy załatwić sprawy wizowe i celne, potem pojedziemy do portu. Na pokładzie statku czeka na nas gorące śniadanie.

- Na pokładzie statku? - mruknęła Pippa, zerkając na Hawke’a. - To on ma statek?

- Sama pani zobaczy - odparł Quick i wziął jej torbę podręczną.

*

Znalazłszy na pokładzie ukochanego „Blackhawke’a”, Hawke szybko skończył śniadanie i ruszył na obchód. Po długiej podróży w szczelnie zamkniętej aluminiowej rurze tęsknił za świeżym powietrzem i samotnością. Teraz miał ochotę jedynie na towarzystwo jachtu. Chciał go dokładnie obejrzeć, poczuć, musnąć palcami lakierowane barierki i błyszczące chromowane okucia.

Wstąpił na chwilę do swojej kajuty na rufie. Zrzucił szare spodnie i czarny kaszmirowy sweter, który miał na sobie w czasie lotu, i wdział stare szorty khaki i wypłowiła koszulkę Royal Navy.

Idąc na dziób, czuł przyjemne ciepło tekowego pokładu pod gołymi stopami. Nie ma to jak woń świeżo wyszorowanych desek. Ten zapach zwiastuje nową podróż za horyzont, nową przygodę, która czeka za rogiem. Salutując z uśmiechem mijanym członkom załogi, swoim starym przyjaciółom, Alex czuł, jak opuszcza go napięcie ostatnich kilku miesięcy. Dotarłszy do dziobu, spojrzął na oświetloną słońcem panoramę potężnej zatoki i błękitnego Atlantyku ciągnącego się dalej.

Dzięki Bogu za morze i prostotę światła poranka.

Hawke stał samotnie na pokładzie dziobowym i czuł się naprawdę szczęśliwy, po raz pierwszy od wielu miesięcy. Cieszył się, że spędzi kilka dni w słonecznym Miami, zanim znów będzie musiał wrócić do czarnej roboty. Szary Londyn pełen mgieł i deszczu zaczynał ginąć w mrokach pamięci.

Czyste powietrze przesiąknięte solą przyjemnie chłodziło twarz. Biała chmurka przesłoniła na chwilę poranne słońce wspinające się po jasnoniebieskiej połaci nieba. Mewy i rybitwy zataczały koła i krzyczały, nurkowały i muskały pomarszczoną powierzchnię

błękitnych wód u wejścia do portu.

Zaczerpnął duży haust morskiego powietrza i trzymał je w płucach, póki nie zaczęło parzyć, płonąc w piersi oczyszczającym ogniem.

Kiedy tak stał w jasnym słońcu, pomyślał, że dopiero po osiągnięciu pewnego etapu w życiu człowiek zaczyna w pełni doceniać piękno natury. Coraz wyraźniej uświadamia sobie upływ czasu i już rozumie, że nic nie zostaje mu dane raz na zawsze.

On to zrozumiał po tragicznej śmierci swojej żony Victorii, która zginęła przed dwoma laty na schodach kaplicy w Corswolds. Kiedy kula snajpera przeszła pierś panny młodej, poczuł, że jego serce też pękło i był pewien, że ta rana nigdy się nie zagoi. Bóg jeden wiedział, jak bardzo wciąż bolała.

Potem w amazońskiej dżungli znów otarł się o śmierć - stracił na rzece wszystkich swoich towarzyszy.

- Kapitanie?

- Tak? - Odwrócił się i zobaczył, że z mostka schodzi Tom Quick.

- Przepraszam, że niepokoję, ale pewna stara przyjaciółka usłyszała, że jest pan na pokładzie, i domaga się spotkania.

Sniper, ukochana papuga Hawke'a, siedziała na prawym ramieniu sierżanta.

- Halo, Hawke! Halo, Hawke! - zaskrzeczał ptak, machając wielkimi skrzydłami.

- Świetny pomysł, Tommy, daj mi ją na chwilę. Cześć, starucho, jak się masz?

- Niemam pojęcia. Comnietoobchodzi! - odparowała papuga.

- Ze mną jest dokładnie tak samo - powiedział Hawke i pogładził czule jej dziób. - Nie mam pojęcia, jak się czuję, i w zasadzie mało mnie to obchodzi. Żalodne, co?

- Ale laska! Co za ciało! - krzyknął Sniper bez związku. Pewnie powtarzał zachwyty kogoś z załogi nad Pippą Guinness.

Alex wybuchnął śmiechem. Z wiekiem Sniper wyrażał się coraz dosadniej, a to dlatego, że przestawał z bandą marynarzy. Ale wiekowe ptaszysko, szkolone na stare pirackie sposoby, często ostrzegało swego pana przed ukrytymi niebezpieczeństwami.

Papuga zamachała skrzydłami i miękko wylądowała na ramieniu Hawke'a.

- Jeszcze nie jadła śniadania, kapitanie. Przyniosłem cheezbits - odezwał się Quick.

Hawke wziął garść chrupków, które Snipeer zaczął ochoczo dziobać.

- Pod pokładem wszystko w porządku, Tommy? - zapytał Alex. Nie miał jeszcze czasu zejść do maszynowni ani do centrum łączności i sterowania ogniem.

Powierzył Quickowi nadzór nad modernizacją i poprawą uzbrojenia jachtu. Teraz „Blackhawke” stał się teraz bardziej okrętem wojennym niż zabawką bogatego faceta. W

czarnym kadłubie znajdował się system bojowy oparty na technologii Aegis oraz wielofunkcyjny system radarowy SPY-1. Kosztowało go to fortunę, ale w takich sprawach myślał perspektywicznie. „Blackhawke” był jego fortecą i centrum operacyjnym podczas misji zagranicznych. Na szczęście mógł sobie pozwolić na to, by wypływać w morze ze sprzętem pierwszej klasy.

- Nie powiem, że wszystko chodzi jak w zegarku, bo tak nigdy nie jest. Ale jacht jest gotowy do drogi i walki. Można stawiać żagle, sir.

- Zerknąłem na raporty głównego inżyniera z prób na morzu. Łajba jest chyba w lepszym stanie, niż kiedy z niej schodziłem.

Quick się uśmiechnął.

- Powiem tylko, kapitanie, że jak na swoje siedemdziesiąt metrów ten jacht pędzi jak szatan.

- Chcę, żebyśmy przed północą ruszyli w drogę.

- Tak jest, sir.

- Co to za hałas?

- Zdaje się, że ktoś jedzie po nabrzeżu, sir.

- Samochód może wydawać takie przerażające dźwięki? - zdziwił się Hawke, podchodząc do lewej burty i patrząc na brzeg. Tuż przy trapie zatrzymał się właśnie czarny kabriolet, amerykański potwór z tyłem zagiętym do góry pod bardzo ostrym kątem. Kiedy kierowca wciskał gaz, z rury wydechowej dobiegał głośny ryk.

Nagle dach kabrioletu zaczął się składać, odsłaniając kierowcę, którym okazał się Stokely Jones, roześmiany od ucha do ucha.

Hawke oddał Quickowi papugę i też się uśmiechnął, chyba jeszcze szerzej.

Stoke wrócił. Ambrose jest na pokładzie. Znow miał swoją drużynę. Znow szli na spotkanie z przygodą.

Alex ponownie poczuł, że żyje.

- Niech pan spojrzy, szeryfie! Co tam się, u diabła, dzieje? - Homer odstawił pepsa i

uniósł się od stolika, żeby spojrzeć nad oparciem kanapy.

Franklin odwrócił głowę i wyjrzał przez okno. Zobaczył mężczyznę w dzinsowym drelichu, biegnącego wzdłuż okien baru, a sekundę później starego żółtego psa, który go gonił.

- Musiał się spóźnić na autobus - mruknął i wrócił do swojej owsianki.
- Przecież w Prairie nie ma autobusów - zauważył Homer.
- No właśnie.

Szeryf odgryzł kawałek kanapki i uśmiechnął się. Nigdzie nie dawali lepszych kanapek z grillowanym serem niż w Virgil Buff przy drogerii Rexall.

Obaj policjanci odtrąbili fajrant około pierwszej i poszli coś przekąsić do baru po drugiej stronie ulicy. Był ciepły grudniowy dzień, wentylatory pod sufitem kręciły się leniwie. Zapach smażonej cebuli unoszący się w powietrzu sprawił, że Franklin już w drzwiach poczuł głód.

Właściciel baru Roy Sewell niechętnie wskazał im ostatni wolny stolik. Franklin pomyślał, że nie zostało mu wielu przyjaciół w tym mieście. Ale przecież pilnowanie prawa to nie konkurs popularności.

Ludzie lubią gdy prawo jest po ich stronie, i nie lubią kiedy jest odwrotnie.

Roy podszedł, by przyjąć zamówienie. Skinął głową kiedy obaj policjanci powiedzieli „to, co zwykle”. Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy, którą przerwał Homer.

- Jak idzie panu ten raport, szeryfie?
- Prawie skończyłem.
- Jest pan z niego zadowolony?
- Tak. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia.
- W dzienniku mówili, że na Key West będzie tam nawet piękna sekretarz stanu. Jak ona się nazywa? Consuela Jakaś tam. Chyba Kubanka. Ostatnio pełno jej było w telewizji. Nie denerwuje się pan, że będzie pan przemawiał przed tymi wszystkimi elegancikami z Waszyngtonu?
- Szczerze mówiąc, denerwuję się tylko tym, że nie będzie mnie tu tak długo.
- Proszę się nie martwić. Damy sobie radę. Mamy jeszcze Wyatta.
- No tak. Mamy Wyatta.

Od niedzielnego popołudnia przed tygodniem, kiedy mały Manuelito oddał duszę Panu na farmie Brotherwoodów, w niewielkiej, ale coraz szybciej rosnącej społeczności Latynosów wylano mnóstwo łez. Pojawiło się też kilku demonstrantów i zaczęto zadawać pytania, dlaczego amerykańskie prawo imigracyjne jest takie bezduszne. Część miejscowych

- nie tylko Latynosów - obwiniało szeryfa o śmierć chłopca. Na to nic nie można było poradzić. Ludzie myślą co chcą myśleć.

Ponieważ chłopiec nie miał w Meksyku rodziny, Franklin zorganizował mu pogrzeb na maleńkim cmentarzu za kościołem pod wezwaniem św. Marii. Był to jedyny kościół katolicki w mieście, a jego proboszcz był starym znajomym Dixona. Szeryf przemówił nad grobem, próbując wyrazić, co czuł, kiedy dziecko zmarło. Nie był pewien, czy mu się to udało, ale miał nadzieję, że choć trochę pocieszył ludzi pogrążonych w żalu. Dwie rodziny zgłosiły się, by wziąć do siebie braci Manuelita.

- Dokończ obiad, Homer - powiedział Franklin, ale jego zastępca znów wstał. Potrącił przy tym szklankę z wodą która przewróciła się na talerz szeryfa, rujnując resztę jego doskonałej kanapki z grillowanym serem.

- Dzieje się coś dziwnego, szeryfie. Niech pan spojrzy na ludzi. Wszyscy biegną jakby się czegoś przestraszyli.

Franklin otarł usta papierową chusteczką i wyszedł zza stolika.

- Chodźmy.

Homer miał rację. Po minach ludzi pędzących przed oknami baru było widać, że nie biegną dokądś, ale raczej uciekają przed czymś.

- Co to jest, szeryfie? - zastanawiał się Homer, poprawiając kapelusz.

- Jakieś tornado czy co?

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć. Idź przodem. Ja rozliczę się z Royem.

Homer wyszedł z baru i ledwo zachował równowagę, kiedy wpadł na niego Frank Teague. Frank, słynny na cały stan środkowy licealnej drużyny koszykówki, trzymał na rękach swoją maleńką siostrę. Za nim pędziły ich matka i babcia.

- Pani Teague - zawołał Dixon, który właśnie wyszedł na ulicę. - Dokąd biegniecie? Co się tu dzieje?

Kobieta zatrzymała się na chwilę i wydyszała:

- Jedzie tu cała banda na motocyklach. Mają broń!

- Ilu?

- Dwudziestu albo i więcej. Nie liczyłam dokładnie. Wyglądają jak Anioły Piekiel. Strzelali do samochodów i wybili szybę w sklepie.

- Ktoś został ranny?

- Nie wiem, szeryfie.

- Gdzie teraz są?

- Chyba wciąż kawałek stąd. - Wdowa Teague obejrzała się z obawą przez ramię. -

Widziałam, jak zatrzymali się na dwupasmówce pod miastem. Wie pan, tuż przed stacją Mobil Graya. Prawdopodobnie jadą do miasta! Niech ktoś coś zrobi, szeryfie!

- Wszystko będzie w porządku - uspokajał ją Franklin. - Ale ludzie muszą zejść z ulic. Natychmiast. Niech pani biegnie dalej i powie to każdemu po drodze.

- Para Salvados - szepnął Homer do szeryfa. - Ci sami, których widzieliśmy na arenie?

- Być może - odparł Franklin. Sam zastanawiał się, kto to. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin kilka razy grożono mu śmiercią przez telefon i raz w liście nadanym z Laredo. Daisy dostawała bardzo niepokojące e-maile. Od meksykańskich policjantów słyszał, że w Nuevo Laredo obwinia się go o śmierć Manuelita. Bez wątpienia nastroje podgrzewał Tiger Tejada.

Wdowa pobiegła za swoją uciekającą rodziną. Franklin odsunął się na bok, żeby przepuścić innych ludzi. Z południa zaczął dochodzić odległy ryk silników. Jeszcze parę minut, a motocykle zaczną wjeżdżać do miasta.

- Homer.

- Tak, szeryfie?

- Wezwij Wyatta i powiedz mu, żeby wyprowadził na ulicę policjantów. Wszystkich, których znajdzie w biurze i ściągnie przez radio. Niech wyjrzy przez okno. Może jeszcze nie zauważył, że szykuje nam się panika w mieście. Chcę, żeby wszystkich usunięto z ulic, i to migiem. Powiedz mu, żeby policjanci włożyli kamizelki.

- Tak jest. A pan, szeryfie?

- Ja spróbuję sprawdzić, co się tutaj dzieje.

- Chce pan to? - zapytał Homer, wyciągając swojego smith & wesson. Franklin spojrzał na rewolwer. Nie lubił nosić broni z dwóch powodów. Po pierwsze, próbował dawać społeczności dobry przykład, a po drugie, zabił też kiedyś z bliskiej odległości mnóstwo ludzi i starał się tak postępować, żeby już więcej nie być do tego zmuszonym.

Czasy się zmieniają

Wziął rewolwer.

- Nie mamy wiele czasu, synu. Leć i pomóż Wyattowi.

*

Ludzie zaczęli wybiegać z baru Roya, więc Dixon musiał się przepychać przez spanikowany tłum, żeby w ogóle dostać się do środka. Kucharz Virgil właśnie zamykał kasę, a Roy sięgnął po strzelbę, którą trzymał pod kontuarem, i sprawdzał, czy jest naładowana. Franklin wiedział, że jest naładowana grubym śrutem. Nie na wiele się to przyda, ale lepszy rydz niż nic.

- Jak można dostać się na dach? - spytał Sewella. Bar mieścił się na parterze czterokondygnacyjnego budynku, z którego można było obserwować główną ulicę.

Roy przeskoczył przez ladę.

- Tam z tyłu, szeryfie. Po drabince pożarowej. Chce pan tam iść?

- Nie. Chciałbym, żebyś ty tam poszedł ze strzelbą. Na wszelki wypadek. Zrobisz to?

- Nie ma sprawy, szeryfie. Co się, u licha, dzieje?

- Jakaś banda motocyklistów jedzie do miasta.

- Wystrzelamy ich jak kaczki.

- Nie pokazuj się, dopóki nie dam ci sygnału. I na litość boską nie strzelaj.

Roy skinął głową i wraz z kucharzem zniknął na zapleczu, w ciemnym korytarzu, który prowadził na tył starej wiktoriańskiej kamienicy. Dixon wybiegł przez drzwi wejściowe na chodnik.

Tłum już się rozproszył. W kierunku południowym główna ulica była pusta. Większość ludzi pochowała się w domach albo powskakiwała do aut i wyniosła się z miasta. Mieszkańcy ewakuowali się w zaledwie kilka minut.

Warkot silników narastał. Motocykle były coraz bliżej. Wzbijały obłoki kurzu tworzące brudną chmurę na błękitnym niebie nad miasteczkiem.

Dixon spojrział na dach budynku i zobaczył, że Roy i Virgil już tam są spoglądając w dół zza krawędzi. Po drugiej stronie ulicy, w ratuszu, widać było twarze we wszystkich oknach. Na razie nie pojawił się żaden policjant, ale może to i lepiej. Niech chłopcy przedefilują sobie z fasonem i pojedą dalej.

Franklin ruszył na południe środkiem głównej ulicy. Ryk silników był już bardzo blisko. Przeszedł kilkadziesiąt metrów, kiedy zobaczył motocyklistów, sześć przecznic dalej. Było ich o wiele więcej niż dwudziestu czy trzydziestu. Na oko i ucho raczej około setki.

Jechali czwórkami główną ulicą bardzo wolno, nie więcej niż piętnaście na godzinę. Takich czteroosobowych rzędów było co najmniej dwadzieścia. Ryk silników stawał się nie do wytrzymania, bo dudnił w studni budynków po obu stronach ulicy.

Franklin usłyszał jakiś krzyk i zobaczył, jak Wyatt i Homer wychodzą z ratusza z dwoma innymi policjantami. Za nimi w drzwiach pojawiło się kilku kolejnych. Wszyscy mieli na sobie keplarowe kamizelki. Franklin musiał zdecydować, czy chce umundurowanych policjantów na ulicy. Ich obecność mogła tylko zaostrzyć sytuację.

Odwrócił się do Homera i Wyatta i krzyknął:

- Wracajcie do środka! Każcie wszystkim trzymać się z daleka i nie wychylać, dopóki nie powiem inaczej. Niech sobie przejadą!

- Co takiego?! - zawołał Wyatt. Niezbyt dobrze słyszał.

- Wracajcie do środka! - wrzasnął szeryf głośniejszym głosem.

Homer dał znak, że zrozumiał, i policjanci wycofali się do ratusza. Dwadzieścia sekund później z okien zniknęły wszystkie twarze.

Ryczące maszyny, głównie harleje błyskające chromem, były już tylko o pół przecznicy i nie zwalniały, mimo że na środku ulicy stał Franklin. Szeryf przyglądał się łobuzom.

Wszyscy mieli wypolerowane łańcuchy na szyjach, kolczyki z czaszkami w nosach i uszach, motocyklowe okulary, bandany, zatłuszczone levisy i skórzane kamizelki. Para Salvados na nagich torsach. Utrzymywali równy szyk, jadąc co najmniej metr od siebie i trzymając się piętnastu kilometrów na godzinę.

Kiedy wjechali na odcinek przed ratuszem, Dixon rozpoznał twarze kilku motocyklistów. Większość z nich widział w Nuevo Laredo na arenie byków. Nawiązał kontakt wzrokowy z mężczyzną na skraju po prawej. To był sam Tres Ojos, Tygrys Tejada. Przywódca gangu sięgnął lewą ręką i wyciągnął strzelbę z odpiłowaną lufą z kabury pod siedzeniem motocykla.

Gdy wycelował obrzyna w pierś Dixona, Franklin dojrzał kątem oka, że Homer ponownie wychodzi z ratusza. W ręku trzymał samopowtarzalną strzelbę do tłumienia zamieszek. Franklin nie mógł mu machnąć, żeby się schował, bo w tej chwili każdy gwałtowny ruch byłby ryzykowny. Zerknął szybko na dach, gdzie czekał Roy, i pokręcił głową. Miał nadzieję, że właściciel baru zrozumiał, że nie powinien prowokować strzelaniny. Nagle Tejada uniósł swojego obrzyna i strzelił dwa razy w powietrze.

To był sygnał dla wszystkich motocyklistów.

Zaczęli strzelać w powietrze, a między wystrzałami krzyčili: „*Viva Mexico! Reconquista! Viva Mexico!*”¹⁴ Te krzyki, a nawet odgłosy wystrzałów praktycznie nikły w starciu z niskim, basowym warkotem setki maszyn.

Franklin nie podniósł rewolweru, który trzymał w ręce, i wpatrywał się w Tygrysa Tejadę. Kiedy pierwszy rząd motocykli ruszył na niego, tylko pokręcił głową.

Nie spuszczał wzroku z Tygrysa i po prostu stał na ulicy, modląc się w duchu, żeby Homer albo Roy nie zrobili niczego, co zakłóciłoby tę demonstrację, paradę czy Bóg wie co innego. Nie próbował zgrywać bohatera, który samotnie broni swojego terenu. Nic z tych

¹⁴ *Viva Mexico! Reconquista! Viva Mexico!* (hiszp.) - Niech żyje Meksyk! Odbijemy, co nasze! Niech żyje Meksyk!

rzeczy. Wiedział, że kiedyś trzeba będzie umrzeć, ale był pewien, że nie odbędzie się to w ten sposób.

Motocykliści dopadli go, zanim miał szansę zejść im z drogi. Tygrys uniósł prawą pięść i na ten znak wszystkie maszyny zahamowały, wzbijając chmurę kurzu, ale utrzymując szyk.

Tygrys zatrzymał się niecałe pół metra od szeryfa.

- *Ola* - powitał go z uśmiechem.

- Jak się masz?

- Całkiem nieźle, jak widzisz.

- Po co przyjechałeś?

- To miła miejscina - odparł Meksykanin. W srebrnym kolczyku zwisającym mu z ucha błysnęło słońce.

- Jesteś tu nielegalnie.

- Ty przyjechałeś do mnie, ja przyjechałem do ciebie. Zrobiłem, o co poprosiłeś, oddałem te śmierdzące dziwki. A potem dowiaduję się, że mały Meksykanin umiera z pragnienia na twoich rękach. Wy, *Anglos*, nie macie szacunku dla naszego życia. Potraktuj to jako ostrzeżenie. Żadna dziura przy tej granicy nie może czuć się bezpiecznie. My się nigdy nie czuliśmy bezpiecznie. Teraz przekonacie się, jak to jest, panie Strażniku Teksasu.

- *Reconquista!* - krzyczeli motocykliści z pięściami uniesionymi w górę. - *Reconquista!*

To był okrzyk wojenny milionów nielegalnych imigrantów. Dixon, jak wielu policjantów z terenów przygranicznych, uważał, że ci nielegalni imigranci to tak naprawdę armia najeźdźców, która chce odbić południowy zachód Stanów Zjednoczonych. Było ich coraz więcej i trafiali się wśród nich uzbrojeni żołnierze meksykańskiej armii, najemnicy z Korei Północnej, Rosji i innych krajów postkomunistycznych. Byli coraz śmielsi, strzelali do funkcjonariuszy straży granicznej i terroryzowali amerykańskich ranczerów.

- Ma pan na rękach krew tego chłopca, szeryfie. Niech pan o tym pamięta.

Tejada podkręcił gaz, puścił sprzęgło i odjechał z rykiem silnika, a za nim ruszyli kolejni motocykliści. Rzędy harleyów mijały samotnego policjanta pośrodku drogi.

Pierwszych kilka trzymało ciasny szyk i znów zaczęło strzelać na wiwat. Jakieś pięć czy sześć rzędów dalej część gangsterów zaczęła się zabawiać. Jechali prosto na niego i omijali w ostatniej chwili. Doszedł do wniosku, że jeśli ruszy się choćby o krok, wpadnie pod koła. Stał więc w miejscu.

Wyatt, Homer i reszta policjantów siedziała w ukryciu, aż zniknął ostatni motocykl.

Dopiero wtedy wypadli na chodnik z bronią gotową do strzału.

- Wszystko w porządku, szeryfie? - zapytał Homer, podbiegając do Franklina.

- Szczerze mówiąc, uważam, że jeszcze jeden pogrzeb i będziemy mieli tu pogranicze w ogniu.

Odkręcił się na pięcie i ruszył do baru, żeby dokończyć obiad.

- Niech pan to napisze w swoim raporcie, szeryfie! - krzyknął za nim Homer. - Poważnie!

*

Dixon odwrócił się, gdy usłyszał, że podjeżdżają do niego kolejne dwa motocykle. Sunęły powoli pustą ulicą w tym samym kierunku co Meksykanie, którzy przed chwilą odjechali. Rozpoznał dwóch łobuzów, których przegnał z rancza Brotherwoodów tego dnia, kiedy zmarł mały Meksykanin. Hambone i Zorro.

Harleye zatrzymały się tuż przed nim. Hambone i Zorro nie zeszli z siodełek i obaj szczyrzyli się do szeryfa.

- Zdaje się, że kazałem wam stąd zniknąć - odezwał się Franklin.

- I zniknęliśmy - odparł Zorro. - Jesteśmy przejazdem na harcerskim rajdzie. Pilnujemy tego i owego za pana. Szukamy Meksykańców. Widział pan może jakichś?

Hambone wybuchnął śmiechem.

- Wiecie, co, chojraki - rzekł szeryf - wygląda mi na to, że trzymacie się od nich na zdrowy dystans. Jeśli nie chcecie ich zgubić, to powinniście się zbierać.

- Nie szukamy guza - odparł Zorro.

- Ani nam to w głowie - dodał Hambone. - Ale werbujemy rekrutów. Jest nas coraz więcej, szeryfie. Tylko w tym hrabstwie ze dwie albo trzy setki motocyklistów. Słyszałem, że dalej w stronę Laredo jest już koło tysiąca. Jak przyjdzie czas na obronę granic, niech pan nam da znać.

- Wynoście się gdzie indziej z tymi walkami gangów. To spokojna okolica. Jazda mi stąd.

- Pilnuj swojego tyłka, staruszk. Zaczyna się wojna z Meksykiem. Po której mamy stanąć stronie? - zapytał Zorro.

- Tak, szeryfie - wtrącił się Hambone. - Teksaszczyki powinni trzymać się razem w czasie wojny. Będziemy panu potrzebni.

Dixon spojrzał na niego.

- Nie będzie żadnej wojny z Meksykiem, synu. Już jedna była. Pamiętasz Alamo?

Odwrócił się i odszedł.

- Kurwa, on chyba żartuje? - dobiegły go zza pleców słowa Hambone'a.
- Ej, szeryfie! - krzyknął za nim Zorro.
- Co?
- A co to, do kurwy nędzy, jest, jeśli nie wojna?

31

Amazonia

- Mógłbyś w końcu wylądować? - błagał Harry.

- Co? Nic nie słyszę! - krzyknął Saladin Hassan, który skakał w górę i w dół na przednim siedzeniu, dzierżąc kierownicę.

Nic dziwnego, że nie słyszał. W ogłuszającym ryku niewytlumionego silnika trzęsącej się na wybojach toyoty zmieszonym z wyciem wichru i stukotem deszczu trudno było prowadzić normalną rozmowę. Harry złożył dłonie w trąbkę.

- Powiedziałem, żebyś się trzymał ziemi!

- Okay! Przepraszam!

Harry oparł się w fotelu i próbował wytrzeć twarz z deszczu, który zalewał mu oczy. W przeciwieństwie do Saladina i Capariny nie przyszło mu do głowy zabrać na przejażdżkę okularów pływackich. Pochylił się i krzyknął jeszcze raz prosto w ucho kierowcy:

- Zwol-nij!

Trafili na jakiś rów i znów poszybowali w górę, a Harry'ego rzuciło po niezbyt miękkiej tylnej kanapie.

- Jak będziemy jechać za wolno, utkniemy w błocie! - odkrzyknął Saladin Hassan przez ramię.

- A co z cholernymi minami?! - wrzeszczał Harry, starając się utrzymać w aucie. - Mówiłeś, że wiele z tych nieoznakowanych szlaków jest zaminowanych!

- Ten chyba nie jest - zawołała Caparina.

- Tak ci się wydaje? Co za ulga! - ironizował Harry.

Siedział - przynajmniej od czasu do czasu - na wąskiej tylnej kanapie ochlapanej błotem toyoty. Zdecydowanie nie był to wymuskany land cruiser wielkomięjskiego japiszona. Nie miał okien, drzwi ani nawet dachu. W obu zagłębieniach na tylne dywaniki chlupotały

kałuże wody.

Saladin wyjaśnił, że dach odcięto wiele lat temu. Bo i po co komu dach? Bezpieczeństwa pasażerów strzegła tylko owinięta miękką wyściółką stalowa rama. Harry trzymał się jej kurczowo w nadziei, że uda mu się nie wypaść z auta. Poprzedniego wieczoru dowiedział się, że pułkownik Hassan należy do elitarnej brazylijskiej grupy komandosów zwanych Jastrzębiami. Brock słyszał o nich. Tajna rządowa jednostka antyterrorystyczna, która działała teraz akurat w tej części Amazonii.

- Zjechałeś z drogi! - ryknął Harry, czując na twarzy palmowe liście. - Kurwa, droga jest po lewej!

Saladin skręcił w lewo i wrócili na szlak. Hassan, jego piękna była żona Caparina i amerykański szpieg Harry Brock pędzili na złamanie karku błotnistą drogą pełną nieprzyjemnych niespodzianek. Szczęśliwie żadna z nich na razie nie okazała się zabójcza.

W przeciwieństwie do Harry'ego Caparinę, która siedziała obok kierowcy, ściskając uchwyt pod przednią szybą to szaleństwo najwyraźniej bawiło.

Brock starał się jednak nie upadać na duchu. Żyj chwilą Harry, jak mawiała jedna z jego dawnych narzeczonych. Niewątpliwą zaletą deszczu było to, co robił z wypłowiałą czerwoną koszulką Capariny z wielkim napisem „Jamaica” na piersiach. Saladin musi mieć nierówno pod sufitem, skoro zostawił taką kobietę.

Cóż, trzeba wierzyć, że ta wąska kręta droga nie jest zaminowana i że nikt nie będzie jechał z naprzeciwka. W każdy zakręt Hassan wchodził na ślepo, bo po obu stronach miał zieloną ścianę listowia. Mniej więcej co dwie minuty trafiali na jakiś rów albo garb i lecieli w powietrzu przez całą wieczność, by w końcu pacnąć o ziemię, rozpryskując błoto.

Caparino trzymała na kolanach przemoczoną rozpadającą się mapę prowincji Mato Grosso. Od czasu do czasu próbowała pokazać ją Harry'emu, szukając jakichś wskazówek, dokąd mają jechać. Ale że kręta drożyna przez tropikalny las, którą właśnie pędzili, nie była zaznaczona na żadnej mapie, trudno było cokolwiek stwierdzić. Jechali tak przez cały ranek i Harry był teraz jeszcze bardziej zagubiony niż na początku podróży.

Widoczności nie poprawiał zacinający deszcz i pochlapana błotem szyba.

- Poznajesz tu coś? - zapytała Caparina, obracając się na siedzeniu, by posłać Harry'emu uśmiech. Położyła palec na mapie. - To ten rejon?

- A skąd mogę wiedzieć? - odparł i pochylił się do przodu, chcąc rzucić okiem na mapę. - Na litość boską przecież wszystko tu wygląda znajomo! Gdziekolwiek się ruszysz, wszystko wygląda tak samo!

- Racja - przyznała z uśmiechem.

Ubiegłego wieczoru zjedli we trójkę późną kolację, a potem siedzieli prawie do rana przy drinkach. Postanowili, że przede wszystkim postarają się odnaleźć lądowisko, na którym trzy tygodnie wcześniej musiał lądować postrzelony samolot Harry'ego. Brock oceniał, że gdy został schwytany, znajdował się jakieś osiem kilometrów od rzeki. Był w wielu „ośrodkach internowania” rozmieszczonych na obrzeżach obozów szkoleniowych terrorystów. Wraz z grupą wiejskiej młodzieży trafiał tam w celu politycznej indoktrynacji. Słuchał grzecznie, ale jakoś się nie przekonał. Dlatego Top kazał go zastrzelić.

Hassan uważał, że jeśli zdołają odszukać ukryte lądowisko i Brock je rozpozna, będzie im łatwiej znaleźć ośrodek internowania, w którym trzymano Harry'ego, a potem dopaść samego Topa. On, choć zatrudnił się jako jeden z najemników Papy Topa, drogę do tych pilnie strzeżonych obiektów zawsze odbywał z opaską na oczach.

- Tu gdzieś musi być jakaś rzeka - powiedział. Zwolnił i zaczął wyglądać przez przednią szybę.

- Zdaje się, że właśnie przez nią bniemy - stwierdził Harry, rozpryskując kałużę na podłodze.

- Podoba mi się ten facet - powiedziała Caparina do byłego męża. - Jest zabawny.

- A tam co jest? - odezwał się Saladin.

Brock pochylił się i jakieś sto metrów dalej zobaczył ciemną ścianę sunącą przez drogę.

- Co to ma być? - zastanawiał się.

- Bawoły - wyjaśnił Hassan.

- To chyba musi być ta twoja rzeka - stwierdziła Caparina.

Hassan depnął po hamulcach i toyota stanęła dęba tuż przed rwącym potokiem. Saladin zsunął małe pływackie okulary na czoło i uśmiechnął się do Brocka.

- Widzisz? Udało się!

- Co się udało? Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy!

- Uspokój się, Harry - odezwała się Caparina.

*

Wysiedli z toyoty w grząskie błoto sięgające kolan. Saladin szedł przodem, a Harry zamykał pochód.

Kawałek dalej droga skończyła się na brzegu szeroko rozlanej rzeki. W rwącym nurcie aż roilo się od kłód puchowca. Większość pochodziła pewnie ze składu drewna w górze rzeki. Kłody i inne śmiecie płynęły całą jej szerokością. Na szczęście deszcz trochę zelżał. Przez kilka chwil mogli rozmawiać w miarę normalnie, przekrzykując tylko szum rzeki.

Caparina rozprostowała przemoczoną mapę na masce toyoty.

- Zdaje się, że jesteśmy tutaj - powiedziała, wskazując palcem jakiś maleńki dopływ. Rzeka bez nazwy biegła z zachodu na wschód przez równiny i lasy.

- Tak - potwierdził Saladin, przyjrzawszy się mapie. - To by się zgadzało. Jak się nazywa ta większa rzeka?

- Igapo - odparła Caparina. - Czarna Woda.

Harry się rozejrzył.

- A jest tu gdzieś w pobliżu wodospad?

- Nie wiem - odparła Caparina. - Na mapie go nie ma. Ale w tej części dżungli wodospadów jest na pęczki, małych i dużych. Niektóre pojawiają się tylko w porze deszczowej.

- A czemu pytasz? - zaciekawił się Saladin.

- W jednym z nich się ukrywałem - odparł Harry. - Po tym, jak zestrzelono samolot.

- Opowiedz o tym - poprosiła Caparina, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Wszyscy przeżyliśmy awaryjne lądowanie. Ja wysiadałem ostatni. Kiedy komitet powitalny Topa zaczął do nas strzelać, tylko mnie udało się uciec do dżungli. Jako jedyny przeżyłem stumetrowkę od samolotu do lasu. Przedzierałem się przez dżunglę mniej więcej godzinę, aż znalazłem wodospad. Schowałem się w nim.

- W środku? To znaczy za wodą?

- Tak. W skałach u podstawy wodospadu była mała nisza z tunelem prowadzącym głębiej. Złapali mnie, zanim zdążyłem tam wejść, ale wyglądał interesująco.

- Jak to „interesująco”? - spytał Saladin.

- Tunel wyglądał na wydrążony przez człowieka.

- Jak daleko jest ten wodospad od lądowiska? - wtrąciła się Caparina.

- Zarośla były bardzo gęste, a ja biegłem przez jakąś godzinę. Pewnie niecałe pięć kilometrów.

- Prawdopodobnie jesteśmy tutaj - powiedział Saladin, wskazując na mapę. - Przy tej powodzi dalej nie pojedziemy. Idźmy za bawołami wzdłuż brzegu. Został jeszcze kawał dnia, a głupio tak wrócić z niczym.

- Zgadza się - odparła Caparina. - Pójdziemy z biegiem rzeki i zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Z biegiem rzeki - powtórzył Harry i uśmiechnął się do niej. Nawet przemoczona do suchej nitki wyglądała olśniewająco.

Pół godziny później, brnąc po kolana w błocie za stadem kluczących bawołów, Harry

czuł się mocno rozczarowany. Ale w pewnej chwili zauważył, że nurt zaczyna gwałtownie przyspieszać, tworząc wiry. A za wirami mógł się znajdować wodospad.

Nagle Saladin idący na przodzie zatrzymał się.

- Posłuchajcie - rzucił.

- Czego? - spytała Caparina i zamilkła, by posłuchać.

- Tego dudnienia. Słyszycie je?

- Tak - Harry się ożywił. - Brzmi tak samo.

- Wszystkie wodospady szumią tak samo - ostudziła go Caparina. - Niektóre są tylko głośniejsze, to wszystko.

Piętnaście minut później stali u szczytu dużego wodospadu i patrzyli, jak kaskady wody spadają do okrągłego jeziorka dwanaście metrów niżej.

- Tak - powiedział Harry, kiwając głową. - Zanurkowałem w tym jeziorku i wpłynąłem pod wodospad. Chodźmy.

- Jesteś tego pewien? - zapytała Caparina.

- Zejście w dół jest cholernie trudne - ocenił Saladin.

- Prawie pewien - odparł Harry.

32

Miami

- Słyszałem, że porwałś jakiegoś tajemniczego człowieka - powiedział Hawke do Stokely'ego Jonesa. - Opowiedz coś o nim.

- O królu Mambo? Sam z nim porozmawiasz za jakieś dziesięć minut. Mam przyspieszyć?

Alex zerknął na wielki chromowany prędkościomierz i odparł:

- Niekoniecznie.

Pędzili po moście przecinającym zatokę Biscayne nowym autem Stoke'a.

Hawke, choć wolał mniej rzucające się w oczy środki transportu, nie krył fascynacji pontiakiem GTO. Właśnie dowiedział się, że ta maszyna wyścigowa dopuszczona do normalnego ruchu drogowego jest w stanie pokonać czterysta metrów w niespełna siedem sekund. Po prostu cud. Alex miał wiele szybkich samochodów, lecz żaden nie umywał się do

tej bestii.

Hawke nie mógł się doczekać spotkania z wenezuelskim oficerem. Stoke wyznaczył im randkę na Key Biscayne, w domu swojej narzeczonej, pięknej Fanchy. Zdołał namówić szefostwo Straży Wybrzeża na Key West, by przez czterdzieści osiem godzin mieli Wenezuelczyka pod nadzorem - albo i dłużej, jeśli zajdzie taka potrzeba, bo, jak wyjaśnił Stoke dowódcy straży, chodzi o bezpieczeństwo narodowe. Pilot został zakwaterowany w domku na przystani w posiadłości Fanchy.

- Co to za gość ten wenezuelski pułkownik?

- Wiesz, to zabawne.

- Co takiego?

- Rano mówiłem już Tommy'emu Quickowi, że czuję, jakbym znał tego faceta od zawsze. A poznaliśmy się dopiero dwa dni temu.

- Naprawdę? Jak sądzisz, skąd to wrażenie?

- No cóż, kiedy byliśmy na Tortugas, zachęcałem go, żeby wszystko szczerze wyznał. Powiedziałem do niego: „Fernando, jeśli masz jeszcze coś w zanadrzu, wyduś to z siebie”.

Hawke parsknął śmiechem.

- Więc postanowił mówić, tak? A czego, u licha, zażądał?

- Azylu dla siebie i rodziny w wielkim magicznym królestwie. To nasza najmocniejsza karta. Zresztą i tak już mu powiedziałem, że przyjedzie do niego jakiś ważniak z rządu i będzie chciał posłuchać jego opowieści.

- Powiedziałeś, z jakiego rządu?

- Przecież nawet ja tego nie wiem. Nie nadażam za tobą. Powinieneś nosić takie znaczki z flagami, żeby ludzie wiedzieli, kogo akurat reprezentujesz.

Hawke uświadomił sobie, jak bardzo brakowało mu towarzystwa Stoke'a. Spojrzał kątem oka na dryblasa za kierownicą. W jego łapskach to wielkie koło z lat sześćdziesiątych wydawało się malutkie.

- Więc zachęciłeś pułkownika, żeby wszystko wyśpiewał, tak?

- Owszem.

- To znaczy zagroziłeś biedakowi, że zostawisz go na pastwę losu na Tortugas, jeśli nie zgodzi się odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania.

Stoke uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Daj spokój. Jesteś w Ameryce. Mamy tu przepisy dotyczące przesłuchań.

- Wojna to wojna - powiedział Hawke.

- Też prawda - rzucił Stoke.

Alex spojrział na piękny stary kecz pochylony w halsie. Na dachu kabiny opalała się złotowłosa dziewczyna. Hawke dostrzegł maleńki czerwony trójkącik materiału poniżej pasa i nic powyżej. Cóż za wspaniały widok miał kapitan tej łajby.

Paradoksalnie, widok pięknej łodzi pod żaglami przypomniał Aleksowi o raketach powietrze-woda, które Stoke znalazł w zatopionym samolocie. Sam fakt, że pochodziły z Rosji, był niepokojący. A to, że w ich posiadanie wszedł nieprzyjazny latynoamerykański watażka, stanowiło potężny problem. Zwłaszcza w Zatoce Meksykańskiej. Większość ropy, jaką importują Stany Zjednoczone, przepływa tędy w drodze do portu w Nowym Orleanie.

- Więc twój nowy przyjaciel zgodził się wyjawić swoje największe tajemnice?

- Powiedział, że to zrobi, dziś, tuż przed śniadaniem. Zagroziłem, że w przeciwnym razie nie usmażę mu mojego słynnego omleta z pięcioma serami.

- Co z niego wydusiłeś?

- Lubi mambo.

- Mam nadzieję, że żartujesz.

- Sam zobaczysz.

*

Stoke zredukował bieg na niższy, by wyprzedzić jakieś starsze małżeństwo tłukące się zielonym volvo oklejonym nalepkami „Ocalmy manaty”. Nie miał nic przeciwko volvo ani starszym ludziom, ale manatów po prostu nie tolerował. Te morskie krówska tylko żarły i tyły coraz bardziej. Żeby chociaż wcinały coś obrzydliwego, na przykład komary czy węże. Nie, one blokowały kanały wodne i przez cały dzień żarły trawę. Były całkowicie bezużyteczne.

- Trzymaj się - powiedział Stoke i dodał gazu. Tuż przed skrzyżowaniem Crandon i Harbor Drive przyhamował, znów zredukował bieg i ostro skręcił w prawo w wąską, nieoznakowaną drogę, którą ledwie było widać wśród gęstego listowia przerośniętego żywopłotu. Przejechali przez wąski koralowy mostek. Pod oponami zaczęły chrzęścić kawałki muszli, którymi wysypana była droga biegnąca wzdłuż wymuskanych fikusów. Za mostkiem i fikusami panowała cisza, nastrój spokoju i relaksu.

- Czy to miejsce jakoś się nazywa? - zapytał Hawke.

- Low Key - odparł Stoke.

Minęli dwie bramy wjazdowe porośnięte winoroślą. Po obu stronach alei stał pokryty mchem mur w kolorze kości słoniowej, a nad nim w kilku miejscach widać było różowe dachy domów. Kilka z nich - niektóre ozdobione rozrośniętymi krzewami bugenwilli - było ukrytych w bujnych ogrodach.

Alex pomyślał o Fanchy. Nigdy nie widział przyjaciółki Stoke'a, ale przypuszczał, że

jest wspaniałą kobietą A po tej krótkiej przejażdżce po okolicy doszedł do wniosku, że ta klubowa piosenkarka z Wysp Zielonego Przylądka musiała odnieść wielki sukces w branży muzycznej.

Słońce odbijało się od grzbietów fal widocznych przez gęste palmowe zarośla, aż wreszcie ich oczom ukazała się zatoka w pełnej krasie. Wysypana muszelkami droga zmieniła się w podjazd z kostki. Był zacieniony, a w powietrzu unosił się intensywny zapach jaśminu. Stokely wyjaśnił, że ta wąska droga nosi nazwę Via Escondida.

Ukryta droga.

33

Via Escondida prowadziła na mały półwysep, który wrzynał się w zatokę. Kończyła się szerokim miejscem do zawracania, okolonym starannie przystrzyżonym żywopłotem i statecznymi palmami.

Stokely zwolnił niemal do zera, kiedy zbliżyli się do murku z omszałych cegieł oznaczającego wjazd. W gęstych winoroślach i bugenwillach kryła się solidna brama z kutego żelaza. Po obu jej stronach rosły wysokie palmy kokosowe i strelicje królewskie. Scenografowie z Hollywood nie wymyśliliby lepszej oprawy.

- To tu? - zapytał Hawke.

- Skrawek rajy na ziemi - odparł Stoke. - Tak naprawdę trochę więcej niż skrawek, jakieś dziesięć akrów. Masz pojęcie, ile kosztuje tu metr kwadratowy?

- Nawet boję się pytać. Jak jej się to udało?

- Pod koniec lat dziewięćdziesiątych wyszła za gospodarza, właściciela klubu z Chicago, któremu wkrótce po ślubie jakoś się zmarło.

- Jakoś?

- O nic nie pytaj i nic nie mów.

- Kolejny dziwny amerykański przepis.

Stoke skrzył na zwirowy podjazd i zatrzymał się tuż przed bramą obok kamiennej kolumny z zamontowaną lśniąca klawiaturą. Sięgnął do niej i wcisnął kilka klawiszy. Silnik mrucał przyjemnie na jałowym biegu. Hawke polubił ten głęboki bas rury wydechowej ze specjalnym tłumikiem. Cudownie współbrzmiał z brzęczeniem niewidocznych owadów.

Odczytał napis na płytkach, którymi wyłożony był opleciony pnączami mur.

Kolorowe litery informowały, że to *Casa Que Canta*: w swobodnym tłumaczeniu: „Dom, który śpiewa”. Jak najbardziej na miejscu, zważywszy zawód obecnej właścicielki.

Chwilę później brama otworzyła się cicho, odsłaniając krętą dróżkę wyłożoną tłuczniem, która znikwała w dzikiej, ale pięknie utrzymanej dżungli. Po drugiej stronie sztucznej dziczy, na szczycie porośniętego trawą wzgóрка, który schodził aż do samej wody, wznosił się biały pałacyk. Stanowił mieszaninę architektury hiszpańskiej, mauretańskiej i włoskiej. Wieńczyła go wysoka na trzy piętra wieża, z której bez wątpienia roztaczał się wspaniały widok na zatokę i miasto.

Front budynku zdobiły kunsztowny portyk i długa kolumnada wdzięcznych białych łuków wyłożonych czerwonym klinkierem. Za pałacykiem, w ogrodzie, tryskała wielka fontanna z terakoty. Po ogrodzie fruwały tropikalne ptaki różnej wielkości i kolorów.

- Ile tu jest sypialni? - zapytał Hawke.

- Przestała liczyć, kiedy doszła do jedenastej - odparł Stoke.

Zaparkował pod boczną wiatą i wyłączył silnik. Kiedy wysiedli z pontiaca, rudowłosy lokaj w białej marynarce otworzył wysokie drzwi z cyprysowych desek, rzeźbione i nabijane brązowymi ćwiekami. Rozpoznawszy Stoke'a, wyszedł na zewnątrz i powitał go:

- Piękny mamy ranek, panie Jones.

- W rzeczy samej, Charles - odparł Stoke z uśmiechem.

- Czujemy się tu panem na włościach, nieprawdaż, panie Jones? - szepnął Hawke, kiedy szli kamienną ścieżką do łukowatego wejścia.

- Prawie tak jak ty u siebie - odparł Stoke ze śmiechem.

Alex pokręcił głową i wszedł za przyjacielem do budynku.

W środku było ciemno i chłodno. Główny korytarz, wyłożony niebieską terakotą i stiukami, ciągnął się przez cały dom. Na końcu widać było błękitną zatokę i zielony trawnik. Hawke nie mógł dłużej poskramiać ciekawości, więc odszedł kilka kroków i otworzył wysokie drzwi po lewej. Znalazł się w ogromnym podłużnym pokoju, którego przeciwległą ścianę zajmował kominek. Był wyłożony marmurem z Carrary i ważył co najmniej dziesięć ton.

- Alex? - zawołał Stoke przez otwarte drzwi.

- Przepraszam, chciałem się tylko rozejrzeć.

- Nie każdy czekać naszemu królowi mambo.

- A gdzie gospodyni? - zapytał Alex lokaja, coraz bardziej ciekaw kobiety, która pewnego dnia mogła poślubić jednego z jego najbliższych przyjaciół.

- Przykro mi panowie, ale madame kazała mi przekazać, że musiała nagle pojechać do

studia. Wspominała coś o dogrywaniu woku.

- Charles nazywa Fanchę madame - wyjaśnił Stoke. - W kółko to powtarza i nie ma nic złego na myśli.

- To normalne określenie, zapewniam cię, przyjacielu - powiedział Hawke, skrywając uśmiech. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby tu zamieszkać.

- Nie zabawimy długo - rzekł Stokely do lokaja. - Idziemy z panem Hawkiem do domku na przystani do naszego gościa. Jak on się czuje, Charles?

- Dziś rano wyglądał znacznie lepiej, sir. Właśnie zaniósłem mu herbatę. A może któryś z panów życzy sobie coś chłodnego do picia? Panie Hawke? Panie Jones?

- Może później - odparł Stokely i wyprowadził Aleksa na zalany słońcem trawnik.

Błękitna powierzchnia zatoki dotykała trawy, a wzdłuż brzegu brodziła wielka biała czapla. Pośród palm kokosowych nad wodą Hawke dostrzegł spory biały budynek.

- To ten domek przy przystani? - zapytał, zdumiony jego rozmiarem. Swobodnie mógłby uchodzić za przyzwoity pensjonat.

Dwukondygnacyjny dom był utrzymany w podobnym stylu co główny budynek, ale nosił większe wpływy architektury weneckiej. Od strony brzegu znajdowały się wyłożone terakotą zewnętrzne schodki prowadzące do mieszkania na piętrze. Prawdopodobnie zajmowała je kiedyś służba albo szef przystani.

Z mieszkania dobiegała muzyka. Głośna, ale pełna szumów, jakby ze starego radia. Tito Puente i Mambo Kings śpiewali *Hernando's Hideaway*.

Stoke wszedł po schodach i ciężkim kluczem otworzył drewniane drzwi. Znaleźli się w małym saloniku urządzonym starymi meblami z bambusa i wyłożonym zieloną tapetą, mocno zniszczoną i pełną zacieków. Naprzeciwko wejścia znajdowała się mikroskopijna kuchnia, a obok spora sypialnia z niezasłanym łóżkiem.

W rogu w przepastnym fotelu siedział mężczyzna w białej pidżamie, który czytał „Miami Herald”, przytupując nogami w rytm mambo. Obok fotela stało stare radio w wyblakłej od słońca skrzynce z jasnego drewna. Jak na pułkownika mężczyzna był dość młody. Miał nie więcej niż trzydziestkę. Pod bluzą pidżamy widać było bandaż.

Kiedy zobaczył gospodarza i gościa, który z nim przybył, położył gazetę na udach i uśmiechnął się, nie wyjmując z ust cygara.

- Pułkowniku - odezwał się Stokely - to jest pan Hawke. Opowiadałem mu o naszym ekscytującym spotkaniu na Tortugas. Przyciszę trochę muzykę, dobrze?

Pilot uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Miło mi pana poznać, señor Hawke. Przepraszam, że nie wstaję. Może panowie

usiąda?

Hawke i Stoke przysunęli sobie dwa bambusowe krzesła.

- Przykro mi z powodu pańskiego wypadku, pułkowniku - rzekł Alex. - Skąd lecieliście, kiedy to się stało?

- Z Pines. To wielka wyspa na południowym wybrzeżu Kuby. Zna ją pan?

- Dość dobrze. Fidel wylądował tam przed wspaniałą rewolucją w pięćdziesiątym dziewiątym.

- To wielki polityk.

- Podziwia pan Fidela, pułkowniku?

Wenezuelczyk pokręcił głową.

- Powiedziałem tylko, że jest wielkim politykiem. Polityka to sztuka wzbogacania się i łupienia; przynajmniej dla większości mieszkańców Ameryki Łacińskiej.

Hawke pochylił się do przodu.

- Chciałbym panu pomóc, pułkowniku - zaczął ostrożnie. - Pan Jones powiedział mi, że szuka pan azylu. Może będę mógł to zorganizować. Ale najpierw musi mi pan wyjaśnić, dlaczego pański rząd kupuje od Kubańczyków rosyjskie rakiety. I, rzecz jasna, wiele innych spraw.

- Jeśli zapewni pan azyl mnie i mojej rodzinie, która teraz żyje cała w strachu w Caracas, powiem panu wszystko, co wiem.

- Dlaczego chce pan wyjechać z Wenezueli, pułkowniku?

- Bo uważam, że mój rząd, wraz z innymi na naszej półkuli, szykuje konfrontację ze Stanami Zjednoczonymi. Cały czas podgrzewają atmosferę, a Chavez wzywa do przeciwstawienia się amerykańskiemu wpływowi w naszym regionie.

- A panu, jak rozumiem, nie podobają się te plany?

- Nie. Moim zdaniem taka konfrontacja doprowadzi mój kraj do ruiny i pochłonie miliony ofiar. Kocham moją ojczyznę, ale nie jestem samobójcą.

Hawke odwrócił się do Stokely'ego.

- Mógłbyś poprosić Charlesa, żeby przyniósł parę kanapek i mrożoną herbatę? Zdaje się, że moja rozmowa z pułkownikiem trochę potrwa.

Stoke wstał i podszedł do telefonu.

- Proszę mi powiedzieć, pułkowniku - ciągnął Hawke - naprawdę jest pan pilotem?

- Nie, señor. Jestem oficerem w tajnej policji. Noszę mundur FAV, kiedy podróżuję w nieoficjalnych interesach.

- I te interesy zawiodły pana na Kubę. Jak bardzo Fidel i inni latynoamerykańscy

przywódcy są w nie zaangażowani?

- Potąd - odparł Montreas, przeciągając palcem w poprzek szyi. - Albo i jeszcze bardziej.

- Widziałem zdjęcia dwóch rakiet na pokładzie pańskiego samolotu, pułkownika. O ile mnie wzrok nie mylił, miały one głowice EMP. Zgadza się?

- Tak, señor. To nowa broń, służąca do niszczenia ośrodków dowodzenia i łączności.

- Wiem, co to za broń. Tylko dwa kraje mają technologię generowania impulsu elektromagnetycznego bez konieczności uciekania się do wybuchu jądrowego: Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Te głowice musiały zostać ukradzione. Chcę wiedzieć, skąd i przez kogo.

- Nie wiem, señor.

- Naprawdę? No cóż, w takim razie chyba nie będę mógł panu pomóc, pułkownika. Życzę udanego powrotu do kraju.

Alex wstał i spojrzał na Stokely'ego, kręcąc głową.

- Proszę! Señor Hawke, proszę usiąść, błagam. Znam jedno nazwisko. Ten człowiek mieszka teraz w Anglii i mógł być mocno zaangażowany w nielegalny zakup tych reglamentowanych urządzeń. Może on panu pomoże.

- Jak się nazywa? - zapytał Hawke, wciąż stojąc.

- To Niemiec. Były ambasador w Brazylii.

- Zimmermann - powiedział cicho Hawke.

- Tak. Pan zna to nazwisko? Rudolf Zimmermann. Negocjował sprzedaż technologii EMP mojemu krajowi. W czasie negocjacji coś poszło nie tak. Zniknęła duża suma. Chavez domagał się jego głowy. Zimmermann uciekł do Anglii, zostawił żonę w Manaus. Nie wiem, gdzie teraz jest.

- A ja wiem - odparł Hawke i wrócił na krzesło, by spojrzeć w zmrużone oczy Wenezuelczyka.

- Gdzie, señor?

- W drodze do Manaus, w maleńkiej urnie - wyjaśnił Hawke. - A teraz proszę, żeby powiedział mi pan absolutnie wszystko, co pan wie o tej transakcji Zimmermanna.

- Wydostanie pan moją rodzinę? Co chce pan wiedzieć?

- Pułkownika, ja nie chcę wiedzieć. Ja muszę.

- Rozumiem różnicę, panie Hawke.

- To dobrze.

Madre de Dios, Brazylia

Harry Brock przewiesił karabin przez ramię i zaczął schodzić prawie pionową ścieżką biegnącą obok wodospadu. Wąski błotnisty szlak schodził aż do samego jeziora na dole. Nie było żadnych stopni, ale udało mu się bezpiecznie zejść. Większą część trasy pokonał, zjeżdżając na tyłku, a po drodze przytrzymywał się niskich gałęzi i wystających korzeni. Znalazł się na dole w mgnieniu oka.

Caparina i Hassan poszli w jego ślady. Harry obserwował dziewczynę i był zdumiony, z jakim wdziękiem radzi sobie z zejściem. Znow zaczęło mocno padać, co nie ułatwiało zadania.

Kiedy cała trójka znalazła się na dole, Harry złożył dłonie w trąbkę i krzyknął:

- Tak, to chyba naprawdę tutaj!

Trzeba było krzyczeć, nawet mówiąc do kogoś, kto stoi tuż obok. Byli na skalistej krawędzi u stóp wysokiego wodospadu. Gęsta mgła ograniczała widoczność do niespełna pół metra, a odgłos spadającej wody był jak solo Pana Boga na wielkiej perkusji.

- Chodźmy do środka - zarządził Harry. Po chwili zniknął w wirującej mgłę, przeciskając się przez ścianę spienionej wody.

Sekundę później wszedł do wilgotnej pieczary. To właśnie tu się ukrywał. Stał dokładnie w tym samym miejscu, przerażony, czekając, aż dopadną go psy. Kawałek odłamanego kija bambusowego, którym zamierzał się bronić, leżał tam, gdzie go rzucił trzy tygodnie temu. Nawet nie zdążył się nim zamachnąć, kiedy wpadli do środka i wyciągnęli go na zewnątrz.

Caparina i Hassan weszli do pieczary, otupując zabłocone buty i ocierając wodę z oczu.

- To tu? - spytała Caparina z nadzieją w głosie.

- Tak - potwierdził Harry i wskazał palcem kij. - Widzisz? To moja wierna włócznia.

- Chodźcie tędy - powiedział Hassan.

Oddalił się i badał rękoma ściany pieczary. Zza paska wyjął obciążoną gumą latarkę i włączył ją. Caparina i Harry włączyli swoje. Promienie światła niknęły w ciemnym tunelu biegnącym w górę z miejsca, w którym stali.

- To naturalna pieczara - orzekł Saladin. - Ale tunel już nie. Pospieszmy się.

- Rusz się, Harry. - Caparina zniknęła w ciemnym tunelu, deptąc po piętach swojemu byłemu mężowi.

Tunel był wąski i niski, musieli więc iść gębiego i pochyleni, a nawet się czołgać, żeby pokonać niektóre fragmenty tunelu. Harry ocenił, że od wejścia musieli wspiąć się na dobre piętnaście metrów. W pewnej chwili przechodzili chyba pod rzeką bo woda lała się z góry niemal ciurkiem.

- Jaskinia! - usłyszał głos Saladina z przodu.

Jaskinia była wielkości dużego kościoła. Skaliste ściany pięły się sześć metrów w górę, tworząc naturalną kopułę. Powietrze było tak wilgotne i zimne, że w świetle latarek widać było parę wydychaną z ust. Wnętrze przecinała podziemna rzeka. Brock uklęknął i zanurzył rękę w wodzie. Miała kilka stopni mniej niż powietrze w jaskini.

Wstał i uniosł ręce nad głowę, próbując rozciągnąć mięśnie. Promieniem latarki oświetlił kamienne formacje nad głową.

- Myślisz, że ludzie to wyrzeźbili? - zapytał Saladin, który badał kolejny tunel odchodzący od przeciwnej ściany.

- Tego fragmentu nie. Ale większą część tunelu, owszem. Spójrz tam. Widzisz, gdzie wydrążono kawał skały przy wejściu do tunelu?

- Wydrążono? - zdziwił się Harry. - To wszystko wydrążono mechanicznie? Nawet meksykańscy szmuglerzy nie są w stanie kopać tak wielkich tuneli.

Przyklęknął i przesunął rękami po wyłobionej skale. Nie był w stanie wyczuć różnicy między jednym kawałkiem kamienia a drugim. Ale kiedy zmienił pozycję, żeby wstać, pod jego stopą poruszył się luźny kawałek skały. Pochylił się i przesunął go na bok, odkrywając dziurę w dnie jaskini. Nie zastanawiając się, włożył do niej rękę.

- Auu! - krzyknął, cofając dłoń. Poczul, jakby ugryzło go jakieś zwierzę o ostrych jak brzytwa szczękach.

Saladin skierował światło latarki na rękę Harry'ego. Na końcach palców już pojawiły się pęcherze.

- Co jest, do cholery? - jęknął Harry. - Coś mnie oparzyło! Chryste, ależ to gorące.

- To? - Caparina podeszła bliżej.

Hassan oświetlał latarką dziurę w skale. Po chwili sam włożył tam rękę i spojrzał na Brocka i Caparinę z uśmiechem.

- Nie gorące, tylko zimne.

- Co to takiego?

- Kabel zasilający - wyjaśnił Hassan.

- Kabel? W jaskini? I dlaczego taki zimny?

- To nowy rodzaj nadprzewodnika. Tani, ale bardzo zaawansowany. Takie kable przenoszą pięć razy tyle prądu co przewody aluminiowe i miedziane. Wykonane są z ceramicznego rdzenia otoczonego otuliną z nisko schłodzonych gazów. Tutaj uszkodziła się osłonka termiczna i dlatego trafiliśmy na miejsce, przez które ją naprawiano.

- Skąd ty wiesz takie rzeczy? - zdziwił się Harry.

- Ma tytuł magistra inżyniera - wyjaśniła Caparina.

- A, to co innego. W takim razie dokąd biegnie ten nieszczęsny kabel? I po co komuś w dżungli taka linia zasilająca?

- Sprawdźmy to, Harry. Chodźmy, kabel biegnie na północ.

Dwadzieścia minut później wyszli przez starannie ukrytą dziurę w zboczu góry. Stali przez chwilę na polance zalanej słońcem, próbując zorientować się, gdzie są.

- To tu? - powiedział Harry, nie kryjąc rozczerowania. W każdym kierunku widać było tylko bezkresną dżunglę.

- Ten kabel nie biegł tu taki kawałek bez powodu - stwierdziła Caparina z żelazną logiką. - Szukajmy dalej.

- Na ziemię! - krzyknął Saladin, rzucając się w zielony gąszcz.

Harry i Caparina instynktownie rzucili się za nim, nurkując pod gęste listowie.

- Co się stało? - zapytał Brock, widząc szeroko otwarte oczy Hassana.

- Co takiego zobaczyłeś?

- Tam w górze - szepnął Saladin, wskazując na szeroką przerwę w koronach drzew.

- Jasna cholera! - zaklął Harry. - Samolot bezzałogowy. Co, do diaska, robią samoloty szpiegowskie pośrodku zupełnego pustkowia? Przecież tu nie ma czego szpiegować.

- Wręcz przeciwnie - odparł Saladin, obserwując, jak nadlatuje bezgłówna maszyna.

Ponadtrzymetrowy bezzałogowy samolot szpiegowski leciał prosto na nich, niemal muskając czubki drzew. Kadłub miał pomalowany matową srebrną farbą na krańcach skrzydeł zamontowane cienkie czerwone rakiety, a pod nosem obiektyw kamery. Harry Brock wiedział, że to maszyna najnowszej generacji. Mogła krążyć w powietrzu przez całą dobę albo i dłużej.

- Szuka nas czy się nam przygląda? - zastanawiała się Caparina.

- Ani to, ani to - stwierdził Saladin. - Podchodzi do lądowania.

- Tak, chyba masz rację - powiedział Harry. Rozsunął liście, żeby spojrzeć kawałek dalej. - To nasze lądowisko.

- Faktycznie - rzekł Saladin, zerkając mu nad ramieniem. - Podejźmy bliżej.

Przeszli kilkanaście metrów i ukryli się w gęstwinie mniej więcej na wysokości środka pasa startowego. Niewielki samolot właśnie wylądował. Minął ich, zwolnił, po czym znów przyspieszył i wzniósł się w górę.

- Co to miało znaczyć? - zdziwiła się Caparina.

- Lądowanie i start - wyjaśnił Harry. - Ten, kto go pilotuje, przechodzi szkolenie.

- Pilot siedzi w tamtej szopie? - zapytała Caparina.

Mały budynek z falistej blachy pomalowany w maskujące kolory stał na końcu pasa. Harry pożyczył od Hassana lornetkę i przyjrzał się szopie.

Przez brudne okna nie widać było nikogo, ani śladu człowieka. Ale na mokrym od deszczu asfalcie przed szopą stał dziwnie wyglądający pojazd.

- Samolot nie patrzy w naszą stronę - stwierdził Harry. - Trzymajmy się linii drzew, dopóki nie dojdziemy na wysokość szopy. Sprawdźcie broń.

Sam sprawdził broń, którą rano dostał od Hassana. Był to PP-19 bizon, mały karabin automatyczny ze składaną kolbą i spiralnym magazynkiem na sześćdziesiąt cztery pociski. Został skonstruowany w Rosji na początku lat dziewięćdziesiątych i wciąż używał go Specnaz oraz inne służby.

Doszli naprzeciwko szopy, kryjąc się w gęstych krzewach. Nikt się nie poruszył i Harry był pewien, że dotarli tu niezauważeni. Samolot odleciał dalej, kręcąc pętle po odległym błękitnym niebie. Nie zagrażał im już bezpośrednio.

- W porządku - odezwał się Harry. - Podbiegnę do szopy, a wy czekajcie tu, aż dam wam sygnał, że wszystko w porządku. Zrozumiano?

Skinęli głowami. Harry przestawił karabin na tryb automatyczny i pokonał sprintem kilkaset metrów otwartej przestrzeni dzielącej go od szopy. Biegając, przyjrzał się dziwnemu pojazdowi. To był mały czołg, ważący może tonę. Mniej więcej pięć razy mniejszy od abramsa M-2. Nie miał wieżyczki, tylko stojak z kamerą wideo i podwójne działka maszynowe kaliber 7,62 milimetra z przodu i z tyłu. Pojedyncze zamknięte oko kamery skierowane było w drugą stronę i się nie poruszyło.

Rozpłaszczył się na ścianie na prawo od drzwi i nasłuchiwał jakichś śladów życia w środku. Okna szopy były brudne i oblepione błotem. Zastanawiał się, czy zajrzeć przez nie do środka, ale stwierdził, że nie warto. Intuicja podpowiadała mu, że szopa jest pusta.

Jednak nigdy nic nie wiadomo. Kilka razy intuicja go zawiodła.

Przesunął się w lewo, zrobił krok do tyłu i kopnął mocno w drzwi. Siła kopniaka sprawiła, że cienkie aluminiowe drzwi wpadły do środka. Harry wbiegł do szopy, pochylony, z wycelowanym karabinem. Oczy dopiero przyzwyczajały mu się do panującego w środku

mroku, ale wyczuł jakiś ruch.

- Na ziemię! - krzyknął.

Pod przeciwległą ścianą stał długi stół zastawiony sprzętem elektronicznym. Na uchwytych na ścianie były zamontowane trzy małe monitory wyświetlające czarno-biały lotniczy obraz dżungli. W starym obrotowym fotelu siedział mężczyzna w drelichach, ze słuchawkami na głowie. Harry natychmiast zorientował się, że w szopie jest tylko on. Facet zaczął się właśnie obracać. Harry był pewien, że nieznajomy ma w ręku pistolet.

- Rzuć broń! - warknął. - *No pistola!*

Mężczyzna wciąż się obracał.

- Sam tego chciałeś! - powiedział Harry. - Nie żartuję, kolego!

Zobaczył profil nieznajomego i unoszony w górę czarny pistolet. Nacisnął spust. Rozległa się krótka, ogłuszająca seria. Mężczyzna padł na stół, po czym osunął się na podłogę. Obrotowy fotel przesunął się w stronę Harry'ego. Brock podszedł kilka kroków i włożył stopę pod ramię nieznajomego. Podniósł go na kilkanaście centymetrów i delikatnie opuścił. Martwy.

Wyszedł na oślepiające słońce i dał znak Saladinowi i Caparinie. Ci już pędzili biegiem w jego stronę.

- Przecież mówiłem, żebyście czekali - powiedział Harry poirytowany.

Saladin oglądał miniaturowy czołg; okrążał go i badał ubłocone gaśienice.

- Zastanawia mnie ten nieboszczyk - odezwał się Harry, ocierając bandaną pot z oczu.

- Taki bezzałogowy samolocik, jaki widzieliśmy, może krążyć po niebie przez dwadzieścia cztery godziny. On ma trzy takie maszyny w powietrzu. O co tu, u diabła, chodzi? Siedzi sobie całym dniami, oglądając miliony kilometrów kwadratowych drzew? Jakoś w to wątpię.

- I chyba masz rację - rzucił Hassan przez ramię. Klęczał przy czołgu, oglądając koła napędowe pojazdu.

- W takim razie co robił? - spytał Brock, pochylając się, by przyjrzeć się dokładniej zamontowanym z tyłu karabinom maszynowym.

- Ćwiczył, żeby potem latać nad jakimiś innymi terenami - odparł Hassan. - Takimi maszynami można sterować nawet z miejsca odległego o dziesięć tysięcy kilometrów od celu.

- Od Stanów? - dopowiedziała Caparina.

- Hej! - krzyknął Harry, widząc, jak Saladin przechyla się nad czołgiem. - Trzymaj się od tego cholerstwa z daleka.

- Ma jedną kamerę i do tego odwróconą w drugą stronę - uspokoił go Hassan. - Ten BPL na razie jest ślepy.

- BPL?

- Bezzałogowy pojazd lądowy. Wygląda mi na nowy irański miniczołg typu Zulfiqar - wyjaśnił Hassan. - W irańskim wojsku nazywają go trollem, a Izraelczycy mówią na niego kocur. Widzicie te wściekle czerwone pyski trolli na burtach? Zdecydowanie irańska maszyna.

- Czołg-robot. Jak to działa?

- Ten BPL nie jest robotem z naukowego punktu widzenia, bo nie jest niezależny. Takie bojowe roboty są sterowane bezprzewodowo przez operatorów siedzących w projektorach wirtualnej rzeczywistości. Podobnie jak samoloty szpiegowskie.

- A te niezależne roboty? - dociekał Harry. - Same decydują, kogo zabić?

- Tak, po prostu spuszcza się je ze smyczy. Krążą pogłoski o jakimś wielkim pojeździe o nazwie Ogr. Podobno jest nie do zatrzymania. Korzysta z technologii rozpoznawania obrazu i zabija wszystko, co się rusza. Na szczęście takie maszyny są na razie rzadkością.

Nagle czołg-robot drgnął i zaczął sunąć naprzód, jednocześnie obracając kamerę w ich stronę.

- Jakiś operator nas zauważył! - krzyknął Saladin.

- Szybko! Wskakujmy na tył - zawołał Harry do dwójki towarzyszy i ruszył pędem w stronę maszyny.

Wskoczył na płaską płytę z tyłu czołgu. Po obu jej stronach widać było uchwyty, prawdopodobnie po to, żeby żołnierze mogli zrobić to samo co on, czyli przejechać się czołgowym autostopem.

- Wskakujcie - powiedział. - Połóżcie się płasko na płycie, żeby nie wejść w drogę kamerze.

Wolną ręką sięgnął po Caparinę i wciągnął ją na czołg. Maszyna zaczęła przyspieszać. Saladin Hassan musiał pokonać sprintem ostatnich kilka metrów. W końcu zdołał się rzucić na płytę i chwycić rękę Harry'ego. Kamera obracała się teraz dookoła. Obiektyw znajdował się jakieś trzydzieści centymetrów nad ich głowami. Harry sądził, że dopóki nie będą się wychylać, pozostaną niewidzialni dla maszyny.

- Dokąd to cholerstwo jedzie? - zapytała Caparina.

- Mam nadzieję, że do domu, do Papy - odparł Saladin.

- Do Papy Topa - dodała Caparina.

- E. T. do domu - zażartował Harry.

Spojrzał na Caparinę, uśmiechnął się i kilka razy walnął pięścią w rozgrzany pancerz

robota.

- Słyszysz mnie, brzydalu? Zawieź nas do swojego szefa.

35

Key West

Alex Hawke był oczarowany Key West. Przypłynął na tutejsze szmaragdowe wody na pokładzie „Blackhawke’a” poprzedniego wieczoru. I już teraz czuł, że urokowi tego miejsca trudno się oprzeć. Tuż po pływaniu o świcie postanowił zejść na brzeg i przespacerować się po tej dawnej bazie marynarki wojennej. Na starannie przystrzyżonej trawie błyszczała rosa. Nawet ranne ptaszki drzemały jeszcze w konarach dębów porośniętych hiszpańskim mchem.

Wyszedł z bazy przy Olivia Street, a potem przechadzał się wąskimi uliczkami miasta. Mijając stary cmentarz miejski, zastanawiał się, gdzie się wszyscy podzieli. Nie zmarli, ale żywi. Doszedł do wniosku, że na Key West wszyscy siedzą do późna w nocy i wstają też późno, więc o tak wczesnej porze starówka zwykle jest pusta.

Tropiąc silny zapach unoszący się w powietrzu, Hawke szedł cienistymi uliczkami, aż trafił na jego źródło. W małej kafejce na rogu można było kupić aromatyczną kubańską *cafe con leche*.¹⁵ Znalazł wolne miejsce przy małym blaszanym stoliku na ulicy. Krzesła i stoliki były wciąż mokre po wczorajszym deszczu. Zapiął swój żółty sztormiak i usiadł.

Z kawiarni wyszedł młody chłopak z postawioną na sztorc blond fryzurą i w obcisłej czarnej koszulce z cekinami i przyjął zamówienie: kawa i croissant. Kilka minut później kelner, który pod oczami wciąż miał jeszcze egzotyczny makijaż z poprzedniego wieczoru, wrócił, niosąc na tacy śniadanie Aleksa. Zaproponował też ciekawą książeczkę o historii Key West pod tytułem *Wyspa Kości*.

- Pan pierwszy raz na Key West? - zapytał, patrząc na Hawke’a, jakby z góry znał odpowiedź.

- Zgadza się. Kilka razy wędkowałem na Islamorada, ale nigdy nie dotarłem aż tutaj. Piękne miejsce.

- Huragany trochę nam tu nabruździły, ale się nie dajemy.

- Miasteczko wygląda przepięknie.

¹⁵ *Cafe con leche*. (hiszp.) - kawa z mlekiem.

- Tak, w zasadzie wróciliśmy już do nienormalności.

Hawke roześmiał się i sięgnął po przewodnik.

Ponieważ nigdzie mu się nie spieszyło, postanowił poczytać o historii Key West. „Blackhawke” musi się tu zaopatrzyć na podróż na południe, a konferencja potrwa dwa dni. Nie spieszyło mu się też do pierwszej konfrontacji z Conch. Ale był zdecydowany przekonać do swojej sprawy Amerykanów oraz zwiedzić to i owo na Key West. Nie zawadzi dowiedzieć się co nieco o wyspie. Zaczął czytać.

*

Jak dowiedział się z przewodnika, pierwsi hiszpańscy zdobywcy, którym udało się ominąć zdradliwe rafy strzegące tej spalonej słońcem wyspy, odkryli ład pełen ludzkich kości. Zbliżając się do brzegu, w niskich mangrowcach mogli podziwiać szczyżące się czaszki. Jeszcze więcej było ich dalej wśród drzew - kołysały się i grzechotały na wietrze.

Kości, wszędzie kości. Hiszpanie nazwali więc tę wyspę *Cayo Hueso*.

Wyspa Kości.

Przez większość swojej barwnej historii Key West była słynną enklawą piratów. Leżała wprost w wymarzonej miejscy dla morskich rozbójników wszelkiej maści, którzy pasożytowali na galeonach wypływających z Hawany, wyładowanych po same burty złotem. Przodek Hawke'a, niesławny pirat Blackhawke, bez wątpienia posłał na dno sporą gromadkę Hiszpanów, pozbawiwszy ich wcześniej skarbów.

No i te rafy.

Ostre jak brzytwa rafy koralowe otaczające wyspę dawały piratom cenne poczucie bezpieczeństwa. Przynosiły też dochód, bo poprzednicy dzisiejszych poszukiwaczy skarbów nurkowali i opróżniali ładownie statków, które rozbiły się na zdradliwych skałach. W 1835 roku dzięki wydobywaniu skarbów Key West stało się najbogatszym miastem Ameryki. Skarby przyciągają wszelkiego rodzaju poszukiwaczy. Chyba nikt nie był w stanie oprzeć się magnetyzmowi wyspy. Nawet przypadkowi goście czuli atmosferę skarbów pogrzebanych w morzu wokół tego miejsca. Hawke zaczął sobie wyobrażać potężne szmaragdy drzemiące głęboko w piasku i czerwone rubiny toczące się jak kraby pod turkusową powierzchnią morza.

Wracając na jacht, czuł niemal namacalnie atmosferę tajemnicy otaczającą to miejsce. Miał wrażenie, że czai się ona w cieniach, nagle dopada człowieka, potem mija i znika gdzieś za rogiem, a potem wraca i uderza prosto w twarz, chłodząc policzki. Wyobrażał sobie, że nocą idąc ciemną uliczką porośniętą wielkimi magnoliami, czuło się tę magię przeszłości. Stare mury mogłyby opowiedzieć nie tylko o zdradzie, ale i o szeptanych tu sekretach oraz o

mieszkańcach, z którymi lepiej było nie zadzierać.

„Blackhawke” stał przycumowany przy nabrzeżu zamykającym basen portowy okrętów podwodnych. Marynarka wojenna stacjonowała na tych krystalicznych wodach od 1823 roku. Początkowo Key West stanowiła najbardziej wysuniętą bazę antypirackiej jednostki marynarki - Szwadronu Indii Zachodnich. Jej misją było wytrzebiecie żądnych krwi piratów poukrywanych w mangrowcach w głębi wielu wysp Keys.

Zaczęło padać. Najpierw pojawiły się pojedyncze krople, a potem lunęło jak z cebra. Alex pozdrowił uzbrojonych strażników i pobiegł do krytego trapu „Blackhawke’a”, przed którym stał oficer marynarki. W całym porcie panował ostry reżim bezpieczeństwa. Nad głowami krążyły śmigłowce, w basenie portowym pływali nurkowie. Sprawdzali kadłub jego jachtu i okrętów marynarki, pilnując, by ktoś nie podłożył ładunku wybuchowego.

Wszak na zorganizowaną przez Conch konferencję poświęconą bezpieczeństwu na półkuli południowej przybyła połowa Departamentu Stanu. Za trzy godziny Brick Kelly, dyrektor CIA, miał mówić o ochronie granic. „Dobre granice to dobrzy sąsiedzi”, powiedział Hawke’owi, kiedy ostatnio spotkali się w Białym Domu.

Ciężkie granatowe chmury gromadziły się na południu przez cały poranek. Szykowała się burza idąca z tego kierunku. I pojawiła się zgodnie z rozkładem, pędząc z hukiem aż do cieśnin wokół Florydy. Hawke postawił kołnierz i ruszył przez pokład zalewany deszczem.

Wszedł do windy, wjechał trzy pokłady wyżej i skierował się na mostek. Szerokie tekowe deski były śliskie od deszczu. Alex zerknął na zegarek. Właśnie minęło południe. W Centrum Trumana, gdzie trwała konferencja, miał być o trzeciej. Na dwunastą umówił się na lunch z Ambrose’em Congreve’em i Stokely’em Jonesem, ale musiał jeszcze zamienić słowo z kapitanem.

Tego wieczoru na Key West miała przyplłynąć nowa łódź. Elegancka włoska łódź motorowa, którą kazał przebudować na tę szczególną misję. Wraz z Brownlowem, jej kapitanem, musiał omówić skład załogi. Mieli wybrać piętnastu najlepszych ludzi z obsady „Blackhawke’a”, którzy popłyną z nimi na południe.

Hawke otworzył drzwi na mostek i zobaczył, że Brownlow i kapitan jachtu są pogrążeni w rozmowie. Świetnie się składa. Puls mu przyspieszył. Był coraz bliżej. Niezależnie od tego, co pomyślą Amerykanie po jego wystąpieniu, i tak był zdecydowany popłynąć głęboko w serce Amazonii.

Zamierzał wrócić na rozstaje piekielnych dróg. Zamierzał odnaleźć i zabić szalonego olbrzymia, który stał u wrót piekieł.

I niech Bóg ma w opiece tych, którzy staną mu na drodze.

Amerykańska sekretarz stanu Consuela de los Reyes wyprostowała się nad drewnianym blatem. Odgarnęła z wysokiego czoła kosmyk ciemnych włosów i zauważyła, że drżą jej ręce. Za mniej więcej godzinę miała wygłosić otwierającą konferencję przemówienie przed audytorium zgromadzonym trzy piętra niżej. Ale nie to było problemem.

Wiedziała, co ma powiedzieć. Nie potrzebowała żadnych notatek ani teleprompterów. W Waszyngtonie i w innych stolicach świata nie bez kozery podziwiano ją jako błyskotliwego, spontanicznego mówcę. Ale teraz czytała swoje przemówienie powitalne już dziesiąty raz, bezskutecznie próbując się skupić. Starła czymś się zająć. Żeby nie myśleć o nim.

To śmieszne. Przecież powinna się cieszyć, że udało jej się wyrwać z Waszyngtonu na kilka dni. Mniej spotkań, mniej telefonów, żadnych minikryzysów wybuchających zniemacka o dowolnej porze dnia i nocy. Na Boga, przecież jesteś na swojej ukochanej Key West, kobieto.

Wybrała Key West na miejsce swojej konferencji z wielu powodów. W pobliżu było lotnisko marynarki wojennej, na które wciąż jeszcze przylatywali przedstawiciele Departamentu Stanu, CIA, DEA i innych służb państwowych. Bazę marynarki wojennej stosunkowo łatwo można było zabezpieczyć. Przestrzeń powietrzną wokół wyspy od tygodnia patrolowały myśliwce marynarki, a Centrum Trumana przeszukiwano i zabezpieczano przez ostatnich dziesięć dni.

Pojawiły się, oczywiście, media, ale niewiele dało się z tym zrobić. Szczerze mówiąc, podejrzewała, że prezydent McAtee z premedytacją puścił do prasy przeciek o kilku szczegółach konferencji. Prezydent za wszelką cenę potrzebował dobrych wiadomości. Biały Dom chciał, aby ludzie widzieli, że administracja coś robi w sprawie coraz większych niepokojów na granicy z Meksykiem i na całej południowej półkuli.

Media określały całą konferencję jako sztukę PR. Twierdzono, że Key West to łatwy cel dla terrorystów i najgorsze możliwe miejsce na konferencję dotyczącą bezpieczeństwa Ameryki. Co wieczór w wiadomościach opowiadano o możliwości ataku terrorystycznego na wyspę. Narodowa Rada Bezpieczeństwa zapewniała, że w Internecie terroryści w ogóle nie wspominali o zbliżającej się konferencji.

Kolejnym, bardziej podświadomym powodem wyboru Key West były dla Conch skojarzenia z domem. Uwielbiała tu przyjeżdżać.

Jej rodzina była jednym z najstarszych plantatorów trzciny cukrowej na Kubie. Plantacje de los Reyes od stuleci rosły na całej wyspie. Ale ojciec Consueli okazał się bardzo przezorny. Zauważył, że zbliża się Castro, choć wtedy uważano go za uporczywego komara, który od czasu do czasu organizuje jakieś akcje partyzanckie w górach. Gustavo de los Reyes przewiózł rodzinę na Florydę dzień przed wjazdem Fidela do Hawany. Conch urodziła się i wychowała właśnie tutaj, w maleńkiej wyspiarskiej republice Key West, w żółtym wiktoriańskim domu nieopodal Małego Białego Domu Trumana.

Jako dziecko łowiła flądry z braćmi. Jako nastolatka była już doświadczonym przewodnikiem wożącym turystów na połowy albuli w tych wodach. Kiedy wyjechała na Harvard, by pisać doktorat z politologii, potrafiła dostrzec albulę kręcącą się na płyciźnie nawet z sześćdziesięciu metrów. Jako dwudziestolatka była legendą dla starych siwowłosych kapitanów przesiadujących w porcie. Nadal jestem dla nich legendą, pomyślała z uśmiechem. Tyle że zupełnie inną.

Najszczęśliwsza była, kiedy udało jej się uciec choćby na trochę na Keys, zwłaszcza jeśli miała kilka dni, żeby zaszyć się w Muszli Conch - małym bungalowu ukrytym nad niewielką zatoczką na Islamorada. Piwo, hamburgery od Buffetta i nieuchwytna albule. Oczywiście o wiele przyjemniej było, kiedy pojawiał się tam on. Ale na razie nie było to jej pisane, więc lepiej o tym nie myśleć.

Westchnęła i usiadła wygodniej w fotelu. Była zadowolona, że udało jej się wykroić tych kilka godzin dla siebie, nim ruszy dwudniowa konferencja.

Poza dwoma marines strzegącymi drzwi była sama w tymczasowym biurze, które mieściło się w narożnym apartamencie na najwyższym piętrze biurowca, w którym niegdyś mieścił się stary szpital marynarki. Wzniesiony w XIX wieku solidny budynek z cegły ostatnio został wybielony, dostał nowy blaszany dach i świeżą farbę na stylowych okiennicach. Ze wszystkich stron otaczały go wysokie palmy, których liście na silnym wietrze uderzały w szyby okien.

Podniosła wzrok znad rozmytych słów, które zapisała na kartce z notatnika. Nie mogła się na nich skupić. Za ociekającymi od deszczu szybami widać było burzowe chmury. Patrzyła nad pofalowaną powierzchnią mniejszego basenu portowego i resztkami Fortu Zachary'ego Taylora, który strzegł wejścia na Key West. Z prawej widziała swój stary wiktoriański dom rodzinny, Mały Biały Dom Harry'ego Trumana i całe morze czerwonych dachów pod kołyszącymi się palmami.

Ale kiedy podnosiła się o kilka centymetrów, tak jak teraz, nie widziała nic innego tylko ten cholerny czarny jacht.

*

Na tym jachcie był Alex Hawke. Za jakiś czas, zapewne w ciągu pół godziny, zejdzie z pokładu. Potem minie port i skieruje się do dawnego szpitala marynarki. Przy głównym wejściu pokaże marines i ochroniarzom z Departamentu Stanu swoją przepustkę. Przejdzie przez wykrywacz metalu i pogawędzi chwilę ze strażnikami.

Czy znajdzie na dole telefon i zadzwoni do niej? A może pójdzie prosto do sali ćwiczyć swoje wystąpienie? Spotkania zaczną się już za godzinę.

O ile znała Hawke'a, przejdzie od razu do sali. Bardzo poważnie traktował swój temat, a kiedy się na czymś skupiał, oddawał się temu bez reszty.

Wiedziała, że gdyby stanęła przy oknie, mogłaby go zobaczyć, jak idzie wykładaną muszelkami ścieżką. Nie będzie zważał na złą pogodę.

Nigdy nie widziała, żeby nosił płaszcz przeciwdeszczowy czy choćby parasol. Co takiego powiedział, kiedy ulewa zaskoczyła ich na Mt. Vernon? „Deszcz szkodzi tylko tym, którzy są z cukru”. To był cały Hawke. Mężczyzna pełną gębą całą dobę, w słońcu czy w deszczu.

Zerknęła na zegarek i znów opadła na fotel. Prawdę mówiąc, Alex w każdej chwili mógł wpaść przez te drzwi jak huragan. Można się było spodziewać po nim i tego. Oczywiście będzie się giął w ukłonach i sumitował. Wiedział, że Conch jest na niego wściekła jak osa i nie bez powodu. Fakty były wymowne. Hawke zachował się jak ostatnia świnia i oboje o tym wiedzieli.

Ale.

Ale, ale, ale.

Każdy cholerny guzik jego munduru będzie błyszczał. Kręcone czarne włosy będą wilgotne od deszczu. Podejrzewała, że jest szczuplejszy niż zwykle, po tym co przeszedł w dżungli. Jest wysoki, szczupły i mocno opalony. i powie coś wykrętnego albo uroczego, albo połączy jedno z drugim.

Drań.

Będzie tak stał, uśmiechając się, a potem wyceluje w nią te swoje wyjątkowe niebieskie oczy, spojrzy z góry na jej uniesioną twarz, jakby miał ją porwać i...

Wejdzie przez te drzwi, a ona nie ma pojęcia, jak się zachować. Do diabła, Alex może tu być lada chwila. Co, u licha, ma robić? Mogłaby się uśmiechnąć i zapytać, jak minął rejs z Miami. Żałosne. Nie. Powie, że jest zachwycona, że znalazł czas, by się tu zjawić. Że przeczytała jego wnikliwy raport z pobytu w Amazonii i jest pewna, że znajdzie on entuzjastyczny odbiór wśród zebranych i...

Cholera jasna!

Usiadła i przymknęła powieki. Siłą woli uspokoiła oddech i próbowała powstrzymać lawinę obrazów, które i tak stawały jej przed oczami. Zalewały jej umysł niczym fale rozbijające się na smaganej wiatrem plaży.

*

Dwa lata temu spędziła z Alekssem cudowny tydzień na tych wyspach, łowiąc ryby i kąpiąc się w ciepłym morzu przy Muszli Conch. Poranki przeradzały się w złociste popołudnia, po czym rozplywały się w krwistoczerwonych zachodach słońca i kończyły błyskami gwiazd nad ich zaspanymi głowami. Chodzili nago i kochali się, gdziekolwiek tego zapragnęli. Oddała wówczas serce Aleksowi Hawke'owi, sądząc, że powierza je w dobre ręce.

Ale czas i Alex złamały to serce, choć tak bardzo starała się je chronić.

Zamknij te cholerne żaluzje, Conch.

Wstała z fotela i podeszła do okien wychodzących na zachód. Było ich cztery, każde miało własne żaluzje. Chwytała po kolei sznurki i szarpała w bok, dopóki wszystkie cztery żaluzje nie opadły z hukiem w dół. Pokój pogrzyżył się w jeszcze większym mroku.

Odwróciła się plecami do okien i przez chwilę stała z rękoma na piersiach, wpatrując się w kiepski obraz skaczącej żaglicy, który wisiał na ścianie za biurkiem. Uśmiechnięty mężczyzna z wygiętą wędką stał na rufie sportowego kutra i wyciągał z wody swoją zdobycz.

Jak ryba na haczyku, do cholery.

No, tak lepiej, pomyślała, patrząc na zamknięte żaluzje i czując, że puls jej zwalnia. Koniec z rozpraszeniem się. Teraz może wrócić do biurka i popracować. Kim on jest, żeby robić takie zamieszanie? Miała przed sobą ogrom pracy. Następnych kilka dni będą decydujące dla błyskawicznie ewoluującej polityki zagranicznej wobec Meksyku i całej południowej półkuli.

Usiadła za biurkiem i zaczęła myśleć nad swoim przemówieniem.

Jak przypomniała prezydentowi McAtee tuż przed wylotem z Waszyngtonu, fronty w wojnie z terroryzmem stale się zmieniają. Jej zdaniem błyskawicznie przemieszczały się one na południe. Wystarczyło spojrzeć na granicę z Meksykiem. Na Kubę. Ba, Chavez i wenezuelski rząd ostatnio...

- Conch?

Wzięła głęboki oddech. Zaczyna się.

Podniosła wzrok. Komandor Alexander Hawke stał w drzwiach, opierając się o framugę i uśmiechając się do niej.

Podniósł rękę w parodii salutu.

- Melduję się na wezwanie, sir!

Wstała zza biurka, wyglądając plisy granatowej spódnicy. W końcu spojrzała mu w oczy.

- Och, Alex. Proszę, wejdz. Nikt mi nie powiedział, że tu jesteś.

Spojrzał w stronę zasłoniętych okien.

- Mój jacht stoi tuż...

- Że jesteś w drodze do mojego biura. Nikt mi tego nie powiedział.

- Aha. Przepraszam. Zdaje się, że ich trochę zmyliłem.

Wszedł do środka, przebierając palcami po żółtych ozdobach na białej czapce komandora, którą trzymał w dłoni. Conch pomyślała, że on też trochę się denerwuje. Podeszła do niego, patrząc na epolety, na guziki, na ręce - wszędzie, tylko nie w oczy. Uścisnęła mu rękę i przypomniała sobie ciepło jego skóry, kiedy leżeli razem w łóżku.

- Nie ostrzegłem cię odpowiednio wcześniej, co? Przepraszam, moja droga. Powinienem był zadzwonić. Ale pomyślałem sobie, że wpadnę, żeby się przywitać przed oficjalnym początkiem konferencji. Tak w ogóle to przepraszam, że się wprosiłem na tę imprezę. Ale sama wiesz, że to nie był mój pomysł.

- Naprawdę? To pocieszające. Bóg jeden wie, że byłoby mi przykro, gdybyś chciał tu przyjechać. No jak tam Alex, co u ciebie? Minęło trochę czasu, prawda? Słyszałam, że ostatnio zapuściłeś się w dżunglę.

- Pisałem do ciebie. Wiele razy.

- Pisałeś.

- Ale nie odpowiadałaś.

- Byłam zajęta. Trwa wojna. Nawet niejedna.

- Posłuchaj. Minęło zbyt dużo czasu, Conch. Wiem o tym. Właśnie dlatego postanowiłem skorzystać z okazji i przyjechać na Key West. - Hawke miał świadomość, że płacze się w zeznaniach, ale próbował to ukryć.

- No cóż... - przerwała, bo wydawało jej się, że ktoś puka do drzwi.

Nie były do końca zamknięte, a teraz uchyliły się na jakieś dwadzieścia centymetrów. Tak, za drzwiami ktoś stał i otwierał je.

Odwróciła się od Aleksa, żeby zobaczyć, kto to. W drzwiach stała wysoka, piękna blondynka trzymająca pod pachą cienką aktówkę z bordowej skóry ozdobioną maleńkimi złotymi inicjałami AH. Prosta granatowa garsonka nie była w stanie ukryć doskonałej figury. Dziewczynie udało się przejść przez deszcz z nietkniętym makijażem i pełną loków fryzurą.

- Bardzo przepraszam - powiedziała, wchodząc do środka. Patrzyła na Hawke'a, ale mówiła do Conch. - Alex, zapomniałeś o teczce. Pomyślałam, że może ci być potrzebna na spotkaniu. Dorzuciłam zredagowany na nowo fragment o brazylijskiej gospodarce, który gdzieś się zapodział.

- Dziękuję ci - odparł Hawke i wziął od niej aktówkę. - Nie przywitasz się z naszą gospodynią panią sekretarz stanu?

Conch wyciągnęła rękę i się przedstawiła:

- Consuela de los Reyes. Bardzo mi miło. A pani jak się nazywa?

- Guinness, Gwendolyn Guinness - odparła dziewczyna. Uśmiechała się wdzięcznie, ale nie zdradziła wiele więcej poza tym, że wszyscy mówią na nią Pippa.

Conch odwzajemniła uśmiech, lecz oba te uśmiechy szybko zbladły i zapadła kłopotliwa cisza.

- Pippa - powtórzyła Conch.

- To moja asystentka - wyjaśnił w końcu Hawke, a te słowa zabrzmiały, jakby zostały wyciśnięte z samego dna jego przeklętej duszy.

Nikt nie miał pomysłu, co powiedzieć dalej.

W końcu Conch przerwała milczenie.

- Zwracasz się do niego Alex? - zapytała.

37

Madre de Dios, Brazylia

Robot-czołg przedzierał się przez dżunglę jak ranny zwierz. Harry mógł jedynie pilnować się, żeby nie spaść. Nisko wiszące pnącza smagały go po twarzy i ramionach. Siedział z tyłu po prawej, z jedną dłonią zaciśniętą na rączce i jedną nogą owiniętą wokół tylnego karabinu maszynowego. Caparina siedziała z przodu po lewej. Miotło nią we wszystkie strony i widać było, że jest przerażona. Hassan trzymał się obiema rękami uchwytów z przodu po prawej. Ilekroć pędzący czołg trafiał na głębszy rów albo zbaczał z wąskiej leśnej ścieżki, cała trójka była przekonana, że zaraz pospadają.

Miniaturowy troll poruszał się z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale z powodu nisko zwisających roślin po obu stronach ścieżki pasażerom wydawało się, że jadą

trzy razy szybciej. Pnącza były ich po twarzach, co chwila musieli robić uniki, żeby nie owijały im się wokół szyi.

Wjechali do płytkiej brązowej rzeki, budząc stadko śpiących kajmanów. Aligatory nie były zachwycone tym najściem i wszyscy pasażerowie musieli wciągnąć stopy na pancierz, żeby uciec przed kłapiącymi szczękami drapieżników.

Czołg nieco zwolnił, ale parł do przodu, zostawiając za sobą dwa ślady spienionej wody. Po chwili byli znów na łądzie, z powrotem w gęstej zieleni.

Kamera cały czas patrzyła na wprost. Operator, gdziekolwiek się znajdował, chciał jedynie, by czołg trzymał się ścieżki. Harry podejrzewał, że robot wraca do bazy.

Pół godziny później zaczęły go boleć kości. Pomyślał, że czołg jeździ po prostu bez celu. Wciąż byli w dżungli, ale ścieżka pięła się pod górę, i to już od dłuższego czasu. Oceniał, że przez ostatnich dwadzieścia minut musieli wspiąć się na jakieś trzysta metrów. Powietrze na tej wysokości zrobiło się nieco chłodniejsze i bardzo wilgotne.

Nagle pojazd zdecydowanie zwolnił. Szlak stał się błotnisty i głęboko rozjeżdżony.

Jechali tak wolno, że Harry był w stanie uklęknąć i spojrzeć do przodu.

- Przed nami wielki dół! - krzyknął Saladin Hassan. - A raczej głęboki wąwóz.

- Widzę! - odkrzyknął Harry. - Co robimy?

- Nie widzę tam żadnego mostu! - wrzasnęła Caparina. Rozpadlina zbliżała się coraz bardziej. - Harry, zostajemy tu?

Musieli się szybko zdecydować, wóz albo przewóz. Wąwóz był szeroki i głęboki. Unosiła się z niego mgła, więc prawdopodobnie w dole płynęła rzeka. Tak, słychać było, jak huczy. Wiry.

- Widzę most! - krzyknął Saladin. - Ale nie wiem, czy uniesie nas wszystkich!

Harry też go zobaczył. Most przerzucony przez rozpadlinę miał pięćset metrów długości i trzy szerokości. Pośrodku biegły metalowe szczebelki. Z drugiej strony widać było trzystumetrowy klif schodzący prosto do rzeki, a dalej jakąś konstrukcję na skraju lasu. Przez chwilę Harry miał nadzieję, że to wejście do wojskowego kompleksu Topa.

- Skaczemy czy nie? Decyduj, Harry!

Trudna decyzja. Linowy most wyglądał na dostatecznie szeroki, żeby zmieścić się na nim czołg, ale czy wytrzyma ciężar trolla i trzech *pasaj eros*? Pytanie jak w teleturnieju, a odpowiedzi trzeba było udzielić natychmiast. Myśl, Harry.

Ten, kto kierował czołgiem, wyraźnie wiedział, co robi. Jeśli skierował pojazd na most, to konstrukcja musi wytrzymać.

- Większą szansę mamy na tym diabelstwie niż pieszo. Zostajemy - zdecydował

Harry.

Do mostu zostało jakieś dwadzieścia metrów. Harry wykorzystał tę chwilę, żeby przygotować broń. To samo zrobili Saladin i Caparina. Na pancerzu dało się wyczuć nerwowe oczekiwanie. Pożyteczne napięcie, takie, które daje impuls do działania.

Wjechali na wąską polankę. Z wąwozu unosiły się kłęby mgły, a Harry patrzył, jak stadko śnieżnobiałych czapli leci w poprzek rozpadliny. Na brzegu wąwozu widać było las skarłałych drzewek. Białe ptaki obsiadły je, tak że wydawało się, jakby spadł tu śnieg. Harry dostrzegł po drugiej stronie wąwozu jakiś ruch. Kiedy spojrział ponownie, nie było widać nic poza budowlą którą zobaczył już wcześniej.

- Widzisz tamten budynek? - zapytał Saladin.

- Tak. Nie wygląda to dobrze - odparł Harry przyciszonym głosem.

- Bądźcie czujni.

- Myślisz, że się nas spodziewają? - zastanawiał się Hassan.

- Nieważne. I tak nie mamy wyjścia, musimy trzymać się futra tygrysa.

- Nie podoba mi się to - wtrąciła Caparina, kiedy byli zaledwie kilka metrów od mostu. Harry żałował, że to nie ona zajmuje jego miejsce z tyłu, ale było już za późno, żeby się przesiadać.

- Witaj, przygodo - rzekł. - Pomyśl, jakie nudne byłoby życie bez przygód.

- Taaa... - mruknęła bez przekonania.

Wjechali na most.

Zachybotał się i ugiął pod naciskiem czołgu. Harry odbezpieczył swojego PP-19 i wprowadził nabój do komory. Wyglądało na to, że most bez problemu wytrzyma ich ciężar. Przejechali już jakieś dwieście metrów.

Po drugiej stronie stał niski biały budynek, ale nie widać było żadnych ludzi.

I to była ostatnia pogodna myśl Harry'ego na moście.

- Cholera, kolejny troll - powiedział Harry.

- I co teraz? - zapytała Caparina.

Harry spojrzął na czołg jadący z przeciwległego brzegu. Szybko rozważył wszystkie możliwości. Czy nadjeżdżający troll to rutynowy patrol? Nie. To nie miałyby sensu, bo przecież ten nowy przesyłał na żywo obraz, na którym ich widać. Czy operator drugiego trolla ich zobaczył? Gdyby zeskoczyli i wycofali się, mogliby później zaryzykować przejście na piechotę.

- Siedzimy - zdecydował. Lepiej zostać na pancerzu i spróbować unieszkodliwić nadjeżdżający wrogi pojazd. Harry musiał się dowiedzieć, co jest po drugiej stronie wąwozu.

- Kamera - rozkazał. - Zakryj ją poczekaj dwadzieścia sekund, aż zbliżymy się do tamtego, i wtedy odsłoń.

- A jeśli tamten zacznie strzelać? - spytała Caparina.

- To też do niego strzelimy.

Kiedy drugi czołg był o sto metrów od nich, otworzył ogień z dwóch karabinów z przodu.

- No to masz! - krzyknęła Caparina i wystrzeliła długą serię w nadjeżdżający pojazd.

Saladin przytrzymał się mocniej i też zaczął strzelać. Niestety, kule odbijały się rykoszetem od opancerzonego trola. Caparina nie przestawała strzelać. Pochyliła się za błotnikiem, co dawało jej pewną ochronę. Harry'emu trudno było mierzyć, bo na linii strzału miał Saladina. Nagle Hassan położył się na pancerzu i puścił uchwyt. Dostał. Krew z jego rannej nogi spryskała Harry'emu twarz.

- Trzymaj się uchwytu! - krzyknął.

Za późno. Rzucił się, żeby przytrzymać Saladina, ale pojazd szarpnął i Afgańczyk wymknął mu się z rąk i zsunął na ziemię. Spadłby do wąwozu, ale zdołał chwycić linę i jakoś się trzymał, dyndając nogami w powietrzu.

Jazda na pancerzu była w tej sytuacji samobójstwem.

- Skacz! - wrzasnął Harry do Capariny. - Skacz, do cholery!

Ale nie skoczyła. Trzymała się pancerza i omiatała wściekłym ogniem nadjeżdżający czołg.

- Ostatnia szansa! - krzyknął Harry. Nacisnął spust i desperacko próbował oślepić cholernego robota.

- Jedyne szansa! - odkrzyknęła. - Spróbuję rozwalić tę kamerę!

- Jak chcesz. Ja wracam po Saladina! - zawołał Harry i zeskoczył z czołgu.

Uderzył mocno w metalowe szczebelki mostu. Zebrał się jakoś i odwracając, podniósł pistolet. Czołg, na którym jechała Caparina, zaczął przyspieszać, tak jakby operatorzy obu pojazdów w końcu się dogadali i chcieli szybko zakończyć tę strzelaninę.

Harry popędził do Saladina. Hassan zaciskał palce na linie, a trzysta metrów pod jego stopami czekała niebezpieczna rzeka.

- Saladin! Trzymaj się! Już idę! - krzyknął Harry i jeszcze raz spojrzał na Caparinę.

Cholera. Wciąż siedziała na pancerzu.

- Oszalałaś? Spadaj stamtąd! - wrzasnął do niej.

Odwróciła się na chwilę i coś zawołała, ale strzelanina zagłuszyła jej słowa. Harry ruszył po Saladina.

Nagle mostem wstrząsnął wybuch. Ekspłodował zbiornik z paliwem czołgu Capariny. Czy zdążyła zeskoczyć? Chryste. Skupił się na Saladinie i nie widział jej. Nie widział nic, tylko płonący wrak zsunięty lekko z mostu, buchający czarnym dymem. Z niedowierzaniem wpatrywał się w dym. Nie czuł zapachu pieczonej dziczyzny, nie widział zwęglonych szczątków dziewczyny.

Wszedł w czarne kłęby zdecydowany odnaleźć Caparinę lub to, co z niej zostało. Nagle dostrzegł wężące lufy karabinów czołgu i usłyszał nad głową świst pocisków. Drugi troll właśnie przejechał obok spalonego kolegi i zaczął celować do Harry'ego.

Nie było wyboru. Odwrócił się i zaczął biec do Hassana. Pędził ile sił w nogach, robiąc uniki i to na rozchwianym moście.

Saladin trzymał się liny tylko jedną ręką. Brock sięgnął i chwycił oburącz jego drżące ramię. Udało mu się wciągnąć Hassana na most, adrenalina wykonała za nich obu spory kawał roboty. Saladin wziął kilka głębokich oddechów i zdołał ukłęknąć.

- Czołg - wydyszał.

- Tak. Musimy spadać. Możesz iść? - zapytał Harry.

- Czemu mam iść, skoro mogę biec? - odparł Saladin, nie zważając na krew buchającą z prawego uda.

Popędzili w stronę zarośli na brzegu, z którego przyjechali.

Za ich plecami rozbity czołg wciąż płonął pośrodku mostu, a jednooki drań, który ich załatwił, wciąż jechał za nimi, plując ogniem z obu luf. Obaj robili uniki i zbierali siły na ostatni sprint. Niewiele brakuje, żeby...

- Ty w lewo! Ja w prawo! - krzyknął Harry, kiedy dotarli do końca mostu. - I głowa nisko. Wtedy kamera nas nie zobaczy.

Zanurkowali w zarośla i odczołgali się jak najdalej od mostu. Pociski odłupywały drzazgi z drzew nad ich głowami, ale widać było, że robot ich zgubił i strzelał na oślep. Operator, który nim kierował, po prostu liczył na łut szczęścia. Harry zdołał doczołgać się bliżej wąwozu i wyrzeć przez krzewy na płonący czołg.

Jeśli Caparina wciąż żyje, zdoła jakoś wrócić przez ten most i ją odnaleźć. Musi dopaść tego drania Topa. I odstrzelić mu łeb.

Harry znał swoje słabe i mocne strony. Za dużo pił i nie był orłem intelektu, ale odporności i uporu mu nie brakowało. Kumple z marines mówili o nim twardziel.

Harry Brock był jak ruski mechanizm: nie gniołsa, nie łamiołsa.

Zachodni Teksas

Homer Prudhomme nie otrząsnął się do końca z szoku, jakiego doznał tamtej okropnej nocy sprzed trzech tygodni, kiedy odnaleźli zaginioną grupę pościgową. Starał się wymazać z pamięci ten obraz, ale jak można zapomnieć widok bezgłowych chłopców jadących konno w świetle księżyca? Jak można zapomnieć wyraz oczu szeryfa, kiedy zobaczył, jak jada prosto na niego, siedząc sztywno w siodłach? Nie był w stanie zapomnieć. I nigdy nie zapomni.

Nikt nie powinien tego zapomnieć.

Nie był też w stanie uwolnić się od snów o kierowcy-duchu. O człowieku, który siedział (a raczej nie siedział) za kierownicą wielkiej ciężarówki, którą zatrzymali. Wciąż pamiętał, że samochód z napisem „Yankee Slugger” pędził ponad dwieście na godzinę bez kierowcy. Pamiętał że wielka ciężarówka ruszała z miejsca i sunęła autostradą bez niczyjej pomocy. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widział.

Jeśli szeryf miał rację i w samochodzie rzeczywiście był kierowca, to gdzie się podział? Rozpłynął się w powietrzu? W kabinie nikogo nie było. Na piasku nie zostawił nawet śladu. Nic. Wszystko to nie trzymało się kupy.

A przecież przeszukał calusieńkąabinę. Zajrzał nawet do popielniczki i powąchał piankową poduszkę leżącą na pryczy z tyłu. Macał podłogę pod siedzeniami. Gdyby ktokolwiek jechał ostatnio w tej kabinie, na pewno by to wyczuł. A nic nie wyczuł. Odchodził od zmysłów, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. Nikt poza szeryfem nie wierzył w kierowcę-ducha, ale i tak liczyła się tylko jego opinia.

Ugryzł kawałek pączka i popatrzył na czarną wstążkę autostrady wijącą się przez pustynię poniżej. Stał około stu metrów od drogi, ukryty między głazami i krzewami na szczycie wzniesienia. Od dwóch godzin nikt tędy nie przejeżdżał i Homer nie spodziewał się zobaczyć kogokolwiek przed wschodem słońca. Było kilka minut po trzeciej rano. Nawet kojoty przestały już zawodzić i poszły spać. On też był śpiący. I przemarznięty, choć ogrzewanie w radiowozie cały czas pracowało. Musi być koło pięciu stopni, pomyślał, patrząc na pustkowia przed szybą. Łyknął kolejne dwie pastylki kofeinowego vivarinu i podkreślił radio, śpiewając razem ze swoją dziewczyną ze snów Patsy Cline.

Szeryf kilka dni temu wyjechał na Florydę. Kolejny stróż prawa, który będzie wzywał do powstrzymania chaosu na południowo-zachodniej granicy Teksasu. Homer miał nadzieję,

że Dixon przekona tych ludzi z Waszyngtonu, że na granicy naprawdę źle się dzieje. Tysiące nielegalnych imigrantów tratuje całe rancza; Meksykanie i kojoty, przemytnicy broni i narkotyków, zbyt wielu, by można ich zliczyć. Wszystkich ścigały patrole Straży Granicznej w śmigłowcach i pustynnych łazikach, ale pograniczników było zdecydowanie za mało. A teraz na dodatek groziło im, że skorumpowani żołnierze meksykańskiej armii przekroczą granicę i zaczną chronić cholernych szmuglerów!

Wszystko to zaczęło niebezpiecznie przypominać wojnę.

Homer rozejrzał się po pustej drodze, po czym oparł wygodnie w fotelu i zamknął oczy. Modlił się w duchu za Dixona przebywającego na Key West. Żeby wygłosił dobre przemówienie. Żeby wierchuszka zrozumiała prawdę, jaką im przekazuje. Teksas potrzebował pomocy na granicy. I to szybko.

On miał w tym tygodniu szczęście. Od kiedy przez miasto przejechała banda Meksykanów na motocyklach, niewiele się działo. Raz musiał tylko zająć się pijanym jak bela Rawlsem, który jechał wężykiem po autostradzie jednym ze swoich robionych na zamówienie chevroletów suburban, wartych pewnie z milion dolarów. Homer zagroził, że go znów zamknie, i od tego czasu facet był potulny jak baranek. Przyszli też do niego Zorro i Hambone, którzy chcieli, żeby ich zaprzysiągł na policjantów, a pewna nauczycielka urodziła dziecko w publicznej pralni.

Wolne noce postanowił spędzać na pustyni, na tym samym odcinku, gdzie zatrzymali tę ciężarówkę Yankee Slugger. Radar wycelowywał w stok, którym zjeżdżała autostrada, i podkręcał do końca głośność sygnału ostrzegawczego, na wypadek gdyby się zdrzemnął. Ciężarówka bez kierowcy? To się nie trzymało kupy. Ale nocą na drodze pośrodku pustyni miało to więcej sensu niż w samo południe na głównej ulicy miasta.

Musiał się zdrzemnąć, bo obudził go brzęczyk radaru. Poderwał się i łupnął głową w dach radiowozu. Co? Gdzie? Spojrzał na cyfrowy wyświetlacz radaru. No, no, no. Aż nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Radar pokazywał, że z południa zbliża się samochód pędzący aż dwieście dziesięć kilometrów na godzinę!

A niech mnie licho, pomyślał Homer i sięgnął do kluczyka w stacyjce. Jeśli to nie jakiś bogaty bubek z Houston, który rozbija się włoską sportową bryczką, to musi to być ten kierowca-duch.

Patrzył na horyzont, czekając, aż pędzący samochód wjedzie na kolejne wzniesienie, i modlił się w duchu, żeby to była znajoma ciężarówka wymalowana na czerwono, biało i niebiesko. Kiedy się trochę oddali, Homer wsiądział jej na ogon i nie spuścił z oczu. Wszystko

dokładnie zaplanował. Będzie się trzymał z tyłu, poza zasięgiem wzroku i pojedzie za kierowcą-duchem choćby na koniec świata. Niezależnie od tego, ile to potrwa. Niezależnie od tego, co się stanie. Przyszło mu do głowy, że to jego pierwsza samodzielna sprawa w policji.

Ale samochód, który się pojawił, rozczarował go.

Nie była to osiemnastokołowa ciężarówka, jakiej się spodziewał od kilku nocy, tylko sam czterokołowy ciągnik pędzący jak anioł ciemności. Wyprostował się i chwycił mocniej kierownicę, kiedy ciężarówka minęła go z rykiem. Była pomalowana na kilka kolorów, może na czerwono, białą i niebiesko. Trudno rozpoznać kolory w księżycowej poświacie. Mimo to Homer miał przeczucie, że minął go właśnie Yankee Slugger.

Tyle że dzisiaj ciężarówka była bez naczepy.

Wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu. Światła postanowił nie włączać. Wypadł jak szalony na autostradę i prawie wgniół pedał w podłogę, patrząc, jak strzałka prędkościomierza mija sto sześćdziesiąt. Sto siedemdziesiąt. Sto dziewięćdziesiąt. Przed sobą zobaczył błysk czerwonych świateł hamowania i ciężarówka zniknęła w dole drogi. Jechał jakieś pół kilometra za kierowcą-widmem. Wystarczy utrzymywać taką odległość i wszystko będzie dobrze.

Ciężarówka skręciła w lewo i teraz pędziła na zachód. Wyglądało na to, że jedzie do opuszczonego miasteczka jakieś pięćdziesiąt kilometrów przed Laredo. Miejscowość nazywała się Gunbarrel. Leżała w zakolu Rio Grande, około pół kilometra od granicy z Meksykiem.

Gunbarrel było kiedyś kwitnącym miasteczkiem, zwłaszcza w czasach boomu naftowego w Teksasie na początku XX wieku. Dobrobyt skończył się jakieś pięćdziesiąt lat temu, wyczerpały się złoża ropy i firmy wydobywcze przeniosły się gdzie indziej. Teraz w Gunbarrel mieszkali może dwie dusze. I obie należały do piesków preriowych.

Na policyjnym paśmie wciąż słychać było rozmowy. I raporty o nielegalnych imigrantach przekraczających granicę, których funkcjonariusze zaczęli nazywać „ciałami”. „Uwaga! Mam sześć ciał idących na północny zachód w stronę nadajnika radiowego!”

W taką noc jak ta każdy policjant czuł niepokój, słysząc podobny komunikat. Bo ostatnio „ciała” nosiły ze sobą ciężkie karabiny maszynowe i nie wahały się ich użyć przeciw każdemu, kto stanął im na drodze.

- Podstawa masztu! Podstawa masztu! - krzyknął ktoś przez radio.

Pustynia wokół Gunbarrel jest poorana pajęczyną rowów i polnych dróg z głębokimi koleinami. Aby wskazać konkretne miejsce innemu funkcjonariuszowi, należało orientować się według dużych punktów odniesienia, takich jak nadajnik radiowy czy wieża ciśnień.

Homer nie widział żadnego masztu ani żadnych ciał przebiegających przez drogę.

Zobaczył że ciężarówka zwalnia, więc też zdjął nogę z gazu. I on, i kierowca ciężarówki jechali teraz mniej więcej pięćdziesiątką. Nadal utrzymywał dystans około pół kilometra między radiowozem a tajemniczą ciężarówką. O ile się nie mylił, kierowca go nie zauważył. On z kolei nie zdołał się upewnić, czy to ten sam Slugger, ale miał nadzieję, że tak.

Kilka minut później zobaczył białą drewnianą tablicę z czarnym napisem „Gunbarrel”, a sto metrów dalej ceglany budynek stacji kolejowej. Wyglądał na mocno zniszczony, ale jeszcze się trzymał. Minął przędzalnię bawełny, młyn, a nawet kilka rezydencji w stanie rozkładu. Wszystkie już dawno porzucono, oddając we władanie szczirom, pająkom i chwastom.

Ciężarówka przed nim zaczęła hamować, więc też wcisnął hamulec. Nie było tu żadnej przecznicy, co oznaczało, że kierowca nie szykuje się do skrętu. Zamierzał zatrzymać się pośrodku opuszczonego miasta.

Ale po co? Przecież nic tu nie ma.

Ciężarówka stanęła przed wielkim dwukondygnacyjnym budynkiem, który wyglądał na opuszczoną fabrykę. Na górze, w miejscu, gdzie kiedyś były okna, ziały czarne dziury. Na dole widać było szeroki łukowaty wjazd, przypominający wjazd do garażu w remizie strażackiej.

Homer zjechał z drogi i przycupnął za częściowo spaloną stacją benzynową Texaco. Omal nie przydzwonił w jeden z ocalałych dystrybutorów.

Radiowóz dotoczył się do pustej zatoczki z kanałem i zatrzymał dokładnie przed reklamą piwa korzennego Hires, która jakimś cudem ocalała z pożaru.

Homer wyłączył silnik i schował kluczyki do kieszeni, przypominając sobie powiedzenie: „Człowiekowi z gwiazdą możesz powierzyć nawet samochód”.

Nosił gwiazdę szeryfa, a nad jego głową kołysała się na wietrze wyblakła czerwona gwiazda Texaco. Nosiła pordzewiałe już ślady od licznych kul. Czas ruszać. Sprawdził broń i upewnił się, że baterie w latarce nie wysiadły.

Uchylił delikatnie drzwi (choć nowe, miały tendencję do skrzywienia), wysiadł z radiowozu i podbiegł do walącego się budynku stacji. Zatrzymał się i wyjrzał zza budynku.

Yankee Slugger stał tuż przed fabryką. Ciemne okna błyszcząły w księżycowej poświacie.

Homer stwierdził, że kierowca (czy ktokolwiek to jest) nie widzi go teraz, zaczął więc iść pustą drogą wzdłuż spalonej stacji.

Nagle wielki silnik Diesla ryknął, a szeroka brama fabryki zaczęła się podnosić. W

budynku nie świeciło się ani jedno światełko. Ale ktoś tam musiał być i otwierać starą drewnianą bramę. Czerwono-biało-niebieska ciężarówka wjechała tyłem do środka, a gdy minęła bramę, ta znów się zamknęła.

Homer podbiegł do ciężkiej bramy i dotknął jej. Wcale nie była z drewna, tylko ze stali. Ktoś pomalował ją żeby wyglądała na drewnianą. Po co zadawał sobie tyle trudu? Po to, żeby nikt, kto przejeżdżał przez to miasto duchów, nie zwrócił uwagi na ten budynek.

Pobiegł na tyły budynku. Na piętro prowadziła pordzewiała drabinka pożarowa. Czy wytrzyma jego ciężar? Spojrzał w górę na ciemne okna. Nagle w jednym z nich pojawiło się coś, co wyglądało jak małe czerwone oczko.

Ktoś tam stał i palił papierosa.

Kolejny duch?

Jeśli tak, nie przejmuj się, że może zachorować na raka, pomyślał Homer.

39

Baza marynarki Key West

O trzeciej po południu Hawke, Congreve i Pippa Guinness stali w niszy zatłoczonego korytarza starego szpitala marynarki wojennej, rozmawiając przyciszonymi głosami. Baza marynarki przerodziła się w istny ul. Po korytarzu szło co najmniej sto osób, wszyscy w stronę podwójnych drzwi prowadzących do wielkiej auli. Wyczuwało się nerwowy pośpiech.

Ambrose właśnie wyjaśniał, że było jedno proste wytłumaczenie: Meksyk najechał na Stany Zjednoczone.

Po Kapitolu krążyły plotki o wypadzie meksykańskich żołnierzy. Wiarygodny świadek donosił, że żołnierze w mundurach przeszli w biały dzień przez jego ranczo przy teksańskiej granicy i parli na północ. Kiedy on i jego dwaj pomocnicy stanęli Meksykanom na drodze, ci wskoczyli do swoich hummerów i wrócili na południe, na swoją stronę granicy.

Z kolei śmigłowiec amerykańskiej Straży Granicznej podczas rutynowego patrolu zaskoczył konwój przemytników narkotyków, którzy próbowali przekroczyć granicę. Ktoś - podobno w hummerze meksykańskiej armii - otworzył ogień do amerykańskich funkcjonariuszy. Coraz częściej słyszało się, że Federales strzelali do amerykańskiej Straży Granicznej ze swoich AK-47.

Te zaskakujące wydarzenia odbiły się ogromnym echem w najdalszych nawet zakątkach każdego granicznego stanu. W rezultacie konferencja zorganizowana na Key West przez Departament Stanu nabrała zupełnie nowego znaczenia.

Drapieżni mądrale występujący w mediach oraz potężna armia bloggerów czuli, że dzieje się coś ważnego. I wszyscy cieszyli się, że oto pojawiły się świeże ochłapy dla nienasyconej medialnej maszyny. „A teraz relacja na żywo z granicy!” - mówił prezenter, po czym na ekranie pojawiali się reporterzy, którzy jechali gdzieś razem z patrolem Straży Granicznej. Dziennikarze tłoczyli się na granicy w śmigłowcach, hummerach albo nawet galopując konno przez rozpadliny na miejsce najnowszego ataku.

Wszyscy podkreślali raz za razem pożałowania godny brak bezpieczeństwa na amerykańskich granicach. Część obarczała za to winą prezydenta. Dlaczego nie polecił zbudować muru? Czy to takie trudne? Inni obwiniali rząd w Meksyku, a jeszcze inni - rozmaitych terenowych dowódców meksykańskiej armii, którzy granice mieli za nic i współuczestniczyli w przemyśle narkotyków. Garstka rozważnych dziennikarzy rozumiała, że graniczna wojna z Meksykiem wisiała na włosku od ponad wieku.

I teraz po prostu zaczęła wybuchać.

W Waszyngtonie, w Langley i FBI tajemnicą poliszynela było, że potężne gangi narkotykowe mają ogromne wpływy w części meksykańskich jednostek wojskowych oraz najprawdopodobniej w policji. Nastroje buzujące od dawna, jeszcze od wojny niepodległościowej w 1846 roku, teraz osiągały stan wrzenia. A Amerykanie - tak się przynajmniej wydawało Hawke'owi - w końcu zaczęli rozumieć, co im grozi od południowej flanki.

Według Aleksa wszyscy ci ludzie ze słuchawkami i mikrofonami dobrze się bawili, odgrywając Indian i kowbojów nad Rio Grande. Na razie nikt nie sfilmował tych „wojskowych” wypadów, ale Fox News, CNN i inne stacje telewizyjne nie zamierzały ustawać w konkurowaniu. Kwestią czasu było więc, czyja kamera pierwsza to zarejestruje.

Drzwi auli w końcu się otworzyły, odsłaniając przestronne pomieszczenie z wielkim owalnym stołem i rzędami krzeseł. Ta ogromna, specyficznie pachnąca sala jako jedyna mogła pomieścić znacznie zwiększoną liczbę uczestników konferencji. Wyglądało na to, że historia będzie się działa na świeżo wypolerowanym boisku koszykarskim dla marynarzy.

Sala wypełniała się ludźmi. Sekretarz stanu i członkowie jej ekipy - ochroniarze z Departamentu Stanu i agenci Secret Service - weszli do środka dziesięć minut temu. Conch nie zatrzymała się, żeby porozmawiać z reporterami tłoczącymi się wokół niej. Przechodząc, nawet nie spojrzała na Hawke'a. Nic dziwnego, zważywszy na incydent w jej gabinecie na

piętrze.

Alex czuł się wypalony i bez ducha i z utęsknieniem czekał, aż ta cholerna sesja w końcu się zacznie. Dla niego pobyt na konferencji zaczął się od osobistej wpadki. Chciał wszystko naprawić, a zamiast tego popsuł jeszcze bardziej.

Był szczęśliwy, że udało mu się ująć cało z mrocznego gabinetu Conch. Panna Guinness nie znała ognistej Consueli de los Reyes i była tylko niewinną ćmą która nie zdawała sobie sprawy, jak blisko ognia podleciała. Jej wejście w najgorszym z możliwych momentów unicestwiło wszelkie szanse na zgodę. Alex wyprowadził Pipkę z gabinetu najszybciej jak mógł, wzrokiem próbując spacyfikować Conch. Poniósł całkowitą klęskę.

Łączyły go z Consuelą długie i skomplikowane relacje; związek, który obumierał i odżywał na zmianę i nie wiadomo ile miał potrwać. Jak włącznik światła: jest, nie ma i znów jest.

Rok temu ich związek ogarnęły ciemności, a kiedy Conch dowiedziała się o romansie Hawke'a z piękną chińską aktorką Jet Moon, wyłączyła światło na dobre. Nie odbierała telefonów i nie odpisywała na listy. W końcu poddał się, uznając, że już nigdy więcej jej nie zobaczy. Ta świadomość nie była miła, ale znosił już w życiu większy ból.

Teraz, dzięki swojemu szefowi, znalazł się na tropikalnej wyspie Key West w samym środku nowej romantycznej telenoweli. A po nieoczekiwanym pojawieniu się na planie uroczej panny G trwająca od dawna tragikomedia z de los Reyes i Hawkiem w rolach głównych zmierzała do jeszcze bardziej nieszczęśliwego zakończenia, niż można było się spodziewać.

W korytarzu rozbrzmiewał gwar rozmów. Uczestnicy konferencji tłoczyli się przy ostatnim punkcie kontroli, za którym mogli już wejść do auli. Hawke pomachał swojemu staremu druhowi z wojny Brickowi Kelly'emu, dyrektorowi CIA. Brick najwyraźniej nieźle się bawił sprzeczką z dwoma czterogwiazdkowymi generałami lotnictwa. Nieco dalej stał Peter Pell, nowy doradca prezydenta do spraw obrony.

- Możemy już zaczynać? - powtarzali młodzi asystenci z Departamentu Stanu, zgarniając uczestników i delikatnie popychając ich w stronę auli.

- Chyba powinniśmy wejść - powiedział Hawke do Ambrose'a. Przerażała go kolejna wielogodzinna nasiadówka, uzależnienie od czyjegoś planu.

- Póki jeszcze młodość w nas? - rzucił Congreve, parszkając śmiechem na widok wyraźnego niepokoju Aleksa.

Wziął Pipkę pod rękę i oboje ruszyli do sali. Hawke podążył za nimi i szybko znalazł swoje miejsce przy stole. Ambrose siedział po jego prawej stronie, a Pippa na jednym z

krzesel z tyłu przewidzianych dla personelu pomocniczego. Conch zajmowała miejsce dokładnie naprzeciwko niego. Nie odwzajemniła uśmiechu.

Nagle Pippa pochyliła blond główkę między ramiona Hawke'a i Congreve'a i szepnęła Aleksowi coś do ucha. Dobiegł go zapach perfum Chanel. Robił, co mógł, by patrzeć przed siebie.

- Tak? - spytał.

- Nie zapomnij, że zgodziliśmy się nie podkreślać roli naszej placówki w Bogocie. Nie jesteśmy jeszcze gotowi oddać Amerykanom tego smakowitego kaska.

- Aha. Nie wiedziałem. Dzięki.

- Uciszyście się wreszcie? - zgromił ich Congreve. - Pani sekretarz chce zacząć przemówienie i patrzy prosto na was.

- O Boże - mruknął Hawke. - Masz rację, patrzy.

40

Kiedy pani sekretarz stanu wstała, rozmowy ucichły. Powiodła wzrokiem po sali, przyglądając się zebranim. Consuela de los Reyes była wysoką elegancką i bardzo piękną kobietą. Potrafiła jednym spojrzeniem opanować salę pełną czterogwiazdkowych generałów, a jej ogniste oczy mogły miotać płomienie albo sople lodu, w zależności od potrzeby. Kiedy mówiła, jej słowa miały odpowiednią wagę. Wydawało się, że zawisają na chwilę w powietrzu, póki na ich miejsce nie pojawią się inne. Tak jak miała w zwyczaju, zanim zaczęła mówić, odgarnęła kosmyk ciemnokasztanowych włosów z czoła.

- Przede wszystkim chciałabym w imieniu prezydenta powitać przedstawicieli mediów, którzy dzisiaj do nas dołączyli - zaczęła. Sala wybuchnęła śmiechem. Wszyscy zebrani wiedzieli, że pani sekretarz stoczyła zaciętą walkę, żeby nie dopuścić na swoją konferencję żadnych dziennikarzy. Biały Dom, wyczuwając okazję do zabłyśnięcia w mediach, zmusił ją do publicznej kapitulacji.

Poradziła sobie świetnie, pomyślał Hawke, pochylając się nad stołem. Aż się w niej gotuje, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Nasz kraj toczy wojnę z Meksykiem - powiedziała, a w sali zapadła cisza. - Wkrótce przejdę do tego tragicznego wydarzenia. Ale najpierw chciałabym powitać państwa na tej magicznej wyspie, gdzie czterdzieści lat temu przyszłam na świat. Moi rodzice pochodzą z

Kuby. Jestem dumna, że jestem Amerykanką latynoskiego pochodzenia. I szczęśliwa, że mogę być z państwem tutaj, w moim rodzinnym mieście. Jak mawia prezydent: „Najlepsze karty historii piszą ludzie odważni”. Jesteśmy tu na historycznej linii frontu. Kongres odpowiednio reaguje na wczorajsze ataki, ale my, zebrani w tej sali, musimy się skupić na najbardziej prawdopodobnych zagrożeniach. Choć niewielu się z tym zgadza, w wojnie z terroryzmem zarysował się nowy front. Uważam, że największe zagrożenie dla naszego kraju czai się tuż za jego progiem. Meksyk otwarcie wydaje Stanom Zjednoczonym nowy rodzaj wojny. I nie chodzi tylko o te ostatnie najazdy na nasze terytorium i przemyt narkotyków. Nie o tunele i strzelanie do naszych funkcjonariuszy Straży Granicznej, którzy próbują egzekwować prawo. Chodzi o coś bardziej przewrotnego.

Przerwała na chwilę i mówiła dalej:

- Uważam, że meksykański rząd wykorzystuje najazd nielegalnej imigracji jako najnowszą broń masowego rażenia. Rząd Meksyku od dziesięcioleci zachęca i popularyzuje ataki nielegalnych imigrantów na nasz kraj. W biurze mam kopie propagandowych komiksów, które instruują, jak naruszać naszą suwerenność. Miliony nielegalnych imigrantów, którzy przekraczają nasze granice, zagrażają naszej strukturze społecznej i gospodarczej. Sytuacja pogarsza się z każdym dniem. Jesteśmy oblężeni. Obywatele mieszkający przy południowej granicy żyją w ciągłym chaosie. Wielu z was czytało raporty Straży Granicznej. Agenci i przedstawiciele służb stanów przygranicznych obawiają się całkowitego załamania porządku prawnego. Bezprawie już podnosi swój wstrętny łeb. Granice, niegdyś rzecz święta, dziś są atakowane nawet jako koncepcja polityczna. Broniąc własnych granic, człowiek ryzykuje dziś, że zostanie okrzyknięty rasistą. Nie jestem rasistką. Jestem Amerykanką. Jak zwykle jest też druga strona medalu. Dotyczy to zwłaszcza sytuacji na granicy. Wielu Amerykanów chce otoczonej murem fortecy. To zrozumiałe. Meksykanie chcą pracy, by wyżywić siebie i swoje rodziny. To też zrozumiałe. Ale ich rząd wmówił im, że mają niezbywalne prawo do nielegalnego przekraczania granicy. I dlatego każdego dnia po obu stronach tej linii rodzi się przemoc i gniew. Jest dzisiaj z nami szeryf Franklin W. Dixon z Prairie w Teksasie. Chyba, widzę pana, szeryfie. Tam, w białym kapeluszu.

Rozległy się chichoty, kiedy zebrani spojrzeli na wyraźnie zakłopotanego mężczyznę zdejmującego z głowy białego stetsona.

- Na naszej pierwszej sesji jutro po południu - ciągnęła Consuela - szeryf Dixon i inni funkcjonariusze służb stanowych z Kalifornii, Arizony i Nowego Meksyku oraz przedstawiciele lokalnych policji przedstawią relację z pierwszej ręki na temat tych tragicznych wydarzeń. Jak wiecie, prezydent zobowiązał się rozmieścić na granicy sześć

tysięcy członków Gwardii Narodowej. Prosił mnie, bym zapewniła państwa, że podejmowane są wszelkie kroki w celu rozwiązania tego problemu.

- Ale kryzys, z jakim mamy do czynienia w Ameryce Łacińskiej, sięga znacznie dalej niż granica z Meksykiem. Sięga do dżungli w Brazylii, Argentynie i Ekwadorze. Do Caracas, gdzie kolejny komunistyczny dyktator dołącza do Fidela Castro i marzy o upokorzeniu Wujy Sama. Wenezuelski dyktator ma zasoby ropy naftowej, a więc i pieniądze, by przekuć te marzenia w rzeczywistość. Castro i jego sprzymierzeńcy zrobią wszystko, by zmienić układ sił na naszej półkuli. Chavez powiedział to publicznie, a my mu wierzymy. Nasz kolejny mówca, komandor Królewskiej Marynarki Wojennej Alexander Hawke, przedstawi przekonujące dowody wenezuelskich planów zakłócenia dostaw ropy w Zatoce Meksykańskiej. Jak państwo za chwilę usłyszycie od komandora Hawke'a, w całej Ameryce Łacińskiej narasta fala nastrojów antyamerykańskich, podsycana nie tylko przez zasobną w ropę Wenezuelę. Przeczytałam jego raport uważnie i chciałabym móc państwu powiedzieć, że to nowe zagrożenie to tylko zbieranina partyzanckich oddziałów, słabo wyszkolonych i prymitywnie uzbrojonych. Ale nie mogę. Pozwólcie, państwo, że krótko przedstawię wnioski komandora Hawke'a. Od początku lat siedemdziesiątych amazońskie dżungle stały się oazą dla al-Kaidy. Radykalni islamiści rozpanoszyli się w Ameryce Łacińskiej. Mają rozległe kontakty z grupami, takimi jak peruwiański Świetlisty Szlak, kolumbijski FARC czy argentyńscy Montaneros. Wchłonęli zorganizowane grupy przestępcze i uliczne gangi w tych krajach, zmieniając je ze zwykłych przestępców w zagorzałych rewolucjonistów. Wykorzystując setki milionów dolarów ze sprzedaży najlepszej jakości heroiny, te latynoskie komórki islamistów finansują dziś budowę doskonale wyposażonych i wyszkolonych armii terrorystycznych. Dane wywiadowcze zebrane przez służby komandora Hawke'a dowodzą, że ta nowa potężna filia al-Kaidy mogła kupić w Iranie i na innych rynkach brudną broń jądrową, a w laboratoriach w dżungli są opracowywane nowe rodzaje broni biochemicznej. Te latynoamerykańskie armie terrorystyczne są ponadnarodowe, nie przynależą do jednego kraju. Ale mają jednego wspólnego wroga: Stany Zjednoczone. Chcą wszcząć wojnę u drzwi sojuszników USA. I prawdopodobnie szykują się do szybkich działań. Zakończę moje wstępne uwagi stwierdzeniem, że naszemu krajowi grożą niebezpieczeństwa ze wszystkich stron świata. Ale przez następne dwa dni przynajmniej, tutaj na Key West, zajmiemy się tylko jedną z tych stron. Prawdziwym tsunami, które narasta na całym południu.

Przerwała, powiodła wzrokiem po zebranych i zatrzymała spojrzenie na Aleksie.

- Komandorze Hawke, witamy na Key West.

Kamery skierowały się w stronę Aleksa, który wstał z fotela i powiedział:

- Dziękuję, pani sekretarz. To dla mnie zaszczyt.

Na monitorach rozmieszczonych w całej sali natychmiast pojawiły się mapy i zdjęcia satelitarne brazylijskich lasów tropikalnych.

- Oto brazylijski region Mato Grosso - zaczął Hawke. - Ostatnio miałem nieszczęście spędzić mnóstwo czasu w tej okolicy pokrytej tropikalną dżunglą. To prawdziwe epicentrum narastającej działalności terrorystycznej w Ameryce Łacińskiej. W Mato Grosso działają ogromne jednostki lewicowej armii partyzanckiej, w której skład wchodzi narkoterroryści, gangi przestępcze i międzynarodowi terroryści islamscy.

Ktoś podniósł rękę. Alex rozpoznał znanego reportera CNN Hardy'ego Portera.

- Na jakiej podstawie pan to mówi, komandorze Hawke? Od kiedy islamskie ugrupowania terrorystyczne działają w Ameryce Łacińskiej?

- Od 1983, kiedy założył tam swoją bazę Hezbollah. Byli to szyici finansowani, zbrojeni i szkoleni przez irańskich Strażników Rewolucji. Brazylijskie dżungle słusznie uważano za idealne miejsce zarówno do zbierania pieniędzy na dżihad, jak i szkolenia rekrutów ze wsi. Plan polegał na wcielaniu siłą indoktrynowaniu i szkoleniu uzbrojonych nastoletnich bandziorów, z których formowano armię bezlitosnych wojowników. I ten plan się powiódł.

- Twierdzi pan, że takie obozy naprawdę istnieją?

- Widziałem je na własne oczy. Żyłem w nich przez kilka miesięcy, budując drogę jako niewolnik. Ci dżihadyści pochodzą z rozmaitych grup narkopartyzanckich i przestępczych. Szeregowi żołnierze to zwykli wieśniacy, zwabieni obietnicą dużych pieniędzy albo tanich narkotyków. Ale oficerowie, których widziałem, to głównie Arabowie i Chińczycy.

- Dżihadyści? Nigdy nie słyszałem tego określenia.

- Sam je wymyśliłem - odparł Hawke, powstrzymując się od uśmiechu, kiedy rozległy się stłumione chichoty.

- Jak to się pisze? - zapytał reporter CNN.

Hawke przeliterował. Podniosła się kolejna ręka.

- Szejkwowie w dżungli? - zapytał dziennikarz. Z sektora mediów dobiegły kolejne parsknięcia śmiechu. - Myślałem, że wolą wojnę na pustyni.

- Wielu uciekło do amazońskiej dżungli po wojnie domowej w Libanie na początku lat siedemdziesiątych. Kiedy Osama bin Laden odwiedził Brazylię w dziewięćdziesiątym dziewiątym, poświęcił sporo czasu na budzenie ducha wśród wiernych. Uruchomił komórki terrorystyczne i zostawił tam swoich oficerów, którzy nimi dowodzili. W następnych latach owe komórki błyskawicznie się rozwijały. Jednym z oficerów, których Osama zostawił wówczas w Brazylii, jest niejaki Muhammad Top. Mam powody przypuszczać, że dziś stanowi on zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Przystojna prezenterka z sieci Fox News zapytała:

- Ale dlaczego akurat Amazonia?

- Bo to potężny niekontrolowany obszar. Prawo jest tam egzekwowane słabo bądź wcale. Amazonia to śmiertelna mieszanka biedy, nielegalnej działalności, pozbawionych majątku plantatorów kakao i partyzantów, a do tego wojska albo nie ma tam w ogóle albo jest, ale kiepsko uzbrojone. W rezultacie wielu młodych ludzi bardzo chętnie zaciąga się do takiej partyzantki. Dla terrorystów Amazonia to raj na ziemi. Bin Laden natychmiast to zrozumiał.

- A ci terroryści, do których pan tam dotarł, komandorze, planują ataki na Rio, Buenos Aires czy może na Bogotę?

- Wszystko jest możliwe. Muhammad Top uważa się za współczesnego wyzwoliciela, który uwolni Amerykę Południową z jankeskich oków. W tym celu gromadzi armie i szkoli je bez wytchnienia w obsłudze broni najnowszej generacji. Ataki na wymienione stolice są możliwe. Podobnie jak atak na Stany Zjednoczone.

- Znów broń masowego rażenia, komandorze? - spytał Hardy Porter z CNN tonem aż kapiącym od sarkazmu. - Nie chciałbym, żeby powtórzyła się sytuacja z Iraku.

- Za to nie mogę ręczyć. Nie widziałem broni masowego rażenia na własne oczy. Ale nie byłbym zdziwiony, gdyby okazało się, że ją mają. Dysponują nieograniczonymi środkami i mogą kupować wszystko, czego nie są w stanie sami zbudować.

- Jak te armie przemieszczają się, nie zwracając niczyjej uwagi? - zainteresował się któryś z generałów lotnictwa.

- W ukryciu, generale. Korony drzew kryją ich przed oczami ciekawskich. Potężna siła niewolnicza buduje strategiczną magistralę wojskową. Może ona sięgać nawet Ameryki Środkowej, a docelowo aż do Meksyku. Ta autostrada pozwoli im transportować ludzi i materiały. I da dostęp do południowej granicy Stanów Zjednoczonych.

- Widział pan plany tej autostrady?

- Nie, ale zbudowałem jej kawałek.

Kolejne pytanie zadała jasnowłosa dziennikarka z CBS.

- Komandorze Hawke, czy ma pan jakiś dowód tej rzekomej zмовy krajów Ameryki Łacińskiej przeciwko Ameryce?

- Tak się składa, że mam - odparł Alex. - Następny slajd poproszę.

Na monitorach pojawiły się podwodne zdjęcia Stokely'ego, na których widać było rosyjskie rakiety znalezione na pokładzie zatopionego samolotu.

- Te zdjęcia zrobiono trzy dni temu na Dry Tortugas we wraku samolotu leżącego piętnaście metrów pod wodą. Rakiety przewożono z Kuby, gdzie zostały kupione, do bazy lotniczej pod Caracas w Wenezueli.

- Chavez kupuje je od Fidela?

- Tak. Wenezuela kupuje broń od Castro, który z kolei kupuje ją bezpośrednio od Rosjan.

- Skąd pan to wie, komandorze Hawke?

- Od oficera wenezuelskiego wywiadu, który kupił te rakiety na Kubie.

- Co Wenezuela ma zamiar zrobić z tymi raketami?

- Jak mówiłem, każdy południowoamerykański watażka uważa się za nowego Simona Bolívara. Chavez chce zjednoczyć Amerykę Łacińską. Z moich źródeł wynika, że ma powiązania z komórkami terrorystycznymi w Brazylii. Jego głównym celem jest jednak wchłonięcie Kuby.

- Co?! Może pan to powtórzyć?

- Kuba jest zadłużona po uszy u Wenezueli. Chavez ruszy, żeby ją zająć, kiedy tylko skończy się pogrzeb Fidela.

W górę poszybował las rąk.

- Komandorze Hawke, czy naprawdę sądzi pan, że Chavez stanowi realne zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych?

- Chavez robi wszystko, żeby upokorzyć jankeskich imperialistów. Wenezuela wydaje miliardy na zbrojenia. Kupuje od Rosjan śmigłowce, okręty podwodne i nowoczesne myśliwce, a dzięki tajnym porozumieniom z Castro sprowadza tysiące kubańskich specjalistów, którzy doskonale znają rosyjski sprzęt. Chavez to dla Fidela spełnione marzenie o bogatym wujku.

- Mamy więc rosyjskie rakiety do niszczenia statków, które mogą być przenoszone przez rosyjskie myśliwce. Ale do kogo Chavez będzie strzelał?

- W razie wojny Wenezuela i jej sojusznicy wykorzystają tę broń, by zablokować dostawy ropy do Stanów Zjednoczonych przez Zatokę Meksykańską.

- W razie wojny.

- Tak. Wenezuelska armia wciąż ćwiczy gry wojenne ze Stanami Zjednoczonymi w roli głównej.

- Wenezuela, Meksyk, wszyscy ustawiają się frontem przeciw nam. Południe kontra północ. Tak pan uważa?

- Najbardziej niepokoi mnie to, że Chavez wspomaga dżihadystów. Wykorzysta ich jako test słabości naszego kraju, a dopiero potem zaatakuje w Zatoce Meksykańskiej. Jeśli uda się partyzantom z dżungli... Proszę kolejne pytanie.

W auli zapadła cisza. Po raz pierwszy ktoś powiedział głośno coś, o czym wielu słyszało i myślało prywatnie. Że wojna na południowej półkuli jest możliwa. Że islamscy terroryści mogą się okazać skorymi do walki sprzymierzeńcami antyamerykańskiego ruchu w całej Ameryce Łacińskiej.

Wreszcie wstał zażywny dziennikarz, były amerykański mistrz Wimbledonu nazwiskiem Clak Greabner, i powiedział:

- Nie znam pana, komandorze Hawke. Mogę tylko wierzyć na słowo pani sekretarz, że jest pan wiarygodny i kompetentny. Ale pewnie nie wie pan, że nasza marynarka jest mocno rozproszona. Tak jak nasza armia lądowa. Brakuje nam nawet Gwardii Narodowej, żeby rozdzielać psy gryzące się na ulicach. A pan tu przychodzi i uwalnia nowego dzina z butelki, mówiąc o tych nedorzecznych komórkach terrorystycznych i brazylijskich grach wojennych. Jakbyśmy nie mieli dość kłopotów z cholernym Irakiem. Pytam więc, co ma pan do powiedzenia na ten temat, komandorze Hawke?

Alex popatrzył na zaczerwienionego od emocji dziennikarza i odparł:

- Cóż, powiem, że Stany Zjednoczone znalazły się między irackim młotem a latynoskim kowadłem.

Homer sięgnął do drabinki pożarowej i zacisnął palce na zimnym metalu najniższego szczebla, ale zawahał się przed szarpnięciem. Teoretycznie drabinka powinna bez trudu zjechać w dół, lecz ta akurat była pokryta brudem i rdzą. Mogła piszczeć jak potępieńiec,

gdyby ją pociągnął.

Musiał coś zrobić. Palacz w oknie na górze wyrzucił niedopalek już dziesięć minut temu.

Czy facet wciąż tam siedzi, czy już nie? Nie zapalił kolejnego papierosa, może więc wyszedł na chwilę pooddychać nocnym powietrzem.

Cholera, zimno było jak w psiarni. Homer, przemarznięty do szpiku kości, tęsknił za potężną nagrzewnicą w radiowozie. Dobrze, że pamiętał przynajmniej o rękawiczkach.

Już dwa razy obszedł cały budynek, szukając innej drogi wejścia, z tyłu znajdowały się wysokie drzwi, ale były zabite ciężkimi sztabami z aluminium i zamknięte na kłódkę. Wygięte od wielokrotnego podważania, wyglądały jak spieczone brzegi ciasta wyjętego z piekarnika. Pod stertą śmieci Homer znalazł łyżkę do opon. Pewnie za jej pomocą próbowano wyważać drzwi.

Nie było sensu próbować i teraz narobiłby tylko hałasu. Ale łyżkę do opon zabrał ze sobą na wszelki wypadek. A nuż się przyda?

Do diabła z łyżką. Trzeba spróbować z drabinką. Pociągnął ostrożnie za najniższy szczebel.

Zgrzyyyyyyt.

Cholera!

Zgrzytliwy dźwięk był krótki i niebyt głośny, ktoś jednak mógł go usłyszeć. Homer czekał z mocno bijącym sercem, aż ktoś z góry krzyknie albo oświetli go latarką i strzeli. Na szczęście nic takiego się nie stało.

Może nikt w środku nie usłyszał zgrzytającej drabinki.

A może w środku nie było nikogo, kto mógłby cokolwiek usłyszeć.

Znów spojrzął na przeżartą rdzą drabinkę. Nie, lepiej jej nie ruszać. Rozejrzał się po placu porośniętym chwastami, szukając czegoś, na czym mógłby stanąć i sięgnąć do pierwszego podestu bez rozsuwania drabinki. Wystarczyłaby beczka lub kilka drewnianych skrzyń.

Niestety nie zauważył niczego takiego.

Na obrzeżach placu, pośród chwastów, leżały rozmaite śmiecie. Kawalek dalej, za ogrodzeniem z drutu kolczastego, stało kilka ciężarówek i naczep z lat pięćdziesiątych. Może tam znajdzie coś przydatnego? Krok po kroku sunął wzdłuż ściany budynku w stronę drutu kolczastego otaczającego podwórko.

Za najbliższą naczepą leżało kilka metalowych beczek. Wystarczy ustawić je jedna na drugiej i wszystko będzie cacy. A jeśli zdoła oderwać trochę tego drutu z płotu, będzie mógł

potoczyć beczki do drabinki tak cicho, że nikt się nie orientuje.

Podbiegł do ogrodzenia i przycupnął w krzakach. Obejrzał się do tyłu na ceglany budynek. W oknach na górze nic się nie działo żadnych świateł, żadnych dźwięków. Łapał kołki, na których rozciągnięty był drut, i ciągnął. Wychodziły gładko. Tylko dwa czy trzy przegniłe ułamały się na poziomie ziemi. Podniósł się i wrócił na opuszczony śmietnik.

Do beczek przy naczepie miał jakieś sześć metrów.

Sięgnął po latarkę i włożył ją do pierwszej beczki. Na dnie było jakieś trzydzieści centymetrów czarnej mazi. Stara ropa albo coś gorszego, bo cuchnęło. Dwie kolejne beczki były puste, choć dno jednej z nich przeżarła rdza. Ale co tam, nadadzą się doskonale. Gdy ustawi je jedna na drugiej, sięgnie do platformy na schodkach przeciwpożarowych.

*

Coś usłyszał. Obrócił głowę, spoglądając w stronę fabryki. Nie, to gdzieś bliżej. I nie był to dźwięk wydany przez człowieka. Jakieś piśnięcie. Pewnie szczury.

Popatrzył na starą naczepę ozdobioną wyblakłym, ale wciąż czytelnym napisem „Tequila Mockingbird”. Tylne drzwi były obwiązane łańcuchem z wielką zardzewiałą kłódką. Po co zamykać na kłódkę pustą naczepę i zostawiać ją potem na dwadzieścia lat?

O co tu chodzi, u licha?

Homer wsunął łyżkę do opon między rączki metalowych drzwi naczepy i przekręcił ostrożnie, żeby nie narobić hałasu. Nie drgnęły, więc szarpnął mocniej. Kłódka, choć zardzewiała, ani myślała puścić. Wsunął ostry koniec łyżki pod róg stalowych drzwi i próbował wyważyć je do góry. Ustały o dwa-trzy centymetry.

Odłożył łyżkę, znów włączył latarkę i pochylił się, żeby zajrzeć do naczepy.

Ciemno choć oko wykol. Ale zauważył niebieską poświatę nieba. Więc część dachu naczepy zniknęła. Pewnie przerdzewiała. Z boku dostrzegł małą drabinkę. Wyglądało na to, że go utrzyma. Wyłączył latarkę i włożył z powrotem za pas.

Co tam, wdrapie się na tę starą naczepę, a potem zobaczy, co się dzieje w budynku, w którym zniknął Yankee Slugger.

Był w połowie drabinki, kiedy usłyszał czyjś krzyk:

- Kto tam? To teren prywatny! Mam broń i nie zawaham się jej użyć, łachudro. Już do ciebie idę. - Głos był szorstki i jakby znajomy. Czy to palacz z góry? Najprawdopodobniej.

Szedł przez otwartą przestrzeń z boku budynku. Też miał latarkę, a potężny snop jej światła omiatał ziemię wielkimi łukami. Za chwilę się orientuje, że ktoś jest na śmietniku.

Homer już miał krzyknąć: „Policja! Rzuć broń!”, ale był w niezręcznej sytuacji. Kurczowo trzymał się drabinki, a facet wyglądał na takiego, co najpierw strzela i dopiero

później zadaje pytania. Albo w ogóle o nic nie pyta.

Mógłby zeskoczyć i stawić czoło temu gościowi, ale coś podpowiadało mu, że to kiepski pomysł. Uznał, że nie ma wyjścia i musi wchodzić dalej. Stanął na najniższym szczeblu, sięgnął do najwyższego, jaki mógł chwycić, i szybko wdrapał się na górę. Dotarł na szczyt drabinki tuż przed tym, nim uchwyciło go światło latarki.

- Stop! Nie ruszaj się! Jeden ruch i zginiesz.

Homer obrócił głowę, ale widział tylko oślepiające białe światło.

- Nie ruszam się. Jestem funkcjonariuszem policji. Odlóż broń.

Rozległ się strzał i kula świsnęła Homerowi koło ucha.

- Następną nie chybi - zapewnił mężczyzna na dole. - Rzuć broń, to ci opowiem, co robimy w Gunbarrel z takimi, którzy naruszają prywatną własność.

Homer sięgnął do pasa, ale nie zdążył wyciągnąć broni.

Kolejny pocisk trafił go w lewą rękę i niemal zrzucił z drabinki. Zdołał jednak ustać, przytrzymując się drabinki prawą ręką. Był już na ostatnim szczeblu. Mógł zostać na drabince i czekać na kolejną kulę albo zeskoczyć na ziemię.

Uznał, że musi wejść na samą górę i przeskoczyć do naczepy. Teraz, póki jeszcze może.

Zanim skoczył, zrozumiał, dlaczego do naczepy wpadała księżycowa poświata. Dach przerdzewiał, ale wewnątrz było do połowy czymś wypełnione. Czymś, co połyskiwało niebieskawo w świetle gwiazd i wyglądało na kije.

Kolejna kula zabręczała mu nad głową.

Rzucił się do przodu i spadł do naczepy.

Wylądował na szczycie połyskujących kijów. Próbując wstać, wziął jeden z nich do ręki i zorientował się, że wcale nie siedzi na stercie kijów.

To nie były kije.

To były kości.

- Czy on nas widzi? - zapytał Saladin Hassan. On i Harry patrzyli z ukrycia, jak robot

bojowy zbliża się po moście.

- Boże, mam nadzieję, że nie. Nie wychylaj się - odparł Harry, sam próbując stać się niewidzialnym. - Przestań się wiercić! On reaguje na ruch!

- Szukam Capariny - wyjaśnił Saladin.

- Masz rację. Jeśli udało jej się przejść na drugą stronę i żyje, wydostaniemy ją. Jak noga?

- Boli jak cholera.

- Kula to bolesna rzecz.

Troll zbliżał się do końca mostu. Nie widząc celów, przestał strzelać. Harry przyglądał się wysokiemu, osłoniętemu peryskopowi z obiektywem kamery, który łapał to w jedną, to w drugą stronę, szukając, co by tu zabić. Pomyślał, że w tej maszynie jest coś przerażającego. Przypominała mu stwory z *Wojny światów*, które ściagały uciekających ludzi przez pola.

- Jak ten cholerny czołg nas minie - powiedział do Hassana - na trzy wskoczysz mu na pancerz.

- Ale on jedzie nie w tym kierunku.

- Zaufaj mi.

Jednooki troll był już o trzy metry od nich.

- Zaczekaj, aż cię minie! Gotów? Dobrze, zaczynamy. Raz... dwa... trzy! Dawaj!

Saladin dał kilka długich susów, złapał za jeden z uchwytów i wgramolił się na pancerz.

- Masz jakiś plan, Harry? - zapytał.

- Stanę przed tym sukinsynem. Niech to złe oko mnie zobaczy. Ma całkiem spory kąt widzenia. Kiedy kamera zacznie się obracać i mnie namierzać, zakryj rękami obiektyw.

- Jedziemy nie w tę stronę - przypomniał mu Saladin.

Pojazd poruszał się z prędkością niespełna dziesięciu kilometrów na godzinę, w trybie poszukiwawczym, więc Harry bez trudu dotrzymywał mu kroku. Trudniej było unikać zarośli.

- Będziemy improwizować - odparł.

- To znaczy?

- Kiedy straci wzrok, powinien się zatrzymać - wyjaśnił Harry. Biegł równo z Saladinem i nawet się nie zdyszał.

- Skąd to przypuszczenie?

- A co innego może zrobić?

- Racja.

- Dlaczego szepczesz?

- A jeśli on nas słyszy?

Harry był prawie pewien, że ten, kto kontroluje trolla, nie słyszy, co się dzieje na pancerzu. Czołg był zaawansowany technologicznie, ale nie aż tak. Zresztą gdyby troll ich słyszał, już by nie żyli.

Dał Saladinowi znak kciukiem i puścił się sprintem przed siebie. Hassan przesunął się na pancerzu, by móc sięgnąć ręką do obiektywu.

- Gotów? - zapytał Harry przez ramię.

- W porządku - odkrzyknął Saladin. - Możemy zaczynać.

Harry wyskoczył z prawej strony przed czołg. Obaj mężczyźni czekali, aż obiektyw obróci się w kierunku, w którym stał.

Karabiny plunęły ogniem sekundę wcześniej, nim obiektyw zakończył obrót. Oznaczało to, że to rybie oko miało znacznie większy kąt widzenia, niż wydawało się Harry'emu.

Strzały nie cichły, ale on już zdążył zanurkować. Teraz biegał z prawej na lewo, a zsynchronizowane z kamerą karabiny śledziły go, plując ogniem. Z gęstych zarośli po prawej zostały tylko dymiące strzepy. Harry rzucił się w zarośla po przeciwnej stronie w chwili, kiedy Saladin zakrył dłonią obiektyw, oślepiając robota.

Karabin natychmiast przestał strzelać, ale czołg nadal parł do przodu.

- Nie zatrzymuje się - stwierdził Saladin, gdy troll przejeżdżał koło Harry'ego.

- Zatrzyma się - uspokoił go Harry.

- Nie sądzę.

- Powinien stanąć lada chwila.

- No, nie...

Robot nagle wyhamował, ale siła rozpędu sprawiła, że sunął jeszcze kawałek po brązowym błocie.

- I co teraz? - spytał Saladin.

- Zabawa w chowanego. Zakrywaj mu obiektyw, dopóki nie powiem „gotów”. Ja zacznę wycofywać się w stronę mostu. Będę głośno odliczać od dwudziestu, a kiedy dojdę do pięciu, zdejmiesz rękę z obiektywu. Kamera zorientuje się w terenie. Pewnie wykona pełny obrót i dopiero potem czołg ruszy za mną. Wtedy znów powiem „gotów” i wyskoczę na środek szlaku, żeby mógł mnie znaleźć.

- Zdaje się, że ta maszyna jest dwukierunkowa.

- To znaczy, że jeździ w obie strony? Mów po ludzku.

- Czy wszyscy amerykańscy szpiegowie są tacy porażeni jak ty?

- A kto powiedział, że jestem szpiegiem?

- Chryste, Harry. Trolle jeżdżą w obu kierunkach. Po prostu zmienia się kierunek napędu gąsienic. Gotów?

- Tak.

- Dwadzieścia... dziewiętnaście... osiemnaście... siedemnaście... - odliczał Harry, przedzierając się przez gęste zarośla w kierunku mostu.

- Pięć! - Padł na brzuch i zniknął w zaroślach.

Saladin zdjął rękę z obiektywu. Kamera na peryskopie zaczęła obracać się nad jego głową.

- Gotów! - krzyknął Harry i stanął pośrodku szlaku, jakieś sto metrów przed mostem.

Saladin zobaczył, że troll zmienił kierunek napędu gąsienic i zaczął jechać w stronę mostu.

- Uważaj! - wrzasnął.

Sekundę później obiektyw odszukał Harry'ego i karabiny maszynowe otworzyły ogień, wzbijając w powietrze chmurę czarnej ziemi.

Harry udał, że biegnie w lewo, po czym pochylił się, przesunął w prawo i znów się wyprostował. Kamera zatrzymała się i natychmiast znów skierowała na niego. Powtórzył swój zwód - tym razem udał, że skacze w prawo, ale przesunął się w lewo, by zmylić robota. Aż śmiał się w duchu, wyobrażając sobie, jak musi wkurzać człowieka, który sterował czołgiem.

Ku zaskoczeniu Saladina pomysł się sprawdzał. Harry nie został ranny, a troll był coraz bliżej mostu.

Przy wejściu na most Brock zatrzymał się i odwrócił twarzą do nadjeżdżającego czołgu.

- Mam go oślepić? - zawołał Saladin.

- Zaczekaj! - odkrzyknął Harry. - Dopiero kiedy się na mnie ustawi.

- Postrzeli cię!

- Mam na to sposób - odparł Harry. Nie musiał już krzyżeć, bo troll był bardzo blisko. Widział, że jeszcze chwila i dostanie się w pole widzenia.

Kamera i milczące karabiny obracały się w jego kierunku, ale stał nieruchomo, uśmiechając się do Saladina.

Jeszcze półtora metra. Obiektyw prawie go namierzył.

Metr dwadzieścia.

Metr.

- Teraz!

Saladin zakrył obiektyw.

- Zejdź z drogi, do cholery! - wrzasnął.

- Odsłoń obiektyw! - polecił Harry.

W chwili kiedy Saladin cofnął dłoń, uśmiechnął się do kamery i dał nura na ziemię, dokładnie pod nadjeżdżający czołg.

- Harry! - krzyknął Saladin. Ale Brock zniknął pod czołgiem.

Rozpląszczył się na ziemi z rękoma przyciśniętymi do boków. Klekoczące gąsienice minęły go po jakieś dwadzieścia centymetrów z każdej strony. Szerokości wystarczyło, ale czy prześwit jest dostateczny? A jeśli czołg ma niską misę olejową albo jakąś inną wystającą część? Cholera. Zamknął oczy i czekał. Wszystko trwało zaledwie kilka sekund, ale czas jest pojęciem względnym, kiedy leży się pod czołgiem.

W końcu troll z Saladinem na tylnym pancerzu minął go i wtoczył się na most.

- Harry! Nic ci nie jest? - zapytał Hassan.

Brock poderwał się na nogi, otarł błoto z twarzy i puścił się sprintem w pogoni za czołgiem. Saladin wyciągnął rękę.

Harry chwycił ją przytrzymał się uchwyty i wciągnął się na pancerz.

- Moje gratulacje - powiedział Saladin, kiedy już obaj ułożyli się poniżej kamery. - Należą ci się.

- No cóż. Jestem zawodowcem - odparł Harry. - Ale lepiej nie próbuj tego w domu.

44

Key West

Słońce wisiało nisko na wieczornym niebie. Franklin W. Dixon podszedł do okna z widokiem na morze, oparł ręce o szybę i zaczerpnął haust chłodnego powietrza. Słona bryza drażniła mu nozdrza. Wciąż nie mógł przywyknąć do tego zapachu. Nie, żeby mu przeszkadzała. Rozumiał, że można polubić życie nad wodą. W takim małym domku na palach, jakie widział w zaroślach mangrowca, z łódką przywiązaną do werandy.

Daisy wyszukała mu najtańszy hotel, ale za to tuż nad morzem. Byłoby tu cicho i

spokojnie gdyby nie wielki neon, który wisiał nad jego oknem.

Zielony Pelikan. Co kilka sekund wielki neonowy ptak bzyczał i trzepotał podświetlanymi skrzydłami, zalewając pokój zielonkawą poświatą. Pstryk, trzask i neon gasł. A po trzech sekundach znów się zapalał. I tak całą noc.

Gdyby Key West nie było luksusowym kurortem, można by uznać ten hotel za podrzędny. Ale z narożnego pokoiku na najwyższym piętrze Zielonego Pelikana Dixon mógł podziwiać panoramę zatoki i kilka małych wysepek w oddali. Były porośnięte sosnami i upstrzone masztami radiowymi, na których szczytach błyskały czerwone lampki.

Po falującej wodzie śmigały motorówki i żaglówki wszelkiej maści. Wysoki statek pełen ludzi pracujących na pokładzie płynął tuż pod hotelem. Jego żagle wyglądały jak skąpane w płynnej miedzi.

Wielki stary szkuner płynął tak blisko, że miało się wrażenie, iż wystarczy sięgnąć, by go dotknąć. Na pokładzie rozbrzmiewał szlagier Jimmy'ego Buffetta. Franklin zaczął stukać obcasem w rytm muzyki i zaśpiewał: „Zobacz, kto zawinął do Margaritaville!”

Zabawne, tak właśnie wyobrażał sobie scenę z tej piosenki, kiedy pierwszy raz ją usłyszał. A z doświadczenia wiedział, że nie wszystko wygląda tak, jak sobie człowiek wyobraża.

Z innego okna mógł patrzeć na kolorową Duval Street. Po chodnikach przelewały się tłumy ludzi zajętych kupowaniem pamiątek albo idących do barów i fast foodów. O zachodzie słońca na Key West panował spory ruch. Wszystko to wyglądało naprawdę pięknie.

Dixon włączył telewizor, rozparł się wygodnie w bujanym fotelu i wyprostował nogi na różowym dywanie, który śmierdział tytoniem i rozlaną whisky. Zesztywniał od siedzenia na składanym krzeselku podczas konferencji. To był długi dzień, lecz cieszył się, że tu przyjechał. Jutro powie, co ma do powiedzenia, i wróci do domu.

W telewizji ciągle mówili o Meksyku, ale nie usłyszał niczego nowego. Dobra wiadomość była taka, że ci z Waszyngtonu zaczęli poważniej traktować kryzys na granicy. Prezydent skierował tam dodatkowe sześć tysięcy członków Gwardii Narodowej, by pomogli Straży Granicznej w opanowaniu incydentów. Franklin, który dobrze znał wielu pograniczników, wiedział, że byli do cna zmęczeni i naprawdę potrzebowali wsparcia.

Boże, miej ich w opiece, jeśli zrobi się jeszcze gorzej, pomyślał.

Na stoliku przy łóżku miał butelkę dobrego burbona. Spojrzał na nią, ale nie chciało mu się wstać i nalać sobie szklaneczkę. Od rozmowy z Daisy jakieś dziesięć minut wcześniej czuł się dziwnie przygaszony. Nie był przyzwyczajony do samotności.

„Śpij słodko, póki słońce cię nie zbudzi”.

Tak powiedziała Daisy, nim odłożyła słuchawkę. W domu to samo mówiła mu co wieczór przed snem. „I zostaw za sobą problemy” - dodawała na koniec.

Tęsknił za nią tak bardzo, że aż bolało go serce.

Obudził się i uświadomił sobie, że musiał zdrzemnąć się w fotelu. Za oknem było już ciemno i deszcz zacinał do środka. Żaluzje łopotwały na wietrze tak, że omal nie zerwały się z uchwytów. Wstał, by pozamykać okna, ale uświadomił sobie, że to nie wiatr go obudził. Na stoliku przy łóżku dzwonił telefon. Podniósł słuchawkę, zastanawiając się, kto poza Daisy mógłby do niego dzwonić.

- Szeryf Dixon - przedstawił się odruchowo.

- Szeryfie! Tak się cieszę, że pana dorwałam! Boże, nie uwierzy pan w to, co powiem!

Dzwoniła June Weaver, telefonistka z ratusza. Mówiła, jakby była zdyszana.

- Po dwóch dniach na Key West uwierzę chyba we wszystko - odparł.

- Co się dzieje?

- Wie pan, że dziś mój syn Travis miał ważny mecz futbolowy? Play ort' w mistrzostwach stanowych.

Zapomniał o tym, ale potwierdził:

- Tak, wiem.

- Jechałam po meczu, nikomu nie wadząc, sam pan zresztą wie najlepiej. I zobaczyłam, naprawdę zobaczyłam, że...

- Spokojnie, June. Mówisz, jakbyś miała za chwilę paść na atak serca. Gdzie jesteś?

- W domu. Właśnie wbiegłam.

- Usiądź, odetchnij i powiedz mi, co widziałaś.

- No dobrze. Wracałam do domu autostradą. Zobaczyłam, że po prawej coś się rusza. Tam, gdzie rzeka ma taki dziwny zakręt. Wie pan, gdzie nikt nie powinien chodzić, jeśli nie ma do tego prawa.

- Wiem gdzie. Nie było tam Straży Granicznej?

- Nie, szeryfie. No to zwołam, żeby się przyjrzeć. W pierwszej chwili myślałam, że jakieś wielkie ciężarówki przejeżdżają przez rzekę. Ale przecież to nie miało sensu. Zatrzymałam się i wysiadłam z wozu. Na szczęście miałam kamerę wideo na przednim siedzeniu, bo wcześniej kręciłam mecz syna. Zabrałam ją na wszelki wypadek, wie pan, jakby trafiło się coś ciekawego.

- I co to było, June?

- Co to było?

- Tak, co to było.

- Meksykańska armia w wojskowych hummerach przejeżdżała przez Rio Grande.

Dixon wziął głęboki oddech.

- Skąd ci to przyszło do głowy, June?

- Wiem, jak oni wyglądają, szeryfie. Kilka lat temu byłam z panem w Laredo, kiedy dostał pan to meksykańskie odznaczenie. Ci ludzie mieli mundury meksykańskiej armii i byli uzbrojeni po zęby. No i jechali w hummerach armii meksykańskiej.

- Widzieli cię?

- Skąd! Przedzierałam się przez krzaki. Ale wie pan co, szeryfie? Mam to na kasecie! Wszystko sfilmowałam. Właśnie obejrzałam kasetę. Widać wszystko jak na dłoni. Przysięgam.

- Komu o tym mówiłaś, June?

- Nikomu, szeryfie. Przyjechałam do domu i od razu zadzwoniłam do pana. Wcześniej zdążyłam tylko wrzucić kurczaka do mikrofalówki. Po tym wszystkim strasznie zgłodniałam.

- Dobrze, June. A teraz posłuchaj. Zrób dokładnie to, co ci powiem. Zjedz kurczaka, a potem wróć do miasta i nadaj mi tę kasetę kurierem. Masz coś do pisania? Wyślij ją do hotelu Zielony Pelikan, Duval Street 11, Key West. Tak, żeby dotarła do mnie jutro przed wpół do jedenastej. Zapisalaś adres?

- Tak.

- Świetnie. I nikomu ani słowa, dopóki się do ciebie nie odezwę. Rozumiesz?

- Tak jest.

- Dobrze. Zadzwonię do ciebie, kiedy tylko dostanę przesyłkę.

- To coś bardzo ważnego, prawda?

- Być może. Gratulacje za czujność i odwagę. Dobranoc, June.

Odłożył słuchawkę i popatrzył w podłogę. Wydarzenia rozwijały się coraz szybciej. Czuł się jak w oku jednego z tych słynnych cyklonów przechodzących nad Key West. Kasetą June wywróci całą konferencję do góry nogami. Jego wystąpienie zostało zaplanowane na jutro tuż po lunchu. Ale daruje sobie czczą paplaninę. Zamiast tego pokaże nagraną przez June inwazję meksykańskich żołnierzy. Podobno obraz wart jest tysiąca słów.

Usiadł w fotelu i zdał sobie sprawę, że jest głodny. Na obiad zjadł jakieś fikuśne paluszki i bardzo kiepską quesadillę z krewetkami. Marzył mu się hamburger, niezbyt wypieczony, i frytki. Nie mówiąc o zimnym piwie. Albo i dwóch.

Wstał i zdjął z wieszaka brązową skórzaną kurtkę. Zarzucił ją na ramiona, włożył kapelusz i zaczął szukać portfela. Sprawdził nawet pod koszulami w bielizniarce, aż w końcu

przypomniawsobie, że położył go pod poduszką kiedy rozmawiał z Daisy, leżąc na łóżku. Ostrzegawsobie go, że w takich miejscach jak Key West trzeba pilnować pieniędzy. Daisy nigdy tu nie była, chyba tylko raz w życiu wyjechała z Teksasu, ale pewnie miała rację. Zwykle miała rację. Włożył portfel do tylnej kieszeni dżinsów, zamknął drzwi i zszedł na dół.

W hotelowym lobby siedział jakiś mężczyzna, którego Franklin pamiętał z konferencji. A właściwie pamiętał jego garnitur - biały i wygnieciony - i błyszczące czarne buty. Zresztą twarzy i tak nie widział, bo zasłaniała ją gazeta, którą mężczyzna czytał. „Key West Gazette”. Franklin przejrzał tę gazetę i wiedział, że zawierała tam głównie ogłoszenia o sprzedaży i kupnie nieruchomości oraz oferty pracy. Dziwne, pomyślał. Facet nie wyglądał na kogoś, kto chce kupić dom albo szuka zatrudnienia.

- Witam - rzucił grzecznie, wychodząc, ale mężczyzna nawet na niego nie spojrzał.

Kiedy znalazł się na ulicy, poczuł się trochę dziwnie, jakby brał udział w jednym z czarno-białych filmów szpiegowskich z okresu wojny.

Niesamowite, jakie niespodzianki potrafi człowiekowi zgotować życie. Nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek znajdzie się na Key West. U siebie w domu, nawet z ludźmi, których nie znał zbyt dobrze, mógł pogadać o tym czy o tamtym. Wszyscy ubierali się podobnie, rozmawiali o podobnych sprawach i byli spokrewnieni - albo więzami krwi, albo przez małżeństwa.

Tutaj wszyscy byli obcy.

Lecz, jak mawia Daisy, obcy to też ludzie.

A Daisy zwykle ma rację.

45

Margaritaville pełna była interesujących typów. Wystarczyło przejść się Duval, by trafić na więcej dziwaków na jednej przecznicy, niż można spotkać w Prairie przez całe życie.

Kiedy Dixon dotarł do tętniącej życiem kafejki na rogu ulic Duval i Greene, przed wejściem zobaczył kilka harleyów, a ze środka usłyszał całkiem niezłą muzykę. Wyglądało na to, że tu można się schronić przed deszczem i zjeść przyzwoitego cheeseburgera.

Podobała mu się nazwa - Sloppy Joe - więc czym prędzej wszedł do środka. Szukał jakiegoś miejsca, gdzie mógłby powiesić skórzaną kurtkę, ale nie znalazł. W kurtkach się tu raczej nie chodziło. Tym bardziej w kowbojskich.

Jak na Key West było jeszcze stosunkowo wcześnie, więc udało mu się znaleźć wolny stolik w samym rogu. Spojrzał na kelnerkę, a gdy ta skinęła głową, ruszył do narożnego stolika. Na scenie jakiś gość, ubrany w dżinsy i kowbojskie buty, śpiewał kawałek Jerry'ego Jeffa Walkera. Piersiasta kelnerka podeszła do stolika i podała Franklinowi menu.

- Na co mamy ochotę? - zapytała z uśmiechem.

Na plakietce miała wypisane imię: „Savannah”. Zamówił coś, co w karcie opisano jako „Burger Emiego, niezbyt wypieczony”.

- Kto to jest Emie? - spytał. - Właściciel?

Savannah spojrzała na niego, jakby żartował, ale on pytał poważnie. Zaproponowała frytki Conch, co brzmiało smakowicie, więc się zgodził. Do tego zimna corona w chłodnej szklance. Kelnerka mrugnęła do Franklina, powiedziała, że podoba jej się jego kapelusz, i zniknęła w tłumie.

Siedział, nie wadząc nikomu, popijając piwo i słuchając *Deszczu na wzgórzach* Jerry'ego Jeffa, kiedy ni z tego, ni z owego do stolika podszedł mężczyzna w pomiętym białym garniturze, którego mijał w hotelowym lobby. Zapytał, czy może się przysiąść.

- Czemu nie - odparł szeryf i nieznajomy usiadł.

- Szeryf Franklin W. Dixon?

- Tak.

- Eduardo Zamora - przedstawił się mężczyzna i wyciągnął rękę nad stołem. Z nadgarstka zwisały mu złote bransoletki, a z kieszeni na piersiach wystawały wielkie okulary przeciwsłoneczne. Na szyi miał luźno zawiązany krawat. Pod czarnymi wąsami błyskały białe zęby. Uśmiechał się szeroko, ale niezbyt szczerze.

Franklin uścisnął jego dłoń i spytał:

- Czym mogę panu służyć, panie Zamora?

- Oto moja wizytówka, señor. Jak pan widzi, jestem współpracownikiem meksykańskiego koncernu prasowego Los Reformos.

Franklin obrócił w palcach wizytówkę i odłożył na stół. Zauważył, że na odwrocie zapisano ołówkiem jakiś numer telefoniczny. Słyszał o koncernie Los Reformos. Był potężny i nieszczęśliwie przychylny Stanom Zjednoczonym. W ostatnich wyborach wspierał komunistycznego kandydata na prezydenta. Popierał też Chaveza.

- Czego pan chce, panie Zamora?

- Szukam tematu, szeryfie. W programie konferencji widziałem, że jutro ma pan przemawiać w imieniu Koalicji Szeryfów z Terenów Przygranicznych.

- Powiem, co mam do powiedzenia, jeśli będzie na to czas.

Zamora wyjął z kieszeni notatnik i ołówek.

- Nasi czytelnicy są ciekawi, co zamierza pan powiedzieć uczestnikom konferencji zorganizowanej przez sekretarz de los Reyes.

- Dowie się pan jutro po południu, panie Zamora.

- Chciałbym mieć newsa, señor.

- Mieszka pan w Zielonym Pelikanie, prawda? Widziałem pana w hotelowym lobby.

- Chyba mnie pan pomylił z kimś innym. Siedziałem tu, kiedy pan wchodził, szeryfie. Franklin postanowił nie drażnić tematu.

- Nie zajmę panu dużo czasu - zapewnił Meksykanin. - Nie zdziwi pana zapewne, że moi rodacy nie są zachwyceni atmosferą wokół tej konferencji. Mimo to odpowiedzialni dziennikarze, tacy jak ja, próbują przedstawić ją w sposób uczciwy i obiektywny. Nasi czytelnicy chętnie poznaliby zdanie szeryfa z Teksasu, który całą rzecz ogląda z bliska.

- O co panu chodzi?

- O walkę z niesprawiedliwością señor! Walkę o humanitarne rozwiązanie problemu bólu i cierpienia. O to, by moi uczciwi i biedni rodacy nie musieli więcej ryzykować życia tylko po to, by znaleźć pracę za grosze i utrzymać z niej rodzinę.

- Nie jestem politykiem, panie Zamora, jestem policjantem. Pańscy rodacy łamią prawo, a pański rząd ich do tego zachęca. Proszę powiedzieć swoim czytelnikom, żeby najpierw naprawili swój kraj, zanim zaczną rozwalać mój.

- Ale to nieprawda! - zachnął się oburzony Meksykanin. - Mój rząd nigdy by...

- Granica to tylko prawo zapisane na piasku - przerwał mu Dixon. - Przysięgałem tego prawa bronić, choćby nie wiem jak było kruche. A teraz przepraszam, ale zaraz przyniosą mi kolację.

Zamora się nie ruszył.

- Tak, tak, oczywiście. Ale szeryfie, krążą tu pogłoski, że zamierza pan pokazać kasetę nakręconą nad Rio Grande. Bardzo ważną kasetę. Jest w tym choć trochę prawdy?

- Coś pan powiedział?

- Kasetę wideo? Nakręcona niedawno przy granicy.

Franklin tylko na niego patrzył. Były dwie możliwości: albo June wypaplała wszystko, nim zadzwoniła do niego, albo ten *hombre* ma kumpla, który obsługuje centralkę telefoniczną w Zielonym Pelikanie. Bardziej prawdopodobna była ta druga.

- Skąd pan o tym wie?

- Ja też mam swoje obowiązki, señor.

- To niech pan wstanie jutro wczesnym rankiem i sam się przekona.

- Pana wystąpienie jest dopiero po południu.

- Może je trochę przyspieszę.

- Mogę zapłacić poważną sumę za tę kasetę, señor. Moja gazeta upoważniła mnie, żebym zaproponował panu za ten film pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Mam te pieniądze. Tutaj. Czekają w skrytce na Key West Bank przy Whitehead Street.

- Dla kogo pan naprawdę pracuje, panie Zamora?

- Już panu mówiłem. Dla Los Reformos.

- Niestety, pomylił pan adres. Rozumiem, że przywykliście do tego, że wszystko można kupić, ale próba przekupienia funkcjonariusza publicznego w tym kraju jest uważana za poważne przestępstwo. Powinien pan teraz wstać i wyjść, a ja zjem w spokoju kolację.

Pojawiła się Savannah z jedzeniem. Postawiła je przed Franklinem, a Meksykanina zapytała:

- *Uno mas Papa Dobles?*¹⁶

- Pan już sobie idzie - wtrącił się Dixon.

- *Si, uno mas.*¹⁷ - powiedział Zamora i uśmiechnął się szeroko do kelnerki. Savannah spojrzała na szeryfa, a ten kiwnął głową: OK, przynieś mu jeszcze jedno. Uznał, że lepiej zakończyć to wszystko bez awantury.

- Posłuchaj pan, panie Zamora - zaczął, nie podnosząc głosu. - Cheesburger mi stygnie. Nie wiem, kim jesteście ani co robicie. Ale wiem jedno. Nie jestem na sprzedaż. Za żadną cenę.

- Nie ma się co gorączkować, szeryfie. Obaj jesteśmy biznesmenami. Rozumiem, że jest pan rozczarowany moją wstępną ofertą. Być może nie doceniłem pana. Proszę pozwolić mi złożyć bardziej realną propozycję. Jestem gotów zapłacić sto tysięcy dolarów za tę kasetę. W gotówce.

- Masz pan problem z uszami?

- Przepraszam. Wciąż za mało, co? Może chce się pan przespać z tą propozycją? Dobrze. Zapisałem panu na odwrocie wizytówki numer mojej komórki. Jeśli zmieni pan zdanie, proszę do mnie zadzwonić. *Buenas noches, señor.*

Meksykanin wstał, podniósł szklanekę i dokończył drinka. Potem, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich podsłuchać, pochylił się, oparł ręce na stole i powiedział bardzo cicho:

¹⁶ *Uno mas Papa Dobles?* (hiszp.) - Jeszcze raz Papa Dobles?

¹⁷ *Si, uno mas.* (hiszp.) - Tak, jeszcze raz.

- Szeryfie, muszę panu zadać osobiste pytanie. Czyba ciężko jest tak wyjechać służbowo i zostawić żonę samą w małym domku z dala od miasta, prawda?

- Powtórz pan to. - Franklin zbliżył twarz do Meksykanina na kilka centymetrów.

- Po prostu wydaje mi się, że to niełatwe. Dla pana żony. Pewnie musi się bać, kiedy nie ma dzielnego męża, który mógłby ją obronić.

- Moja żona?

- Tak. Ma na imię Daisy, prawda? Ładne imię. Musi pan ją ostrzec, żeby uważała na siebie. Na pustyni aż roi się od kojotów, zwłaszcza nocą. A kobieta siedzi sama.

Franklin złapał Meksykanina za nadgarstek. Nie złamał mu ręki, ale niewiele brakowało.

- Jeśli ktokolwiek choćby zbliży się do mojej żony albo, nie daj Boże, coś zrobi, to rzucę tę odznakę i wygniotę was jak wszy, łajdaki. Zabiję cię, Zamora. Rozumiemy się?

Puścił go i Meksykanin wyszedł z baru i zniknął w tłumie przechodniów na ulicy.

Franklin rzucił na stolik pieniądze. Wstał, zostawiając niedokończony hamburgera. On też wkrótce zniknął w karnawałowym tłumie na Duval Street.

*

Szedł pod prąd, walcząc z naporem potężnej ludzkiej fali. Do hotelu miał sześć przecznic. Z daleka widział już animowanego ptaka, który świecił na tle zamglonego nocnego nieba.

Spojrzał na zegarek. W Teksasie było o godzinę wcześniej. Daisy na pewno zjadła już kolację. Pewnie stoi w kuchni i zmywa naczynia. Wkrótce zrobi się ciemno i kojoty zaczną się szykować do łowów.

W tej chwili zabiłby za komórkę, choć nie znosił tych cholernych gadżetów.

- Przepraszam - powiedział do jakiejś tęgiej kobiety. Stała na rogu z komórką przyciśniętą do ucha, jak wielu ludzi w dzisiejszych czasach.

- Co pan, u diabła, robi?! Oddawaj moją komórkę!

- Przepraszam. Chodzi o sprawę policyjną. Zaraz pani oddam.

Mignął odznaką.

- Jak to działa? - zapytał kobietę, stukając palcem w klawisze.

Hawke patrzył w ogień wesoło trzaskający w kominku. Od razu po kolacji wrócili z Ambrose'em do maleńkiej pełnej książek biblioteki na pokładzie jachtu. Congreve zaproponował szklaneczkę brandy. Zdaje się, że nasz detektyw tęskni za domem, pomyślał Alex. Brakuje mu ukochanej Diany Mars i spacerów z nią po zaśnieżonej wsi. Chciałby już wrócić.

Konferencja - przynajmniej ta jej część, która dotyczyła Hawke'a - dobiegała końca. Następnego ranka Ambrose i Pippa mieli wracać do kraju. Hawke wybierał się na południe. Przekazał Langley i Departamentowi Stanu tyle, ile pozwolił mu powiedzieć C. Nie miał wpływu na to, co Amerykanie zrobią z tymi informacjami. Działał na własną rękę. Był gotów do walki z wrogiem.

Motywacji mu nie brakowało. Pragnienie zemsty - przynajmniej zdaniem Hawke'a - było mocno niedocenianym uczuciem. Jemu osobiście dodawało mnóstwa sił.

W ten zimny i deszczowy wieczór tylko Pippa zdecydowała się zejść na brzeg. Ostatni wieczór w mieście - wyjaśniła. Ambrose i Alex woleli zostać na pokładzie i popracować nad kodem, choć oznaczało to, że nie poznają lokalu, który Hawke wybrał ze względu na nazwę: Gorący Blasany Dach.

Mały zegar na kominku w jachtowej bibliotece zadzwonił czterema srebrnymi dzwonekami. Hawke ocknął się ze snu na jawie, w którym widział bębniących dzikusów gęstą, nieprzebytą dżunglą. Słuchał ulubionej piosenki, która leciała z okrętowego systemu nagłaśniającego. Przejmująca wersja *Vorrei morire*¹⁸ w wykonaniu Andrei Bocellego. Postanowił się nie zastanawiać, dlaczego te właśnie słowa mają na niego tak niezdrowy wpływ.

Przez okno na prawej burcie zobaczył, że deszcz w końcu ustał. Zza chmur powoli odpływających na wschód wyłonił się sierp księżyca. Zimny front przeszedł. Jutro powinno być ciepło i słonecznie.

Delikatną muzykę zagłuszyło na chwilę senne westchnienie. Alex oderwał wzrok od okna i spojrzał na przyjaciela.

- Obawiam się, że utknąłem na dobre - oznajmił Congreve zdejmując złote pince-nez i pocierając grzbiet nosa. Odłożył list Zimmermanna. Wpatrywał się w to cholerstwo godzinami. Wstał i rozprostował ramiona nad głową.

- Ty? Utknąłeś? - nie dowierzał Hawke. Trzymał swój kieliszek tak, żeby w rzuniętym szkle odbijały się płomienie z kominka. - A gdzie panna Guinness? Musimy skorzystać z jej

¹⁸ *Vorrei morire* (wł.) - chciałbym umrzeć.

słynnej Księgi Rekordów!

- Bardzo zabawne, Alex. Ale powiem ci tylko tyle, że jeśli sekcja sygnałowa C nie będzie tego w stanie złamać, to po prostu nie da się tego odczytać.

Rozmawiali o liście otrzymanym na łożu śmierci, który teraz dla wygody nazywali po prostu listem Zimmermanna. Kod liczbowy, początkowo tak obiecujący, okazał się przypadkową sekwencją wygenerowaną przez komputer, więc nie do odczytania.

- Każdy szyfr da się złamać - powiedział Hawke i sięgnął po list. Patrzył na niego tępo dłuższą chwilę, po czym odłożył, wzdychając ciężko. Liczby. Przekleństwo jego życia. - To jakaś sieczka - stwierdził, porzucając wszelką nadzieję na dostrzeżenie w tej sekwencji jakichś powtórzeń albo szyku. - Masz rację. Chyba utknęliśmy obaj. Musi być jakiś inny sposób.

Congreve spojrział na przyjaciela, a niewidoczne trybiki w jego głowie zaczęły nagle pracować tak szybko, że Hawke zdziwił się, że nie słychać zgrzytania. Ambrose wstał i pierwszy raz tego wieczoru zapalił fajkę. W bibliotece rozszedł się znajomy zapach tytoniu Peterson's Irish Blend.

- Zanim się poddamy - powiedział, wydmuchując kłęb dymu - i wyrzucimy ten list do kosza, posłuchaj mnie jeszcze przez chwilę.

Hawke siedział w ciszy, czekając, aż geniusz Ambrose'a pojawi się w kajucie.

- Ambasador chciał, żeby list dostarczyć jego żonie. Obaj założyliśmy, że to jakiś rodzaj poetyckiego pożegnania z łoża śmierci przeznaczony dla przebywającej w Brazylii wdowy. Tak?

- Tak - zgodził się Hawke.

- Potem dowiedziałeś się od wenezuelskiego oficera, że wdowa po Zimmermannie uciekła z Rio de Janeiro do Manaus nad Amazonką obawiając się o własne życie.

- Zgadza się.

- Problem powstał w Meksyku. Ambasador został porwany z hotelu w Czerwonej Strefie przez brazylijskich agentów, a potem zniknął w dżungli.

- Gdzie Top bez powodzenia próbował go zabić. Zimmermann siedział w tym wszystkim po uszy. Ale stracił do tego serce albo nerwy i uciekł do Anglii.

- Więc mamy niemieckiego ambasadora z koneksjami w Brazylii, Wenezueli i Meksyku. A wszystko to jakoś się łączy z tym Syryjczykiem Muhammadem Topem.

- Top stoi na rozstajach - wtrącił Hawke. - To on stanowi wspólne ogniwo.

- Ale skąd ten Meksyk? Dlaczego kombinują z muzułmańskimi terrorystami?

- Kto najbardziej skorzysta, jeśli Top odniesie sukces? Właśnie Meksyk. Kilka

udanych utarczek na granicy, amerykański sąd ugnie się przed gniewem mediów, a wtedy Meksykanie mają szansę odzyskać wszystkie ziemie, jakie stracili na rzecz Stanów w 1848.

- Może i masz rację, Alex. I jeszcze jedna rzecz, którą przeoczyłem. Oprócz zakodowanego listu dostaliśmy jeszcze podarunek. Chyba jakiś tomik poezji. Tak przynajmniej sędzę po wadze.

- No tak, książka. Rzeczywiście.

- Więc przejrzałeś ją?

- Oczywiście. W końcu jestem szpiegiem.

- I?

- To powieść.

- Dobra?

- Nie jest to *Wojna i pokój*. Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, żeby mógł to być pożegnalny podarunek dla pogrążonej w żałobie wdowy. Ale przecież o gustach się nie dyskutuje.

- Ale czytałeś ją?

- Nie mogłem się od niej oderwać.

- A gdzie jest teraz ta książka?

- Leży w biurku, o tam. Pomyślałem, że dokończę ją dziś w nocy.

- Gdzie dokładnie leży? - zapytał Congreve, podchodząc do biurka.

- W lewej dolnej szufladzie, o ile się nie mylę.

Ambrose usiadł i otworzył szufladę po lewej stronie.

- Nie widzę żadnej książki.

- Na pewno tam jest.

47

- Jest. Rzućmy na nią okiem. - Congreve wyciągnął książkę z szuflady i położył na blacie.

- Ostrożnie - powiedział Hawke. - Nic nie tyka? Najlepiej potrząśnij nią lekko i zobacz, czy coś nie grzechocze, inspektorze.

- Bardzo śmieszne. Ale to słuszna, choć nieco spóźniona uwaga. To *Kod Leonarda da Vinci*.

- Wiem.

- Specjalne wydanie ilustrowane.

- Obrazki naprawdę pomagają. Nie odróżniłbym Mony Lisy od Lisy Marie.

- Proszę, Alex, oszczędź mi tych uwag.

Ambrose podniósł książkę, żeby się dokładniej przyjrzeć.

- Dziwny wybór, jak na pośmiertny podarunek dla kogoś, kto zostaje na tym świecie.

Hawke się uśmiechnął.

- Gdzieś w Amazonii ukrywa się ostatni potrafiący czytać człowiek, który jeszcze nie zna tego bestsellera. A ty się skusiłeś?

- Poszedłem jak jagnię na rzeź - przyznał Ambrose. - I nawet mi się podobało. Wszystko, co dotyczy szyfrów, podoba mi się.

Trzymał książkę za grzbiet i potrząsał nią nad biurkiem. Jako że nic nie wypadło spomiędzy kartek, odłożył ją i zaczął powoli kartkować.

- Zamierzasz ją przeczytać drugi raz? - zdziwił się Hawke. - Teraz?

- Cicho - mruknął Ambrose, zagubiony w labiryncie własnych myśli.

- Na coś wpadłeś? Ruszają ci się brwi. Zawsze tak masz, kiedy coś się dzieje.

- Może i tak.

- Co to takiego? Mów.

- Nie zaintrygowało cię, Alex, że ostatnia książka, jaką Zimmermann przekazuje żonie, ma w tytule słowo „kod”?

- To rzeczywiście zabawne.

- Prawda? Podaj mi ten list. Zostawiłem go na stole.

Hawke podał list Ambrose'owi.

- Musimy przyjąć jakieś pozytywne założenie - powiedział Congreve, spoglądając to na list, to na książkę. Przebiegł palcem po stronie, którą Zimmermann wypełnił liczbami.

- To znaczy jakie?

- Że list i książka jakoś się ze sobą łączą.

- To za proste.

- Prawda często taka jest. I podejrzewam, że właśnie dlatego nawet nie ugryźliśmy tego cholernego kodu. Ludzie z natury doszukują się komplikacji tam, gdzie ich nie ma. Ale ja jestem zwolennikiem poglądu Williama Ockhama.

- Przypomnij mi, o co chodziło z tym Ockhamem.

- To był średniowieczny filozof. Sformułowana przez niego zasada, powszechnie zwana brzytwą Ockhama, mówi, że nie należy mnożyć założeń ponad niezbędne minimum.

Rozwiązując jakąś zagadkę, staraj się ograniczyć byty niezbędne do jej wyjaśnienia. Innymi słowy, Alex, wybierz najprostszą ścieżkę przez las.

- A, teraz rozumiem.

- Świetnie. Załóżmy na moment, że wdowa nie jest biegłą matematyczką z dyplomami uniwersyteckimi z arytmetyki i kryptografii, tylko zwykłą kobietą o przeciętnym umyśle. Ale załóżmy także, że ten list i książka to nie cliche pożegnanie od umierającego męża, lecz coś bardziej... niebezpiecznego.

- Na przykład?

- Na przykład sekwencja niezbędna do uruchomienia jakiegoś programu. Za pomocą liczb wprowadzasz do komputera wirusa elektronicznego, który zablokuje ogólnoswiatową łączność. Albo uruchomi raketę wycelowaną w Londyn. Kto wie? Katastroficzne scenariusze to twoja specjalność, nie moja. Ja jestem tylko zwykłym policjantem.

Mówiąc, Congreve przerzucał karty powieści.

- Skup się, inspektorze - zachęcił go Hawke. - Nie takie zagadki już rozwiązywałeś. Coś z tego wynika? Jakiś związek?

Ambrose czytał uważnie list i wertował powieść to w przód, to w tył.

- Szukam, szukam. Aha. Proszę bardzo, coś widzę. Książka ma sto pięć rozdziałów plus prolog i epilog.

- No i?

- Chwileczkę... tak... zaszyfrowana pożegnalna wiadomość ma dokładnie tyle samo... moment, tak, sto pięć oddzielnych linii numerycznego kodu!

- Niesamowite!

- Dziękuję. Ale z tego jeszcze nic nie wynika.

- Czy na końcu książki jest coś, co mogłoby przypominać kod? - Hawke podszedł do biurka, żeby spoglądać Congreve'owi przez ramię.

- Tak. Dwie krótkie linie liczb dodane na końcu. Pasuje.

Hawke ścisnął przyjaciela za rękę.

- Złamałeś szyfr, stary! Niech Bóg cię błogosławi za ten prosty geniusz. Więc jak to cholerstwo działa?

- Bierz książkę, ja biorę kod. Zaczniemy od czegoś prostego. Pierwsza linia zapisana przez ambasadora to 001005005. Zerknij do książki, Alex. Pierwszy rozdział, piąty akapit, piąte słowo. Co to za słowo?

Hawke znalazł pierwszy rozdział i przesunął palcem w dół strony.

- Mam. Piąty akapit, piąte słowo.... „Prawda”. Niezły początek... Muszę przyznać,

inspektorze, że kiedy wszystko wydaje się stracone, masz niesamowitą zdolność do...

- Tu jesteście! - rozległ się radosny głosik w drzwiach.

Hawke i Congreve podnieśli wzrok znad *Kodu Leonarda da Vinci* i listu.

- Pippa! - Ambrose niemal podskoczył z zadowolenia.

Hawke wsunął list do książki, zamknął ją z trzaskiem i włożył pod stertę papierów na biurku.

- Naszą literacką dyskusję dokończymy sobie potem - mruknął do Ambrose'a, a ten skinął głową.

- O, Pippa - zwrócił się do panny Guinness. - Wróciłaś.

- Zachodziłam w głowę, dokąd obaj zwialiście! W końcu to moja ostatnia noc na Key West. Siemanko, Alex.

- Nieźle się bawiłaś, co?

Zachichotała lekko wstawiona i oznajmiła:

- Przetęczałam całą noc, naprawdę.

- Cudownie - rzekł Ambrose, najwyraźniej nie wiedząc, o czym by tu porozmawiać.

- W Gorącym Błazanym Dachy? - spytał Alex.

- Nie, w jakiejś knajpce o nazwie Brum Brum.

- Aha - powiedział Hawke, również wyczerpując tematy do rozmów. W końcu spojrzał na Congreve'a i odezwał się: - Twoja narzeczona Diana uwielbia tańczyć, prawda?

- Nie jesteśmy zaręczeni, Alex. Na razie jesteśmy po słowie.

Hawke pomyślał, że ta mała bestia stojąca w drzwiach wygląda nader atrakcyjnie. Blond włosy upięła kościanymi grzebieniami, ale kilka niesfornych kosmyków opadło jej na zarumienione policzki. Ubrana była na czerwono: jedwabna kiecka, a do tego czerwony satynowy szal. Z zaniepokojeniem stwierdził, że był to inspirujący wybór. Pod materiałem wyraźnie odznaczały się pełne piersi, choć Alex robił wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby nie zwracać uwagi.

Zmusił się do odwrócenia wzroku.

- No cóż, chyba pójdę do łóżka.

- Tak wcześnie? - zdziwił się Congreve. - Już szron na głowie, już nie to zdrowie?

Hm.

- Co takiego?

- Nie bocz się, stary byku - odparł Ambrose, chichocząc do swojego kieliszka brandy.

Kiedy tak sobie rozmawiali, do biblioteki wszedł Tom Quick.

- Kapitanie, kazał pan dać znać, jak tylko Wally wróci z Cancun. Właśnie przybija do

brzegu.

- Dzięki Tom. Zaraz schodzę.

- Wally? - spytała Pippa, bawiąc się paskiem czerwonej satynowej torebki. - Kto to?

- Nie kto, ale co - wyjaśnił Alex. - To nowa łódź. Zobaczysz ją rano przed wyjazdem.

- A nie mogę teraz? - Pippa uśmiechnęła się i zamrużyła do Hawke'a długimi rzęsami.

- Oczywiście, że nie. Przed świtem trzeba poczynić jeszcze mnóstwo przygotowań - odparł. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy łódź na własne oczy i wysłucha opinii załogi, która właśnie wróciła z próbnej wyprawy do Cancun. Pierwsze raporty nowego kapitana Gerarda Brownlowa napawały optymizmem. Łódź była szybka jak błyskawica i doskonale sprawowała się na wodzie. Kiedy się ją uzbroi, będzie śmiertelną bronią.

- Może wypijemy szybkiego drinka na dobranoc, jak już skończysz te przygotowania, Alex? - zapytała nieśmiało Pippa, opuszczając długie rzęsy.

- Raczej nie. Życzę miłych snów, inspektorze. I pani też, panno Guinness. Było mi miło gościć panią na pokładzie.

- Szkoda, że nie dał się zaprosić - powiedziała Pippa, kiedy Hawke podszedł do Toma Quicka. - Ale pan nie wybiera się do łóżka, panie Congreve?

- Chętnie dam się namówić na jeszcze jedną brandy - odparł Ambrose. - Ale naprawdę na jedną! Proszę nie szaleć!

- Musimy odczytać ten kod, inspektorze - wtrącił się Alex. - Jeszcze dziś, jeśli to możliwe.

- Odczytam go - obiecał Congreve. - Jak tylko skończę, dam ci znać. O świcie nie będzie za wcześnie?

- Ależ skąd.

- Kod? - zdziwiła się Pippa, opadając na jeszcze ciepłe krzesło Aleksa. - Jaki kod?

- *Kod Leonarda da Vinci* - odparł Alex, przystając w drzwiach. - Czytałaś?

- Jeszcze nie.

- W takim razie jesteś drugą taką osobą po pani Zimmermann - stwierdził i wyszedł.

Homer przycupnął na zapomnianej górze kości i czekał. Opierał się o tylne drzwi naczepy, niecałe półtora metra od dachu, którego w zasadzie nie było, bo przerdzewiał do cna. W rękę trzymał rewolwer i ciężko dyszał. Ręka paliła jak cholera i mocno krwawiła z rany wylotowej. Kula nie trafiła w kość, tylko w mięsień. Zatkał małą dziurkę bandaną ule musiał przewiązać ranę. Z zewnątrz słyszał kroki mężczyzny, który go postrzelił, na szczęście dość odległe.

Postanowił zaryzykować. Odłożył na chwilę rewolwer, owinął ciasno bandaną wokół rannego ramienia i zawiązał ją zębami na supeł. Bolało jak cholera, ale krwawienie od razu się zmniejszyło.

- A niech to jasna cholera! - krzyknął mężczyzna na zewnątrz. Najwidoczniej nie zauważył kłębu drutu wyrwanego przez Homera, potknął się o niego i wyrznął na ziemię. Aż zadudniło. Musiał być z niego kawał chłopca. Kiedy się podniósł, szedł powoli i ociężale.

Kaszlał jak palacz, a im bardziej się zbliżał, tym kaszel stawał się donośniejszy. Homer nie mógł pojąć, dlaczego na odgłos strzałów ochrona nie zapaliła świateł, a ludzie nie wybiegli z magazynu. Teraz zrozumiał: poza ciężarówką Yankee Slugger, która tam wjechała, w budynku nie było nikogo poza tym facetem z papierosem.

Samotny nocny strażnik.

Ale czego pilnował? Śmietnika?

Nie, to musiało być coś naprawdę interesującego. Ktoś wpakował kupę pieniędzy w tę bajerancką elektrycznie podnoszoną bramę. A potem wyłożył jeszcze więcej, żeby budynek wyglądał na stary i zniszczony. I niewidoczny dla każdego, kto przypadkiem trafił do tej zapomnianej dziury zwanej Gunbarrel.

- Jesteś tam, dupku? - zapytał Palacz między jednym kasznięciem a drugim. - Żyjesz jeszcze?

Głos brzmiał dziwnie znajomo. Homer nie odzywał się, tylko podniósł jakąś kość. Była zaskakująco ciężka. Chyba kość udowa. Rzucił ją o przeciwległą ścianę naczepy. Stuknęła głucho i raczej nie metalicznie. Natychmiast rozległy się dwa strzały i w aluminiowej ścianie pojawiły się dwie potężne dziury o postrzępionych brzegach.

- Wyrzuć broń - polecił Palacz. Stał teraz w pobliżu tyłu naczepy, nie więcej niż dwa metry od miejsca, gdzie ukrywał się Homer. Głos brzmiał coraz bardziej znajomo, ale był tak chrapliwy, że Homer nie potrafił dopasować go do nikogo.

- Nie mam broni - powiedział.

- Czyżby. Przecież mówiłeś, że jesteś policjantem. Wyrzuć tę cholerną broń. Mogę cię tu zostawić, wiesz o tym. Żebyś zdechł z głodu i zgnił w tej budzie. Pieprzony Strażnik

Teksasu. Mogę to zrobić, jeśli chcesz.

- Dostałem.

- To wiem.

- Potrzebuję lekarza.

- Gdzie cię trafiłem?

- W rękę.

- Mocno krwawi?

- Chyba tak.

- No to wyrzuc, kurwa, ten rewolwer i pogadamy, jak cię dostarczyć na izbę przyjęć.

Homer wziął do ręki kolejną kość. Była mniejsza niż poprzednia, a na jednym końcu widać było resztki czarnej tkaniny zawieszanej na kulistym stawie. Pewnie kawałek koszuli nieboszczyka. Pośród kości walały się resztki ubrań i mnóstwo sandałów. Owinął kość kawałkami czarnego materiału. Nie wyglądało to zbyt realistycznie, ale waga była odpowiednia.

- Zgoda. Wyrzucam rewolwer.

- Czekam.

- Leci.

Homer rzucił kość wysoko i daleko. Miał nadzieję, że wyląduje w chwastach za drucianym płotem. Wtedy będzie miał szansę. Palacz albo pójdzie poszukać broni w chwastach i zostawi drabinę bez ochrony, albo po prostu uwierzy w to, w co chce uwierzyć: że widział lecący rewolwer, a w dwunastometrowej blaszanej trumnie pełnej kości siedzi teraz bezbronny dzieciak.

Z własnego ograniczonego doświadczenia Homer wiedział, że większość ludzi wierzy w to, w co chce uwierzyć.

- Mądry dzieciak - powiedział w końcu Palacz, wciąż kaszląc przy tylnych drzwiach naczepy. - No dobra, synu. Wchodzę na drabinę.

Homer usłyszał stęknienie i na pierwszym szczebelku zawisło cielsko mężczyzny. Kawał chłopa. Jedną ręką trzyma się drabinki, a w drugiej ma pistolet. W prawej, jeśli wierzyć statystyce.

Homer przyłożył policzek do chłodnego aluminium. Drabinka biegła po ścianie, widział nawet ostatni szczebelek. Kiedy Palacz dotrze na górę, będzie dzieliło ich nie więcej niż dwa metry.

Zacisnął palec na spuście, mrugnął kilka razy i próbował przełknąć ślinę. Bolało. Zimny pot szczypał go w oczy. Jeszcze nigdy nie zabił człowieka. Nigdy nawet nie strzelał na

patrolu ze służbowego rewolweru. W ogóle mało strzelał.

Palacz był już prawie na szczycie. Homer zobaczył jego palce na ostatnim szczebelku.

Popatrzył na rewolwer, który ścisnął w drżącej dłoni, i pomyślał: „Nie da się wygrać, kiedy w ręku masz same blotki”.

- Hej! - krzyknął Palacz. - Gdzie cię, kurwa, poniosło, koleś?

Homer widział już czubek kowbojskiego kapelusza. Górną połowę twarzy, oczy.

- Słyszysz?! Gdzie, kurwa, jesteś?

- Czekam na ciebie - odparł Homer i wypalił dwa razy, w głowę i ramiona, które rysowały się na tle granatowego nieba.

Głowa mężczyzny eksplodowała, a ciało odchyliło się do tyłu. Palce puściły drabinę i po chwili rozległo się łupnięcie, jakby ktoś rzucił na ziemię wór kartofli.

Homer wstał i ułożył w rogu stos z kości, żeby móc wydostać się z tej śmiertelnej pułapki.

Zeskoczył na ziemię koło ciała. Mężczyzna leżał twarzą w chwastach, trup na amen. Tylko prawa noga, wygięta pod dziwnym kątem, jeszcze drgała.

Zdołał przewrócić go na plecy. Twarzy zostało dość, by mógł go zidentyfikować.

Kogo zastrzelił? J. T. Rawlsa.

Czekał na jakieś emocje. Może strach? Ale nic takiego się nie pojawiło. To była uzasadniona samoobrona w czasie śledztwa w sprawie morderstwa. Rawls na pewno by go zastrzelił, nie ma co do tego wątpliwości. Pokręcił głową próbując ją oczyścić ze wszystkiego poza faktami w tej sprawie. Rawls, wielki handlarz chevroletami, najwyraźniej prowadził na boku jakiś interes. Nocny warsztat napraw dla meksykańskich samochodów? Nie, coś znacznie poważniejszego.

Ale co?

49

Homer miał nadzieję, że tylne drzwi magazynu będą stały otworem. Niestety, Rawls, zanim poszedł sprawdzić źródło hałasu na zewnątrz, zamknął je na kłódkę. Homer znów okrążył cały budynek i uznał, że jedyna droga do środka wiedzie przez drabinę pożarową.

Sięgnął po nią i szarpnął w dół, nie obawiając się już, że będzie zgrzytać. W tym mieście duchów można było hałasować do woli, liczba mieszkańców spadła właśnie do

jednego. Wspiął się na górę i przeszedł przez otwarte okno. Oświetlał sobie drogę latarką ale pokój był pusty. Kiedyś pewnie mieściło się tu biuro, bo na środku leżało przewrócone drewniane biurko.

Z sufitu zwisała pojedyncza żarówka. Homer pstryknął włącznikiem, ale albo żarówka była przepalona, albo nie było prądu. Naprzeciwko okna zobaczył drewniane krzesło, a na szybie ślady obcasów. Na krześle stał kubek niedopitej kawy z emblematem drużyny Cowboyów. Rawls musiał go tak zostawić, kiedy poszedł sprawdzić, co to za hałas na zewnątrz.

A może J. T. miał w innej części budynku porządne biuro. Może po prostu spacerował z papierosem i podszedł tu do okna, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Na podłodze wokół przewróconego biurka walały się jakieś pisma z dziewczynkami i magazyny porno. Podniósł kalendarz z nagą dziewczyną na okładce. Rok 1988. Pod zdjęciem biegł napis: „Wszystkiego najlepszego życzy Rawls Chevrolet”. J. T. miał tu kiedyś salon samochodowy. Nikomu o tym nie mówił. Ale musiał nieźle zarabiać, sądząc po rozmiarach posesji.

Homer rzucił kalendarz między papierowe kubki i inne śmieci: torebki z barów Burger Boy i Krispy Kreme i całe sterty zużytych papierowych serwetek. W pokoju wciąż śmierdziało tytoniem i potem nieżyjącego już Rawlsa.

Wydało mu się, że coś słyszy za zamkniętymi drzwiami, więc przez, chwilę stał nieruchomo, nasłuchując. Gdzieś z oddali dobiegał szum, jakby głęboko w magazynie pracowała jakaś ciężka maszyna.

Podszedł do drzwi i otworzył je.

Nie miał pojęcia, co znajdzie po drugiej stronie, ale to, co zobaczył, zaskoczyło go.

Bo zobaczył pustkę.

Hala długa na co najmniej trzydzieści metrów, szeroka na piętnaście i wysoka na cztery piętra, bez podłóg, okien i schodów, była całkiem pusta. Nad głową miał dach z falistej blachy. Wygięte stalowe belki, na których się opierał, wyglądały na stosunkowo nowe. Ściany pomalowano niedawno na biało, wszystkie cztery, od posadzki do sufitu. Za drzwiami znajdowała się wąska stalowa kładka, wisiała mniej więcej sześć metrów nad posadzką. Wszedł na nią.

Włączył latarkę i skierował promień światła w dół. Posadzka, wykonana chyba z betonu, lśniła świeżą farbą. Na środku cieniutka linia wyznaczała koło o średnicy jakichś dwudziestu metrów.

Homer szedł po stalowej kładce podwieszanej pod sufitem i obiegającej budynek

dookoła. Minał dwoje drzwi, takich samych jak te, z których wyszedł. Ale to nie drzwi go zaintrygowały.

Najdziwniejsze było, że ciężarówka Yankee Slugger, która godzinę temu wjechała do tego budynku, zniknęła. Nie słyszał, żeby odjeżdżała, a przecież nawet kiedy ukrywał się w naczepie, musiałby usłyszeć warkot jej potężnego silnika. Tak, Slugger na pewno nie odjechał. A mimo to zniknął.

Zobaczył, że przy ścianie od strony ulicy od kładki odchodzą w dół wąskie schodki.

Ostrożnie ruszył w ich stronę. Szedł ostrożnie nie dlatego, by ktoś go nie usłyszał - magazyn z całą pewnością był pusty - ale dlatego, że gdyby się potknął i spadł, byłoby po nim.

Dotarł do schodków i zszedł na dół, oświetlając stopnie latarką. Wielka brama wjazdowa, od ulicy pokryta odłazającą farbą po tej stronie aż lśniła. Nie miała żadnych uchwytów ani zamków. Po prostu przesuwała się w górę po ścianie. Homer odwrócił się od bramy i spojrzał na koło pośrodku posadzki. Wyglądało inaczej niż z góry. Podeszedł bliżej i uklęknął, żeby przyjrzeć mu się dokładniej.

Zobaczył, że wielkie koło jest nieco niżej niż reszta posadzki. Z góry widział tylko obrys, bo powierzchnia podłogi nie była jednolita. Wokół koła biegł stalowy pas szerokości może centymetra. Homer przyłożył ucho do posadzki i usłyszał ten sam szum, który słyszał w biurze Palacza na górze. Głęboki pomruk, a potem miękkie syczenie.

Nagle kolisty fragment podłogi drgnął i zaczął zjeżdżać w dół.

Homer wyszedł z ruchomego koła i tylko patrzył, jak się obniża. Trzydzieści, sześćdziesiąt centymetrów. Wciąż opadało. Teraz wyraźnie słyszał hałas maszynierii, która obsługiwała ruch kolistego fragmentu betonowej posadzki. To musiał być potężny podnośnik hydrauliczny. Po chwili rozległ się inny dźwięk. Ktoś uruchomił wielki dieslowski silnik. Potem kolejny i trzeci. I następne.

Zaraz, zaraz. Ciężarówki w piwnicy?

Położył się płasko na brzuchu i przesunął kawałek do przodu, żeby zajrzeć przez krawędź posadzki. W piwnicy, oświetlonej mdłą czerwoną lampką było pełno dymu z rur wydechowych diesli. Przez gęsty dym trudno było cokolwiek zobaczyć. Homer przesunął się jeszcze o kilka centymetrów i wsadził głowę w otwór.

To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach.

Podziemny garaż pełen ogromnych ciężarówek. Ze swojej pozycji widział ich co najmniej dwadzieścia, ale w głębi musiało być jeszcze więcej.

Gdy kolisty fragment podłogi zjechał na sam dół, dostrzegł kolejne ciężarówki i

oświetlony tunel u wylotu gigantycznego garażu.

Więc tak to się odbywało. Ciężarówki-duchy przejeżdżały tędy przez granicę i nikt nie był w stanie ich złapać. Homer słyszał opowieści o Meksykanach budujących tunele pod granicą wielkie, często nawet klimatyzowane. Przerzucali przez nie do Stanów nielegalnych imigrantów i narkotyki. Ale ten tunel był tak ogromny, że mieściła się w nim osiemnastokołowa ciężarówka. Musieli go drążyć całymi latami. Rawls, który poza handlowaniem samochodami prowadził firmę budowlaną spiknął się z Meksykanami i potem razem przerzucali tu ciężarówki.

Wszystko zaczynało się układać w logiczną całość. J. T. był przemytnikiem, oszustem i zdrajcą. Homer, który nigdy wcześniej nikogo nie zabił, pomyślał, że skoro musiał to zrobić, to trafił nie najgorzej.

Rozległ się ryk silnika pracującego na wysokich obrotach. Jedna z ciężarówek ruszyła do przodu i zatrzymała się pośrodku kolistej platformy. Była to stara maszyna, mack z lat pięćdziesiątych z wypłowiałą zieloną farbą na ciągniku i naczepie. Żółte światła drogowe oświetlały rząd porzewiających chromowanych klaksonów na dachu ciągnika. Homer próbował zajrzeć do kabiny, ale miała przyciemnione szyby. Nagle platforma zaczęła się obracać zgodnie z ruchem wskazówek zegara, ustawiając ciężarówkę przodem do ulicy.

Kiedy obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, znieruchomiała.

Stary mack, który na boku miał logo z soczystymi pomidorami i napis „Ocala Farms Inc.”, zaczął się wznosić na hydraulicznym piedestale. W tej samej chwili główna brama budynku zaczęła się przesuwać do góry.

Wszystko tu działa jak w zegarku, a nie ma żywego ducha, pomyślał Homer. Czyżby cała procedura została zaprogramowana? Tak czy inaczej, czas zabierać się z tego składowiska ciężarówek-duchów.

Wyszedł, pochylając się pod otwartą do połowy bramą i ruszył biegiem do wypalonej stacji Texaco, gdzie zostawił radiowóz.

Miał zamiar zgłosić przez radio, gdzie leży postrzelony nieboszczyk, a potem dokładnie zbadać, co kombinował świętej pamięci J. T. Rawls w tym miasteczku-widmie.

Harry Brock włożył nowy magazynek i do swojego półautomatycznego karabinu i zapytał:

- Ile lat ma Caparina?
- Prawie trzydzieści - odparł Saladin.
- A mnie powiedziała, że dwadzieścia pięć.

Obaj zbliżali się do końca mostu. W budynku po drugiej stronie nie widać było żadnego ruchu, nie pojawił się też żaden nowy plujący ołowiem troll z piekła rodem. Ale nie mieli złudzeń, że ktoś czeka tam na nich z szampanem.

Hassan przełączył swój karabin na ogień automatyczny. Tak jak Harry kulił się za błotnikiem, który pokrywał gaśnice czołgu. Przypadkowy pasażer małego zielonego pojazdu nie mógł liczyć na większą ochronę, ale dobrze, że było choć tyle.

- Nie wierz we wszystko, co mówi Caparina, bo możesz tego gorzko pożałować.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Moja była żona miała wielu adoratorów.
- Ale ty chyba się tym specjalnie nie przejmujesz.
- Może dlatego, że uważam ich wszystkich - także ciebie - nie za rywali, lecz za współbraci w cierpieniu.

Harry uśmiechnął się i odbezpieczył broń.

- Do dzieła, Saladinie. Nie spoczniemy, dopóki nie znajdziemy twojej kobiety.

Właśnie mijali spalony czołg. W jeszcze tłących się resztkach nie widać było zwęglonych zwłok Capariny. Obaj odetchnęli z ulgą.

- Nad nami cała eskadra bezzałogowych samolotów - zawołał nagle Saladin. - Przytul się do pancerza, Harry!

Brock rozpląszczył się w ciasnej przestrzeni między przednim i tylnym błotnikiem. Miał nadzieję, że dzięki wojskowym drelichom, które przypominały odcieniem kamuflaż czołgów-robotów, będą mniej widoczni. Wszystko zależało od czujności operatora samolotu.

- Nie ruszaj się! - krzyknął do Hassana. - Nawet nie mrugnij!

Obserwował trzy smukłe maszyny lecące wzdłuż wąwozu. Na końcach skrzydeł dostrzegł znajome czerwone końcówki. Te cholerne roboty wyposażono w rakiety powietrzeziemia. Eskadra bezzałogowych samolotów leciała właśnie prosto na most. Mógł tylko patrzeć, jak odpalą jedną z tych rakiet i wsadzą im ją prosto w dupsko.

Ale nic takiego się nie stało.

Pierwszy samolot w ostatniej chwili pochylił nos i przemknął pod mostem, utrzymując zaledwie dwadzieścia centymetrów prześwitu. Dwa kolejne przeleciały nad mostem, a potem

skreśliły i pnąc się w górę, odleciały na południe. Pewnie patrolują południową granicę kompleksu Topa, pomyślał Harry.

Jeśli Top zna się na tej grze - a z pewnością tak było - to tak ustawiał loty zwiadowcze, żeby wypadły o różnych godzinach. Dzięki temu pory patroli były nieprzewidywalne i żaden obcy nie mógł przeniknąć do środka niezauważenie.

Kiedy ostatni srebrny samolot zniknął z pola widzenia, Hassan i Brock znów spojrzeli przed siebie, troll zjeżdżał właśnie z mostu na szeroki pas kruszonego piaskowca.

Harry przyglądał się fortyfikacji, do której się zbliżyli. Ale budynek wyglądał na opuszczony.

- Nikt nie wysłał tej eskadry, żeby nas zdjąć - powiedział. - Gdyby tak było, to już byśmy nie żyli. To był rutynowy lot zwiadowczy i operator nas nie zauważył.

- Zasnął nad dżojstikiem.

- Mieliliśmy szczęście.

- Więcej szczęścia niż rozumu.

Budynek z piaskowca był niski, prostokątny i brzydki. Sterczały z niego uszkodzone kamery wideo i maszty anten. Był pomalowany w maskujące kolory i tak jak wiszący most, którego strzegł, zamaskowany liściastymi pnączami. Harry i Hassan domyślili się, że nie jest to główne wejście do obozu, bo nie wyglądało na szczególnie umocnione. Bóg jeden wiedział, ile takich bunkrów rozmieszczono wzdłuż wąwozu.

- Wejście jest z tyłu - krzyknął Hassan zza budynku.

Harry obszedł bunkier dookoła.

Kiedy wyłonił się zza rogu, Saladin właśnie przewracał na plecy jednego z trzech strażników leżących na ziemi. Harry przewrócił pozostałych dwóch. Wszyscy mieli na sobie maskujące drelichy, pojedynczą dziurę po kuli w czole.

- Co jest, do diabła? - zdziwił się.

- Caparina.

- Ona to zrobiła?

- Tak. Właśnie to robi najlepiej, Harry.

- Jasna cholera. A więc wciąż żyje.

- Ciężko ją zatłuc. Zajrzyjmy do środka.

Mały bunkier był bardziej wyrafinowaną wersją szopy, którą znaleźli na lądowisku. Operator, niewątpliwie martwy, sądząc po dziurze z tyłu głowy, siedział oparty o stół, na którym migał rząd płaskich monitorów.

Środkowy ekran pokazywał obraz na żywo z mostu, którym właśnie przyjechali, a

kolejny płynącej w dole rzeki. Na trzecim monitorze widać było obraz z kamery bezzałogowego samolotu, który leciał wzdłuż wijącego się wąwozu. Interesujący był czwarty monitor, pokazujący obraz z kamery zamontowanej na trollu. Czołg pędził przez dżunglę w kierunku jakiegoś niskiego budynku na końcu ścieżki.

Budynek wyglądał dziwnie znajomo.

No tak. To był bunkier, który właśnie podziwiali.

Harry zarzucił bizona na ramię i ruszył do drzwi.

- Wynośmy się stąd. Trzeba zniszczyć tego sukinsyna.

- Zaczekaj. To nie troll. Spójrz jeszcze raz na monitor. Tu w prawym dolnym rogu. Co widzisz?

Harry zmrużył oczy i spojrzał na ekran.

- Jakiś kawałek buta? Skaczący po podpórcie na nogę?

- Tak. Nic ci to nie przypomina?

- No tak. To but Capariny. Wraca po nas?

- Szybko się uczysz - powiedział Hassan i wyszedł przed budynek powitać byłą żonę.

Harry ruszył za nim.

Kiedy wyszli na zewnątrz, zobaczyli Caparinę. Ale nie jechała na trollu. O nie. To nawet nie był robot. Był to dziwny pojazd, który przypominał księżycowy lądownik z czterema potężnymi gumowymi kołami. Napędzały go dwa silniki zamontowane z tyłu. Miały też śruby umożliwiające pływanie po wodzie. Łazik był długi i wąski, mógł więc bez trudu przeciskać się przez dżunglę. Na górze widać było kamerę i - ku zdziwieniu Harry'ego - coś w rodzaju kierownicy.

Caparina zahamowała i uśmiechnęła się do nich z centralnie zamontowanego fotelika.

- Przejęłam to coś - oznajmiła, nim zdążyli o cokolwiek zapytać. - Nazwałam go komar. Wsiadajcie! Z tyłu są jeszcze dwa siedzenia. No, wskakujcie! Mam nad nimi tylko minutę przewagi!

- Nad nimi? - zdziwił się Harry. Nie podobało mu się to.

Wskoczyli do łazika i zaczęli zapinać uprząż zabezpieczającą która chroniła pasażerów tylnych foteli. Caparina zgubiła gdzieś po drodze kurtkę przeciwdeszczową. Rękawki jej zachlapanej błotem białej koszulki opinały się na opalonych ramionach. Cienka koszulka nie maskowała ponętnych kształtów. Twarz też miała wysmarowaną błotem. Przesunęła dźwignię gazu i łazik ruszył. Caparina zakręciła koło niskiego bunkra i popędziła na most.

- Zaczekaj! - krzyknął Harry. - Gdzie, do cholery, jedziesz? Musimy się dostać do

centralnego kompleksu!

- Nie dzisiaj, złotko - odrzyknęła przez ramię, kiedy pędzili z powrotem przez most. - Na plecach mamy co najmniej pięć rozmaitych maszyn. Słońce już zachodzi. One mają noktowizory, a my nie.

Harry'emu nie podobało się słowo „rozmaitych”, ale na razie postanowił się nie odzywać. Wciąż nie mógł zapiąć klamry od uprzęży, a wiedział, że jeśli tego nie zdoła zrobić, wypadnie z tego cholernego łązika.

- Na razie się oddalimy, do walki staniemy innego dnia - powiedział Saladin z tęsknym uśmiechem. Zapalił papierosa bez filtra tak spokojnie, jakby właśnie odpoczywał po udanej partii golfa.

- Do walki? - mruknęła Caparina, oglądając się na nich. - Nie macie pojęcia, na co się porywacie. Udało mi się zajrzeć za kulisy.

- I co widziałaś? - spytał Harry. Pochylił się i położył jej rękę na ramieniu. - Muszę wiedzieć, na co trafiliśmy, nim zadzwonię do Waszyngtonu.

- Powiedz im, Harry, że właśnie widziałeś sprzęt wojskowy przyszłości.

- Co to za sprzęt, Caparino?

- Roboty, Harry.

51

Prairie, Teksas

- Ja też cię kocham, skarbie - powiedziała Daisy, zaznaczając stronę w starej rodzinnej Biblii pęczkiem zasuszonych niezapominajek. Rozmawiała przez telefon, siedząc na brzegu zapadającego się podwójnego łóżka. Poszła po coś do sypialni, kiedy rozdzwonił się telefon na nocnej szafce. Nie pamiętała, czego szukała, ale nie wiedzieć czemu przyszła tu z Biblią.

Chyba myślała o mężu. O tym, jaki musi być zdenerwowany jutrzejszym przemówieniem przed tyloma ważnymi ludźmi. Stała przy oknie w sypialni i patrzyła, jak zapada noc, ale w myślach widziała zmarszczki wokół jego oczu, które pojawiały się, kiedy się czymś martwił.

Właśnie wtedy zadzwonił telefon. To na pewno Franklin.

Co za niesamowity przypadek. Traf losu. No, może niezupełnie ślepy los, ale coś w

tym było.

Położyła się na miękkiej poduszce i słuchała głosu męża. Połączenie było kiepskie, zupełnie jakby dzwonił z komórki. Ale przecież Franklin nie ma komórki.

- Franklin? Jesteś tam?

- Tak, jestem.

- Kto tak wrzeszczy w tle?

- Pewna miła pani, od której pożyczyłem telefon. Chyba powinienem jej go oddać.

- Dobrze, ale już przestań się martwić. Wróć do hotelu i spróbuj się przespać. Jutro twój wielki dzień. Tym bardziej że masz ten film, który nagrała June. Jestem pewna, że ten Zamora to jakiś mitoman. Tak jak ci, którzy ostatnio próbowali nas postraszyć. Wiele hałasu o nic.

- Pewnie masz rację. Ale zrób, co ci mówiłem, Daisy. Zamknij wszystkie drzwi i okna i czekaj przy telefonie, aż zjawi się radiowóz. Dobrze?

- Niepotrzebnie do nich dzwoniłeś. Jestem dużą dziewczynką i potrafię się obronić. Przecież wiesz.

- W normalnej sytuacji nie straszylbym cię, Daisy.

- Wiem o tym. Idę pozamykać dom, kochanie.

- Dobrze.

- Dobranoc, skarbie.

- Dobranoc.

Daisy odłożyła słuchawkę. W domu nagle zrobiło się bardzo pusto. Westchnęła ciężko, patrząc w sufit.

Nie po raz pierwszy ktoś groził jej, by zaszantażować Franklina.

Telefon znów zadzwonił.

- Halo? - odezwała się Daisy.

Cisza. Ktoś odłożył słuchawkę.

Znowu pomyłka.

To już trzeci raz dzisiaj. Nie mówiła Franklinowi o pierwszych dwóch telefonach. Nie chciała go jeszcze bardziej niepokoić.

Usiadła na wielkim pustym łóżku i wsunęła stopy w kapcie. Pozamyka wszystko i położy się spać. Była już umyta i w nocnej koszuli. Drzwi pozamykała wcześniej, a teraz chodziła od pokoju do pokoju, sprawdzając okna. W kuchni, w małej sypialni na tyle domu i w gabinecie Franklina.

W salonie okna były szeroko otwarte i wiatr wydymał zasłony. Oparła dłonie o

parapet i wyjrzała w ciemną noc. Gwiazd było niewiele, zrobiło się też zimno. Na autostradzie usłyszała odległy szum silnika. Ktoś jechał z całkiem niezłą prędkością. Potem pojawił się samochód jadący w drugą stronę. Bardzo wolno.

Czekała, nasłuchując, czy minie polną drogę prowadzącą do ich domu.

Minał.

Kto siedział za kierownicą? Dokąd jechał? O czym myślał, patrząc w lusterku wstecznym na znikającą żółtą linię osi jezdni?

Franklin nieźle ją nastraszył, nie ma co.

Zamknęła okna, zablokowała je i wróciła do sypialni. Uklękła przy łóżku. Wyglądało to, jakby szykowała się do modlitwy, ale robiła coś zupełnie innego. Sięgała po broń. Pochyliła się, by wyjąć dwururkę Parkera. To był rzadki model Sweet Sixteen, który Franklin przystosował specjalnie dla niej na dwudzieste pierwsze urodziny. Odpiłował kawałek lufy i dał jej strzelbę w prezencie.

„Krótka strzelba dla dużej dziewczynki” - napisał na kartce. Choć upłynęło tyle lat, nadal trzymała tę kartkę przy lustrze.

Uniosła zniszczoną aksamitną narzutę i sięgnęła pod łóżko, aż palcami trafiła na gładką zimną lufę. Pociągnęła strzelbę do siebie i podniosła. Boże dopomóż. Uwielbiała zapach tej broni chyba bardziej, niż na kobietę przystało.

W prawej szufladzie komódki Daisy trzymała pod kluczem kilka nabojęw. Gruby śrut do polowania na grubego zwierza. Otworzyła szufladę i wyjęła dwa naboje. Opuściła strzelbę, złamała ją i załadowała. Upewniła się, że broń jest zabezpieczona, i wróciła do kuchni. Położyła strzelbę na stole, zapaliła zapałkę i podpaliła gaz pod czajnikiem.

Siedząc przy kuchennym stole twarzą do sypialni, mogła z łatwością kontrolować zarówno drzwi frontowe, jak i tylne, a także zobaczyć każdego, kto by próbował zaglądać przez okno w sypialni.

Zostawiła zapalone światło na werandzie z przodu i z tyłu i postanowiła wyłączyć światła w całym domu. Dzięki temu to ona pierwsza zobaczy ewentualnych intruzów, a nie oni ją.

Nie żeby się bała. Chodząc z pokoju do pokoju i gasząc światła, wmawiała sobie, że nikogo tu nie ma, ale było coś niepokojącego w głosie Franklina, kiedy mówił, jak bardzo ją kocha.

Wróciła do ciemnej kuchni i usiadła ze strzelbą na kolanach. Woda gotowała się bardzo długo, a tykanie zegara kuchennego stało się wolniejsze i głośniejsze niż zwykle. Zaraz pojawi się radiowóz i zaparkuje przed domem. Obejdzie dom z Homerem, Wyattem

czy kimkolwiek, kto akurat ma służbę. Przekonają się, że nie dzieje się nic podejrzanego, i będzie mogła pójść spać. Choć wcale nie było jej łatwo zasypiać bez Franklina u boku.

Każde łóżko wydaje się dziesięć razy za duże, kiedy nie ma w nim mężczyzny. Tak mówiły wszystkie jej przyjaciółki, które straciły mężów.

„A kobieta siedzi sama”. Tak powiedział do Franklina ten Meksykanin w restauracji.

Samotna kobieta to powód do niepokoju. Ona nie była przecież samotna. Ale kilka innych kobiet w Prairie owszem.

Na przykład June Weaver miała wprowadzić syna Trávisa, ale on mieszkał z ojcem.

June mieszka samotnie.

I to właśnie ona ma tę kasetę, pomyślała nagle Daisy. Kasetę, na której tak bardzo zależy facetowi z Key West. Jeśli wiedział o kasecie, to pewnie wiedział, jak znaleźć adres June...

Zerwała się od stołu i podbiegła do telefonu na ścianie. Numer June miała zapisany ołówkiem tuż nad aparatem.

Zajęte.

Zadzwoiła do biura szeryfa i usłyszała nagranie z automatu. Znajomy głos June wyjaśniał, co należy zrobić w nagłym wypadku. Więc ten, kto miał służbę, właśnie wisiał na telefonie.

Daisy wzięła głęboki oddech i znów zadzwoniła pod oba numery.

Nadal zajęte.

52

Daisy złapała strzelbę i pobiegła do sypialni, po drodze włączając światło. Nie miała czasu, żeby się ubierać. Zmieniła tylko kapcie na buty i chwyciła szlafrok z wieszaka na drzwiach łazienki. Wzięła z komódki jeszcze kilka naboarów i wsunawszy je do kieszeni szlafroka, popędziła z powrotem do kuchni. Telefon dzwonił jak opętany. Zatrzymała się na chwilę, żeby podnieść słuchawkę.

- Halo?

Cisza.

- Kto mówi, do diabła?

Nadal nikt się nie odzywał, więc z trzaskiem odwiesiła słuchawkę, znów ją podniosła i

wykręciła numer June.

Zajęte. Tak jak linia szeryfa. Co za pech.

Czy to June próbuje się dodzwonić do ratusza i dlatego oba numery są zajęte? Pewnie tak.

Wybiegła przez frontowe drzwi i wskoczyła do pikapa. Strzelbę położyła na przednim siedzeniu obok kierowcy. Przekręciła kluczyk i przez kilka koszmarnych sekund miała wrażenie, że ten stary grat nie zapali. Ale w końcu zaskoczył. Wrzuciła bieg i wykręciła w stronę długiej polnej drogi prowadzącej na autostradę. Kiedy tylko wpadła na asfalt, wduśiła pedał gazu w podłogę.

W samochodzie było przenikliwie zimno. Zaciśnęła mocniej szlafrok, ale nie na wiele się to zdało. Zamarznie na śmierć, nim ta dziadowska nagrzewnica zacznie dmuchać do środka ciepłym powietrzem.

June Weaver mieszkała dziesięć kilometrów za Dixonami, w piętrowym domu położonym prawie kilometr od autostrady. June wychowała się w tym domu i mieszkała w nim sama, od kiedy się rozwiodła. Wprawdzie jej syn, gwiazda drużyny futbolowej miejscowego liceum, każdego roku przenosił się na kilka miesięcy do matki, ale przez cały sezon futbolowy - a ten akurat był w pełni - mieszkał w Prairie z ojcem, który pilnował jego treningu.

Daisy jechała ponad sto sześćdziesiąt, ale i tak miała wrażenie, że droga do June trwa całą wieczność. W dodatku pod koniec musiała mocno zwolnić, żeby nie przegapić drewnianej tablicy z wypłowiałym czerwonym napisem „Weaver”. Gdy ją dostrzegła, skręciła z autostrady i na wszelki wypadek wyłączyła światła.

Kilka metrów dalej zobaczyła samochód zaparkowany przy wąskiej bocznej drodze. June jeździła dwudziestoletnim złotym oldsmobilem kombi. Wóz był zupełnie inny. Wyglądał na nowy i był czarny. Ford albo chevrolet, nie była w stanie rozróżnić. Tablice z Oklahomy. Zwolniła, podjeżdżając do niego i jedną rękę położyła na strzelbie.

Zatrzymała się i zajrzała do środka. Samochód był pusty. Wrzuciła luz, wysiadła z pikapa na przenikliwy ziąb i ze strzelbą w ręku podeszła bliżej. Pochyliła się i zajrzała do auta od strony kierowcy. Na przednim siedzeniu leżała mapa z wypożyczalni Hertza, a na podłodze zmięta paczka po papierosach. Wyprostowała się i spojrzała na wielki stary dom. Pokój June znajdował się na piętrze, w rogu od strony drogi. Było w nim ciemno.

Dotknęła maski samochodu. Była ciepła, a silnik cichutko pracował.

Daisy postanowiła, że resztę drogi przejdzie na piechotę. Hałas pikapa podjeżdżającego pod dom June mógłby zaalarmować nocnych gości. Wyciągnęła kluczyki ze

stacyjki, włożyła do kieszeni szlafroka i ruszyła.

Kilka minut później stała przed drzwiami wejściowymi. Ręce jej drżały i cała trzęsła się z zimna. Szarpnęła siatkowe drzwi i okazało się, że nie są zamknięte. Ostrożnie przekreśliła klamkę i drzwi otworzyły się bezgłośnie. Daisy weszła do środka i stała chwilę w korytarzu, nasłuchując. W domu panowała cisza, więc przeszła do salonu z bronią gotową do strzału.

- June? - szepnęła w ciemność. - To ja, Daisy. Jesteś w domu?

Przypomniała sobie, że June zwykle parkuje swojego oldsa w garażu na tyłach. Powinna była sprawdzić, czy samochód tam stoi. Jak mogła być taką kretynką?

- June, posłuchaj. Przyjechałam sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku. Rozumiesz? Mam broń. Jeśli coś ci jest, ale mnie słyszysz, odezwij się.

W domu panowała głucha cisza.

Jak w grobie.

Daisy poczuła, że w kuchni coś się przypaliło. Może to ten kurczak? Ostrożnie przeszła na tył domu. Niestety drewniana podłoga skrzypiała i nawet głuchy usłyszałby ją z odległości kilometra. Szkoda, że nie pomyślała, aby zdjąć kowbojskie buty.

I że nie wzięła latarki. W oknach wisiały grube zasłony, więc w środku było ciemno choć oko wykol. Wpadła na mały stolik i w ostatniej chwili złapała chwiejącą się lampkę.

Minęła szerokie drzwi prowadzące do wąskiego korytarza, przez który wchodziło się do kuchni. Zatrzymała się przed kuchennymi drzwiami i zajrzała do środka. W kuchni było pusto i kusilo ją żeby wejść i wyłączyć ten cholerny piekarnik.

Ale to nie był najlepszy pomysł. Wróciła do holu i podeszła do stóp schodów. Po prawej miała drzwi, za którymi - o ile dobrze pamiętała - było zejście do piwnicy. Nacisnęła klamkę. Otwarte. Uchyliła drzwi na dwadzieścia centymetrów i poczuła zatechły odór z piwnicy. Pod butem wyczuła coś lepkiego. Nie miała pojęcia co to, ale obawiała się najgorszego, więc pomyślała, że to krew. Podniosła stopę, dotknęła palcem podeszwy i zbliżyła palec do nosa. Nie pachniało to jak krew. Raczej jak błoto.

Szybko zamknęła drzwi i zatrzęsnęła zewnętrzną zasuwę. Potem weszła na piętro.

- June? Jesteś tam? - pytała, zaciskając palec na spuście. Była gotowa strzelić, gdyby ktoś nagle pojawił się na szczycie schodów.

Ale nikt się nie pojawił.

Na górze Daisy stanęła na chwilę, żeby zastanowić się, co dalej. Pokój June był na końcu korytarza, na lewo od schodów. Po drugiej stronie korytarza znajdowały się drzwi do łazienki. Postanowiła najpierw sprawdzić łazienkę. Drzwi były uchylone. Pchnęła je lufą

strzelby, weszła do środka i wiedzioną jakimś odruchem szarpnęła zasłonę od prysznic. Przesunęła ją i zobaczyła...

Nic.

Wyszła z pustej łazienki i ruszyła w stronę pokoju June.

- June? June, jesteś tam?

Zrobiła jeszcze trzy kroki po wydeptanej wykładzinie, kiedy zza drzwi dobiegły ją stłumione odgłosy. Uniosła strzelbę do ramienia i wycelowała w sam środek drzwi, mniej więcej metr dwadzieścia od podłogi. Ręce znów zaczęły jej drżeć, choć w starym domu było trochę cieplej niż na dworze. Kusiło ją, żeby najpierw kropnąć tego, kto czekał na nią za drzwiami, a dopiero potem zadawać pytania.

Powstrzymała się jednak. Podeszła do drzwi, położyła lewą dłoń na klamce i próbowała ją przekręcić. Drzwi były zamknięte na klucz. Mogłaby je bez większego trudu wyważyć, ale wtedy usłyszała jakiś hałas. W środku coś się ruszało.

Odsunęła się o dwa kroki, podniosła strzelbę do ramienia i kopnęła nogą w sam środek drzwi. Trzasnęły do środka, aż poszły drzazgi.

W pokoju zobaczyła jakąś postać stojącą pod plakatem czterech prezydentów wykutych w skale. Szerokie ramiona. Mała głowa.

- Będę strzelać! - krzyknęła. - Przysięgam na wszystkie świętości, że strzele.

Zacisnęła palec na spuście.

- Daisy? - odezwała się ciemna postać tak cicho, że ledwo ją usłyszała.

- June?

- Jezu Chryste! To ty, Daisy! - June podeszła do niej.

Daisy opuściła broń i objęła przyjaciółkę. June miała na sobie ocieplaną kurtkę, stąd te szerokie ramiona.

- June, co się stało? Próbowałam do ciebie dzwonić, ale...

- Ze... zesłam po lekarstwo. Jakies dziesięć minut temu. Usłyszałam, że na dole ktoś się kręci. Słyszałam też brzęk tłuczonej szyby. Nie wiedziałam, co robić. Zamknęłam się w pokoju i zadzwoniłam do ratusza ale nie mogłam się połączyć. Próbowałam też dzwonić do ciebie. ale najpierw było zajęte, a potem nikt nie odbierał. Nie wiedziałam, co mam...

- June, posłuchaj mnie. Nie mamy czasu. W piwnicy chyba kłós jest.

- Co?

- Widziałam błoto na podłodze. Musiał je nanieść, idąc od strumienia. Ślady prowadziły przez kuchnię do drzwi do piwnicy. Chyba nadal tam jest. Zamknęłam go z zewnątrz.

- Co robimy?

- Jest jakieś inne wyjście z piwnicy?

- Przez stary otwór do zrzucania węgla.

- Musimy uciekać. Natychmiast. Gdzie jest ta kaseta, którą masz wysłać Franklinowi?

- Tu na komódce, w kopercie FedEksu. Właśnie szykowałam się, żeby pojechać do miasta.

- Bierz ją i uciekamy.

- A co z tym intruzem w piwnicy?

- Albo już się wydostał i obchodzi dom, żeby nas obie zabić, albo siedzi w środku i jest naprawdę wściekły.

- Musiałaś zmarznąć na kość, Daisy Weź tę kurtkę.

Daisy włożyła kurtkę i zeszły na dół najciszej, jak się dało. Drzwi do piwnicy wciąż były zamknięte. Przemknęły obok nich na palcach i podeszły do drzwi wejściowych.

- Mój pikap stoi w połowie drogi dojazdowej - powiedziała Daisy.

- Biegiem!

Wypadły z domu i popędziły do samochodu. Kiedy dotarły na miejsce, Daisy wypaliła z obu luf, przebijając przednie opony czarnego auta.

- Nie mogę prowadzić i strzelać - powiedziała do June i podała jej parkera.

- Daj mi trochę amunicji - odparła June. Wzięła strzelbę i kilka nabojów, po czym załadowała parkera.

Wskoczyły do pikapa. Daisy włączyła światła i włożyła kluczyk do stacyjki. Kiedy tylko go przekreśliła, na przedniej szybie pojawiły się trzy pęknięcia, a na kobiety posypał się grad szkła.

- Tam jest! - krzyknęła Daisy. - Wychodzi zza zagrody dla mułów. Ma karabin!

W żółtych snopach światła widać było wysokiego mężczyznę w ciemnym płaszczu, który pędził w ich stronę i strzelał. Kule trafiały w pikapa, bo biegnąc, nie mógł dobrze wycelować.

- Spokojnie - odparła June. - Mam go.

Napastnik był jakieś sto metrów od nich. June wychyliła się przez okno, wymierzyła i wystrzeliła z obu luf.

Mężczyzna przebiegł chwiejnie jeszcze kilka kroków i padł jak długi.

- Nie spodziewał się, że strzelę - powiedziała June, opadając na fotel.

- Ja zresztą też nie.

- Trafiłaś go! - krzyknęła Daisy. - Uciekajmy stąd!

June oparła głowę o zagłówek.

- O mój Boże - westchnęła.

Daisy zawróciła pikapem i popędziły wyboistą drogą z powrotem na autostradę.

- Która godzina? - zapytała June kilka minut później. Wpatrywała się w puste pasy jezdni przed sobą. Jechały ponad sto dwadzieścia na godzinę.

- Około wpół do dziesiątej.

- Ale dokładnie.

- Dziewięta trzydzieści dwie.

Daisy wcisnęła gaz do dechy.

- Jeśli się pospieszymy, może zdążymy dostać się do skrzynki FedEksu przed ostatnim kursem o dziesiątej.

53

Key West

Hawke rozebrał się po drodze do łazienki. Kiedy wchodził do kabiny prysznic, spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Pół roku w dżungli na głodowych racjach to nie najlepszy sposób na zrzucanie wagi. Kiedy przyjęto go do szpitala, ważył tylko sześćdziesiąt siedem kilo.

Teraz, dwa miesiące później, odzyskał swoją normalną wagę osiemdziesięciu dwóch kilogramów. Bóg jeden wie, jak się starał. Racjonalnie się odżywał, ograniczył alkohol i ściśle trzymał się programu ćwiczeń. Efekty były widoczne: szybko odzyskiwał siły i nabierał masy mięśniowej. Słone powietrze i słońce czyniły cuda. Nie tylko z ciałem, ale i z poranioną duszą.

Pochylił się do lustra i potarł zarost na policzkach. Tak, wyglądał o wiele lepiej. Czarne włosy przyciął krótko na modłę wojskową, zgolił brodę, a tropikalne słońce sprawiło, że jego skóra pokryła się ciemną opalenizną.

Fizycznie czuł się całkiem dobrze. Objawy malarii znacznie osłabły, przestała mu dokuczać bezsenność. Ku swemu zaskoczeniu i uradowaniu poprzedniego wieczoru zdołał przepłynąć mimo ostrych fal prawie dziesięć kilometrów. Starał się też codziennie pokonywać co najmniej osiem kilometrów po piaszczystych plażach. Bieganie po piasku

przywracało kondycję.

Mimo to nie był w tak dobrej formie, w jakiej chciał być przed ponownym wyjazdem w teren.

Ale zadanie nie mogło czekać. Nie zdąży nawet pożegnać się z Conch. Dostał wiadomość, że dzwoniła do niego. Nie oddzwonił, bo nie chciał się z nią żegnać przez telefon. Co gorsza, nie mógł przestać o niej myśleć. Obraz jej twarzy i lśniących kasztanowych włosów rozsypanych na poduszce wciąż do niego powracał.

Zdał sobie sprawę, że bardzo potrzebuje prysznic.

Zimnego prysznic, żeby oczyścić się z myśli o wszechogarniającym pożądaniu, które prześladowało go w snach, od kiedy wyzdrowiał. Uwolnił się od koszmarów o demonach z dżungli, bo jego snami zawładnęła piękna i błyskotliwa Consuela. Czasami budząc się, wciąż czuł jej zapach i dotyk.

Zamiast zimnego sięgnął po chromowany kurek z napisem „Gorąca”.

Z prysznic trysnęły ostre jak igły strumienie. Uwielbiał je. Zamknął oczy, a gorąca woda spływała mu po głowie i ramionach.

Odpnęź się, powtarzał sobie. W twoim życiu nie ma czasu na kobiety. Masz ważniejsze i znacznie pilniejsze sprawy. Dopiero kiedy je załatwisz, zajmiesz się i sercem.

Wycisnął na dłoń trochę żelu pod prysznic, namydlił włosy, twarz i ramiona. Tak, odpnęź się, stary. Skup się na swoim zadaniu. Przygotuj się do walki. Dobył miecza.

Dlaczego akurat dziś jest taki rozkojarzony? Z dwóch powodów. Tym drugim była łódź, którą mu właśnie dostarczono.

A pierwszy?

Nie powinien nawet myśleć o pierwszym powodzie.

Ale łódź... Tak, o niej mógł myśleć choćby całą noc. Zamówił ją specjalnie na tę misję i było to prawdziwe cudo. Miała ponad trzydzieści pięć metrów długości i zaledwie dziewięć metrów szerokości i mogła pomieścić dwudziestoosobową załogę. Zanurzenie wynosiło metr trzydzieści centymetrów, co do tego zadania pasowało idealnie. Planował szybką wyprawę w górę Amazonki z krótkim przystankiem w Manaus na uzupełnienie zapasów i załadunek sprzętu, który będzie mu potrzebny w głębi tropikalnego lasu.

Włoska firma wzornicza o niecodziennej nazwie Wally zaprojektowała elegancką pełnomorską łódź motorową według jego wytycznych, dodając uzbrojenie i opancerzenie.

Ta łódź, napędzana benzynowymi silnikami z turbosprężarkami o mocy pięciu tysięcy sześciuset koni mechanicznych na pełnym morzu była w stanie rozwinąć prędkość do sześćdziesięciu węzłów.

Została wykonana z zaawansowanych technologicznie materiałów i miała równie nowoczesną linię. Nawet stojąc przy starym nabrzeżu, wyglądała, jakby czaiła się do skoku.

Gdy Hawke nadał jej imię „Stiletto”, rozbijając o ostry jak brzytwa dziób butelkę szampana, wszyscy członkowie załogi wzniesli entuzjastyczny okrzyk. Potem jeden z załogantów namalował nową nazwę na burcie. Krwistoczerwone litery pięknie wyglądały na ciemnoszarym tle.

Dziób z głęboko osadzonym tekowym pokładem przechodził w sporą sterówkę z włókna węglowego i laminowanego szkła. Trzy prostokątne okna z kuloodpornego lexanu, ostro wygięte ku rufie, były mocno przyciemniane. Masywne wloty powietrza do silników z turbosprężarkami zamontowane na obu burtach sprawdzono dokładnie w tunelu aerodynamicznym, w ośrodku sportowym Ferrari w Maranello.

*

Hawke odchylił głowę i gorąca woda zaczęła spływać mu na twarz.

Jeśli człowiek może się zakochać w maszynie, to właśnie się zakochałem, pomyślał. Jutro rano ruszy w stronę równika i dalej na południe. Na pokładzie swojej nowej smukłej miłości przemierzy błękitne morze, a potem ruszy w górę Amazonki, do dżungli, gdzie życie i śmierć trwają w niełatwej koegzystencji. Tam odnajdzie diabła stojącego na rozstajach i zabije go.

- Mogę pomóc?

W szumie wody nie usłyszał, że ktoś wszedł do łazienki. Teraz myły go jeszcze dwie dłonie. Jej ciało przytulało się do jego ciała, a usta pieściły zagłębienie między szyją i ramieniem.

Milczał. Cóż mógł powiedzieć? Nie? Tak? Może? Po prostu stał w kabinie z zielonego szkła oparty o ścianę, a ona myła mu twarz, włosy i ramiona.

- Obawiałam się, że zaczniesz beze mnie - powiedziała.

- Jeśli zamydlisz mi oczy, pożałujesz - odparł.

- Będę uważać.

Powiodła dłońmi po jego klatce piersiowej aż do brzucha i tam się zatrzymała.

- Dalej będziesz musiał sam sobie poradzić - powiedziała z uśmiechem.

- Co to to nie. I bądź dokładna, dobrze?

- Jeszcze nigdy nie myłam mężczyzny.

- Naprawdę? Więc masz niesamowite wrodzone zdolności.

Pochyliła się, żeby wykonać zadanie.

- Ciężka praca.

- Prawda?

Tone, pomyślał.

W końcu kobieta znalazła się w jego objęciach; oboje stali w parze wodnej, mokrzy z ciałami śliskimi od mydła, ukropu i pożądania. Poczul cudowny dotyk jej piersi na swoim torsie. Pocałował ją w usta i zaskoczyła go intensywność tego pocałunku.

Jakimś cudem zdołał zakreć prysznic. Wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni i delikatnie położył na łóżku. Uśmiechała się do niego spod półprzymkniętych powiek, kiedy sięgnął po włącznik światła.

Dawno już nie był z kobietą więc posiadał ją z delikatną zachłannością której słodycz zaskoczyła ich oboje. Kiedy nadszedł szczyt, wbiła paznokcie w jego biodra i krzyknęła, klnąc lub błogosławiąc jego imię - a może jedno i drugie. On wchodził w nią coraz mocniej i szybciej, aż w końcu zanurzył twarz w jej włosach.

Po wszystkim leżał nieruchomo na plecach, wpatrując się w półmrok kabiny i nasłuchując oddechów ich obojga. W końcu ona zaczęła oddychać coraz równiej i ciszej. Księżycowa poświata wpadała przez uchylone żaluzje po obu stronach wykładanej drewnem kajuty. Zamknął oczy. Zaczęła ogarniać go senność.

Musiał się zdrzemnąć, bo ocknął się nagle. Usiadł i spojrzął na zegarek. Była trzecia nad ranem. Dzwonił telefon przy łóżku. Migąło zielone światło, co oznaczało, że to prywatna linia.

Sięgnął, żeby odebrać, ale ona już zdjęła słuchawkę z widełek i odezwała się sennie:

- Halo? Kto mówi? Tak, jest tutaj. Chwileczkę.

Obróciła się na łóżku i podała mu słuchawkę. Zakrył ręką mikrofon i spytał szeptem:

- Kto to?

- Twoja przyjaciółka - odparła, ledwo powstrzymując ziewnięcie.

- Jaka przyjaciółka? - dopytywał się, choć chyba znał odpowiedź.

- Amerykańska sekretarz stanu Consuela de los Reyes.

- Conch?

- Uhm.

- A niech cię jasna cholera, Pippa! - szepnął wściekły.

Hawke przyłożył słuchawkę do ucha. Pippa odwróciła się plecami i szarpnęła kołdrę tak, żeby zakryć się z głową, jak małe dziecko, które szuka kryjówki. Stroi fochy? Do diabła, musi ją po prostu zignorować.

- Dobry wieczór, Conch - odezwał się z o wiele większą brawurą, niż zamierzał.

Dopiero dwie minuty później mógł cokolwiek powiedzieć.

- Przepraszam - zdołał w końcu wtrącić.

- Cholera, on przeprasza! - usłyszał krzyk dziewczyny spod kołdry. Całe szczęście, że okrzyk był trochę zagłuszony.

Pippa wstała bez słowa, zebrała z podłogi rozrzucone części garderoby i podreptała po drewnianej podłodze do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi. Pół minuty później wyszła w białym szlafroku frotte, jakie wisiały we wszystkich kajutach dla gości. Jej włosy wyglądały inaczej i Hawke doszedł do wniosku, że musiała skorzystać z jednej z jego szczotek. Szlafrok, w którym przyszła do jego kajuty, teraz miała ciasno zawiązany w pasie.

Przeszła przez kabinę, nawet się nie oglądając. Wychodząc, trzasnęła drzwiami tak mocno, że niemal wyleciały z futryny.

- Conch, to nie jest tak, jak myślisz - powiedział Hawke, krzywiąc się na trzaśnięcie drzwiami, które z pewnością słychać było po drugiej stronie linii. - Możemy przejść do rzeczy?

- Twoje życie osobiste już dawno przestało mnie fascynować. I chętnie pozwoliłabym ci wrócić do obrabiania twojej bieżącej zdobyczy, gdyby nie to, że przed chwilą rozmawiałam z prezydentem. Mamy poważny kryzys. Prosił mnie, żebym zadzwoniła właśnie do ciebie.

- W czym mogę pomóc? - spytał Hawke, siadając prosto na łóżku. Ulżyło mu, że mogą w końcu porozmawiać o sprawach służbowych.

- W ciągu ostatnich sześciu godzin na granicy z Meksykiem rozpętało się piekło. Nie jest to jeszcze wojna, ale niewiele brakuje. Mamy doniesienia o wielokrotnych przekroczeniach granicy przez meksykańską armię w trzech różnych stanach. Agenci Straży Granicznej są otwarcie atakowani, nielegalni imigranci strzelają do nich bez ostrzeżenia z AK-47. Kilka przygranicznych miasteczek w Teksasie i Nowym Meksyku jest właśnie atakowanych przez rozzuchwalone gangi narkotykowe na motocyklach. Mnożą się podpalenia i rabunki na odległych farmach i ranczach.

- Boże.

- Mamy też doniesienia o strażnikach obywatelskich najeżdżających w odwecie meksykańskie miasteczka przygraniczne. Antyamerykańskie nastroje w Meksyku i na wsiach są coraz bardziej gwałtowne. Sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli, Alex. To jakieś

szaleństwo. Cała administracja jest pochłonięta planowaniem inauguracji prezydenta, tymczasem znaleźliśmy się na skraju regularnej wojny na pograniczu.

- Inwazja - powiedział Hawke. - Tak będą to postrzegać Amerykanie. Że cholerni Meksykanie najechali ich ojczyznę.

- No a jak, na litość boską mają to odbierać? Znasz liczby. Codziennie przez granicę przechodzi dziesięć tysięcy nielegalnych imigrantów. Przekroczyło ją dwanaście do dwudziestu milionów. A teraz dołączyły oddziały meksykańskiej armii.

- Masz na to jakiś dowód?

- Niestety, nie.

- Umundurowani żołnierze to już bardzo poważna sprawa. Czy ktoś rozmawiał o tym z prezydentem Meksyku?

- Oczywiście. To było pierwsze, co zrobił McAtee. Meksykański prezydent Fox twierdzi, że nic mu nie wiadomo, by jego armia przekraczała naszą granicę. Tylko on mógłby wydać taki rozkaz. A utrzymuje, że go nie wydał. Ale mówi też, że jeśli akty zemsty naszej straży obywatelskiej wobec niewinnych meksykańskich cywili nie ustaną ogłosi, że Meksyk jest w stanie wojny ze Stanami Zjednoczonymi, i skieruje na północ cztery dywizje. Przerwie też wszelkie dostawy ropy przez Meksyk.

- Jak zareagował McAtee?

- Zamierza ściągnąć z głębi kraju wszystkie oddziały Gwardii Narodowej i rozstawić wzdłuż granicy z Meksykiem.

- Ile to potrwa?

- Tydzień. Może trochę krócej.

- Może być za późno.

- Na co, Alex?

- Przez cały pobyt w szpitalu myślałem o Topie. Zamówiłem nową łódź, żeby popłynąć w górę Amazonki. Moja załoga będzie gotowa do drogi za niecałe dwanaście godzin. Z powodów, których być może nie zrozumiesz, wracam tam.

- Rozumiem cię doskonale. Powszechnie nazywa się to zemstą.

*

- To wszystko ma silny podtekst polityczny, Alex. Gubernatorzy stanów granicznych i lokalni policjanci naciskają na prezydenta, żeby natychmiast coś zrobił. Tymczasem rozmaici aktywiści zbierają fundusze na budowę muru i pieniądze płyną szerokim strumieniem. Widziałeś w zeszłym roku demonstrację w Los Angeles. Ludzie machali meksykańskimi flagami i krzyczeli *Viva la Reconquista!* Meksykanie odbierają nam południowy zachód bez

jednego strzału.

- Z pomocą dżihadystów, których widziałem w dżungli.

- Myślisz, że Meksykanie są niewinni?

- Ależ skąd. Ambrose i ja przesłuchiwałem pewnego niemieckiego dyplomata nazwiskiem Zimmermann, który był łącznikiem między meksykańskim rządem a brazylijską armią terrorystyczną. Sądzę, że Meksykanie są w to zamieszani. Może nie sam prezydent, ale przynajmniej niektórzy członkowie rządu tak.

- Prezydent McAtee właśnie wygrał wybory minimalną większością głównie dzięki poparciu południowo-zachodnich stanów. Wierzone, że stanie w obronie kraju i że nasze granice wciąż coś znaczą. Jeśli szybko nie powstrzyma tego pożaru na granicy, będzie skończony.

- Wycofanie Gwardii Narodowej z wielkich miast to zły pomysł, Conch. Bardzo niebezpieczny.

- Co dzień dostajemy przez Internet tysiące grózb. Tę musieliśmy jakoś przegapić.

- Conch, widziałem to zagrożenie na własne oczy.

- Czego ode mnie oczekujesz? Że zaatakuję Brazylię? Argentynę? I tak ledwo dajemy radę. Jesteśmy między irackim młotem a meksykańskim kowadłem, chyba tak to ująłeś? Jeśli wyślemy resztkę naszych żołnierzy do Ameryki Południowej, nie wystarczy nam ich na obsadzenie dziurawej granicy.

- Ale jeśli wyślecie na granicę więcej gwardzistów, wielkie miasta staną otworem.

- Wiem.

- Prezydent chyba nie sądzi, że problem tkwi w Meksyku? Ma dylemat. Nie może publicznie powiedzieć tego, co naprawdę myśli. A myśli, że mogą mieć rację. Czy tak, Conch?

- Nie jest pewien, Alex. Nikt w Waszyngtonie nie jest w stanie ocenić, co kombinują Meksykanie, nie mówiąc o pozostałych przywódcach Ameryki Łacińskiej. Ale codziennie mnożą się ataki na naszych agentów Straży Granicznej. W zeszłym tygodniu zastrzelono sześciu. Ale Fox wypiera się wszelkiej wiedzy na temat wycieczek umundurowanych żołnierzy na nasze terytorium.

- I to może być prawda.

- Prywatnie zapewnił nas, że nie ma złych zamiarów. Ale zachęca miliony swoich obywateli do inwazji na nasz kraj. A potem jest wkurzony, kiedy Amerykanie odgrywiają się na jego ludziach.

- To efekt obecnego zamieszania w Białym Domu i na Kapitolu wtrącił Hawke.

- A Meksykanie dolewają oliwy do ognia w CNN. Czekam tylko, kiedy zaczną się masowe protesty.

- Sytuacja jest wręcz wymarzona dla każdego, kto chciałby wywołać wojnę na amerykańskiej granicy. Pomyśl o tym, Conch.

- Rozumiem, co sugerujesz. Ale po co komu wojna na granicy?

- Najstarszy wojskowy fortel. Odwiedź obronę wroga od swoich prawdziwych celów, a potem zaatakuj je z przeważającą siłą.

- Waszyngton.

- Waszyngton. Nowy Jork. Chicago. Może wszystkie trzy miasta naraz. Próbuję się tego dowiedzieć.

- Oczywiście możesz mieć rację, ale na razie nikt w Waszyngtonie nie przyzna, że jest taka możliwość.

- Sama właśnie to przyznałaś, Conch. Mogłabyś porozmawiać z prezydentem. Powiedzieć mu, co wiem.

- Nie ma czasu. McAtee musi coś zrobić natychmiast. Takie są polityczne realia. Wszystko wskazuje na meksykański rząd.

- Ale prezydent nie jest do końca przekonany. Więc ma związane ręce.

- Właśnie. Wierzy także, że jest coś w tym, co mówiłeś. Że islamscy terroryści z Amazonii są w to jakoś zamieszani.

- Każdy, kto nienawidzi Ameryki, ma interes w tym zamieszaniu.

- I na miejsce bitwy wybrali Meksyk.

- A ty byś nie wybrała?

- Słusznie.

- Jak mówiłem, możliwe, że te zamieszki na granicach to tylko manewr taktyczny. Wróg chce zwabić wasze wojska, odsłonić prawdziwe cele. Co nie znaczy, że Meksykanie nie chcieliby odzyskać swoich dawnych ziem.

- Doskonały plan ataku terrorystycznego?

- Nic nie jest doskonałe. Ale przekaz prezydentowi, że incydenty na meksykańskiej granicy mogą być tylko przynętą która ma wywabić amerykańskich żołnierzy na południe.

- Zostawimy bez obrony naszą stolicę i skoncentrujemy żołnierzy na południowej granicy, gdzie będzie można ich zmieść jednym ciosem. To przepis na katastrofę.

Zapadła cisza, w której oboje zastanawiali się nad konsekwencjami tego, co właśnie powiedzieli. Wreszcie odezwała się Conch:

- Jest coś jeszcze, co potwierdza twoje podejrzenia. Trzy godziny temu zadzwonił do

mnie generał Charley Moore, szef Kolegium Połączonych Sztabów w Pentagonie. Moore ma agenta nazwiskiem Brock, który właśnie przebywa na terenie trójkąta...

- Harry Brock wy dostał mnie z dżungli.

- Racja. Po tym, jak cię wy dostał, postanowił zapuścić się w dzicz. Myśleliśmy, że nie żyje. Ale właśnie pojawił się żywy w Brazylii. Sześć godzin temu zgłosił się do swojego szefa. Widział tam coś, z czym sam nie da sobie rady. Twierdzi, że to sytuacja wymagająca natychmiastowej interwencji.

- Papa Top. Harry musiał go znaleźć. Conch, musisz zarządzić uderzenie.

- Nie. W tym klimacie politycznym Waszyngton nie zamierza robić dywanowych nalotów na Amazonię. Wiesz o tym doskonale. Proszę cię o pomoc. Poza protokołem.

- Odnajdę Brocka. Zrobię, co w mojej mocy.

- Brock zaszył się gdzieś pod Manaus, w hotelu o nazwie Pałac w Dżungli. Siedzi tam teraz i czeka na wieści od ciebie.

- Możesz mu przekazać, żeby czekał spokojnie? Zabiorę go stamtąd w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Załatwione. Alex, posłuchaj. Obawiam się, że mamy związane ręce. Żałuję, że nie ma sposobu...

- Nie musisz nic mówić. Rozumiem, w jak trudnym położeniu jesteś, Conch. Ani ty, ani prezydent nie możecie sobie teraz pozwolić na niepowodzenie tajnej operacji, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej.

- Dobrze to ująłeś, Alex. Musisz zrozumieć, że będziesz zdany tylko na siebie.

- A kiedy nie byłem zdany tylko na siebie?

- No tak. To przecież w twoim stylu, prawda, lordzie Hawke? Samotny wilk we własnej osobie.

- Kiedy wrócę, postaram ci się wszystko wyjaśnić, ale na razie muszę się zbierać.

- Nie szalej za bardzo.

- Mam odpowiednie wyposażenie. Właściwych ludzi. I doskonale znam miejsce działania. Chcę to załatwić sam.

- Kiedy podnosisz kotwicę?

- „Stiletto” może ruszyć za sześć godzin.

- Alex, nie lubię tego mówić. Ale mam naprawdę złe przeczucia.

- No cóż, Conch. Trudno ci się dziwić.

- Nie igraj z losem. Już raz byłem pewna, że zginąłeś w Brazylii.

- Ale nie byłem jeszcze na to gotowy. Chciałem jeszcze trochę pożyć. Choć czasami

mam ochotę rzucić to wszystko i wrócić na cholerne Bahamy. Leżeć cały dzień w hamaku i popijać pinakoladę.

- Dobranoc, Alex.

- Dobranoc, Conch.

- Uważaj na siebie. *Vaya con Dios*.¹⁹

55

Następnego dnia Hawke wstał wcześniej rano i wziął się do pracy. Wschodzące słońce rzucało lśniące promienie na grzbiety fal. Zapowiadał się pogodny dzień. Poza otoczonym murem terenem starej bazy marynarki wojennej Key West jeszcze spało.

Na najwyższym pokładzie „Blackhawke’a” słychać było tylko krzyki białych mew i czarnych czapli, które krążyły w pobliżu ogromnej rufy jachtu, oraz łopot bandery powiewającej na mahoniowym maszcie.

Ambrose Congreve też wstał. Zjadł śniadanie, a teraz siedział przy stoliku na rufie. Miał na sobie panamę z szerokim rondem i trzyczęściowy garnitur z żółtawego lnu. Pisał coś w książce z kodem.

- Dzień dobry, Alex - powitał Hawke’a. - Dobrze się spało, przyjacielu?

- Dobrze, ale krótko - odparł Hawke z krzywym uśmiechem.

Obudził się o piątej. Zadzwoił w kilka miejsc, spakował sprzęt na dwutygodniowy pobyt poniżej równika, a potem pływał poza zatoką. Udało mu się pokonać jeszcze dłuższy dystans niż wczoraj, więc choć zmęczony, aż tryskał energią. Był gotów ruszyć w drogę.

„Stiletto” stała przycumowana tuż za rufą „Blackhawke’a”. Na nabrzeżu przez całą noc paliły się łukowe lampy, bo trwały ostatnie przygotowania do wyprawy w tropiki. Mieli odpływać już za dwie godziny.

- Zjedz śniadanie - zaproponował Congreve. - Śledzika?

- Próbuję rzucić śledziki. Nie znoszę ich zresztą.

Hawke przysunął sobie krzesło, a steward przyjął zamówienie na owoce, kawę, jajka i tosta z dżemem pomarańczowym.

- Nie uwierzysz - odezwał się Ambrose. - Rano widziałem, jak Pippa pędziła po trapie, ciągnąc za sobą bagaż. Na brzegu czekała już taksówka.

¹⁹ *Vaya con Dios*. [(hiszp.) - Jedź z bogiem.]

- Zarezerwowałem jej wczesny lot - odparł Alex. - I tak zresztą miała dzisiaj wyjechać.

- O nic nie pytam.

- Zdaje się, że robisz postępy z kodem Zimmermanna, inspektorze - zmienił temat Hawke, zerkając na otwartą książkę obok talerza Congreve'a.

- Powiem ci jedno - rzekł Ambrose. - To będzie jakiś atak. I ktoś pracuje nad nim od dawna.

- Gdzie? Waszyngton? Nowy Jork?

- Na pewno Stany Zjednoczone. Ale nie mogę stwierdzić nic bardziej konkretnego na temat daty czy celu.

- Jeszcze za wcześnie, żeby mówić o tym Conch?

- A co mógłbym jej teraz powiedzieć? Dziwne, cały czas natykam się na frazę, „jego ręka na Biblii”. Kiedy kładzie się rękę na Biblii?

- Kiedy składa się przysięgę?

- Hm. Tak czy inaczej, w połowie książki zakodowana wiadomość nagle się urywa. Od strony dwieście trzydziestej zamienia się w całkowity bełkot.

- Po prostu kod przestaje działać?

- Tak. Wciąż próbuję. Tak przy okazji, Conch szukała cię wczoraj wieczorem. Zdaje się, że rozpętało się prawdziwe piekło.

- Wiem. Rozmawiałem z nią.

- I?

- Ambrose, przepraszam, że tak wyszło. Wiem, że nie znosisz niespodzianek. Ale dziś rano odwołałem twój lot do Londynu.

- Naprawdę? - Congreve otarł usta lnianą chusteczką. - Muszę przyznać, że myśl o kolejnych kilku dniach w tropikach nie jest mi niemiła.

- Zarezerwowałem ci inny lot. Twój samolot chyba właśnie ląduje.

- To coś?

Kilkaset metrów dalej do lądowania podchodził błękitny wodnopłat. Nos miał zadarty do góry, a pływaki lada chwila miały plusnąć o fale.

- Tak, to coś - potwierdził Hawke. - Piękny, prawda? Stary grumman goose. Model G-21. Zbudowany tuż po wojnie, ale gruntownie odremontowany, zapewniam cię. Stokely twierdzi, że obecny właściciel wymienił stare silniki na nowe z turbodoładowaniem. Tak a propos, Stoke jest na pokładzie. Zaprosiłem go na śniadanie.

- Z przyjemnością go zobaczę. Ale nie sądzisz chyba, że pofrunę w tej puszcze? Dokąd,

u diabła, mnie wysyłasz?

- Naszą jedyną nadzieją jest złamanie tego cholernego szyfru. To jedyny sposób, żeby dowiedzieć się, co ci dranie planują. Musisz polecieć do Manaus i odnaleźć żonę ambasadora. Jeszcze dziś. Na miejscu spotkasz się z pewnym Amerykaninem z CIA. Nazywa się Harry Brock i jest naprawdę niezły. To NAT.

- Nieoficjalny Agent Terenowy. Cichociemny.

- Tak. Jeśli coś kupuje, to bez rachunku. On się zajmie wszelkimi przygotowaniami. Macie jedno zadanie. Odnaleźć wdowę po Zimmermannie, gdziekolwiek by była. Zabierz ze sobą książkę. Przegryź się przez ten kod jak najszybciej. Nie przesadzam, mówiąc, że odszyfrowanie tego diabelstwa może się okazać bardzo ważne. Dla wszystkich.

- Doskonale cię rozumiem, Alex.

- Ambrose, kopę lat - huknął Stokely, stając na najwyższym szczeblu schodków przy prawej burcie. - Wyglądasz jak Sherlock Holmes w wykonaniu Sydneya Greenstreeta.

- Stoke! - Ambrose wstał, żeby uściskać olbrzyma. - Cudownie znów cię widzieć - rzekł, poklepując go po plecach.

Hawke również uścisnął Jonesa na powitanie.

- Zapraszamy na śniadanie - powiedział.

- Czy to pudło poleci? - zapytał Congreve, zerkając niepewnie na „Błękitną Geś”, która sunęła po wodzie w stronę nabrzeża do tankowania.

- Taką mam nadzieję.

- Ambrose, ty i Stokely musicie znaleźć tę wdowę. Tylko ona może nam teraz pomóc.

- To prawda - przyznał Congreve. - Wątpię, czy uda mi się rozwiązać tę zagadkę bez niej.

- „Stiletto” dotrze do Manaus mniej więcej za czterdzieści osiem godzin. Jak Bóg da, a morze będzie spokojne, to pojutrze o siódmej rano powinniśmy bezpiecznie przycumować przy hotelu.

- A „Blackhawke”?

- Zostaje tutaj.

- W takim razie do zobaczenia w Manaus, Alex - powiedział Congreve, wstając od stołu. - Z Bogiem.

- Ruszamy w to szambo punkt ósma, inspektorze. Nie zapomnij o zatyczce do nosa. I nie spóźnij się.

- Słowo „spóźnić się” nie figuruje w moim słowniku.

Congreve włożył kapelusz i szedł po schodkach.

- Jak, u licha, mamy znaleźć w tej dżungli naszego łobuziaka? - zapytał Stoke Aleksa.

- Myślę nad tym.

Stoke się uśmiechnął.

- Proszę nie zapomnieć laptopa, szefie. Jak się zgubimy, połączymy się z Googlem i wpisujemy „Amazon.com”.

56

Czarna Dżungla

Muhammad Top, ubrany w szytą na zamówienie burkę ze skóry leoparda i firmowy melonik, siedział za sterami wozu bojowego jadącego na wschód M Street w Waszyngtonie. Zbliżał się do celu. Delikatnie pulsujące niebieskie i żółte diody nad monitorami do sterowania ogrem nadawały nieprzyjemny poblask jego wykrzywionej twarzy. Potężny czołg został zaprojektowany tak, by samodzielnie poruszać się po polu bitwy.

Ale jaką przyjemnością było prowadzenie takiego potwora.

Top mrużył oczy, manewrując mechanicznym monstrem po zaśnieżonych ulicach Waszyngtonu.

Słyszał skrzypienie potężnych gąsienic, kiedy czołg skręcał z M Street w szeroką aleję. Poskromił bestię. Potrafił ją skierować tam, gdzie chciał.

System sterowania ogniem ogra był uzbrojony i gotowy do działania. Za chwilę zada pierwszy cios. Zobaczy błysk i usłyszy terkot karabinków. Gdy wróg padnie martwy i nie będzie już stanowił zagrożenia, Muhammad wystrzelił rakiety. Popędzą do celu, tworząc dziury w miejscach, gdzie kiedyś stały pomniki minionej cywilizacji.

Ta chwila nadejście za niecałe siedemdziesiąt dwie godziny.

Top sterował ogrem, który przedzierał się przez gęstą burzę śnieżną w dzień Nowego Roku. Pojazd ważył ponad sto ton. Mimo ciężkiego uzbrojenia był w stanie pędzić z prędkością stu kilometrów na godzinę i wspinać się na wzniesienia pod kątem trzydziestu stopni.

Ogr przyjmował polecenia albo od człowieka, albo od systemu sztucznej inteligencji. Istniał też tryb pozwalający mu działać autonomicznie. W tym trybie czołg funkcjonował całkiem samodzielnie; zbierał dane i podejmował decyzje na polu walki w zależności od

zmieniających się warunków.

Jednak Top zawsze miał bardzo osobiste podejście do niszczenia. Nie chciał siedzieć głęboko w betonowym bunkrze w pieprzonej dżungli, gdy nadejdzie Godzina Chwały. Chciał być w pierwszym rzędzie, kiedy szatan wreszcie dostanie to, na co zasłużył. Nie mówił Khanowi o swoich uczuciach. Khan bowiem wierzył w doskonałość maszyn. Uważał, że im mniej ludzi jest zaangażowanych w prowadzenie wojny, tym mniejsze ryzyko, że coś pójdzie nie tak. Oczywiście miał rację.

Cyfrowe informacje przekazywane teraz do mikroprocesora ogra stanowiły dokładne odzwierciedlenie przyszlotygodniowej prognozy amerykańskiego instytutu meteorologicznego dla stanów na Wschodnim Wybrzeżu. Przez cały Środkowy Zachód przetaczał się front niskiego ciśnienia, który zmierzał prosto w stronę stolicy kraju. Pokładowy system dynamicznej analizy pogody przekazywał czołgowemu „kontrolerowi czujników” bieżący obraz nadchodzącej burzy śnieżnej i dostarczał operatorowi drobnych informacji na temat temperatury, prędkości wiatru, ciśnienia atmosferycznego i - co najważniejsze - warunków na drodze.

Śnieg był niemal oślepiający. Jechać dało się tylko dzięki radarowi i odbiornikowi GPS, które to urządzenia pokazywały na ekranie wszelkie przeszkody stojące czołgowi na drodze. Pięć minut wcześniej Top omal nie minął Jefferson Memorial i nie wpadł do lodowatego Potomacu. Głośny brzęczyk ostrzegł go, że zbacza z kursu, i uratował w ostatniej chwili.

Oblodzone drogi, ledwo widoczne i nieznajome, stanowiły dla operatora ogromne wyzwanie. Mimo to Top potrafił zapanować nad maszyną i czołg z powodzeniem pokonywał kolejne kilometry pola bitwy, którym był Dystrykt Kolumbii.

Obsługiwał ręcznie ogra od blisko godziny. Poza wspomnianą już drobną pomyłką bez problemu zdołał przejechać przez most Key i wjechać w labirynt ulic Georgetown. Teraz okrążał rondo Waszyngtona i przygotowywał się, by skrócić bestię w lewo, w Pennsylvania Avenue. Na razie nie napotkał żadnego znaczącego oporu. Dwa radiowozy policji stanowej ścigały go przez kilka przecznic, ale pozbył się ich za pomocą karabinów maszynowych kaliber .23 milimetry.

Nagle usłyszał sygnał alarmowy. Kątem oka dostrzegł pomarańczową migającą kropkę przesuwaną się po komputerowo wygenerowanej mapie Waszyngtonu. Zmierzała w jego stronę, i to z niepokojącą prędkością. Na dole ekranu zamigał napis: „Załogowy pojazd bojowy”. Cholera, czołg.

Top obrócił ogra w stronę zbliżającej się kropki, która była w odległości pięciu

kilometrów. System zagłuszania elektronicznego miał włączony. Zastanawiał się, dlaczego impuls elektromagnetyczny nie zniszczył systemu sterującego wrogiego czołgu. Tak czy inaczej, miał jeszcze dość rakiet z niewielkimi głowicami, więc nie obawiał się. Nie bez powodu czuł się niepokonany.

Uruchomił celownik do sterowania ogniem i z wprawą przesunął jaskrawoczerwoną kropkę po ekranie. Kiedy kropka pomarańczowa i czerwona nałożyły się na siebie, wcisnął żółty guzik na panelu.

Obie kropki zniknęły. Chwała niech będzie Allahowi!

Powrócił do oblodzonej drogi, która rozciągała się przed nim. Zbliżał się do jednego z głównych celów. Czuł, jak narasta w nim napięcie.

Prawa ręka, w której trzymał dżojstik, lekko drżała, kiedy otwierał przepustnicę i pchał drążek do przodu, by dodawać gazu.

Udało mu się skrócić w lewo przy prędkości ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Kiedy czołg zrównał się z Białym Domem, zwolnił, uzbroił główne działo i sięgnął do małego dżojstika, którym sterowało się wieżyczką. Kilka sekund później celował dokładnie w północny portyk Białego Domu.

Na łańcuchach nad wiatą wjazdową wisiała duża latarnia. Jarzyła się miękkim żółtym światłem przenikającym przez zacinający śnieg. Top widział ten portyk wiele razy - zaaferowani dyplomaci wchodzili i wychodzili tędy, żeby ratować świat przed ludźmi takimi jak on.

Wystrzał z karabinów na przodzie czołgu zniszczył latarnię. Muhammad położył dłoń na panelu sterującym głównym systemem uzbrojenia. Zaraz wysłał raketę prosto przez drzwi Wielkiego Szatana.

*

- Wystarczy! - usłyszał w słuchawkach głos Khana. - Koniec zabawy. Musimy iść nad rzekę na prezentację.

- Dobrze sobie poradziłem? - zapytał Top, wychodząc z symulatora ogra. W podziemnym bunkrze było jeszcze chłodniej niż w symulatorze.

- Tak - odparł Khan. - Prawie bezbłędnie.

- Tylko maszyny są zdolne do perfekcji - powiedział Top, wiedząc, że Khan właśnie te słowa chciał usłyszeć.

- Szkoda, że nie będziesz prowadził na północ jednego z tych potworów, Muhammadzie.

- Mam do tego smykałkę, doktorze Khan - rzekł Top, odbierając swoją lotniczą kurtkę

od jednego z techników. - Mój ojciec kierował sto dziewięćdziesiątą drugą Dywizją Zmechanizowaną w Dolinie Łez na wzgórzach Golan w 1973.

- Znałem twojego ojca. Był twardym wojownikiem. Ale przegrał. Wystarczyło sto pięćdziesiąt izraelskich czołgów, żeby zamknąć w pułapce tysiąc czterysta syryjskich maszyn. To była katastrofa. Przysiągłem sobie wówczas, że upokorzenie twojego ojca nigdy więcej się nie powtórzy.

Abu Khan dobrze wiedział, o czym mówi.

W 1973 roku, w czasie wojny Yom Kippur, kierował zmechanizowanymi dywizjami wysłanymi na wzgórze Golan, które chroniły Izrael od północy. Jakikolwiek atak ze strony Syrii musiał się odbyć przez jedną z dwóch przełęczy, przez które mogły przejechać pojazdy opancerzone.

Zaskoczone i o wiele mniej liczne wojska Izraela powstrzymywały najeźdźców przez pierwsze dwie doby. W tym czasie Izraelczycy zdołali zmobilizować i rzucić na miejsce siły niezbędne, by odeprzeć i w końcu ostatecznie pokonać Syryjczyków.

Od tamtego czasu Khan szukał odkupienia. Po porażce w 1973 roku był odpowiedzialny za wyposażenie syryjskiej armii w najnowocześniejsze rodzaje broni. Teraz generałowie Khana mieli u stóp wzgórz Golan aż cztery tysiące czołgów i rakiety typu Scud-C, dwa razy potężniejsze i cztery razy dokładniejsze niż irackie scudy, które spadały gęsto na Izrael podczas wojny w Zatoce.

Kiedy wybuchnie nowa wojna, całe mrowie syryjskich scudów spadnie na Hajfę i Tel Awiw, siejąc panikę wśród cywili i niszcząc izraelskie rezerwy wojskowe.

Ale Khan miał też bardziej dalekosiężne plany. Na tajnym spotkaniu w Damaszku widział zarys planu podboju Ameryki Łacińskiej snute przez Topa. Natychmiast przyszło mu do głowy, że to szansa, by zbudować, przetestować i wdrożyć zdalnie sterowane siły powietrzne oraz mechaniczną armię - niezawodne, bo wolne od ludzkich słabości i błędów.

- Stworzyłeś niezniszczalną armię, panie - powiedział Top.

- Tak, z bożą pomocą. Nie ma tu miejsca na błąd człowieka. Pamiętaj o tym, prowadząc swoje gry wojenne, mój bracie Muhammadzie. Dzień Prawdy nadchodzi. Zrobiliśmy już wszystko, co mogliśmy. *Inshallah*.

Czarodziej z Damaszku wierzył, że niezawodne maszyny powinny zadać pierwsze ciosy w tym dżihadzie. Na ulicach Waszyngtonu pojawi się śmierć, niewidoczna i nieoczekiwana. Abu Khan i Muhammad Top lepiej przysłużą się Sprawie, jeśli tego dnia zostaną tu, w bunkrze. Niech maszyny dokonają dzieła zniszczenia infrastruktury politycznej i wojskowej wroga.

- Tak, panie. Nic już tu nie możemy zrobić.
- Zdaje się, że beduin jest gotowy do inspekcji?
- Tak. Chodźmy.

Beduin był małym bezzałogowym okrętem podwodnym, który miał przewieźć jeden, ale za to śmiertelny ładunek. Można nim było zdalnie sterować z odległości nawet dziesięciu tysięcy kilometrów, a w jego kadłubie znajdowała się głowica jądrowa o mocy stu pięćdziesięciu kiloton. Głowica była zabezpieczona przed impulsem elektromagnetycznym, który mógłby nastąpić po wybuchu w jej pobliżu ładunków jądrowych. Beduin, okręt wielkości volkswagena busa, zostanie przetransportowany drogą lotniczą najpierw do Manaus, a potem do Meksyku, skąd pojedzie w naczepie ciężarówki do ustalonego miejsca w Stanach Zjednoczonych.

Owo miejsce to mała farma w pobliżu Lee's Ferry, niewielkiego miasteczka nad Potomakiem w stanie Wirginia. Farma nazywała się Cud Poranka i należała do bardzo bogatego człowieka z Rio de Janeiro, który z kolei był własnością potężnego międzynarodowego koncernu z siedzibą w Dubaju.

Właściciel farmy, Niemiec, okazał się zdrajcą.

Ale zdrajca już nie żył.

Nazywał się Zimmermann.

57

Prairie, Teksas

- Czy ten złom nie może jechać szybciej? - zapytała June.
- Jadę tak szybko, jak się da, i żebyśmy się nie pozabijały - odparła Daisy.
- Po prostu boję się, czy zdążymy. Nie wściekaj się na mnie, Daisy Dixon.
- Która jest?
- Za kwadrans dziesiąta.
- Cholera. FedEx zawsze przyjeżdża o czasie. Już nieraz widziałam ich ciężarówkę. Zawsze podjeżdża do skrzynki punktualnie, można według niej regulować zegarek.
- No to dodaj gazu i pojedź skrótem do ratusza.
- Przez stację benzynową? Oszalałaś? Ross na pewno założył łańcuchy po obu

stronach. Zamyka o dziewiątej.

- Kiedy ostatnio jechałaś tym skrótem?
- Jestem żoną szeryfa. Nie jeżdżę na skróty.

Za pięć dziesiąta wyjechały zza rogu na dwóch kołach i skręciły w główną ulicę sześć przecznic od placu, gdzie stał ratusz. Daisy stwierdziła, że jak na piątkową noc miasto jest dziwnie puste. Wszystko wyglądało na pozamykane, nie paliły się nawet latarnie. Dziwne.

- Co tu się dzieje? - zastanowiła się June, najwyraźniej równie zdziwiona.
- Lampy są chyba powystrzelane - stwierdziła Daisy. - Część witryn też.

Zwolniła i zgasiła światła. Do ratusza miały jeszcze pięć przecznic.

Skrzynka FedEksu stała na chodniku dokładnie przed nim. Daisy spojrzała na zegarek. Za pięć minut pojawi się ten chłopak z FedEksu. Znała go jeszcze z czasów, kiedy pracowała jako nauczycielka plastyki w miejscowym liceum. Nazywał się Buddy Shirley i nigdy nie spóźniał się na lekcje.

Zobaczyła coś, co zaniepokoiło ją jeszcze bardziej. Kilkoro drzwi było otwartych na oścież, jakby ludzie uciekali w pośpiechu.

Daisy zatrzymała wóz.

- Coś jest nie tak. Lepiej tu zaczekajmy, dopóki nie zorientujemy się, co się dzieje.
- Co tam robi ta ciężarówka? - szepnęła June kilka sekund później.

Wielka ciężarówka wyglądała jak stary samochód do przeprowadzek i stała przed sklepem z AGD Sama Robina. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że tylne drzwi miała otwarte, a w środku siedział mężczyzna z latarką który najwyraźniej obserwował ulicę. Na chwilę zatrzymał smugę światła na ich pikapie, a potem przesunął dalej.

Obie kobiety skuliły się na przednich siedzeniach.

- Myślisz, że nas zauważył?
- Nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że nie.

Obserwowały z odległości czterech przecznic, jak dwóch rosnących chłopaków wynosi ze sklepu wielkie kartonowe pudło i wkłada je na podnośnik ciężarówki. Daisy widziała już takie pudła. Pakowano w nie ogromne płaskie telewizory, które kosztowały co najmniej pięć tysięcy dolarów.

- Rabusie - stwierdziła June.
- Tak. Nie ruszajmy się. Buddy musi tędy przejechać, żeby dotrzeć do skrzynki.
- Myślisz, że ci faceci mają broń?
- A ty jak sądzisz?
- Ta ciężarówka nie wygląda, jakby była stąd.

- Bo nie jest. Ci chłopcy to chyba Meksykanie.

- Trzeba przyznać, że mają tupet - mruknęła June. - Ledwo przekroczyli granicę, a już wybrali się na zakupy bez gotówki.

- Coś tu jest nie tak - powiedziała Daisy. - Miasto wygląda jakoś dziwnie.

June skinęła głową.

- Zastanawiam się, jak dostarczyć Buddy'emu kopertę. Nie możemy przecież podjechać i wrzucić jej do skrzynki, bo ci z ciężarówki nas zauważą.

- W kieszeni szlafroka mam jeszcze kilka nabożów. Weź je, załaduj obie lufy i trzymaj strzelbę w pogotowiu.

June przeładowała parkera.

- Myślisz, że nas zauważyli? - spytała znowu June.

- Myślę, że nie. Są zbyt zajęci wynoszeniem sprzętu od Sama - odparła Daisy z uśmiechem.

- Cholera, nic dziwnego, że ludzie tu nie...

- Cicho! Myślę!

- Daisy, jest już dziesiąta - szepnęła June piętnaście sekund później. Obróciła głowę i wyjrzała przez tylną szybę, czekając na światła samochodu jadącego główną ulicą. - Gdzie on jest? Myślisz, że się wystraszył?

- Buddy na pewno przyjedzie. Lada chwila. Mam pomysł.

- Jaki?

- Zatrzymam Buddy'ego, kiedy będzie przejeżdżał, i podam mu kopertę. Napisałaś na niej dokładny adres?

- Oczywiście.

Daisy chwyciła kopertę, otworzyła drzwi i wyszła na chodnik. Żałowała, że wewnętrzne oświetlenie w pikapie nie było popsute jak zwykle. Przymknęła cicho drzwi i przeszła na tył auta.

- Buddy jedzie - oznajmiła June ze środka. Światło w pikapie znów się zapaliło, gdy uchyliła swoje drzwi.

- Siedź w środku! - zgromiła ją Daisy. - Nie wysiadaj...

Ale June otworzyła drzwi i wyszła na ulicę dokładnie w chwili, kiedy biała furgonetka FedEksu z Buddym za kierownicą minęła ją z prędkością co najmniej stu kilometrów na godzinę. Zielone i fioletowe litery z boku tylko mignęły. Dopiero kilkanaście metrów od skrzynki na przesyłki Buddy zahamował z piskiem opon, nie wyłączając silnika. Drzwi od strony kierowcy się otworzyły.

- Buddy! Nie! - krzyknęła Daisy i popędziła w jego stronę. - Nie wychodź z tej choleralnej ciężarówki! Oni mają broń!

Nagle rozległo się staccato z ciężkiej broni maszynowej po drugiej stronie ulicy. Daisy zobaczyła błysk z lufy trzymanej przez mężczyznę, który stał na podnośniku wielkiej ciężarówki. Furgonetka FedEksu aż zakołysała się od strzałów, a szyba od strony pasażera rozprysła się na drobne kawałki. Ze sklepu Sama wybiegło kolejnych dwóch mężczyzn, którzy wyciągnęli broń.

Buddy zachwiał się i byłby upadł, ale zdołał chwycić drzwi od strony kierowcy i wejść do środka. Po chwili furgonetka szarpnęła do przodu i odjechała z piskiem opon.

- Uciekaj, Buddy! - krzyczała Daisy. - Uciekaj stąd!

58

Daisy popędziła do samochodu, nie oglądając się na Meksykanów. June siedziała w pikapie ze strzelbą wystawioną przez okno.

- Postrzelili Buddy'ego - powiedziała tak spokojnie, jakby miała nerwy ze stali. - Jedźmy sprawdzić, czy możemy mu pomóc.

Daisy wskoczyła za kierownicę. Najpierw wcisnęła gaz do dechy, a dopiero potem puściła hamulec ręczny. Tej techniki nauczył ją starszy brat Rance.

Wyrwały do przodu, pałac gumy.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknęła Daisy, kiedy June wychyliła się przez okno.

- Odpowiadam ogniem - odkrzyknęła June. Właśnie mierzyła do mężczyzny, który stał na podnośniku i obserwował ucieczkę Buddy'ego. Wzięła go na celownik i nacisnęła niemal równocześnie oba spusty. Huk w pikapie był ogłuszający.

- Nie zadzieraj z Teksasńczykami, dupku! - wrzasnęła, przekrzykując huk wystrzału.

Daisy jechała za szybko, żeby skupić się na czymkolwiek innym niż droga przed maską. Dwaj pozostali Meksykanie uskoczyli w samą porę, by nie dostać się pod koła pikapa. Ciężarówka mignęła jej po prawej. Nie widziała już mężczyzny, który stał na podnośniku.

- Trafiaś go? - zapytała.

- Tak - odparła June, oglądając się przez ramię. - Nie zatrzymuj się. Dwaj pozostali wsiadają do ciężarówki.

W lusterku wstecznym zobaczyła światła.

- Już jadą.

Ciężarówka ruszyła w pościg za nimi. Nie była demonem szybkości, ale pikap też nie był samochodem rajdowym. Daisy wcisnęła gaz do dechy, prawie wydeptując dziurę w podłodze.

- June, weź jeszcze trochę nabojów - powiedziała. - Bierz wszystkie.

- Wiele razy zastanawiałam się, jak by to było pojeździć sobie po mieście i postrzelać
- odparła June, sięgając do szlafroka przyjaciółki po kolejne naboje.

Daisy się uśmiechnęła.

- Jest Buddy - oznajmiła chwilę później. - Chyba go doganiamy.

Przed sobą miały tylne światła furgonetki Buddy'ego. Wszedł właśnie w zakręt i zaczął jechać pod górę. W lusterku wstecznym wciąż widać było światła wielkiej ciężarówki, ale Meksykanom trudno było dogonić pikapa.

- Dogonisz go?

- Jest szybszy. Ale się staram.

- Może daj znak, żeby się zatrzymał?

- Nie możemy się zatrzymywać, June. Ci dwaj *amigos* siedzą nam na ogonie.

Jakieś pięć kilometrów za miastem Daisy zdołała dopędzić Buddy'ego i zaczęła mu migać długimi światłami. Chyba rozpoznał jej zielonego forda, bo zwolnił na tyle, żeby mogła się z nim zrównać.

- Buddy, to my! - zawołała June.

- Czego chcecie? - Buddy przekrzykiwał wiatr. - Mam już małe opóźnienie!

- Mamy przesyłkę do nadania! - wrzasnęła June. - Musi pójść dzisiejszą pocztą. To bardzo pilne!

- Powiedz mu, że to sprawa bezpieczeństwa narodowego - podpowiedziała Daisy.

- Buddy, chodzi o bezpieczeństwo narodowe!

Kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

- Podaj mi ją tędy - odkrzyknął. - Trochę zwolnij.

- Zaczekaj chwilę - zawołała June i odwróciła się do Daisy. - Zwolnij, dobrze? I nie kręć tak kierownicą.

Buddy zwolnił do niecałych osiemdziesięciu na godzinę. Daisy dopasowała prędkość i zbliżyła się do furgonetki tak, że jechali równo w odległości około metra.

- I jak? - zapytała.

- Świetnie - odparła June i podniosła kopertę z siedzenia.

- Łap, Buddy! - zawołała, wyciągając rękę.

Buddy sięgnął po kopertę.

- Trzymasz? - spytała June.

- Tak! - Buddy wciągnął kopertę do środka. - Poleci dzisiejszą pocztą! Macie to jak w banku.

- Doskonale! Bardzo dostałeś?

- Nie. To tylko draśnięcie.

- Masz pojechać do Southwest Medical, żeby ci założyli szwy. Zrozumiano?

- Tak. Pojadę tam, jak tylko dostarczę pocztę. Życzę miłego wieczoru!

- Dobranoc!

June opadła na fotel i odgarnęła włosy z oczu. Obie patrzyły, jak furgonetka FedEksu odjeżdża z rykiem silnika i znika za wzniesieniem.

- Ale zabawa - powiedziała June, uśmiechając się do Daisy. - Meksykanie nadal nas gonią?

- Zgubiłyśmy ich. Nie dali rady pod górkę. A teraz zamknij okno. Zimno tu jak w psiarni.

- Patrz! - krzyknęła June, zamykając okno. - Tam na południu chyba coś się pali.

Daisy spojrzała we wskazanym kierunku.

- Moim zdaniem pali się nie jedno coś, ale znacznie więcej powiedziała. - To gdzieś w Dolores.

- Jedźmy tam.

Przy pierwszym zjeździe z autostrady Daisy skręciła w prawo na starą stanową drogę prowadzącą na południe. Kiedy wjeżdżały na wzniesienie, minęła je osiemnastokołowa ciężarówka. Za nią, w równych odstępach jechało kilkanaście podobnych, jedna po drugiej.

Nim zdołała zastanowić się nad tym zjawiskiem, zobaczyła, że za ostatnią ciężarówką w konwoju jedzie nowiutki radiowóz.

- To był chyba Homer Prudhomme - powiedziała June. - Co on, u licha, robi? Śledzi ten konwój?

- Pewnie znowu tropi jakieś duchy - odparła Daisy.

- No proszę, Prairie ma własnego pogromcę duchów. June pokręciła głową, a Daisy aż się popłakała ze śmiechu.

Homer minął zdezelowanego pikapa jadącego w przeciwnym kierunku. Samochód tylko mu mignął, bo jechał bardzo szybko, ale przypominał auto pani Dixon. Stary groszkowy ford pikap. Kątem oka dostrzegł dwie kobiety, chyba z czegoś się śmiejące.

Przypomniał sobie, że jest piątkowy wieczór. Miał nadzieję, że kobiety w tym pikapie nie liczą na dobrą zabawę w Dolores.

Bo Dolores płonęło. W lusterku wstecznym wciąż widział czerwoną łunę nad miastem. Pewnie podpalenie. Kiedyś podpalenia były rzadkością. Zdarzało się, że jakiś farmer puścił z dymem stodołę w nadziei na pieniądze z ubezpieczenia. Ale to było kiedyś. Dziś cały kraj stanął na głowie.

A już Teksas z całą pewnością. Tej nocy dwie miłe damy nie powinny kręcić się same po pustyni.

Szeryf wciąż jest na Key West, może więc pani Dixon wybrała się na babską imprezę z przyjaciółką. Ponoć kiedy kota nie ma, myszy harcują.

Uśmiechnął się i pokręcił głową. Od tej strony pani Dixon w ogóle nie znał. Zawsze wydawało mu się, że to cicha i pobożna dama. Jeśli nie siedziała z nosem w powieści Nory Roberts, to gotowała kolację, robiła na drutach, cerowała koszule Franklina albo sprzątała oborę. Nigdy nie widział jej na tańcach w sobotę, więc uznał, że pewnie jest jedną z tych baptystek, które obmywiają stopy i ogólnie nie pochwalają tańców.

Mówiąc szczerze, trochę się martwił o panią Dixon, od kiedy szef wyjechał z miasta. Siedziała sama na farmie, a ostatnio działo się tyle niepokojących rzeczy. Zawsze była dla niego dobra i okazywała mu szczerą troskę. Był jej za to naprawdę wdzięczny. Chciał spłacić część tego długu.

Ale kiedy wspominał w pracy, żeby od czasu do czasu ktoś sprawdził, co się dzieje u pani Dixon, June Weaver ostrzegła go: żeby dał sobie spokój.

- Homerze Prudhomme, jeśli to zrobisz, to cię zrużga tak, że popamiętasz ruski miesiąc. To osadniczka, a kobiety z Teksasu potrafią o siebie zadbać.

Więc Homer się nie mieszał. Ale jeżeli sytuacja w Prairie się pogorszy, wymyśli jakiś pretekst i zajedzie do pani Dixon. Na przykład podrzuci nowy kryminał.

Miał poczucie winy, że trzyma się tego konwoju-widma, podczas gdy w Dolores szaleje pożar. Kiedy jednak usłyszał przez policyjne radio, że jadą tam dwa inne radiowozy z Prairie i kilka samochodów pożarowych oraz karettek, uznał, że poradzą sobie bez niego. Wziął głęboki oddech, wyłączył radio i skupił się na własnych sprawach.

Wiedział, że postępuje wbrew przepisom, ale nie mógł znieść tego hałasu na policyjnych łączach. Musiał pomyśleć, skupić się na zagadce ciężarówek. Jeszcze nie

wiedział o co chodzi, ale był gotów się założyć o każdą cenę, że to nic dobrego. Kiedy wszystko uda się wyjaśnić - a miał nadzieję, że mu się uda - na pewno nie zmarnuje niczyjego czasu, opowiadając o całej sprawie.

Konwój przyhamował na zakręcie i Homer też nieco zwolnił, utrzymując odległość pół kilometra. Nad tylnymi drzwiami ciężarówek zauważył małe kamerki. Duże ciężarówki często je miały, żeby łatwiej było cofać. Można je było włączyć w dowolnej chwili, żeby zobaczyć, kto jedzie z tyłu. Niezły system.

Kroilo się coś wielkiego. Czuł to przez skórę.

Znał pewne określenie na kogoś takiego jak on teraz. Człowiek z poczuciem misji, tak się to chyba mówiło. Jechał już prawie godzinę za konwojem osiemnastokołowych olbrzymów, które zmierzały na północny wschód z piętnastometrowymi naczepami wyładowanymi nie wiadomo czym. Niezależnie od tego, dokąd jada będą musiały gdzieś się zatrzymać na tankowanie. Sprawdzał wskaźnik paliwa. Na szczęście zanim wybrał się na poszukiwanie konwoju, dołał do pełna.

Ciężarówki jedna po drugiej wrzucały kierunkowskazy i skręcały na różne drogi. Wyglądało to, jakby jechały według jakiegoś planu. Na siedzeniu pasażera Homer miał rozłożoną mapę. Sprawdzał, że wszystkie te drogi prowadziły w kierunku północno-wschodnim.

Żadna ciężarówka nie skręciła na drogę, która biegłaby na zachód czy z powrotem na południe. Homer mógł pojechać za dowolną z nich. Wszystkie były podobne. Z przodu ciągniki: Mack, Freightliuer, Kenworth i Peterbilt. Standardowe naczepy długości piętnastu metrów, ważące około dwunastu ton. Ale na naczepach miały różne logo, mimo że same ciągniki były niemal identyczne. Dziwne, pomyślał.

Wielka naczepa z cytrusami, Big Orange, skręciła w prawo we Freer. Jechała teraz na wschód, może do Alice w stanie Teksas.

W Beeville, a potem w małej miejscinie Victoria kolejne ciężarówki skręciły na drogi 181 i 183, które prowadziły do międzystanowej przelotówki I-110. Biegła ona na wschód do Houston, a jej odnogi w różnych kierunkach na północ. Homer trzymał się głównego konwoju aż do płatnego odcinka pod Houston.

Ciężarówki musiały mieć wykupione elektroniczne karnety, bo przez pas automatycznego poboru opłat przejechały błyskawicznie. Za obwodnicą Houston wróciły na drogę 59, kierując się w stronę granicy z Luizjaną i do Shreveport.

Wtedy mu się poszczęściło, jeśli można tak powiedzieć. W Shreveport wszystkie ciężarówki skręciły na międzystanową drogę I-20, która prowadziła na wschód do Jackson w

stanie Missisipi, a dalej na północny wschód do Birmingham w Alabamie i do Chattanooga w Tennessee. Tam z kolei można było wskoczyć na I-75 biegnącą na północ. Skreśliły wszystkie poza jedną. Ostatnia ciężarówka, za którą jechał, była własnością Valley Spring Electronics Company. I to właśnie ona skreśliła w prawo na dwupasmową drogę na wschód.

Trafiony, zatopiony.

Teraz przed sobą miał znajomą ciężarówkę. To za nią dojechał aż do Gunbarrel. To ona zniknęła w garażu. To ją zatrzymali z szeryfem Dixonem tamtej okropnej nocy, kiedy grupa pościgowa wróciła bez głów.

Kiedy wielki Yankee Slugger na chwilę przyhamował tuż pod Nacogdoches, Homer zatrzymał się obok i próbował zajrzeć do kabiny.

Niestety, Slugger miał przyciemniane szyby. Można by się nawet przyczepić, że za ciemne jak na przepisy kodeksu drogowego. Gdyby chciał, już za samo to mógłby zatrzymać ten samochód.

Może garaż w Gunbarrel był pusty jak cmentarz, ale przecież ciężarówką nie kierował duch. Homer nie wierzył w duchy. Nie była też napędzana powietrzem. Wcześniej czy później ten ktoś czy to coś, co kieruje tym wozem, będzie musiało zatrzymać się na siku albo na tankowanie. A wtedy lepiej niech się ma na baczności. Z drogi śledzie, pan policjant jedzie - jak mawiała babcia. Zamierzał jechać za tą ciężarówką dopóki nie zabraknie jej paliwa, a wtedy wejść na nią rozebrać na części i zobaczyć, co nią kieruje.

Właśnie miał swoją pierwszą sprawę. I na Boga, postanowił, że ją rozwiąże, choćby nie wiadomo co.

Ciężarówka jechała tak, jakby kierował nią trzeźwy, praworządny obywatel. Bardzo rozważny kierowca - tak by powiedział szeryf Dixon. Nigdy nie przekraczał dozwolonej prędkości i zawsze włączał migacz przed zmianą pasa albo skrętem. Z jakiegoś powodu jechał szlakiem krajobrazowym. Trzymał się raczej drugorzędnych dróg, a nie wielkich autostrad stanowych czy międzystanowych. Dlaczego? Przecież tak było wolniej. Dokądkolwiek zmierzała ta ciężarówka, wcale jej się nie spieszyło.

Zatrzymywała się przed każdym znakiem stop i nigdy, ale to nigdy nie przekraczała podwójnej ciągłej. Kierowca, czy tam był, nie chciał dać policji jakiegokolwiek pretekstu do zatrzymania.

Ale Homer nie zamierzał odpuścić. Jeśli będzie trzeba, pojedzie za tą ciężarówką choćby na biegun północny.

Wziął do ręki krótkofalówkę, żeby zgłosić, gdzie jest.

Szeryf wyjechał na kilka dni z miasta, więc komu ma się zameldować? Wyattowi?

June powie mu po prostu, że znów się wygłupia. Homer wiedział, że za plecami nazywała go pogromcą duchów. Wszyscy tak go nazywali. Do diabła z tym.

Odłożył krótkofalówkę. Sam przeprowadzi tę misję.

60

Luizjana

Kiedy przekroczyli granicę Luizjany, Slugger zwolnił do sześćdziesiątki, a potem do czterdziestki. Homer zastanawiał się, dlaczego ciężarówka zwalnia. Droga biegła przez gęsto zalesiony teren, coś w rodzaju bagna, i od blisko pół godziny nie widział śladu cywilizacji. Ani straganu z przekąskami czy szalasu.

Sam zwolnił jeszcze bardziej, zwiększając dystans. Od kiedy wjechał w to Wielkie Bagnisko, czy jak mu tam, wyłączył światła. Księżyc świecił dostatecznie jasno, a jego zwierzyna nigdzie się nie wybierała.

Ciężarówka zwolniła do niecałych dziesięciu na godzinę i włączyła prawy kierunkowskaz. Zjeżdżała na bok i teraz Homer zrozumiał dlaczego.

Zbliżali się właśnie do małej stacji benzynowej. Po prostu rozsypująca się budka i dwa dystrybutory od frontu. Homer zatrzymał na poboczu przy grupce dębów, z której rozciągał się dobry widok na drogę. Stacja była mniej więcej kilometr dalej. On też miał mało paliwa, strzałka była już w okolicach rezerwy, ale chciał zobaczyć, co się stanie przy dystrybutorze. Prowadził naprawdę własne śledztwo. I wcale się nie bał. Nic a nic.

Siedział w radiowozie i czekał, bębniąc palcami po kierownicy. Nie spodziewał się, że ktoś wyjdzie ze Sluggera, i miał rację. Nikt nie wysiadł.

Ale minutę później z małej budki wyszedł jakiś mężczyzna. Zatrzymał się na chwilę na progu i podniósł prawą rękę do ucha na jakieś piętnaście sekund. Homer domyślił się, że rozmawia przez komórkę. Potem wsunął telefon do kieszeni dzinsów i wolno podszedł do wielkiej ciężarówki stojącej przy dystrybutorze.

Nietypowo jak na benzyniarza, palił papierosa. Dziwne było też to, że nie podszedł do okna od strony kierowcy, żeby zapytać: „Co lejemy?”, tylko po prostu zaczął wlewać paliwo.

Napełnienie prawie czterystulitrowego zbiornika potrwało chwilę. Homerowi się nie spieszyło, za to bardzo chciało mu się sikać. Właśnie wysiadł z radiowozu, żeby odcedzić

kartofelki, kiedy pompierz wyciągnął węża ze zbiornika Sluggera, wetknął z powrotem do dystrybutora i poczłapał z powrotem do kantorka. Nawet nie obejrzał się na ciężarówkę.

Nie zamienił ani słowa z klientem, co skłoniło Homera do przypuszczenia, że grubas wie, że za kierownicą ciężarówki nikogo nie ma. Wiedział to od samego początku. Mózg Homera aż się grzał, kiedy wszystko zaczęło mu się układać. Może jeszcze nie wszystko, ale już trochę.

Ten postój był z góry zaplanowany. Mała stacja benzynowa na pustej drodze w samym środku nocy. Jeśli ktoś nie chciał się rzucać w oczy, było to idealne rozwiązanie. Ten, kto to wszystko zaplanował, doskonale wiedział, co robi. Ani chybi jakaś mafia. I to bogata. Cały czas zastanawiał się, czy nie chodzi o narkotyki, a teraz był już pewien. Ktoś przerzucał ogromne ilości czyściutkiej heroiny, jeżdżąc po nocy bocznymi drogami.

Zerknął na zegarek. Druga. Ciekawe, czy wszystkie ciężarówki z konwoju zatrzymały się na takich podrzędnych stacyjkach jak ta. Cała ta sprawa z każdą chwilą stawała się coraz dziwniejsza.

Homer wskoczył z powrotem za kierownicę i wyjechał spomiędzy drzew na drogę. Szybko pokonał niewielki odcinek do stacji i zaparkował za Sluggerem.

Wysiadł, wyjął służbowy rewolwer, podszedł do okna od strony kierowcy i zastukał w ciemną szybę. Raz. Dwa razy. Cisza.

Nagle rozległo się burknięcie silnika, z wysokich chromowanych kominów buchnęły kłęby dymu i Yankee Slugger zupełnie bez pośpiechu ruszył ze stacji. Włączył prawy kierunkowskaz i wtoczył się z powrotem na drogę. Obserwując ciężarówkę odjeżdżającą na północ, Homer pomyślał, że jeśli kiedykolwiek spotka kierowcę, to poprosi go, żeby został instruktorem nauki jazdy. Naprawdę był niezły!

Odwrócił się i spojrzał na mały kantorek. Potrzebował paliwa i wiedział, że nie będzie miał większych szans, jeśli da się wyprzedzić Sluggerowi o więcej niż dziesięć kilometrów.

- Halo?! - krzyknął. - Następny klient!

Nikt się nie pojawił, więc przeszedł między dystrybutorami po spękany beton do budki. Nad drzwiami migał neon z napisem „Citgo”. Homer pchnął siatkowe drzwi i wszedł do środka z uniesionym rewolwerem. Nad kontuarem wisiała na drucie jedna żarówka. Była osłonięta metalowym abazurem i lekko się kołysała, jakby niedawno ktoś jej dotknął.

Za kontuarem nikogo nie było.

- Jest tu kto? Halo? Chciałbym kupić trochę benzyny.

Żadnej odpowiedzi.

Homer obszedł kontuar. Z tyłu były drzwi, prawdopodobnie na zaplecze. Otworzył je.

Natychmiast buchnął mu w nozdrza metaliczny zapach krwi.

Staruszek, do którego należała ta stacyjka, leżał oparty o tanie drewniane biurko. Nie miał górnej połowy głowy. Mózg wyciekał mu na mapę drogową Luizjany, a krew zdążyła już przemoczyć papier i rozlewała się po blacie.

Homer przyłożył palce za ucho staruszka, jakby chciał sprawdzić puls. Oczywiście pulsu nie było, ale...

Tuż za tylnym wyjściem z kantorku ktoś odpalił potężny motocykl. Wielkiego choppera z prostymi rurami. Cholera, nawet tam nie spojrze! Ale nim zdążył puścić rękę nieboszczyka, wielki motor z rykiem okrążył budkę i popędził w stronę drogi. Homer zaaferowany omal nie wdepnął w kałużę krwi na podłodze wokół biurka. Wypadł przez drzwi, którymi wszedł, przeskoczył przez ladę i wybiegł przed budynek.

Zdążył tylko zobaczyć błyskające czerwone światła choppera, który, zarzucając tyłem, zniknął, jadąc czarną drogą Bóg jeden wie gdzie.

Musiał jak najszybciej powiadomić o morderstwie lokalną policję, opisać miejsce zbrodni, ofiarę, sprawcę i jego motocykl. Jeśli szczęście im dopisze, w ciągu pół godziny będą mieć tego motocyklistę pod kluczem. Ale on nie mógł czekać. Musiał dogonić Yankee Sluggera. A potem go przyskrzynić.

61

Manaus, Brazylia

Na dworze było ciemno choć oko wykol. Deszcz bezustannie bębnił o płócienny dach nad jego głową i szumiał po powierzchni rzeki płynącej obok hotelowego podjazdu z głębokimi koleinami. Oczywiście, że padało. Przecież to cholerny las deszczowy.

Ambrose i Stokely jechali właśnie do jakiegoś szpitala na zadupiu. Nazywał się Infirmeria św. Jakuba, co było nazwą dość uroczą, ale sam szpital wcale uroczy nie był. Kiedyś mieścił się tu przytułek dla ubogich dzieci.

Harry Brock i pewien miejscowy imieniem Saladin czekali na „Błękitną Gęś” na hotelowej przystani. Przyjechali do Manaus cztery dni wcześniej i na prośbę Hawke’a wstępnie rozejrzeli się w poszukiwaniu wdowy. Harry twierdził, że nie było łatwo. Pokazano mu rozkładające się zwłoki z aktem zgonu wypisanym na nazwisko Hildegarda Zimmermann.

Ale Saladin nie miał zaufania do miejscowej policji. Doszedł do wniosku, że istnieje spora szansa, iż Hildegarda Zimmermann wciąż żyje i przebywa w tajnym szpitalu wykorzystywanym teraz przez wojsko.

Congreve podziękował im za dotychczasowe wysiłki i poprosił o samochód. Wraz ze Stokelym chcieli ruszyć do szpitala zaraz po zameldowaniu się w hotelu i wrzuceniu czegoś na ząb.

- Jak myślisz, długo będziemy tam jechać? - zagadnął Stoke'a. Dotarli do końca ścieżki prowadzącej do hotelu i mieli skręcić w prawo na główną drogę biegnącą wzdłuż Rio Negro.

- Jakaś godzinę w górę rzeki. Potem wjedziemy w dżunglę. Jeśli droga nie jest za bardzo rozmyta, damy radę. Tak powiedział Brock.

- Rozumiem, że dobrze znasz tego Brocka?

- Tak. Pomógł Aleksowi i mnie w Omanie w zeszłym roku.

- Trochę za bardzo nadęty jak dla mnie.

Stokely popatrzył na Congreve'a. Spędzili dość długi dzień razem w samolocie i Ambrose zaczynał mu działać na nerwy.

- Gdybym wiedział, czym jest nadęty Harry Brock, pewnie zamówiłbym skrzynkę tego czegoś i podzielił się nią z tobą.

- Bzdura.

Całe szczęście, że to Stokely prowadził. Drogi tutaj były koszarne. Jechali jakimś służbowym autem z napędem na cztery koła, które skombinował ten cały Brock. Samochód wyglądał bardzo oficjalnie. Pochodził z zasobów lokalnego konstabla i był cholernie niewygodny. Oczywiście Ambrose ani myślał o tym wspominać czy narzekać.

Wszyscy ci ludzie byli tacy szorstcy i nieokrzesani, wszyscy co do jednego. Stokely, ten australijski pilot Mick, Arab Saladin no i, rzecz jasna, amerykański szpieg Harry Brock. Wszyscy nosili cholerne leśne szorty i koszule z pagonami; totalny kicz żywcem wyjęty z kolekcji Indiany Jonesa. Nawet ta bardzo atrakcyjna kobieta, którą poznał w recepcji, chyba Caparina, nosiła przy pasie maczetę.

Spojrzał wtedy na swój bagaż czekający na odwiezienie. W walizkach miał tylko trzyczęściowe lniane garnitury i spodnie z gabardyny. A na głowę włożył korkowy hełm, który znalazł u ciotki na strychu.

- No i jak ci się podoba Pałac w Dżungli? - zapytał Stokely, próbując rozładować napięcie.

Congreve obrócił głowę i popatrzył na hotel. Trzykondygnacyjny budynek, szerokie

werandy na każdym piętrze, wokół bujna roślinność. Okna z okiennicami, niektóre otwarte, jarzyły się przez mgielkę deszczu.

- Moim zdaniem zasługuje tylko na połowę swojej nazwy - podsumował z uśmiechem.

- Chodzi ci o dżunglę? - upewnił się Stoke, wybuchając śmiechem.

- Otóż to.

Pałac znajdował się na obrzeżach Manaus. Brock wybrał ten hotel z jednego powodu: bo stał na brzegu Rio Negro i była tu przystań, do której Mick mógł przycumować swój wodnopłat.

Ambrose, wykończony lotem, oparł się wygodnie i próbował myśleć pozytywnie. Przynajmniej jedzenie w hotelowym barze było znośne. A barman miał czarnego johnnie walkera i nie żałował whisky.

„Błękitna Gęś”, która tego dnia udowodniła ponad wszelką wątpliwość, jak świetnie sobie radzi w trasie, w tej tropikalnej scenerii wyglądała jak najbardziej na miejscu. Przycumowano ją na rzece, tuż przy hotelowym pomoście. Jeśli trzeba będzie wynosić się stąd w pośpiechu, to trudno sobie wyobrazić lepszego pilota niż Mick Hocking z Queensland.

Tak czy siak, było trochę pozytywów. W każdym pokoju stała darmowa butelka dzinu. Do tego potężne łożo z czystą lnianą pościelą sztywną niczym deska i hektary moskitiery. I jeszcze weranda, na którą można było wyjść i zapalić fajkę. Meldując się, Ambrose dowiedział się, że w ogrodzie można spotkać osiemnaście gatunków nietoperzy.

Uroczo. Takie luksusy i elegancja jedyne tysiąc pięćset kilometrów w górę Amazonki.

Ale nic to, gra się rozpoczęła. On i Stokely Jones nie marnowali czasu. Już wyruszyli w misję, by odnaleźć wdowę po Zimmermannie i odczytać kod. Na kolanach Ambrose miał powieść, którą Alex Hawke żartobliwie nazwał *Kodem da Zimmermanna*. Włosy sobie rwał z głowy nad tym cholerstwem, czytając w te i we w tę, aż oczy zachodziły mu łzami.

Muszą odnaleźć Hildegardę Zimmermann, bo on już nic nie da rady zrobić. Żadne przestawianie słów czy liczb nie skutkowało. Gdzie się podziewają ci spryciarze z Pokoju 40, kiedy naprawdę są potrzebni?

Zamknął oczy w nadziei, że uda mu się chwilę zdrzemnąć, nim dojadą na miejsce.

- Jesteśmy - odezwał się Stoke kilka sekund później.

Ambrose otworzył oczy. Właśnie przejeżdżali przez żelazną bramę. Strzegli jej umundurowani strażnicy, którzy widząc policyjne tarcze na drzwiach samochodu, wyprężyli się w salucie. Ambrose zauważył wysoki mur z drutem kolczastym na szczycie. Przejechali pod łukiem z opuszczaną kratą i znaleźli się na terenie szpitala.

Infirmeria św. Jakuba, ogromny, ponury budynek, bardziej przypominała więzienie niż szpital. Zwolnili i Stoke machnął jakąś przepustką przed nosem samotnego strażnika pilnującego wjazdu na otoczony murem dziedziniec. Zaparkował koło wiekowego ambulansu stojącego tuż przy głównym wejściu.

- Mówię płynnie po portugalsku - przypomniał mu Congreve.

- Nie odzywaj się, dopóki nie będziesz musiał - pouczył go Stoke, gdy wysiadali z wozu. - Jeśli ktoś będzie pytał, jesteś angielskim lekarzem, który przyjechał tu zbadać pacjentkę.

- A ty kim jesteś?

- Przyjacielem człowieka, który wsunął dziesięć kawałków szefowi ochrony w Manaus, żebyś mógł ją dzisiaj zobaczyć, doktorku.

- Aha. Dlaczego ona tu przebywa?

- To miejsce, z którego w końcu znika się na dobre.

Na końcu długiego ciemnego korytarza przy biurku siedziała starsza kobieta w wykrochmalonym fartuchu pielęgniarki.

- W czym mogę panom pomóc? - zapytała po portugalsku. Stukała ołówkiem o podkładkę, do której do góry nogami miała przypięty arkusz rejestracji pacjenta.

- Dobry wieczór, przyszedłem tu odwiedzić pacjentkę - odparł Congreve w ojczystym języku pielęgniarki.

- Nazwisko?

- Moje czy pacjentki?

- Pana.

- Doktor Congreve. Doktor Ambrose Congreve.

Zerknęła na podkładkę i spojrzała na Stokely'ego.

- A to kto?

- Mój kierowca.

Zawahala się, po czym napisała coś na świstku papieru. Złożyła papier i przesunęła po biurku. W odpowiedzi Stoke przesunął po biurku zaklejoną kopertę. Kobieta schowała kopertę do kieszeni i skinęła głową wskazując schody.

- Latynoska metoda - powiedział Stoke, rozkładając paperek, który dała mu pielęgniarka.

- I działa - rzekł Congreve, idąc za nim na schody.

- Kierowca? Musiałeś to powiedzieć?

- A jak cię miałem przedstawić?

- Na przykład jako psychiatrę. Przez cały dzień próbowałem cię wyleczyć z cholernego strachu przed lataniem.

- Dokąd idziemy, doktorze Jones?

- Sala 313 - wyjaśnił Stoke. - Na samej górze.

Korytarz na najwyższym piętrze był jeszcze dłuższy niż ten na dole, słabo oświetlony i brudny. Pod świetlikiem na środku szerokiego holu znajdowała się dyżurka pielęgniarek. Pojawiające się od czasu do czasu błyskawice nadawały siedzącej na dyżurze starszej pielęgniarce nieziemski wygląd. Nosiła okulary w stalowych oprawkach, które błyskały z każdym grzmotem, i w ciszy patrzyła, jak obaj mężczyźni się zbliżają.

Zatrzymali się przy jej biurku. Właściciela zmieniła kolejna koperta. Siostra powiedziała kilka słów po portugalsku i Congreve skinął głową.

- Co powiedziała? - dopytywał się Stoke.

- Mamy dziesięć minut. Żadnych prezentów. Nie możemy niczego wnieść ani wynieść z sali.

- Masz książkę dla tej kobiety?

- Oczywiście. Pod płaszczem.

Sala 313 znajdowała się na końcu długiego korytarza, po prawej stronie. Drzwi były zamknięte, więc Ambrose zapukał przed wejściem. Pacjentka leżała na łóżku pod przeciwległą ścianą, pod oknem wychodzącym na teren szpitala. Błyskawice strzelały w gęstych cumulusach pędzących nad koronami drzew.

Na stoliku przy łóżku płonęła świeczka. Kiedy otworzyli drzwi, omal nie zgasła. Ambrose pstryknął włącznikiem na ścianie, ale nadal było ciemno. Kiedy zbliżali się do łóżka, niebo rozświetlił zrygask błyskawicy.

Na ścianie nad głową kobiety wisiała uginająca się od książek półka i krucyfiks. W śnie pacjentka wyglądała uroczo. Siwe włosy okalały jej bladą twarz, a zapadnięta klatka piersiowa miarowo podnosiła się i opadała pod białą muślinową koszulą. Congreve miał wyrzuty sumienia, że musi ją obudzić.

- Podaj mi krzesło, dobrze? - szepnął do Stokely'ego. Dziękuję.

Przysunął drewniane krzesło do samego łóżka, położył podarunek na stoliku obok świeczki i delikatnie wziął staruszkę za rękę.

- Frau Zimmermann?

Zamrugła oczami.

- *Ja?* - odpowiedziała odruchowo po niemiecku, pytając Congreve'a, czy już czas na lekarstwo.

- *Nein, nein* - odparł, idealnie naśladowując jej akcent. Jestem przyjacielem pani zmarłego męża. Przyjechałem prosić panią o przysługę.

- *Was ist los?* O co chodzi? - zapytała, podnosząc głowę z poduszki i wpatrując się w Congreve'a. Stokely trzymał się w cieniu.

- Mówi pani po angielsku, pani Zimmermann? Tak byłoby łatwiej.

- Oczywiście. Jestem żoną dyplomaty. - Zważywszy na niezbyt zdrowy wygląd, głos miała zaskakująco silny.

- Spotkałem się z ambasadorem w Anglii. Tuż przed jego śmiercią.

- Znał pan mojego męża?

- Niezbyt dobrze. Spotkaliśmy się tylko raz, ale rozmawialiśmy o wielu rzeczach. Prosił, żeby pani to przekazać. To było jego ostatnie życzenie.

- Tu nie można otrzymywać prezentów - powiedziała z błyskiem przerażenia w oczach, ale wtedy zobaczyła książkę w ręku Congreve'a.

- Proszę to wziąć. W środku jest list do pani.

Wzięła książkę, która otworzyła się w miejscu, gdzie był list. Wyjęła z koperty kartkę. Wodziła wzrokiem po rzędach liczb z taką łatwością jakby czytała wierszyk dla dzieci.

Wreszcie złożyła książkę na piersiach i zamknęła oczy. Przez chwilę Congreve sądził, że znów zasnęła.

- Po czyjej jest pan stronie, doktorze? - zapytała, nie otwierając oczu.

- Po stronie pani męża - odparł Congreve, modląc się w duchu, żeby była to właściwa odpowiedź.

- Po co pan przyjechał?

- Zanim pani mąż zmarł, ocalił życie wielu ludziom na lotnisku Heathrow. Kiedy poczuł, że nadchodzi koniec, postanowił... zmienił zdanie. Na temat tego, w co był zaangażowany.

- Złamano go, doktorze Congreve. Ci ludzie z Brazylii, ci Arabowie, wplątali go w takie rzeczy, których sam z siebie nigdy by nie zrobił. W zamach bombowy na synagogę w Rio. Ale to był dobry człowiek, doktorze. Mąż stanu. I miał błyskotliwą karierę.

- Dlaczego to zrobił?

- Oczywiście dla pieniędzy. A dlaczego ludzie robią różne rzeczy? Dla pieniędzy lub władzy. Władzy miał sporo. Wiedział, że umieram. Wydaliśmy wszystkie nasze pieniądze. Za długo żyliśmy zbyt wystawnie. Sprzedał wszystko, ale nadal potrzebował pieniędzy na moją terapię. Co gorsza, to tylko przedłużyło ból. Proszę na mnie spojrzeć.

- Bardzo mi przykro.

- Udało się panu złamać ten szyfr?

- Część. Ale w środku coś się urywa...

- Wiem... przepraszam, jestem bardzo zmęczona.

- Przyjechałem, bo uważam, że może mi pani pomóc, Frau Zimmermann. Pani też może ocalić mnóstwo ludzi.

- Pomóc?

- W odczytaniu kodu. Proszę mi w tym pomóc. Chodzi o kolejny zamach, prawda?

Tym razem na Amerykanów?

Pielęgniarka uchyliła drzwi i oznajmiła:

- Jeszcze pięć minut.

Kiedy odeszła, wdowa się odezwała:

- Nie chcę umierać w tym koszmarnym miejscu, doktorze. Chcę wrócić do domu.

Congreve obejrzał się na Stokely'ego, a ten skinął głową.

- Może uda mi się to zorganizować. Spróbuję. Znam kogoś, kto może pani pomóc.

Musi mi pani powiedzieć, kto panią tu umieścił.

Otworzyła niebieskie oczy i spojrzała na niego.

- Obiecuje pan, że mi pomoże?

- Obiecuję. Ale najpierw pani musi pomóc mnie. Teraz. Obawiam się, że nie mamy wiele czasu. To kwestia tygodnia, a może i mniej, jeśli dobrze odczytałem część kodu. Proszę mi powiedzieć, kto trzyma tu panią wbrew jej woli. I dlaczego.

- Odpowiedź leży u góry.

- U góry?

- Strzeże jej Jezus.

Congreve spojrzał na krucyfiks. Przyglądał się odlażającej farbie na szacie Chrystusa, wyblakłym złoceniom na krzyżu, Zauważył, że przez dłonie i stopy przechodzą gwoździe, którymi krzyż był przybity do gipsowej ściany. Trudno będzie go zdjąć i obejrzeć. Nie było na to czasu.

- Jezus? Chyba pani nie rozumiem.

- Nie, nie chodzi o krucyfiks. Książki! Książki pod krzyżem!

- Aha. Oczywiście.

Ambrose wstał i przyjrzał się półce z książkami, czytając tytuły na grzbietach. W większości były to prace na temat europejskiej historii i polityki. Wiersze Longfellowa. Ale dokładnie pośrodku stała jedna powieść. Zdjął ją z półki.

O Codigo Da Vinci.

- Odpowiedzi na swoje pytania znajdzie pan w tym tomie, doktorze.

- Druga połowa kodu Zimmermanna znajduje się w portugalskim wydaniu *Kodu Leonarda da Vinci* - powiedział Congreve bardziej do siebie niż do niej.

- Tak. Przekona się pan, że drugą część listu mojego męża można odkodować za pomocą portugalskiego tłumaczenia. Tak właśnie lubił załatwiać sprawy.

Pielęgniarka znów stanęła w drzwiach. Nim zdążyła odchrząknąć, Ambrose odwrócił się i spojrzał na nią.

- Jeszcze minutę! Proszę! - powiedział to takim tonem, że siostra natychmiast się wycofała, cicho zamykając za sobą drzwi.

Wdowa spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

- Proszę wymienić obwolutę, doktorze. Potem niech pan zastąpi portugalskie wydanie z półki wersją angielską którą pan przyniósł. Oni sprawdzają wszystkie moje rzeczy. Co wieczór. Jeśli zauważą brak książki, będę głodować. Albo i gorzej.

- Jeszcze jedno pytanie. Kto pani to robi? Kto otrul pana męża?

- Ci, którzy przychodzą nocą. *Las Medianoches*.

- Dziękuję - powiedział Ambrose i wsunął portugalską książkę pod płaszcz. - Bardzo, bardzo pani dziękuję. Czy mogę dostać z powrotem list pani męża, Frau Zimmermann? Obiecuję odesłać go wraz z książką, kiedy tylko skończę swoje zadanie.

- Oczywiście. Książka jest bezwartościowa bez listu. Do widzenia, doktorze Congreve. Modłę się, żeby wkrótce wrócić do domu. Chcę umrzeć we własnym łóżku.

- Zrobię, co będzie w mojej mocy. Obiecuję. Do widzenia.

- Papa Top to zwierzę - szepnęła, kiedy Ambrose i Stokely szli do drzwi. - Nie można go traktować w cywilizowany sposób, doktorze. Niech pan o tym nigdy nie zapomina.

- Co jest? - szepnął Stokely, kiedy szli korytarzem do klatki schodowej. - O co chodzi z tą książką?

- To proste! - mruknął Congreve pod nosem. - Czemu na to od razu nie wpadłem?

- Na co? - pytał Stokely, kiedy zeszli na dół i minęli recepcję.

- Że chodzi o portugalskie wydanie tej książki. Druga część zaszyfowanego listu jest po portugalsku.

- A jak niby mogłeś na to wpaść?

- Bo to była jedna z możliwości, mój drogi Stokely.

Stoke już miał powiedzieć, że możliwości jest nieskończenie wiele, ale postanowił nie wdawać się w dysputę filozoficzną.

- Więc mamy już, co trzeba? - spytał. - Mamy to, czego Alex potrzebuje, żeby

rozprawić się z tymi draniami?

- Tak, mamy już wszystko. I dzięki Bogu. Musimy jeszcze wydostać stąd tę biedną kobietę. Widziałeś jej język? Jej skórę? To takie samo zakażenie bakteryjne, jakim zabili jej męża. Musimy zainteresować tą sprawą pana Brocka. Niech ją stąd wyciągnie.

Weszli do samochodu i Stokely przekręcił kluczyk.

- Nie martw się - odparł. - Brock i ja zajmiemy się tym rano.

- W latynoski sposób - domyślił się Ambrose. - Mam nadzieję, że zadziała.

Kiedy wyjeżdżali z dziedzińca z piskiem opon, w drzwiach pojawiła się matrona z recepcji. Podniosła rękę, jakby chciała ich zawołać, ale nie zwrócili na nią uwagi. Chwilę później bez problemów minęli strażę i wracali drogą wzdłuż rzeki, pędząc przez różowy świt w stronę Pałacu w Dżungli.

Nie zauważyli, że z dżungli ich śladem podążał inny samochód. Jechał za nimi w bezpiecznej odległości z wygaszonymi światłami. Był to uzbrojony pojazd należący do Żandarmerii Wojskowej, najeżony lufami karabinów. Żyjący w skrajnej nędzy mieszkańcy Manaus nazywali te wozy *Cavelrao*.

62

Rio Negro

Stiletto przecięła mgłę i niczym duch podpłynęła do pomostu. Na łodzi świeciły się jedynie czerwone lampki w sterówce oraz diody czerwona i zielona pozycyjne na wysuniętym dziobie. Kiedy pędziła w górę rzeki, wyłaniając się z ciemności zza szerokiego zakrętu, wyglądała jak fantastyczny okręt podwodny opisany przez Juliusza Verne'a, a nie potężna pełnomorska motorówka z XXI wieku.

- Ta bestia wygląda jak nóż komandosa ze sterem - zauważył Stokely.

Szef hotelowej przystani stał na pomoście obok niego i patrzył, jak łódź Hawke'a tnie wodę. Chudy niski człowieczek nazwiskiem Candido skinął poważnie głową.

- Wygląda groźnie, señor Jones - rzekł płynnym angielskim. Powiem panu coś a propos tych cholernych Indian w górze rzeki. Większość z nich w życiu nie widziała białego człowieka. Jak zobaczą tę łajbę, padną z przerażenia.

Od mniej więcej dwóch godzin Candido pomagał Stoke'owi i Harry'emu wystawiać

na pomost rozmaite zapasy, dodatkową amunicję i świeże warzywa. Stał się nowym przyjacielem Stokely'ego. Jak? Otóż w ciągu dnia pan Jones wyszedł na pomost i wręczył mu grubą kopertę. Od tej chwili Candido przekazywał swemu gościowi najnowsze wieści o działaniach *Las Medianoches* w tej części dżungli. Gdyby Hollywood chciało zrobić film o przygodach tych drani, musiałyby powstać scenariusz o al-Kaidzie, gangsterach i Aniołach Piekiel w jednym. Z tego, co Stoke zdążył się zorientować, byli tu sami dla siebie prawem. I mieli w kieszeni wszystkich, nawet Żandarmerię Wojskową.

- Taśmy mocujące do wykładzin? - zdziwił się Stoke, patrząc na wielkie płócienne torby pełne taśm najeżonych ostrymi gwoździami. - Po co nam taśmy mocujące do wykładzin?

- Zrozumie pan, panie Jones, kiedy wypłyniecie na rzekę. Mogę to panu obiecać - odparł Candido z cwaniackim uśmiechem na twarzy.

Stoke wzruszył ramionami i patrzył na zbliżającą się łódź, próbując sobie wyobrazić tę ślicznotkę w ogniu walki. W końcu dojrzał Hawke'a. Stał w czarnym golfie na dziobie po prawej burcie i rozmawiał z członkami załogi. Załoga miała na sobie ubrania maskujące - szarooliwkowe drelichy w tygrysie paski. Ktoś na pokładzie przygotowywał się, żeby rzucić cumę dwóm pomocnikom hotelowym czekającym na pomoście.

Robiło się późno. Bez codziennego gwaru rzeka wydawała się szeroka, głęboka i czarna. Na lustrzanej powierzchni tu i ówdzie snuły się obłoczki nocnej mgły, jak kłęby cienkiej szarej wełny. W ciemnej dżungli na obu brzegach było cicho jak w grobie. Stoke aż się wzdrygnął, kiedy ten spokój przerwał krzyk jakiejś małpy.

Północ. Hawke przybył punktualnie.

„Stiletto” z silnikami pracującymi na wolnych obrotach podплыnęła łagodnie do starego drewnianego pomostu i z pokładu rzucono cumy. W nieruchomym powietrzu słuchać było tylko niski pomruk silników i odgłosy wyrzucanej za rufą wody. Nikt na pokładzie nie powiedział jeszcze ani słowa, nawet Hawke, który tylko pomachał, kiedy rozpoznał Stoke'a pośród mężczyzn na przystani.

Na łodzi wszyscy mieli broń. Ci, którzy nie zajmowali się linami, trzymali w pogotowiu półautomatyczne karabinki. Stoke dostrzegł kilka znajomych twarzy. Rozpoznał swoich starych druhów z czasów specjalnej grupy operacyjnej stacjonującej na Martynice. Szukał wzrokiem niskiego Francuza, żołnierza Legii Cudzoziemskiej. Na razie go nie zauważył.

W czasie ostatnich godzin w porcie i podróży na południe na „Stiletto” dokonano pewnych modyfikacji. Na rufie dodano cztery eleganckie kajaki z włókna węglowego, na

wypadek gdyby poziom wody okazał się za niski dla łodzi. Zamontowano działka pokładowe w obrotowych wieżyczkach chronionych bańkami z przezroczystego, kuloodpornego lexanu grubości pięciu centymetrów. Dodatkowo na dachu sterówki zamontowano dwa karabiny maszynowe kaliber .50. Gniazda karabinów otoczono pancerzem, żeby strzelcy byli stosunkowo dobrze chronieni przed ogniem z brzegu.

Na rufie umieszczono też tajemnicze dwie czarne skrzynki. Hawke zażądał ich od anonimowego źródła w Waszyngtonie po rozmowie z Harrym Brockiem. Stoke pomyślał, że wyglądają jak przerośnięte zmywarki do naczyń, ale zapewne nie były to zmywarki.

Hawke na rzece najbardziej obawiał się min i ręcznych granatników. Granaty odpalane z brzegu mogłyby zmieść działka pokładowe, mimo ich pancerza. Na granatniki była tylko jedna możliwość obrony - ucieczka. Ale aby rozwinąć odpowiednią prędkość, trzeba było mieć mnóstwo wody. Co więc było w tych skrzynkach?

- Witamy w dżungli, komandorze - powitał go Stoke, wyciągając rękę.

Alex zgrabnie przeskoczył z łodzi na pomost.

- Dobrze tu wrócić - powiedział i obejrzał się na „Stiletto”. - Wrócić w bardziej sprzyjających okolicznościach.

- Szybko przyплыnęliście.

- Morze jak stół, przez całą drogę lekki wiatr. Trochę bujało na wschód od Kuby. W górę rzeki pędziliśmy praktycznie non stop. Brownie, nowy kapitan, twierdzi, że pobiliśmy rekord podróży z Key West do Manaus. Ta łajba jest naprawdę szybka, Stoke. Mimo całego tego uzbrojenia.

- Zdaje się, że będzie nam potrzebne - powiedział Stoke i spojrzał na rzekę.

- Chyba masz rację. Wszyscy gotowi? Chcę odbijać, jak tylko zatankujemy zbiorniki.

- „Błękitna Gęś” już odleciała. Jakies dwie godziny temu. Pilot Mick i Brock, plus ta dwójka miejscowych, z którymi pracuje tu Harry.

- Dobrzy są?

- Tak. To oni pomogli mu odnaleźć Papę Topa. I znaleźli panią Zimmermann dla Ambrose'a. Nie chwalą się tym, ule wydaje mi się, że są z brazylijskich Jastrzębi. Mężczyzna i naprawdę ładna kobitka.

- Ufasz im?

- Nikomu tutaj nie ufam.

Hawke skinął głową i obmyślał kolejne ruchy. Czas uciekał błyskawicznie, więc trzeba było optymalnie wykorzystać każdą godzinę.

- Chodźmy na pokład i popatrzmy na mapę, kiedy będą tankować. A gdzie

najgenialniejszy detektyw świata?

- Widzisz to światełko w narożnym pokoju na górze? To on. Pracuje bez wytchnienia.
- Mam nadzieję, że uda mu się odszyfrować ten kod. Czas ucieka.

63

Hawke i Stokely pochylali się nad mapą rozłożoną w małej kajucie, która służyła za pokój sztabowy na „Stiletto”. Stoke opowiedział Aleksowi o wizycie w Szpitalu Świętego Jakuba. Powtórzył rozmowę Congreve’a z wdową i opisał jego reakcję na odkrycie portugalskiej wersji powieści.

- Cieszył się jak dziecko - skomentował Hawke.
- Ty to powiedziałaś. Ale całkiem trafnie.
- Odwaliliście z Ambrose’em kawał dobrej roboty. Być może dzięki tej książce zdołamy powstrzymać Topa.

- Congreve siedzi w swoim pokoju od rana i pracuje nad tym kodem. Nie odbiera telefonów, nie podchodzi nawet do drzwi. Wysłałem mu jakieś jedzenie, ale tak długo stało pod drzwiami, że w końcu musieli je zabrać.

- Wgryzł się w to. I dobrze. Niech pracuje, dopóki nie będziemy musieli ruszać.
- Co jest takiego ważnego w tej książce? To przecież powieść, fikcja. Nie mamy czasu na jakieś bajeczki.

- Książka została zakodowana. Zmarły ambasador Zimmermann miał niezbyt czyste ręce. Zadawał się tu w Brazylii z al-Kaidą a być może także z władzami Meksyku, Kuby i Wenezueli. Pamiętasz, co nam powiedział twój przyjaciel z Caracas?

- Pułkownik Montreas mówił nam to, co już wiemy. Że Chavez stawia sobie za punkt honoru obalenie rządu w Stanach. I że aby zrealizować te plany, za pieniądze ze sprzedaży ropy kupuje na Kubie rosyjskie rakiety do niszczenia statków. Zamierza zatopić tankowce w Zatoce Meksykańskiej i w ten sposób chce rozpętać wojnę.

- Niech Jankesi na razie sami się martwią o te rakiety. Większym zagrożeniem jest Top. Mamy co robić.

- Uważasz, że Top kombinuje coś z Chavezem?
- Być może Chavez finansuje Topa. Z tego, co mówił Harry Brock, wynika, że program zbrojeniowy Topa wymaga ogromnych pieniędzy. A Chavez tarza się w forsie.

Chavez, Fidel i Top mają ten sam cel i po prostu dochodzą do niego różnymi drogami.

Pół godziny później Hawke wyprostował się i rozciągnął mięśnie pleców. Za długo pochylał się nad tymi cholernymi mapami. I od czterdziestu ośmiu godzin nie ćwiczył. Kusilo go, żeby wskoczyć do rzeki na nocne pływanie, ale nie było na to czasu.

- Teraz rozumiesz, dlaczego zbudowali kryjówkę w tej części dżungli - powiedział, patrząc na Stoke'a. - Żadnych zdjęć satelitarnych i z powietrza, kamery termiczne też nic nie pokazują. Tylko cholerna mapa z połączeniami zieleni.

- Masz rację. Jak znaleźć coś, czego nie ma na mapie?

- Zdaje się, że Harry Brock doprowadził nas prawie na miejsce. Sami się niedługo przekonamy.

- Więc Brock wylądował tutaj. Na tym lądowisku, gdzie widział samoloty i zdalnie sterowane czołgi. - Stoke wskazał czerwony punkt, który Brock zaznaczył na mapie. Dwa centymetry dalej widać było żółtą kreskę oznaczającą głęboki wąwóz, który prawdopodobnie stanowił zachodnią granicę kompleksu Topa.

- Tak. Oddział lądowy Brocka nadejdzie od tej strony i zbliży się do rzeki. My z kolei pójdziemy od rzeki na zachód i dołączymy do nich mniej więcej tu.

- W którym miejscu wejdziemy?

- Dobre pytanie. Kapitan Brownlow wgrywa właśnie do systemu GPS i uzbrojenia cyfrowe mapy rzeki. Brock uważa, że centrum dowodzenia Topa znajduje się gdzieś tutaj. Na tym odcinku rzeki jest zamaskowany most. Jeśli znajdziemy ten most, znajdziemy i Topa.

- Czarna Rzeka? - odczytał Stoke nazwę.

- Tak. Aby się tam dostać, wycofamy się Amazonką na wschód do ujścia Madeiry. Potem popłyniemy na południe wzdłuż tego dużego dopływu. W tym miejscu, o tu, gdzie łączą się Aruipuana i Roosevelt...

- Roosevelt? Tak się nazywa rzeka w tej okolicy?

- W 1908 Teddy Roosevelt prowadził ekspedycję szukającą dopływu o nazwie Rzeka Wątpliwości. I znalazł, tak się przynajmniej wydaje, a Brazylijczycy ochrzcili rzekę od jego nazwiska. Rio Roosevelt.

- Więc nie jest pewne, że znalazł tę rzekę?

- Londyńskie koła geograficzne nadal mają wątpliwości co do Rzeki Wątpliwości, że się tak wyrażę. Tu jest jeszcze jedna rzeka. Igapo, czyli Czarna Rzeka. Widać ją tylko przez lupę. To ten mały dopływ, który znika gdzieś w lesie. Nikt nie znalazł jeszcze jej źródła. Ani ujścia. Moi przyjaciele z Towarzystwa Geograficznego sądzą że prawdopodobnie biegnie pod ziemią i pojawia się ponownie w jakimś odległym miejscu, jeszcze nieoznaczonym na

mapie. Moim zdaniem właśnie tej rzeki szukał wielki Teddy.

- Więc ta Igapo nie jest zaznaczona na żadnej mapie? Nawet dziś, w wieku elektronicznych cudów?

- Właśnie.

- W takim razie będziemy pionierami.

- Do pewnego stopnia tak.

- Przepraszam, szefie, można?

W drzwiach stał Brownlow.

- Tak, kapitanie? - odparł Hawke.

- Chciałem się upewnić, czy wszyscy są na pokładzie. Jesteśmy załadowani i gotowi do drogi.

- Czy nadinspektor Congreve już wszedł na pokład?

- Nie, szefie. Jeszcze go nie widziałem.

Hawke spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza. Wszyscy powinni być na pokładzie już o północy.

- No cóż, w takim razie musimy po niego pójść. Dziesięć minut, dobrze?

- Tak jest, szefie.

Minęli opuszczoną hotelową recepcję, weszli na drugie piętro i ruszyli w głąb długiego korytarza. Cały hotel już spał, światło sączyło się tylko spod drzwi pokoju nr 307, należącego do Ambrose'a Congreve'a.

Hawke przystanął na chwilę, nasłuchując, po czym nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się do środka.

- Jezu Chryste - wykrztusił Stoke.

Pokój wyglądał jak po przejściu tornado. Z biurka i komody wyjęto wszystkie szuflady i opróżniono na podłogę. Z łóżka zdarto pościel, zrzucano materac i pocięto go nożem. Wokół walały się kłębki wypychającej go gąbki.

- Czego, u diabła, szukali? - zastanawiał się Stoke.

Hawke spojrzał na niego i spytał:

- Czy kiedy wczoraj wieczorem pojechaliście do Infirmerii św. Jakuba, mieliście jakieś kłopoty?

- Wszystko trwało nie dłużej niż kwadrans.

- To Brock wam powiedział, że ona tam jest? I on was tam wprowadził?

- Brock i pięć tysięcy dolarów zapłaconych majorowi Rojas z Żandarmerii Wojskowej w Manaus.

- Powiedz mi, że wczoraj wieczorem nie podaliście swoich nazwisk.

Stokely zastanawiał się chwilę.

- Cholera. Ambrose przedstawił się w recepcji jako doktor Congreve.

- W takim razie szukają tego cholernego listu. Kodu Zimmermanna - rzucił Hawke z ledwo skrywaną wściekłością w głosie. Dlaczego Ambrose był tak cholernie nieostrożny? Pewnie zapomniał się na chwilę zaaferowany tym pioruńskim kodem.

- Musimy pomóc tej biednej kobiecie - powiedział Stokely. - Bóg jeden wie, co oni jej zrobią.

- Cokolwiek planowali, już to zrobili. Wyciągnęli z niej informację o liście i o tym, że ma go Ambrose. Pani Zimmermann prawdopodobnie już nie żyje. I raczej nie zmarła we śnie.

- Sprawdź łazienkę - polecił Stoke'owi i z furią otworzył drzwi szafy. Ubrania wciąż wisiały na wieszakach, choć kieszenie opróżniono i rozpruto podszewki w marynarkach. Ambrose nie zdążył nawet się spakować. Hawke miał gonitwę myśli, ale jedna z nich wybijała się na pierwszy plan: „Co ja, na litość boską powiem Dianie Mars?”

- Alex, chodź tutaj.

Hawke błyskawicznie znalazł się przy drzwiach łazienki.

- Co tam masz? - spytał.

- Wejdz do środka i zamknij drzwi.

Hawke wykonał polecenie. Na białej kafelkowej podłodze i na ścianie widać było bryzg jasnej krwi.

Popatrzył na plamę, a potem na Stokely'ego.

- Na pewno nie zaciął się przy goleniu.

- Nie.

- Nie widziałeś go przez cały dzień?

- Wczoraj koło północy powiedział mi dobranoc. Od tamtego czasu z nim nie rozmawiałem.

- Popatrz na to. - Hawke podniósł czarny melonik, który znalazł w szafie Congreve'a.

- Kapelusz z dziurą. To nie w stylu Ambrose'a.

- To wizytówka czarownika wudu. Papa Top jest półkrwi Haitańczykiem, a tam panuje kult wudu.

- Teraz rozumiem.

- Ci dranie porwali mojego przyjaciela stwierdził Hawke. - Chodźmy.

San Antonio, Teksas

Kolejna ciężarówka-widmo - powiedział Franklin, kręcąc głową. - Przecież właśnie ci mówię, kochanie - odparła Daisy. Kolejna ciężarówka-widmo. Tylko tę udało się przyskrzynić.

- Kto je nazwał ciężarówkami-widmami?

- Ja i June. Homer nam o nich opowiadał.

Daisy siedziała za kierownicą pikapa. Odebrała właśnie męża sprzed stanowiska przyłotów American Airlines na lotnisku w San Antonio. Podała parkingowemu kwit i pięć dolarów, po czym ruszyła, nie czekając na resztę.

- Od kiedy wyjechałem, zdążyłaś postrzelić na ulicy uzbrojonego człowieka...

- To June strzelała do meksykańskiego rabusia. Nie ja.

- Ty tylko prowadziłaś samochód, którym uciekłyście z miejsca przestępstwa.

- Zgadza się. Próbowaliśmy dostarczyć kasetę, tak jak nas prosiłeś. I udało się.

- Udało się. Bardzo wam dziękuję.

- Co cię tak zdenerwowało?

- Nic. Jestem po prostu zmęczony, kochanie.

Daisy dotknęła jego dłoni.

- Czy ci ludzie z Waszyngtonu nie docenili kasety June?

- Docenili. Kasetą jest już w drodze do Białego Domu. Niewykluczone, że prezydent wykorzysta ją, przemawiając dziś wieczorem w Kongresie.

- No, no.

- Przepraszam cię kochanie. Jestem jakiś rozbity. Cieszę się, że nic ci się nie stało. Martwiłem się o ciebie przez cały czas.

- Ja też jestem zmęczona, Franklin. Od dwudziestu godzin prawie nie spałam. June i ja drzemałyśmy na zmianę przy stoliku w McDonaldsie, ale w ten sposób nie da się odpocząć. Dlatego wyglądam tak okropnie. Nie pocieszaj mnie, kochanie. Po prostu jedźmy i cieszymy się widokami za oknem.

- Ładny supermarket Wal-Mart - mruknął Franklin, wyglądając przez szybę.

Na jakiś czas oboje zamilkli.

Jechali do centrum San Antonio, do McDonalda przy Commerce Street. Kiedy Daisy

odebrała Franklina z lotniska od razu mu powiedziała, że zanim ruszą do Prairie, zajadą tam, bo przed restauracją stał podejrzany pojazd, który śledziła wraz z June. June siedziała teraz w barze i obserwowała ciężarówkę.

- Opowiedz mi wszystko po kolei, Daisy - odezwał się Franklin po dziesięciu minutach. - Od tego momentu, kiedy przekazałaś Buddy'emu kopertę i kazałaś mu się zgłosić do szpitala z ranami postrzałowymi.

- Nic mu nie jest. Rozmawiałam dziś rano z jego mamą. Już wrócił do pracy.

- I co było potem? Jak to się stało, że ostrzelano ci pikapa?

- Jak już mówiłam, uciekłyśmy tym rabusiom i wtedy zobaczyłyśmy wielki pożar w Dolores. Ogień podłożyła banda meksykańskich przemytników i nastoletni *banditos*, którzy wołają na siebie *Reconquistas*. Ścigaliśmy ich aż do samej granicy.

- Ty i June?

- No, pomagałyśmy innym. Głównie takim dwóm motocyklistom, Zorro i Hambone, i ich koleśiom. Nawet wielcy *Reconquistas* nie chcieli z nimi zadzierać. Zebrała się nas cała grupa - motocykliści, ludzie z okolicznych miasteczek, no i my z June. Popędziliśmy im kota.

- Zaczynam rozumieć.

- Wiesz, co krzyczeli cały czas, kiedy ich goniliśmy?

- Nie.

- „Nie przekroczyliśmy granicy! Granica już sama się przesunęła!” To chyba nowy meksykański hymn.

- Gdzie teraz palą i rabują?

- Kawalek dalej na zachód. Słyszałam, że za Laredo jest naprawdę nieprzyjemnie.

- I wtedy zobaczyłaś ciężarówkę.

- Tak, kiedy jechałyśmy do Dolores, minęłyśmy Homera. Śledził ten wielki konwój ciężarówek z naczepami, które jechały na północ drogą 59.

- To już słyszałem.

- Powiedziałaś, żeby od początku, więc...

- Daisy.

- Przepraszam. No więc potem wracałyśmy do Prairie i trafiłyśmy na jeszcze jedną ciężarówkę, która jechała na północ. Domyśliłyśmy się, że to jakiś maruder z tego konwoju. Miała zaciemnione okna, a na naczepie wielką pomarańczę. Jakiś producent cytrusów, Big Orange Groves z Lakeland na Florydzie. Tablice były z Florydy.

- Wiózł drzewo do lasu.

- Dokładnie to samo pomyślałyśmy sobie z June, kiedy zobaczyłyśmy tę ciężarówkę.

Po co ciężarówka z Florydy przywozi pomarańcze do Teksasu? Zaciekawilo nas to.

- I postanowilyście ja sledzic.

- Tak. Przez cala droge z Dolores do San Antonio ani razu nie przekroczyła dziewięćdziesiątki. Nie jechała autostradą międzystanową, poruszała się równoległymi drogami stanowymi. Gdy godzinę później zjechała na mały parking na południe od miasta, taki na uboczu, zjechałyśmy za nią. Na parkingu nie było żadnego innego samochodu. Wsiadłyśmy z pikapa i podeszłyśmy do ciężarówki. June od strony pasażera, ja od strony kierowcy.

- Miałaś ze sobą strzelbę?

- Tak. Zapukałam lufą w szybę. I nic.

- Nic.

- W ciężarówce nikogo nie było. Weszłyśmy na podesty z boku i próbowaliśmy zajrzeć do środka, ale szyby nie były przyciemnione, tylko w ogóle nieprzezroczyste, czarne jak noc.

- Ciemne szyby to jeszcze nie przestępstwo.

- Być może, tyle że ta cholerna ciężarówka ruszyła, kiedy stałyśmy jeszcze na podestach! Krzyknęłam do June i obie zeskoczyłyśmy na ziemię, zanim wóz na dobre się rozpędził. June skrzyła sobie kostkę, ale może chodzić. W McDonaldsie przyłożyłyśmy jej lód.

- Więc wróciłyście do pikapa i śledziłyście ciężarówkę aż do San Antonio.

- Tak. I tu ją dopadłyśmy. Wiesz, według Homera te ciężarówki to...

- A właśnie, Homer. Gdzie on jest? Cały dzień próbowałem się z nim skontaktować.

- On też cię szukał. Wziął wolny dzień. Mówił, że ma grypę, ale my wiemy, że to nieprawda, bo go widziałyśmy. W końcu zgłosił się do Wyatt. Jedzie za tym konwojem na północ - przerwała na chwilę i opowiadała dalej: - Wyatt ogłosił poszukiwania tej ciężarówki, którą przyłapałyśmy na rabunku, i sprowadził koronera, żeby przeprowadził identyfikację ludzi, do których strzelała June. Broni też Homera w sprawie J. T. Rawlsa, ale moim skromnym zdaniem sprawa jest oczywista.

- Wyatt to dobry policjant.

- Z tobą nie może się równać, ale jest niezły. Jesteśmy na miejscu. Daisy wjechała na parking na tyłach McDonaldsa przy Commerce Street. Dostrzegła wolne miejsce w cieniu dębu i zatrzymała się tam.

- Nie widzę tu żadnej ciężarówki - powiedział Franklin, wysiadając z pikapa.

- Jest po drugiej stronie, w zaułku odchodzącym od Commerce. Tędy, możemy wejść

tylnym wejściem.

Wbiegli do środka i zobaczyli June siedzącą przy stoliku przy drzwiach wejściowych. Wyglądała na zdenerwowaną i pokręciła głową na widok szeryfa zmierzającego szybkim krokiem w jej stronę.

- Witaj, June - powiedział Franklin. - Twoją kasetę dziś po południu będzie oglądał sam prezydent Stanów Zjednoczonych.

- Naprawdę? To świetnie.

- Co się stało, June? - spytał.

- Przepraszam, Daisy. Przepraszam, szeryfie. Zgubiłam tę ciężarówkę.

- Co? Zgubiłaś ciężarówkę? - Daisy już biegła w stronę okna.

Po chwili obejrzała się na June i męża i stwierdziła:

- Rzeczywiście. Ciężarówka zniknęła!

65

- Jak, u diabła, mogłaś stracić z oczu ciężarówkę?

- Przysięgam, że nie było mnie raptem trzy minuty - wyjaśniała June. - Niech to jasna cholera!

- Opowiedz nam, co się stało - poprosiła Daisy, trochę ochłonawszy.

- Syndrom sekretarki. No wiesz.

- Co takiego? - zdziwił się Franklin.

- Musiała wyjść do toalety - wyjaśniła Daisy zaskoczonemu mężowi.

June potwierdziła skinieniem głowy.

- Tak. Nie mogłam już wytrzymać. Poszłam do łazienki, a kiedy wróciłam, ciężarówka już nie było.

Daisy jedną nogą była już za drzwiami.

- Znajdziemy ją. Nie mogła odjechać daleko.

- Szeryfie? - odezwała się June, wstając zza stolika. - Homer dzwonił do mnie na komórkę z dziesięć czy piętnaście minut temu. Prosił, żeby pan do niego oddzwonił. To chyba coś pilnego.

- Gdzie on jest?

- Gdzieś w Wirginii, na jakiejś farmie. Obserwuje ją, ale chce wiedzieć, co ma dalej

robić.

Podala Franklinowi komórkę.

- I co teraz? - spytał, patrząc na telefon.
- Niech pan wciśnie 69, automatycznie do niego oddzwoni.
- Homer? - odezwał się Franklin po kilku sekundach.

Przeszedł kawałek z telefonem przy uchu i usiadł przy stoliku pod oknem, gdzie nikt nie słyszał rozmowy. Daisy i June wysłał na poszukiwanie ciężarówki z Big Orange. Wszystko to wyglądało jak uganianie się za duchami, ale zdarzało mu się przecież popełniać błędy.

- Dobrze, że pan dzwoni, szeryfie - odezwał się Homer po drugiej stronie.
- Mów, co się dzieje.
- Wie pan, że jechałem za ciężarówkami? I że zastrzeliłem Rawlsa?
- Wiem.
- Nie jest pan na mnie zły?
- Słyszałem od Wyatta, co się stało w Gunbarrel. Twierdzi, że to był klasyczny przypadek samoobrony. A teraz mów, gdzie jesteś i co się dzieje.

- Jestem w jakiejś małej miejscinie w Wirginii. Kawałek na południe od Waszyngtonu.
- Jak się to miasteczko nazywa?
- Lee's Fery. Nad samą rzeką.
- I co masz?
- Ciężarówkę, którą śledziłem przez całą drogę.
- Gdzie jest teraz ta ciężarówka?

- Na starej farmie, zaparkowana pod drzewami nad rzeką. Stoi i powoli ginie pod śniegiem. Nie wygląda, żeby miała jechać dalej. Kilka godzin temu oni wyszli z domu i oglądali ją. Obeszli ją kilka razy dookoła i zajrzeli pod spód. Potem wrócili do domu i zaciągnęli zasłony.

- Co za oni?
- Ludzie, którzy tu mieszkają.
- Skąd dzwonicz?
- Z kuchni.
- Ich kuchni?

- Tak. I powiem panu, szeryfie, że nie wyglądają mi na mieszkańców Wirginii. Moim zdaniem to Arabowie. Mężczyzna, kobieta i jakiś młody chłopak, pewnie syn. Jakaś godzinę temu wsiedli do samochodu i wyjechali. Mają nowiutkiego cadillaca, bordowego.

Pomyślałem, że pod ich nieobecność rozejrzę się trochę po domu. Miło tu i ciepło. W kominku się pali. Od razu zadzwoniłem do June, żeby się zgłosić.

- Skoro zostawili ogień w kominku, to znaczy, że nie wyjechali na długo. Będiesz słyszał albo widział, jak będą wracać?

- Tak, szeryfie. Dom stoi na wzgórzu. Prowadzi do niego długi podjazd. Z okna, przy którym teraz stoję, widzę nawet główną drogę. Nazywa się Old River Road, a wzdłuż całej posiadłości stoi płot z białych sztachet. Będę miał dość czasu, żeby wyjść kuchennymi drzwiami i wrócić do lasu.

- Domyślasz się, co może być w tych ciężarówkach?

- Cokolwiek to jest, na pewno nic dobrego, szeryfie. Zastanawiałem się, czy nie wyważyć drzwi, skoro nikogo nie ma. Ale gdyby wrócili i mnie przyłapali na włamie, potrzebowałbym pomocy. Trochę się bałem dzwonić do lokalnej policji, bo a nuż okaże się, że to wiele hałasu o nic?

Szeryf milczał dłuższą chwilę. W końcu powiedział:

- Posłuchaj, Homer. Biorę taksówkę i jadę na lotnisko. To Lee's Ferry leży bliżej Waszyngtonu czy Richmond?

- Jeśli sędzić po znakach na drodze, stawiałbym raczej na Waszyngton. To kawałek na północ od Fredericksburga. Może pan pojechać ekspresówką numer 1 na południe, a potem skręcić z drogi stanowej 635 na Cherry Hill.

- Przylatuję najbliższym samolotem. Wynajmę samochód i odnajdę cię. Czy przy tej River Road jest jakiś numer domu?

- Nie, szeryfie, ale na końcu podjazdu stoi tablica z napisem „Farma Cud Poranka”.

- Znajdę ją. Nie zbliżaj się do tych ludzi, kiedy wrócą. Nie podchodź do ciężarówki. I wezwij lokalną policję, jeśli tylko zobaczysz coś podejrzanego. Niech oni się tym zajmą.

- Zaczyna padać śnieg. Mam nadzieję, że uda się panu dolecieć.

- Też na to liczę. Masz coś dojedzenia?

- Ukradłem jabłko z miski. Mogę zwędzić jeszcze trochę jedzenia ze spiżarki? Przez całe trzy stany odżywiałem się tylko batonami i colą.

- Weź coś z górnej półki, coś, czego nie zauważą. I wynoś się z tego domu, Homer. Już!

- Szeryfie?

- Tak?

- Te wszystkie ciężarówki jechały albo na północ albo na wschód. Przez całą drogę wydawało mi się, że szmuglują narkotyki. Ale teraz nie jestem tego taki pewien.

- Mam nadzieję, że się mylisz, Homer. Ale sam też nie mam pewności. Przyjadę najszybciej, jak będę mógł.

66

Amazonka, Brazylia

- Skoncentruj się. Patrz, dokąd płyniesz, a nie tam, gdzie jesteś - mówił Hawke, który stał za sterem „Stiletto”.

Była druga nad ranem. Alex powiadomił policję o zaginięciu przyjaciela i przeszukał cały teren hotelu. W końcu uznał, że nie ma wyjścia i musi wypłynąć bez niego. Nie była to łatwa decyzja. O tej porze na rzece niewiele się działo. Minęli tylko dwa dwupokładowe promy i kilka statków wycieczkowych płynących do Manaus.

„Stiletto” ciąła Amazonkę, cofając się do ujścia Madeiry. Dopiero tam miała skręcić na południe i wniknąć w głąb dżungli Mato Grosso.

Hawke wyciskał z potężnej łodzi, ile się dało. Stoke patrzył na cyfrowy wyświetlacz błyskający nad jego głową. Rozwijali prędkość prawie stu trzydziestu węzłów. I to po ciemku.

Byłoby to ryzykowne nawet w dzień na otwartym morzu. Ale nocą? Na tej cholernej rzece? Stoke nawet nie chciał myśleć, co by się stało, gdyby przy tej prędkości uderzyli w coś pod wodą. Nawet boje nawigacyjne na powierzchni rozmazywały się i znikały za burta, nim człowiek zdążył się zorientować.

- Chcesz potrzymać ster? - zapytał Hawke, nie odrywając wzroku od rzeki.

W sterówce wygaszono wszystkie światła. Aby słyszeć się nawzajem, wszyscy na mostku nosili słuchawki z mikrofonami. Hałas trzech silników turbo o mocy tysiąca sześciuset koni przy pełnej mocy był ogłuszający mimo tłumików.

- Wolę jeszcze chwilę popatrzeć - odparł Stokely.

Prawdę mówiąc, nie korciło go, żeby brać ster od Aleksa. Chciał, żeby Hawke skupił się na łodzi i rzece, a nie na tym, co stało się z jego przyjacielem Ambrose'em Congreve'em. I na tym, co ich czeka w dżungli. Niech jak najdłużej koncentruje się na prowadzeniu łodzi z jak największą prędkością.

Jeśli Top kazał porwać ich przyjaciela - a byli prawie pewni, że tak się stało - postara

się wydobyć z niego wszystko, co wie. Congreve nie wytrzyma długo tortur, które terroryści Topa stosowali w dżungli.

Łódź skręciła ostro na prawą burtę, a sekundę później odbiła w lewo. Hawke w ostatniej chwili minął niską barkę ciągniętą przez mały holownik. Stoke nie mógł powiedzieć Aleksowi, żeby zwolnił. On też rozumiał, że jeśli nie odnajdą tej cholernej Rzeki Wątpliwości, jeśli nie odnajdą Muhammada Topa, i to szybko, terroryści będą mieli swój Dzień Prawdy. A najbliższy przyjaciel Hawke'a, który od wczesnego dzieciństwa zastępował mu ojca, zginie w męczarniach.

W końcu każdy zaczyna mówić.

- Nawigator - powiedział Hawke do mikrofonu. Na głównym monitorze nawigacyjnym symbol łodzi szybko przesuwał się na wschód po komputerowej mapie Amazonki. Zbliżali się do ujścia Madeiry.

- Tu nawigator, kapitanie.

- Kiedy przekroczymy zero-pięć-zero szerokości południowej i zero-pięć-pięć długości zachodniej?

- Według czasu lokalnego czy Zulu? - Zulu to międzynarodowy czas uniwersalny, który zastąpił czas Greenwich jako standard pomiaru.

- Lokalnego.

- O drugiej dwadzieścia.

Hawke zerknął na zegarek i przesunął dźwignię gazu jeszcze kawałek do przodu. Poza głuchym rykiem silników na mostku panowała głucha cisza. Wszyscy pozapinali pasy i prawdopodobnie myśleli o tym samym. Jeśli przy tej szalonej prędkości wpadną na jakiś pień albo beczkę po ropie, zginą.

- Przy takiej prędkości trzeba się nieźle skupić? - zapytał Stoke, nie chcąc, żeby Alex zaczął błądzić myślami nie tam, gdzie trzeba.

- Tak - odparł Hawke. Głos miał spokojny, wyprany z emocji. - Wszystko dzieje się w mózgu. Manewry łodzią zależą od tego, o czym myślisz. Dlatego zawsze trzeba myślami wyprzedzać łódź. Im bardziej jesteś za nią w myślach, tym bardziej będziesz się z nią szarpał i siłował.

- To ma sens.

- Wrogiem skupienia są emocje - ciągnął Hawke. - Do większości wypadków przy dużych prędkościach dochodzi, kiedy facet za sterem zaczyna się obawiać, czy zdoła wyjść cało z kolejnego zakrętu, i panika bierze górę. Albo kiedy daje się ponieść czystej adrenalinie. Tego też nie należy robić. Trzeba się wyciszyć i słuchać łodzi. To ona mówi ci, czego chce, a

ty to robisz. Ta łódź daje mnóstwo podpowiedzi. Ale trzeba myśleć szybciej od niej. Jesteś gotowy? Zdrzemnąłbym się na godzinę.

- Poprowadzę ją. Za chwilę.

Stoke uważnie obserwował Hawke'a. Na spotkaniu z komendantem miejscowej Żandarmerii Wojskowej trochę go poniosło, kiedy usłyszał, że nikt nie jest w stanie mu pomóc odnaleźć Ambrose'a. W końcu uświadomił sobie, że muszą wypłynąć bez Congreve'a. Teraz wydawał się spokojniejszy. Stoke pomyślał, że Alex da sobie radę. Przetawiał się już na tryb prowadzenia misji, emocje odstawił na najdalszą półkę, tam, gdzie ich miejsce. Ale wyglądał na wyczerpanego trzydniowym rejssem przez otwarty ocean. Będzie do niczego, jeśli trochę nie odpocznie.

Stokely stanął obok Hawke'a i położył ręce na kole sterowym.

- Trzymam ster - powiedział.

- Prowadź. - Alex zwolnił i puścił koło dopiero wtedy, kiedy poczuł, że Stoke panuje nad łodzią.

Stokely powiódł wzrokiem po rzece i przyspieszył do stu węzłów. Jeszcze nigdy nie miał takiego poczucia siły. Hawke zerknął na wskaźniki.

- Dasz sobie radę - uznał. - Pamiętaj, twoje ręce to przedłużenie twoich oczu. Patrz tam, gdzie chcesz być za chwilę, a nie tam, gdzie nie chcesz płynąć. Gdy skupiasz wzrok na celu, ręce automatycznie cię na niego poprowadzą.

- Widzenie tunelowe - wtrącił Stoke.

- Właśnie. Kiedy osiągasz maksimum skupienia na tym, co przed tobą, zmniejsza ci się kąt widzenia i trudniej zobaczyć kolejny cel. Gdybyś potrzebował zmiany, daj znać Brownlowowi albo mnie.

- Idź się przekimać, szefie - powiedział Stoke, nieźle się bawiąc po raz pierwszy od tygodnia.

- Idę. Jeśli nie pojawię się wcześniej, obudź mnie za godzinę.

- Zrobione.

- Musimy znaleźć tego łotra. I zabić go, zanim on zabije nas.

- Wiem.

- Widziałem tego faceta. Ma w sobie coś. Kiedy zobaczysz Topa, na pewno go rozpoznasz.

- Dlaczego?

- Jego oczy.

- Co z nimi?

- Wyglądają jak dwie dziurki wysikane w śniegu.

Pół godziny później do Stoke'a podszedł niski mężczyzna o wielkich brązowych oczach i z sumiastymi wąsami pod wydatnym nosem. Był to Gianni Arcuri, inżynier z Neapolu, oddelegowany do opieki nad łodzią przez pierwsze trzy miesiące docierania.

- Cześć, Gianni, co słychać?

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale właśnie byłem w maszynowni. Nie podoba mi się trzeci silniki. Nie pracuje dobrze.

- Co z nim?

- Za bardzo się grzeje. Ciśnienie w komorze spalania trochę spadło. To nic poważnego, ale chciałbym na chwilę go wyłączyć. Zlokalizujemy mały problem i naprawimy, zanim zrobi się z tego duży problem.

- Musimy zwolnić?

- Tak. Do dwudziestu pięciu, najwyżej trzydziestu węzłów. Nie możemy przeciążać pozostałych silników. Wyłączę ten trzeci i naprawię jak najszybciej.

- Gianni, wiesz, że bardzo się spieszymy.

- *Si, si*. Wszyscy to wiedzą señor Jones. Proszę mi dać dwadzieścia minut, najwyżej pół godziny.

Stoke wykorzystał czas spokojniejszej jazdy na rozmyślania. Patrzył na mapy. Słyszał, jak Brock ocenia silne i słabe punkty wroga. Wraz z Hawkiem przeglądali raport Harry'ego ze zwiadu tyle razy, że znali go prawie na pamięć. Obaj wiedzieli, że będą musieli się zmierzyć z kamikadze, bandziorami z dżungli gotowymi zginąć, byle tylko załapać się na bilet w jedną stronę do raj. W raporcie Capariny była mowa o automatycznych czołgach i bezzałogowych samolotach wyposażonych w rakiety Hellfire. Bliżej celu na rzece należało się spodziewać także min.

Na plus mogli sobie zaliczyć tę niesamowitą łajbę. Stoke już nieraz przekonał się, że sekretem powodzenia w operacjach na rzekach jest szybkość. A „Stiletto” była obłędnie szybka, a także mocno uzbrojona, opancerzona i miała zadziwiający system nawigacji oraz ostrzegania antyrakietowego. Im bliżej kompleksu Topa uda im się ją doprowadzić, tym większe będą mieli szanse.

Przewidywał prosty rozwój wypadków. On, Hawke i trzydziestu zakapiorów na pokładzie zaczną ostrzeliwać kompleks Topa z rzeki. Narozrabiają jak najwięcej, wykorzystując arsenał „Stiletto”, po czym zejną na brzeg. Aby tego dokonać, Hawke zainstalował na rufie system rakiet precyzyjnego naprowadzania. Ważyły po pięćdziesiąt kilo każda i miały zasięg czterdziestu kilometrów. Mieli kasetę z piętnastoma takimi rakietami,

każda z dwunastokilogramową głowicą. Wystarczyło podłączyć kasetę do bezprzewodowej sieci bojowej na pokładzie i już można było strzelać.

Ekipa Brocka składała się z około pięćdziesięciu komandosów z Jastrzębia, dowodzonych przez Saladina. Byli to doświadczeni antyterrorysty, wszyscy stąd, więc doskonale znali teren. Saladin właśnie organizował dla nich odprawę w jaskiniach, które Brock odkrył pod Madre de Dios. Brock i drużyna Saladina polecili z Mickiem Hockingiem. Mick obracał dwa razy. Lądowali na pasie startowym w pobliżu obozu Topa. Kiedy Mick wracał po drugą część drużyny, pierwsza już zaczęła przemieszczać się na wschód.

Mieli przejść przez głęboki wąwóz, który stanowił zachodnią granicę matecznika Topa, i przesuwać się w stronę centrum. Tymczasem ekipa ze „Stiletto” miała iść ze wschodu.

Stoke i Hawke zdecydowali się na taką strategię, przeliczywszy swoje siły i przestudiowawszy mapy dostarczone przez Brocka i Caparinę. Była to strategia znana od czasów kamienia łupanego. Hannibal zastosował ją przeciw Rzymianom pod Kannami w 216 roku p. n. e. Sprawdziła się wtedy, sprawdzi się i teraz. Trzeba zaatakować przeciwnika z dwóch skrzydeł i wziąć w kleszcze, a potem wciągnąć do swojej bazy, udając ucieczkę w centrum, a kiedy chwyci przynętę, przesunąć do przodu zewnętrzne flanki i go otoczyć. Sztuka polegała na tym, by oba skrzydła otoczyły wroga jednocześnie, tak aby nie dać mu żadnej możliwości ucieczki.

Hawke miał tylko jedno zastrzeżenie do tej strategii. Obawiał się, że jeśli wrogowie zdadzą sobie sprawę, że są otoczeni, będą walczyć jeszcze zacieklej, niż gdyby mieli szansę ucieczki. Stoke przyznał mu rację.

- Słusznie, szefie - powiedział. - Więc otworzymy im drogę ucieczki, prosto nad rzekę, gdzie będzie stała „Stiletto”.

- Dobry wieczór, Congreve - powiedział Papa Top, wchodząc do pokoju, w którym przetrzymywano Anglika. Miał na sobie swoje szaty wudu: źle dopasowany surdut, czarne spodnie w prążki i czarny melonik. Po obu stronach drzwi stali dwaj rośli faceci w zielonych drelichach, sztywni jak manekiny. Pokój był okrągły i prawie nieumeblowany. Okiennice w

łukowatych oknach były pozamykane.

Congreve podniósł głowę i zobaczył mężczyznę zwanego doktorem, który właśnie odkładał strzykawkę do czerwonej skórzanej walizki. Doktor zadawał mu wiele pytań, ale - o dziwo - nie skrzywdził go. Ambrose podejrzewał, że dopiero do tego dojdzie.

Na jakiś czas stracił przytomność, a teraz gdy ją odzyskał, czuł się, jakby się obudził po poobiedniej drzemce. Zastanawiał się, jaki rodzaj amfetaminowej mieszanki daje taką jasność myślenia. Przywiązano go do bambusowego fotela obitego miękką skórą.

Top pochylił się nad nim i spojrzał mu prosto w oczy z troską która była aż niepokojąca.

- Czytałem twój egzemplarz *Kodu* - powiedział, przysuwając sobie krzesło. - Fascynujący.

- Owszem - przyznał Ambrose. Odwrócił głowę i skierował wzrok na obraz jakiegoś brazylijskiego prymitywisty wiszący na ścianie. Twarz z dziko zniekształconymi oczami. To było jedyne dzieło sztuki w tym pokoju.

- Doktor Khan twierdzi, że nie jesteś skory do współpracy.

- Gdzie jestem?

- Rozsądne pytanie. Jesteś w Czarnej Dżungli.

- Ci dwaj przy drzwiach to roboty?

- Za dużo się naczytałeś fantastyki, inspektorze. Powiedz mi, gdzie jest teraz Hawke?

- Nie mam pojęcia.

- Wiesz, co to jest?

- Lalka wudu.

- Tak. Ale tych igieł nie będę wbijał w lalkę.

- Zabieraj to ode mnie.

- Będzie bolało.

- Dobry Boże.

Przeszywający ból promieniujący od stopy przez całą nogę sprawił, że mięśnie zaczęły mu się kurczyć w konwulsjach.

- Czy po tym, jak zabrałeś ze szpitala książkę, zdążyłeś ją dokończyć? Kiedy przed tobą była w tym pokoju świętej pamięci Frau Zimmermann, obiecałem jej, że cię o to zapytam.

- Nie.

- Bezpieczna odpowiedź. Jak daleko doszedłeś?

- Dostatecznie daleko, ty cholerny maniaku.

- Spokojnie, spokojnie. Doktor i ja ucieszyliśmy się z twojego przyjazdu. W ten sposób dowiemy się, kogo się spodziewać i kiedy. I czy musimy poczynić jakieś zmiany w naszych planach. Gdzie jest teraz Hawke? Dokąd pojechał z Key West?

- Odpieprz się.

- Tu jest taki specjalny nerw, tuż pod przegrodą nosową Czujesz?

- Tak.

- Łódź Hawke'a została zlokalizowana przez nasze samoloty zwiadowcze patrolujące północne wybrzeże Kuby. Wyprzedził nasze motorówki patrolowe. Ostatnio widziano go, jak płynie na południowy zachód. Gdzie jest teraz?

- Wal się, Muhammad. To chyba twój styl, prawda?

- Doktorze? Czy może pan przyjść ze swoją torbą? Dziękuję. Doktor Khan jest inżynierem, ale interesuje się też anatomią. Dopilnuje, żebyś zasnął największego możliwego bólu, a przy tym pozostał przytomny aż do publicznej egzekucji jutro o zachodzie słońca. To będzie spore wyzwanie dla jego umiejętności... i dla twojej wytrzymałości.

- Nie mam wam nic do powiedzenia.

- Odważny człowiek, prawda, doktorze? Odrobinę whisky, inspektorze? Proszę podnieść głowę. O tak.

- Niezła. Macallan, z jakimś posmakiem. Czego do niej dosypaliście?

- To ja zadaję pytania. Jestem pewien, że przywykłeś do przechytrzania swoich przeciwników. Ale nie dzisiaj. Nie będę zwracał uwagi na twoje obietnice i prośby, więc nie marnuj ani swoich słów, ani mojego czasu. Do rzeczy. Kiedy dostałeś tę książkę od Niemców, posiadałeś pewną wiedzę. Jaką jej częścią podzieliłeś się ze swoim przyjacielem Hawkiem, nim cię zatrzymaliśmy?

- Powiedziałem mu dostatecznie dużo.

- Doktorze?

- O Boże! O Boże!

- Mów. Natychmiast!

- Zemdłał - oznajmił Khan. - Muszę przywrócić go do przytomności.

- Witamy ponownie - powiedział Top, gdy Ambrose odzyskał świadomość. - Idziemy dalej. Ile wie Hawke? Mów.

- Znów mdleje. Potrzymaj mu to pod nosem.

- Congreve, w twoim ciele jest dwanaście głównych kości. Będziemy łamać je po kolei. Zaczniemy od tej. Gotów? Może pan zaczynać, doktorze.

Rozległ się głośny trzask i Congreve wygiął się, szarpiąc za więzy.

- Proszę...

- Będziesz mówił?

- To coś... coś o ataku na Waszyngton...

- Czy Hawke wie?

- Nie.

- Czy Hawke wie?!

- T... tak. To znaczy nie. Nie wie. Nic... proszę, Boże.

- Jeszcze jedną, doktorze, jeśli pan łaskaw. Kiedy doktor połamie ci wszystkie kości, wstrzyknie ci roztwór, który wywoła konwulsje. To będzie... bardzo nieprzyjemne.

- Nie! Proszę...

- Wiesz, jaki jest główny cel?

- Prezydent.

- Kto jeszcze?

- Rząd.

- A kiedy nastąpi atak?

- Nie wiem.

- Pytałem, kiedy nastąpi atak.

- Podczas prze... przejścia na Kapitol.

- A „Beduin”?

- Bezzałogowy okręt podwodny. W Tidal Basin.

- Uzbrojenie?

- Mała głowica jądrowa. Sto pięćdziesiąt kiloton.

Papa Top spojrział na Khana i skinął głową. Doktor podniósł prawą rękę Congreve'a i wygiął mu do tyłu palce pod nienaturalnym kątem.

- Ile z tego wie Hawke?

- Wszystko. Nic. Sam wybierz.

- Powtarzam. Ile... z tego... wie Hawke? Ile?

- Pieprz się.

- Bardzo dobrze, inspektorze. Sądzę, że na dzisiaj to będzie wszystko, chyba że doktor ma jeszcze jakieś pytania. Nie? W takim razie widzimy się rano. Aha, nie próbuj spać. To na nic, zważywszy na to, co masz w żyłach.

- Zaczekaj!

- Coś jeszcze?

- Jest pewna kobieta. W Anglii. Chcę się z nią pożegnać. Proszę. Proszę o pióro i

papier. Póki jeszcze mogę pisać...

Top patrzył na Congreve'a przez kilka sekund, a nim odpowiedział, spojrzął jeszcze na Khana.

- Doktor mówi: „nie”. Nie wierzy, że mówisz prawdę o Hawke'u. Zapytam jeszcze raz. Czy rozmawiałeś ze swoim przyjacielem Aleksem Hawke po tym, jak odszyfrowałeś cały list?

- Nie. Dajcie mi ten cholerny papier.

- Wierzę mu - rzekł Top do jednego ze strażników, kiedy szedł w stronę drzwi. - Na razie. Dajcie mu, czego chce. Rano znów zaczniemy.

68

Lee's Ferry, Wirginia

Śnieg sypał tak gęsto, że Franklin ledwo odróżniał pobocza od drogi, którą jechał. Widoczność była mocno ograniczona, a wyglądać na zewnątrz mógł tylko przez kawałek szyby omiatany wycieraczką. Ilekroć ramię wycieraczki ścierało z szyby świeżą partię mokrego białego śniegu, pochylał się do przodu, żeby sprawdzić, gdzie jest.

Wielkie pługi na pewno już wyjechały, ale droga, którą jechał, nie należała do kategorii pierwszej kolejności odśnieżania, skoro niecałe dwa kilometry na zachód biegła międzystanowa trasa I-95.

Utknąłby, gdyby nie to, że jechał wielką sportową terenówką wynajętym jeepem cherokee 4x4. To był ostatni samochód, jaki mieli w wypożyczalni Hertza na lotnisku Reagana w Waszyngtonie.

- Czerwony będzie panu odpowiadał? - zapytała go dziewczyna z Hertza. Odpowiedział, że czerwony to jego ulubiony kolor.

Minał już zjazdy na Mt. Vernon i miasteczko Woodbridge, ale jechał zaledwie trzydziestką a do zmroku została najwyżej godzina. Gdy zapadnie ciemność, znacznie trudniej będzie mu znaleźć farmę Cud Poranka.

Miał nadzieję, że Homer siedzi w radiowozie z włączonym ogrzewaniem, bo robiło się coraz zimniej. Sięgnął do deski rozdzielczej i ustawił nagrzewnicę na maksimum. Żałował, że nie wziął rękawiczek. Dobrze przynajmniej, że ma kurtkę.

To chyba tu, pomyślał, kiedy w snopach światła dostrzegł tablicę z nazwą River Road. Skręcił w lewo. Kolejna tablica poinformowała go, że do Lee's Ferry zostały jeszcze dwa kilometry. Zwolnił jeszcze bardziej, ledwo się toczył. Mijał ogromne stare drzewa z grubymi pniami i bezlistnymi konarami, przez które prześwitywała rzeka. Farma powinna być już niedaleko.

Wkrótce zobaczył pod zwałami świeżego śniegu coś, co musiało być płotem ze sztachet, a kawałek dalej białą drewnianą tablicę „Farma Cud Poranka”.

Droga dojazdowa wyłoniła się błyskawicznie i Franklin zbyt mocno przyhamował. Tył wozu zarzuciło, przód też się obrócił i w końcu cały samochód zaczął tańczyć na lodzie, zmierzając prosto do rowu. Zdjął nogę z hamulca i w końcu się zatrzymał. Światła świeciły pod dziwnym kątem. Kiepski początek. Wrzucił jedynekę i dodał gazu. Nic. Spróbował na wstecznym. Koła ślizgały się jak po tłustym szkle.

Zmiał w ustach przekleństwo, wyłączył silnik, wysiadł z wozu i zaczął iść pod górę na piechotę. Kowbojskie buty nie ułatwiały mu zadania. Na drodze dojazdowej nie było śladów auta, ale padało tak mocno, że gdyby dwadzieścia minut temu coś tędy jechało, nikt by się nie domyślił.

Na szczycie wzgórza stał piętrowy domek z ciemnymi okiennicami. Na pewno roztaczał się stamtąd piękny widok na las, miasto na zachodzie i rzekę płynącą od wschodu. Zapadał już zmierzch, ale w żadnym z okien nie paliło się światło. Wokół domu nie było widać nikogo, z dwóch wysokich ceglanych kominów nie leciał dym.

Po prawej stronie miał teren gęsto porośnięty drzewami. Pewnie gdzieś tu Homer ukrył wóz, tuż za wzniesieniem.

Franklin zszedł z drogi między drzewa i zaczął wypatrywać radiowozu. Dostrzegł go dopiero, znalazłszy się na szczycie wzgórza.

Stał w kępie drzew nieopodal leniwie płynącej rzeki, przysypany śniegiem. Dixon zaczął schodzić w jego kierunku; poczuł się jakoś nieswojo. Kiedy ostatnio rozmawiał z chłopakiem, pięć godzin temu? To dość długo jak na siedzenie w samochodzie i czekanie, aż śnieg zasypie okna.

Chłopak dorwał się do kości, a on doskonale wiedział, jakie to uczucie. Mimo wszystko widok radiowozu zaniepokoił go. Przyspieszył kroku. Przytrzymał się gałęzi, żeby nie upaść.

Homera nie było w samochodzie. Drzwi od strony kierowcy były szeroko otwarte. Śnieg zasypał siedzenie, tablicę rozdzielczą i podłogę. Oprócz Homera brakowało czegoś jeszcze. Na wieszaku pod deską rozdzielczą nie było strzelby Mossburga.

Franklin się wyprostował. Dyszał ciężko. Kiedy schodził z góry, mijał drogę prowadzącą do rzeki. Zaczął cofać się w jej kierunku, bo żadne inne rozwiązanie nie miało sensu. W końcu do niej dotarł. Biegła przez las aż do rzeki, a na jej końcu widać było pomost dla łodzi. I ciężarówkę, którą zatrzymali tamtej nocy pod Prairie. Homerowa ciężarówka-widmo, Yankee Slugger. Zjechała tyłem, tylne koła były dosłownie metr od brzegu rzeki. Ciągnik miał włączone światła. Kawałek dalej na zboczu stał podnośnik widłowy.

Na ziemi w plamie światła leżał jego zastępca.

Wpatrywał się w światła reflektorów ciężarówki. Śnieg wokół niego był zbryzgany krwią. Kilkadziesiąt centymetrów od jego wyciągniętej ręki leżała strzelba Mossburga, prawie przysypana śniegiem, ale jeszcze widoczna. To musiało się stać w ciągu ostatniego kwadransa.

Homer wciąż oddychał.

Oddychał szybko i płytko, ale żył.

- Homer? - Franklin uklęknął i ujął w dłonie głowę chłopca.

- Dotarł pan, szeryfie.

- Nie mów. Musimy cię zawieźć do szpitala.

- Za późno, szeryfie. Niech pan sobie nie robi kłopotu.

- Kto ci to zrobił?

- To... syn. Obserwowałem, jak wyładowują ciężarówkę. Wpuszczają coś do wody. Chciałem ich powstrzymać. Starszy, na podnośniku, zobaczył, jak wychodzę z lasu. Krzy... krzyknął coś do syna, a ten odwrócił się i strzelił do mnie. Ja też strzeliłem. I chyba go zabiłem. To wszystko.

Wzrok Homera uciekał gdzieś daleko.

- Wszystko będzie dobrze, Homer. Trzymaj się, synu.

- Nie, niech pan posłucha. Musi pan... musi pan posłuchać o tym, co wrzucili do rzeki.

To... coś złego.

- Co to takiego, Homer?

- Jakiś... nie wiem co. Jakby mały okręt podwodny. Zaawansowana technika. W środku nikogo. Przynajmniej nikt do tego nie wsiadł. Tak jak ciężarówka... zdalnie sterowana.

- Nadal tam jest? To coś w rzece?

- Nie. Wpadło do wody i zaczęło się zanurzać. Popłynęło sobie. Dość szybko i...

- W którą stronę? W którą stronę popłynęło?

- Chyba na północ.

- Czyli do Waszyngtonu?

- Nie mogę... Ja...
- Nic nie mów, Homer. Spokojnie. Zostań ze mną.
- Nie mogę. Muszę iść.
- Homer?

*

Franklin siedział z martwym chłopcem w ramionach przez dobrych pięć minut. Płakał. Łzy i płatki śniegu spadały na policzki chłopca, wciąż jeszcze zaróżowione od mrozu. W końcu Dixon wstał, zdjął kurtkę i nakrył nią swojego zastępcę. Przez minutę czy dwie patrzył na nieruchomą sylwetkę Homera. Potem pochylił się, chwycił garść śniegu i natarł nią twarz.

Spojrzał na wystającą spod kurtki rękę Homera. Chłopak wciąż trzymał rewolwer w dłoni. Franklin delikatnie wyjął go z zimnych palców i zatknął sobie za pasek dzinsów na plecach.

Później podniósł ze śniegu strzelbę Mossburga i podszedł do ciężarówki, gdzie twarzą w śniegu leżał młody Arab. Wokół niego widać było kałużę krwi, podobnie jak wokół ciała Homera.

Załadował strzelbę i spojrzał na dom na wzgórzu. Poczul dym. Zdaje się, że rozpalili w kominku. Na dworze było bardzo zimno.

69

Rzeka Wątpliwości

Hawke stał samotnie na rufie i wpatrywał się w rzeczny nurt. Było wczesne popołudnie i słońce paliło niemiłosiernie. Od wypłynięcia z Manaus minęło dwanaście godzin.

Alex zdołał zdrzemnąć się kilka godzin w małej kajucie, po czym wrócił do „pokoju sztabowego”, by naradzić się ze Stokelym, Brownlowem i dowódcą sekcji uzbrojenia Walijczykiem Dylanem Allegrią. Problem z trzecim silnikiem został już rozwiązany. Okazało się, że to drobna mechaniczna usterka w jednym z napędów. Stracili jednak trochę cennego czasu, bo płynąc na dwóch silnikach, łódź przestawała być demonem szybkości.

Cholerna Rzeka Wątpliwości została tak nazwana nie bez powodu. Nastroje załogi pogorszyły się - od niepokoju do obaw. Mieli opóźnienie, ale nie było ono jedyną przyczyną

spadku morale. Część ludzi uważała, że się zgubili. Upał, otaczająca ich gęsta dżungla i mnogość nieoznaczonych na mapie dopływów wlewających się do kakaowej rzeki sprzyjały utracie orientacji i wzrostowi napięcia.

To się oczywiście zdarzało wśród żołnierzy idących do boju. Ale Hawke wiedział, że w przypadku tych ludzi to rzecz niezwykła.

Większość z nich była doborowymi wojownikami mającymi ogromne doświadczenie we współczesnej wojnie partyzanckiej. Wielu przyleciało z Martyniki, gdzie mieściła się baza Gromu i Błyskawicy, jednostki najemników, która nie miała sobie równych w walce w dżungli. Dla nich była to kolejna okazja, żeby wziąć się za bary z losem i odebrać sowitą zapłatę.

Ale stawka wzrosła, gdy nagle okazało się, że podczas misji należało też odbić zakładnika. Zwłaszcza że dla nikogo na pokładzie nie było tajemnicą, iż ten zakładnik jest najbliższym przyjacielem Alexandra Hawke'a.

Hawke słyszał podniesione głosy w mesie dla załogi. Dość tego. Za godzinę zbierze wszystkich w sterówce i zarazi ich własnym optymizmem. Przekona, że pokonają wszelkie przeszkody i odniosą sukces mimo trudności. Znajdą Congreve'a żywego i odbiją go. Zniszczą Topa. Udaremnią jego nieczne zamiary, cokolwiek by to było.

Nec aspera terrent, jak mówiło się w królewskim regimencie. Właśnie to im powie. Do diabła z trudnościami.

Wcześniej zwolnili przez tę cholerną usterkę silnika, teraz z powodu samej rzeki. Wiła się i zakręcała bez końca. Od kiedy opuścili szeroką Amazonkę, płynęli po jej dopływach. Przez wiele godzin po znacznie węższej Madeirze, a teraz po jeszcze węższej Rio Roosevelt, którą wielu tubylców wciąż nazywało Rzeka Wątpliwości. Teraz rozumiał dlaczego.

Dżungla pochłaniała załogę „Stiletto”, tak jak morze pochłania rzekę. Hawke i jego ludzie czuli się odcięci od wszystkiego, co znali. Zupełnie jakby odbywali podróż do początków czasu. Wniknęli w bezkresny świat roślin, wody i - wyjąwszy głębokie mruczenie silników - ciszy. Wszędzie, gdzie spojrzeć, widać było orgię roślinności. Królami tej bezkresnej dżungli były wielkie drzewa. Powietrze było gęste i nieruchome, a światło padało tylko prosto z góry.

Przez całe popołudnie ocierali się kilem o pływaczki, próbując odnaleźć głębsze koryto rzeki. Hawke postawił na dziobie dwóch ludzi, żeby wypatrywali zalanych wodą i zatopionych kamieni, których ostre krawędzie mogły rozedrzeć dno łodzi i rozwiać resztki nadziei. Jakby tego było mało, z dżungli zaczął dochodzić głos bębnow. Nie miał pojęcia, czy to sygnały wzywające do wojny, pokoju czy modlitwy.

A może to zwiadowcy Xucuru ogłaszali jego powrót.

Zabić, zabić.

Hawke nie mógł się pozbyć przeświadczenia, że nawet cholerna natura spiskuje przeciwko niemu. Im głębiej „Stiletto” zapuszczał się w dżungłę, tym bardziej oddalała się rzeczywistość. Czuł, że ten koszmar zniknie dopiero wtedy, kiedy spojrzy w oczy Topa. A to powinno nastąpić już niedługo.

Jego rozmyślania przerwał kapitan Gerard Brownlow.

- Szefie, przepraszam, że przeszkadzam.

- Nie przeszkadzasz, Brownie.

- Około trzeciej trzydzieści zbliżymy się do odcinka rzeki, na którym według Brocka są rozmieszczone miny chroniące główny kompleks wroga. Poleciałem ludziom, żeby za pół godziny zaczęli wypuszczać sondy.

- Dobrze, kapitanie. Zmniejsz też prędkość do piętnastu węzłów. Brock bywa mało precyzyjny.

- Co jeszcze mogę zrobić?

- Czy nasze rakiety są uzbrojone i gotowe?

- Tak. Strzelec Lewis zameldował, że rakiety są gotowe i działają bez zarzutu.

Właśnie zauważyliśmy i namierzamy dwa cele.

- Jakie cele?

- Dwa małe pojazdy bezzałogowe. Z raportu Brocka wynika, że to ogry, ruchome działka na gaśnicach. Jadą po obu brzegach, w odległości niecałych dwóch kilometrów od rzeki. Towarzyszą nam od dziesięciu minut i dopasowują się do naszej prędkości. Prawdopodobnie zwiadowcy.

- Więc wróg już wie, że się zbliżamy.

- Zgadza się, szefie.

- Każ strzelcowi pilnować tych zwiadowców. Dopóki będą jechać równolegle, niech sobie jadą. Jeśli zaczną się zbliżać albo zagrażać łodzi, zdejmijcie je.

- Tak jest, szefie.

Brownlow zsalutował i poszedł w stronę dziobu, żeby przekazać strzelcowi rozkazy Hawke'a. Alex popatrzył na dwie niepozorne czarne kasety zamontowane na rufie. Harry Brock twierdził, że to najnowsza technologia, rakiety prosto z pudełka. Uważał, że będą im potrzebne tam, gdzie się wybierają i to on je zamówił.

Harry Brock bywał naprawdę irytujący.

Hawke uwolnił kiedyś Harry'ego z chińskiego parowca, który wiozł go do więzienia

w Chinach. Potem Brock się odwdzieczył, wyciągając Aleksa żywego z tej choleralnej dżungli. Byli więc kwita, co Hawke'owi bardzo odpowiadało.

Ale teraz musiał polegać na informacjach Brocka na temat położenia wroga, jego środków obronnych i umocnień. Planowali, że Harry dołączy do nich na ostatnim etapie podróży. Tuż po zmroku „Stiletto” miała się zatrzymać przy opuszczonej przystani o nazwie Tupo. Przy odrobinie szczęścia Brock będzie tam czekał.

Hawke wpłynął na terytorium nieoznaczone na mapach. Jeszcze nigdy nie zapuścił się tak głęboko i choć niechętnie, musiał przyznać, że potrzebuje Harry'ego. Nawigacja byłaby niezwykle trudna, gdyby na dziobie nie stał ktoś, kto wie, czego wypatrywać na rzece. Z powodu gwałtownych powodzi koryta rzek stale się zmieniały, rozwidlenia i dopływy stawały się praktycznie nie do rozróżnienia. Część rzek była zaminowana, inne nie. Harry wiedział, gdzie jest bezpiecznie. To on powiedział Aleksowi o uzbrojonych samolotach bezzałogowych i bojowych robotach. On też zamówił te czarne kasety na rufie.

Precyzyjnie naprowadzane rakiety bojowe, czyli PAM, odpalało się po namierzeniu celu. Ale Hawke wiedział, że w dżungli będzie wiele celów, których czujniki łodzi nie wyłapią zamówił więc także kasetę z raketami wyszukującymi, czyli LAM.

LAM miały tę samą wielkość i wagę co PAM, ale w przeciwieństwie do nich mogły latać po oznaczonym terenie przez czterdzieści pięć minut, wyszukując sobie cele. Jeśli niczego nie znalazły, po prostu spadały na ziemię i się rozbijały. Jeśli jednak laserowy system radarowy Ladar coś namierzył, a pokładowe oprogramowanie rozpoznało pojazd przeciwnika, rakietka spadała na niego. Jej głowicy opierały się tylko największe czołgi.

Nagle w kasetę z raketami PAM coś uderzyło i upadło na pokład u stóp Hawke'a. Pochylił się i podniósł przedmiot. Strzała. Długa na niewiele ponad metr, co oznaczało, że wojownik Xucuru, który ją wystrzelił, nie był schowany głęboko w dżungli. Hawke wskoczył do chronionej wieżyczki z karabinem maszynowym, a chwile później powietrze wokół łodzi zaroilo się od zatrutych strzał. Z obu brzegów nadleciała ich cała chmura. Większość odbijała się od węglowego kadłuba albo nadbudówki i spadały do wody, nie czyniąc nikomu krzywdy. Mimo to istniało ryzyko, że ktoś może zostać ranny.

Hawke założył słuchawki i krzyknął do mikrofonu:

- Nawigator! Masz wodę pod kilem?

- Tak, szefie. Ale niedużo. Płycizny...

- Pilnuj kursu - rozkazał Hawke. - Ja się tym zajmę.

Dla krótkiego przyspieszenia nie warto było ryzykować. Zresztą miał do pogadania z tymi Xucuru. Szkoda, że stary Wajari tego nie doczekał.

Chwycił dżojstik, obrócił wieżyczkę na prawą burtę i wypuścił długą serię z podwójnego karabinu kaliber .50. Kule siekały roślinność na strzepy. Kolejna seria, po czym obrócił wieżyczkę na lewą burtę i znów strzelił. Efekt był natychmiastowy. W stronę łodzi nie poleciała już ani jedna strzała. Albo wszyscy Indianie zginęli, albo uciekli do dżungli.

- Szefie, mamy gościa - usłyszał w słuchawkach głos Brownlowa.

- Co się dzieje, kapitanie? - Hawke wyszedł z wieżyczki z karabinami i ruszył do sterówki.

- W naszą stronę leci samolot bezzałogowy. Prosto na nas.

- Odległość?

- Półtora kilometra i jest coraz bliżej. Wysokość sześć i pół metra. Za chwilę powinniśmy mieć go w zasięgu wzroku.

- Widzę go - powiedział Hawke i zanurkował do sterówki. Stał obok Brownlowa, który kierował łodzią. Obaj patrzyli, jak ciemna plamka kilka metrów nad wodą robi się coraz większa. Hawke chwycił lornetkę stojącą na specjalnej podstawie.

Samolot przypominał odwróconą do góry nogami łyżkę ze skrzydłami. Był pomalowany na szaro i rozwijał prędkość ponad dwustu kilometrów na godzinę.

- To samolot zwiadowczy - stwierdził Hawke. - Przekazuje obraz na żywo do centrum dowodzenia. Uzbrojony. Na końcach skrzydeł dwie rakiety powietrze-ziemia typu Hellfire.

- Zdejmujemy go, szefie? - zapytał Lewis.

- W tej chwili filmuje nasz przyjazd. Zróbmy publiczności przed telewizorem wielkie bum.

- Zrozumiałem, mam strzelać.

- Potwierdzam. Sprawdźmy, czy to cholerstwo do czegoś się nadaje.

Sekundę później czerwono-nosa rakietka PAM z sykiem wystartowała z kasety i wzbijała się w górę. Na wysokości około trzystu metrów pocisk zmienił kierunek i popędził w dół prosto na swoją ofiarę. Mężczyźni w sterówce wstrzymali oddech.

Po chwili powietrze przeszył głośny huk i mniej więcej sześć metrów nad wodą pojawiła się kula ognia. Falę uderzeniową z głowicy PAM poczuli wszyscy na „Stiletto”. Rozległy się spontaniczne okrzyki radości, kilku żołnierzy przybijało sobie piątki. Teraz wiedzieli, że na pokładzie łodzi mają przynajmniej jeden działający system obronny.

- Ładny strzał - pochwalił Lewisa Hawke.

- Łatwizna, wystawił się jak kaczką - odparł strzelec i uśmiechnął się od ucha do ucha.

Lee's Ferry, Wirginia

Z domu unosił się dym. Ale nie z kominów. Czarny i gęsty wydostawał się z okien sypialni na piętrze. Wzdłuż belek zaczęły pojawiać się jęzory ognia. Płomienie rozprzestrzeniały się błyskawicznie, topiąc śnieg.

Franklin biegł pod górę najszybciej, jak mógł. Zamarzający śnieg sięgał mu po kolana. Dom miał jedno tylne wejście. Chyba do kuchni. Wielkie łukowate okno i podwójne drewniane drzwi z szybami. W kuchni nie paliło się światło, chociaż na dworze było już całkiem ciemno.

Szeryf zatrzymał się na schodkach i nasłuchiwał, czy ze środka nie dobiega jakiś dźwięk. Słyszał tylko trzaski palących się i pękających dachówek, z każdą chwilą coraz głośniejsze. Drewniany dom musiał mieć ze dwieście lat. Spali się błyskawicznie. A wraz z nim wszelkie ewentualne dowody. Wyglądało na to, że mieszkańcy uciekli. Pewnie przez frontowe drzwi. Może samochód stał w szopie, którą mijał po drodze?

Drzwi były lekko uchylone.

Franklin kopnął je mocno, niemal wrywając z zawiasów. Adrenalina podsyciła jego wściekłość. Wciąż miał przed oczami martwą twarz Homera zasypywaną przez śnieg. Wszedł, wnosząc ze sobą śnieżną burzę, i rozejrzał się po kuchni. Po prawej szafki. Kuchenka wbudowana w blat pośrodku, nad kuchnią miedziany okap.

- Policja, nie ruszaj się! - Wymierzył strzelbę w kobietę pochyloną nad stołem. Siedziała z rękami opuszczonymi po bokach i głową opartą o blat. Ramiona jej drżały, wstrząsane szlochem.

- Muszę zobaczyć pani ręce.

- Zabiłeś mi syna - powiedziała, unosząc głowę. Jej mokre od łez oczy płonęły nienawiścią.

- Pani syn zastrzelił funkcjonariusza policji. A teraz proszę podnieść ręce tak, żebym je widział. Już!

- Chcesz zobaczyć moje ręce? - Kobieta poderwał się zza stołu, wywracając go. W rękach trzymała krótki pistolet maszynowy kaliber 9 milimetrów.

- Rzuć broń! - krzyknął Franklin, cofając się do drzwi.

- Allah Akbar! - wrzasnęła i z desperacją w czarnych oczach pociągnęła za spust.

Strzał był niecelny, ale kobieta nie rezygnowała. Szła chwiejnie w stronę Franklina z pistoletem w rękę. Gdy po chwili znalazła przełącznik na ogień automatyczny, nie miał innego wyjścia niż przykłęknąć i strzelić jej w piersi. Osunęła się bezwładnie i upadła na podłogę pośród potłuczonej porcelany i szkła.

Franklin wstał i wyszedł z kuchni na korytarz. Gdzie jest mąż? Przechodząc przez zaciemnioną jadalnię, zobaczył na pięknym wiśniowym stole śmiecie po jedzeniu z jakiegoś baru szybkiej obsługi. Dym gęstniał i zaczął go gryźć w oczy. Ogień zaczął obejmować wewnętrzne ściany. Przeładował strzelbę i wpadł do salonu.

Płonęły zasłony na obu oknach, paliły się dwa fotele, a dywan pod jego butami już dymił.

W kominku buzował ogień.

Nie płonęło drewno, tylko jakieś papiery, dopiero co wrzucone, sądząc po stopniu zniszczenia. Skwierczały też trzy laptopy. Czarny plastik kapał z sykiem na rozgrzane kamienie.

Franklin, upewniwszy się, że w pokoju nikogo nie ma, położył mossburga nad kominkiem i zaczął ratować z ognia, co się jeszcze dało. Zdołał wyjąć trochę luźnych kartek. Poparzył sobie palce i osmalił włosy na ręce, ale już miał sięgnąć ponownie, gdy zobaczył buty, a potem nogi mężczyzny schodzącego po schodach z piętra.

Nie miał czasu chwycić za strzelbę.

Odrzucił się twarzą do mężczyzny, upuścił papiery na podłogę za sofą przesunął powoli prawą nogę i zaczął gasić butem żarzące się dokumenty.

Mężczyzna w czerwonym włóczkowym swetrze uśmiechał się, idąc w stronę Franklina. Szeryf zobaczył, że nieznajomemu błysnęły oczy, kiedy dostrzegł na kominku strzelbę. Mógłby uchodzić za prawnika, bankiera czy pediatrę, który wrócił na dół, sprawdzwszy, co u chorych dzieci na piętrze. Ale nie był żadnym z nich. Palec miał zaciśnięty na spuście półautomatycznego karabinka. Mieszczący trzydzieści nabojów bananowy magazynek tylko czekał, żeby wypłuć kule w tego wysokiego szeryfa z Teksasu.

W drugiej ręce trzymał dwudziestolitrowy plastikowy baniak, z którego sączyła się benzyna.

- Proszę odłożyć broń - powiedział Franklin, przesuając się za sofę.

Czerwony Sweter zaklął po arabsku, po czym rzucił baniak z benzyną w stronę okna z płonącymi zasłonami. Cała ściana buchnęła ogniem.

Szeryf wykorzystał tę chwilę, żeby dać nura za wielką sofę. Pokój wypełniło staccato automatycznego ognia. Franklin słyszał, jak kolejne pociski wbijają się w mebel. Odturlał się

kawałek i sięgnął po rewolwer Homera, który wetknął sobie za pasek. Z bronią w rękę przewrócił się na brzuch i spojrzał pod szeroką sofę.

Dwie stopy w brązowych butach i opadających pomarańczowych skarpetkach zbliżyły się w jego stronę.

Franklin strzelił po razie w każdą kostkę.

Mężczyzna krzyknął z bólu i padł na kamienną posadzkę przed kominkiem. Franklin wstał i obszedł sofę. Arab leżał na plecach i nie wiedząc czemu uśmiechał się, celując we Franklina. Strzelił.

Kula drasnęła Dixona w czoło, ale utrzymał się na nogach. Przez krew zalewającą mu oczy widział, że palec nieznanego zaciska się na spuście.

Szeryf strzelił raz, w sam środek czoła Araba.

Przez chwilę stał oszołomiony, a serce waliło mu jak młotem. Rozejrzał się dookoła. Ogień zajął już wszystkie ściany. Z drewnianego sufitu snuł się dym, a farba zaczęła się marszczyć i łuszczyć. Za kilka sekund sufit stanie w płomieniach. Czas się wynosić. Franklin wsadził pistolet za pasek, zabrał strzelbę z kominka i dymiącą kupkę papierów, które ocalał z ognia, i popędził z powrotem do kuchni. Ogień nie dotarł jeszcze do tej strony domu.

Na blacie pośrodku stał stylowy czarny telefon. Prawdopodobnie właśnie z niego dzwonił Homer. Stał tu, jedząc jabłko i patrząc na śnieg za oknem.

Franklin położył papiery przy telefonie. Było to około dziesięciu kartek, część zupełnie zniszczonych, część nietkniętych. Obejrzał jedną z nich, ale tylko bezradnie wodził oczami po arabskim druku pomieszany z niezrozumiałymi fragmentami po angielsku. Wzrok szeryfa przykuła inna kartka. Była to jakaś mapa z notatkami naniesionymi czerwonym atramentem.

Przyjrzał się im uważnie, a potem podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer informacji. Udało mu się nawet porozmawiać z żywym człowiekiem, nie z automatem. Poprosił o pewien numer w Waszyngtonie i otrzymał go.

Czekał na połączenie, wpatrując się w wystającą belkę nad głową. Wyglądała na rozpaloną.

- Federalne Biuro Śledcze, w czym mogę pomóc?

Wyjaśniał, kim jest i dlaczego dzwoni, trzem osobom, a czwarta kazała mu czekać i się nie rozłączać. Odłożył słuchawkę i zadzwonił do Departamentu Stanu. Poprosił o połączenie z panią sekretarz de los Reyes, tłumacząc, że jest policjantem, a pani sekretarz na pewno rozpozna jego nazwisko z konferencji na Key West. I że chodzi o ważną sprawę związaną z bezpieczeństwem narodowym.

- Szeryfie Dixon, tu Consuela de los Reyes - usłyszał po mniej więcej minucie. -
Dziękuję, że pan zadzwonił.

- A ja dziękuję, że pani zgodziła się odebrać ten telefon. Nie mogę długo rozmawiać,
bo dom, w którym jestem, właśnie się pali.

- Szeryfie, musi pan szybko...

- Proszę, pani sekretarz, to naprawdę ważne. Zajmę tylko chwilę. Jestem na farmie
Cud Poranka. Koło Lee's Ferry w Wirginii. To przy drodze nad rzeką na północ od
Fredericksburga. Mam tu jednego martwego...

- O jakiej rzece pan mówi, szeryfie Dixon?

- Nie jestem pewien, ale to chyba Potomac.

- Potomac, proszę mówić dalej.

- Potrzeba tu koronera. I karetki. Mam tu zastrzelonego policjanta i dwójkę, a może
nawet trójkę martwych Arabów. Umieścili w rzece jakieś urządzenie. Homer twierdzi, że to
bezzałogowy okręt podwodny.

- Homer?

- Mój świętej pamięci zastępca.

- Szeryfie, proszę zaczekać sekundkę, proszę właśnie moich ludzi, żeby posłuchali
tego, co pan mówi. Straż i karetka są już w drodze. I policja stanowa.

- Dziękuję, pani sekretarz. Tak jak mówiłem, mój zastępca widział ten nowoczesny
okręt podwodny, który przewożono w ciężarówce. Skrzynia, w jakiej go przywieziono jest
wielkości volkswagena busa. Jeszcze jedno, zanim się rozłączę. Ci ludzie palili papiery i
laptopy, ale ocaliłem z ognia, co mogłem. Mam jedną z tych kartek w ręku. Trochę nadpalona
mapa Waszyngtonu z zagmatwaną czerwoną linią i napisem „Trasa parady”.

- Trasa parady. Wszyscy usłyszeli? - zapytała de los Reyes ludzi przysłuchujących się
rozmowie.

- I te ciężarówki. Niewykluczone, że w waszym kierunku jedzie mnóstwo ciężarówek
z naczepami. Bez kierowców. Podejrzewam, że są zdalnie sterowane. Nie wiem, co wiozą, ale
to na pewno nic dobrego.

- Niech pan ucieka z tego domu, szeryfie. Miejscowa policja i agenci FBI z Quantico
już są w drodze. Proszę się nie narażać, ale niech pan zabierze każdy możliwy skrawek
papieru i przekaże go ekipie FBI. Proszę im opowiedzieć wszystko, co pan wie.

- Dobrze, pani sekretarz. Muszę iść. Ta belka nade mną zaraz się przepali.

- Niech pan ucieka.

- Ci ludzie zabili chłopaka, który był mi jak syn. Chciałbym pomóc, jeśli tylko będę

umiał.

- Dopilnuję, żeby dojechał pan do Waszyngtonu. Niech pan się nie martwi, znajdziemy panu zajęcie. Mamy tu urwanie głowy z powodu inauguracji.

- Inauguracja. Kiedy to dokładnie jest?

- Pojutrze, szeryfie.

71

Czarna Rzeka

- Wolałbym popłynąć w górę rzeki z siedmioma twardzielami niż z setką patalachów.

Mały Francuz wybuchnął śmiechem.

- *C'est genialne!* Doskonale!

- Naprawdę nie zmyślam, zabójdzie - zarzekał się Stoke. - Wiesz, kto to powiedział? Sam założyciel cholernych oddziałów Delta. Charlie Beckwith.

- Ten Beckwith to człowiek-legenda. Nawet we Francji.

- Nawet we Francji - powtórzył Stoke z uśmiechem. - Co ty powiesz? - Nagle spoważniał. - Będziemy mieli od cholery roboty, *mon ami*. W tej pierońskiej dżungli czeka na nas paru naprawdę wrednych koleśi.

Widział kilka godzin temu zmartwioną minę Aleksa Hawke'a. Rzeki nie zawsze wyglądają tak, jak miały wyglądać. Po każdym większym deszczu zmieniała się topografia terenu. Według najświeższych danych z systemu GPS łódź tkwiła gdzieś pośrodku tropikalnego lasu. Miał więc wyrzuty sumienia, że stoi tu sobie na rufie i dowcipkuje z Francuzem.

Siedzieli po turecku na pokładzie, a między nimi leżała kupka pozaginanych kart. Właśnie zakończyli partyjkę teksańskiego pokera. Przez ostatnie pół godziny zbijali baki. Francuzowi bardzo się spodobało to amerykańskie powiedzenie.

Było późne popołudnie. Zrobiło się chłodniej i nawet komary mniej dokuczały. Spadało też ciśnienie i czuło się, jak z zachodu nadciąga paskudny zimny front. Zwiastował ulewne deszcze i silny wiatr. Na razie jednak liście palm wzdłuż brzegów zwisały nieruchomo, bo nie było nawet najdrobniejszego podmuchu, który by je poruszył.

Kapitan Brownlow i Hawke stali na mostku i zmieniali się przy sterze. Nawigacja

wymagała teraz maksymalnego skupienia. Poza tym wciąż omawiali taktykę i dostosowywali strategię do zmieniających się warunków. Najważniejsza jest możliwość niezauważonego przybicia do brzegu wroga. Teraz, kiedy zostali namierzeni przez zestrzelony niedawno samolot, niewielkie były na to nadzieje.

W wieżyczkach na dziobie i rufie rozmieszczono strzelców. Każdy członek załogi miał broń w pogotowiu i obserwował uważnie oba brzegi. Przez ostatnie dwie godziny mieli szczęście. Żadnych Indian, żadnych samolotów, nic. „Stiletto” była najeżona lufami.

Młody chłopak nazwiskiem Llywd Ecclestone obsługiwał karabin na dachu sterówki. To jeszcze dzieciak, pomyślał Stoke, ale. Francuz bardzo chwalił tego byłego rangera.

- Hej, Ecclestone - powiedział Stoke, kiedy zobaczył chłopaka po raz pierwszy i przeczytał naszywkę na jego kurtce - rodzice pomylili się i zapomnieli ci wpisać „o” do imienia?

Okazało się, że Llywd to Walijszyk, a Walijszczy nie przepadają za samogłoskami.

Francuz, który w wojskowych butach liczył ledwie metr pięćdziesiąt, był jednym z założycieli słynnej organizacji antyterrorystycznej zwanej Grom i Błyskawica. Były legionista dowodził grupą siedmiu komandosów, którzy trafili na pokład na Key West i cieszyli się zasłużoną opinią najlepszej drużyny antyterrorystycznej do wynajęcia. Mieli też najlepsze na świecie osiągnięcia w odbijaniu zakładników.

Francuz, uwielbiany dowódca tego minioddziału, miał na sobie strój, jaki zwykle nosił przed walką: krótkie spodnie khaki i wypłowiałą niebiesko-złotą koszulkę komanda Fok. Na łańcuszku na szyi miał srebrny gwizdek bosmański, na огоłonej głowie nosił charakterystyczne białe kepi, a z dolnej wargi zwisał mu równie charakterystyczny dla niego papieros.

Francuz wydmuchnął chmurę gęstego dymu i wypluł śmierdzącego gauloise’a za burzę.

- *Dites-moi* - odezwał się, a potem dodał po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem: - Opowiedz mi o tych wrednych koleśkach, z którymi mamy walczyć. Tylko nie mów tak szybko.

- Dobra. Ci faceci, z którymi mamy się bić, od lat się do tego przygotowywali. Mamy tu do czynienia ze śmiertelną mieszanką partyzantów, kapujesz? Motocykliści, gangsterzy, przemytnicy i fanatyczni dżihadyści wudu. Są też stare dobre komuchy. I wszyscy działają razem. Mówi ci to coś?

- Co?

- Coś ich łączy, prawda? A jak myślisz, co?

- Wszyscy to wredoty?

- Oczywiście, że tak. Ale jest coś jeszcze. Wszyscy nienawidzą Stanów Zjednoczonych.

- Witamy w klubie.

- A skoro te wszystkie szumowiny mają wspólną obsesję, co ci to mówi?

- A co ma mówić?

- Stany muszą być cholernie fajnym krajem.

- Jak ktoś lubi taki kraj, to może tak. Stany to nie Francja.

- Dzięki, łaskawco. Tak czy siak, ci dranie nas nienawidzą. I co gorsza, mają forsy jak lodu. Porąbana ideologia to jedno, ale jeśli zaczyna się ją wspierać kasą z ropy, narkotyków, szmuglu broni i białego niewolnictwa, to mamy już coś zupełnie innego. Brock mówi, że mają roboty. Bezzałogowe samoloty, czołgi. Jak zabić robota?

Ekspert od wybuchów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wszystko można wysadzić w powietrze, *mon ami*, wszystko.

- Blacha nie krwawi.

- Ale się topi.

- Może i masz rację. Sęk w tym, że zanim to wszystko wysadzimy, trzeba stamtąd wydostać mojego kumpla Ambrose'a Congreve'a. Mam nadzieję, że Brock ma jakiś plan. Nie za bardzo jeszcze kapuję, jak mamy to zrobić.

- Rozmawiałem o tym z moimi chłopakami przez cały ranek. Mamy pomysł.

- Wal śmiało.

- Chcemy, żebyście dziś w nocy wysadzili nas na ląd. Całą naszą ósemkę. Jakieś sześć, osiem kilometrów w górę rzeki od naszego celu. Przebiegniemy się do celu przez dżunglę. Standardowa operacja. Noktowizory, porozumiewamy się tylko gestami. Zlokalizujemy zakładnika i spotkamy się z głównym oddziałem za mostem. Dostarczymy zakładnika na łódź i wydostaniemy go ze strefy walki. A potem zniszczymy przeciwnika.

- Brzmi nieźle. Ale jak, do kurwy nędzy, zamierzacie tego dokonać, żabojadzie?

- Najpierw zdejmujemy strażników zewnętrznych. Szybko i po cichu. Przenikniemy do wioski. Przeszukamy ją, dom po domu. Znajdziemy twojego przyjaciela Ambrose'a, obiecuję. Z pomocą monsieur Brocka albo i bez niego.

- Ta brazylijska dziewczyna Brocka twierdzi, że cała ta cholerna wioska jest zbudowana na drzewach. Jak w serialu o tej szwajcarskiej rodzinie Robinsonów.

- Co się podniesie, to musi upaść, Stokely. Bum.

- Położymy im prezenty z semteksu pod drzewkami - domyślił się Stoke. - Między

drzewami zamaskujemy połączone lonty, wszystkie będą prowadziły do jednego detonatora.

- Bum, bum, bum.

- I po drzewkach! Ale zobacz na te kolosy wokół. Muszą mieć z sześćdziesiąt metrów.

- No i co? Trach, trach. *Et voila!* Kolejne zwycięstwo.

- Posłuchaj, zabójczy. To nie będzie takie łatwe, jak się wydaje. Musimy najpierw znaleźć miejsce, gdzie trzymają Ambrose'a. Założmy, że jest w którymś z tych domków na drzewach. Musimy sprawdzić, w którym. Znieść go bezpiecznie na ziemię i spieprzać stamtąd, nim zacznie się strzelanina, i... Co się tak na mnie gapisz?

- Jestem słynnym zabójcą. Nie obrażaj mnie.

- Spoko. Po prostu głośno myślę. Żeby sobie uświadomić, jak to wygląda.

- Jeśli tam jest, to go znajdziemy.

- Mówisz tak, jakbyś nie brał pod uwagę, że z wami idę.

- A chcesz iść?

- A czy Paryż jest miastem? Dwa czteroosobowe oddziały. Ty dowodzisz jednym, ja drugim. Rozpraszamy się, wchodzimy. Rachy ciachu i po strachu, jak za dawnych czasów, *mi Corazon*.

- Musimy porozmawiać z komandorem Hawkiem i przedstawić mu nasze plany.

- No tak. O jasna cholera! Co to?

„Stiletto” nagle zatrzymała się pośrodku rzeki.

- Co się stało? Rzeka nam się skończyła?

- Całkiem stanęliśmy. Coś jest nie tak. Chodźmy na dziób.

Hawke i Brownlow stali przy sterze.

- Stokely - odezwał się Hawke, kiedy weszli do sterówki. - Spójrz na to.

Stoke stanął obok niego.

- O cholera. Blokada.

Przed nimi w odległości dwustu metrów czekała na nich solidna armada bojowych indiańskich dżubanek. Musiała być ich co najmniej setka. Stały w kilku rzędach, po dwanaście łodzi w jednym, i blokowały rzekę w jej najwęższym miejscu. Całkowicie.

Flotyła dżubanek rozciągała się na dwadzieścia, może nawet trzydzieści rzędów. W wieczornym świetle trudno było to dokładnie ocenić. Łodzie, ozdobione egzotycznymi totemami wojennymi, na dziobach i rufach miały pozatykane płonące pochodnie, a w każdej siedziało kilkunastu Indian pomalowanych w barwy wojenne.

Właśnie bili w bębny. Zdaje się, że znali tylko jedną śpiewkę, którą uparcie powtarzali.

Zabić, zabić.

- I co o tym sądzisz, Stoke? - zapytał Hawke. - Jesteśmy już dwie godziny spóźnieni na spotkanie z Brockiem. Jeśli pomyśli, że nie przyjedziemy i się ulotni, wszystko na nic.

- Płynmy powoli. Ale nie strzelajmy.

- Nie? A dlaczego? - zdziwił się Brownlow. - Możemy się wbić w te łódeczki jak nóż w masło.

- Nie na takiej płyciźnie. Zresztą to nie będzie konieczne - odparł Stoke.

- Jeżeli nikt nie będzie wychodził na pokład, to co nam mogą zrobić? Dzidy i zatrute strzały mogą się odbijać od okien choćby całą noc. Płynmy dalej.

- Ma rację, Brownie - zgodził się Hawke, a potem rzucił do mikrofonu: - Załoga. Zejść z pokładu. Wszyscy do kajut i czekać. Nie prowokować przeciwnika.

Minutę później wszyscy siedzieli już pod pokładem.

- Szeffie, mamy pod kilem niewiele wody - zauważył Brownlow, wskazując monitor, który pokazywał trójwymiarowy obraz dna rysowany przez sonar. Na ekranie widać było paskudne płycizny i tylko wąziutki wijący się kanał.

- Cholerne płycizny - mruknął Hawke. - Xucuru specjalnie wybrali to miejsce. Będziemy płynąć bardzo wolno.

- Ruszaj, Brownie - powiedział Stoke do kapitana. - Pamiętaj, że duży może więcej. Jak wpadniesz pod ciężarówkę, to rozjedzie cię i nawet nie zauważy, przyjacielu. Trzymajmy się tego kanału i zobaczymy, co będą robić.

- Jest pewien problem - rzekł Hawke, patrząc na łodzie ustawione sto metrów przed nimi. - Przy takiej prędkości mogą nam wejść na pokład.

- Mam pomysł - rzucił Stoke. - Zatrzymajcie łódź.

- Jaki pomysł? - zapytał Hawke.

Stoke spojrział na niego i się uśmiechnął.

- Najpierw zablokujemy nasze karabiny pokładowe i pozamykamy kasety z rakietami. Pewnie i tak nie potrafiliby ich użyć, ale nie ma co ryzykować.

- Na razie ten plan wygląda kiepsko - stwierdził Hawke.

- Zaczekaj. Na koniec rozłożymy taśmy do wykładzin.

- Taśmy do wykładzin? - zdziwił się Brownlow.

- Tak - potwierdził Hawke i popatrzył z uwagą na przyjaciela.

- Tajna broń - wyjaśnił Stoke. - Prosta techniczna sztuczka, którą sprzedano mi na przystani w Manus. Zaraz wracam.

Wyszedł ze sterówki i zniknął pod pokładem. Pod jego nieobecność „Stiletto” stała w

miejscu. Zablokowano zewnętrzne uzbrojenie i pozamykano wszystkie luki. Kilka minut później Stoke pojawił się znów na dziobie z ciężkimi płóciennymi torbami na ramionach. Każda z nich wypchana była taśmami do wykładzin. Szedł powoli, rozwijając najeżoną gwoździkami taśmę wzdłuż prawej burty. Potem to samo zrobił na lewej burcie. Kiedy skończył, wszedł po drabince na dach sterówki i tam rozłożył pozostałe kawałki taśm.

- To powinno wystarczyć - powiedział, zeskakując do sterówki. - Może pan ruszać, kapitanie Brownlow.

- Co ty, u diabła kombinujesz? - zapytał Hawke, a Stoke tylko się uśmiechnął.

- Szeffie? - odezwał się Brownlow. - Możemy?

- Ruszaj, Brownie - polecił Hawke. - Spokojnie, nie zbaczaj z kursu.

Flotylla dłubanek zaczęła się powoli zbliżać. Indianie wypuścili pierwszą falę zatrutych strzał w stronę nadpływającej łodzi. Kiedy skończyli, podniósł się kolejny rząd z długimi dmuchawkami.

W sterówce hałas strzał uderzających o kadłub brzmiał, jakby wpłynęli w chmurę szarańczy. „Stiletto” płynęła prosto na strzelających Indian. Xucuru rozkręcili się na dobre. Wyli i walili pięściami w burty smukłego kadłuba. Na pokład spadły prymitywne liny skręcone z pnączy. Dłubanki rozsuwały się na boki, a wojownicy zaczęli wchodzić po linach.

- Idą szeffie - mruknął Brownlow. - Chryste, obleźli całą łódź.

Przez okna sterówki widać było krzyczących dzikusów z pochodniami.

Ale wojownicy Xucuru wydawali z siebie okrzyki bólu, a nie zagrzewające do boju. Podskakiwali jak szaleni po najeżonych gwoździkami taśmach. Chwyтали się za stopy, wyli i jęczeli.

- Chyba długo u nas nie zabawią - stwierdził Hawke.

- Uciekają w podskokach - zauważył Stoke.

Większość Xucuru, nadzieawszy się na nieprzyjemną niespodziankę, natychmiast wskakiwała z powrotem do rzeki. Ci nieliczni, którzy zostali, uderzali dłońmi w okna sterówki. Hawke pstryknął wyłącznikiem nad głową, gasząc wewnętrzne światła. Zostawił tylko oświetlenie na pokładzie. Teraz wyraźnie widzieli napastników.

- Mamy tu super-duper broń za miliony dolarów, ale twój pomysł był na wagę złota, Stoke - powiedział Brownlow z uśmiechem.

- Najlepszy system obronny. Cztery dolce za torbę.

Kilka sekund później wszyscy Xucuru zeskoczyli z łodzi. Skakali z pokładu „Stiletto” prosto do Czarnej Rzeki. Dziesięciu, piętnastu, dwudziestu. Żaden więcej już nie wszedł.

Brownlow spojrział na powierzchnię wody. Aż się zagotowała od piranii, zwabionych

zapachem krwi. Xucuru krzyczeli w przerażeniu i młócili wodę rękoma, by jak najszybciej dopłynąć do brzegu.

- Kapitanie Brownlow, rzeka wygląda na czystą - stwierdził Hawke. - Jedźmy po Brocka. Cała naprzód.

- Tak jest, cała naprzód.

Nad dżunglą zapadła noc.

Szybko zostawili za rufą armadę indiańskich dłubanek.

„Stiletto” parła przed siebie, kierując się w samo gniazdo przeciwnika.

72

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

- Air Force One ląduje chyba gdzieś tutaj? Widziałem kilka razy w dzienniku.

- Osiemdziesiąta dziewiąta eskadra powietrzna. Dokładnie tam, szeryfie. - Consuela de los Reyes wskazała duży hangar po drugiej stronie zaśnieżonego pasa startowego, po lewej.

Sekretarz stanu i szeryf Franklin W. Dixon jechali w opancerzonym czarnym chevrolecie suburban. Przed nimi siedziało dwóch agentów służby konsularnej, a za nimi kolejnych trzech. Jechali w jednej z sześciu identycznych limuzyn. Wszystkie miały dachy najeżone antenami i talerzami satelitarnymi.

Konwój właśnie wyjeżdżał z bazy lotniczej Andrews na przedmieściach Maryland. Kiedy dziesięć minut temu śmigłowiec FBI wiozący szeryfa Dixona wylądował w bazie, Consuela de los Reyes stała z grupką ludzi w przeraźliwym mrozie na płycie lotniska. Powitała szeryfa i złożyła mu kondolencje z powodu śmierci Homera Prudhomme'a.

Jego śmierć nie pójdzie na marne, zapewniła. Funkcjonariusz Prudhomme zostanie pośmiertnie odznaczony medalem za męstwo. Szeryf Dixon powiedział sekretarz de los Reyes, że chciałby sam zająć się organizacją pogrzebu i zabrać ciało chłopca do Teksasu.

- Dopilnuję, żeby załatwiono wszelkie formalności. Pański zastępca wróci z panem do domu.

- Dziękuję - rzekł Franklin. - A co z tą ciężarówką?

- Załadowali ją na platformę i zabierają do Quantico. Technicy rozbiorą ją na części i

zobaczą co siedzi w środku.

- Mam nadzieję, że to nie bomba.

- My też, szeryfie.

Konwój chevroletów skręcił w lewo i jechał wolno przez małe miasteczko Momingside na północny zachód. Dixon wyglądał przez mocno przyciemniane szyby, próbując zebrać myśli i zastanowić się nad sytuacją. Postrzał w głowę okazał się tylko powierzchownym draśnięciem. Lekarz z karetki zaszył mu ranę, przemył jodyną i zabandażował. Nadal jednak bolało jak diabli. W dodatku niewiele spał.

I nie wyglądało na to, by miał się szybko zdrzemnąć.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

- W Białym Domu jest kilka osób, które chciałyby zamienić z panem kilka słów.

- Jedziemy do Białego Domu?

Skinęła głową.

- Mam umówione wcześniej spotkanie. Powiedzieli, że pan też może przyjść. Proszę mi opowiedzieć o tej ciężarówce, szeryfie. Jak ją pan znalazł?

- Pierwszą zatrzymaliśmy jakieś trzy tygodnie temu. Homer nazwał ją ciężarówką-widmem, bo nigdzie nie było kierowcy. Ja pomyślałem, że facet po prostu zwiął na pustynię. To był ten wieczór, kiedy znaleźliśmy... moją grupę pościgową.

- Słyszałam, co się stało, i bardzo mi szkoda tych dzielnych chłopców. Ale zanim pójdziemy na spotkanie z ludźmi z prezydenckich służb bezpieczeństwa, muszę usłyszeć wszystko, co pan wie o tych ciężarówkach.

- Mówiłem Homerowi, żeby dał sobie spokój, ale mnie nie posłuchał. Wiem od Wyatta Coopera, mojego drugiego zastępcy, który rozmawiał z Homerem, że chłopak śledził jedną z tych ciężarówek aż do miasteczka Gunbarrel nad Rio Grande. To właśnie tam przekraczały granicę. Ktoś zbudował pod ziemią potężny tunel, który ma wylot w opuszczonym magazynie.

- Ktoś?

- Chyba Meksykanie, bo tunel biegnie od ich strony granicy. Ale jeden facet z Prairie wszedł z nimi w konszachty. Nazywał się J. T. Rawls. Był ich wtyką po naszej stronie granicy.

- Wtyką do czego? Pewnie coś przemycali?

- Tak samo Homer powiedział Wyattowi. Myślę, że początkowo przemycali narkotyki i nielegalnych imigrantów. Musiało to być spore przedsięwzięcie, skoro zainwestowali w ten magazyn i tunel.

- Nadal nie rozumiemy, o co chodzi z tym zdalnym sterowaniem ciężarówkami.

- Ba, żebym sam to rozumiał. Przecież nie ma sensu przewozić w ten sposób imigrantów. A nawet narkotyków. Kierowcy i muły są w Meksyku tanie jak barszcz i można się ich szybko pozbyć.

- A ta ciężarówka z Lee's Ferry? Pański zastępca mówił, że wylądowali z niej do rzeki jakiś mały okręt podwodny.

- Tak, właśnie tak powiedział.

- Jego zdaniem to był okręt bezzałogowy?

- Tak jest. Mówił, że nikt nie wsiadł, a okręt ruszył.

- A jak pan znalazł się na farmie?

- Homer zadzwonił do mnie z domu, w którym mieszkali terroryści. Zaraz po tym, jak wróciłem z konferencji. Żona odebrała mnie z lotniska. Ona też śledziła jedną z tych ciężarówek-widm. Aż do San Antonio.

- Gdzie teraz jest ta ciężarówka?

- Żona chyba wciąż jej szuka. Nie miałem kiedy do niej zadzwonić. Ani do Wyatta, żeby mu powiedzieć o Homerze.

- Jak możemy się skontaktować z panem Cooperem? Poinformujemy go o wszystkim. Sami też chcielibyśmy z nim porozmawiać.

Podał pani sekretarz numer biura szeryfa w ratuszu. Pochyliła się, szepnęła coś agentowi siedzącemu na przednim siedzeniu i odwróciła się znów do Dixona.

- Homer powiedział panu, że na północ jechało więcej ciężarówek?

- Tak, powiedział, że z Gunbarrel wyjechało ich około dwudziestu. Po drodze rozdzielały się, skręcały w różne drogi. Homer wybrał jedną i śledził ją aż do Wirginii.

- I dotarł do farmy doktora i jego rodziny. Proszę mi o nich opowiedzieć.

- To był lekarz?

- Pediatria. Z Iranu. Mieszkali w tym domu od czterech lat. Syn studiował prawo.

- A niech to. Lekarz. To ci dopiero.

- Sprawdziliśmy tę farmę. Właścicielami są niemiecki ambasador i mały holding z Dubaju. Ta irańska rodzina była uspioną komórką terrorystyczną. Pański zastępca postąpił słusznie. Pan też.

- Znaleźliście ten okręt?

- Jeszcze nie. Nurkowie i służby ratunkowe przeszukują rzekę od Fredericksburga aż do Waszyngtonu.

- Źle to wygląda, prawda?

- Zwłaszcza teraz, kiedy zbliża się inauguracja. Wszyscy są trochę podenerwowani. Muszę wykonać kilka telefonów, szeryfie. Niech pan się wygodnie oprze i odpręż. Dojedziemy na miejsce za pół godziny.

73

- Śnieżek prószy, co? - odezwał się funkcjonariusz Joe Pastore. - Pamiętasz, jak w dzieciństwie czekało się na zimę?

- Pewnie - odparł jego kolega Tom Darius. - Uwielbiałem zimę. Jak diabli.

- Zamki ze śniegu. Wojny na śnieżki - wspominał Joe. - Szkołę twoich dzieciaków też zamknęli?

- Mówili w radiu, jak wychodziłem z domu, że pozamykali wszystkie szkoły w Dystrykcie. Patrz, ile tego cholerstwa leci. Musiało napadać już z metr.

- Mam nadzieję, że nie przestanie do całej tej cholernej inauguracji. Wtedy ludzie będą siedzieć po domach i oglądać wszystko w telewizji. Kurczę, Tom! Patrz na tę ciężarówkę! Widziałeś faceta?

- Palma mu odbiła? - mruknął Tommy.

Potężna ciężarówka z naczepą pojawiła się znikąd i wyjechała na drogę tuż przed nimi, ledwo widoczna w wirującym śniegu.

Joey parsknął śmiechem i przyhamował. Jeśli całymi dniami siedzi się za kierownicą, dobrze mieć za partnera kogoś wesołego. Kogoś takiego jak Tommy. Trzymali się razem, od kiedy skończyli akademię. Ale byli nierozłączni już w podstawówce. Razem strzelali z plasteliny. Razem rozrabiali. Razem przyskrzyniali bandytów. Partnerzy aż po grób.

Ich radiowóz, biały crown victoria, jechał za wielką ciężarówką przez Park Rock Creek. Z powodu śniegu w parku było dziś mało ludzi. Kilku biegaczy i paru twardzieli jeżdżących konno przez wielkie zasy, jakie potworzyły się pod drzewami.

Darius i Pastore śledzili ciężarówkę od North Waterside Drive. Po drodze minęli tylko jeden samochód, wielką terenówkę lexusa jadącą w przeciwnym kierunku. Ciężarówkom nie wolno było jeździć w okolicy parku, a już po Waterside w szczególności. Na odcinku od Massachusetts Avenue do Rock Creek Parkway stały znaki zakazu wjazdu, a facet ot tak sobie wjechał.

Teraz przyhamował i włączył prawy kierunkowskaz. Skręcił w Beach Drive i jechał w

stronę mostu Riley Spring.

- Włączył koguta, Tommy - polecił Pastore. - Mam już dość tego palanta.

- Właśnie, zatrzymajmy go - zgodził się Darius i uruchomił światła na dachu. - A potem zjemy kolację.

Kierowca ciężarówki albo się zgubił, albo naćpał, albo jedno i drugie. Napis na naczepie głosił „Crawdaddy & Co”. Po obu stronach wymalowane były wielkie różowe krewetki. Nie wyglądały zbyt apetycznie. Przypominały gigantyczne karaluchy.

Kierowca sunął przez park, jakby był panem drogi. Darius i Pastore doszli do wniosku, że nikt nie powiedział temu mistrzowi kierownicy, że to park narodowy pod ochroną i ciężarówkom jest tu wstęp wzbroniony.

- Nie zatrzymuje się, Joey. Co mam zrobić?

- Podjadę z boku to tego matoła. Otwórz okno i machnij mu, żeby zjechał na pobocze.

- Nie zjedzie. Zobacz na te ciemne szyby. Wydaje mu się, że jest gwiazdą filmową. A już za te szyby powinniśmy go przyskrzynić.

- Zatrzymuje się na znakach stop, a nie staje na nasz widok. Jezu.

- Hej! Uważaj! Chcesz mnie zabić?

Joey wyprzedził ciężarówkę, po czym ostro skręcił i wyjechał przed nią. Zaczął hamować, zwalniając do niecałych dziesięciu na godzinę.

- Zwalnia? - zapytał, patrząc w lusterko wsteczne. Nic nie było widać z powodu śniegu i mgły.

- Tak, chyba zwalnia.

- No dobrze, dość tego. Hamuję.

- A on nie - stwierdził Darius, który wyglądał przez oszronioną tylną szybę. - Jezu, zaraz nas zepchnie z drogi.

- Wpadł w poślizg. To wszystko. Już się zatrzymał. Przedstawimy się i wytłumaczymy temu matołowi, jak się jeździ po stolicy kraju.

Wysiedli z samochodu i podeszli do ciężarówki. Przez przyciemnioną przednią szybę nie było widać, co się dzieje w środku. Tommy wskoczył na podest i zapukał latarką w okno od strony kierowcy. Żadnej reakcji.

- Co jest, facet bawi się w kotka i myszkę?

- Zapukaj mocniej.

- Policja! - zawołał Tommy, waląc w szybę. - Opuść okno!

- Nie do wiary. Zaraz go wyciągnę za fraki z tej ciężarówki. Jak nic otworzy, rozbijamy okno.

Joey poszedł do radiowozu i po chwili wrócił z lekkim metalowym łomem, którym wyważali drzwi w nagłych wypadkach.

- I co, nic? - spytał.

- Nic. Może facet nie żyje - odparł Tommy, zeskakując z podestu.

- Pieprzyć to. Zamarzam na śmierć.

Joey wspiął się na podest i zamachnął łomem na szybę od strony kierowcy. Szkło było nieprawdopodobnie mocne. Dopiero po trzecim uderzeniu szyba rozprysła się na małe kawałeczki. Z szoferki rozszedł się dziwny zapach. Nie potu i tytoniu, ale oleju i cieczy do hydrauliki.

Tommy poświecił w środku latarką.

- Jasna cholera - mruknął.

- Co?

- Nikogo tu nie ma. Sam zobacz. Pieprzony David Copperfield.

Joey zajrzał przez wybite okno.

- Co to, do diabła, jest?

- Chyba jakaś zdalnie sterowana maszyna. Dziwne, co? Posłuchaj, pika.

- Nie lubię pikania - stwierdził Joey.

Tommy przesunął światło latarki po mechanizmie z nierdzewnej stali. Na podłodze, w miejscu pedałów i skrzyni biegów, znajdowała się jeszcze bardziej wyrafinowana maszyna. Kilkuekranowy wyświetlacz na konsoli pokazywał cztery obrazy na żywo: z przodu, z tyłu i z obu boków. Policjanci stali przez chwilę jak zahipnotyzowani.

- To śnieg w telewizji czy prawdziwy? - zapytał wreszcie Tommy.

- Nie mam pojęcia. Chyba powinniśmy to zgłosić - odparł Joey, patrząc na małą migającą lampkę.

- A może jesteśmy w „Ukrytej kamerze”?

- Nie ma już tego programu. Puszczają tylko powtórki. Musimy to zgłosić.

- Najpierw zobaczymy, co jest z tyłu. Może jakieś superhiper nowoczesne owoce morza? - Tommy zeskoczył w zaspę i pobiegł na tył samochodu.

- Nie, najpierw to zgłoszę - powiedział Joey i ruszył do radiowozu.

Tylne drzwi ciężarówki, przesuwane w górę jak drzwi garażu, były zamknięte na wielką kłódkę. Tommy potraktował ją łomem, odrywając przy okazji jedną trzecią drzwi. Po chwili wrócił Joey.

- Zgłosiłeś?

- Tak, ale uznali, że chyba mi odbiło.

- Wyślą tu kogoś?

- Nie mam pojęcia.

Tommy skinął głową, włączył latarkę i zajrzał w ciemne trzewia ciężarówki.

- Co tam jest? - spytał Joey. - Małe ciężarówki-robociki?

- Nie mam pojęcia, ale na pewno nie są to owoce morza. Coś czarnego i lśniącego.

Dwie sztuki. Zawinięte w plastikową folię.

Zerwij ją. Chcesz nóż?

Dzięki... Ciężko mi dosięgnąć....

Nagły wybuch zabił obu policjantów, zmiotł wszystkie drzewa w promieniu stu metrów i wyrwał w zmrożonym gruncie czarny lej prawie pięciometrowej średnicy. Zawyły alarmy samochodowe w promieniu ponad pół kilometra. Zadrżały nawet szyby w Szpitalu Walter Reed.

Wyglądało to, jakby w ziemię uderzył płonący meteoryt. Szczątki porzrucane były po śniegu jak okiem sięgnąć.

Był 17 stycznia.

Dzień Prawdy nadchodził.

74

Czarna Dżungla

W podziemnym bunkrze komunikacyjnym Muhammad Top i doktor Khan obserwowali, jak tworzy się historia. Obaj milczeli. Było tu zimno jak w psiarni, ale też i bezpiecznie. Ściany z żelazobetonu miały prawie dwa metry grubości, a nad wzmocnionymi stalowymi drzwiami pulsowały elektroniczne czujniki. Bezpośrednio nad bunkrem wznosił się potężny maszt antenowy zamaskowany od korzeni aż po konary jako jedno z drzew. Zdaniem Topa było to doskonale dzieło sztuki rzeźbiarskiej.

Mężczyźni chłonęli chciwym wzrokiem obraz wyświetlany na monitorach: upokorzonej Ameryki rozpadającej się w samym sercu. Płaskie ekrany zamontowane na łukowatej ścianie pokazywały przemoc, nienawiść i zniszczenie. Nad Ameryką wiał gorący wiatr. Mało kto jednak zdawał sobie sprawę, że wieje on z południa.

Bunkier został zaprojektowany przez Khana. Ludzie obsługujący monitory siedzieli

twarzami na północny wschód, w stronę Mekki. Przed świtem każdy z nich obmywał się według rytuału, po czym klękał i modlił się o męczeńską śmierć. Byli gotowi do ataku.

Odniosą sukces. Top był tego pewien, bo czuł rękę Allaha, która unosiła go ku słońcu. Wszystko szło zgodnie z przeznaczeniem. Jego przeznaczeniem. Tylko jego.

Na poszczególnych monitorach widać było jednostki amerykańskiej Gwardii Narodowej strzegące granic Arizony, Kalifornii, Nowego Meksyku i Teksasu. Za mało i za późno - uznali Top i Khan. Nie zdołają powstrzymać aktów przemocy na ponad czterech tysiącach kilometrów tej kruchej granicy.

Muhammad przewidywał, że na granicy z Meksykiem dojdzie do prawdziwej wojny. Już wisiała ona na włosku. Dwa kraje, jedna granica - to zawsze okazja. Od dwóch lat potajemnie spotykał się z Meksykanami. Spotkania aranżowano z pomocą pewnego niemieckiego ambasadora nazwiskiem Zimmermann. Zimmermann w towarzystwie wysokich rangą członków meksykańskiego rządu jeździł do Sao Paulo i negocjował umowę z Khanem.

Motywy Meksykanów były jasne. To nie możliwość szerzenia islamu wyzwoliła w nich emocje i przyciągnęła do frakcji Khana. Nie chodziło im też o pieniądze. Chodziło o możliwość zemsty na północnym sąsiedzie i odzyskanie terytoriów przejętych przez Jankesów w czasie wojny w 1848 roku.

Przesunięcie resztek amerykańskiej rezerwy na południową granicę oznaczało, że wielkie miasta, w tym Waszyngton, są praktycznie nieprzygotowane na zbliżający się atak. Wkrótce w Chicago, Nowym Jorku i Bostonie pojawi się mnóstwo fajerwerków. Ale Big Bang - jak nazwał go Top - miał nastąpić w uświęconej stolicy.

Jedynym prawdziwym pechem była utrata rodziny Muammara Massaouriego, trójki oddanych towarzyszy z uśpionej komórki, którzy nie nawiązali planowanego kontaktu satelitarne z bunkrem dowodzenia. Miał to być przesłany Internetem niewielki pakiet danych oznaczający pomyślne uruchomienie bezzałogowego okrętu. Wiadomość nie nadeszła, a wszelkie próby skontaktowania się z nim spęły na niczym. Przyjęto, że doktor Massaouri i jego rodzina zginęli.

Ale zasłużyli na wieczną chwałę, bo zdołali uruchomić okręt. „Beduin” znajdował się w drodze do wyznaczonego celu, czterdzieści pięć kilometrów na północ od farmy Cud Poranka. Obrazy przekazywane z zamontowanej na dziobie kamery były zamazane i ciemne, ale nie miało to większego znaczenia.

Nad bezzałogowym okrętem podwodnym do inwazji morskich na płytkich akwenach doktor Khan pracował całe lata. Teraz „Beduin” przewoził głowicę jądrową o mocy stu pięćdziesięciu kiloton. Po wielomiesięcznych próbach morskich na rzece Igapo dostał

cyfrowe dane GPS, które miały pokierować go Potomakiem aż do Waszyngtonu. Co godzinę cienka jak igła antena wysuwała się na powierzchnię i przekazywała pakiet danych do satelity komunikacyjnego.

Na razie, z bożą pomocą mały okręt w kształcie torpedy sprawował się doskonale.

Ważył niespełna dwie tony. Napędzał go długi rząd litowych akumulatorów, cichych i nie do wykrycia. Na zatłoczonej rzece nawet śruba napędowa „Beduina” będzie nie do spostrzeżenia. Zamontowany na dziobie podwodny radar umożliwiał dokonywanie korekt kursu, gdyby na drodze okrętu pojawiły się jakieś przeszkody albo inne łodzie. Przy obecnej prędkości dwudziestu dwóch węzłów „Beduin” powinien dotrzeć do waszyngtońskiego jeziora Tidal Basin przed czasem. Gruba ołowiana powłoka wewnątrz kadłuba sprawi, że nie namierzą go żadne sondy do wykrywania materiałów radioaktywnych.

Kiedy już wpłynie do jeziora, będzie tam czekał, zagrzebany w mule, aż wybije wyznaczona godzina.

Wyznaczona godzina. Zbliżała się wielkimi krokami. Top westchnął i popatrzył na cyfrowy zegar nad rzędem monitorów, który odliczał czas do godziny zero. Dzieliło ich od niej tysiąc minut.

- Gdzie jest Hawke? - krzyknął do jednego z techników obsługujących system obronny na obrzeżach obozu. - Pokaż mi mapę na monitorze.

- Pomarańczowy migający punkt to łódź Hawke'a - zauważył Khan.

- Nie chcę pieprzonej kropki, chcę obraz na żywo - warknął Top.

Khan spojrzał na niego, ale ugryzł się w język. Wspólnie przeszli długą drogę. Nie można pozwolić, by teraz dał się ponieść emocjom. Za kilka godzin jego palec miał spocząć na najważniejszym guziku.

- Nie mamy nad nim żadnego samolotu - powiedział technik.

- Dlaczego?

- Wróg go zestrzelił. Rakieta.

W pokoju zapadła cisza, którą zakłócał tylko szum sprzętu elektronicznego.

- Na tej pieprzonej motorówce ma rakiety? Dlaczego mnie o tym nie poinformowano?

- pytał Top, starając się nie podnosić głosu.

Niski technik z bujną brodą wyraźnie drżał.

- To się stało przed chwilą panie. Kilka minut temu. Myślałem, że ktoś już panu powiedział.

Top machnął ręką.

- Kiedy wróg dotrze na zaminowaną część rzeki? - zapytał.

- Przy tej prędkości za dwie godziny, może trochę szybciej.

- Dajcie mi znać, jeśli prędkość się zmieni.

Khan złapał Topa za ramię i zbliżył usta do jego ucha.

- Moim zdaniem powinieneś wyeliminować go od razu - powiedział cicho. - Wyślij tam samoloty i będziemy mieli spokój.

Top błysnął oczami.

- Nie słyszałeś, co powiedział ten człowiek? Hawke ma system rakiet obronnych! Miny akustyczne zatrzymają go. Nie pokona żywy tego odcinka rzeki.

- Z całym szacunkiem, bracie, moim zdaniem mamy więcej samolotów niż on rakiet. W końcu to nie okręt wojenny.

- Twoim zdaniem! A jeśli się mylisz? Co wtedy? Będę bezbronny.

- Muhammadzie, uspokój się. Za długo obywamy się bez snu. Zamierzam odpocząć w swojej kwaterze i poczekać, aż nadejdzie ostateczna godzina. Daj mi znać, jeśli zdarzy się coś, co będzie wymagało mojej uwagi.

Khan ruszył do windy na końcu zaciemnionej sali. Top patrzył za nim z zadowoleniem.

- Xucuru się odezwali? - zapytał Top jednego z operatorów.

- Na razie nie - wymamrotał mężczyzna, bojąc się podnieść głowę.

Khan przystanął przed ostatnim rzędem komputerów z płaskimi monitorami. Każdy z nich stał w oddzielnym boksie i stanowił niewielki system wirtualnej rzeczywistości dla operatorów. Ekrany wyświetlały obraz na żywo z ciężarówek jadących do Waszyngtonu.

Ciężarówki wyjechały na powierzchnię w garażu w Gunbarrel, a teraz różnymi drogami zmierzały na północny wschód do amerykańskiej stolicy. Obraz z ciężarówek nakładano na trójwymiarowe mapy sytuacyjne stworzone dzięki zdjęciom satelitarnym. Dane GPS i wielokierunkowy obraz wideo z każdego pojazdu trafiał do satelity wiszącego nad wschodnim wybrzeżem Stanów Zjednoczonych.

W każdej z kabin siedziało dwóch ludzi: operator, który kierował samochodem, i obserwator, drugi monitorował sytuację na drodze i warunki atmosferyczne. Pilnował też rygorystycznego przestrzegania wszelkich przepisów drogowych, podczas walki zaś obserwował pole bitwy i przekazywał polecenia operatorowi. To oni tak naprawdę sterowali maszynami. Robili to za pomocą dżojstików, jakie można zobaczyć w automatach do gier.

- Na twoim miejscu, Muhammadzie, pilnowałbym ciężarówek - powiedział Khan na tyle głośno, żeby słycać go było w całej sali. - Zdaje się, że jedną zgubiłeś.

- Co?

- Sam zobacz. - Khan postukał w odpowiedni monitor. - Ta chyba zgubiła się w śniegu.

Odsunął się, żeby Top mógł obejrzeć obraz. Wokół obiektywu kamery wirował tak gęsty śnieg, że nie bardzo było widać, co się dzieje.

- Zgubiłeś się? - spytał młodego operatora o kręconych włosach nazwiskiem Yashim.

- Z bożą pomocą tylko na chwilę - odparł Yashim.

- Cholera. Policja. Jak to się stało?

Pochylił się nad ekranem. Dwaj umundurowani policjanci stali za ciężarówką i patrzyli na tylne drzwi. Jeden trzymał w ręku coś, co wyglądało jak łom.

- Ciężarówkę zatrzymała policja? - pytał Khan. - Dlaczego? I dlaczego nikogo nie zawiadomiłeś?

Yashim cały się trząsał.

- Najmocniej przepraszam, panie - wykrztusił. - W tym śniegu zgubiliśmy drogę przez park. Chyba skręciliśmy nie tam, gdzie trzeba. Myślałem, że uda mi się wrócić. Ale wtedy...

- Gdzie teraz stoi ta ciężarówka?! - ryknął Top. - Dawaj mapę GPS! Szybko!

- Tutaj, panie. W parku Rock Creek - wyjaśnił obserwator drżącym głosem. - Około pięciu kilometrów od punktu spotkania na tym gęsto zalesionym terenie.

- Co to za budynek? Ten tutaj?

- Szpital Walter Reed. Ośrodek dla weteranów.

- Wysadź ciężarówkę - polecił Top. - Wykorzystaj mechanizm samozniszczenia w naczipie.

Każdą ciężarówkę wyposażono w system autodestrukcji, który można było uruchomić zdalnie. Uruchamiał się on także, gdy ktoś próbował ruszyć ładunek. Na razie policjanci zdołali wybić szybę w ciągniku. To jeszcze za mało, by wywołać automatyczny wybuch.

- Teraz? - upewniał się Yashim.

- Chcesz czekać, aż ci dwaj policjanci dowiedzą się, co jest w środku, i zaalarmują swoich przełożonych? Tak, teraz. Już!

Operator wcisnął klawisz z napisem „Ogień”. Eksplozja, która potem nastąpiła, zaciemniła ekran.

- Twoja misja się zakończyła - powiedział Top do chłopaka. Przyłożył lufę do jego głowy i pociągnął za spust.

Obserwator siedzący obok krzyknął i odepchnął fotel, próbując zerwać się na równe nogi.

- Twoja też - oznajmił Top, strzelając mu w pierś.

Przeszedł na drugą stronę pokoju i zwrócił się do pozostałych operatorów:

- To było przykre, ale konieczne. Zwycięstwo jest już blisko. Rozumiem, że nie będzie już więcej zagubionych w śniegu ciężarówek. Zgadza się?

- Z bożą pomocą! - krzyknęli jednym głosem.

- Z bożą pomocą za kilka godzin cali i zdrowi będziemy smakować owoce naszego zwycięstwa. A teraz do roboty. W ciągu najbliższej godziny wszystkie ciężarówki powinny się znaleźć w wyznaczonych punktach. Czy ktoś w tej sali ma jeszcze jakieś wątpliwości? Jeśli tak, to słucham.

Cisza.

- Dobrze. Do dzieła.

- Tysiącrotnie przepraszam, panie - odezwał się technik z pierwszego rzędu.

- Tak?

- Łódź Hawke'a zatrzymała się. Tutaj. W opuszczonej wiosce zwanej Tupo.

- Od jak dawna tam stoi?

- Właśnie dopłynęła. Jest tam przystań. Może coś ładują albo wyładowują.

- Mamy w pobliżu czołgi?

- Jeden.

- Wyślij go tam. I sprowadź cztery samoloty. Uzbrojone. Może doktor Khan ma rację. Chcę, żebyście zatopili tę łódź.

Khan uśmiechnął się i wyszedł z sali. Wchodząc do windy, zaczął nucić starą piosenkę:

„Wprowadźcie roboty...”

Brock spóźnił się na umówione spotkanie z Hawkiem. Gdy przedzierał się przez dżunglę do osady Tupo, przypadkiem potrafił jakiś czujnik i wysłano na niego cały szwadron trolli. Udało mu się zmylić większość mistrzów dżojstika, kiedy pokonał szeroką rozpadlinę, zgrabnie krocząc po powalonym drzewie, teraz jednak widział, że jeden drań wciąż siedzi mu na ogonie.

Zanim dotarł do rozpadliny, grupa czołgów omal go nie dopadła. Upatrzył sobie jeden i wskoczył na pancerz, by spróbować sztuki ujeżdżania, którą opanowali z Saladinem do perfekcji. Ale cwany operator dał pełny gaz na jedną gąsienicę, a na drugą gaz do tyłu. Troll zaczął kręcić pirueta niczym łyżwiarz figurowy i w końcu zrzucił go w krzaki.

W pokoju, w którym sterowano tym cholerstwem, na pewno przybijali sobie piątki.

Samotny troll pluł ołowiem. W powietrzu zrobiło się też jasno od pocisków zapalających. Harry uciekał ile sił w nogach, wysoko unosząc kolana, klucząc i uskakując. Przed sobą widział już plamy światła prześwitujące między drzewami. Do rzeki było niedaleko. Wkrótce dostrzegł przystań i zarys czarnej łajby. To musiał być Hawke. Nikt inny z jego znajomych nie miał takiej łodzi. Harry ledwo zdążył na swoją wodną taryfę. Cholerni operatorzy trolli zaczęli się czegoś uczyć. Dzięki praktyce, jaką zafundowali im on i Saladin, byli coraz lepsi w te klocki.

Brock potknął się o wielki korzeń i zaklął, upadając na ziemię. Podniósł się i pędził dalej. Czołg wciąż deptał mu po piętach, strzelając jak opętany. Harry robił uniki i zwody, krył się w gęstych zaroślach. Już dobiegał do końca lasu.

Teraz musiał pokonać sto metrów otwartej przestrzeni dzielącej go od pomostu. Kiedy podbiegł bliżej, zobaczył, że łódź Hawke'a ma wieżyczki z karabinami maszynowymi. Strzelajcie, dupki! Zdejmijcie ze mnie ten czołg! Co się, do cholery, dzieje? Śpią?

Nie, byli po prostu zajęci.

Brock nie widział, że do czarnej łodzi zacumowanej na końcu pomostu zbliżają się uzbrojone samoloty bezzałogowe. Hawke siedział na dachu sterówki z Ecclestonem, który obsługiwał działko, i obserwował przez lornetkę wrogie maszyny. Próbował zobaczyć, czy samoloty mają na końcach skrzydeł rakiety, czy są to tylko kolejne loty zwiadowcze. Nie chciał marnować kolejnej rakiety PAM na maszyny zwiadowcze.

- Radar pokazuje cztery małe samoloty zbliżające się z kierunku zachód, południowy zachód, szefie. Wysokość sześć metrów, prędkość pięćdziesiąt pięć węzłów - usłyszał w słuchawkach głos Lewisa. - Odległość półtora kilometra.

- Cztery? - upewnił się Hawke.

- Tak, cztery. Trzy odrywają się od formacji. Lecą w górę. Chyba chcą nas okrążyć i zająć od tyłu, szefie. Ten prowadzący też się wzbija. Pewnie ma zamiar krążyć. Wygląda na to, że na coś czeka.

Po co wysyłać cztery, skoro wystarczyłby jeden? - zastanowił się Hawke.

- Czeka na dalsze rozkazy - powiedział. - Miej na nie oko, Lewis - polecił szefowi uzbrojenia.

Nagle usłyszał od strony brzegu terkot karabinu maszynowego i zobaczył, że z dżungli wypada Harry Brock. Czekał na niego już blisko godzinę i za chwilę miał wydać rozkaz odpłynięcia. Ale oto Harry się pojawił. Ktoś do niego strzelał. Kto? Czy raczej co?

Mały, ale szybki czołg, na pewno jeden z dwóch robotów, które ich śledziły.

- Ecclestone - zwrócił się do Strzelca siedzącego w wieżyczce z opancerzonego pleksiglasu. - Jesteś w stanie trafić ten czołg, nie zabijając pana Brocka?

- Tak jest, szefie! Dam radę.

Wieżyczka obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni na zachód, a system celowniczy karabinu namierzył zbliżającego się trolla. Pokład zadrżał, kiedy Ecclestone puścił serię z działka. Lufy plunęły ogniem i się cofnęły. Mały czołg uniósł się pod naporem wybuchających pocisków, po czym zniknął w idealnie symetrycznej kuli ognia i złomu.

Brock pędził po długim pomoście.

- Dawaj, Harry! - krzyknął Hawke przez złożone dłonie. - Właśnie mieliśmy odpływać bez ciebie!

- Nie możecie mnie zostawić! Jestem waszym biletem do raju - dyszał Harry, biegnąc po przegniłych deskach krzywego pomostu.

- Wynosimy się stąd! - rozkazał Hawke. - Rzucić wszystkie cumy!

Załoga w pośpiechu odczepiała cumy, przywiązane do pali na pomoście. Harry Brock, widząc, że między nim a łodzią pojawia się coraz szerszy pas wody, musiał skoczyć. Udało się mu. Zamachał rękami i skorzystał z pomocnej dłoni jednego z członków załogi, który wciągnął go na pokład.

- Czołem, Hawkeye. - Uśmiechnął się do Aleksa, który stał na dachu sterówki. - Proszę o pozwolenie na wejście na pokład.

- Czołem, Harry. Zezwalam na wejście na pokład.

Potężna eksplozja zakołysała łodzią a w powietrze wzbil się gejzer wody. Pomost, na którym kilka sekund wcześniej stał Harry, zniknął. Brock i załoganci zwijający liny na prawej burcie padli na kolana i ledwo utrzymali się na pokładzie.

- Zdaje się, że nie wspomniałem, że jesteśmy atakowani - powiedział Hawke. - Może wejdiesz do środka, Harry? Tam jest miło i bezpiecznie.

- Wszędzie strzelają - mruknął Brock, wstając.

- Szefie, potwierdzam obecność czterech uzbrojonych samolotów - zameldował Lewis. - Jeden z przodu, drugi od rufy i dwa z prawej burty. Zbliżają się z prędkością osiemdziesięciu węzłów. Uzbrojone w rakiety Hellfire. Proszę o zezwolenie na odpalenie rakiet PAM.

- Odmawiam. Ecclestone i wieżyczki na dziobie i rufie powinny sobie z nimi poradzić. PAM zachowajmy na czarną godzinę. Strzelajcie, kiedy tylko będzie można. Idę na mostek.

Hawke stanął na najwyższym szczeblu drabinki, lekko chwycił poręczę i zsunął się na pokład sterówki. Brownlow stał za sterem, a tuż za nim Harry i Stokely ściskali się na powitanie i poklepywali po plecach.

- Dajcie już spokój - powiedział Hawke. Podeszedł do Brocka i uściśnął jego wyciągniętą dłoń. - Kopę lat, Harry. Miło cię widzieć.

- I nawzajem. Nie sądziłem...

Słowa Harry'ego przerwał terkot działek na dziobie i rufie. Jednocześnie rozpoczęły metaliczną kakofonię, którą wzbogacało dudnienie karabinu na dachu sterówki.

- Nadchodzi! - krzyknął Brownlow. - Uderzy...

Hawke zobaczył, że rakieta pędzi prosto na sterówkę. Sekundę później eksplozja bezpośrednio zakołysała łodzią i rzuciła wszystkich trzech mężczyzn na pokład. Hawke podczołgał się do drabinki i wspiął na górę. Wieżyczka z karabinem została trafiona niemal bezpośrednio, a Ecclestone leżał na karabinie. Z głębokiego rozcięcia na czole leciała mu krew. Hawke odciągnął go od stanowiska ogniowego. Ecclestone był ranny w kilku miejscach, ale żył.

- Pod pokład - polecił oszołomionemu chłopakowi i pomógł mu dojść do drabinki. Zobaczył, że jeden z samolotów wybucha, trafiony przez Strzelca rufowego. Jego wieżyczka obracała się właśnie w prawo, żeby zająć się kolejnym samolotem zbliżającym się od prawej strony.

- Nie bardzo mogę iść, szefie - odezwał się Ecclestone.

Na drabince pojawił się Stoke.

- Zabiorę go na dół, szefie - powiedział.

Hawke przekazał mu rannego. Po chwili usłyszał kolejny wybuch. Następny samolot zestrzelony przez Strzelca rufowego ze „Stiletto”. Łódź pędziła już szybko, z prędkością ponad trzydziestu węzłów, stanowiła więc trudniejszy cel. Ostatni samolot, ten, który wystrzelił pierwszą rakieta, znów zatoczył koło i robił kolejne podejście. Leciał prosto na nich od strony słońca.

- Zobaczmy, czy to draństwo jeszcze działa - mruknął Hawke i wskoczył na fotel w uszkodzonej wieżyczce działka przeciwlotniczego. Było wyposażone w radar GUN DISH, który mógł przechwycić, śledzić i zniszczyć nisko latające obiekty, takie jak bezzałogowy samolot, który właśnie atakował „Stiletto”. Działko mogło strzelać ogniem ciągłym, ale Hawke ustawił krótkie serie, po dwa, trzy pociski, żeby oszczędzać cenną amunicję.

Zmrużył oczy, próbując namierzyć cel za pomocą tradycyjnego optycznego celownika wspomagane systemem GUN DISH. Słońce było oślepiające, ale udało się mu. Ustawił działko tak, by mieć tego sukinsynu pośrodku czerwonych krzyżujących się linii. Widział już raketę, która za chwilę zostanie odpalona... Pociągając oba spusty jednocześnie, zmiotł samolot z nieba.

*

Pół godziny później Hawke, Stokely, Żabojad i Brock tłoczyli się w małym pokoju sztabowym, pochłonięci analizowaniem swoich wcześniejszych ustaleń w kontekście informacji, jakie dostarczył im Harry. Postanowili już, że zamiast ruszyć w dwóch drużynach, Stoke i Żabojad przeprowadzą operację wspólnie.

Najlepsze było to, że Brock zdołał sporządzić zgrubny plan całego obozu. Narysował go kopiając ołówkiem na odwrocie mapy regionu Mato Grosso. Z powodu gęstych koron drzew Mick Hocking nie mógł zrobić żadnych zdjęć z powietrza. Dopiero teraz mieli ogólne pojęcie, jak wygląda cel.

- Duży oddział idzie na północ? - zapytał Hawke, patrząc na szkic Harry'ego.

- Saladin i jego harcerze śledzą główne siły Topa - odparł Brock. - Już wyruszyli.

*

- W kompleksie zostanie około stu żołnierzy - ocenił Harry. - Zdecydowana większość jedzie na północ i na zachód po tych autostradach, które pomagałeś budować w dżungli. Sam widziałem, jak wczoraj wieczorem ruszały trzy zmotoryzowane dywizje.

- Dokąd?

- Do Ameryki Środkowej albo nawet do Meksyku. Tam dołączą do oddziałów górskich i będą czekać na sygnał, że Wielki Szatan został zgładzony. Wtedy żołnierze rozproszą się po wsiach, zaczną podburzać ludzi do powstania i wszyscy razem ruszą na miasta. Będą je zdobywać po kolei. Najpierw stolice.

- Każdy z nich chce być następnym Bolivarem - mruknął Hawke, pocierając podbródek.

- Ci faceci grają o wszystko. I wiedzą że nadszedł odpowiedni moment. Kto ich powstrzyma?

- Przeniknąłeś do środka. Dobra robota, Harry.

- A mam jeszcze jeden atut. Kobiętę o imieniu Caparina. Jest w stanie załatwić Topa własnymi rękami.

Hawke spojrzał na pidżamowate drelichy Brocka.

- I też jest tak przebrana?

- Owszem. Takie maskujące pidżamy noszą wszyscy ludzie Topa, więc trudno ją będzie odróżnić. Każdy wygląda w tym okropnie.

- Czy już wiesz, gdzie trzymają Congreve'a?

- Niestety nie.

- Chryste, Harry, co ta kobieta tam robi?

Brock przysunął bliżej swój plan obozu wroga. Wiedział, że uratowanie Congreve'a to teraz główny cel Hawke'a.

- Spokojnie - powiedział. - Muszę się przyjrzeć.

- Mówże.

- Z ostatniego meldunku Capariny wynika, że zakładników mogą trzymać tam - rzekł po chwili, wskazując grupkę trzech domków na drzewach na skraju kompleksu, niedaleko głównego mostu.

- Dlaczego akurat tam?

- Caparina zdołała się wkręcić do jakichś prac naprawczych przy moście. Mówiła, że z tych trzech domków dochodziły bardzo nieprzyjemne hałasy.

- Kiedy to było?

- O jedenastej.

- Czyli o jedenastej Ambrose jeszcze żył. - Hawke spojrzał na Stokely'ego, a potem na zegarek.

- Wydostaniemy go - zapewnił Stoke.

- A to? - Alex zwrócił się do Brocka, wskazując inny budynek na planie, jakieś pięćset metrów od rzeki.

- Centrum dowodzenia i łączności. Pancerny grobowiec jakieś sześć metrów pod ziemią. Stalowe, odporne na wybuchy drzwi i ściany z żelazobetonu grube prawie na dwa metry. Straszne cholerstwo, mówię wam.

- Grobowiec się przyda - stwierdził Hawke. - Gdzie jest teraz Saladin?

- Idzie ze swoim oddziałem przez dżunglę na lądowisko, które znalazłem trzy kilometry od zachodniej granicy obozu. Zaczeka tam na sygnał i wtedy wejdzie do kompleksu, żeby się z nami spotkać.

- Gdzie się spotkamy?

- Tutaj, trochę ponad pół kilometra za mostem łączącym te dwa sektory.

- Nie ma tam min?

- Nie. Wszystkie miny są tutaj.

- Czyli tam, gdzie teraz płyniemy.

- Właśnie.
- Chryste.
- Skoro mamy jakąś wskazówkę, gdzie może być Congreve, to jego uratowanie staje się realne - odezwał się Żabojad.

Po raz pierwszy, od kiedy porwano Ambrose'a, Hawke poczuł przypływ nadziei. Zaczęło padać. Ulewny deszcz dudnił o dach kabiny. Może to dobry znak?

76

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Zadzwoił telefon. Dixon sięgnął po słuchawkę i w tej samej chwili usłyszał drugi dzwonek. Spojrzał na świecąca w ciemności tarczę budzika. Jedenasta. Spał więc ponad godzinę. Zasnął, nim zdążył opowiedzieć Daisy o spotkaniu z prezydentem. Powiedział jej tylko o Homerze.

Wyjrzał przez okno na hotelowy parking. Przestało padać.

- Halo?

- Szeryf Dixon?

- Przy telefonie.

- Szeryfie, tu agent specjalny Rocky Hernandez, członek ochrony prezydenckiej. Byłem w grupie, która przyjęła pana i panią sekretarz de los Reyes w Białym Domu dziś wieczorem.

- Tak, tak. Pamiętam. Jeden z chłopców z K-9.

- Przepraszam, że niepokoję, ale szef kazał mi do pana zadzwonić i powiedzieć, że właśnie nastąpił wybuch w parku Rock Creek.

- Zdaje się, że coś słyszałem. Jakiś kwadrans temu. Obudziłem się, ale myślałem, że to jakiś zwykły hałas.

- Niestety, szeryfie. To nie był zwykły hałas, tylko potężna eksplozja. Policja już pojechała na miejsce wybuchu. Zszedłem ze służby i wracałem do domu, kiedy zadzwonili do mnie z Białego Domu.

- W czym mogę panu pomóc, agencie Hernandez?

- Proszę mówić do mnie Rocky. Właśnie jadę do Białego Domu, a po drodze mam

pański hotel. Agent dyżurny uznał, że powinien pan to zobaczyć. W tej eksplozji brała udział wielka ciężarówka z naczepą. Podjadę po pana i...

- Za ile?

- Za dwie minuty.

- Będę czekał na dole.

Dwie minuty później pod hotel Doubletree podjechał dżip cherokee. W drucianej klatce z tyłu siedział pies.

- Dziękuję, szeryfie - powiedział Hernandez, gdy Franklin zajął miejsce obok niego.

- Nie ma za co. Co to był za wybuch?

- Wygląda na to, że zderzyły się ciężarówka i radiowóz policji miejskiej.

- Musiałoby to być niezłe zderzenie, żeby wywołać taki wybuch.

- No właśnie.

- To twój pies czy służbowy?

- Służbowy. Wabi się Dutch. Po jedenastu latach służby przejdzie na emeryturę, został mu jeszcze rok.

- Dutch? Ładne imię.

- Po moim pierwszym szefie, prezydencie Reagane.

- Co to za rasa? Wygląda jak owczarek alzacki.

- Belgijski malinois. Tylko takich teraz używamy. Szkolony do wykrywania narkotyków i materiałów wybuchowych.

- Materiałów wybuchowych, powiadasz...

- Tak, mnie też to przyszło do głowy.

- Wielkie umysły działają podobnie - powiedział Dixon i popatrzył na zaśnieżony Waszyngton. - Tak jak nasze.

Na miejscu eksplozji było już około dwudziestu radiowozów i wozów służb ratowniczych. Wokół czarnej dziury w ziemi rozciągnięto żółtą taśmę. Dixon zobaczył też dwa wozy saperskie i furgonetkę FBI, wokół której wrzało jak w ulu.

Hernandez wysiadł wraz z nim z samochodu i wypuścił z tyłu Dutcha. Kiedy założył psu smycz, podeszli do policjanta stojącego za taśmą i pokazali swoje odznaki.

- Pies z Białego Domu? - zapytał mundurowy Hernandeza i pogłaskał Dutcha.

- Ano właśnie.

- To dla nas zaszczyt. Jeśli będziecie czegoś potrzebować, panowie, dajcie mi znać.

- W zdarzeniu brały udział dwa pojazdy? - spytał Dixon.

- Tak. Najprawdopodobniej radiowóz policji miejskiej i osiemnastokołowa

ciężarówka. Jak widać, niewiele z nich zostało. Zdaje się, że podczas kolizji wybuchły zbiorniki obu wozów.

- Podczas kolizji - powtórzył Dixon i popatrzył na wielką dziurę.

- Na to wygląda.

- Jest jeszcze coś godnego uwagi?

- Nie wiem, czy to ma jakiś sens, ale jeden z policjantów, Darius, zgłosił się i mówił coś o zdalnie sterowanym pojeździe tu w parku. O co mu mogło chodzić? Jakiś dzieciak puszczał model samolotu? A dwie minuty później: bum.

- Czy funkcjonariusz Darius odezwał się później?

- Nie, szeryfie.

Dixon i Hernandez spojrzeli po sobie, podziękowali mundurowemu i ruszyli dalej. W lej po wybuchu zaglądała mała grupka policjantów i kilku cywili. Trzej ludzie w strojach ochronnych stali na dnie dziury i pobierali chyba próbki ziemi. Dixon się rozejrzał. Z tyłu między drzewami, gdzie odcięto drogę, żeby nie pozacierać śladów na śniegu, technik z oddziału saperów bawił się małym robotem.

Dziura miała prawie pięć metrów szerokości i trzy metry głębokości. Hernandez spuścił Dutcha ze smyczy i pies zaczął okrążać krater.

- Dobry jest? - zapytał Dixon, patrząc z podziwem na pracę psa.

- Uczą ich wykrywać dziewiętnaście tysięcy różnych zapachów. Po dwudziestu sześciu tygodniach szkolenia Dutch zdobył sześćset pięćdziesiąt punktów na siedemset możliwych. Jest dobry.

- Przejdę się kawałek tą drogą. Porozglądam się. Niech Dutch pracuje w spokoju.

- Nigdzie się stąd nie ruszam, szeryfie.

Dwupasmowa droga zakręcała i znikwała między drzewami. Na śniegu widać było lekko przysypane świeżymi płatkami ślady dwóch rodzajów opon. Dixon pochylił się i przyjrzał miejscu, gdzie ślady się krzyżowały. Wyjął z kieszeni scyzoryk, bo zauważył coś w śniegu. Wyłuskał to coś i podniósł przez chusteczkę. Wyglądało na kawałek szkła.

Czarnego szkła.

- Co pan tam ma? - zapytał saper, podchodząc ze swoim robotem.

- Kawałek szkła.

- Pełno tu tego. Właśnie takich czarnych kawałków. Niech pan podniesie swój kawałek do światła latarki. Widzi pan? W środku coś jest, jakby druga warstwa.

- Widzę. To lustro.

- Też tak pomyślałem. Ale o co tu może chodzić, pana zdaniem?

- Przepraszam bardzo, muszę iść.

Dixon odwrócił się i popędził przez głęboki śnieg w stronę krateru. Hernandez wciąż tam stał, pilnując psa.

- Możesz podejść ze mną kawałek? Do tamtych drzew.

- Jasne. - Hernandez poszedł za szeryfem do pobliskiego drzewa, z dala od tłumu. - Co się stało?

- Masz latarkę?

- Tak.

Dixon pokazał mu kawałek szkła, który znalazł, i odwrócił w rękę, tak żeby padło na niego światło latarki.

- Panu coś świta, szeryfie, ale ja nic nie rozumiem.

- Pamiętasz tę pierwszą ciężarówkę, którą zatrzymałem z Homerem? Yankee Slugger. Miała mocno przyciemnione szyby. Czarne z lustrzaną warstwą w środku. Próbowałem zajrzeć do środka, przystawiałem latarkę do szyby, zupełnie jak teraz, ale nic nie widziałem. Dokładnie tak jak przez ten kawałek.

- Oglądał pan tę ciężarówkę w Wirginii?

- Miała identyczne szyby. Technik od saperów mówi, że wszędzie tu leży takie szkło.

- Więc pana zdaniem to jedna z tych zdalnie sterowanych ciężarówek?

- Idę o zakład.

- Popilnuje pan przez chwilę Dutcha? Pobiegnę do wozu i wywołam szefa przez radio. Powiem mu, co pan odkrył.

Dixon skinął głową.

- Nie spuszczę go z oka. Mogę pożyczyć twoją latarkę?

Wziął od Hernandeza latarkę i wrócił do krateru. Patrzył, jak Dutch wacha coś po drugiej stronie dziury. Pies wyraźnie na coś trafił.

- Hej, Dutch - powiedział Dixon i podrapał go za uszami. - Co tu masz, piesku?

Między łapami psa leżał kawałek metalu. Franklin wyjął chusteczkę i podniósł znalezisko do światła. Metal był nadpalony, ale dało się odczytać kilka odcisniętych na nim liter.

R-O-L-E.

- Pies to znalazł - powiedział Dixon do agenta FBI stojącego w otwartych drzwiach furgonetki.

- Kim pan jest? - zapytał chudy mężczyzna w cienkim czarnym krawacie.

Franklin przedstawił się, pokazał odznakę i wspiął się na schodek, żeby podać mu

blaszkę.

- Gdzie on to znalazł, szeryfie?

- W pobliżu krateru. To pies z drużyny K-9 z Białego Domu. Wabi się Dutch. To lepkie coś po drugiej stronie to pewnie resztki bomby, sądząc po tym, jak reaguje. Na pana miejscu potraktowałbym to poważnie. Ten pies jest niezły.

- Dodamy to do góry dowodów. I sprawdzimy w miarę możliwości. Dziękuję, szeryfie.

- Zastanawiałem się nad tymi literami. R-O-L-E? Może to środek słowa. Na przykład chevrolet.

- Chevrolet. Ciekawy pomysł, ale mało prawdopodobny. W wybuchu uczestniczyły dwa pojazdy. Mamy przecież ślady opon. Ford crown victoria i ciągnik Peterbilt na oponach Goodyeara. Wszystko potwierdzone na sto procent.

- No cóż, może ma pan rację.

- Jeszcze raz dziękuję.

Agent odwrócił się, żeby wrócić do furgonetki.

- W ciężarówce mógł być inny pojazd - rzucił Dixon do jego wąskich pleców.

- Co pan powiedział?

- Powiedziałem, że w ciężarówce mógł stać inny pojazd. W takiej wielkiej ciężarówce mogły być nawet dwa samochody. Dwa chevrolety.

- Dwa chevrolety.

- Jednym takim jechałem dziś wieczorem. Do Białego Domu na spotkanie z prezydentem. Wielki czarny chevy suburban należący do Secret Service. Wie pan, o jakim mówię?

- Tak, wiem.

- Od kiedy przyjechałem do Waszyngtonu, widzę je na każdym kroku. W całym mieście. To pewnie z powodu inauguracji?

- Pewnie tak.

- Wszystkie z przyciemnianymi szybami.

- Zgadza się.

- Tam na ziemi leży mnóstwo przyciemnianego szkła. Ten kawałek znalazłem kawałek dalej przy drodze. - Franklin podał agentowi fragment szkła.

- I co ja mam z tym zrobić?

- Niech pan to dorzuci do dowodów.

Dixon odwrócił się i wrócił do krateru, by odszukać Rocky'ego Hernandeza. Dutch

radośnie dreptał mu przy nodze.

- Dobry piesek.

77

Czarna Dżungla

Stokely Jones uniósł ułożoną płasko dłoń. Na ten znak jego patrol zamarł. Minęło dziesięć minut, od kiedy wysiedli z łodzi. Nad głowami mieli sześćdziesięciometrowe drzewa. Stoke nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. Drużyna poruszała się ostrożnie w ustawieniu patrolowym. Jak dla Stoke'a szli za wolno, ale niewiele mógł na to poradzić.

Ulewny deszcz sprawił, że ziemia w dżungli stała się jednym wielkim bagniskiem. I wszędzie trzeba było uważać na pułapki.

Stoke szedł pierwszy, za nim Żabojad, który został wyznaczony na szefa drużyny. Z prawej za nimi skradał się łącznościowiec-grenadier, który komunikował się z łodzią w paśmie VHF za pomocą zapasowego radia PRC 117, dając w ten sposób szefowi uzbrojenia na „Stiletto” dokładne namiary na drużynę. W razie potrzeby mógł zgłosić się po wsparcie, ale raczej nie uśmiechało im się ściąganie pocisków na własne plecy.

Za radiowcem szło trzech strzelców z ciężkimi karabinami M-60. W razie ataku na patrol ich zadaniem było osłanianie kolegów ogniem z pocisków kaliber 7.62. Ciężkie karabiny miały zatrzymać wroga, dopóki drużyna go nie okrąży albo się nie ewakuuje.

Stoke niósł przewieszony przez ramię karabin maszynowy CAR-15 z wyrzutnią granatów M-203. Targał także strzelbę Mossburga załadowaną grubym śrutem. W walce w dżungli dawało mu to szersze pole rażenia. Strzelba przydawała się także do szatkowania liści w razie strzelaniny. Każdy z żołnierzy miał maczetę do przebijania się przez gęste zarośla. Wszyscy byli w identycznych mundurach maskujących, butach do chodzenia po dżungli i miękkich wojskowych kapeluszach.

- Pułapka - szepnął Stoke do mikrofonu. To już piąta, jaką dostrzegł w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Były wszędzie i bardzo spowalniały tempo marszu. Do niektórych przywiązano małe lalki wudu i inne dziwaczne przedmioty, tak że trudno było je przegapić. Stoke domyślił się, że chodziło o to, by Indianie nie nachodzili Papy Topa. Problem w tym, że niektóre z tych sznurków do bielizny miały na końcu zawleczkę, wszystkie więc trzeba było

traktować ze śmiertelną powagą.

Żabojad, idący jakieś dwadzieścia metrów za nim, niósł palmtopa z GPS-em, który stanowił wspomaganie nawigacji. Jego zadaniem było pilnowanie właściwego kierunku. Miał również CAR-15 z wyrzutnią granatów i, jak cała szóstka, noktowizor. Próbował używać go jak najmniej, żeby dać czas oczom przywyknąć do ciemności.

Prawdziwe oczy i uszy drużyny stanowił Stoke. To on miał ostrzegać oddział o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Tyle że sam niewiele widział. Połączenie deszczu, mgły i listowia uniemożliwiało patrzenie dalej niż na czubek własnego nosa.

- *Alors* - usłyszał głos Żabojada w słuchawkach. - *Merde* i jeszcze raz *merde*!

Dobrze powiedziane, Żabojadzie. Gówno i gówno do kwadratu.

W tym momencie usłyszał jakiś mechaniczny odgłos i dostrzegł patrol uzbrojonych po zęby strażników, którzy szli wąską ścieżką u stóp wzniesienia, z którego schodziła jego drużyna. Patrol liczył chyba ośmiu żołnierzy. Przed nimi ścieżką jechały dwie najdziwniejsze maszyny bojowe, jakie Stoke widział dotąd. To musiały być te trolle, o których opowiadał Brock. Pełzły powoli tuż przed patrolem, zapewne szukając drużyny wroga.

Stoke przejechał ręką po gardle i ostrożnie przeszedł nad pułapką. Pozostali zrobili to samo i zaczęli schodzić w dół do krętego szlaku. Ciemność, deszcz i gęsta roślinność zapewniały im doskonałą ochronę. Kiedy znaleźli się dwadzieścia metrów nad szlakiem, Stoke znów wystawił w górę płaską dłoń.

- Na ziemię - rozkazał i opadł na jedno kolano. Zza paska już wyjmował dwa granaty. Ustawił czas na sześćdziesiąt sekund, zamachnął się i rzucił granaty w dół. Z miękkim plaśnięciem wylądowały pośrodku szlaku. Dwa czołgi-roboty i patrol wroga wciąż zbliżali się do nich. Stoke dał ręką znak, żeby ustawili pułapkę.

Na jego zegarku do nurkowania zostało jeszcze trzydzieści sekund. Lufy karabinów maszynowych na przodzie trolli skierowały się w stronę zbocza, gdzie w zaroślach czekali Stoke i jego ekipa. Czy ich zauważyli? Może jakieś czujniki na ziemi? Stoke przesunął przełącznik karabinu na ogień automatyczny i czekał. Wkrótce z za zakrętu wyjechał pierwszy czołg, brnąc pracowicie przez gęste błoto.

No dawaj, dawaj.

Dwa granaty wybuchły niemal równocześnie. Obydwa czołgi, wyrwane z gąsienic, przewróciły się do góry nogami. Patrol wroga rozproszył się, nurkując w gęste zarośla po obu stronach drogi.

- Boomer! Bassman! - krzyknął Stoke do dwóch strzelców z karabinami. - Do góry!

M-60 to bardzo ciężka broń, a na dodatek każdy z żołnierzy niósł taśmy z prawie

tysiącem pocisków. Zwykle więc nie szli zbyt szybko. Tym razem jednak się pospieszyli. Boomer i Bassman popędzili na wyznaczoną przez Stokely'ego pozycję i pokryli ścianą ognia obie strony szlaku. Nie było możliwości, by ktokolwiek przeżył ten ostrzał.

- Idziemy - powiedział Stoke, kiedy się upewnił, że wszyscy wrogowie są martwi.

Drużyna zesła ze wzgórza na błotnisty szlak.

Żabojad zatrzymał się na chwilę. Spojrzał na kompas i palmtopa z GPS.

- *Allons vite, mes enfants, allons vite!* - zawołał. - Szybko, dzieciaki, szybko!

*

- Redukcja o jedną trzecią - powiedział Brownlow. W ulewnym deszczu trudno było dojrzeć porośnięte pnączami brzegi rzeki. Trzymali się kursu tylko dzięki radarowi. Sonar wskazywał płycizny, więc „Stiletto” ledwo poruszała się naprzód, mieląc mulistą wodę za rufą. Dawno już utracili przewagę wynikającą z mocy i szybkości łodzi.

Kręty kawałek rzeki za tymi płyciznami był zaminowany. Za chwilę mieli wypuścić dwie sondy przeciwminowe. Według mapy Brocka zaminowany fragment Czarnej Rzeki zaczynał się trzy kilometry dalej.

Małe sondy, które znajdowały się na pokładzie „Stiletto”, powstały w Zakładzie Min należącym do Marynarki Wojennej Jej Królewskiej Mości. Zamontowane na dziobie urządzenie ruszało pod wodą niczym torpeda. Sonda wyprzedzała znacznie łódź i przysyłała z powrotem szczegółową wizualizację pola minowego. Elektrooptyczny system dostarczał trójwymiarowych obrazów wysokiej rozdzielczości, które pozwalały rozpoznać i zlokalizować miny.

Próby prowadzone w Zakładzie Min wykazały, że łodzie mogą z powodzeniem pływać po polach minowych, nawet na płytkich wodach, w cieśninach i przewężeniach. Ale nigdy nie zweryfikowano tych rezultatów w terenie, nie mówiąc już o warunkach bojowych. Hawke ochoczo zgodził się zostać królikiem doświadczalnym, kiedy C zasugerował, żeby wypróbował to ustrojstwo.

Alex i Brock pojawili się natychmiast, kiedy tylko łódź zwolniła. Obaj mieli na sobie stroje do nocnych misji w dżungli.

- I jak, kapitanie? - zapytał Hawke. - Jesteśmy gotowi do wypuszczenia sond?

- Mamy jeszcze jeden problem, szefie. Brakuje nam wody. - Brownlow postukał palcem w trójwymiarowy obraz dna rzeki.

- Chryste - wymamrotał Brock.

Hawke pochylił się nad ramieniem kapitana i przyjrzał się monitorowi.

- Rozumiem.

- Przed nami wiry, szefie. Sądząc po ukształtowaniu dna, jeszcze przez jakiś czas wcale nie będzie lepiej. Moim zdaniem czeka nas półtora kilometra skalistych wirów i dopiero potem rzeka się pogłębi.

- I co ty na to, Harry? - zapytał Hawke.

- Jeśli dalej będzie tak padać i rzeka będzie się podnosić w tym tempie, to może jakoś się przeciwniemy.

- Modlitwa o deszcz to żadne wyjście. Weźmiemy cholerne kajaki.

- I zostawimy tu to uzbrojenie za ciężką kasę? - odparł Brock.

- Nie mamy wyjścia. Kapitanie, cała stop.

- Tak jest. Cała stop. - Brownlow przesunął dźwignię i „Stiletto” znieruchomiła.

- Brock, przekaz ludziom na pokładzie, żeby spuścili na wodę kajaki. Potem idź na dziób i każ naszej drużynie sprawdzić broń. Odpływamy za piętnaście minut.

Hawke zszedł do swojej małej kabiny, żeby zabrać broń i amunicję.

- Szefie? - odezwał się radiotelegrafista, wystawiając za nim głowę na korytarz.

- Co jest, Sparks?

- Rozmowa do pana. Na szyfrowanej linii.

- Kto?

- Waszyngton, szefie. Departament Stanu. To pilne.

- Przełącz do mnie - polecił Hawke i wszedł do swojej kajuty.

- Alex? - usłyszał po chwili w słuchawce.

- Witaj, Conch.

- Alex, posłuchaj uważnie. Gotuje nam się pod tyłkami. Gdzie jesteś?

- Na tej cholerniej rzece. Nie da się płynąć dalej. Ostatni etap pokonamy kajakami.

Właśnie spuszczaamy je na wodę. Pogoda pod psem. To dobrze, bo dzięki temu mamy z głowy samoloty szpiegowskie. A źle, bo nie widać dalej niż czubek nosa. A jak ty się czujesz w ten uroczy styczniowy wieczór?

- Rwę włosy z głowy. Zaprzysiężenie prezydenta za niecałe dwanaście godzin, a plotki o jakimś ataku pojawiają się co chwila i trudno za nimi nadążyć. Centrum dowodzenia Secret Service zajmuje się już tylko najbardziej wiarygodnymi zagrożeniami. Twoja teoria to tylko jedna z wielu, które właśnie sprawdzamy.

- Moja teoria.

- Zamieszki na granicy z Meksykiem. Mające źródło nad Amazonką. Atak na któreś z dużych miast. Waszyngton.

- Waszyngton? A skąd to wiesz?

- Zastanów się, Alex.

- Inauguracja. Chryste, Conch, masz rację. To musi być to.

- Jest coraz gorzej. Sześć godzin temu zadzwonił do mnie ten miły szeryf z Teksasu. Jego zastępca śledził konwój zdalnie sterowanych ciężarówek aż do Wirginii. W jednej z nich znajdował się zdalnie sterowany okręt podwodny. Został umieszczony w Potomacu. Przechodzimy rzekę od Fredericksburga aż do basenu jachtowego koło Pentagonu. Nurkowie są wszędzie. Ale jeszcze go nie znaleźliśmy.

- A lotnicze wyszukiwacze min? Te nowe śmigłowce z laserowymi skanerami?

- Też nic. Rozważana jest ewakuacja głównych urzędników rządowych ze stolicy. Jeszcze coś. Dzwonił właśnie do mnie szef FBI Mike Reiter. Twierdzi, że w eksplozji w parku Rock Creek uczestniczył przynajmniej jeden chevrolet suburban wyładowany semteksem. Alex, takimi autami jeździ Secret Service.

- Macie zabójców w Secret Service?

- Na pewno istnieje taka możliwość, choć nie za bardzo prawdopodobna. Inne wytłumaczenie może być takie, że ktoś zadał sobie masę trudu, żeby skopiować rządowego suburbana. Znaleźliśmy kawałki kogutów, takie same opancerzone drzwi, jakich używa Secret Service. Ten chevrolet jechał w naczepie wielkiej zdalnie sterowanej ciężarówki. Podobnej do tej, która wpuściła okręt podwodny do Potomacu.

- Powiedziałaś „konwój”. Ile jest tych ciężarówek, Conch?

- Według szeryfa Dixona na północny wschód od Teksasu pojechało dwanaście zdalnie sterowanych pojazdów.

- Wszystkie trafiły do Waszyngtonu?

- Mam nadzieję, że nie. Ale nie jesteśmy w stanie tego sprawdzić. Nie wiemy, czego szukać. Nawet dla mnie to wszystko jest za bardzo dziwaczne.

Alex milczał dłuższą chwilę, po czym się odezwał:

- Conch, idę właśnie unieszkodliwić ten obóz w dżungli. To mekka bojowych robotów. Uzbrojonych samolotów bezzałogowych, czołgów, czego tylko chcesz.

- Wiem. Właśnie przeczytałam raport Harry’ego Brocka. Dlatego do ciebie dzwonię, Alex. Uważam, że istnieje cień szansy, że te zdalnie sterowane ciężarówki to część planu Muhammada Topa. Być może kieruje nimi z tej swojej dżungli.

- To możliwe. Brock twierdzi, że mają tu silnie umocniony bunkier dowodzenia. Sześć metrów pod ziemią sześćdziesięciometrowa antena zakamuflowana jako drzewo.

- Drzewo?

- Nie pytaj o szczegóły.

- Może nam tu krążyć tuzin albo i więcej fałszywych pojazdów Secret Service, każdy identyczny z oryginałem. I mogą być wyładowane silnymi materiałami wybuchowymi - plastikiem, semteksem czy jakimś innym świństwem. Idealne bomby, bo niewidoczne, choć są na widoku, i mogą się poruszać. Z kolei inna broń, niewykluczone że jądrowa, może czekać zagrzebana w mule na dnie Potomacu. Muszę już lecieć.

- Conch? Jeszcze jedno. Mają Ambrose'a. Kiedy go porwali, odczytywał zaszyfrowaną wiadomość, która mogłaby nam pomóc. Człowiek, który ją zaszyfrował, próbował powstrzymać tych łajdaków.

- O Boże. Biedny Ambrose.

- Jeśli jeszcze żyje, mamy szansę.

- Za dwanaście godzin prezydent położy rękę na Biblii i złoży przysięgę. Przez tych kilka sekund co cztery lata kraj jest najbardziej bezbronny. Wiceprezydent, Kongres, ba, cały rząd stoi tam na ulicy razem z nim. Dziesiątki tysięcy dzieci i... o Boże święty.

- Conch, posłuchaj. Możesz nakłonić prezydenta, żeby opóźnił ceremonię? Przełożył ją?

- Od kiedy George Waszyngton złożył przysięgę, ceremonię przełożono tylko raz. Była fatalna pogoda, a Andrew Jackson był chory. Sądzisz, że Jack McAtee chce się zapisać w historii jako ten, który w ostatniej chwili przełożył własną inaugurację? Masz jeszcze jakieś pomysły?

- Rozumiem.

- Z szyfrem czy bez szyfru, wyeliminuj Muhammada Topa, Alex. Naprawdę chciałabym ci pomóc. Ale nie mogę.

Annapolis, Maryland

Tuż przed świtem agent Rocky Hernandez zajechał starym cherokee na parking całodobowego baru. Zatoka Annapolis po drugiej stronie ulicy wyglądała spokojnie. Jachty kołysały się na cumach, spokój i ciszę zakłócał jedynie dźwięk linek uderzających na silniejszym wietrze o aluminiowe maszty.

Dwaj mężczyźni, którzy wysiedli z samochodu, wyglądali na rozgoryczonych,

zmęczonych. Dawno już minęła euforia po przełomowym odkryciu szeryfa Dixona w parku Rock Creek. Czas uciekał. Ostatnich pięć godzin spędzili na przeczesywaniu okolicy, ale wracali z pustymi rękoma. Nie było parku, odosobnionej farmy czy kawałka lasu w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od stolicy, którego by nie przeszukali.

- Dziesięć minut przerwy - zarządził Hernandez. - Niech pan wchodzi i zamówi mi czarną kawę i dwa pączki. I może znajdzie się trochę wody dla Dutcha. Ja sprawdzę, co w bazie.

Dixon wszedł do pustego baru i usiadł przy kontuarze. Zamówił kawę, pączki i miskę wody dla psa. Zamówienie przyniosła mu Abigail, rezydentka licealistka.

- Co to za psiak? - Stała na palcach z miską w ręku, wyglądając przez okno.

- To bohater - odparł Dixon, próbując się uśmiechnąć.

- Mogę mu zanieść wodę?

- Jasne. Samochód jest otwarty. Pies siedzi z tyłu. A jego opiekun z przodu, właśnie dzwoni.

- Dutch przesyła podziękowania. Bardzo chciało mu się pić - powiedział kilka minut później Hernandez, siadając na stołku obok.

- I co tam w Waszyngtonie, Rocky?

Agent spojrzał na Dixona czerwonymi z niewyspania oczami.

- Źle - odparł.

- Tak myślałem.

- Chaos. Ogromne ciśnienie ze strony Pierwszej Damy i ludzi z Secret Service, żeby przełożyć albo przynajmniej gdzieś przenieść ceremonię inauguracji. Zorganizować wszystko w jakimś tajnym miejscu, którego właśnie szukają Poza Waszyngtonem. Moi kumple dostają świra. Media czują krew i patrzą Białemu Domowi na ręce. Nie ma dobrego wyjścia z tej sytuacji.

- To znaczy?

- Jeśli opóźnimy albo przeniesiemy ceremonię, a potem nic się nie stanie, to wyjdziemy na idiotów. A jeśli nie opóźnimy i coś się stanie, to też będziemy idiotami.

- I jak się z tym czujesz?

- Moje odczucia są tu najmniej ważne. Wiem, jak się czuje prezydent. Za pięć godzin wejdzie na schody pod Kapitołem i położy rękę na Biblii. Koniec, kropka. Znam go lepiej niż samego siebie.

- Zdaje się, że nie mieliśmy racji co do lasów - powiedział Dixon, upiwszy łyk kawy.

- Będziemy szukać dalej, nie mamy wyjścia. Ta ciężarówka z Wirginii i ta z Rock

Creek były na zalesionych terenach. Pustych. Gdzie jeszcze można w tajemnicy wylądować coś tak wielkiego jak suburban?

Franklin patrzył w milczeniu na swój kubek.

- W garażu - powiedział cicho.

- Co?

- Rocky, jak sądzisz, ile potrwa sprawdzenie każdego garażu i warsztatu samochodowego w Waszyngtonie? Sprawdzenie właścicieli i porównanie tego z nazwiskami na liście osób obserwowanych pod zarzutem terroryzmu?

Agent walnął pięścią w kontuar.

- Garaż. Jezu. Dlaczego o tym nie pomyślałem? Do dzieła.

Franklin położył na ladzie pięć dolarów i ruszył do drzwi.

Dwa pierwsze garaże okazały się małymi warsztatami naprawczymi. Nie było mowy, żeby wjechać tu osiemnastokolową ciężarówką. Ten, do którego teraz jechali, leżał przy Massachusetts Avenue, niedaleko Union Station. Nazywał się Teapot Dome Body Shop.

- Ten wygląda mi na podejrzanego - powiedział Rocky, kiedy minęli garaż i zaparkowali za rogiem. - Nie wiem dlaczego, ale coś mi tu śmierdzi.

Wypuścili Dutcha z klatki i pies popędził za róg w stronę wjazdu, jakby wiedział, że czasu jest coraz mniej. Na liście A zostało im jeszcze jednaście garaży, plus sześć na liście B.

Dochodziła siódma trzydzieści. Zapowiadał się piękny bezchmurny dzień. Prezydent miał wygłosić przemówienie za niecałe pięć godzin.

Kiedy otworzyli drzwi, zadzwonił mały dzwoneczek. W kantorku śmierdziało potem i olejem. Ściany obwieszane były staromodnymi kalendarzami z roznegliżowanymi dziewczynami. Za zniszczonym drewnianym biurkiem zasypanym rachunkami, katalogami i częściami samochodowymi siedział tęgi ciemnowłosy mężczyzna w brudnym kombinezonie. Na kolanach miał rozłożoną arabską gazetę. Podniósł na nich wzrok.

- Czym mogę służyć? - spytał z uśmiechem.

- Secret Service - odparł Hernandez, migając legitymacją. - Agent specjalny Hernandez.

Franklin uchylił kapelusza.

- Dixon. Szeryf hrabstwa Prairie.

- Co mogę dla panów zrobić?

Dutch coś poczuł. W biurku. I na ubraniu mechanika. I za drzwiami po prawej.

- Którędy do garażu? - zapytał Franklin, przesuwając się w stronę drzwi na prawo od

biurka. - Tędy?

- Hej, panowie, to teren prywatny - zaprotestował mechanik. - Macie nakaz?

Franklin zignorował go, położył rękę na klamce i przekręcił ją. Dutch puścił się przodem przez szparę w drzwiach.

- Hej! Przecież mówię, to własność... - Grubas zerwał się z krzesła.

- Broń! - krzyknął Hernandez. - On ma broń! Padnij!

Franklin rzucił się przez drzwi na cementową posadzkę. Przeturlał się dwa razy. W kantorku usłyszał dwa strzały. Wyciągnął własną broń. Zobaczył, że mechanik wciąż trzyma pistolet i podnosi rękę, choć górną część kombinezonu miał przesiąkniętą krwią.

Strzelił grubasowi w głowę i wyjrzał przez drzwi na Hernandeza. Leżał na podłodze za biurkiem, ale już się podnosił.

- Dostałeś? - zapytał Dixon.

- To nic. Drasnął mnie tylko w ramię. Co tu masz, Dutch? Mam nadzieję, że to coś ważnego.

- Nie uwierzysz.

- To nie Teapot, tylko Jackpot - powiedział Hernandez i uśmiechnął się do Dixona, biegnąc za psem.

Garaż był ogromny. Z łatwością można tu było zmieścić dwadzieścia ciężarówek z naczepami.

Ale stały w nim tylko trzy czarne chevrolety suburban z ciemnymi szybami. Były owinięte grubą plastikową folią. Hernandez podszedł po zaplamionej olejem posadzce do pierwszego chevroleta i przejechał ręką po zderzaku w miejscu, gdzie oderwano kawałek folii.

- Dutch! Chodź tu! - zawołał Dixon. Znalazł coś interesującego po drugiej stronie garażu. Pies popędził do niego i zaczął grzebać łapami w rogu budynku.

- Niech pan tylko zobaczy - powiedział Hernandez, oddzierając folię. - Doskonałe kopie! Koguty, anteny, podesty, uchwyty. Wszystko takie samo, łącznie z pięciogwiazdkowymi emblematami Secret Service na drzwiach.

- Rocky, odsuń się od tego auta! - ostrzegł go Dixon. - Nie dotykaj go!

- Dlaczego?

- Dwaj gliniarze już zginęli, próbując je oglądać. Chodź tu i zobacz, co znalazł Dutch. Wielka sterta folii w rogu. Musiało ich być ze trzydzieści albo czterdzieści. To oznacza, że reszta jest już na ulicach.

- Ta...

- Nie rób tego!
- Niech pan da spokój, szeryfie. Musimy się dowiedzieć, co tam siedzi. Przecież...
Wybuch był oślepiający.

Czarna Dżungla

Top był w ekstazie, kiedy tego ranka zostawił więźnia samego w pokoju z widokiem na rzekę. Wraz z Khanem pchnęli go na skraj wytrzymałości. Anglik pewnie wyzionie ducha przed wyznaczonym terminem egzekucji. Szkoda. Ale Top i doktor byli już pewni, że Congreve nie przekazał niczego Hawke'owi. Ani nikomu innemu.

Ich plany są więc bezpieczne i nie muszą wprowadzać żadnych zmian w ostatniej chwili. Teraz obaj szli po linowym moście do podziemnego bunkra.

Padał ulewny deszcz.

Bezzałogowe samoloty nie mogły latać przy takiej pogodzie. Nawet czołgi ledwie sobie radziły w coraz głębszym błocie. Rzeka przybierała. Niewykluczone że nadejdzie powódź. Ale tym Top się nie przejmował. Bunkier był zabezpieczony, a forteca na drzewach została zbudowana z myślą o takich właśnie sytuacjach. Rządzi ten, kto stoi wyżej, przypomniał sobie.

Godzina prawdy była tuż-tuż. Z zaskoczeniem stwierdził, że jest zupełnie spokojny. Nie martwią go rzeczy trywialne ani drobne porażki, takie jak te na farmie w Wirginii i w parku Rock Creek. Nic nie mogło go już teraz powstrzymać. Nic nie mogło powstrzymać jego maszyn.

Z północnego i zachodniego krańca obozu doszły meldunki o wtargnięciu intruzów. Top nie przejął się nimi. Jego ludzie są gotowi. Strażnicy, którzy pozostali, będą walczyć na śmierć i życie. Nie przejmował się także atakiem tego śmiecia Hawke'a. Jego łódź utknęła zablokowana przez wiry, dokładnie tak jak Top przewidział. Na obrazie nadawanym z samolotów widział, jakiej jest wielkości. Tak duża łódź nie zdoła pokonać tego odcinka Czarnej Rzeki.

Hawke był zbiegłym niewolnikiem i kiedy zostanie odnaleziony, spotka go los odpowiedni do jego statusu i grzechów.

Z obozu głównego i satelitarnych obozów w dżungli wyruszyły już cztery dywizje. Żołnierze z nowymi czerwonymi naszywkami „*Bolivaristas*” byli w drodze do Kolumbii. Pod Medellin połączą się z dużym batalionem partyzantów z FARC i wspólnie zaatakują pierwszy cel w Ameryce Środkowej - Panamę. Po zdobyciu Panamy niepowstrzymani *Bolivaristas* przejdą do Kostaryki i Nikaragui, gdzie dołączą do nich kolejni bracia.

A potem wkroczą do San Salvador, zbiorą kolejne siły, idąc przez Gwatemalę, aż w końcu dotrą do braci w górach Meksyku. Ostateczny marsz nastąpi na północ, przez obleżoną teraz granicę. Będą szli na północ, cały czas na północ, aż w końcu odzyskają tereny utracone niegdyś przez braci z Meksyku.

To, co Simon Bolivar zaczął w 1820 roku, skończy Muhammad Top. Zjednoczony kontynent, towarzysze broni, prawdziwi wierni żołnierze Allaha.

Ale teraz trzeba zająć się bieżącymi sprawami.

Wraz z Khanem wszedł do krótkiego tunelu ukrytego w ogromnych paprociach, który prowadził do pancernych drzwi chroniących windę.

Wkrótce siedzieli w kabinie i zjeżdżali do bunkra.

Znalazłszy się w podziemnym bunkrze, z trudem ukrywali radość na widok obrazów na ekranach. Czarne pojazdy bojowe marki Chevrolet krążyły już po stolicy Stanów Zjednoczonych. Ich kamery przekazywały obraz pochmurnego styczniowego poranka. Policja kierowała ruchem wokół Kapitolu. Orkiestry licealistów zbierały się w bocznych uliczkach, młodzi trębacze wypróbowywali swoje instrumenty. Gapie ustawiali się już w trzech rzędach wzdłuż lin oddzielających trasę parady z Białego Domu.

Top spojrział na cyfrowy zegar.

9.59.

Za dwie godziny prezydent Stanów Zjednoczonych położy rękę na Biblii i przysięgnie strzec Konstytucji i bronić swego kraju. W tym właśnie momencie ów kraj straci cały swój rząd i padnie na kolana z hukiem, który usłyszy cały świat.

Biblia to genialne rozwiązanie, pomyślał Top. Jeden z lepszych pomysłów Khana.

*

- Już czas - powiedział Saladin, oddając krótkofalówkę radiowcowi.

Skończył właśnie rozmowę z Brockiem. Kajaki były już na rzece, płynęły w stronę odległego o blisko pięć kilometrów obozu Topa. Ludzie Saladina sprawnie dotarli w wyznaczone miejsce. Ulewny deszcz utrudniał im marsz, ale trenowali już w gorszych warunkach. Na znak dowódcy komandosi stanęli tuż za linią drzew. Przed nimi rozciągał się szeroki wąż, nad którym przerzucono linowy most.

Dzięki Caparinie Saladin wiedział, że większość oddziałów Topa wymaszerowała z obozu i teraz podąża na północ. Jego zwiadowcy ustalili pozycję głównych sił i przekazali te dane szefowi uzbrojenia na „Stiletto”.

Obozu strzegły głównie trolle. Ale Saladin i jego specjaliści od materiałów wybuchowych zdołali ograniczyć populację czołgów-robotów w Czarnej Dżungli.

Sprawdził wszystkich po kolei, upewniając się, że główna część jego drużyny jest dobrze rozstawiona wśród drzew i zna rozkazy. Wreszcie spojrzał na dwóch młodych brazylijskich komandosów, którzy mieli mu towarzyszyć w drodze przez most. Zgłosili się na ochotnika do najniebezpieczniejszej części misji.

- Gotowi? - szepnął.

Skinęli głowami. Twarze mieli pomalowane maskującą farbą.

Prosto w paszczę lwa - pomyślał Saladin, ale zachował tę konstatację dla siebie.

- Idziemy.

Pobiegli przez otwarty teren i wpadli na kołyszący się most. Na jego drugim końcu stały czołgi. Uformowały szyk obronny, ale nie strzelały.

Saladin i jego ludzie nie przestawali biec, z bronią gotową do strzału. Jeszcze sto metrów, pięćdziesiąt... Zza drzew po drugiej stronie wysypywało się coraz więcej żołnierzy wroga.

Gdy do końca mostu zostało dwadzieścia metrów, Saladin podniósł rękę, dając znak swoim chłopcom, żeby się zatrzymali. Obaj przykleknęli, osłaniając go. Przebiegł do końca przez most. Strzelał, zalewając ogniem nadjeżdżające czołgi. Odpowiedziały ogniem, a za nimi szli żołnierze.

Saladin padł na ziemię. Kiedy czołgi zbliżyły się, komandosi popędzili do niego, wzięli pod ramiona i zaczęli wycofywać się przez most w stronę bezpiecznej dżungli, gdzie czekali ich koledzy z oddziału. Operatorzy trolli, widząc tę ucieczkę, puścili maszyny i ludzi na most, by dobić intruzów.

Saladin obejrzał się przez ramię na czołgi.

- Doskonale! - krzyknął, kiedy młodzi komandosi zanurkowali w zaroślach, ciągnąc go za sobą.

Każdy odegrał swoją rolę idealnie. Teraz odwrócili się i obserwowali czołgi i żołnierzy wroga pędzących przez most w ich stronę. Most ugiął się pod ciężarem, którego dlań nie planowano. Ale wytrzyma, odezwała się w Saladinie dusza inżyniera. Taki był plan.

- Szefie, już?

- Pięć sekund, sierzancie - odparł Saladin. - Czekaj, aż wjadą te trzy ostatnie...

Dobrze... Już!

Młody żołnierz wcisnął staromodny detonator saperski. Ładunki, które podłożyła jego ekipa, wybuchały po kolei. Rozległy się trzy potężne eksplozje: po jednej na obu końcach mostu i trzecia dokładnie pośrodku. Most rozpadł się na kawałki, posyłając co najmniej piętnaście trolli i trzydziestu ludzi w głęboki wąwóz.

Saladin pozwolił sobie na ponure uczucie satysfakcji. Właśnie zadał poważny cios wrogowi. *Bolivaristas*, akurat. Po prostu terrorystyczna armia narkotykowych gangsterów finansowana i prowadzona przez obcokrajowców, których obchodziły jedynie własne obłędne fantazje o upokorzeniu Stanów Zjednoczonych.

Teraz jego drużyna zejdzie do wąwozu, przekroczy rzekę i wejdzie na skałę po drugiej stronie. Taka wspinaczka w ogniu przeciwnika byłaby samobójstwem. Ale zakończona właśnie akcja i kolejne, które miały nastąpić, odciągną siły wroga od centrum obozu na jego zachodnią granicę. Zadano pierwszy cios Topowi.

Saladin był przekonany, że jego działania dadzą Hawke'owi i jego ludziom na rzece szansę w późniejszej walce.

80

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Prezydent czeka w Gabinetcie Ovalnym - oznajmiła Betsey Hall, piękna sekretarka Jacka McAtee o popielatoblond włosach. Kiedy do drzwi podszedł przewodniczący Kolegium Szefów Połączonych Sztabów, zmarszczyła brwi, patrząc na zegarek. Generał Moore, szczupły wysoki mężczyzna w niebieskim mundurze, nie wyglądał na szczęśliwego. Ale w ten poranek dnia inauguracji nikt nie miał szczęśliwej miny.

- Przepraszam - usprawiedliwiał się Moore. - Nie mogliśmy dotrzeć szybciej.

- W porządku. Właśnie wrócił z porannego nabożeństwa w katedrze św. Jana. Jest tu dopiero od dziesięciu minut.

- Jak się czuje? - zapytał generał.

- Jednym słowem?

- Tak.

- Jest wkurzony. Na wszystkich.

- Nie przekłada inauguracji?
- Nie przekłada ani nie odwołuje. Niech pan z nim porozmawia. Pana słucha.
- Co mu kazałaś zrobić, Betsey?
- Nie mam zwyczaju mówić prezydentowi, co ma robić.
- Racja - rzekł Moore, ściskając ją za ramię. Odwzajemnił salut dwóm marines

pilnującym drzwi i wszedł do środka.

Prezydent stał przy oknie i wyglądał na zaśniewany Ogród Różany.

- Witaj, Charley - powiedział, nie odwracając się.
- Dzień dobry, panie prezydencie. Przyjechałem najszybciej, jak się dało.
- Bałagan w całym mieście. Zdaje się, że dzisiaj jest inauguracja. Co ludzie sobie

pomyślą o następnej?

Moore się zaśmiał.

- Mamy szczęście, że tu jesteśmy, panie prezydencie. Niewiele brakowało, żeby wygrał ten drugi.

- Nie tak znowu niewiele - obruszył się McAtee. - Proszę usiąść, generale. - Obszedł biurko i usiadł na obitej skórą sofie przy kominku. Moore siadł naprzeciwko niego i podniósł ze stolika srebrny dzbanek.

- Kawy?

Prezydent pokręcił przecząco głową a Moore nalał sobie kawy do filiżanki.

- Co pan zamierza, panie prezydencie?
- Jesteś dziesiątą osobą która zadaje mi to cholerne pytanie w ciągu ostatniej godziny.
- Przepraszam.

- Charley, lubię cię. Zawsze mi imponowałaś. Ba, nadal mi imponujesz, a przecież jestem prezydentem. Od tej decyzji wiele zależy. Policja ocenia, że na trasie parady zebrało się już pół miliona ludzi. Media dostają świra. Aż się ślinię na myśl, że zobaczą jak wymykam się tylnymi drzwiami. Co byś zrobił na moim miejscu? Ty też będziesz mi radził zwinąć kite?

- Jakie mamy opcje?

- Śmigłowiec Marine One grzeje już silniki. W każdej chwili może mnie zawieźć do bunkra w Strefie R w Raven Rock Mountain. Są też dwa identyczne konwoje Secret Service. Jeden jedzie do Camp David. Ten, który stoi pod północnym portykiem, zawiezie mnie na stopnie Kapitolu, gdzie złożę przysięgę na drugą kadencję. Co byś wybrał?

- Wywiad donosi, że gdzieś w Potomacu może pływać bezzałogowy okręt podwodny z bronią masowego rażenia.

- Jaki okręt? Nikt go nie widział. Mamy czujniki na każdym moście. Najbardziej zaawansowane elektroniczne środki obrony na świecie nie wykryły żadnego promieniowania! Nikt nie może mi zagwarantować, że to coś w ogóle istnieje. Mam odwołać inaugurację, bo jakiś dzieciak z Teksasu powiedział jakiemuś szeryfowi, że widział, jak jakieś dranie wpuszczają coś do rzeki? Daj spokój, Charley, wiesz przecież, że tego nie zrobię.

- A wybuch w parku Rock Creek?

- A co ma z nim być? Ktoś wiozł ciężarówką dwa suburbany wyładowane tradycyjnymi materiałami wybuchowymi i wszystko wyleciało mu w powietrze. Zadrzało parę szyb w Walter Reed. I tyle.

- Suburbany zostały przygotowane dokładnie tak, żeby przypominały wozy Secret Service. Moim zdaniem to bardzo wyrafinowany plan ataku. Ukrywają bomby praktycznie w miejscu publicznym.

- Media mówią że nie powinienem był wysyłać wszystkich tych żołnierzy na granicę, bo zostawiłem stolicę bez ochrony. Ochrony przed czym? Na razie nikt nie odnalazł w tym mieście choćby jednego opancerzonego suburbana, który nie należałby do Secret Service.

- Mimo wszystko nie podoba mi się to. Jedna z takich podrobionych maszyn może jechać tuż obok cheerleaderek z Iowy i nikt niczego nie będzie podejrzewał.

- Do licha, mnie też się to nie podoba! Ale za żadne skarby nie zwieję, słuchając tych bajeczek od chłopców z Langley.

- A co mówi Pierwsza Dama?

- Och, przecież znasz Lynn, Charley. Chce mnie chronić.

- Tak jak ja.

- Wiem. Więc co mam, do diabła, robić? Nie, mam lepsze pytanie. Co, do diabła, ty byś zrobił?

Generał Moore zastanawiał się nad odpowiedzią. Wiedział, że takie pytanie padnie. Właśnie po to wezwano go do Białego Domu. Musiał rozstrzygnąć, co jest teraz ważniejsze: bezpieczeństwo prezydenta czy potrzeba, by kraj zobaczył prezydenckie zdecydowanie i odwagę w obliczu przeciwności. Jego wzrok padł na małe popiersie Churchilla stojące na wielkim biurku Lincolna. Charakterystyczne ramiona, mina buldoga. W końcu popatrzył na przyjaciela, z którym znał się od trzydziestu lat, i powiedział:

- Panie prezydencie, kapelusz w dłoń. Jedziemy na Kapitol.

- Dziękuję ci, Charley. Tak czy inaczej.

- Mam nadzieję i modlę się, żeby to była właściwa decyzja.

Prezydent wstał i poprawił krawat.

- Podrzucić cię? W limuzynie mam mnóstwo miejsca.

Moore uśmiechnął się i odparł:

- Muszę jeszcze zadzwonić. Zaraz pana dogonię.

McAtee wyszedł z Gabinetu Ovalnego. Generał Moore sięgnął po słuchawkę telefonu, który stał po drugiej stronie stolika do kawy, i wybrał numer do biura Kolegium Szefów Połączonych Sztabów w Pentagonie.

- Mówi generał Moore. Odwołuję poprzednie rozkazy. Prezydent nie jedzie do Strefy R. Przysięga odbędzie się zgodnie z planem na stopniach Kapitolu. Żadnych opóźnień. Nad miastem mają krążyć patrole myśliwców bojowych. Przygotować baterie rakiet ziemia-powietrze przy Kapitolu i Pentagonie. I objąć zakazem lotów całe miasto. W promieniu stu kilometrów. Czy znaleziono już ten cholerny okręt? Nie? Wielki Boże, niech ktoś lepiej zacznie się modlić.

Wstał i przez chwilę rozglądał się po gabinecie. Co się dzieje z naszym krajem? - pomyślał, ruszając do drzwi.

*

- Dobrze się pan czuje? - spytał Dixona jasnowłosy chłopak.

Szeryf się rozejrzył. Nie czuł się dobrze. Przede wszystkim bolała go głowa. Sięgnął ręką żeby pomasaować czoło, ale poczuł, że ma je czymś owinięte. Jakimś bandażem.

Pół siedział, pół leżał na ulicy. Nogi miał zachlapane krwią. Na ulicy stał rząd czarnych suburbanów z migającymi kogutami. Otaczali je mężczyźni z pistoletami i karabinkami maszynowymi. Wszyscy byli wysocy i mieli na sobie czarne drelichy, kaski i kamizelki kuloodporne.

- Co to za ludzie? - zapytał Dixon blondyna.

- Antyterrorysty, szeryfie. Z Secret Service.

- Gdzie jest agent Hernandez?

- Przykro mi, ale nie przeżył. Chce pan spróbować wstać?

- Hernandez nie żyje?

- Tak, szeryfie.

Drzwi furgonetki tuż obok niego były otwarte i przez radio słychać było trzeszczące głosy.

- Odbiór, Pejcz rusza. Powtarzam, Pejcz rusza. Jedzie do Miski z Ponczem.

- Wszyscy słyszeli? - powiedział blondyn do rękawa. - Pejcz ruszył. Zdaje się, że impreza się zaczyna.

- Kim jesteś, synu?

- Agentem dyżurnym, szeryfie. Andy Hecht. Dostaliśmy rozkaz przetransportowania pana w bezpieczne miejsce.

- Musicie najpierw zajrzeć do tego budynku. Chcę wam coś pokazać.

- Do jakiego budynku, szeryfie? Nic już tu nie ma.

Dixon obejrzał się przez ramię. Budynek, w którym był przed wybuchem, zapadł się. Za plecami miał dymiącą kupę zgliszczy wysoką na dwa piętra. Na rumowisku pełno było mężczyzn z toporami i łomami, którzy przekopywali się przez resztki garażu. Dixon pomyślał, że musiał być nieprzytomny przez dłuższą chwilę.

- Chcesz, żebym wsiadł do tej furgonetki?

- Tak, szeryfie, byłbym wdzięczny. Musimy pana zawieźć do lekarza.

- Hecht pomógł Franklinowi wstać. Dixon lekko się zatoczył, ale utrzymał równowagę i obejrzał się na miejsce, gdzie stał podczas wybuchu.

- W tym budynku były trzy auta identyczne jak to. Tyle że to były zdalnie sterowane bomby. Jeśli trochę pokopiecie, znajdziecie je.

- Wierzmy panu, szeryfie. Właśnie szukamy tych furgonetek. Proszę, tędy. Ostrożnie.

Dixonowi ciężko było ustać na nogach, ale uparł się, by samodzielnie wejść na tylne siedzenie samochodu. Czekają go jeszcze mnóstwo pracy, trzeba było znaleźć te auta. Tylko on wiedział, czego dokładnie szukać.

- Co zrobicie, jeśli znajdziecie kolejne takie furgonetki? - zapytał.

- Nie mogę o tym rozmawiać. Szeryfie, teraz zamknę drzwi. Od tej pory zajmie się panem agent Ross. Powodzenia, szeryfie.

Hecht zaczął zamykać drzwi, ale Dixon wystawił rękę, powstrzymując go. Wychylił się z wozu i czerwonymi ze zmęczenia oczami przeszukiwał rumowisko po drugiej stronie ulicy. Wreszcie spojrzał na własne buty i cofnął rękę.

- Przepraszam - powiedział.

- Coś się stało, szeryfie?

- Gdzie jest pies?

- Pies?

- Dutch. Przeżył?

- Szeryfie, może niech pan trochę odpocznie...

- Synu, Hernandez miał psa. Wabił się Dutch.

- No dobrze. Niech pan chwilę poczeka - westchnął chłopak i znów zaczął mówić do rękawa. - Tu agent Hecht. Czy ktoś na terenie wybuchu znalazł psa z K-9? Powinien

reagować na imię Dutch. Co? Powtórz, nie usłyszałem... Tak, rozumiem.

Spojrzał na Dixona i pokręcił głową.

- Zginął? - zapytał szeryf.

- Chwileczkę... nie. Zdaje się, że to może być on. O tam. Moi ludzie opatrują go i czymś karmią.

Dixon wysunął nogi z ciężarówki i wyjrzał na ulicę.

Dutch dreptał powoli w jego stronę. Był mocno obandażowany i trochę kulał, ale jak na obecną sytuację wyglądał całkiem zdrowo. Na pewno wciąż mógł machać ogonem.

- Dobry piesek - powiedział szeryf i pochylił się, żeby objąć zwierzaka za szyję. - Dobry Dutch, dobre psisko.

81

Czarna Rzeka

Radio Hawke'a zatrzeszczało.

Alex wyciągnął wiosło ze spienionej wody i podniósł krótkofalówkę leżącą między stopami. To Saladin. Zgłosił się po akcji ku ogromnej uldze Hawke'a.

- Hawke, słyszysz mnie. To ty? Odbiór.

- Mów, Saladin - odparł Hawke. - Dobrze, że wciąż jesteś z nami. Zaczynałem się martwić. Gdzie teraz jesteś?

Wysadziliśmy właśnie ten główny zachodni most. Do rzeki spadło sporo czołgów i strażników.

- Doskonale! - To była pierwsza dobra wiadomość od dłuższego czasu. - Jakież ofiary po waszej stronie?

- Minimalne, ale to się może szybko zmienić. Wspinamy się po ścianie wąwozu i idziemy na umówione spotkanie z Żabojadem. Mocno nas ostrzeliwują ale za dwadzieścia minut będziemy na miejscu. Przynajmniej część z nas.

- Nie mogę się doczekać spotkania.

- Jeszcze jedno. Moi zwiadowcy donoszą o ruchach wojsk na północy od obozu. To główne siły Topa, Alex. Wyruszyły w drogę.

- Podaj mi ich pozycję. Zajmę się tym.

Saladin podał Hawke'owi namiary GPS. Alex zapisał najnowsze dane w przemoczonym notesie i z powrotem sięgnął po krótkofalówkę. Jego kajak o mały włos nie uderzył w wielki głaz. Ledwie przed nim uciekli.

- „Stiletto”, głowy do góry. Dajcie mi szefa uzbrojenia. Mówi Hawke. Duże siły wroga zaczynają się przemieszczać na północ. Mniej więcej dziesięć kilometrów na północny zachód od mojej obecnej pozycji na rzece.

Podał Dylanowi dokładne namiary.

- Zrozumiałem, szefie. Opis celu?

- Wojska lądowe. Główne oddziały idą przez dżunglę na północ. Składają się z rozmaitych typów opancerzonych robotów samobieżnych i setek pięciotonowych transporterów wiozących po dwudziestu żołnierzy. Nie możemy ich zatrzymać, ale możemy spowolnić. Namierzyć cele i wysłać rakiety LAM. Do roboty.

- Rozkaz, szefie.

- Jeszcze jedno. Te drogi, po których idzie wojsko, są z wapienia. Wystrzel rakiety PAM. Spróbuj zniszczyć drogę trzy kilometry na północ od nich. Jeśli się uda, powstrzymamy ich na co najmniej tydzień.

- Zrozumiałem, szefie. Namierzam i strzelam według rozkazów.

Hawke wziął do ręki wiosło i zaczął nim młócić z nową siłą. Po chwili usłyszał na północy głuchoe huki. Z ponurą satysfakcją stwierdził, że droga, którą budowali niewolnicy tacy jak on, właśnie przestaje istnieć. Rakiety PAM spowolnią marsz wojska na jakiś czas.

Tymczasem rakiety LAM miały latać nad głowami żołnierzy przez czterdzieści pięć minut, wyszukując ruchome cele. Kiedy rakieta namierzy czołg czy transporter opancerzony, spadnie i zniszczy go.

Śmierć z nieba.

I z rzeki, jeśli się tu nie potopią.

- Uwaga! - krzyknął Hawke.

On i jego załoganci zanurzyli wiosła w spienionej rzece i młócili wściekle wodę. Ale było za późno.

Zdradliwe wiry cisnęły ich kajak o dwa wielkie głazy. Gdyby płynęli prymitywną dłubanką a nie nowoczesnym kajakiem z włókien węglowych, roztrzaskaliby się na tych skałach już dawno.

Alex zacisnął zęby i raz za razem wkładał wiosło do wirującej wody. Nagły przypływ energii, który poczuł, był aż przerażający. Obawiał się, że może to być kolejna iluzja w gorączce. Nic nie mówił, ale od kilku dni widział oznaki powracającej malarii.

Z czterech pięcioosobowych kajaków tylko trzy zdołały bezpiecznie pokonać wiry. Harry Brock, który płynął na czele, prowadził swój i dwa inne kajaki przez zaminowany odcinek rzeki. Z map Harry'ego wynikało, że do celu zostało im niespełna pięć kilometrów. Na szczęście pogoda była tak koszmarna, że żadne roboty - ani z powietrza, ani z ziemi - ich nie prześladowały.

Hawke uwięziony w pobliżu brzegu widział jedyną drogę ucieczki: drzewa pochylone nisko nad wodą obrośnięte krętymi pnączami grubymi jak lina. Jeśli sięgnie do jednej z tych lian - nazywały się *bejuca* - może będzie w stanie ściągnąć kajak ze skał i skierować z powrotem na właściwy kurs, którym przepłynął już Brock. Ale trzeba było wyjść z kajaka i to zrobić.

Przedstawił załodze swój plan i przeskoczył przez burtę do rzeki. Woda sięgała mu po pachy. Musiał jakoś odblokować kajak, nie wywracając go ani nie puszczając w dół rzeki, by nie rozbił się na wystających skałach dwadzieścia metrów dalej. Teraz widział kanał, którym płynął Brock. Był wąski, ale jeśli uda się odpowiednio ustawić kajak, przepłyną.

Trzymając się kajaka, zaczął sunąć w stronę grubych pnączy zwisających nad rzeką. Ciężko było iść, zmagając się z prądem i ślizgając po omszałych kamieniach. Dwa razy przewrócił się, ale w końcu zdołał wolną ręką chwycić pnącze. Zaczął ciągnąć kajak w stronę brzegu. Załoga zobaczyła, co się dzieje, i zaczęła mocno wiosłować.

Prąd, który rzucił ich na skały, teraz im sprzyjał. Kajak powoli przesunął się w jego kierunku.

- O to chodzi! - krzyknął Hawke do swoich ludzi. - Dacie radę, chłopcy!

Trzeba było ciągnąć kajak dziobem w stronę nurtu. Niech ta cholerna rzeka sama okręci rufę i ustawi go równolegle do brzegu. No właśnie! Załoga mocno przytrzymała się brzegu, a Hawke wskoczył z powrotem na pokład.

Tym razem udało im się utrzymać w wąskim kanale. Mieli wprawdzie dwadzieścia minut opóźnienia do grupy Brocka, ale przynajmniej nie słychać było żadnych wybuchów min.

Hawke nie wiedział już, czy woda zalewająca mu oczy to deszcz czy pot. Wiosłował coraz mocniej, podobnie jak cała załoga. Stoke i Żabojad musieli już zbliżyć się do obozu Topa. Być może wkrótce znajdą Congreve'a.

- Trzymaj się, Ambrose - mruknął Hawke. Trzymaj się, do cholery.

Czarna Dżungla

Stoke spojrzął na Żabojada, podniósł płasko rozłożoną dłoń i zacisnął ją w pięść. Wróg przed nami. Stop. Dwaj dżihadyści stali sto metrów dalej pod pnem potężnego drzewa. Palili papierosy, ukrywając je w dłoniach, i rozmawiali. Szeroka czarna rzeka płynęła niedaleko po prawej. Chata Ambrose'a miała być nad rzeką. To drzewo wyglądało obiecująco, tym bardziej że stali pod nimi strażnicy.

Przez rzekę biegł most. Prawdziwy, nie taki z drewna i lin. Ruch był na nim niewielki. Pluton strażników, kilku żołnierzy na rowerach, dwa czy trzy małe czołgi-roboty, które Brock nazywał trollami. Chyba nikt tu nie podejrzewał, że kilka wrednych lisów zakradło się do samego środka kurnika.

Pewnie dlatego, że wszyscy wartownicy byli już martwi.

Żabojad i jego ludzie przyczaili się w gęstych krzewach pięćdziesiąt metrów w lewo. Przez godzinę szli żwawo przez dżunglę, wykorzystując obfitość naturalnych kryjówek. Zostawiali za sobą krwawe ślady - martwych zwiadowców i wartowników, którzy weszli im w drogę, kiedy posuwali się w głąb fortecy Topa w dżungli. Za pomocą komandoskich noży przecinali zaskaki z drutu i uciszali wrogów. Kiedy przeciwnik był za daleko, by użyć noża, nie stronili od karabinków CAR-15 z tłumikami, które przestawili na tryb serii po trzy pociski.

Stoke i Żabojad nadal nikogo nie stracili, a ich ludzie mieli wszystkie palce u rąk i nóg. W meczu Dobrzy Bohaterowie kontra Top był wynik siedemnaście do zera. Saladin, człowiek od Brocka, szedł od zachodu i wykurzał wszystkich nieprzyjaciół, którzy znajdowali się na jego drodze do umówionego punktu spotkania, niecałe dwa kilometry na północ powyżej mostu.

Stoke spojrzął w górę na ociekające od wody korony drzew. Domki na drzewach, kto by pomyślał. Dziwacznie to wyglądało, ale Stoke musiał przyznać, że i pięknie. Zupełnie jak w tym filmie, który oglądał w dzieciństwie. *Szwajcarscy Robinsonowie*, tak się chyba nazywał. Prawie każdy dzieciak, który widział ten film, marzył o domku na drzewie. Może poza Ambrose'em Congreve'em.

Stoke popatrzył na swoje stopy. Grząskie błoto zakrywało mu buty, a przecież stali teraz na górze. Deszcz nie przestawał padać i rzeka przybierała błyskawicznie. W wielu miejscach obóz był już zalany. Właśnie dlatego zbudowali domki na drzewach, matole, pomyślał i spojrzął na Żabojada.

Wycelowali w dwóch żołnierzy pod drzewem, wciąż odwróconych plecami do

Żabojada. Stoke dał ręką kolejny znak - palcem wskazującym postukał się w skroń i dwa razy pokazał kciukiem. Żabojad skinął głową. Zrozumiał. Dwa strzały w głowę.

Francuz wyprostował się na całe swoje metr sześćdziesiąt, podniósł do oka CAR-15 i strzelił. Dwaj strażnicy byli już martwi, kiedy padali na ziemię. Te colty to świetna broń. Kiedy Stoke pierwszy raz używał tego karabinu w oddziale Delt, był za głośny. Żołnierze głuchli od jego huku. Błysk z lufy też był za jasny. Oślepił komandosów w nocy i zdradzał pozycję wrogowi. Ale wszystko to zdołano naprawić. Teraz CAR-15 miał dłuższy tłumik, który naprawdę działał.

Stoke podszedł do pnia i szukał na nim maleńkiego nacięcia, które oznaczało właściwe drzewo. Na poziomie wzroku niczego nie zauważył. Ale zaraz, przecież to poziom jego wzroku. Dziewczyna od Harry'ego, Caparina, która miała zostawić nacięcie, musiała być niższa. Chyba że też ma prawie dwa metry. Ale wątpił w to. Słyszał, że to niesamowita laska.

Jeszcze raz obszedł drzewo, wodząc palcem wskazującym po korze trzydzieści centymetrów niżej.

Jest. Cienki ukośny ślad, świeże nacięcie w białozielonkawym drzewie.

Wziął głęboki oddech. Ambrose Congreve był na czubku tego drzewa. Pytanie: żywy czy martwy. Zatoczył koło palcem wskazującym, dając Żabojadowi i drużynie znak, żeby podeszli bliżej. Jakies trzy metry dalej rosły gęste krzewy. Żabojad mógł się tam schować i osłaniać go przez co najmniej dziesięć minut, bo pewnie tyle to zajmie. Wybierał się na górę sam.

Pod drzewem stała prosta winda. Wystarczyło wejść na metalową platformę metr na metr, chwycić za poręcz, wcisnąć czerwony guzik na panelu zwisającym z poręczy i już się jechało do góry.

Na drzewie były dwa okrągłe domki: mniejszy, położony niżej, i nieco większy, zawieszony wyżej i połączony z tamtym linowym mostkiem. Oba miały dach z blachy falistej, lekko uniesiony, by wpuścić trochę powietrza w tropikalnym upale. Wokół domków biegły wąskie werandy.

Stoke zobaczył, że przez poręcz werandy wychyla się czyjaś głowa. Widocznie strażnik chciał coś powiedzieć kolegom jadącym na górę.

- Jak się masz? - powitał go Stokely.

Strażnik patrzył okrągłymi ze zdumienia oczami w wylot lufy lekkiego karabinku CAR-15.

Stoke strzelił, mając nadzieję, że mężczyzna nie wypadnie przez barierkę. Odetchnął z ulgą gdy strażnik zawisł na poręczy i tak już został.

Zszedł z platformy na okrągłą werandę. Drzwi domku znajdowały się o dziewięćdziesiąt stopni dalej. Ruszył w ich stronę z bronią gotową do strzału. Przesuwane metalowe drzwi były zamknięte, a okno na prawo od nich zasłonięte zasłonami.

Stoke obiegł werandę, starając się nie hałasować. W końcu wycofał się do drzwi. Znowu spojrzął w okno, próbując coś dojrzeć na obrzeżach ciemnej zasłony. Nic jednak nie widział.

Położył rękę na drzwiach i odczekał chwilę, żeby uspokoić oddech. Potem delikatnie, centymetr za centymetrem, przesunął drzwi, aż mógł zajrzeć do środka.

Zobaczył niewielki pokój, którego jedyne umeblowanie stanowiły szpitalne łóżko na kółkach i stół. Na stole stała lampa naftowa, a obok leżała torba z narzędziami chirurgicznymi. Na łóżku leżał jakiś mężczyzna. Ręce i nogi miał przywiązane do metalowej ramy. Z zawieszanej na stojaku plastikowej torebki biegła rurka zakończona wenflonem w przedramieniu mężczyzny.

Stoke poczuł żywsze bicie serca. Szybko podszedł do łóżka i spojrzął na twarz leżącego na nim mężczyzny.

To był Ambrose Congreve.

Wyglądał prawie jak trup.

Jakiś głos z tyłu sprawił, że Stoke obrócił się błyskawicznie i położył palec na spuście. Już miał strzelić, ale zobaczył, że postać stojąca w drzwiach ma na żołnierskim drelichu długą białą szatę. Zdjęła miękki kapelusz, odsłaniając niedawno ogoloną głowę. Stała przed nim piękna kobieta. Zamiast broni niosła pod pachą cały zestaw akcesoriów medycznych.

- Stokely Jones? - zapytała.

- Tak.

- Caparina. Znajoma Harry'ego Brocka.

- Umarł? - spytał Stoke, patrząc na Ambrose'a.

- Jeszcze nie.

- Możesz coś dla niego zrobić, Caparino?

- Spróbuję.

Stoke wyjął kieszonkową krótkofalówkę i wcisnął klawisz.

- Hawke, Hawke, odbiór?

- Stoke, gdzie jesteś?

- On żyje, szefie.

- Ranny?

- Tak. Trzeba go jak najszybciej ewakuować. Przewieźć do jakiegoś szpitala.

- Stoke, musisz utrzymać Ambrose'a przy życiu. Za wszelką cenę. Możecie zostać tam, gdzie jesteście? Jestem na rzece, dziesięć minut za pozostałymi kajakami. Czy Brock już dotarł?

- Nie. Nie widziałem go.

- Powinien się pojawić lada chwila.

- Gdzie jest „Stiletto”?

- Płynie przez pole minowe. Jakies dwadzieścia minut za nami. Mam nadzieję, że woda już dostatecznie się podniosła.

- Zajmiemy się Ambrose'em. Aha, od ludzi Saladina dostałem kolejny raport o ruchu wojsk na północ.

- „Stiletto” już ich namierzyła. Zwiadowcy Saladina podali im namiary. Szef uzbrojenia wysłała tam wszystko, co mamy na pokładzie. Zajmij się nim, Stoke. Pilnuj, żeby oddychał.

- Słyszałaś - powiedział Stoke do Capariny.

- Jak on się nazywa? - zapytała, kładąc chłodną dłoń na czole pacjenta.

- Ambrose Congreve, inspektor Scotland Yardu. Jedyne człowiek na ziemi, który potrafił powstrzymać Papę Topa.

83

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Franklin zapiął dzinsy i wciągnął przez głowę koszulkę i sweter. Ciężko weszły na bandażę. To były jedyne czyste ciuchy, jakie zostały mu w torbie, którą spakował przed podróżą na Key West. Włożył buty. Był gotów do powrotu do domu, kiedy tylko ten bałagan się skończy.

Secret Service zaprosiła go na ceremonię inauguracji. Powiedział, że wolałby w czymś pomóc, zamiast tylko patrzeć, ale odmówili i powiedzieli, że ktoś po niego przyjedzie. Potem mieli go odwieźć na lotnisko na samolot powrotny.

Usiadł na brzegu łóżka i sięgnął po telefon. Chciał porozmawiać z Daisy, usłyszeć w słuchawce jej słodki głos. Piosenkę, w której muzyka była ważniejsza od słów.

- Halo?

- Hej, to ja.

- O mój Boże! Franklin! Gdzie jesteś, kochanie? Nadal w Waszyngtonie? June i ja oglądamy telewizję. Pokazywali dziś rano twoje zdjęcie! Nie mogłam uwierzyć w to, co mówili.

- I nie powinnaś.

- Wszystko w porządku?

- Potem ci opowiem. Odebrałaś wiadomości, żebyś się trzymała z daleka od tych ciężarówek? Zostawiłem ci na sekretarce trzy czy cztery.

- Tak, Franklin.

- Powiedz mi, że dałyście sobie spokój z tą z San Antonio. Tak się o was martwiłem.

- Znalazłyśmy tego sukinsyna, kochanie. Big Orange.

- Tego się obawiałem. Nikomu nic się nie stało?

- Franklin, znalazłyśmy tę cholerną ciężarówkę Big Orange! Nie uwierzysz, parkowała tuż pod Alamo. Niesamowite, co? Meksykanie chcą wysadzić Alamo. June powiedziała: „Cholera, że też na to nie wpadłyśmy”.

- Ale nie podchodziłyście do niej?

- Po tym, co powiedziałaś? Nigdy w życiu. June zadzwoniła z komórki na policję w San Antonio. Powiedzieli, żebyśmy od razu wyprowadziły turystów. I nie uwierzysz, co się stało.

- Opowiedz. - Dixon położył się na łóżku ze słuchawką przy uchu. Skoro wiedział, że Daisy nic się nie stało, chciał tylko słuchać jej głosu.

- Poszłyśmy prosto do sklepu z pamiątkami, bo tam przede wszystkim idą turyści, prawda? Podchodzimy do lady, a tam stoi śliczna kasjerka, jak dwie krople wody podobna do tej aktorki, co grała June Carter, Reese Witherspoon. I nie uwierzysz, z kim rozmawiała!

- Z Davym Crockettem?

- Nie! Z samym panem Big Orange! Przystojny młody chłopaczek w koszulce z logo Big Orange! To on kierował tą ciężarówką, aż z samego Lakeland na Florydzie.

- Co, u diabła, robił w Teksasie?

- Zboczył z trasy, żeby spotkać się z dziewczyną, która pracuje w sklepie z pamiątkami w Alamo! Czy to nie najlepszy dowcip, jaki słyszałeś w życiu?

- A co z tą ciężarówką?

- Normalna stara ciężarówka. Przyciemnione szyby, ale nie lustrzane. Pomyliłam się, Franklin.

- Kocham cię, Daisy.

- Ja też cię kocham! Kiedy wracasz?

- Ta miła pani sekretarz stanu zaprosiła mnie na inaugurację. Podjedzie tu po mnie za kilka minut. Potem jadę na lotnisko.

- Niesamowite! Będziemy cię wypatrywać z June w telewizji. Słyszałyśmy, że mieli to wszystko odwołać, a potem znowu ogłosili, że ceremonia się odbędzie. No dobrze, zdaje się, że musisz kończyć. Jeszcze jedno, słyszałeś, co znaleźli w tym podziemnym garażu w Gunbarrel?

- Nie.

- Homer otworzył puszkę Pandory. Kiedyś był tam salon Chevroleta, Należał do J. T. Rawlsa. Od kilku lat sprzedawał furgonetki meksykańskim *Federales*. Miał tam tunel i warsztat. Przerabiali te furgonetki, żeby wyglądały jak wozy rządowe. Cały czas kumał się z Meksykanami! Ale historia, co?

- Homer byłby świetnym policjantem.

- On był świetnym policjantem, Franklin. Sam przecież wiesz.

*

Dziesięć minut później pod drzwi hotelu Doubletree podjechał po Franklina samochód. Był to sedan z Departamentu Stanu z kobietą za kierownicą. Wyglądała, jakby dopiero co skończyła studia, nazywała się Holly Rattigan i pochodziła z Seattle. Powiedziała, że pracuje w biurze pani sekretarz stanu, ale ma wolne z powodu parady i zgłosiła się na ochotnika, żeby wozić szeryfa.

- To dla mnie zaszczyt pana poznać, szeryfie Dixon - oznajmiła, włączając się do ruchu. - Wszyscy o panu mówią. Proszę mówić do mnie Holly.

- Dziękuję, Holly.

Jechali w milczeniu w stronę Kapitolu. Śródmieście Waszyngtonu przypominało fortecę. Wokół parku przed Białym Domem stały trzymetrowe barierki. Wszędzie widać było pojazdy służby bezpieczeństwa i saperów. Zamknięto sto przecznic. Franklin domyślał się, że o wiele ważniejsze środki bezpieczeństwa są niewidoczne. Że wszędzie są kamery, które wysyłają zdjęcia do wspólnego sztabu operacyjnego gdzieś w Wirginii. Znajdowali się tam przedstawiciele czterdziestu agencji, którzy monitorowali czujniki zagrożeń chemicznych, jądrowych i biologicznych.

Rządowy sedan i przepustka Holly pozwoliły im przejechać przez punkty kontrolne i blokady. Funkcjonariusz policji miejskiej skierował ich na specjalny pas na Constitution Avenue. Dojechali do Pierwszej ulicy, gdzie powstał specjalny parking dla pracowników rządu.

- Czyż to nie podniecające? - odezwała się Holly. - Wzdłuż Pennsylvania Avenue przed Białym Domem ma przemaszerować jedenaście tysięcy ludzi.

- Podniecające - przyznał Franklin, kiedy Holly zaparkowała na wolnym miejscu. Wysiadając, zerknął na zegarek. Prezydent miał złożyć przysięgę za dwadzieścia minut.

Stali w oddzielnym linami sektorze w małym parku pod Gmachem Granta. Można było odnieść wrażenie, że pojawił się tu cały Waszyngton. Całą zachodnią stronę Kapitolu patrolowali policjanci. Wszystkie drogi były zablokowane betonowymi przegrodami. Ludzie zbliżający się do miejsca zaprzysiężenia musieli przejść przez wykrywacz metali.

Był dwudziestego stycznia. Z prognozy wynikało, że podczas mowy inauguracyjnej prezydenta będzie jeden stopień poniżej zera, chmury i lekkie opady śniegu. Franklin stał obok Holly, słuchał pięknej muzyki i podziwiał zachodnie schody Kapitolu obwieszone czerwono-biało-niebieskimi szarfami. Ludzie z Departamentu Stanu dostali dobre miejsca, ale i tak z tej odległości niewiele było widać. Holly i Franklin zaczęli się przesuwac przez tłum do przodu, próbując podejść bliżej podium.

Franklin cieszył się, że tu przyjechał. Podobali mu się policjanci na koniach, którzy majestatycznie przesuwali się w tłumie, pilnując wszystkiego. Jeden z konnych przystanął na chwilę pod drzewem, gdzie stał Dixon.

- Czy to prezydent? - zapytał szeryf, kiedy usłyszał, że ktoś zaczyna mówić przez mikrofon.

- Nie, proszę pana. To wiceprezydent. On pierwszy składa przysięgę.

Franklin spojrział na zegarek. Za piętnaście dwunasta. Prezydent miał złożyć przysięgę w samo południe.

- O mój Boże - powiedziała Holly, chwytając go za rękę. - Co tam się dzieje?

Franklin odwrócił się, żeby sprawdzić. Tłum zaczął napierać na niego od tyłu. Od strony Gmachu Granta, kilkaset metrów od miejsca, gdzie stał teraz z Holly, słycać było okrzyki paniki. Za gmachem znajdował się mały błyszczący staw, przy którym stały zaparkowane cztery czarne suburbany należące do Secret Service.

Piąty suburban właśnie ruszył i jechał wolno na drugą stronę Pierwszej ulicy pod jakimś dziwnym kątem. Nie przyspieszał, ale ludzie krzyczeli ostrzegawczo i uskakiwali mu z drogi. Czarna furgonetka parła naprzód, zmierzając w stronę parku bezpośrednio na wprost zachodnich schodów. Ludzie uciekali w panice, rozpraszając się we wszystkich kierunkach.

Policja i ochroniarze zamarli.

Dixon od razu zrozumiał dlaczego. Może była to furgonetka pełna agentów, która jechała w stronę podium na rozkaz z centrum dowodzenia Secret Service? Może ktoś

zauważył bombę albo człowieka z bronią w tłumie? Nie mogli tego wiedzieć.

Oryginalnych pojazdów nie dało się odróżnić od tych zdalnie kontrolowanych. Być może temu suburbanowi naprawdę polecono wjechać w tłum. Może miał skontrolować jakiegoś podejrzanego osobnika albo obezwładnić szaleńca i ochronić prezydenta?

Zobaczył, jak słońce pada na lustrzaną szybę furgonetki. Jako jedyny człowiek w Waszyngtonie widział te szyby z bliska. Ta wyglądała podejrzanie.

Tłum rozstępował się przed autem, które właśnie zaczęło się rozpędzać i jechało prosto na Dixona.

- Musi pan zatrzymać ten pojazd - zwrócił się do konnego policjanta.

- Natychmiast!

- Ja? Nie mam prawa...

- Ten suburban jest wyładowany materiałami wybuchowymi. Jedzie prosto na podium. Chcą zabić prezydenta i cały rząd!

- Kim pan, do cholery, jest? - krzyknął na niego policjant, który najwyraźniej wpadł w panikę. To słuchał, to mówił przez krótkofalówkę i próbował coś zrozumieć z tego szaleństwa. Czekał na kogoś wyższego stopniem, kto powiedziałby mu, co zrobić.

Franklin chwycił konia za uzdę i spojrzał policjantowi w oczy.

- Jestem nikim. Szeryfem z hrabstwa w Teksasie. Ale mówię prawdę. Musi pan zatrzymać ten wóz i to szybko!

- A jak niby mam to zrobić?

- Lepiej ja się tym zajmę - powiedział Franklin.

Chwycił policjanta za ramię i zepchnął go z siodła. Zaskoczony funkcjonariusz już sięgał po broń, ale wtedy Holly rzuciła się na niego i klękła mu na piersiach, migając przed oczami legitymacją Departamentu Stanu. Franklin wskoczył na siodło, ściągnął uzdę przerażonemu koniowi i obrócił go.

- Wio - zawołał, cmokając i dotykając butami boków zwierzęcia.

Pogalopował wprost na nadjeżdżającą furgonetkę. W ostatniej chwili uskoczył przed nią ostro ściągnął uzdę w lewo i zawrócił. Koń był szybki, więc szeryf błyskawicznie dogonił suburbana. Dostosował prędkość konia do prędkości wozu i jechał obok po prawej.

- Mam tylko jedną szansę - powiedział do wierzchowca.

Zsunął prawą nogę na drugą stronę i skoczył.

Siodło było typu angielskiego, co znacznie ułatwiło zadanie. Jednym butem trafił na podest furgonetki i złapał się poręczy na dachu. Z bliska dostrzegł, że szyby są lustrzane - przynajmniej nie wyglądał się do końca. Wciągnął się na dach, złapał jedną z anten

satelitarnych i podciągnął do przodu.

Na furgonetce w garażu kawałek środkowego światła w kogucie był czarny, a nie czerwony. Tam musiał się kryć obiektyw kamery.

Chwycił ręką koguta i mocno trzymał. Furgonetka skręciła ostro w lewo, być może próbując go zrzucić. Zaparł się prawą ręką i podciągnął jeszcze kilka centymetrów dalej. Obok wozu biegli już agenci z wyciągniętą bronią. Krzyczeli coś do niego - pewnie ostrzegali, że będą strzelać.

Ale wpadł na pewien pomysł i uznał, że warto spróbować.

Lewą ręką trzymał się koguta, a prawą sięgnął po kowbojski kapelusz. Zdjął go i wyprostował rękę. Wyciągnął się, jak mógł najdalej, i nakrył kapeluszem obiektyw.

Cholerna furgonetka pędziła jeszcze parę sekund, po czym zdecydowanie zwolniła. Skręciła w lewo, ślizgając się po trawie, potem w prawo. W końcu stanęła bez ruchu. Franklin nie ruszał się, wciąż zakrywając kamerę stetsonem. Oślepił w ten sposób tego, kto chciał zabić prezydenta.

W tłumie agentów wokół furgonetki dostrzegł znajomą twarz Hechta.

- To szeryf Franklin W. Dixon z Prairie w stanie Teksas - oznajmił Hecht kolegom. - On pierwszy trafił na te cholerstwa.

- Siemanko - powitał ich Franklin.

*

- Wysadź go! - wrzeszczał Top. Operatorzy wpatrzeni w pociemniały nagle ekran tylko na niego spojrzeli. - Wysadź tę pieprzoną furgonetkę!

- Nie ma takiej możliwości, panie. Ta funkcja została wyłączona. Wszystkie zmodyfikowane chevrolety musiały zostać podłączone do głównego zegara odliczającego.

- Co?! - ryknął Top, czerwieniejąc na twarzy. - Kto wydał takie polecenie?

- Doktor Khan, panie.

- Dlaczego? Dlaczego to zrobił? - Top ciężko dyszał, próbując uspokoić szalejące nerwy.

- Powiedział, że musimy wyeliminować wszelką możliwość błędu człowieka, panie.

- Khan to zrobił?

- Tak, panie.

Top wyciągnął pistolet i wymierzył w najbliższego operatora.

- Przywróć tę funkcję. Przywróć ręczne sterowanie.

- Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić, panie.

Odstrzelił operatorowi głowę.

- Następny? - powiedział, wodząc wokół dzikim wzrokiem.

84

Czarna Dżungla

Merde! Merde! Merde!

Żabojad nie musiał niczego tłumaczyć: gówno to gówno, w każdym języku. Jego oddział okrążono. Jakimś cudem te sukinsyny zaszyły ich od tyłu. Jeszcze ich nie widział, ale na pewno się zbliżali. Słyszał te pieprzone minicołgi, które gąsienicami tratowały poszycie. I okrzyki wojenne Indian Xucuru.

Indianie? Sądził, że większość z nich zginęła od kul ze „Stiletto”. Uparci dranie, trzeba im to przyznać. Albo opłacał ich Top, albo po prostu wkurzyli się, że jacyś obcy depczą ich dziewiczą dżunglę. Dał ręką znak Bassmanowi i Boomerowi, żeby się rozproszyli i odwrócili. Trzeba było ustawić ciężkie karabiny M-60 i przygotować się na atak z tyłu.

- Nie strzelać, dopóki nie dam sygnału - szepnął Żabojad do mikrofonu, kiedy drużyna zajęła pozycje.

Wszystko zaczęło się, kiedy półtorametrowa - bez wątpienia zatruta - strzała uderzyła w pień trzydzieści centymetrów nad jego głową. Właśnie pochylił się, żeby spojrzeć na mapę. Teraz miał tylko kilka sekund, żeby zmienić pozycję i zacząć odpierać atak z tyłu. Musiał też ostrzec Stokely'ego, który siedział w domku sześćdziesiąt metrów nad ziemią.

- Stoke, tu Żabojad.

- *Parlez*, Żabciu.

- Masz zakładnika?

- Mam. Ledwo zipie. Nie może się ruszyć. Będę próbował znieść go na dół. Trzeba go migiem ewakuować na „Stiletto”.

- Czekaj! Mamy tu kilku łobuzów zbliżających się z tyłu. Czołgi i Indianie.

- Czołgi i Indianie? - zdziwił się Stoke.

- Chyba mówię wyraźnie, do cholery!

Stokely nie drażył tematu.

- Hawke będzie za dziesięć minut, Żabciu. Brock jest jeszcze bliżej. Musimy bronić tego drzewa, dopóki się tu nie zjawią. Zejdę na dół sam.

Żabojad machnął ręką do swoich ludzi, zataczając koło. Błyskawicznie utworzyli prawie pięciometrowy krąg wokół drzewa. Nim Stoke wszedł na platformę i zaczął zjeżdżać, pierwsza fala wymalowanych wojowników dobiegała do komandosów.

Ludzie Żabojada jeszcze nie otwierali ognia.

W powietrzu świstały strzały, wiele z nich wymierzonych w Stokely'ego. Na wolno zjeżdżającej windzie był wystawiony na strzał jak kaczka. Ale miał też doskonały punkt do ostrzeliwania przeciwników na dole. Podniósł CAR-15 i zmiotł ośmiu z dziewięciu wymalowanych łuczników, którzy wysunęli się właśnie z zarośli, by wypuścić strzały.

- Ognia! - krzyknął Żabojad, widząc, w jakich opalach znalazł się Stokely. M-60 rozpoczęły dudniącą kanonadę. Grad ołowiu rozrywał z równą zaciekłością zarośla i ciała. Wszyscy komandosi strzelali, a mimo to wojownicy wciąż wychodzili z dżungli. W końcu pojawiły się też trolle. Cztery mini-czołgi pluły ołowiem z szybkich karabinków. Jeden z ludzi Żabojada krzyknął i padł, przecięty na pół ostrym ogniem.

Stoke był w połowie drogi na dół. Wciąż miał dobrą pozycję do strzelania do trolli. Przyczepił granatnik i wymierzył w najbliższy czołg. Ognia. Długi pióropusz białego dymu i czołg zniknął w potężnej masie płomieni. Stoke założył na karabin kolejny granat i zdjął następny czołg. Został mu ostatni granat. Usłyszał strzały od strony rzeki i zobaczył, że do brzegu przybiły trzy kajaki z Harrym Brockiem i czternastoma komandosami. Strzelali do przeciwników, których widzieli w dżungli.

- *Merde diabolique!* - usłyszał głos Żabojada w słuchawkach. - Jasna cholera!

- Co się dzieje, Żabciu?

- Cholerny most, *mon ami!* Patrz!

Z baraków po drugiej stronie rzeki zaczęli wylewać się żołnierze. Utworzyli długą kolumnę gotową do przejścia przez most. Przed żołnierzami sunęło powoli jakieś monstrum. Był to pojazd, jakiego Stoke nigdy nie widział, chyba że w kinie.

Wyglądał jak przerośnięty czołg, niczym Abrams na mocnych sterydach, wyposażony w dwa działa kaliber 120 milimetrów. Lufy o średnicy dwudziestu centymetrów wystawały z wieżyczek zamontowanych po dwóch bokach pionowej konstrukcji spoczywającej na podwoziu.

Stoke, nie przestając strzelać lewą ręką, prawą sięgnął po krótkofalówkę.

- „Stiletto”! „Stiletto”! Macie namiary GPS na główny most w strefie Alfa? Odbiór?

- Tak jest - odpowiedział szef uzbrojenia Dylan Allegria.

- Wprowadźcie koordynaty tego celu do jednej z rakiet. Odbiór.

- Zrozumiałem, sir. Już. Rakieta PAM ma go na celu.

- Nie strzelaj. Chcę, żeby to coś wtoczyło się najpierw na most.

- W co strzelamy?

- W pojazd z *Wojny światów*, Dylan. Żałuj, że nie widzisz tego potwora, którego zaraz zniszczysz... Gotów... Ognia!

Stoke wstrzymał oddech. Potężna machina wojenna była w połowie drogi przez most. Tuż za nią szło około dwudziestu żołnierzy, a nieco dalej kolejna dwudziestka.

Laserowy celownik rakiety PAM trzymał ją na kursie już po wystrzeleniu. Rakieta zmieniła tor i popędziła prosto na cel. Sekundę później uderzyła i czołg wybuchł. Przez czarny dym i płomienie Stoke dostrzegł, że maszyna nie została zniszczona, ale na pewno unieruchomiona. Wszyscy żołnierze w pobliżu zginęli. Pozostali wycofali się na drugi brzeg i schowali w dżungli. Stoke nie czekał, aż platforma zjedzie na dół, i ostatnie dwa metry pokonał skokiem.

Otworzył ogień do kilku ostatnich wojowników z dżungli, którzy cudem przeżyli ostrzał z dwóch karabinów M-60. Większość Xucuru i umundurowanych strażników uciekła z powrotem do dżungli. Przegrupowywali się. Kiedy tylko to zrobią na pewno znowu uderzą.

- „Błękitna Gęś”, „Błękitna Gęś”. Mick, gdzie, do cholery, jesteś? - mówił Stoke do krótkofalówki.

- Tu „Błękitna Gęś”, Stokely. Co mogę dla ciebie zrobić, przyjacielu?

- Jestem w gorącej strefie z rannym zakładnikiem. Muszę go błyskawicznie ewakuować, a „Stiletto” nie wchodzi w rachubę. Gdzie jesteś?

- Osiem kilometrów na wschód od waszej strefy. Widzę dym na moście.

- Wiem, że rzeka jest tu za wąska jak na twoje skrzydła, ale Ambrose nie przeżyje transportu przez dżunglę.

- Ten zakładnik to Ambrose?

- Tak.

- A kto mówi, że tam jest za wąsko?

- Ja mówię. Nie dasz rady, Mick.

- Przelecę się i sam zobaczę.

- Uważaj na kule.

*

- Wstrzymać ogień! - ryknął Żabojad.

W tej samej chwili Stoke zobaczył, jak Alex Hawke płynie do brzegu, a potem wpija się w niego palcami. Jego kajak rozpadł się na kawałki, ostrzelany przez wroga. Resztki unosiły się z prądem. Dwóch z czterech członków załogi Hawke'a płynęło do brzegu, dwaj

inni unosili się z twarzami w wodzie.

- Stoke! - krzyknął Alex, podbiegając do drzewa. - Gdzie on jest? Gdzie jest Ambrose?

- Na górze - odparł Stoke. - Właż na platformę, tylko się nie potknij.

Gdy tylko wjechali, Hawke zeskoczył z platformy i pobiegł do przyjaciela.

- Ambrose, to ja - powiedział, pochylając się nad nim.

- Przykro mi - odezwała się Caparina. W maskującym drelichu mogła uchodzić za mężczyznę. Ale w przyciemnionym świetle jej twarz wyglądała uroczo.

- Odezwał się? - zapytał ją Stokely.

- Musicie dać mu chwilę - odparła. - Dochodzi do siebie.

Przyciskała dłoń Ambrose'a do piersi i wpatrywała się w niego.

- Dałam mu coś, co osłabi działanie serum prawdy. Wkrótce powinien...

- Jest pani lekarzem? - przerwał jej Hawke.

- Tylko pielęgniarką.

- Będzie bardzo cierpiał?

- Obawiam się, że tak.

- Alex - odezwał się Ambrose, mrugając powiekami.

- Jestem tu. Przyjechałem, żeby zabrać cię do domu.

- Do domu - westchnął Congreve i znów zamknął oczy.

- Ambrose. Proszę. Musisz zachować przytomność jeszcze przez kilka minut.

- Jestem taki zmęczony.

- Kod, Ambrose. Pamiętasz kod? Kiedy i gdzie?

- Atak Topa.

- Gdzie Top chce zaatakować?

- W Waszyngtonie.

- Kiedy?

- Prezydent. Wszyscy. Rząd.

- Kiedy, Ambrose?

- Styczeń... dwudziesty.

- To dzisiaj - szepnęła Caparina. - O Boże.

- Ambrose, posłuchaj uważnie - Odezwał się Hawke. - O której ma nastąpić atak?

Wiesz?

- Przysięga na Biblię. Nie pozwólcie mu...

Hawke spojrział na Stokely'ego.

- Przysięga na Biblię? Inauguracja. Chcą zaatakować prezydenta na stopniach Kapitolu. Która jest godzina?

- Prawie południe, szefie. Nie wiem, ile czasu nam zostało.

Hawke pokręcił głową i delikatnie położył rękę na ramieniu Congreve'a.

- Ambrose. Jaki jest kod?

- Kod?

- Tak. Te liczby, nad którymi tak pracowałeś? Ta cholerna książka.

Ambrose uśmiechnął się słabo.

- Kod Zimmermanna?

- Tak, Ambrose. O to chodzi.

- Liczby to litery, Alex. Wola Allaha. Da Vinci.

- Co? - Hawke spojrzał błagalnie na Stoke'a.

- Wola Allaha - powiedział Stokely. - To brzmi jak hasło. Ale co z tym Da Vinci?

Ambrose skinął głową.

- Nie powinien już więcej mówić - powiedziała Caparina.

Stoke chwycił Hawke'a za ramię.

- Musimy iść, szefie. Caparina zaopiekuje się nim, dopóki nie wrócimy.

- Powinien jak najszybciej trafić do szpitala. Gdzie, u diabła, jest ten samolot?

Stoke podał Aleksowi swoją krótkofalówkę.

- Mick! Tu Hawke. Odbiór.

- Słyszę cię, Hawke.

- Dasz radę wylądować tym cholerstwem? Nie chcę go stracić!

- Spokojnie, szefie. Wyląduję bokiem.

- Bokiem?

- Taka mała sztuczka, której nauczyłem się w buszu.

Hawke spojrzał na Caparinę.

- Zostań z nim. Ktoś po niego jedzie.

*

Hawke i Stokely weszli na platformę i zaczęli zjeżdżać. Wyglądało na to, że ludzie Żabojada skutecznie odpierają ataki żołnierzy Topa. Tym, którzy próbowali przejść przez unieruchomiony czołg albo spuścić pontony z drugiego brzegu rzeki, M-60 wybijały z głowy takie pomysły.

Usłyszeli głośny ryk silników po prawej, tuż nad mostem. „Błękitna Gęś” nadleciała, przebijając gęsty czarny dym zaledwie metr czy dwa nad spalonym pancerzem czołgu.

Skrzydła samolotu muskały liście drzew po obu stronach rzeki. Przez moment Hawke i Stoke byli pewni, że pilot o coś zawadzi i maszyna spadnie na ziemię.

Mick zdołał jednak utrzymać „Błękitną Gęś” na właściwym kursie i przygotował się do lądowania. W ostatniej chwili wypuścił jedną klapę i obrócił samolot o kilka stopni. To wystarczyło, by zmieścić się między gęsto zalesionymi brzegami. „Błękitna Gęś” plusnęła w rzekę.

Gdy się zatrzymała, Mick otworzył drzwi i zszedł na pływak z karabinem maszynowym w ręku. Rzucił kotwicę, drugą linę rzucił między drzewa i zaczął ściągać samolot bliżej brzegu.

- Oślaniać ten samolot! - krzyknął Stoke przez radio. - Trzymać szyk! Nie dopuszczajcie nikogo w pobliże.

Hawke poczuł się pewniej, kiedy zobaczył, jak dwóch ludzi z ciężkimi M-60 biegnie wzdłuż brzegu w stronę czekającego wodnopłatu. Z mostu dochodziły sporadyczne strzały. M-60 szybko je uciszyły.

Żabojad czekał na nich u stóp drzewa.

- *Mon ami* - powitał Hawke'a, kłaniając się w pas.

Alex uśmiechnął się i ścisnął starego druha za ramię.

- Weź dwóch ludzi i jedźcie na górę. Ambrose jest poważnie ranny. Jak tylko załadujecie go na pokład, powiedz Hockingowi, żeby leciał na „Stiletto” i jak najszybciej oddał Ambrose'a w ręce lekarza.

- Zrobione, monsieur Hawke - odparł Żabojad i wezwał przez radio dwóch najroślejszych komandosów.

- Pożycz mi telefon satelitarny - poprosił Alex, kiedy Francuz skończył wydawać polecenia. - Może się przydać.

Żabojad podał mu telefon.

- Mamy dziesięć minut - powiedział Hawke. - Które z tych drzew to antena?

- Tamto - wskazał Francuz. - Chodźcie, *mes ami*, wysadzimy ją w powietrze.

- Bum-bum - rzekł Hawke z uśmiechem i pobiegł w stronę sztucznego drzewa.

Jack McAtee był gotów. To była historyczna chwila, a prezydent miał szacunek dla historii. Przewodniczący Sądu Najwyższego już stał na miejscu przy Biblii inauguracyjnej Jerzego Waszyngtona. Za kilka minut McAtee położył na niej rękę - dokładnie tam, gdzie Waszyngton - i złożył przysięgę. Oto tworzy się historia, pomyślał, patrząc nad tłumem zgromadzonym pośród drzew.

Gdy trzydziestego kwietnia 1789 roku Jerzy Waszyngton przybył do Federal Hall na Dolnym Manhattanie na pierwszą prezydencką inaugurację, zobaczył, że nie ma tam Biblii. Ktoś przypomniał sobie, że widział Biblię w Łoży Świętego Jana kilkaset metrów dalej, i pobiegł po nią. Wkrótce wrócił i położył księgę na czerwonej aksamitnej poduszce. Otworzyła się na stronie między czterdziestym dziewiątym i pięćdziesiątym rozdziałem Księgi Rodzaju. Waszyngton położył lewą rękę na Biblii i złożył pierwszą przysięgę prezydencką. Waszyngton dodał słowa „tak mi dopomóż Bóg”, po czym pochylił się i pocałował księgę.

W miejscu, gdzie Waszyngton położył rękę, wprawiono jedwabną kartę. Potem dodano portret pierwszego prezydenta, patrzącego na obecny już tam portret króla Jerzego II. A ponieważ Biblia pochodziła z łoży masońskiej, a nie jednego z dwudziestu dwóch kościołów w Nowym Jorku, postanowiono, że będzie wykorzystywana przy wszystkich przyszłych inauguracjach.

Dwustuletnia Biblia inauguracyjna Waszyngtona wciąż była używana co cztery lata. Przechowywano ją dokładnie tam, gdzie została znaleziona - w niepozornym pokoiku na zapleczu Łoży Świętego Jana na Dolnym Manhattanie.

*

Prezydent stał na szczycie schodów. Przewodniczący Sądu Najwyższego Howard L. Clark czekał na dole obok otwartej Biblii Waszyngtona. Stojąca przy mężu Pierwsza Dama, Lynn McAtee, pozdrawiała starych przyjaciół ciepłym uśmiechem, próbując nie dać po sobie poznać, że wolałaby być gdziekolwiek indziej, a nie na platformie inauguracyjnej. Ręce drżały jej tak bardzo, że ledwo mogła utrzymać małą rodzinną Biblię, którą zawsze nosiła ze sobą przy ważnych okazjach.

Agenci Secret Service byli wszędzie, rozglądając się dookoła. Opancerzone samochody i pojazdy ekip saperskich stały u stóp podium. Lynn McAtee nadal uważała, że jej mężowi grozi niebezpieczeństwo. Spojrzała na sekretarz stanu de los Reyes i uśmiechnęła się do niej. Wiedziała, że Consuela martwi się przebiegiem wydarzeń w równym stopniu co ona.

W pobliżu Gmachu Granta wybuchło jakieś zamieszanie. Ludzie uskakiwali na boki rozganiani przez chevroleta suburbańskiego należącego do Secret Service, który wolno jechał przez

tłum. Miała nadzieję, że to tylko garstka hałaśliwych demonstrantów. A nie to, czego obawiała się najbardziej tego pochmurnego dnia.

*

- Jak, u diabła, wypatrzyłeś to cholerstwo? - zapytał Hawke Żabojada, który uwijał się przy mocowaniu woreczków semteksu do podstawy jednego z niezliczonych sześćdziesięciometrowych kolosów. Sztuczne drzewo miało u podstawy sześć metrów średnicy. W każdym kierunku pod ziemią biegły kable zamaskowane jako korzenie. Hawke musiał przyznać, że jest w tym wszystkim błysk geniuszu.

- Żabojady zawsze widzą drzewa, nie las, monsieur - odparł Francuz.

- W którą stronę upadnie? - zainteresował się Stoke.

- W stronę rzeki - odpowiedział i nastawił zegar. - W porządku, ładunki uzbrojone! Minuta! Odsunąć się! Odsunąć się!

Wszyscy pobiegli ukryć się za okolicznymi drzewami.

*

- Ty idioto! - krzyczał Top na jedynego operatora, którego jeszcze nie zastrzelił. Był rozjuszony. Secret Service odkryła większość jego ukrytych pojazdów. Wśród nielicznych, które mu pozostały, był wypakowany materiałami wybuchowymi chevrolet, który powoli parł przez tłum w stronę podium inauguracyjnego.

Ale nagle Top dostrzegł, że w ostatniej chwili na dach furgonetki wskoczył jakiś człowiek i zakrył jej kamerę. Operator próbował strząsnąć intruza, ten jednak nadal siedział na dachu.

Za pomocą pistoletu przystawionego do skroni Muhammad zdołał właśnie przekonać Khana, by przynajmniej ten ostatni pojazd przestawić na tryb kontroli ręcznej. Jeśli zdoła podjechać suburbanem o tysiąc metrów bliżej prezydenckiego podium, nadal będą mieli szansę. W wybuchu zginą tysiące ludzi, ale rząd Stanów Zjednoczonych przestanie istnieć.

- Jedź na wschód - powiedział cicho Khan i wstukał kod pozwalający na przejęcie kontroli ręcznej.

Top odepchnął operatora i sam przejął dżojstik.

- Nic nie widzę! - krzyknął. Mężczyzna na dachu furgonetki wciąż zakrywał obiektyw.

- Nieważne - powiedział Khan. - Im dalej na wschód dojedziesz, tym większą masz szansę na zabicie prezydenta i wszystkich innych na podium.

Zegar nad monitorami nieuchronnie odliczał czas do południa.

Zostało im niecałe dziesięć minut.

- Na wschód, idioto! - krzyknął Khan. - Jedź na wschód!

Top chwycił dżojstik i suburban znów ruszył. Zapamiętał położenie auta w stosunku do podium. Mimo wszystko wydawało się niemożliwe, by dotarł do celu.

Ale Top był w tym mistrzem. Przywołał wszystkie swoje umiejętności i kierował furgonetką wyłącznie instynktownie. Nieosiągalny sen wciąż jeszcze mógł się ziszczyć.

Mam cię w ręku, myślał, przesuając dżojstik.

*

Prezydent i pani McAtee byli gotowi do zejścia po schodach Kapitolu. U ich stóp czekał przewodniczący Sądu Najwyższego Howard Clark. Jego długa czarna toga powiewała na wietrze. Tłum zaczął wiwatować, kiedy prezydent odwrócił się i pomachał ludziom, którzy postanowili obejrzeć na własne oczy to historyczne wydarzenie. Orkiestra marynarki wojennej zagrała pierwsze takty marsza Sousy, którego McAtee uwielbiał.

Na razie wszystko idzie jak po maśle, pomyślał, obejmując żonę.

Wyglądało na to, że jednak podjął właściwą decyzję. Przejdzie do historii jako ten, który się nie uląkł.

86

Drzewo wystrzeliło w górę niczym rakieta Atlas z platformy startowej. Wybuch unosił je prosto w niebo przez niekończącą się sekundę, a następnie przechylił w przód. Zaczęło spadać w stronę rzeki i runęło na ziemię z wielkim hukiem.

- *Allez-ooop!* - krzyknął ktoś. Ani chybi Żabojad.

Z dziury w ziemi buchnął gęsty, żrący dym i wysokie płomienie ognia. Hawke i Stokely przysunęli się, by ocenić zniszczenia. Poprzecinane kable skwierczały i strzelały - wciąż były pod napięciem. Od wydrążonego pnia zwałonego drzewa do metrowego leja biegła wiązka splątanych drutów i grubych przewodów.

- Cholera - mruknął Stoke. - Zdaje się, że urwaliśmy im antenę, ale chyba tam na dole wszystko nadal działa.

Hawke zajrzał do dziury i sięgnął po krótkofalówkę. Pod ziemią usłyszał krzyki i strzały z broni ręcznej. Przynajmniej kilka osób w bunkrze wciąż żyło.

- „Stiletto”, tu Hawke. Musicie wymierzyć raketę PAM w miejsce, gdzie jestem. Natychmiast. Macie moje namiary GPS?

- Tak jest, szefie - odpowiedział szef uzbrojenia. - Na pewno mam ją ustawić dokładnie na pana?

- Tak. Powtarzam: na sam czubek mojej zakrwawionej głowy - potwierdził Hawke. - Odpalaj, Dylan!

- Tak jest. Odpalam PAM, szefie.

- Na ziemię! - krzyknął Stoke. - Rakietą!

- Ale ogień! - wrzasnął Żabojad, padając.

*

Prezydent i Pierwsza Dama ramię w ramię zaczęli schodzić po stopniach prowadzących na podium. Promienieli uśmiechami. Wśród ludzi zebranych w pobliżu i tysiący stojących po zachodniej stronie Kapitolu rozległy się okrzyki i oklaski. Wielu wstrzymało oddech. Wszyscy pchali się do przodu, by mieć jak najlepszy widok.

*

Ziemia zadrżała od wybuchu rakiety PAM w podziemnym bunkrze Topa. Po oślepiającym białym błysku Hawke i Stokely znów pobiegli do dziury. Teraz miała jakieś półtora metra. Wydobywał się z niej dym, ale na dole świeciło się światło. Elektryczne.

- Generatory awaryjne - powiedział Hawke i przewiesił sobie przez ramię karabin maszynowy. - Żabojadzie, weź dwóch ludzi i chodź z nami. Schodzimy na dół.

Stoke przywiązał linę do pobliskiego drzewa. Jej wolny koniec spuścił do wypełnionej dymem dziury.

- Ja pierwszy - oznajmił Hawke i nim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, zniknął w leju. Za nim ruszył Stokely, potem Żabojad, a na końcu dwaj strzelcy z M-60, Bassman i Boomer.

Hawke dotknął stopami podłogi i przetoczył się w lewo. Stał i omiół pomieszczenie wzrokiem. Zobaczył, że Stoke ląduje na ziemi i przetacza się w prawo. Potem zszedł Żabojad i dwóch strzelców. Część żołnierzy wroga jeszcze żyła; zbierali się na nogi pośród dymu i zgliszczy. Żabojad i jego dwaj strzelcy rozprawili się z nimi, nim zdolali choćby sięgnąć po broń.

Bunkier łącznościowy był zniszczony. Martwi operatorzy leżeli na konsolach sterowniczych, tu i ówdzie paliły się małe elektryczne ogniki, a wszędzie unosił się swąd spalonego ciała.

Z dymu wyłonił się niski mężczyzna w osmalonej szacie i okularach. Nad głową trzymał zakrzywiony nóż. Hawke od razu rozpoznał Abu Khana. Irańczyk zmierzał w stronę Stokely'ego.

Stoke podniósł rękę, żeby obronić się przed ciosem, ale koniec ostrza rozciął mu przedramię.

- To święty teren, o niewierny! - krzyknął Khan, znów wznosząc nóż.

- Jesteśmy boskimi męczennikami!

Stoke popatrzył na niego i się uśmiechnął.

- No to każ szykować dziewice - odpowiedział.

Hawke zaszedł Khana od tyłu, chwycił ręką za gardło i przystawił lufę do skroni.

- Witamy w raju - odezwał się. - Rzuć nóż. Masz pięć sekund, żeby powiedzieć mi, co chcę wiedzieć.

- Nie wiem, co... Nie zabijaj mnie!

- Hawke, patrz! - krzyknął Stoke. - Tam jeszcze działa monitor! Waszyngton! Cholera, to inauguracja!

Alex obejrzał się na jedyny działający monitor. Idealny cyfrowy przekaz na żywo z ceremonii u stóp Kapitolu. Przewodniczący Sądu Najwyższego Clark czekał na prezydenta.

McAtee z żoną schodzili po schodach.

- Niech mi pan powie, doktorze Khan - szepnął Hawke Irańczykowi do ucha. - Jak się czuje terrorysta, kiedy to jemu przystawiają broń do głowy?

Khan milczał.

Hawke wpatrywał się w monitor. Czegoś nie widział. Czegoś brakowało. Czego? Co to, u licha, było? Coś, co mówił Ambrose... „Przysięga na Biblię... Nie pozwól mu”.

- Mów, co zrobiliście z Biblią! - krzyknął do Khana. - Albo zginiesz!

- Cienki jak papier materiał wybuchowy - jęknął Khan. - Czujnik temperatury i nacisku. Kiedy położy lewą rękę...

- Kurwa! - wrzasnął Stoke. - Gdzie jest Top? Musimy coś zrobić!

- Przetrzęsał pomieszczenie w poszukiwaniu olbrzyma, ale nigdzie nie mógł go znaleźć. Najprawdopodobniej zginął, pomyślał, i leży gdzieś pod gruzami.

Hawke siedział już przy telefonie satelitarnym i wstukiwał numer bezpiecznej linii do Conch. Nadal trzymał Khana za gardło i ilekroć ten się ruszył, zwiększał nacisk.

- Conch - odezwał się, gdy usłyszał jej głos. - Nie pozwól prezydentowi dotknąć Biblii!

Na monitorze zobaczył, jak zmieniła się mina pani sekretarz de los Reyes, kiedy usłyszała jego słowa. Przez twarz przebiegł jej cień przerażenia, po czym znów uśmiechnęła się i powiedziała coś do przystojnego młodego marine, który stał obok.

Żołnierz z wawo ruszył.

*

- Proszę podnieść rękę i powtarzać za mną - zaczął przewodniczący Sądu Najwyższego. Prezydent podniósł prawą rękę i wyciągnął lewą by położyć ją na Biblii Waszyngtona.

Nagle u jego boku pojawił się młody marine i dłonią w białej rękawiczce powstrzymał go. Potem zgrabnie podniósł starą Biblię z podstawki, oddał roslému agentowi Secret Service stojącemu tuż za nim i wziął od niego inną Biblię, małą w czerwonej skórze, którą właśnie podała mu Pierwsza Dama. Marine położył ją na stojaku.

Hawke jak zahipnotyzowany patrzył na tę scenę, nie zdając sobie sprawy, że coraz bardziej zaciska palce na chudej szyi Khana. Zobaczył, jak jeden z ludzi prezydenta podaje Biblię inauguracyjną innemu, który czekał pod podium. Mężczyzna ten stał na dachu saperskiej furgonetki... Hawke oderwał wzrok od ekranu, zorientowawszy się, że Khan leży martwy u jego stóp.

- Panie prezydencie, czy jest pan gotów do złożenia przysięgi? - pytał przewodniczący Sądu Najwyższego, kiedy Alex wrócił do oglądania relacji.

- Tak - potwierdził prezydent.

Położył lewą rękę na małej Biblii, którą otwarto na Księdze Rodzaju, i podniósł prawą dłoń. Uśmiechał się do żony i szepnął coś do niej.

- Ja, John J. McAtee, uroczyście przysięgam... - Clark zaczął wypowiadać słowa przysięgi.

- Ja, John J. McAtee, uroczyście przysięgam...

Dym opadł i Hawke zobaczył, że przed jedynym pracującym monitorem siedzi mężczyzna w dziurawym meloniku. Jak szalony manipulował dżojstikiem. Na ekranie widać było prezydenta na platformie. Wyglądało na to, że patrzy na coś z prawej. Coś się działo. Agenci biegli w stronę prezydenta.

- Top! - krzyknął Hawke, ale mężczyzna w meloniku nie zareagował. Jedną rękę trzymał na dżojstiku, miotając nim w prawo i w lewo, a drugą stukał w klawiaturę. Pod podium tłum rozstąpił się jak rozcięty nożem. Coś - Hawke nie widział co - wywołało panikę. Ludzie uciekali ile sił w nogach.

Alex podbiegł do bezwłosego olbrzyma, który tak okrutnie obszedł się z Congreve'em. Wciąż pamiętał, ile bólu Top zadał jemu samemu. Ale to było nic w porównaniu z bólem, jaki widział w oczach Ambrose'a. Tego nigdy nie zapomni.

- Top - powtórzył, stając za terrorystą. Pochylił się i szepnął mu do ucha: - Wróciłem.

- Lord Hawke - powiedział beznamiętnie Top ze wzrokiem wbitym w monitor.

Cyfrowy zegar wskazywał jedenastą pięćdziesiąt siedem. Jeszcze trzy minuty. - Przyszedł pan w samą porę, żeby być świadkiem śmiertelnych drgawek Ameryki. Biblia to była tylko przystawka. Niech pan usiądzie do głównego dania, lordzie Hawke.

*

Słowa prezydenta odbijały się echem w niewielkim pomieszczeniu. Płynęły z jedynek głośników, jakie pozostały nad panelem kontrolnym.

- ...że będę wypełniał obowiązki prezydenta Stanów Zjednoczonych... i zrobię wszystko co w mojej mocy.... - powtarzał prezydent.

Przerwał, dojrawszy kątem oka jakiś ruch. Agenci Secret Service na podium mówili do swoich rękawów i zbliżali się do niego...

Hawke słyszał metaliczny głos Conch dochodzący z telefonu satelitarnego. Chciał jej coś powiedzieć. Cokolwiek. Ale nie było czasu.

*

Hawke przyłożył komandoski nóż do podbródka Topa.

- Wiesz co myślę, Muhammadzie? - powiedział, przebijając mu miękką skórę na szyi.
- Myślę, że jesteś tchórzem. Widziałem to w twoich oczach tamtej nocy. Lubisz zadawać ból, ale nie jesteś w stanie go znieść. Mam rację?

- Za późno - wycedził Top przez zaciśnięte zęby. - Allah za chwilę zada cios. Nikt nie może już tego powstrzymać.

- Zła odpowiedź! - krzyknął Hawke i wsunął czubek noża w nozdrze terrorysty. - Mam kod przerywający operację. Chcę go wprowadzić.

Top wybuchnął śmiechem.

Alex zacisnął rękę na jego szyi. Czuł, jak Topowi nabrzmiewają ścięgna. Przycisnął mocniej nóż, aż z nosa zaczęła kapać krew.

- Mam jeszcze całe dwie pieprzone minuty - powiedział Hawke i przystawił ostrze w kącik prawego oka terrorysty. Krew trysnęła na pulpit sterowniczy.

- Nie! - wrzasnął Top, zaciskając rękę na dżojstiku.

- Najpierw prawe oko, potem lewe. - Nawet nie będziesz widział jak drugie ląduje ci na kolanach.

- *Allahu Akbar!* - krzyknął Top. - Jestem gotów na śmierć.

- Dobrze. W takim razie zaczniemy tutaj...

- Boże! Nie! Przestań!

- Przestaną. Ale wpisz swoje cholerne hasło. Już!

Top drżącą lewą ręką wpisał: „Chroń ogień”. Na ekranie pojawił się napis: „Dostęp

przyznany”.

- Dobrze - powiedział Hawke. - A teraz wprowadzimy kod.

- Nie masz pieprzonego kodu.

- Zaufaj mi. Wola Allaha.

Patrzył, jak Top drżącymi rękoma zaczyna wpisywać litery, które mu dyktował.

„Odmowa dostępu” - pojawiło się na ekranie.

- Jeszcze jakieś pomysły? - wycharczał Top z wrednym uśmiechem na zaciśniętych ustach. Zegar wskazał jedenasta pięćdziesiąt osiem.

Hawke patrzył na niego przez sekundę i powiedział:

- Wspak. Wpisz to cholerne hasło wspak.

- A-H-A-L-L-AA-L-O-W - wstukał Top.

„Dostęp przyznany”.

Wola Allaha. Wspak. Hawke przypomniał sobie, że da Vinci pisał wspak, tak by jego słowa można było odczytywać w lustrze. Ambrose przekazał mu wszelkie informacje. Trzeba tylko było z nich skorzystać.

- A teraz wyłącz to kurestwo - powiedział Hawke cicho i groźnie.

Top przesuwiał zakrwawiony palec po klawiaturze, wstukując sekwencję liter i liczb.

„Program przerwany. Program przerwany”.

Te słowa przewijały się bez końca przez ekran.

Na zegarze czas zatrzymał się na jedenastej pięćdziesiąt dziewięć. Broń, którą niedawno przemycono do amerykańskiej stolicy, w jednej chwili stała się bezużyteczna i niegroźna. Wyłączył się nawet bezzałogowy okręt krążący w Tidal Basin pod czujnym okiem Thomasa Jeffersona. Przekreślił się do góry dnem i opadł na muliste dno.

Hawke jeszcze raz podniósł wzrok na monitor.

Prezydent stał bez ruchu, a podium otoczyli agenci. Jack McAtee miał minę człowieka, który nigdzie się nie wybiera.

*

- I będę ze wszystkich sił - powiedział prezydent, kończąc przysięgę - strzegł i bronił konstytucji Stanów Zjednoczonych... Tak mi dopomóż Bóg.

*

Orkiestra marynarki grała *Hail to the Chief*, a armaty na trawniku wystrzeliły dwadzieścia jeden razy na cześć prezydenta.

Hawke, obserwując scenę rozgrywającą się w Waszyngtonie, wciąż trzymał głowę Topa. Szybko wbił mu nóż głęboko w mózg.

- To za Ambrose'a Congreve'a - powiedział.
Wola Allaha się dokonała.

Epilog

Kiedy Anglia jeszcze spała, miękka puchowa pierzyna pokryła cały kraj. Śnieg padał przez cały następny dzień. Był tym piękniejszy, że niespodziewany. Na kilka minut zza chmur wyszło słońce. Wisiało nisko na niebie, jakby za chwilę miało spaść za dalekie góry na zachodzie. Nadało wzgórzom odcień czerwonego złota i różu. W oddali widać się czarna, błyszcząca droga.

Conch zwinęła się na przednim fotelu bentleya. Była jeszcze zmęczona po ostatnim napiętym okresie i mocno opóźnionym locie z Houston. Hawke włączył radio. Panel rozbłysnął światłem, a z głośników popłynęła słodka muzyka, wywołująca jakieś odległe wspomnienia.

- Ależ tu uroczo, Alex - westchnęła Conch. - Nigdy nie widziałam takiego krajobrazu.

- W Anglii nie padało tak od dziesięcioleci.

- To miłe, że Ambrose i Diana zaprosili mnie na swoje przyjęcie. I że przyjechałeś po mnie na lotnisko.

- Tak się złożyło, że byłem przejazdem - uśmiechnął się Hawke.

- Jak on się czuje, Alex?

- Rekonwalescencja była bolesna. Ale już chodzi. Na razie o lasce. Strasznie go to krępuje, ale powtarzam mu, że z taką laseczką wygląda naprawdę obłędnie.

Uśmiechnęła się.

Alex spojrzał na nią.

- Cieszę się że cię widzę, mała.

- Ja też. Dziękuję.

- Chcesz się przespać? Do Brixden House mamy jeszcze z godzinę.

- Chcę porozmawiać, Alex. Chcę ci opowiedzieć o pewnym pogrzebie w Teksasie.

- Pogrzebie Homera.

- Tak. Cieszę się, że tam pojechałam. To była skromna uroczystość, tylko miejscowi, i bardzo wzruszająca. Wszyscy w miasteczku uwielbiali Homera. Szeryf Dixon powiedział kilka słów. Pamiętasz, ten uroczy człowiek z konferencji na Key West.

- Widząc kogoś takiego, znów zaczyna się wierzyć w kowbojów.

- Właśnie. Mówił głównie o prawie. Jak ważne jest w jego życiu, jak bardzo w nie

wierzy. O tym, że ludzie muszą je szanować. Powiedział, że Homer oddał życie za coś znacznie bardziej szlachetnego niż linia wytyczona na piasku.

- Jak wygląda teraz sytuacja na granicy?

- Lepiej. Pojawienie się Gwardii trochę uspokoiło nastroje. Rząd Meksyku też w końcu wziął się do pracy.

- Słyszałem, że aresztują terrorystów.

- To dopiero początek. Tekszańskie Stowarzyszenie Szeryfów poprosiło Dixona, żeby pokierował nową połączoną jednostką służby bezpieczeństwa na granicy. Będzie w tym dobry.

- Nadal z przerażeniem myślę o tym, że w niektórych rejonach Ameryki granice stały się czymś politycznie niepoprawnym - powiedział Hawke.

- Niestety, chyba masz rację.

- Po prostu tego nie rozumiem, Conch. Bez granic nie mamy nic.

- Tylko chaos.

- Co się stało z gotowością do obrony ojczyzny? Gdzie te słowa starej przysięgi: będziemy walczyć na plażach, będziemy walczyć w górach?

- To przerażające. Mam wrażenie, Alex, że wkrótce to wszystko utracimy.

- A ja mam nadzieję, że Jack McAtee nie zgadza się z tym poglądem.

- Nie, jest niepoprawnym optymistą. Wierzy, że przetrwamy tę burzę. Ja zresztą też.

Tyle że kiedy pobylam trochę na tej granicy...

- Byliśmy naprawdę o włos od katastrofy, Conch. Ale mam nadzieję, że dzięki temu ludzie się obudzą. Mieliście szansę pozyskać za sojuszników cały kontynent. Ale albo z tego nie korzystaliście, albo niebezpiecznie mieszaście się w wewnętrzne sprawy innych państw. Traktując ich z góry, straciliście możliwość nawiązania cennych przyjaźni i...

Zerknął na nią. Oparła głowę o fotel i smacznie spała.

Swoją przemowę mógł schować do kieszeni.

*

Pół godziny później Hawke skręcił na Taplow Common Road i przejechał przez bramę rezydencji Brixden House. Zwolnił na szerokim łukowatym podjeździe, podczas gdy Conch poprawiała makijaż w podświetlanym lusterku od strony pasażera.

Niezliczone akry formalnego rezerwatu, nagich sadów i wiecznie zielonych ogrodów tonęły teraz w miękkim, wilgotnym śniegu. Dom, który wreszcie ukazał się w oddali, był imponujący. Klasyczna rezydencja w stylu włoskim stała na szczycie wapiennych klifów w zakolu Tamizy. Wyglądało, jakby rozświetlony był cały dom, każde pomieszczenie. Szyby

we wszystkich oknach jarzyły się zamglonym pomarańczowym światłem.

Kiedy dotarł pod frontowe wejście, zobaczył, że na parking wjeżdżają rządowe samochody, które trzymały się w dyskretnej odległości. Zaczęli z nich wyskakiwać agenci, którzy - jak to agenci - szeptali sobie do rękawów. Portier odprowadził bentleya, a Hawke i Conch weszli do wielkiej sali. W kominku trzaskał ogień, a na lewo od niego wisiał słynny obraz Johna Singera Sargenta przedstawiający prababkę lady Diany Mars.

Zaczęli szukać gospodarzy. Congreve był bardzo podekscytowany, kiedy przysłał Hawke'owi zaproszenie z monogramem i zadzwonił do niego. Alex domyślał się, co knuje Ambrose, ale nie zdradził się z tym przed Conch. Nie chciał, żeby czuła się rozczarowana, jeśli jednak się mylił.

Wziął dwa kieliszki szampana z tacy kelnera w liberii i zapytał, gdzie może znaleźć nadinspektora Congreve'a.

- Pan wraz z lady Mars są w bibliotece - odparł kelner. - Zdaje się, że za chwilę ma być muzyka.

- Tak, przepraszam. Nasz samolot się opóźnił - odparł Hawke.

Przebisnęli się przez tłum i zobaczyli Ambrose'a i Dianę stojących w rogu przy oknach wychodzących na ogród. Kwartet smyczkowy stroił właśnie instrumenty, a gospodarz aż promieniał na widok ludzi tłoczących się w sali. Alex napotkał wzrok Ambrose'a i obaj podnieśli kieliszki.

Tłum był za duży, żeby dopchać się bliżej gospodarzy, wziął więc Conch pod ramię i przeszli do pobliskiej wnęki przy oknie. Na dworze znów zaczął padać śnieg.

Ambrose stanął przed muzykami.

- Moi drodzy przyjaciele - zaczął, wzięwszy do ręki mikrofon, który podał mu ktoś z zespołu. - Diana i ja bardzo się cieszymy, że jesteście tu dziś z nami. Przepraszam za okropną pogodę, ale czyż nie jest pięknie?

Rozległ się śmiech i oklaski.

- Poprosiłem naszych wspaniałych muzyków, by zagrali dziś dla was szczególnie utwór francuskiego kompozytora Hectora Berlioza. To mój ulubiony utwór i zapewne nie zdziwi was, że wiąże się z nim pewna intrygująca historia. Historia miłosna, nie inaczej. Nasza historia ma miejsce w Paryżu w 1832 roku. Berlioz jest przygnębiony. Zakochał się do szaleństwa w Harriet Smithson, pięknej angielskiej aktorce, która grała Ofelię w paryskiej inscenizacji *Hamleta*. Wysyłał jej tuziny listów miłosnych i składał niezliczone propozycje małżeństwa, ale Harriet wyjeżdża z Paryża, nie odpowiedział. Berlioz, na skraju szaleństwa, komponuje symfonię inspirowaną swoją miłością do aktorki. Tak się składa, że w

dniu premiery utworu Harriet Smithson wraca z Londynu do Paryża. Berlioz poprzez przyjaciela namawiają żeby przyszła na koncert. Kiedy orkiestra zaczyna grać, wychodzi na scenę i oznajmia, że ta nowa symfonia została napisana jako oświadczyzny. I że jego ukochana siedzi w pierwszym rzędzie pośrodku. Orkiestra zaczyna grać *Symphonie Fantastique*. Za chwilę usłyszycie państwo tę symfonię w wykonaniu naszego wyśmienitego kwartetu. Panowie, możemy zaczynać?

Congreve odsunął się, a kwartet smyczkowy zaczął grać pierwszą część symfonii. Pod koniec smyczki aż drżały od emocji. Kiedy muzyka ucichła, w bibliotece nikt się nie odzywał, czekając na to, co powie Ambrose Congreve.

Kiedy znów stanął przed muzykami, oczy mu błyszczały. Hawke też był rozemocjonowany, patrząc, jak jego najstarszy i najdroższy przyjaciel zbiera się, nie bez trudności, do przemówienia.

- Niektórzy z was pewnie zastanawiają się, jaka była odpowiedź panny Smithson na symfoniczne oświadczyzny Berlioza. Z przyjemnością donoszę, że Harriet Smithson powiedziała „tak”.

Publiczność zaczęła głośno bić brawo.

- Zdaje się, że monsieur Berlioz nie zabrzmiał tu przypadkowo, nieprawdaż? - spytał Ambrose łamiącym się głosem.

Goście wybuchnęli entuzjazmem. Wszyscy w sali, a zwłaszcza Alex Hawke, zaczęli spoglądać to na Ambrose’a, to na Dianę.

Congreve spojrział na Dianę stojącą po drugiej stronie małego parkietu. Zobaczył, że oczy jej błyszcza i podszedł do niej, podpierając się laską.

Kiedy przed nią stanął, wziął ją za rękę, a potem pochylił się do jej ucha i oboje coś sobie wyszeptali.

Ambrose Congreve odwrócił się do przyjaciół. Wszyscy klaskali i głośno krzydzeli, a twarz Congreve’a błyszczała od łez.

- Powiedziała... „tak”!